H 128
MAZANOWSKI
WYPISY

Marya Tyakovskiy
VI Kl. licealne

ANTONI MAZANOWSKI

WYPISY POLSKIE

NA VIII. KLASĘ GIMNAZYALNĄ.

KRAKÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
W DRUKARNI EUGEN. i D-RA KAZIM. KOZJAŃSKICH.
1914.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Pedagog.
W KRAKOWIE
35.446

128 - M

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

NAKŁADEM AUTORA.

ALEKSANDER HR. FREDRO (1793—1873[1]).

Zemsta i **Śluby panieńskie** czyta się w osobnem wydaniu i w całości przy pomocy domowej lektury.

JÓZEF KORZENIOWSKI (1797—1863[2]).

ŻYDZI.

KOMEDYA W 4 AKTACH.

AKTU I. SCENA 2.

Sala w pałacu hrabiego Ponickiego na wsi. Wchodzi *Hrabia*, w surducie, w słomianym kapeluszu, z fajką w ręku. Za nim *Pazurkiewicz*, jego komisarz.

Hrabia. I cóż tedy, panie Pazurkiewicz?

Pazurkiewicz. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia (kładąc kapelusz i cybuch). Odkiedy asan jesteś u mnie komisarzem, zawsze zaczynasz od tego, że wszystko dobrze, a kończysz nie wiedzieć czem.

---

[1]) Nauki w domu w Bieńkowej Wiszni w Galicyi. Mając lat 12, ułożył komedyjkę *Strach nastraszony*. Jako dzielny kapitan odbył kampanię napoleońską 1812 r. W Paryżu zapoznał się z teatrem, po powrocie do Lwowa przestudyował dzieła Moliera i zaczął tworzyć komedye. W pierwszym okresie do 1828 roku powstały: *Geldhab, Zrzędność i Przekora, Mąż i Żona, Cudzoziemczyzna, Damy i Huzary, Odludki i Poeta, Nikt mnie nie zna, Przyjaciele, Nowy Don Kiszot, List* i *Pierwsza lepsza*. W drugim okresie do 1835 r.: *Śluby panieńskie* (1832), *Zemsta* (1833), *Pan Jowialski, Ciotunia, Dożywocie, Gwałtu, co się dzieje* i *Dyliżans*. Z wydanych po śmierci najlepsze są: *Pan Benet, Dwie blizny* i *Świeczka zgasła*.

[2]) Liceum w Krzemieńcu. Początkowe ody w duchu klasycznym. Dopiero w Warszawie, gdzie uczył Zygm. Krasińskiego, przechylił się ku romantyzmowi. W *Klarze* i *Anieli*, a zwła-

Pazurkiewicz. Nic bez tego, jaśnie wielmożny panie! — Gdzie zyski, tam muszą być i straty, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A teraz z czemże asan przyszedłeś?

Pazurkiewicz. Gniady ogier zdechł, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Jakto? Lord?

Pazurkiewicz. Lord, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A niechże asana dyabli wezmą z takiemi wiadomościami! — Byłże chory? Leczyłżeś go asan? Donosiłżeś mi, że chory? Byłbym użył wszelkich środków — a teraz cóż zrobię?

Pazurkiewicz. A cóż, jaśnie wielmożny panie? — Zdechł.

Hrabia. Wieszże asan o tem, żem go już sprzedał za trzysta czerwonych złotych memu szwagrowi i sto pięćdziesiąt wziąłem?

Pazurkiewicz. Gdybym był wiedział, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. To byłby nie zdechł? Co?

Pazurkiewicz. Byłby zdechł u szwagra jaśnie wielmożnego pana, bobym go był odesłał, jak tylko zasłabł.

Hrabia. Dyabli mi nadali nie powiedzieć tego asanu wcześniej.

Pazurkiewicz. Nie moja wina, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Wiem o tem, żeś asan nigdy niczemu nie winien.

Pazurkiewicz. Właściwie mówiąc, tego konia kupił jeszcze nieboszczyk ojciec jaśnie wielmożnego pana, dwadzieścia lat temu. Jaśnie wielmożny podskarbi dał za niego tylko dwieście dukatów.

Hrabia. I cóż stąd? Właśnie teraz był w takiej porze, że go można było wyśmienicie sprzedać szwagrowi za trzysta. A asaństwo waszem niedbalstwem pozbawiliście mnie takiej sprzedaży. Toto i nieszczęście nasze, że nie możemy dopatrzeć sami. U asana konie pewnie nie zdychają.

Pazurkiewicz (kłaniając się). Nie, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia (siada). Dlatego, że asan nie masz koniuszego, ekonomów, a nadewszystko komisarza. Radby człowiek być uczciwym, ale przez was, dalibóg, niepodobna. Jakże się teraz uiszczę panu Ignacemu? Nu, mówże asan!

---

szcza w *Mnichu* (1826), *Dymitrze* i *Maryi* i *Pięknej kobiecie* dał wyraz nowym swym zapatrywaniom na dramat. Następuje szereg dramatów: *Dziewczyna i dama*, *Umarli i żywi*, *Karpaccy górale*, *Andrzej Batory*. Był profesorem w Krzemieńcu, potem docentem w Kijowie. Osiadłszy w Charkowie, zaczął tworzyć komedye i powieści. Najważniejsze komedye: *Żydzi* (1843) i *Panna mężatka*; Powieści: *Spekulant* (1845) i *Kollokacya* (1847). Ostatni okres życia w Warszawie, jako dyrektor wydziału komisyi wyznań i oświecenia. Szereg powieści, jak: *Wędrówki oryginała* i *Nowe wędrówki oryginała*, *Emeryt*, *Tadeusz Bezimienny*, *Garbaty* (1853), *Pan Stolnikowicz wołyński*, *Wdowiec*, *Krewni* (1857), *Ofiara i sumienie*, *Szczęście za górami*.

Pazurkiewicz. Jaśnie wielmożny pan widział mojego gniadego ogierka? Raz go nawet jaśnie wielmożny pan wziął za Lorda, tak podobny, tylko młodszy.

Hrabia. I cóż stąd?

Pazurkiewicz. Jeśli się jaśnie wielmożnemu panu zdawać będzie, to można jaśnie wielmożnemu gubernskiemu odesłać mojego. On niewielki znawca.

Hrabia. A jeśli się wyda szachrajstwo?

Pazurkiewicz. Ja biorę na siebie, jaśnie wielmożny panie! — Tylko...

Hrabia. Tylko trzeba u asana tego konia kupić?

Pazurkiewicz. Jaśnie wielmożny pan da mi skrypcik na dwieście czerwonych złotych.

Hrabia. Nie mówiłżeś mi asan, żeś dał za niego pięćdziesiąt dukatów?

Pazurkiewicz. Gotowizną wezmę mniej, jaśnie wielmożny panie! Skrypt, to ryzyko. Jaśnie wielmożny pan zna stan swoich interesów.

Hrabia. O, znam! Doprowadziliście mnie do pięknego stanu.

Pazurkiewicz. Właściwie mówiąc... nie my...

Hrabia. No, niech asana dyabli wezmą — napisz sobie skrypt na dwieście dukatów i odprowadzaj konia.

Pazurkiewicz. Dobrze, jaśnie wielmożny panie! (klania się, jakby chciał odchodzić, potem wydobywa papiery).

Hrabia. Cóż tam jeszcze?

Pazurkiewicz. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie! — Tylko Suplicki pisze ze Skwiry, że długi pana chorążego przewyższają jego majątek o sto trzydzieści tysięcy i odsyła nasze skrypta dla pomieszczenia między papiery niepotrzebne.

Hrabia. Otóż to u nas kredyt! — Zapłaćże tu swoje długi; uiszczaj się w słowie, kiedy twoi dłużnicy bankrutują! Ojciec zbierał, kradł, póki był ekonomem; ciemiężył cudzych poddanych, póki był posesorem; oszczędzał, gdy się dochrapał dziedzictwa, a pan syn zachorował na wielkiego pana i zmarnował wszystko. Potrzeba mu było durniowi jeździć za granicę, sprowadzać karety z Wiednia i stroić swojego koczkodana żonę, aby lazła między nas i kaleczyła nam uszy niegodziwą francuzczyzną. Odsyłaj to asan natychmiast Suplickiemu, niech mu zatraduje Myszkowce.

Pazurkiewicz. Myszkowce, jaśnie wielmożny panie, zadłużone w banku co do jednej duszy.

Hrabia. Jakto? a cóż będzie?

Pazurkiewicz. Przepadło, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Bodajżeś asan przepadł sam ze swoją zimną krwią, kiedy mnie dyabli biorą.

Pazurkiewicz. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, tego się należało spodziewać. Jaśnie wielmożny pan chyba zapomniał, że Myszkowce już były założone wtenczas, gdyśmy ulokowali u chorążego sto tysięcy księżniczki Zofii, pupilki jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia (niby roztargniony). Co? co?

Pazurkiewicz. A tak, jaśnie wielmożny panie! Dlatego to pan chorąży, wziąwszy tylko dwadzieścia pięć tysięcy, był tak łaskaw że dał skrypt na sto. A siedemdziesiąt pięć tysięcy, jak jaśnie wielmożnemu panu wiadomo...

Hrabia (wstając). A jak też wydaje żyto, panie Pazurkiewicz? Czyś asan już kazał robić próbę?

Pazurkiewicz. Miernie, jaśnie wielmożny panie, bardzo miernie! Trzy ćwierci z kopy.

Hrabia. Otóż to wasze gospodarstwo! U innych wydaje pięć ćwierci, a u mnie zawsze półkorcem mniej. Takie to dopilnowanie przy siejbie, taki dozór przy wymłóceniu! Przytem może jeszcze... kto was tam wie? Miejże się tu dobrze z takimi oficyalistami! Służą nie wiedzieć jak, a jak przejdzie lat dziesięć lub piętnaście, przychodzi jeden i drugi, kłania się nizko: Jaśnie wielmożmy panie! Sił niema! Proszę o łaskawy chleb. A daj mu gracyę, to ci potem siedzi na karku i żyje matuzalowe lata. Idź asan sobie z Bogiem, bo mi tylko krew psujesz (bierze kapelusz i fajkę. Pazurkiewicz kłania się, usuwa się — potem wraca). Czy jeszcze co?

Pazurkiewicz. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A nudzisz mię asan do dyabła!

Pazurkiewicz. Cóż robić, jaśnie wielmożny panie — interesa! Termin wypłat blizki; sprzedaży niema. Gotówki potrzeba będzie i na jarmark — a kredyt, jaśnie wielmożny panie, na włosku.

Hrabia. Cóż zrobię? Zastawięż mój klejnot szlachecki i koronę hrabiowską? Starać się, żeby było i basta!

Pazurkiewicz. Jaśnie wielmożny panie, Aron Lewe na tym klejnocie się nie zna. On otaksuje tylko pergamin i krwawnik na pieczątce, pogładzi białą brodę, położy rękę na biblii i powie:

dam szesnaście karbowanych; a nam potrzeba plus minus szesnaście tysięcy rubli srebrnych.

Hrabia (rzuca na stół kapelusz i fajkę). Kara Boska! (przechadza się).

Pazurkiewicz. Została jeszcze Jabłonówka jaśnie wielmożnej hrabiny niezałożona. Dusz sto pięćdziesiąt, grunta dobre, las i woda. Niech jaśnie wielmożny pan skłoni jaśnie wielmożną hrabinę, aby dała nam plenipotencyę do założenia tej wsi, a może się Aron namówi dać te sto tysięcy.

Hrabia. Pogadam ze żoną — a asan jedź do tego przeklętego żyda. Może i tak da z pięćdziesiąt tysięcy na mój rewers.

Pazurkiewicz. Właściwie mówiąc, daremnie, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Idźże asan, mówię — a ja się ułożę z żoną.

Pazurkiewicz. Idę, jaśnie wielmożny panie! (Idzie i znowu wraca).

Hrabia. Znowu? — Toś się asan, widzę, uwziął dzisiaj mnie w suchoty wprawić. Cóż tam takiego?

Pazurkiewicz. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie! W Byszówce folwark się spalił.

Hrabia. Jakto, od pioruna?

Pazurkiewicz. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, od nieostrożności ludzi.

Hrabia. O, ba! — To niech posesor zapłaci. Pojedź asan ze sprawnikiem ocenić szkodę i uformować należytą pretensyę. Szlachcic nie bez pieniędzy. Kradł dobrze nieboszczyka podczaszego, który jeszcze był tak dobroduszny, że mu w nagrodę za to dał piętnaście tysięcy. Jedźże mi asan zaraz do sprawnika; poproś go odemnie, żeby też nie zważał na szlochy pani komornikowej i na słowo uczciwe pana komornika i ocenić mi moją szkodę — sprawiedliwie. Rozumiesz mię asan?

Pazurkiewicz. Rozumiem, jaśnie wielmożny panie! Rachuneczek jaśnie wielmożny pan każe przedstawić, co się wyekspensuje na utrzymanie sprawnika...

Hrabia. O, już te asana rachuneczki! Wszystko niech się tam zmieści w ocenienie szkody. Za co ja tracić będę? Niech szlachcic płaci, kiedy hardy. Szczególniej ten synek jego! Liznął cokolwiek nauki i chce, aby się z nim wszyscy obchodzili, jak z człowiekiem z urodzeniem. Proponowałem mu miejsce nauczyciela do mojego Stasia; cóżbyś asan myślał? Zaśpiewał mi 200 czerwonych złotych rocznej pensyi i 20 tysięcy po skończeniu edukacyi — prałat!

Pazurkiewicz. A, właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, to bardzo wiele. Ja i połowy tego nie mam za moje wierne usługi, za to sumienie...

Hrabia. Ej, do dyabła! Daj asan pokój swemu sumieniu, panie Pazurkiewicz! To mrowisko zdaje się spokojną kupą, póki go nie ruszasz. Ale pogrzebaj tam asan ręką, a miliony grzeszków ruszą się, zaczną łazić i kąsać. Lepiej go nie tykać, radzę asanu.

Pazurkiewicz. (kłania się). Jaśnie wielmożny pan żartuje...

Hrabia. Myśl sobie jak chcesz i idź już — bo nareszcie....

Pazurkiewicz. Idę, jaśnie wielmożny panie i jadę zaraz do sprawnika. (Idzie do drzwi, ogląda się i wraca).

Hrabia. Czy jeszcze? A niechże asana dyabli wezmą! (Zrywa się i wychodzi).

Pazurkiewicz. (sam). Właściwie mówiąc, dyabli to wezmą nas obydwóch, ale jeszcze cokolwiek poczekawszy. Tymczasem pożyjemy, kupimy Batorówkę i potem da Pan Bóg wybory... i jaśnie wielmożny Pazurkiewicz deputat sądu głównego, a dalej prezes. Otóżto właśnie miejsce dla mnie, jaśnie wielmożny panie — fe, do dyabła! Zapomniałem, że ja już sam będę...

AKTU III. SCENA 1.

Pokój w pałacu prezesa Zadzirnowskiego. Lokaje, suto galonowani, ustawiają meble i sprzątają.

Pierwszy lokaj. Już, zdaje się, wszystko w porządku.

Drugi lokaj. A dyabli go tam wiedzą, co on tam jeszcze znajdzie, jak wyjdzie. Żywej duszy w domu niema, a codzień froteruj wszystkie posadzki, zapalaj wszystkie lampy, wszystkie kinkiety, jak na bal.

Pierwszy lokaj. No, cóż robić? Już nasz pan prezes tak lubi.

Drugi lokaj. A dyabliby go wzięli z tem wszystkiem, co on lubi, kiedy człowiekowi ręce i nogi odpadają. I cóż z tej parady? Sam jeden chodzi sobie po oświeconych pokojach, nos do góry i puf! puf! cygarem, jak gdyby miech kowalski miał w brzuchu. I dyabli go wiedzą, skąd mu tyle wiatru stanie.

Trzeci lokaj. (Wchodzi). Powiedzcie tam który panu, że jakichś dwóch panów przyjechało i chcą się widzieć (pokazuje rubla). Dali tryngield i bardzo proszą.

Drugi lokaj. Chybaże dali (idzie do drzwi gabinetu i spotyka się tam z prezesem, który go odtrąca).

Prezes. Durniu, mówiłem, żeby nie wchodzić, póki nie zadzwonię!

Drugi lokaj. Tam, jaśnie wielmożny panie, dwóch jakichś panów czeka.

Prezes. I mogą bezpiecznie czekać, kiedym zajęty. Kto nie ma pieniędzy, powinien mieć cierpliwość. Wołaj tego, który lepiej ubrany.

Drugi lokaj (do siebie). A dyabliż ich wiedzą, który z nich lepiej ubrany. (Wychodzi).

Prezes. Ty idź, powiedz koniuszemu, żeby miał gotową karetę i anglizowane konie. — Czekaj! — A Rubelkowski niech będzie pod ręką. (Pierwszy lokaj wychodzi. Prezes zapala cygaro, rozwala się na fotelu i kładzie nogi na drugiem krześle).

Bartoszewski (wchodzi i kłania się nizko). Jaśnie wielmożny panie!

Prezes. A! a! Cóż mi asan powiesz, mój mości Bartoszewski?

Bartoszewski. Tak dawno nie miałem szczęścia widzieć jaśnie wielmożnego pana...

Prezes. Puf.

Bartoszewski. Jaśnie wielmożny pan był tak łaskaw, że mię dobrocią swoją w czasie wyborów ośmielił...

Prezes. Puf.

Bartoszewski. Jaśnie wielmożny pan zapewne pamięta, po owym pańskim obiedzie, na którym miałem honor znajdować się, jak mię jaśnie wielmożny pan raczył uściskać.

Prezes. Puf.

Bartoszewski. Wtenczas jaśnie wielmożny pan mi szepnął: Kochany Bartoszesiu, jak zbierzesz kapitalik i zechcesz pewnej lokacyi i dobry procent...

Prezes. Puf.

Bartoszewski. Otóż teraz Pan Bóg mi dopomógł, jaśnie wielmożny panie i przychodzę do łaski jaśnie wielmożnego pana. Chciej przytulić u siebie moją szlachecką chudobę.

Prezes. Ja, mój mosanie, pieniędzy nie potrzebuję.

Bartoszewski. Wiem, jaśnie wielmożny panie! Ależ jaśnie wielmożny pan wie, jak trudno teraz ulokować kilkaset groszy.

Prezes. Bankruty, mój mosanie, bankruty!

Bartoszewski. Nie wie człowiek, jaśnie wielmożny panie, gdzie się obrócić. A to także wiadomo, że u jaśnie wielmożnego pana pieniądze, jak w kieszeni (kłania się). Proszę jaśnie wielmożnego pana, sumka niewielka — piętnaście tysięcy.

Prezes. A jakiż asan chcesz procent?

Bartoszewski. A cóż, jaśnie wielmożny panie, ja człowiek na dorobku — siódmy, jeżeli łaska.

Prezes (poruszając głową). Puf.

Bartoszewski. To choć szósty, jaśnie wielmożny panie!

Prezes (dzwoni — lokaj wchodzi). Rubelkowskiego! — Ale cóż ja zrobię z asana pieniądzmi? (do wchodzącego Rubelkowskiego). Panie Rubelkowski, powiedz asan jegomości, ile masz gotowizny w kasie?

Rubelkowski. Trzykroć, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Puf. Cóż asan na to, mój mosanie?

Bartoszewski (kłania się). Znajdzie się jeszcze miejsce i dla mojej chudoby, jaśnie wielmożny panie.

Prezes. Cóż ja mam z asanem robić? — Ale czwarty procent.

Bartoszewski. Szósty, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Idź asan do kogo innego.

Bartoszewski. Jakiż u nas kredyt, jaśnie wielmożny panie? — Za swoją pracę potem się kłaniaj — a potem proces — a potem połowę kapitału lub nic... Zmiłuj się, jaśnie wielmożny panie, — piąty.

Prezes (ruszając głową). Puf.

Bartoszewski. Ha, cóż robić! — Niech już będzie, jak jaśnie wielmożny pan chce — do kontraktów.

Prezes. Panie Rubelkowski! Idź asan z jegomością do mego gabinetu i tam wygotuj weksel. (Rubelkowski i Bartoszewski wychodzą. Dzwoni — lokaj wchodzi). Kto tam jeszcze?

Lokaj. Jakiś pan Brzydkiewicz.

Prezes. Wołaj (lokaj otwiera drzwi. *Brzydkiewicz* w obwisłym szaraczkowym fraku, z białym kapeluszem i czerwoną chustką w ręku, wchodzi i prędko kłania się kilka razy). Któż asan jesteś?

Brzydkiewicz (prędko). Tymoteusz Brzydkiewicz do usług jaśnie wielmożnego pana ; stary szlachcic, urodzony w powiecie Łuckim, ale w dalszej jego części, ku Polesiowi: bo jaśnie wielmożnemu panu wiadomo, że powiat Łucki sięga po za Dąbrowicę i Rafałówkę...

Prezes. Wiem, wiem. — Czegóż asan chcesz?

Brzydkiewicz. Lokajcyjki, jaśnie wielmożny panie! Jaśnie wielmożny pan dorobiłeś się ogromnego majątku i bierzesz, słyszę, pieniądze na mały procent, a dajesz na większy. Cóż, jaśnie wielmożny panie? — to obrót. — Jeśli kto jaśnie wielmożnemu panu

powierza swoją sumkę, widać, że kontent. Nic w tem nieuczciwego, jaśnie wielmożny panie, byle była oddana.

Prezes. Idź asan sobie precz — ja pieniędzy nie potrzebuję.

Brzydkiewicz (podchodząc). Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie, — ja wiem. Ale wielkiego procentu nie chcę, a chcę tylko pewności. Bo teraz pewność rzadka, a w kieszeniach u naszych panów tak, jak na mojej głowie — jaśnie wielmożny pan widzi. Inaczej było, gdym był młody i gdym był pisarczukiem w Radziwiłłowszczyźnie, gdzie ojciec jaśnie wielmożnego pana był rządcą.

Prezes (zrywa się). Ale idźże asan sobie do dyabła! Ja pieniędzy nie chcę.

Brzydkiewicz (bliżej podchodząc). Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie! — Pieniądze pieniądzmi, a to, co ja mówię, to nie dlatego, żeby jaśnie wielmożnemu panu ubliżać: bo owszem, ja to uważam za zasługę, kiedy kto z niczego przychodzi do fortuny. Czyż to krzywdzi ojca jaśnie wielmożnego pana, że był chłopcem u pana Orzeszki, z którym się uczył w Pińsku, a potem wyszedł na pisarza prowentowego, a potem na rządcę, a potem na komisarza, a potem kupił wielki majątek? Nie, jaśnie wielmożny panie! Ja mu to za zaszczyt poczytuję, że z komisaryi przeszedł do własnego pałacu. Gorzej tym, co z pałaców i własnych zamków przechodzą do izby szlachcica, tak, że wielki tytuł, jaśnie wielmożny panie, sam nie wie, którędy wejść; ani drzwiami, ani oknem zmieścić się nie może.

Prezes. A żebyś asan przepadł! — Ja pieniędzy nie wezmę — idź sobie!

Brzydkiewicz. Nie idzie za tem — weźmiesz, jaśnie wielmożny panie.

Prezes. Ale nie wezmę, nie wezmę, do milion dyabłów!

Brzydkiewicz. Milion jeden i drugi jest, a będzie ich i więcej, jeżeli jaśnie wielmożny pan będziesz tak rzetelnie postępował, jak dotąd. — Wziąść na piąty, oddać na dziesiąty, a przy okazyjce i na piętnasty... cóż to złego, pytam się jaśnie wielmożnego pana? Oddać wiernie, to grunt. Kredyt, akuratność, to fundament, jaśnie wielmożny panie! Tem to i ś. p. ojciec jaśnie wielmożnego pana wygrał. Miał kredyt, wierzyli mu, on i korzystał z tego. Ja jakoś nie miałem tego rozumu, jaśnie wielmożny panie! Wyszliśmy z jednej wsi, ale cóż? Dwom drzewom w jednym lesie nie jednakowo bywa: jedno wyrośnie na maszt, jaśnie wielmożny

panie, a drugie na tyczkę do fasoli — otóż tak jaśnie wielmożny pan i ja, Tymoteusz Brzydkiewicz, do usług jaśnie wielmożnego pana.

Prezes. Kończże asan, do wszystkich dyabłów, bo cię każę za drzwi wypchnąć.

Brzydkiewicz. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie! — U mnie język długi, jaśnie wielmożny panie!

Prezes (zaambarasowany). Ileż masz kapitału?

Brzydkiewicz. Dwadzieścia pięć tysięcy, jaśnie wielmożny panie! A jak ja to zebrałem...

Prezes. Ale co mi tam do tego? — Jaki procent asan chcesz?

Brzydkiewicz. Ósmy, ósmy, jaśnie wielmożny panie! Jaśnie wielmożny pan oddasz na dziesiąty — ja to wiem.

Prezes. Kłamiesz asan. Ja na dziesiąty nie oddaję i na ósmy nie biorę. Bartoszewski oddał na trzeci.

Brzydkiewicz. Jaśnie wielmożny pan chcesz złapać, ale ja nie fryc, jaśnie wielmożny panie! Z ojcem jaśnie wielmożnego pana służyłem razem. Żeby nie wiele gadać, jaśnie wielmożny panie, ostatnie słowo: szósty i basta. (Podaje mu rękę).

Prezes. Nu zgoda i idź asan sobie do dyabła. — A jak słowo piśniesz, jak Boga kocham, bez procesu nie oddam.

Brzydkiewicz. I procent z góry, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. No, z góry, bylebyś z pierwszej góry kark złamał.

Brzydkiewicz. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie!

Prezes (przy drzwiach gabinetu). Rubelkowski! (ten wchodzi). Weź asan od tego jegomości dwadzieścia pięć tysięcy i szósty procent wypłać mu asan z góry. — (do Brzydkiewicza). A język za zębami, bardzo proszę!

Brzydkiewicz O, mam rozum, jaśnie wielmożny panie! — Ja wiem gdzie? co? i jak? jaśnie wielmożny panie!

Prezes. No, idź już asan, idź! (Rubelkowski i Brzydkiewicz wychodzą). A to mi dyabli nasłali tego brzydala! (Lokaj wchodzi).

Lokaj. Pan komornik Staroświęcki.

Prezes. Czegóż znowu ten chce? — No, proś. (Rozwala się, jak pierwej i zapala cygaro. Komornik wchodzi). Jak się masz, kochany komorniku? Cóż to cię do mnie sprowadza? Coś zmizerniałeś?

Komornik. Bieda mnie przygniotła i do jaśnie wielmożnego pana sprowadza.

Prezes. Cóż to takiego? — Ale usiądź, usiądź, komorniku.

Komornik. Pogorzałem, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. U!

Komornik. Jeszczeby to było nic, jaśnie wielmożny panie! Co z dopuszczenia Bożego mię spotyka, to umiem znosić z pokorą. Ale kiedy ludzie krzywdzą, a zwłaszcza ci, coby powinni mieć wspaniałe serce, to boleśnie znosić.

Prezes. Narachowali ci pewnie pretensyę grubą?

Komornik. Narachowali, jaśnie wielmożny panie i muszę zapłacić 16 tysięcy. W tym to interesie przychodzę do łaski jaśnie wielmożnego pana. Wiem, że termin mój dopiero za pięć miesięcy; ale jaśnie wielmożnemu panu to nie zrobi różnicy.

Prezes. Puf!

Komornik. Każ mi jaśnie wielmożny pan wypłacić mój kapitalik i procent za siedm miesięcy. Oddam, abym nie miał potrzeby kłaniać się człowiekowi, który...

Prezes. On bankrut, mój komorniku!

Komornik. To go nie usprawiedliwia. Zaplątać fortunę swoją i żony — to niejeden z naszych panów zrobił; ale krzywdą bliźniego chcieć łatać dziury, robione przez głupstwo i próżność, tego nie zrobi żaden! — Proszęż jaśnie wielmożnego pana dać rozkaz...

Prezes. (dzwoni, lokaj wchodzi). Rubelkowskiego! — (Lokaj wychodzi). Nie wiem, mój panie komorniku, czy ci będę mógł usłużyć. Teraz o pieniądz trudno. Jak Boga kocham, takich czasów nie pamiętam. Przedaży niema, kredyt powszechny upadł, gotowizna skryła się — źle, doprawdy. (Rubelkowski wchodzi). Słuchajno Rubelkowski! Komornik chce teraz przed terminem odebrać swój kapitał. — Czy masz tam co w kasie?

Rubelkowski. Pustki, jaśnie wielmożny panie! — Ośm do dziesięciu tysięcy złotych i to na codzienne wydatki. Chyba ze szkatułki jaśnie wielmożnego pana...

Prezes. Idź asan. (Rubelkowski wychodzi).

Komornik. (wstaje). Tak nie otrzymam nic od jaśnie wielmożnego pana?

Prezes. I hrabia nie daje się uprosić? — Nie mógłżeby zaczekać?

Komornik. Nie chce, jaśnie wielmożny panie! Zagraża mi sądem i przedażą remanentów.

Prezes. Toż mi żal asana, panie komorniku! — A, jak Boga kocham, nie mam w kasie gotowizny. Chybaby... Chciałoby mi się bardzo wyprowadzić cię z biedy. — Ile tam?

Komornik. (wydobywając weksel). Piętnaście tysięcy, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Wiesz asan co, panie komorniku? Weź siedm i będzie kwita, tyle znajdę.

Komornik. Jaśnie wielmożny pan żartuje.

Prezes. Czyż to mało? — Termin za pięć miesięcy. — No, weź dziewięć. Więcej nie dam, jak Boga kocham.

Komornik. (chowa weksel i ogląda się wokoło). Co tu złota! Co bronzów! Jakie zwierciadła! Jakie lśniące ściany! Jakie błyszczące posadzki! — Przepyszny jaśnie wielmożny pan masz pałac.

Prezes. Puf.

Komornik. Jednej rzeczy przecież jaśnie wielmożnemu panu nie staje.

Prezes. Czegóżto, komorniku?

Komornik. Brody, jaśnie wielmożny panie! (kłania się i wychodzi).

Prezes. (dzwoni — lokaj wchodzi). Śniadanie! (Wychodzi — lokaj za nim).

AKTU IV. SCENA 2.

Mieszkanie Arona Lewe. W środku otwarte drzwi, przez które widać za stołami siedzących i piszących żydów; słychać także brzęk srebra. Nad temi drzwiami napis: Kantor starozakonnego Arona Lewe. Przez boczne drzwi wchodzi Aron, umywa ręce przy drzwiach i otarłszy je wiszącym tam ręcznikiem, postępuje ku wielkiemu krzesłu, które stoi z prawej strony, bliżej widzów. Siada i przysuwa przed siebie stolik, na którym biblia. Aron, żyd stary i poważny. Broda biała, kaftan atłasowy czarny, na wierzchu płaszcz takiegoż koloru, z taśmami szerokiemi, przy końcu których złota frendzelka. Na głowie trójgraniasta, ostro zakończona mała czapeczka z wązkim sobolem.

Aron. Szmul!

Szmul. (za sceną). Zaraz. (wchodzi, niosąc w ręku rozpieczętowane listy).

Aron. Nu, Szmul! Co tam nowego?

Szmul. (kładzie przed nim trzy listy). Ci panowie nie płacą. Proszą, żeby poczekać.

Aron. (patrząc na podpisy). A procenty?

Szmul. Także nie płacą.

Aron. (oddaje mu listy, które ten odkłada na bok). Pozwać. Nu, co więcej?

Szmul. (podaje mu list). Berko brodzki prosi o sto tysięcy — do kontraktów — daje dziesięć.

Aron. (oddając list). Dziesięć? Dać. — Nu!

Szmul. (jak wyżej). Pan deputat chce pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pan deputat? On bankrut.

Szmul. Przysłał zakład, (podaje mu pudełko) brylanty żony.

Aron. (woła) Monsie-Hersz! (ten wchodzi). Ile to warte?

Monsie-Hersz. (opatrzywszy). Trzydzieści — a jakby amator, trzydzieści pięć, sześć tysięcy, nie więcej (oddaje i odchodzi).

Aron. Dać jemu piętnaście i dziesiąty procent odliczyć zaraz. — Więcej niema nic?

Szmul. (podaje list). Książę Karol kazał posłać do Warszawy dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Posłać zaraz.

Szmul. (jak wyżej). Pan Graf Gustaw prosi, żeby wypłacić w Dubnie trzydzieści tysięcy — za miesiąc odeśle.

Aron. Wiem, że odeśle. Wypłacić.

Szmul. Pyta, jaki procent za ten miesiąc?

Aron. Pół procentu — ja od jego ojca miałem więcej. Nu!

Szmul. (zbiera listy). Już wszystko.

Aron. Już wszystko? To dobrze — idź. (Szmul wychodzi, Aron bębni przez chwilę palcami po książce) Bm! bm! bm! Potem zaczyna czytać, kiwać się i mruczeć. (Przybywa siostra hr. Ponickiego i prosi Arona o pożyczenie pięćdziesięciu tysięcy złotych. Aron odmawia. Hrabia wchodzi).

Hrabia. Cóż to jest Aronie? Zapominasz, widzę, żeś powstał z tutejszych obywateli, a teraz obchodzisz się z nimi nie wiedzieć po jakiemu.

Aron. Nu?

Hrabia. Już to się nie godzi, prawdziwie! Gdybym nie uważał na twój wiek, to doprawdy gniewałbym się na ciebie.

Aron. Jakto?

Hrabia. Tylko co spotkałem moją siostrę. Powiedz, miałżeś ty sumienie nie służyć jej w takiej małej rzeczy? Wstydź się, stary! Czy to u niej ewikcya nie pewna?

Aron. At, jaka tam ewikcya!

Hrabia. (siada). Ale możemy się przeprosić, tylko pod pewnym warunkiem. Nie chciałeś jej dać pięćdziesiąt tysięcy, to jużci mnie przynajmniej dasz sto. Pilno mi potrzeba!

Aron. Nie dam.

Hrabia. (bierze go za rękę i ściska). No, Aronie, dasz, dasz. Ja wiem, że u ciebie pierwsze słowo na języku: nie — a potem, jak rozmyślisz...

Aron. Co tu rozmyślać? Masz pan graf co założyć, to dam; nie masz pan, to nie dam. Pan wszystko swoje przemarnował, przegrał w karty, przefacyendował, przejadł i przejeździł za granicą; pan imości majątek pozastawiał; pan księżniczki majątek

zniszczył; a teraz pan jeszcze chcesz pieniędzy? Dlaczego ja mam dawać panu pieniędzy? Czy dlatego, że pan graf? — A mnie co do tego?

Hrabia. Więc nie mam u ciebie kredytu? Ja?

Aron. Nie.

Hrabia. Niechże cię Pan Bóg sekunduje. Na Jabłonówkę dasz sto tysięcy?

Aron. A wiele ona warta?

Hrabia. Sto pięćdziesiąt dusz, pola dużo, młyny, woda, las.

Aron. To ostatnia wieś u pani hrabiny nie założona.

Hrabia. A cóż robić, kiedyś taki uparty?

Aron. Nie brać.

Hrabia. Nie można — zarzynają.

Aron. Siedemdziesiąt dam i... i dziesiąty procent z góry.

Hrabia. Maszże ty sumienie?

Aron. At, co nam gadać o sumieniu! Wreszcie to dla pana grafa lepiej. Jak pan graf mniej weźmiesz, to pan mniej stracisz, a jak pan mniej stracisz, a potem sprzedadzą wieś z publicznej licytacyi, to więcej się panu zostanie.

Hrabia. Cóż ty myślisz, że ja nie zapłacę?

Aron. Myślę. I jak pan graf możesz zapłacić, kiedy panu potrzeba co roku pięćdziesiąt sześć tysięcy do banku, trzydzieści dwa tysiące samego procentu za długi prywatne? A teraz pan graf potrzebujesz żyć jak pan, a w karty grać, a bale dać; a imość także potrzebuje wiele; a wszystkiego masz pan dziewięćdziesiąt, sto, a na dobry rok sto piętnaście tysięcy dochodu. Skądże tu zapłacić?

Hrabia. Jakże ty to wiesz?

Aron. Jak ja to wiem? U mnie zapisana stoi każdego sytuacya: i długi, i dochody, i jaki on, i wiele waży jego słowo.

Hrabia. Więc u ciebie i słowo honoru idzie na wagę?

Aron. A jakże! Bo innego pana słowo honoru waży grosz, a innego waży dziesięć wsi ze wszystkimi remanentami.

Hrabia. Więc z tobą niema co rzeczy obwijać w bawełnę?

Aron. Na co bawełna, kiedy ja wszystko wiem.

Hrabia. Ustąpże dwa procenta.

Aron. Nie.

Hrabia. Wieszże, w jakim stanie moje interesa?

Aron. A mnie co do tego?

Hrabia. (powstaje). Niechże cię!... Dawaj!

Aron. Szmul.

Szmul. (za sceną). Zaraz (wchodzi).

Aron. (daje mu papiery). Siedmdziesiąt tysięcy — zakładna — dziesiąty procent z góry.

Prezes. (wchodzi). Jak się masz, panie Aronie. A, pan hrabia! Przepraszam, żem nie miał jeszcze czasu być u pana hrabiego i złożyć uszanowania hrabinie. Interesa, panie hrabio, to klęska! (Aron czyta).

Hrabia. Panie prezesie, czy i ty w interesach?

Prezes. Jak Boga kocham, panie hrabio!...

Hrabia. Czy nie pieniędzy pożyczać?

Prezes. Cóż robić? Nie przedajemy nic — jesteśmy w rękach żydów i robią z nami, co chcą.

Hrabia. Kochany prezesie! Na obiadek dzisiaj do mnie — proszę cię.

Prezes. Z ukontentowaniem, panie hrabio!

Hrabia. Mój prezesie! Daj mi też na parę tygodni dwadzieścia tysięcy.

Prezes. Panie hrabio, majątek jest, sterty stoją, jak okręty w porcie; ale gotowizny, jak Boga kocham, nie mam: — dowód, że tu przychodzę.

Aron. (bijąc po książce). Bm! bm! bm!

Prezes. (bierze jego rękę obiema rękami i ściska). To, to Rotszyld.

Aron. (uśmiechając się). At!

Hrabia. (do Szmula). Cóż, dajecie pieniądze?

Szmul. Proszę grafa z sobą. Trzeba rozpatrzeć papiery.

Hrabia. No, rozpatruj! Do widzenia, prezesie!

Prezes. Będę służył. (Hrabia wychodzi, Prezes siada). Kilka słów tylko, Aronie, bo nie mam czasu. (przysuwa się). Aronie, tyś człowiek, jakich ja szacuję. Wiesz, jaka myśl mi przyszła? Możemy zrobić dobry interes. (przysuwa się). Daj rękę Aronie i działajmy w spółce.

Aron. (cofając rękę). Ja spółki nie lubię. Jak byłem biedny, to starałem się sam; a teraz, kiedym bogaty, to moje kapitały same się starają.

Prezes. Ja to wiem, kochany Aronie. I ja, dzięki Bogu, nie jestem ubogi.

Aron. A czego pan prezes chce?

Prezes. Jużci nie pożyczyć. Oto: chcę ci oddać w obrót trzykroć, które mam teraz pod ręką. Suma piękna!

Aron. Naco mi to? Ja mam swoje pieniądze.

Prezes. Widzisz, Aronie, ludzie wiedzą, że mam kapitały i lecą do mnie, szczególniej eks-panowie, których ja się boję, jak ognia.

Aron. Jest jeszcze wielu panów poczciwych i bogatych; czemu pan prezes im nie odda?

Prezes. Ci nie potrzebują, a choć potrzebują, widzisz, Aronie, stosunki obywatelskie. Jakoś to nieładnie wziąść od nich więcej, jak pięć od sta. (przysuwa się). A cóż to za procent, pięć? Wiesz co, Aronie? Weź moje trzykroć! Ty bierzesz po dwadzieścia, a mnie daj piętnaście. Zawsze pięć od sta masz w zysku za nic.

Aron. Jakto za nic? A zysk, a kłopot? — Naco mi to? Ja mam swoje pieniądze. Jeśli pan prezes chce, i to żeby panu prezesowi dogodzić, pięć procentów dam.

Prezes. (wstaje). To nie zrobimy interesu. Dziesięć dasz?

Aron. Pięć.

Prezes. Dziewięć dasz?

Aron. Pięć.

Prezes. Tyś żyd, Aronie!

Aron. (podnosi głowę). Ja żyd? — Nu, cóż to złego, że ja żyd, kiedym się urodził żydem? Ja żyd, bo nie chcę dać więcej, jak pięć od sta; a jak się nazywa ten, kto chce wziąść piętnaście? Żyd lubi pieniądze? Prawda, że on lubi pieniądze, bo żyd bez pieniędzy nie człowiek. Jeśli żyd ma milion, to jego każdy zna, każdy się ukłoni, to do niego i książę list napisze, i pan graf za rękę ściska, i jaśnie wielmożny pan powie: kochany Aronie, ja ciebie szacuję! Jeśli żyd nie ma pieniędzy, to on stoi za drzwiami, póki jego nie wypchną; biega cały dzień za złotówką po kolana w błocie; jego łają, jak psa, jego biją, jak psa, na niego plują, jak na psa plują. I zato, że on kocha pieniądze, bo musi kochać, to jego nazywać żydem? A jak nazywać takiego, co ma honory, co ma urzędy, co ma ziemię, któremu nikt nie śmie słowa powiedzieć, na którego nikt nie śmie palca zakrzywić, a przecie on kocha pieniądze więcej, jak brata i siostrę? Kiedy do mnie przychodzi bankrut i prosi pieniędzy, to ja nie mówię, że nie mam, a mówię, że nie dam — i ja żyd; a jak się nazywa ten, co mówi: jak Boga kocham, nie mam, a trzykroć oddaje żydowi na piętnasty procent? Niech pan prezes sobie idzie; ja z panem prezesem nie chcę mieć żadnego interesu. Ja żyd, a pan sobie jaśnie wielmożny pan.

Prezes. Ośm dasz?

Aron. Nie dam. (zaczyna czytać, kiwać się i mruczeć).

Prezes. I siedm nie dasz? (Aron nie odpowiada. Prezes do siebie): Szelma żyd, jak skała. (Wychodzi. Aron czyta. Po chwili wchodzi komornik).

Komornik. (we drzwiach). Nie przeszkodzę ci, panie Aronie?

Aron. Kto tam? Aj! aj! Co ja widzę? Pan komornik!

Komornik. (przystępuje). Jak się masz, panie Aronie? Dawnośmy się nie widzieli.

Aron. Kopa lat, kopa lat, panie komorniku! Nu, siądźże jegomość tu — ot tu koło mnie. (bierze jego rękę). A możnato było tak ze wszystkiem zapomnieć starego Arona? Patrz jegomość, co to się przez ten czas zrobiło!... I jegomość posiwiał, jak gołąb i u mnie broda już biała, jak mleko.

Komornik. Jak srebro, panie Aronie, którego masz pod dostatkiem.

Aron. Nu, chwalić Boga, jest dużo. Ale cóżto pana komornika do mnie sprowadza? Czy nie jaka bieda, Boże uchowaj?

Komornik. Bieda, panie Aronie i wielka bieda!

Aron. Aj, aj!

Komornik. Spaliłem się, panie Aronie!

Aron. Aj, aj!

Komornik. A co gorsza, obdarli mię, ocenili szkodę we troje i całą moją chudobę sprzedawać chcą z publicznej licytacyi.

Aron. Aj, aj, aj! Może panu komornikowi potrzeba pieniędzy?

Komornik. Panie Aronie, ze strachem szedłem do ciebie. Potrzeba dwanaście tysięcy. Weź w zakład skrypt prezesa, u którego mam piętnaście, ale mi ich nie chce oddać, bo termin dopiero za pięć miesięcy.

Aron. Nu, widzi pan komornik! Dlaczego pan komornik do niego chodził, a nie przyszedł prosto do mnie? Czy dla tego, że Aron teraz bogaty, to pan komornik myślał, że on zapomniał, jak był w nieszczęściu i że pan komornik jemu dobrze zrobił? To nieładnie, panie komorniku! Aron nie taki. Pan komornik pamięta, jak ja trzymałem wszystkie młyny u nieboszczyka podczaszego i kiedy mnie spaliły się młyny i tartaki na 60 tysięcy, to co pan komornik wtenczas zrobił?

Komornik. Wiedziałem, żeś akuratny, panie Aronie! Toby każdy zrobił na mojem miejscu, byle pan był tak szlachetny, jak nieboszczyk podczaszy.

Aron. Ni, panie komorniku! Tegoby drugi nie zrobił — dla żyda. A pan komornik za mnie się poręczył; a pan komornik

wyprosił u pana podczaszego, że mi rozłożył szkodę na trzy lata i spuścił z arendy dziesięć tysięcy, i pan komornik nie chciał odemnie wziąść ani grosza podarunku, i pan komornik myślał, że ja to wszystko zapomniał. Aj, aj! To nieładnie, panie komorniku.

Komornik. Darujże mi, Aronie i pomóż!

Aron. Nu, nie gniewam się. — Weź jegomość sobie ten skrypt nazad. Ja jegomości dam dwanaście tysięcy na prosty weksel. U mnie jegomości słowo więcej warte.

Komornik. Dziękuję ci, panie Aronie! — A jakiż procent naznaczysz?

Aron. At, co tam! Czy to wielka suma? — Dla jegomości ja naznaczam tylko ósmy procent.

Komornik. Przyjmuję, przyjmuję, panie Aronie! Tylko każ mi wypłacić zaraz, bo mi tam opieczętowali dom i biedna żona siedzi w pustym pokoju, nie ma kawałka chleba.

Aron. Aj, aj! Nu, wiesz jegomość co? Ja jegomości jeszcze jeden procent opuszczam.

Komornik. Dobry panie Aronie!

Aron. (wstaje). Chodź jegomość ze mną. Ja jegomości zaraz każę odliczyć asygnatami, żeby jegomości nieciężko było nosić. (zatrzymuje się przy drzwiach kantoru i bierze jego rękę). Panie komorniku, a pamiętasz jegomość, coś mi jegomość powiedział, kiedy ja przyszedłem prosić ratunku u jegomości w mojej biedzie?

Komornik. Doprawdy nie pamiętam, panie Aronie!

Aron. A widzisz jegomość, a ja pamiętam. Jegomość powiedział tak: Mnie ciebie żal, Aronie, boś ty poczciwy człowiek, choć ty żyd. Nu, otóż ja jegomości jeszcze pół procentu spuszczam. (wychodzą).

Z powieści p. t.: Krewni.

Dwaj synowie ubogiego szlachcica różnemi szli drogami: Eugeniusz wychowywał się w domu bogatego kasztelana, Ignacy po ukończeniu szkół publicznych aplikował w urzędzie i lekcyami u majstra stolarskiego zdobywał sobie środki do życia.

Jednego wieczora w połowie września Ignacy Zabużski udał się do majstra stolarskiego Hebla i objawił mu, że ma mu zrobić pewną propozycyę i prosi go, żeby go cierpliwie i przychylnie wysłuchał.

— No, pan Ignacy, powiadaj, coto masz za prośba — rzekł stolarz, gdy Ignaś się zawahał, zastanowił się i spuściwszy oczy, zaczął się namyślać, jakby żądanie i zamiar swój wyrazić.

— Jeszcze piętnasty niema, ale może pan Ignacy potrzebowałeś pieniędzy za naukę moich synów? To ja będę dawał zaraz. Czyto ze mną dla taka mała rzecz potrzebne ceremonie i takie gadanie z ogródka?

— Nie, panie Hebel, — odpowiedział Ignaś — pieniędzy mi teraz nie trzeba; tu o co innego chodzi.

— O cóż tedy chodził? Siądź pan Ignacy i powiadaj, jak przed dobry znajomy i przyjaciel — rzekł stolarz i przysunął krzesło młodemu człowiekowi, który usiadł i zdobywszy się na determinacyę, rzekł:

— Oto przyszedłem prosić cię, panie Hebel, abyś był łaskaw przyjąć mnie do swego warsztatu za ucznia i za terminatora.

Hebel porwał się z krzesła, założył obie ręce w kieszenie od spodni i nachylając się do Ignasia, wpół ze śmiechem, wpół seryo zawołał:

— Was Teufel, Pan Ignacy! Co panu do głowa przyszedł? Pan sobie żartowałeś ze mnie. Młodzieniec z taka edukacya, z taka nauka? Pfuj, das geht nicht!

— Nie żartuję, panie Hebel — odpowiedział Ignaś, spostrzegłszy ze smutkiem, że nawet na stolarzu złe zrobiło wrażenie wyjawienie tej myśli, którą pierwszy raz głośno wymówił, a z którą się od kilku tygodni nosił. Dodał więc stanowczo: — Owszem, mówię bardzo seryo i bardzo szczerze proszę pana, abyś mnie chciał wysłuchać.

— No, no, das ist was anders. Powiadaj, pan Ignacy, powiadaj. Będę słuchał z uwagą — rzekł Hebel, odlał fajeczkę — i wsparłszy łokieć na biurze i puszczając dymek, słuchał go z natężeniem i ciekawością. Ignaś rzekł:

— Nie wszyscy mogą i powinni iść taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas, kończących szkoły, daleko więcej, niźli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nieustępujących go nikomu. Stąd kierunek tak jest trudny i pomieszczanie się prawie niepodobne.

— No, to prawdę pan Ignacy powiedziałeś. I tu ja widzę rozsądku i zastanowienia — rzekł Hebel. Ignaś mówił dalej:

— Kiedy kto ma cierpliwość i możność czekania, kiedy ma fundusz taki, że próbuje tylko, czy się czego nie dosłuży, to inna rzecz. Bo jeżeli się nie dosłuży, to może nie żałować straconych lat, przez które zawsze się czegoś nauczył i może sobie wrócić do domu, gdzie znajduje utrzymanie, a czasem i dostatek. Inny znowu ma szczęście i ambicyę; służy więc, próbuje i wreszcie wykieruje się tym sposobem, bo jużci i tam znajdzie się miejsce dla cierpliwego i zdatnego, a służba jest pełna zaszczytu i użytku i warto na nią czekać, kiedy można.

— Ganz recht, ganz recht, pan Ignacy! I to powiedziałeś prawdę — rzekł Hebel.

— Ale ja nie mogę młodości mojej — mówił dalej Ignaś już śmielej — stracić na próbie, któraby mnie do niczego nie doprowadziła, bo i cierpliwszych, i zdatniejszych, i zamożniejszych jest przede mną bardzo wielu. Ja muszę i powinienem użyć tych lat, przeznaczonych na dobicie się czegoś, tak, abym miał chleb, abym miał w ręku przyszły mój los, abym był niezależnym i zawsze pewnym, że, gdziekolwiek się obrócę, pracą i pilnością zarobię sobie i na szacunek u ludzi i na opędzenie tych potrzeb, jakich życie wymaga. Otóż widzisz, panie Hebel, od dzieciństwa miałem skłonność do majstrowania różnych rzeczy. Kiedym był malcem, wyrabiałem nożykiem ładne krzesełka i kanapki i stoliczki. A teraz kiedym dojrzał, kiedym spróbował, że mnie siedzenie przy urzędowym stole nudzi i męczy, że tą drogą zwyczajną do niczego nie dojdę, kiedym się przekonał, że przy siłach, jakie mam, przy rozgarnieniu, jakiegom nabył, dawna skłonność nie opuściła mnie, że kunszt stolarski będzie dla mnie i prawdziwym kunsztem i zawodem, w którym znajdę chleb, utrzymanie i niezależność, przyszedłem prosić cię, panie Hebel, abyś mi do tego dopomógł, otworzył mi swój warsztat i swoją radą, nauką i życzliwością wyprowadził na człowieka.

Niemiec uśmiechał się z radości, gdy Ignaś mówił z ożywieniem i przekonaniem; a gdy skończył, podniósł się z krzesła, wyciągnął rękę do młodzieńca, który powstał także, i zawołał:

— No, pan Ignacy! To pan Ignacy pięknie o nasze rzemiosło powiedziałeś. To jest dobre i poczciwe rzemiosło, które na cały świat daje człowiekowi chleb i znaczenia. Z taka głowa i taka rozumna ochota wyjdziesz pan Ignacy prędko na doskonałego czeladnika, a potem zrobisz taki majstersztyk, jak ten, za który mnie dali trzydzieści dukatów, ale ja go nie sprzedam za sto,

bo on mi dawał reputacya i ręka moja kochana Rózia, i będziesz pan Ignacy majster na cała gęba. A jak ja żyć będę i wybieramy pan Ignacy na starszy zgromadzenia, to wtenczas będziemy wypić dobra butelka wina i będziemy podać sobie ręka na dozgonne przyjaźni i szacunku.

Hebel mówił z uczuciem, a Ignaś, wzruszony także tym wyrazem, jaki w twarzy uczciwego majstra widział, ściskając z wdzięcznością jego rękę, odpowiedział:

— Do tego to bardzo daleko, panie Hebel. Ale ja nie tracę nadziei, że przy pomocy i życzliwości pana, czas mojego terminowania nie będzie tak długi, jak zwyczajnego chłopca, który ani czytać, ani pisać nie umie. Wiem ja, że czeladzi pańskiej będzie to trochę niemiło, że może zakażesz jej, aby się ze mną nie tak obchodziła, jak z małymi się obchodzi. Chociaż ja potrafię sobie i ich względność zyskać, a kiedy inaczej być nie może, poddam się cierpliwie wszystkim zwyczajom warsztatu.

— Ej, pfuj! Tego nie będzie — rzekł Hebel — no, troszkę tam posłuszeństwo i grzeczności dla dobrych czeladników potrzebne, żeby ich to w oko nie kłuł, że się łamie zwyczaj i żeby każdy z ochota pokazał, co umie. Ale nie bój się, pan Ignacy, już ja w to będę się wdawał, żeby to nie był rzecz bardzo przykra.

— Serdecznie dziękuję panu, panie Hebel — mówił Ignaś — będę się starał, żeby i oni byli ze mnie kontenci i żebyś pan nie żałował tego, że mi dopomożesz do nauki i pokierowania się.

— Ale, mój pan Ignacy, jakże będzie z moje chłopcy? — zapytał zafrasowany trochę Niemiec. Czy pan będziesz ich opuszczałeś? Moja Rózia byłby bardzo z tego markotna, bo ona pan Ignacy bardzo szacowała i z jego nauka bardzo była kontentna.

— Właśnie chciałem zapytać, jakie będą warunki tej łaski, jaką mi pan wyświadczysz — rzekł Ignaś. — Płacić panu za naukę w czasie mego terminowania nie mam skąd. Ale, jeżeli pan pozwolisz, powiedziałbym, jakbyśmy ułożyć się mogli.

— Powiadaj pan Ignacy, powiadaj. Ja będę chętnie zgadzał — mówił Hebel, nachylając się z uwagą.

— Dzieci pańskich, panie Hebel — mówił młodzieniec — opuścić wcale nie myślę. Przywiązałem się do nich, bo to dobre chłopczyki i mam nadzieję, że się i oni do mnie przyzwyczaili.

— Oni pana, pan Ignacy, bardzo kochają — odpowiedział uspokojony stolarz.

— Owszem — mówił dalej Ignaś — będę mógł im teraz być pomocniejszym, gdyż położenie moje jest takie, że prosiłbym, abyś mnie pan całkiem do domu swego przyjął. Spać będę gdziekolwiek, to mi wszystko jedno, choćby w jakim kąciku na pablaczu warsztatowym.

— Pfuj, pfuj, das geht nicht! — mówił Hebel — Co pan Ignacy sobie pomyślałeś? Ja na to nie będę pozwalał i ulokuję pan Ignacy z moje chłopcy, jeżeli zechciałeś.

— I owszem, to mi będzie miło — odpowiedział Ignaś uspokojony — tem lepiej będę mógł ich dopatrzeć. I jeżeli pan pozwolisz, tak czas swój rozłożę. Od piątej do wpół do siódmej będę w warsztacie. Potem będę z chłopcami pańskimi, nim pójdą do szkoły. Potem znowu udam się do warsztatu i tam już pracować będę do piątej po obiedzie. Od piątej, tak jak i teraz, zajmę się z dziećmi pańskiemi do siódmej i dalej, w miarę potrzeby. Potem do dziewiątej chciałbym mieć chwilkę wolną. Czy pan się zgodzisz na taki rozkład?

— Jakby ja się nie zgodziłem, mój pan Ignacy — rzekł Hebel — na takie mądre pomyślenie? Ale co ja za to wszystko będę panu dawał?

— Dasz mi pan wiele — mówił Ignaś, powstając. — Dasz mi pan stancyę i stół, żebym już o tych najpierwszych potrzebach nie myślał, a w miejsce tych pieniędzy, jakieś mi dotąd płacił, dasz mi pozwolenie pracowania w twoim warsztacie i jeżeli szczerze i z serca będę uczył twe dzieci, szczerze i z serca pokażesz mnie swój kunszt, nie będziesz mnie zbyt długo trzymał w terminie i dopomożesz, żebym za lat parę mógł się wyzwolić i odpłacić ci potem za twoje nauki i obchodzenie się, jako uczciwy, pracowity i zdatny czeladnik.

Niemiec, wzruszony, powstał z krzesła, otworzył ramiona, przycisnął do piersi śmiałego i otwartego młodzieńca i, pocałowawszy go w głowę, zawołał:

— No, pan Ignacy! Ja tego nie spodziewałem się, żebym ja dzisiaj się rozpłakałem, jak baba. Dawaj mi pan swoja ręka. Nasza umowa skończona. Za dwa lata będziesz pan czeladnik, a potem za dwa lata będziesz majster, może najpierwszy z cała Warszawa. A jak będziemy obadwa żyli i Pan Bóg dopomoże, to ja znowu mój Frycunio oddam do terminu do pan Ignacy, a potem będziemy wybierali pan Ignacy na starszy naszego zgro-

madzenia i będziem wypić za zdrowie nasz uczciwy kunszt stolarski taka butelka wina, co będzie starsza, niż my obadwa razem.

Ignaś ścisnął rękę rozrzewnionego Niemca, który śmiał się i płakał razem, i oświadczywszy mu, że pojutrze dopiero przyjdzie o piątej do warsztatu, prosił go, aby mu utorował tę ciężką drogę i dobre wyjednał przyjęcie.

Bohater nasz, którego karyera tym sposobem zdecydowała się i inny zupełnie wzięła kierunek, pożegnał przyszłego swojego majstra i zwierzchnika, poszedł do ogrodu Krasińskich i tam w ustronnej alei chodził póty, póki go grzechotka stróża, mającego zamknąć ogród, nie wywołała. I różne wtedy przychodziły mu myśli. Zrobił on krok, który nosił na sobie piętno odwagi, a może i zuchwalstwa. Wypowiedział wojnę potężnym siłom, które kierują życiem zwyczajnych ludzi i na ubitych przez nałóg, modę i przesąd trzymają ich drogach. On, rodowity szlachcic, mający w imieniu swem ludzi możnych i wysoko w społeczności stojących, wyrzekał się honorów, tytułów, znaczenia i władzy, tych głównych elementów szlacheckich myśli i nadziei, do których mógłby dobić się z czasem i stanąć na równi z tymi, których nazwisko nosił. Z namysłu i przekonania rzucając tę zwykłą drogę, zniżał się do rzemiosła, nie dającego nic, prócz dobrego bytu i niezależności i mogącego mu zamknąć drzwi krewnych, którzy takim wyborem niewłaściwego rodowi ich stanu mogli się obrazić i uczuć się pokrzywdzonymi.

Nazajutrz, o godzinie piątej rano, wszedł Ignaś wesoły i spokojny do warsztatu pana Hebla. Najstarszy czeladnik, tak nazwany po naszych warszawskich warsztatach, gdzie cała nomenklatura jest niemiecka, Werkführer, a przekręconym przez czeladź młodszą i chłopców wyrazem Wekwir, przyjął go dość chmurnie i oficyalnie, inni zaś czeladnicy lub wcale na niego nie zważali, lub spoglądali z ukosa, lub, poświstując przy rozpoczynającej się robocie i ruchu warsztatowym, mówili wpół głośno: „obaczymy, czy tu panicz wytrzyma. Na djabła nam panicze, nam trzeba chłopców, nie paniczów uczonych i mądrych. Łacina tu nie pomoże“.

Takie i tym podobne szepty i rozmowy, przytem przebieganie mu poprzed nosem chłopców i chichotanie w oczy, zasępiły cokolwiek bohatera naszego i pokazały mu, że nie po różach przejdzie ten czas próby i nauki. Najwięcej go zastanowiło obejście się z nim kierującego warsztatem czeladnika, pana Antoniego

Adwentowicza, którego znał, który z nim dawniej wcale inaczej się obchodził, który go nawet nieraz chwalił i zręczność jego podziwiał, kiedy przez ciekawość zachodził do warsztatu, brał się do hebla i dłutem lub piłką manewrował. Nie zważając więc na przywitanie tak nieprzychylne reszty swych kolegów, przystąpił do Adwentowicza i rzekł mu grzecznie:

— Panie Adwentowicz, zapewne pan Hebel uprzedził pana, jako zawiadującego warsztatem, o moim zamiarze zostania tu uczniem stolarskim.

— Chłopcem, chłopcem, małym! — zawołało kilka głosów między czeladnikami, a malcy powtórzyli, śmiejąc się: — Małym, małym!

— Moje chłopczyki! — rzekł Ignaś do malców — Kto mały, to mały, a kto już wyrósł, to małym być nie może. Ale równie mały, jak i duży, kiedy nic nie umie i przychodzi uczyć się, nazywa się uczniem.

— Chłopcem, chłopcem! — powtórzyli czeladnicy.

— Dziękuję panom, że mnie oświecacie — rzekł Ignaś z postanowieniem nie stracenia zimnej krwi i przytomności umysłu — będę więc odtąd nazywał się chłopcem, jeżeli się panom tak spodoba i taki jest w warsztacie zwyczaj. Uczniem nazwałem się jedynie dlatego, że postanowienie księcia namiestnika z roku 1816 dla zgromadzeń rzemieślniczych nazywa uczniami tych, co się chcą uczyć rzemiosła.

Piękna jego postawa, zimna krew i grzeczność, wzięły górę nad nieokrzesaniem i chęcią widoczną odstręczenia ukształconego młodzieńca od zawodu, gdzie trzeba było tylko zręczności i czasu. Prawie wszyscy więc umilkli, a jeden z czeladzi szepnął do drugiego:

— Mądra bestya!

— Dajcie pokój, to jakiś tęgi chłopak. Nie będzie nam z nim źle — odpowiedział drugi głośniej i wszyscy łaskawiej na niego spoglądać zaczęli. Ale najstarszy milczał i swoje robił. Był to człowiek już niemłody, słuszny, barczysty, z dużymi wąsami, które mu dodawały powagi i twarz jego przystojną zdobiły. Miał na sobie czystą i dość cienką koszulę, popielaty fartuch z napierśnikiem okrywał całą przednią część ciała i spadał niżej kolan, a rękawy koszuli, zagarnięte ku łokciom, okazywały ręce silne, żylaste i od pracy tak w muskularnej swej części wydatne, że mogłyby służyć za model dla snycerza, gdyby chciał rękę gladyatora urobić. Ignaś zwrócił się znowu do niego i rzekł:

— Jakże, panie Adwentowicz, czy pan Hebel nic panu o mnie nie mówił?

— Najsamprzód — odpowiedział gburowato starszy czeladnik, robiąc swoje i nie patrząc na młodego człowieka — trzeba, żebyś aspan wiedział, że skoro tu przyszedłeś, jako uczeń stolarski, to już tu dla aspana niema ani pana Adwentowicza, ani pana Hebla, ale jest pan Werkführer i jest pan majster. Zrozumiałeś mnie aspan?

Wszyscy zaśmiali się głośno, a szczególnie małe chłopaki zachichotali, klaszcząc w ręce, a jeden z tygielkiem, pełnym kleju, przebiegając mu przed nosem, nastąpił na nogę. Ignaś usunął się spokojnie i odpowiedział:

— Zrozumiałem, panie Werkführer; i teraz zapytuję pana, czy pan majster dał panu jakie względem mnie polecenie?

— A jeżeli dał, to co? — zapytał, zawsze zajęty robotą swoją, Adwentowicz.

— To proszę mi rozkazać, co mam robić — odpowiedział Ignaś, którego słusznie moglibyśmy nazwać teraz bohaterem naszym.

— Niech panu Dylewiczowi buty wyczyści — zawołał jeden z chłopaków.

— Niech biegnie po frisztyk dla pana Fryca — mówił drugi.

— Niech wody przyniesie do warsztatu — odezwał się trzeci.

— Milczeć, smarkacze! — krzyknął zawiadowca, i obracając się do nowicyusza, któremu trochę krew szlachecka zaczynała bić do głowy, dodał: — rozkazuję aspanu najpierw, żebyś zdjął ten surducik paniczowski, bo on się tu nie zda, a przywdział oto ten fartuch, który ci pani majstrowa przysłała, za co pójdziesz potem i podziękujesz jej. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem i wykonam — odpowiedział Ignaś, zrzucił surdut i przywdział fartuch popielaty nowy i ładny, na co inni kiwali głowali i szeptali sobie po cichu.

— Po drugie — mówił dalej Adwentowicz — ten kapelusz i laseczkę sprzedaj sobie, albo daruj komu, albo sobie schowaj, jak się za parę lat wyzwolisz, jeżeli nie wyjdzie z mody. A teraz kup sobie aspan czapeczkę i w niej chodź. Bo jak cię kto zobaczy w kapeluszu, a szczególniej z laską, to jak przyjdzie do Ferglajchu na gospodzie, to wtenczas nie laska będzie w robocie, ale co innego. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem, panie Werkführer! — powiedział Ignaś — jutro będę miał czapkę, a z laską mnie nikt nie zobaczy.

— Po trzecie — mówił dalej Werkführer, kontynuując swoje zajęcie — niedość jest mieć czapkę, ale trzeba jeszcze, żeby pod tą czapką nie było wróblów. Zrozumiałeś aspan?

— Niegrzecznym nigdy nie byłem dla nikogo — odpowiedział Ignaś.

— Pokornym być trzeba i uległym, nie tylko grzecznym — mówił Adwentowicz. W warsztacie słuchać, co każą, na ulicy każdemu starszemu się ukłonić. A starszym teraz dla aspana jest pan majster, pani majstrowa i każdy z towarzyszów, to jest z czeladzi ferglajchowanych, nie tylko tutejszych, ale i z innych warsztatów, jak ich poznasz. Bo jak przyjdzie do Ferglajchu, a zajdzie skarga za hardość, za nieposłuszeństwo, za jaką kłótnię, to znowu będzie robota.

Chłopców cieszyło to niezmiernie i pokazywali gestami, jaka to będzie robota, a Ignasia te morały i powaga, z jaką mu były dawane, zaczynały już zajmować i bawić. Nie pokazał jednak tego po sobie, ale zachowawszy minę skromną i pokorną, uchylił głowę na znak, że pojął i zapamięta.

— Po czwarte — mówił dalej Adwentowicz — fajki palić nie wolno tu w warsztacie, ani mnie nawet, ani panu majstrowi. Gdzieindziej wolno jest palić, ale dopiero po Ferglajchu. Uczeń czyli chłopiec, jeśli spostrzeżonym będzie z fajką i oskarżą go, że palił, to palą go za to w gospodzie. Zrozumiałeś aspan?

— Przepis ten tem łatwiej mi będzie wykonać — rzekł Ignaś z uśmiechem — że nigdy tej skłonności nie miałem i nałogu tego nie zaciągnąłem.

— Tem lepiej dla aspana — rzekł seryo Adwentowicz. —

— Po piąte, cokolwiek się tu robi w warsztacie, to wolno aspanu widzieć i kiedyś mądrzejszy od innych, myśleć sobie, co ci się podoba ; ale uwag starszym robić nie wolno, bo to hardość ; wynosić sekretów z warsztatu także nie wolno, tak jak i ze szkoły, gdzie aspan tyle lat byłeś i musiałeś się nauczyć, co i my wiemy, że, żeby cię pieczono i smażono w smole...

— Nie powiadaj, co się dzieje w szkole — krzyknął cienkim głosem jeden malec, a inni chichotać zaczęli.

Adwentowicz zawołał chłopca do siebie, pokręcił go za ucho tak, że się aż rozpłakał, i, patrząc groźnie na innych, dodał :

— A starszemu, błaźnie, nie przerywaj, kiedy mówi. To także nauka.

Malec poszedł w kąt, szlochając, inni umilkli i wzięli się do roboty, a surowy zawiadowca, obróciwszy się do młodego człowieka, który pokonywał, jak mógł, przykre wrażenie, którego doznał, mówił dalej:

— Otóż, jak ze szkoły, tak z warsztatu nic wynieść nie wolno i plotek nie robić ani przed majstrem, ani przed majstrową, ani przed ich dziećmi, ani przed nikim. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem i to, i zajmę się tylko tem, co się mnie tyczyć będzie — odpowiedział Ignaś.

— To i dobrze — odpowiedział Adwentowicz — zajmiesz się aspan tem, co ci każą. A teraz rozpatrz się w warsztacie i staraj się go poznać cokolwiek, żebym jutro nie musiał gadać trzy razy i żebyś mnie zrozumiał, jeżeli o co zawołam.

I to powiedziawszy, odwrócił się i zaczął obchodzić stoły warsztatowe, przypatrując się pilnie robocie innej czeladzi i wydając jej dyspozycye. Ignaś tymczasem przypatrywał się pilnie temu nowemu miejscu swojej działalności, które znał powierzchownie, a które teraz w najdrobniejszych szczegółach poznać był obowiązany.

Pomimo tych przykrości, doznał tego dnia pewnego wynagrodzenia, posunąwszy się cokolwiek w znajomościach w powołaniu jego najistotniejszych. Skoro bowiem młody człowiek przywdział fartuch, pan Adwentowicz, nachmurzywszy czoło gorzej, niż zwykle, rzekł:

— A pójdź-no aspan tu.

— Co pan Werkführer każe? — zapytał Ignaś, przystępując do milczącego przez chwilę starszego czeladnika.

— Co każę, to aspan zaraz usłyszysz, tylko nie dopytuj się, bo tego nie lubię — odpowiedział mu ostro, a wszyscy spoglądali, uśmiechając się i oczekując, co z tego będzie. Zawiadujący warsztatem otworzył szufladkę swego stolika, który jemu tylko jednemu służył, wyjął z niej listę narzędzi, znajdujących się w jego szafie i dodał: — powyjmuj wszystkie naczynia z mojej szafy i poustawiaj tak, jak idą po sobie na tym oto próżnym stole. Wyczyść mi aspan szafę dobrze z kurzawy i poustawiaj mi narzędzia na miejsce w takim porządku, jak tu napisano, opatrzywszy wprzód każde dobrze. Jeżeli które zardzewiałe albo gdzie nadpsute, to masz ołówek i w regestrze położysz tam krzyżyk albo inny jaki znak. Zrozumiałeś mnie aspan?

— Zrozumiałem, tylko...

— Tylko co? — przerwał mu surowo Adwentowicz, a inni parsknęli głośnym śmiechem.

— Nie wiem, czy trafię, jak się które narzędzie nazywa — rzekł Ignaś czerwieniąc się.

— A oczy od czego? — rzekł wąsaty Werkführer — W szkołach aspan byłeś, czytać zapewne umiesz i na numerach się znasz.

To powiedziawszy, odwrócił się, ale Ignaś nie dostrzegł, że się uśmiechnął pod wąsem.

Wziął się Ignaś z obawą do tej roboty, pewny, iż umyślnie dana była mu na to, aby pokazać całą trudność zawodu, do którego, zaufany w swem usposobieniu i wrodzonej skłonności, wziął się za późno, i żeby go narazić na śmiech tych, co, choć od niego młodsi i mniej uczeni, więcej umieją i lepiejby się z danego polecenia wywiązali. Ale gdy jedno i drugie narzędzie wyjął i dobrze mu się przypatrzył, spostrzegł, że na każdem z nich był numer, odpowiadający numerowi spisu. To spostrzeżenie ośmieliło młodego człowieka i zrobiło go panem zajęcia, które mu polecono. Do godziny piątej pracując bez przerwy, przypatrując się pilnie każdemu naczyniu, porównywując numer jego z numerem regestru, nie tylko, że się nie splątał, ale, oczyściwszy szafę, każdą rzecz na powrót na swojem miejscu postawił, obeznał się znacznie z tym arsenałem stolarskim i niemal połowę tej śmiesznej i utrudzającej niepotrzebnie polskiemu robotnikowi zawód jego nomenklatury, zapamiętał.

— Skończyłem już, panie Werkführer — rzekł Ignaś, gdy uderzyła godzina piąta. Teraz pójdę na korepetycyę do dzieci pana majstra.

— A to idź aspan — odpowiedział z powagą starszy czeladnik, a fartuch złóż na stole moim. A podziękowałeś pani majstrowej?

— Nie zapomniałem o tem — odpowiedział młody człowiek i odziawszy się i wziąwszy kapelusz i laseczkę, ukłonił się grzecznie starszemu i tym z panów czeladzi, którzy byli bliżsi i na niego patrzyli i wyszedł. Gdy drzwi zamknął, Adwentowicz rzucił okiem na swoją szafę, w doskonałym znajdującą się porządku i, znowu się nieznacznie uśmiechnąwszy, poszedł do stołów terminatorów, rozmaite im dając rozkazy; a czeladnicy inni i chłopcy zeszli się koło szafy Werkführera, przypatrywali się robocie nowego ucznia i, kiwając głowami, mówili:

— Oho! Prędko bestya da sobie radę, nie bójcie się.

— Jakoż na drugi dzień przyjęli go obojętnie i z niechęcią, ale bez tych przekąsów i śmieszków, które wczoraj tak heroicznie wytrzymał. Adwentowicz, równie nachmurzony, jak dnia poprzedniego, przywołał go do siebie i rzekł:

— Pomięszałeś mi tam aspan naczynia i nie wszystko tak ustawiłeś, jak trzeba. Nie wszystkie także oznaczyłeś tępe, zardzewiałe i nadpsute. Wyłóż jeszcze raz i przypatrz się lepiej — i rzucił mu regestr i klucz od szafy i odszedł.

Ignaś niebardzo był niekontent z tego rozkazu, dającego mu sposobność lepszego jeszcze obeznania się z tem, co było najistotniejszem. A choć mu się wydawało, że szafa jest w porządku, i że polecenie to dane mu było jedynie w chęci pokazania wyższości i znudzenia go jednostajnem zajęciem, wziął się jednak do roboty z ochotą i taką uwagą, aby mógł jak najwięcej skorzystać. Gdy więc wyłożył znów na stół wszystko w porządku i starał się wbić sobie w pamięć owe stameizy, uhrfedry, knyple, cyklingi, cyklingstale, rozmaitej formy i wielkości fejle, görmassy, schnejdmassy, richtholze i t. d., na których poznaniu i nauczeniu się jako tako ich nazwisk zwyczajni chłopcy rok i dwa niepotrzebnie trawią, spostrzegł, że o kwadrans na siódmą pan Adwentowicz stanął na środku warsztatu i zdjąwszy czapeczkę i trzymając ją w górze w prawej ręce, krzyknął na cały głos: Früsztick! Wtedy wszyscy chłopcy i młodsi terminatorowie, rzuciwszy każdy swoją robotę, wypadli do drzwi i w kilka minut ten temu, ten owemu czeladnikowi przyniósł śniadanie. Gdy Ignaś na to hasło nie ruszał się z miejsca i swoje robił, jeden z czeladników, pracujących przy warsztacie najbliższym, przystąpił do niego z hardą miną, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— He, paniczu! Nie słyszałeś? Idź mi po śniadanie!

Bohater nasz porwał się z miejsca zaczerwieniony i byłby zapewne wyszedł z cierpliwości; ale w tej chwili Adwentowicz odezwał się surowo:

— Panie Batogowski! Widzisz pan, że chłopak zatrudniony z mojego rozkazu i zaraz pójdzie do dzieci pana majstra.

Te słowa i mina Werkführera zwróciły czeladnika na swoje miejsce, a młodemu człowiekowi, który uczuł, jak trudnem jest jego położenie, dały czas do pomiarkowania się i ochłodzenia szlacheckiej i upokorzonej piersi.

Gdy się czas śniadania rzemieślników kończył, wtedy znowu Werkführer stanął na środku sali, zdjął czapkę i krzyknął: Aus!

I chłopcy rzucili się do sprzątania resztek jadła, czeladnicy stanęli każdy przy swoim warsztacie i wszystko do dawnego wróciło porządku.

Po obiedzie, gdy szafa już była uporządkowana, rzekł Adwentowicz do Ignasia, który z jego rozkazu heblował schrubhublem daną sobie deskę:

— Chodź-no aspan tu. Oto masz klucz do tej wielkiej szafy. Przynieś mi stamtąd dwie cyklingi, fejlę półokrągłą, sznycer, dwa gradhuble i jeden lochbeutel. Czekaj aspan. Powtórz, czego żądam.

Ignaś wziął klucz i powtórzył.

— No, dobrze, ruszaj-że aspan teraz i nie guzdraj się, bo mi pilno — dodał Adwentowicz i znowu się uśmiechnął nieznacznie, gdy się Ignaś odwrócił i gdy inni, którzy rozkaz słyszeli, patrzyli ciekawie, jak też się sprawi.

W kilka minut żądane narzędzia złożone były na stoliku Werkführera, który je obejrzał i dodał: No, dobrze. Wyjm-że teraz aspan z mojej szafy takie same, zanieś je tam i schowaj, a te połóż tu na ich miejsce.

I znowu zaczęły się gadania, ale już cichsze między czeladzią, a ten i ów mówił do sąsiada:

— Sprytna kanalia, paniczyk! Jak on to prędko zmiarkował. Takie było postępowanie Werkführera względem bohatera naszego: surowe, groźne prawie i nieubłagane. Ale przynosiło mu tę korzyść, że inni, widząc, jak się z nim obchodzi starszy czeladnik, jak obojętnie traktuje go majster, który wiele razy wszedł do warsztatu, żadnej na niego nie zwracał uwagi, sami złagodnieli względem młodzieńca, którego każdy z nich w duszy uznawał od siebie wyższym moralnie i umysłowo, prawie go żałowali, a ten i ów chętnie pomagać mu i w naznaczonej robocie radzić i oświecać go zaczął. Trwało to długo; Adwentowicz zaś, nie spuszczając ani na włos z groźnego i imponującego tonu, dawał mu coraz inne, coraz trudniejsze zajęcia, ale zawsze takie, które go wtajemniczały w sekreta kunsztu, wykazywały jego wyższą pojętność i usposobienie, i jednały mu względność i szacunek współpracujących.

Półtora roku upłynęło. Ignaś pracował ciągle, termin jego kończył się i zbliżało się wyzwolenie. W warsztacie miał szacunek kolegów i przywiązanie Adwentowicza i Hebla, który widział, jak użytecznym jest jego zakładowi młody człowiek z głową,

z gustem, z pojętnością, przez którą wszystkie sekreta rzemiosła przeniknął, w niektórych rzeczach na nowe nawet wpadł kombinacye, a akuratnością i obyczajami stał się wzorem i przykładem dla swoich współpracowników.

Zbliżył się czas wyzwolenia Ignasia. Przed przybyciem jeszcze brata, na mocy 49 § Ustawy rzemieślniczej odbył się jego egzamin przed Urzędem Starszych, w którym jeszcze stary Drylius prezydował. Hebel, który ucznia swego tak wysoko cenił, że mu już przed wyzwoleniem pensyę naznaczył i najtrudniejsze roboty powierzał, przedstawił go na sesyi i postępowaniu jego, pilności i nabytej biegłości w kunszcie swym najchlubniejsze dał świadectwo. Ponieważ zaś w warunkach skróconego terminu było, aby wobec delegowanych zrobił rysunek sztuki czeladniczej, jaką miał wykonać, zadano mu więc do wyrobienia kanapkę na dwie osoby, z ładnemi wyrzynaniami, ale taką, żeby elegancyę łączyła z wygodą. Hebel uśmiechnął się, że rzecz tak drobną tak biegłemu naznaczają robotnikowi, a gdy się inne czynności sesyi odbywały, Ignaś usiadł przy osobnym stoliku i rysunek swój najprzód ołówkiem, a potem piórem delikatnie i czysto wykończył. Połączył on ze sobą dwa wygodne krzesła, związaniem swem tak nieznacznie ku środkowi nagięte, że osoby siedzące mimowolnie ku sobie zwrócone być musiały i tym sposobem, opierając się wygodnie i nie wykręcając się, rozmawiać ze sobą mogły. Plecy obu krzeseł miały formę linii krzywej, zgrabnie ku dołowi nagiętej, z wyrzynaniem u góry i z brzegami w dziewięć małych łuków wygiętymi. W wiązaniu, łączącem dwa krzesła, znacznie niższem od pleców, był przymocowany zgrabny i w rysunku brzegów całości odpowiadający stoliczek, na którym rozmawiający mogli stawiać filiżanki, kłaść książki i gazety, a w tym ostatnim razie, gdyby się zajmowali czytaniem wieczorem, mieli do tejże ściany przymocowane dwa zgrabne lichtarze tak, że każdy mógł się osobną dla siebie świecą posługiwać. Kozetka ta nie była przeznaczona na przysuwanie jej do ściany, owszem tylna jej część tak była wyrobiona, że mogła stać na środku pokoju i każde tak zwane etablissement ozdobić. Wysłanie jej i wypikowanie w pasy, odpowiadające zębom plecków, dawało jej pozór dwóch rozwartych muszli, w których żadnej linii nie było prostej, żadnego ostrego kąta, ale wszystkie zagięcia odpowiadały większym lub mniejszym łukom eliptycznym. Pod spodem Ignaś dał każdej części wymiary, oznaczył wielkość każdego łuku i w krótkości

opisał, z jakiego ma być drzewa i jaką materyą, odpowiednio do koloru i blasku politury, powinna być pokrytą, aby się lepiej wydała.

Po przedstawieniu rysunku, członkowie zgromadzenia przypatrywali mu się kolejno, a ten i ów kiwał głową, to dziwiąc się zgrabności mebla, dokładności rysunku, to wątpiąc, czy to wykonać zdoła tak, jak narysował. Wtedy Drylius, który widocznie bohaterowi naszemu sprzyjał, uprzejmie na niego spojrzawszy, rzekł:

— Bardzo ładne, ale bardzo trudne. Panie Hebel, chodźno obacz.

Hebel, obejrzawszy, uśmiechnął się i kładąc rysunek na stole, rzekł: Pan Zabużski pokazał tu, że moja nauka nie poszedł w las. Trudne sobie on zadawał pensum, ale ja zaręczyłem prześwietne zgromadzenie starszych, że będzie je wykonywał sam i nikogo do tej roboty nie dotknie się. A choć to będzie dużo kosztował taki śliczny mebel, którego ja nieprędko będę sprzedawałem, ale już ja będę dostarczyć pan Zabużski wszelkiego materyału, żeby to był ein majsterwerk, jaki obaczywszy, każdy będzie oddawał sprawiedliwość i nauczyciela i ucznia.

Po tej przemowie, przy której Hebel aż się zarumienił, tak rad był temu podziwieniu, które niektórzy z majstrów okazali, zaczęto Ignasia egzaminować, jak każdą rzecz wykona i jakim sposobem wyjdzie z wielu trudności, które sobie sam zadał. Młodzieniec ze skromnością, ale z precyzyą odpowiedział na wszystkie zarzuty, okazawszy przez to postępy swe w rzemiośle i gdy się ten ustny egzamin skończył, Drylius dodał:

— Z religii, czytania i pisania, jak chce 49 § Ustawy naszej, niema co takiego ucznia egzaminować. Aprobujemy więc rysunek i niech ci Pan Bóg poszczęści, abyś go tak wykonał, jak pomyślałeś.

Więcej, niż dwa miesiące, przy innych zajęciach obowiązkowych, pracował Ignaś nad tem dziełem, które go między celniejszymi czeladnikami miasta postawić miało. W ciągu tej roboty zapraszał nieraz Hebel delegowanych, aby widzieli, że nikt mu nie pomaga. Sam Drylius nawet parę razy zastawał go przy robocie i uprzejmie zachęcał.

Gdy kanapka była już całkiem skończona i stała w pokoju Hebla obok tego majstersztyku, za który „ręka swoja kochana Rózia“ otrzymał i na który zawsze wdzięcznem okiem spoglądał,

przywiązany i pyszniący się takim uczniem Niemiec zaprosił cały urząd Starszych, wraz z delegowanymi i komisarzem municypalnym, i tu im dokonaną robotę zaprezentował. Obejrzawszy ją we wszystkich szczegółach, nie tylko przyznali, że jest dostateczną, ale jednogłośnie oświadczyli, że zasługuje na pochwałę i gdyby przyszło do wystawy przemysłowej, a do tej pory sprzedaną nie była, że publicznie z nazwiskiem robotnika okazaną być może.

Wtedy Hebel, ucieszony zdaniem kolegów, zawołać kazał Ignasia; a gdy mu wszyscy winszowali, wziął się do butelek, których kilka przy szeregu kielichów stało na stole. Spełniono więc zdrowie Urzędu Starszych, potem zdrowie wszystkich majstrów i zdrowie wszystkiej dobrej i uczciwej czeladzi, a nareszcie zdrowie Ignasia. Wszyscy wychylili duszkiem ten toast i podawali rękę nowemu adeptowi kunsztu stolarskiego, który im uprzejmie dziękował. Rozochocony Hebel dodawał wina, a komisarz municypalny polskim obyczajem zaproponował oddzielnie zdrowie Dryliusa, Drylius potem zdrowie komisarza, podstarszego, delegowanych. Gdy Hebel sobie podpił, co mu się rzadko zdarzało, nalawszy jeszcze jedną kolej, rzekł:

— Moi mili panowie! Jeszcze ja będę coś powiedziałem. Oto będziemy jeszcze wypić zu Ehren ta śliczna kanapka, który nic na tem nie stracił, choć tu stoi koło tego majstersztyk, który ja sam wykonywałem, który mnie dawał patentu i ręka moja najmilsza Rózia, i przez który Pan Bóg dawał mi moje miłe dziatki, mój żwawy Wilhelmek i mój kochany Frycunio, który ty, panie Ignacy, pokochałeś i uczyłeś, i za co ja z wdzięczności serca mego — tu Hebel rozpłakał się i nie mogąc skończyć przemowy, postawił kielich, objął szyję Ignasia i całować go zaczął. Gdy się uspokoił, śmiejąc się i ocierając spłakane policzki, dodał: Ten głupi łez nie dawał dokończyć mi moja przemowa. Aber schad' nichts. Ten łzy lepszy, niż słowo i pan Ignacy zrozumiałeś to lepiej, jak ja ciebie kochałem i jak ucieszyłem się, że już swojego terminu skończyłeś.

Po wychyleniu tego ostatniego wiwatu i wzajemnych uściskach wszyscy rozchodzić się zaczęli, a na sesyi, która w kilka dni potem nastąpiła, Ignaś mianowany został czeladnikiem. Złożywszy więc 30 złotych polskich do skrzynki rzemieślniczej, zapisany był do księgi Zgromadzenia i otrzymał książeczkę i list wyzwolenia, opatrzony pieczęcią i podpisem urzędu. Samo przez się rozumie się,

że nowy czeladnik, który z obowiązku powinien był 14 dni, t. j. fercentag u swojego majstra przesłużyć darmo lub za dowolną z jego strony opłatą, zrobił z nim zaraz korzystną umowę i na dalszy czas w warsztacie jego zostać zobowiązał się.

HENRYK RZEWUSKI (1791—1866[1]).

Listopad osobno i w całości czyta się w klasie VI.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI (1812—1887[2]).

DISCE.

(FRAGMENT).

Dante mnie wiódł do niego.

Mrok naprzód gęsty, potem ogarnęły nas ciemności. Staliśmy na jakimś skraju ziemi — krok dalej była przepaść — mnie nogi więzły do skały. Wlepiłem oczy w czarną zasłonę nocy, którą mi wskazywał poeta... Lecz nie widziałem nic jeszcze... Z ciemnego tego tła, w którego głębinach seciny tysięcy lat utonęły

[1]) Wykształcił się w domu rodzinnym, potem w Petersburgu i Krakowie. Pisać zaczął dzięki zachęcie Mickiewicza obrazki szlacheckie na tle dziejów konfederacyi Barskiej, wydane w 1839 pod tytułem *Pamiątki JPana Soplicy*. Powodzenie *Pamiątek* skłoniło do utworzenia *Listopada* (1845), za którym poszły: *Zamek krakowski*, *Adam Śmigielski*, *Rycerz Lizdejko*, *Zaporożec*. Był też autorem *Mieszanin obyczajowych Jarosza Bejły i Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego*.

[2]) Kształcił się w uniwersytecie wileńskim. Wcześnie zaczął pisać jeszcze we Wilnie, potem na wsi w Gródku, Omelnie, następnie w Żytomierzu — a mianowicie w trzech kierunkach. O przeszłości epos: *Anatielas*; powieści: *Zygmuntowskie czasy*, *Kościół Sto Michalski*, *Sfinx* (1847). O ludzie: *Historya Sawki*, *Ulana*, *Ostap Bondarczuk*, *Budnik* (1848) *Jaryna*, *Ładowa Pieczara*, *Chata za wsią* (1854). O sferach średniej i wyższej: *Latarnia czarnoksięska*, *Pamiętniki nieznajomego*, *Poeta i świat* (1848), *Komedyanci*, *Interesa familijne*, *Dwa światy* (1855), *Choroby wieku*, *Metamorfozy*, *Jasełka*, *Boża czeladka*, *Powieść bez tytułu* (1854). Pod pseudonimem Bolesławity ogłosił: *Dziecię starego miasta*, *Żyd* (1868)ł *Para czerwona*, *My i oni*, *Rachunki*, *Szpieg*. Już w Dreźnie napisał: *Morituri* (1873) i *Resurrecturi* (1875). Powieść historyczna obejmowała: 1) Czasy saskie: *Hrabina Cosel*, *Brühl* (1874), *Z siedmioletniej wojny* (1875), *Starosta warszawski*, *Grzechy hetmańskie*, *Skrypt Fleminga*, *Na bialskim zamku* i t. d. 2) Czasy Stanisławowskie: *Macocha*, *Warszawa w* 1794, *Król i Bondarywna*, *Barani kożuszek*, *Ostatnie chwile ks. Panie kochanku*, *Boża opieka* itd. 3) Cykl od początku dziejów: *Stara Baśń* (1876), *Lubonie*, *Bracia Zmartwychwstańcy*, *Masław*, *Boleszczyce*, *Synowie królewscy*, *Petrko Włast*, *Stach z Konar* i t. d.

W 1879 w październiku obchodził jubileusz w Krakowie.

i znikły — zwolna przed oczyma mojemi począł się wynurzać szereg postaci w koronach, z berłami w dłoni. Na ramionach jednych siedziały orły ze skrzydłami opuszczonemi, u boku innych stały lwy z paszczęką krwawą; pod stopami jednego leżał smok, włócznią przebity.

Z tych cieniów ostatni, w głębi stojący, zanurzony był napół w mrokach i ledwie dojrzeć się dawał, — najbliższy leżał na ziemi w rozdartym płaszczu, z obnażoną głową. Trup to był jeszcze za żywota...

W tym świecie przeszłości prawa wzroku na opak były zmienione. Najdalsi, w mroku stojący, wydawali się olbrzymami, dalej zmniejszały się cienie, najbliżsi karłów mieli rozmiary.

Niektórzy naprężali się, aby swoich poprzedników dorosnąć — napróżno — do łątek byli podobni.

Oblicza zamglone, dalekie, na krańcach rycerskie, były poważne, majestatem odziane. Szły po nich dumne, aż w końcu bezwstydne, zmęczone. Ostatni — trup leżący na ziemi, zamiast oręża i berła, trzymał chusteczkę batystową podartą, którą łzy niewieście ocierać musiał.

W tym długim cieniów łańcuchu szukałem jednego tylko. Pomiędzy Francuzem, w którym czuć było pół Włocha, z piórkiem nad czołem i kolczykami brylantowymi w uszach — a Szwedem, w którym kropla krwi Jagiełłów płynęła, ujrzałem go... Stał odosobniony, oparty na krzywej szabli, w kołpaku z piórem zamiast korony, odziany pancerzem żelaznym, okryty płaszczem zszarzanym w bojach. Twarz miał bladą i ogorzałą, płeć ciemną, włos czarny. Tuż za nim z głową do góry, z brwią ściągniętą, oparty na hetmańskiej buławie, z księgą pod pachą — stał, jak na straży, mąż rozumnego oblicza.

Czy hetman był królem? czy król hetmanem tylko? nie podobna było rozeznać, ani na jednego patrząc, nie widzieć drugiego. Zrosłymi z sobą być się zdawali.

W tym cieniów świecie milczącym myśl nie potrzebuje głosu, aby na jego skrzydłach uleciała; niewidoma przebywa mil tysiące i dostaje się tam, dokąd je wola posłała.

Widziałem, jak się zmarszczył, czując, że myśl czyjaś nad nim ulatywała.

Dźwięczało w niej wiekopomne: — Disce puer!

Ściągała mu się brew i falowało czoło, szukając w pamięci tego ubogiego chłopięcia, które spotkawszy idące do szkoły,

uginające się pod ciężarem dźwiganej księgi — obdarzył nieśmiertelnem słowem.

Na obłoku, nad głową jego, zarysował się obrazek...

Był dzień jesienny, słotny i zimny. Szare chmury goniły się na niebie zamglonem. W ulicach Wilna świeciły błotniste kałuże. On i hetman wracali pieszo z tej góry, na której urwisku stanąć miała wieża grobowa dla Bekiesza, bo dla kacerza na cmentarzu miejsca nie było.

Wróg, współzawodnik, przyjaciel od serca potem, Bekiesz miał tu pomnik otrzymać z ręki Stefana.

Król szedł smutny — Zamojski zadumany o ludzkich losach.

Przed nimi na pustym placyku nie było nikogo, krom chłopięcia, idącego do szkoły. Był to pauper z miseczką drewnianą u pasa w połatanym kubraczku, w skórzniach, sznurkami pościąganych, w czapeczce starej z uszami. Twarz miał bladą, policzki wpadłe, ale w oczach jakąś gorączkę i męstwo.

Ciężka, ogromna księga, w drzewo oprawna, z mosiężnemi klamrami, spoczywała na słabem ramieniu, ale ją dźwigał dumnie a śmiało, choć mu pot lał się z czoła.

Stanął król i usta mu się otwarły, z poza warg uśmiechniętych wilcze białe zęby błysnęły. Czekał. Gdy chłopię się zbliżyło, uderzył je po ramieniu. Pauper podniósł ciekawe, ale nieulękłe oczy.

— Disce, puer — odezwał się król — faciam te Mości Panie!...

Zamojski szepnął dziecku:

— To król.

Chłopak zwolna poprawił księgę, zsuwającą się z ramienia i zdjął czapczynę, a król powtórzył mu: Disce, puer.

Siłą tego słowa dzieciak później urósł na dostojnika kościoła, ale naród, który je słyszał, nie wziął do serca.

— Nie wiem, czy ten, komum rzekł: Disce, zrozumiał mnie w tej chwili... — począł mówić cień — ale zrozumiał słowo. Naród je słyszał także, ale nie zrozumiał nigdy.

Przyszedłem do niego więcej jako nauczyciel, niż jako żołnierz i obrońca, a powtarzałem od pierwszej chwili, gdym stopą dotknął tej ziemi, aż do ostatniej, gdym konał z gorzką myślą, że mnie struto — jedno tylko: Disce.

Światła potrzeba było wszędzie, a ja je niosłem, oni się uczyć nie chcieli.

Znalazłem rozbujałą swobodę, a odumarłem ją rozgorzałą do buntu. I mój Zamojski, co ją chciał dla mnie ukrócić, dla

następcy stał się rozprzężenia wodzem. Z krwi Zborowskich urodził się rokosz, z rokoszów wyrosły konfederacye.

Kazałem ściąć zuchwałego Zborowskiego, upokorzyłem ród jego... było to moje: Disce — dla szlachty. Krwią tego nieszczęśliwego podzieliliśmy się z Zamojskim, aby nią napisać na szkolnej tablicy narodu: Disce.

Ale naprzeciwko nam wyniesiono posąg pogański Wolności ukoronowanej i postawiono go na ołtarzu...

Wszyscy się jej kłaniać musieli — nikt tknąć nie ważył. Kazali i mnie bić jej czołem, gdy mi dłonie krępowała. Na sejmach, gdym żądał posłuszeństwa i ofiary dla wspólnej ojczyzny, gdym oddawszy, com miał, nawoływał do podatku dla obrony, oni mi zadawać śmieli marnotrawstwo i samowolę. Zuchwałe słowa nieraz mi rękę do miecza ściągnęły, a łzy na powieki...

Poili mnie żółcią, gorszą od trucizny.

Disce moje rozbijało się o twarde głowy, o rozkołysane serca, i moje nauczycielstwo szło marnie, bo nie chcieli swobody od swawoli, ani karności od niewoli rozeznać.

Wszystko przerabiać było potrzeba, a nas dwu tylko stało do roboty — hetman i ja...

Mężny i bitny naród cały siedział na koniu, a pieszego żołnierza nie znał, bo szlachcicowi z konia zsiąść wstyd było... a nie w polu walczyć, ale grody zdobywać mieliśmy.

Stanęła najemna piechota: — krzyknęli na zdradę, jakbym wojsko zaciągał nie przeciw wrogowi, ale przeciwko bóstwu ich.

Przeciwko burzliwej szlachcie, która w szable tylko dzwoniła — zaczęliśmy tworzyć nową, tych, co pomagali żołnierzowi głową, piórem, pędzlem, dłutem, kunsztem... szlachtę z mieszczan i ludu... rozdając jej herbowne znaki nasze, ja wilcze zęby i skrzydła krwawe, Zamojski włócznie swoje krwawe. Na każdej z tych tarcz nowych stało niewidzialnemi wypisane głoskami: Disce — faciam te Mości panie!

W całej tej lesistej, w borach i puszczach zamkniętej ziemi, w której spoczywał Bekiesz, nie było wyższej szkoły, światło się leniwie przedzierało. Ludzi, coby je przynieśli — brakło. Jeden zakon naówczas miał siły młode i zapał do walki i zdobyczy, do pracy i męczeństwa. Zawołałem go na pustkowie, aby budowali i karczowali. Uczyniono mi z tego zbrodnię... choć sumienia nie ucisnąłem nikomu, niczyjej nie tknąłem wiary.

Rosło mi czasem serce, boć nie wszystka praca szła marnie. Jak na wiosnę odzywały się głosy śpiewaków...

Zamojski nauczył mnie imion Reja, Kochanowskiego, Sępa. Za nimi szli, którymi naród się miał chlubić — dziejopisowie, mówcy, uczeni, pobożni — moimi wychowańcami posługiwały się panowania następców. Ja im wykołysałem Skargę, ja dałem Kromera, Sarnickiego, Solikowskiego... cały zastęp ludzi, co zasłynąć mieli i chórem za mną powtarzali: Disce...

Głos słabnął i twarz blada cienia królewskiego mieniła się, jakby męczarnią wewnętrzną... Wzrokiem ścigał snadź lata, co po mogile jego przepłynęły... w których ucichło: Disce, a rozległo się: Nie pozwalam!... Myśl stąpała po ruinach... usta milczały...

Niknął mi z oczu... a z nim cały ów szereg, jakby drogą mleczną, rozpostarł się na tle nocy i w łonie jej utonął.

Z powieści: OSTAP BONDARCZUK.

I.

Było to świeżo po owym roku klęsk, roku pamiętnym w dziejach świata — 1812. W naszym kraju także na długo zostawiał on ślady po sobie; na ziemi gruzem, popiołem i mogiłami, na duszach niejednym zawodem, niejedną stratą bolesną. Po wielkiem przesileniu była chwilka ciszy, odrętwienia, spoczynku przed nowemi burzami.

Pustkami smutnemi stały wielkie części kraju. Wieśniacy odbiegli swoich sadyb, panowie swych pałaców, każdy się tulił pod mury miejskie lub w głąb lasów, szukając bezpieczeństwa. Niejedna wieś stała pustką lub zgliszczem, niejeden dom szlachecki świecił wybitemi okny, niejedno pole stratowane obozowiskiem, odłogowało niezasiane.

I przez Wołyń nasz ciągnęły części potężnej Napoleona armii, i tu ślady przechodu pozostały po nich.

Spojrzyjmy na tę wioskę w dolinie, między dwoma pagórkami leżącą.

Jeden z wzgórzów okryty dębowym laskiem, co się jeszcze nie rozwinął, drugi nagi i pokrajany w zarosłe już trawą skiby, lekko schodzą oba ku zielonej łące, co się pozłociła kwitnącą łotocią. Po nad rozlaną jeszcze na mnogie kałuże rzeczułką, prze-

chadzają się poważnie czerwononogie bociany, polatuje czajka, piskliwym odzywając się głosem, błądzą cyranki, szukając zakrytego trzcinami źródliska. Ponad łąką i rzeczułką spuszczają się z przeciwległego, lekko pochylonego, wzgórka płosy ogrodów wiejskich, poodgradzane płotami od siebie, gdzieniegdzie ocienione białą od kwiatu gruszą, starą lub wypróchniałą wierzbą. Ale ogrody te jeszcze nieskopane, rzadko który okrył się czarną odwróconą darniną, większą część przeszłoroczne zeschłe, pogięte zasłaniają bodiaki i łodygi kukurudzy lub powywracane kaczany kapusty. Ku górze stoją chaty, każda przeciw swego ogródka.

Po 1812. wieś nasza i jej chaty wcale jednak inaczej wyglądały. Na wielkim położona trakcie, na wojsk przechodzie, wiedziała, czego się ma spodziewać. I wieśniacy po jednemu, po dwu, potem kupami wybrali się na sąsiednie Polesie. Pan ze swego pałacu daleko wprzódy ustąpił.

Wieś, pałac, zabudowania, pola, smutny teraz przedstawiały obraz; kilka chat z brzegów, całkiem rozebranych, sterczało niewyrwanymi słupy i rumowiskiem pieców czarnych. Płoty leżały na ziemi, ogrody okrywały chwasty i pokrzywy przeszłoroczne. Niektóre budowy niedogorzałe ze zwisłemi dachy, z wyłamanemi ścianami, zgasłe tylko zawierały ogniska. Stratowana ziemia świadczyła o koniach, które w pobliżu stały. Szczątki kości walały się po drodze, krucy obrywali reszty ścierwa ze szkieletów koni.

Głuche milczenie, przerywane krakaniem ich, panowało na wiosce. Mało jeszcze włościan popowracało i z rzadkiej chaty kurzyło się, rzadko postać ludzka przesuwała się przez szeroką drogę, środkiem wsi wijącą, której część trawą i burzanami zarosła.

W końcu osady był dawniej pałac pański. Był to budynek piątrowy, żółty, ze czterema kolumnami z frontu, z dwiema oficynami po bokach. Ode drogi oddzielały go sztachety w murowanych słupach i brama murowana wyniosła, z dwoma glinianymi wazony na wierzchu. Teraz wojna wyłamała sztachety, słupy z tynków opadły i jedna część bramy runęła. I pałac w nielepszym był stanie.

Większej części okien brakło szyb, a nawet ram, niektóre zamykały się okiennicami, inne zabite były dylami, inne stały otworem dla wróbli i jaskółek. Jedna z oficyn widocznie służyć

musiała za stajnię, bo kupy przez okna wyrzucanego gnoju dobitnie o tem świadczyły; druga w połowie pusta, w połowie zajęta przez rządcę, nieco w lepszym była stanie.

Na froncie pałacowym, nie wiem jakim trafem, kula armatnia wybiła dziurę ponad samym spłókanym herbem dziedzica. Jaskółki ulepiły gniazdo w tej pamiątce wojny. Zniszczenie choć im posłużyło na coś.

Wewnątrz smutno wnijść było. Dach połamany przepuszczał deszcz i tający śnieg, które strugami brudnej wody płynęły na powybijane i powyrywane posadzki, na sztukaterye gipsowe, na malowane i mozajkowane ściany. Pałac sam opowiadał swoją historyę. W sieniach postrzelane ściany, ruszona podłoga, zrąbane drzwi. W pokojach kupy popiołu i węgla, krzesła walały się bez nóg, stoły leżały na ziemi, kominki czerwonemi nagiemi świeciły cegłami. W jednej sali kilka familijnych obrazów posiekanych, pokiereszowanych, postrzelanych, bez nosów, bez oczu, wisiały nieforemnie lub leżały na podłodze. Wielki bilard, odarty z sukna, zarzucony był słomą; do zielonego sznura, na którym wisiał pająk, uczepiono postronek, urządzony na stryczek i widocznie używany, bo pod nim kałuża czarna, zeschła, dowodziła barbarzyńskiego pastwienia nad kimś, może niewinnym. Wszędzie pełno kości, zdartych papierów, zgasłych kłaków od nabojów, ułamków mebli i sukien. Na białych ścianach czarnym węglem zapisali żołdacy różnych narodów plugastwa szkaradne.

W gabinecie fortepian pocięty był szablami, a na posadzce walały się białe klawisze, arfa strzaskana wisiała na kołku, puste ramy obrazów zaciągnął już pająk pracowity.

W biblioteczce stały szafy puste, kilka tylko tomów rozstrzępionych rozplasło się na ziemi, kilka kart wyrwanych bielało po kątach; splugawiona rycina ulepiła się na ścianie.

I wszędzie tak, wszędzie.

Nie poszanowano kaplicy, nie oszczędzono świętości. A ludy, co się pastwiły tak nad strzechą nieznanego, nie byli to barbarzyńce! O, nie! Przyszli z ucywilizowanego zachodu, ale wojna rozbestwia. Wojna, każąc człowiekowi nadstawiać życia, pozwala mu wyrzec się też wszelkiego uczucia. Żołnierzowi wolno jest wszystko, bo jutro nie jego, a zapał się podobno podsyca swawolą.

Krucyfiks kapliczny rozpłatany był na dwoje i podziurawiony kulami; na ołtarzu zrobiono żłób, w konfesyonale walała się reszta plewy.

W ogrodzie powycinane największe drzewa, zrąbane mosty, zrzucone altany i gdzieniegdzie tylko twarz bez nosa, rękę bez palców wyciągał z gałęzi i chwastu stary posąg kamienny. Sadzawki zielona pleśń pokryła.

W oficynie pana rządcy, świeżo jako tako wyporządzonej, parę pokoików zajmował pan Mrzozowski, który, jak tylko się uspokoiło, ucichło, porzuciwszy żonę i dzieci w Łucku, sam do obowiązków powrócił.

Codziennie regularnie Mrzozowski, zapaliwszy fajkę na krótkim cybuszku, włożywszy czapkę na głowę, chodził po pałacu.

Zniszczenie, panujące tu, nie mogło mu się w głowie pomieścić; ciągnął go ten widok okropnością swoją. Wszedłszy, w sieni stawał, patrzał, ramiony ruszał, kręcił głową i tak postępował dalej, wszędzie się zatrzymując i medytując. Obszedłszy cały pałac najskrupulatniej, powracał do swojej izdebki, siadał na kuferku, a mając podostatkiem połamanych krzesełek, raczył się obfitym ogniem na kominie.

Medytacye rządcy, codziennie jedne, codzień się powtarzające, przedłużały się, nieco modyfikując, do późnego wieczora.

Jednego poranku, gdy właśnie ukończył przegląd pałacowych pustek i już miał z sieni wychodzić, posłyszał rządca trąbkę pocztową, łaskanie z bata i turkot powozu, spuszczającego się w jar ku dworowi. Mrowie po nim przebiegło.

— Dalipan ktoś jedzie — rzekł w sobie, a gdy się przybliżało:

— Doprawdy, że jedzie — powtórzył.

Trąbka grała coraz to głośniej.

— Jak Boga kocham, ktoś jedzie! — zawołał i wyskoczył zaczerwieniony.

A właśnie w gruzy wrot wtaczała się żółta bombiasta landara, sześcią koni zaprzężona, za nią koczyk, za koczykiem bryka.

— Jak żonę i dzieci kocham, to graf! — Co ja tu nieszczęśliwy pocznę! — łamiąc ręce przeraźliwie zaskowytał pan rządca. Landara, zajeżdżała przed ganek.

Z okna wysunęła się ziewająca głowa pana grafa z rumianem obliczem, obwisłą wargą i siwemi zaspanemi oczyma.

Spojrzał i zakrzyknął.

Mrzozowski stał drżący, czapkę wziąwszy pod pachę, skulony, z miną zbiedzoną.

— Co to jest? — zawołał graf.

Hrabina wychyliła się, spojrzała, zakryła oczy rękami i krzyknęła boleśnie.

— Ach, ach!

— Co to jest, pustka? — powtórzył dziedzic.

— Jak zwyczajnie po wojnie – szepnął, zginając się, rządca.

— Ale to chyba u nas tylko, nigdzie nic podobnego nie widziałem!

— Po trakcie JW. grafie, tak wszędzie.

— Więc wszystko?

— Wszystko zniszczono — rzekł Mrzozowski.

— A wieś?

— Jak wszystko.

— A ludzie?

— Połowy ich niema.

— A pola?

— Nie zasiane.

— To ruina, okropna ruina.

— Ruina JW. panie.

— Nieszczęście!

— Nieszczęście! — powtórzył z westchnieniem Mrzozowski

— Cóżeś waść robił?

— A cóżem miał robić przeciw wojsku?

— A przecież – prosić, starać się, u generałów, u starszyzny. skarżyć wreszcie.

— Jeden generał niemiecki kazał mnie, upiwszy się, powiesić w wielkiej sali, ledwie mnie oficerowie przez litość odcięli. Gadać nawet nie dali. Żonę i dzieci musiałem skryć w mieście: sam z niebezpieczeństwem życia dobra JW. pana pilnowałem.

— Cóżeś waść upilnował?

— A cóż? jak JW. graf widzi.

— Pustki!

— Kazałem okna pozabijać.

— A gospodarstwo?

— Niema kim orać, czem orać i co siać.

— Nie siano?

— Nie siano JW. panie, ale Lejba obiecuje.

— Ale cóż tu poczniemy, przerwała hrabina, pałac w ruinach, pustki, ludzi nawet nie mamy, mieszkać tu niepodobna. Graf poskrobał się po czole, Mrzozowski stał w milczeniu.

JW. graf z żoną poszedł do pałacu.

Surowo, smutno przeszedł pokoje milczący, z wargą zaciętą. Żona płakała, wieszając się na jego ramieniu; stawała co chwilę i łamała ręce na widok swych ulubionych sprzętów zniszczonych, swych pokoi, splugawionych przez hałastrę. Ludzie, idący za państwem cicho, jakby przerażeni, wskazywali sobie w milczeniu to strzały, to szczątki ognisk, to zdarte szmat jakichś ostatki. Mrzozowski z tyłu stąpał milczący także.

Przeszedłszy pałac cały, hrabia wystąpił na ganek, ku ogrodowi wiodący. Mrzozowski czegoś się zarumienił, ale nikt tego nie postrzegł.

Po złamanych wschodkach wyszli na trawnik zieleniejący, potem w prawo grabową ulicą. Rządca za nimi, słudzy za nimi milczący; Mrzozowski chrząkał niespokojnie i kręcił się, jak w ukropie.

Uliczką ciemną zbliżyli się ku kamiennej ławce, pod starym dębem, nad sadzawką stojącej. Graf spojrzał na rządcę.

— Ludzi z rydlami, rzekł lakonicznie.

Ten potarł ręką po czole.

— JW. panie — wyjąknął — niema po co.

— Co? Jakto? Skąd waść wiesz, dlaczego ich potrzebuję?

— Nie dla czego panie, tylko dla dobycia kufra, — którego niema.

— Jak to niema? — zawołał hrabia. — Skąd wiedziałeś, że był?

— Jak tu przyszli Austryacy, mówił, mięszając się Mrzozowski, zaraz szukali pieniędzy, bili w ściany, wydzierali podłogi; potem, nie znalazłszy, poszli kopać do ogrodu i — znaleźli.

— Znaleźli! — powtórzyło kilka głosów.

— Znaleźli, podzielili się i zabrali.

Graf z dziwnie zimną krwią zawrócił się, cicho coś szepnął płaczącej żonie i poszedł nazad. Mrzozowski, czerwony i niespokojny, potoczył się za nimi.

Słudzy pobiegli sprawdzić na miejscu powieść o dobytym kufrze, jakoż w istocie kufer snać odkopany został, bo nie zasypana jama około ławki, już trochę porosła, czerniała jeszcze.

— Straciliśmy wiele, — rzekł graf do żony — ale nie wszystko. Nie płacz, moja Anno — inni stracili więcej — nam jeszcze pozostało czem zniszczenie to zatrzeć. Mrzozowskiego mam w podejrzeniu. To się jednak odkryć musi. Tymczasem do oficyn, a jutro zajmiemy się ładem i restauracyą.

Byłby mówił dalej, ale w tej chwili odarty dzieciak wyrwał się z gęstwiny i począł uciekać.

Ze łzami spojrzała na dziecko hrabina. Było to dziecię wieśniacze, nędzne, żółte, wybladłe, sześć lub siedm lat mieć mogące, a tak odarte, że połowa ciała przez łachmany poczepiane świeciła. Siermiężka jego, zlepiona z najróżniejszych szczętów, ledwie piersi i biodra okrywała; nogi bose, ręce nagie, głowa nie okryta była; a na bladej twarzy, pomimo przestrachu, cierpienia, śladów schorowania i wyniszczenia głębokiego, ujmujący wyraz łagodności panował. Siwe oczy we łzach pływały, a ściśnięte usta, wązkie, choć sine, choć we wpadłych policzkach, nie śmiejąc wzywać litości, zarysowały przymuszony uśmiech, uśmiech biednych, co za obowiązek sobie mają pokrywać nim cierpienie i prosić miłosierdzia.

Pomimo odarcia i przerażającej nędzy, bladości, wyschnienia, dziecię jeszcze było piękne, tą smętną pięknością zeschłych kwiatów, co się rozkwitną na gałązce rośliny, zwarzonej jesienią.

Twarz uciekającego dziecięcia uderzyła hrabinę i tak już rozczuloną widokiem zniszczenia, myślą o sobie i swojem dziecięciu.

Chłopiec poskoczył ulicą, obejrzał się i zaszył w poblizkie krzaki.

— Co to za dziecię? spytała pani.

— Mości Mrzozowski, co to za dziecię? — powtórzył hrabia.

— To JW. panie, sierota z tutejszej wsi. Cała chata wymarła z gorączki — ono się tu tuliło przy pałacu żebrząc — syn Bondarczuka, zowią go Ostapkiem.

— Jak to, niema nikogo krewnego blizkiego?

— Nikogo, JW. panie, krewni Bondarczuków najpierwsi się ze wsi wynieśli i dotąd nie powrócili.

— Jakże żył?

— Jak robaczki i ptaszęta, JW. panie.

— W zimie?

— I w zimie.

— Nie odchodził przez cały czas nigdzie?

— Nie, ciągle był przy pałacu.

— Czemże żył?

— Nie wiem. — We dnie nigdy się prawie nie pokazywał. W nocy widywano go po pustych chatach, grzejącego się u tlejących głowien. Ja mu czasem kazałem dać łyżkę strawy, boć to

pańskie dobro. — Nawet Niemcy i inne *nacye*, co tu stały, z litości go czasem podkarmiali i dawali (co sam widziałem) swoje kociołki do wylizywania.

— Biedna dziecina! — smętnie odezwała się pani. — Hrabia pod ciężarem jakiejś uprzykrzonej myśli westchnął także, ale widocznie z innej przyczyny.

Potem chwilkę milczeli. — Chłopak przypatrywał się z za krzaku państwu, schylony wpół, z oczyma wytrzeszczonemi, widocznie gotów do odwrotu nakształt dzikiego zwierzątka.

Zbliżywszy się, hrabina zawołała go do siebie.

— Chodź tu moje dziecko, chodź!

Chłopiec się zawahał, obejrzał.

— A idźże do JW. pani — krzyknął Mrzozowski, podnosząc kija — Ostap na widok tej groźby już miał pierzchnąć, gdy powtóre zawołany przez panią, zebrawszy się na odwagę, wystąpił, rzuciwszy okiem na rządcę. Tu dopiero w całym swym majestacie objawiła się oczom przytomnych nędza sieroty.

Hrabinie ciągle oczy we łzach pływały.

— O, prawda! — zawołała — Nie godzi się skarżyć i narzekać na siebie wobec takiej nędzy.

— To całkiem co innego — odmruknął mąż, poglądając posępnie. — Oni stworzeni są do tego.

— Mężu! — przerwała Anna.

— Inaczej Bógby tego nie ścierpiał, z najzimniejszą krwią dokończył graf.

Hrabina rozpytywać go poczęła; ośmielony sierota odpowiadał coraz wyraźniej.

— Byłeś tu przez cały czas?

— Byłem.

— Cóżeś widział?

— A cóż, to co i *wy* widzicie teraz. Palili, łamali, popalili, połamali i poszli.

Nagle graf jakby się ocucił.

— Możeś i to widział, jak tam dobywali kufra pod ławką nad wodą?

Mrzozowski straszliwie pobladł.

— A widziałem — odparło chłopię.

— Doprawdy! — zawołali wszyscy — widziałeś jak Niemcy...

Rządca stał, jak pod pręgierzem, dusił się, bladł, czerwienił. kołysał na nogach.

— Ale nie Niemcy — rzekł chłopiec.

— A któż?

— Pan rządca z jakimiś ludźmi nocką przyszli, wykopali, wzięli na wóz i...

W tej chwili Mrzozowski zniknął, rzucił się w głąb ogrodu, w gąszcze. Słudzy popędzili za nim.

— Możeś widział, gdzie zawieźli? — dodała hrabina.

— A jakże, bo przez ciekawość poszedłem za nimi. Bali się widać wieźć daleko, to ono tylko zajechali pod gruszę na łan i tam, dziurę wykopawszy...

— Prędzej, prędzej, — zakrzyczał, tracąc zimną krew, hrabia. Pod gruszę — pod gruszę! — Chłopcze, z nami.

I w oka mgnieniu graf z ludźmi poleciał, zabrawszy z sobą Ostapka, na łan. Pod starą gruszą, pomimo ubitej starannie darni, znać jednak było niedawno poruszoną ziemię, po wklęsłości niewielkiej.

— Tu — rzekł Ostapek.

Ludzie wzięli się do kijów i rydlów i z niewymowną radością postrzegli wkrótce żelazny kufer, którego wierzch zardzewiały dźwięknął pod uderzeniem rydla. Dobrano się do zamka, zamek był nienaruszony. Hrabia, rozkazawszy wieźć odzyskane mienie do pałacu, pospieszył oznajmić o tem żonie. O Ostapku zapomniano zupełnie i sierota poszła powoli ku łące, gdzie kilkoro dzieci pasło chudą trzodkę, siedząc u nanieconego ogniska.

Byłby może hrabia na zawsze o dziecięciu zapomniał, bo radość z odzyskania sreber, klejnotów i ważnych papierów, całkiem nim owładła; ale żona podbudziła go do wdzięczności.

— A ten chłopiec? — spytała wieczorem.

— Jaki chłopiec?

— Sierota, co ci pokazał gruszę.

— A prawda, zapomniałem, trzebaby dać mu przynajmniej jeść.

— Jeść? Mężu! — odezwała się dziwnym głosem Anna. Ktoby cię nie znał, wziąłby za niewdzięcznego lub nieczułego, kamiennego człowieka.

— Mogęż mu co uczynić więcej? — spytał graf.

— Mnie się zdaje — odpowiedziała żona — że możesz go uwolnić, wychować przyzwoicie i lepszy mu los zabezpieczyć. Mnie się zdaje, żeśmy nawet obowiązani do tego.

— Doprawdy? Może! Może to być! Rób, jak chcesz!

Po tej rozmowie hrabina posłała po Ostapka, którego ledwie wynaleziono, ukrytego w ogrodowej budzie. Nazajutrz odziany, nakarmiony, przyjęty między dworskich, odżył już biedaczek.

W rok potem hrabina odsyłała go do szkół; i ot jak opuszczony sierota, dziwnym trafem wychodził na człowieka.

W Berlinie Ostapek ze synowcem grafa, Alfredem, wykształcił się na lekarza; wraca z przyjacielem do wsi rodzinnej, gdzie oczekuje graf z córką.

II.

Był wieczór; w salonie, którego drzwi otworem stały na ganek, siedział, nie umiejąc pokryć niespokojności swojej, hrabia. Co chwila zrywał się gospodarz domu, przysłuchiwał i znowu siadał, przekonawszy się, że nikt nie przybywa; a im dłużej tak czekał, tem srożej się niecierpliwił.

Misia czytała niby, a przynajmniej trzymała książkę w ręku. Nie myślano nawet o rozmowie, bo żywiołu do niej brakło. Niekiedy tylko wykrzyknik, wyrywający się hrabiemu, przerywał ciszę długą.

Zmierzchało coraz, a hrabia wstawał i przechadzał się.

Zadzwonił wreszcie, wszedł kamerdyner.

— Herbata! — zawołał.

— Nie będziemy czekać? — odezwała się Misia.

— Albożeśmy nie dość jeszcze czekali? — odparł hrabia nieukontentowany. Pan Alfred widać żartował sobie ze mnie, oznajmując swoje przybycie.

To mówiąc, usiadł i spuścił głowę nad feljeton gazety. Turkot dał się słyszeć w dziedzińcu. Hrabia porwał się.

— Jadą! — rzekł mimowolnie; a Misia z podziwieniem dosłyszała to wyrażenie, dowodzące, że ojciec i Eustachego rachował, bo nie powiedział: jedzie, ale jadą.

Wkrótce jednak, jakby się opamiętał, hrabia dodał powtarzając: przecież jedzie.

— Jadą — zawołała Misia, rzucając książkę — masz papa słuszność, *jadą*.

— Jedzie — rzekł ojciec z przyciskiem. Spodziewam się *sam* Alfred.

— Z towarzyszem!

— Zawsze swoje, *sługa* nie jest *towarzyszem*! Cóż znowu!

Misia ruszyła ramionami.

Kiedy się to dzieje w salonie, a wrący niepokojem hrabia hamuje się, by nie wyjść naprzeciw, druga scena odbywa się w ganku. Z powozu wysiedli Alfred i Eustachy; ale w chwili, kiedy do sieni wchodzić mieli, Eustachy zadrżał, pobladł i wstrzymując towarzysza, rzekł do niego po niemiecku, aby ich ludzie zrozumieć nie mogli:

— Hrabio, znam nadto twojego stryja, a szanuję go, jako dobroczyńcę mego, żebym się ośmielił bez jego pozwolenia wnijść z tobą. Zostanę tutaj.

To mówiąc, odwrócił się, otarł pot, z czoła bladego kroplami występujący i siadł na ławie ganku.

— Zwaryowałeś! — zawołał Alfred. Co ci się dzieje?

— Nie mogę wnijść.

— Byłeś ze mną w salonach niejednego poselstwa w Berlinie, a obawiasz się?

— Bo tam, hrabio, każdy, coby mi mógł uchybić, był dla mnie obcym — rozumiesz? Tu — mam obowiązki a jestem dumny — dorzucił ciszej. Wystaw sobie obelgę, gdybym ją, wymierzoną ku mnie, zimno znieść musiał! Nie pójdę — na Boga — idź sam, zostaw mnie i spytaj tylko, czy mi wolno.

Wzruszenie głos mu zatamowało.

— Pozostaniemy więc zapewne oba w ganku, bo ja bez ciebie nie pójdę. Co za szaleństwo! Co za myśl! Każdyż nie ma prawa wnijść? A ty wchodzisz z podzięką.

— Tak, ale wchodzę z tobą, za tobą — wchodzę jako — jako... Ja nie wiem, ja nie mogę. Nie pójdę.

— Opamiętaj się — szepnął Alfred, wystawiasz mnie i siebie na śmiech sług, co tu stoją, zmiłuj się.

— Idź, rzekł Eustachy, idź naprzód. Wnijdę potem. To mówiąc, zerwał się z ławki i uskoczył w dziedziniec.

Alfred postał chwilkę, ale prędko przyszedłszy do siebie, naciągając rękawiczki i poprawując włosów dorzucił:

— Przyłóż chustkę do nosa, powiem, żeś zachorował.

— Mów, co chcesz.

Gdy się to dzieje, a Alfred jeszcze się waha, co począć, hrabia niecierpliwie chodzi po salonie; radby wyjrzeć, a nie chce się kompromitować pospiechem nawet przeciw synowcowi, tupa, zżyma się i siada znów do gazety.

Wtem drzwi się otwarły, Alfred wszedł; z otwartemi rękami poskoczył ku niemu stryj, udając więcej jeszcze czułości, niżeli jej było w istocie w sercu.

— Kochany Alfred!

— Stryj kochany!

Rzucił okiem na drzwi — nikogo więcej.

— Co to jest? — pomyślał. — Nikogo? — Gdzież *tamten*? *Tamten* leżał mu kamieniem na sercu, a spytać o niego, przynajmniej w pierwszej chwili, nie wypadało.

Cóż się stało z tym chłopcem, z tym, z tym, jakże mu imię — nie przypominam sobie, poddanym moim, który się podobno sposobił na felczera?

— Na felczera? — zadziwiony spytał Alfred. — Nie, na doktora.

— To prawie wszystko jedno, ale cóżeś z nim zrobił.

— Jest tutaj.

Wszyscy się mimowolnie obejrzeli ciekawie.

— Czemuż nie wszedł z tobą? — spytała Misia.

Alfred miał odpowiedzieć, ale hrabia mu przerwał:

— Czemu nie wszedł? Cóżby tu robił? Jest to dowód wielkiego sensu z jego strony, to mi się podoba. Poszedł na folwark.

— Za pozwoleniem, kochany stryju — z kolei zapłomieniony odezwał się synowiec — my się chyba zupełnie nie rozumiemy. Przywiózłem z sobą — rzekł dobitnie — mojego przyjaciela, doktora Eustachego; nie wszedł ze mną, bo gwałtowne może wzruszenie, czy inny jaki powód, nie dozwoliło mu.

— Chory? — spytała troskliwie Misia, idąc ku drzwiom.

Tu scena się rozdwoiła, hrabia czuł potrzebę odpowiedzieć razem Alfredowi i zgromić wychodzącą córkę; wściekał się prawie; pochwyciwszy więc Misię za rękę, zawołał żywo:

— Śni ci się, Alfredzie, przyjaciela!

— Tak jest, przyjaciela, kochany stryju.

— Człowieka.

— Bardzo uczciwego i przyzwoitego człowieka, który był ze mną w najpierwszych salonach.

— Ten człowiek — szepnął do Misi — ma tyle delikatności, że sam wejść nie śmiał, chociażem go o to prosił, ale przeze mnie pyta stryja, czy mu się prezentować i dziękować sobie pozwoli?

— Słyszysz, papo! — zawołała Misia, powtarzając słowa Alfreda z oburzeniem prawie. Prawdziwie — ja nie poznaję papy — z twojem sercem.

— Proś więc go sama, kiedy chcesz — rzekł hrabia — niech wnijdzie, ukłoni się i idzie sobie do licha.

— Jeśli tak, niech lepiej nie wchodzi, zawołał Alfred — nie przywykł do podobnego obejścia.

— Przywyknie! — przerwał hrabia. Chcesz-że mi go narzucić za towarzysza?

— Skarżyćby się na to nie można — jestto człowiek tak dalece wyższy, tak ukształcony.

— Dajże mi pokój z pochwałami.

Misia i Alfred radzili się wejrzeniem, co począć.

— Idę go prosić — odezwała się Michalina.

— Jak chcesz — z gniewem mruknął ojciec i postąpił ku gankowi, jakby uciekał.

Drzwi się otwarły, chwilka upłynęła, Misia, wiodąc za sobą bladego, jak ściana, Eustachego, weszła do salonu. W sieni już poczęła wesołą i ośmielającą go rozmowę. Na widok hrabiego, który brwi namarszczył i nasrożył się umyślnie, przybyły nie wiedział, co począć. Alfred mu dopomógł i sam za niego w kilku słowach podziękował hrabiemu, który stał także niemy, chciwie pożerając oczyma człowieka, którego przybycie stawało mu się ciężarem. Wszystkich oczy były zwrócone na Bondarczuka, wszyscy się dziwili szachetnej postawie, pięknej twarzy i temu wyrazowi siły i męstwa, które go odznaczały; niezmierna tylko bladość pokrywała rysy jego w tej chwili.

Hrabia wyszedł na ganek; z ganku mógł słyszeć rozmowę a świadkiem jej być nie chciał. Uwolnieni od ciężącej przytomności jego, Misia i Alfred poczęli żywo pytania i odpowiedzi rzucać i chwytać, usiłując wmieszać do nich Bondarczuka, aby mu dodać tak pozbytej na progu odwagi. Rozmowa toczyła się po francusku, Eustachy tymże językiem, czysto i pięknie mówić zaczął.

Za drzwiami ganku wielkie było zdumienie hrabiego i gdyby po chińsku, po grecku, językiem najdziwniejszym przemówił nie byłby go tak zadziwił.

Chłop, mówiący po francusku! Było to coś niesłychanego, anormalnego!

— Mówi po francusku! — zawołał w sobie hrabia — mówi i dobrze! To nadto!

Graf daje Ostapowi wolność. Ostap usuwa się z wsi rodzinnej i wraca dopiero na wieść o cholerze.

III.

Chłodny wiatr jesienny z deszczem kroplistym szaleje po obnażonych, żółtych i czarniejących polach; chwyta dymy, z wiejskich polatujące kominów i rozbija w powietrzu. Ostatki liścia sypią się z drzew, ponachylanych do ziemi; chmury szare, poszarpane, postrzępione, suną się od północy na południe. Na dworze ciemnieje. Pustką stoi droga, przechodząca wieś hrabiego, żywej na niej niema duszy, kilka psów wyje na progach domostw, z których komina nie podnosi się dym, okna wybite i wrota obalone.

W końcu wsi dwaj ludzie zajęci robotą, mimo spóźnionej pory.

Na rozmokłej od deszczu ziemi leży z cienkiego dębczaka wyrobiony krzyż nizki, zaledwie z gruba wyciosany. Obok wykopana jama i odrzucona ziemia.

— Chmurzy się i ciemni — szepnął Fedko wzdychając — nie damy dzisiaj rady, odłóżmy do jutra.

— Oj nie, bracie, kiedy robić, to dziś, kiedy to Panu Bogu miło, stawmyż co prędzej — niechaj nas poratuje!

Fedko spojrzał w niebo i westchnął.

— Czasbo, żeby nas Bóg poratował!

— A dobrodziej mówi, że we wszystkich wsiach, gdzie krzyże postawili, pomogło!

— No, znieśmy!

I pochwycili przygotowane drzewo, zapuszczając je powoli w jamę.

— Niechże będzie Bogu na chwałę, a nam na ratunek! — To mówiąc, poczęli obsypywać krzyż i ubijać ziemię.

— Wiele dusz dziś umarło? — spytał Janko.

— Nie wiem, wczoraj dziesięciu wynieśli na mogiłki — dziś powiadają więcej!

— Codzień więcej.

— I we dworze już poczęli mrzeć.

— Nasz pan miał wyjeżdżać do miasta. Jakby w mieście skryć się było można przed mocą Bożą!

— Wyjechał-że?

— Podobno nie jeszcze. Ale ludziom zakazano chodzić na wieś, a nawet do oficyn, gdzie żona komisarska umarła.

Skończywszy obsypywać krzyż i pomodliwszy się, poszli powoli wsią ku chacie. Fedko zadumany, Janko we łzach.

Kilka głosów dało się słyszeć w ulicy — spojrzeli wązkiem okienkiem. Para wołów ciągnęła wóz — na nim kołysały się trzy razem postawione, z lichych desek zbite trumny; stary dziad poganiał, dziecię nagie do połowy, bose, płaczące, czepiało się kół i boleśnie łkało.

— To już reszta z tamtej chaty! — zawołał Fedko.

— Troje!

— Troje! Tylko Roman jeszcze żyw i woły pogania, a wnuczę bieży za nim.

Gdy to mówi Fedko, zastanowił się wóz nagle i krzyk dał się słyszeć przerażający. Zaraz po nim płacz bolesny dziecka.

— A to co? — spytał Janko, który od ognia nie odstępował.

— Co? stary Roman w ulicy padł i leży — dziecko nad nim, a woły z trumnami stanęły. Porzucim-że tak starego Romana?

— A cóż zrobim z nim?

— Jest u nas miejsca aż nadto — rzekł Fedko — znieśmy go tu, ja odwiozę umarłych i pochowam.

Wyszli na ulicę. Przed samemi wrotami chaty, stary siwobrody Roman, leżał rozciągniony na ziemi, siny i ledwie żyw; na jego piersi ostygłej wnucze ostatnie, objąwszy szyję rękami, wołając rzewnie dziada i płacząc, leżało. Dwa czarne woły z spuszczonemi głowy rozparte stały nad nim. Kudłaty pies schudzony wył pod wozem.

Sami osłabieni chorobą, pracą i niedostatkiem, Fedko z Iwanem ledwie udźwignąć potrafili starca i spoczywając, wnieśli go przecie do świetlicy, położyli na pustem łóżku, okryli.

Wicher wył na podwórzu i deszcz, przebijający zgniły dach, ściekał po ścianach chaty. Obraz to był straszliwy.

Ledwie sam trzymając się na nogach, Janko napoił naprzód siostrę, potem starego, pookrywał, dał dziecku ostatek chleba, bo więcej go upiec komu nie było, rozniecił większy ogień i skuliwszy się w kącie, chorobliwie drzemać począł. Siły go powoli opuszczały, uchodziły, sen napadał i dreszcz.

Dzwon cerkiewny dawał się powoli słyszeć wśród wiatru, chwilami dźwięczał, to znów ustawał, głosy, przerywane, przestrachu, boleści, dochodziły uszów; wicher się wzmagał. Janko kilka razy otworzył oczy i zamknął je znowu, czuł, że nowe jakieś grozi niebezpieczeństwo; ale powstać, ratować się nie było siły. Opadał na przyzbę, tulił się, drżał, kurczył.

Na dworze ciemniało coraz, chmury naciągały czarne, wiatr się rwał do strzech, które obnażał, do drzew, łamiących się, powyginanych, rozdartych. W drugim końcu wsi świeciła łuna pożaru — i rozszerzała coraz bardziej. Z dachu na dach przelatywało płomię wzmagające się, wiatr poddymał; — nikogo przy ogniu.

Ze dworu nikt wybiedz nie śmiał na wieś, na wsi nie było komu ratować; puste już chaty po cholerze żarł rozniecony pożar. Kilka tylko cieniów czarnych ruszało się koło ognia: byli to chorzy, co się grzać biegli, przejęci dreszczami, poprzedzającymi zwykłe rozwinienie słabości. Dzwon, poruszony bezsilną ręką, słabo się odzywał.

W tem zadzwoniło na trakcie; — bryczka, zaprzężona trzema końmi, wstrzymała się naprzeciw pożaru. Silny głos podróżnego zabrzmiał nad uszami nieprzytomnych ludzi, co się przy płonących węglach rozgrzewali. Słusznego wzrostu, silnej budowy mężczyzna, począł drapać się na dach najbliższy, jeszcze nie spalony i snopki, pokrywające go, odrzucać. Za jego przykładem poszedł woźnica i kilku ludzi nadbiegłych. Dym czarny i gęsty ustawał, deszcz ulewny pomógł do ugaszenia ognia, który się ograniczył tem, co już zniszczone było.

Rzucając na dachu ludzi, przybyły Ostap pędem pobiegł ku chacie, gdzie Janko i Roman stękali nieprzytomni i pomocy Bożej, nie rachując już na ludzką, wzywali.

Wbiegł, spojrzał, załamał ręce — a dostrzegłszy przy ogniu dogasającym uśpionego Janka, wstrząsnął nim.

— Babka? — spytał Ostap.

— Umarła.

— Żona twoja?

— Umarła.

— Dziecię twoje?

— Umarło.

— Co się dzieje we dworze?

— Wracając ze smętarza, spotkałem ludzi dworskich, jadących po doktora. Pan zachorował.

— W sam czas przybyłem — zawołał Ostap — niema chwili do stracenia.

I ruszył się ku drzwiom śpiesznie.

— Dokąd bracie?

— Do dworu.

— A ty tam poco?

— Ratować go.

— Kogo? — spytał gorzko Fedko — pana? pana, co nas ciemiężył? co nam dał wymrzeć wpół z głodu, wpół z choroby? Jego?

— Jego — rzekł Ostap. Bóg każe dobrem za złe płacić — czyńmy jak każe. Nie do nas należy go sądzić.

Wielkiemi zdumionemi oczyma spojrzał Fedko na brata, wzruszył ramionami i siadł na ławie.

Ostap wyszedł i szybkim krokiem pobiegł do pałacu. Dziedziniec był dziwnie pusty, nikogo w przedpokoju. Stary kamerdyner siedział w sali, na krześle i płakał.

— Hrabia słaby? — spytał wpadając Ostap.

— Od kilku godzin.

— Nikogo przy nim?

— Dotąd nikogo prócz nas. Posłaliśmy uwiadomić pana Alfreda.

— Prowadź mnie do niego — wiesz, żem doktor, niema chwili do stracenia.

Posłuszny stary zwlókł się z krzesła i otwierając drzwi przybyłemu, przeprowadził go przez szereg pustych pokoi — do sypialni pańskiej. Na łożu mahoniowem stękał, chorobą złamany, stary, zsiniały już, zziębły, bezprzytomny. Na widok Eustachego zmieniła się twarz, zadrżała ręka, którą usunął, usta poruszyły, jakby coś chciał mówić. Szybko przygotowano gorącą wannę — a mimo wstrętu i oporu, Eustachy potrafił mu dać lekarstwo.

— O, gdyby wiedział — rzekł w sobie Eustachy — że te same krople dawałem bratu i siostrze, wolałby może śmierć nad nie!

I bolesny uśmiech przeleciał mu po ustach. Godzina nie upłynęła, a już z pociechą i dumą widoczny był skutek starań lekarza. Hrabia spał głęboko i potniał.

Ostap w oddaleniu czuwał; napróżno stary sługa ze łzami w oczach, wzruszony, wdzięcznością przejęty, chciał go namówić do spoczynku, pozostał z daleka, śledząc postęp lekarstwa i przemagającą jego siłę.

Z powieści p. t.: SFINKS.

Jan Rugpiutis, syn żmudzkiego zagrodnika, zdolnością swą do rysunków zwrócił na siebie uwagę dziedzica; dzięki jego pomocy przez pięć lat kształcił się w Wilnie, następnie wybrał sję w podróż do Warszawy. Po drodze spotkał się z wojewodzicem S., którego tak zachwycił wyrysowanym na prędce szkicem jakiegoś zamku, iż ten dal mu list polecający do Bacciarellego, nadwornego malarza króla Stanisława Augusta.

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani nawet jak trafić. Wyszedł zamyślony błądzić po mieście. Szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. W blaskach jasnego dnia wydało mu się miasto wielkiem, pięknem; lecz wielość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak tu dać radę wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy, nieraz słyszane:

„Miasto wielkie tysiące dla malarza nastręcza pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być, jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił mu niegdyś nauczyciel — wyrzecz się świata i pokus jego; stłum w sobie żądzę, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie“.

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział, czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojnem oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zamku, bo król musi go mieć pod ręką i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to: — król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy, wiodącej ku niemu, z tylu się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórcu ogromnym w taki wpadł zgiełk ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne, zleżałe ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, wkońcu całkiem głowę stracił i nie wiedział, co począć.

Nazajutrz o południu Jan potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał stąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą i wiele a wiele pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijść mu dalej nie dozwolono.

Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francusku; Jan nie umiał po francusku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się, czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jakto od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę i to, jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy, zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G... Czekał do samej piątej, aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sesyi malarskiej, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośnem mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową i począł zrazu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną:

— No, czegóż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i roześmiał.

— Ja nie daję lekcyi, rzekł; mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzic S... chce, bym wam pomógł i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co roku przez ciąg panowania ma-

lowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach; najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebijał się z fizyognomii królewskiej. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończało koronki i t. p.

— Gdzie pan byłeś? — spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani, A, a! Włoch, Florentczyk, povero! — skrzywił się. Co umiesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon*... ale tylu już mam w swojej malarni. Weź waćpan kredę — dodał od niechcenia — i odrysuj mi, co chcesz, na tem płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan, pomimo przelęknienia, rzucił kilku śmiałymi rysami głowę starca (w rodzaju św. Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nieźle — rzekł, zakąsując usta, Bacciarelli. Lecz możeszże malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A, tylko rok?

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: „Na nic mu się nie przydam!".

— Jeśli pan pozwolisz — dodał — ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba...

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — dorzucił niedbale — mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi, jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej, kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pędzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza psuł umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca, już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jej, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była, prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrysy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jej zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli to bladł, to czerwieniał.

— Che diavolo! — przecedził przez zęby — wcale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach, jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcyą, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? — spytał Jan nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz, będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie koledzy go nauczą.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła, jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak, na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz, kolego i skąd przybywasz? — rzekł jeden.

Jan dopiero po tem pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień

błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej, ale czystej. Drugi, za nim stojący, mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskiemi i blademi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wspartą. Trzeci, mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos miał ciemny, rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapień; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny, jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie aksamitnym na uchu, z włosem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pędzlem po palecie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzieindziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was, panowie i przyszli towarzysze, proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Te kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie, poszli zaraz do sąsiedniej sali, spiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał z trzema, z owym figlarnym śmieszkiem, z pierwszym, co go był zapytał i z smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci, Boże, szczęście, mój Żmudzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś; — ale czy wiesz, co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogańską i że czci żaby i węże; musimy cię więc naprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny; daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, spiesząc, jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale będzież ci smakował, kolego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! — zawołał wesoło chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Dixi.*

To mówiąc, porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy, co Jana zapytał i ułomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłonie i prawie razem szepnęli: „Poczekaj, pójdziemy razem".

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Feliksem; jaki zły duch zagnał cię do Bacciarellego?

— Zły duch?—spytał Jan; ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj, śliczne szczęście! Przedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować, jak machince, pracować dla niego ze swej myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks, zwany Chmurą; opowiesz nam, jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z wojewodzicem.

— Wojewodzic S... — rzekł Chmura — zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Niczże się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego, co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może, napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłómaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Zato używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że stąd po niejakim czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! Żaden przecież tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go, jeśli o to się stara; niewiele stoi o wyraz, trochę więcej o miły, harmonijny koloryt, a nadewszystko o podobanie się królowi i tym, przed którymi dworuje. Najwięcej robi portretów. Jeśli kogo wyśle do Włoch,

to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję, jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz! — dodał Chmura.

— Bierzcie mnie, jak widzicie. Wolę być oszukanym niż oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się; wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i niełatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może nic do wyboru, chybabyś....

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście, jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem, a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęsciu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś niezepsuty i poczciwy — rzekł powolnie: — Przyjmijże niektóre rady, mogące ci bardzo w nowem życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemiła, zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie narobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi, co ma minkę Rafaela. Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec, co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin wzdychamy tu, jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata i gotowi spodlić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura; przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie

będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i razem gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie okażesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydawało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem, nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Niepodobała się ta maniera mistrzowi i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do maniery miejscowej i robić, jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nie nauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najlżejsze odstąpienie od swego sposobu karcił, jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość — swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi środki i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę, a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chceszli być artystą, unikaj miasta... To Sodoma i Gomora.

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionej i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimer młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzedanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan, dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tej Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie lub włócznie łamali nadkruszone.

Przypatrywał się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego i całej przepysznej uroczystości, takimi naówczas okrytej oklaskami i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel! Jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył,

gdy król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc na niego: „A to wcale dowcipnie!“ (ale z gorzkiem ust skrzywieniem); — Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw w chwili, gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają, gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał.

Rysunek ten, zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprawdzie wykonał i masy tylko pooznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król, tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, chodził od trójnoga do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w rękę.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A, to karuzel — rzekł Stanisław August — i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! Jaka śmiałość ręki! Jakie grupowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Winszuję ci, mój chłopcze, odezwał się król, wpatrując się coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był — gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan, jeśli chcesz i jeśli ci kazano; ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego — kwaśno odpowiedział, wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go blady i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje: za to mu płacę - rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podoba mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem — wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę, nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, — zawołał Bacciarelli, ściskając ramionami i ostrem wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

— Ja? Z rozkoszą woli naj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jest jego, aby Rudolf malował.

— Niechże maluje — odrzekł, znużony naleganiem, Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał — dodał tryumfujący Bacciarelli.

— Nie.

— Stanowczo.

— Stanowczo nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w niepojęty gniew wprawiła Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha, podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i dalej. Król dowiedział się o tem.

Niebardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich...

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości, corocznie się malującego. Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał, wpatrując się w niego:

— A co — mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie — podchwycił Włoch szybko — jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował — dodał z intencyą król, mierząc go oczyma.

Ten postrzegł, a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci niedobrego i chciał wyprzeć się nieswojej roboty, ale Włoch przerwał, nie dając mówić:

— Zdaje mi się, rzekł żywo, żem się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle*; pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecię rysował? — spytał król obojętnie.

— Niema go tu, odrzekł Bacciarelli; nie wiem, czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię, mości Bacciarelli.

To rzekłszy, król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan zrazu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał, jakby nie wiedział, dlaczego tyle dni nie pokazywał

się w pracowni i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże, chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięsko z tak trudnego zadania. Jan, podżegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydzieło: drobniutkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne, choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światłocieniem. Pod pretekstem poprawek Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tem nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrzeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na nim roboty swej nie mógł znaleźć! Oczy mu zaszły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— Che bestia! — mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowem, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go, czegoby sobie życzył.

Ośmielony łagodnem i wesołem wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historyę, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań niepohamowanych każdego artysty: — Włochy!

— Jedź, rzekł król — a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małem. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przysyłaj mi roboty swoje. Prócz tego — dodał cicho — nie masz tu podobno przyjaciół?

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozpłakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potem, opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Z powieści p. t.: STARA BAŚŃ.

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń świeżo rosą zlanych młodych liści i traw, które się w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwinęły. Nad strumieniami, wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi, złociły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptastwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatcznie żeglował... W borze coś zaszeleściało i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę... popatrzyło czarnemi oczyma i pierzchnęło... zatętniało za niemi — cicho znowu.

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleściał łoś rogaty — wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad. I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóz zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodymi, drżenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów, suchych szum sosen i żałosne jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu. Obłoczki białe rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste,

ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie. W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojnie skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dzięcioły-kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szałas na prędce sklecony; kilka kołków, wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok, tuż, było wygasłe ognisko, spopielałe i kilka w niem niedopalonych głowni, Poniżej w zielonych bujnych trawach, na sznurach, do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym, jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszu, rozdęły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię; jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szałasu pokazała się głowa, cała włosami okryta długimi — zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem, rozgarniając je, wydobył się z pod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długiem leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się — popatrzył na niebo, potem na konie... Te, zobaczywszy go, zwolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie — nic słychać nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał nizkie czoło tak, że oczy wprost z pod nich patrzały. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się z pod wąsów i brody, wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi miał też suknem i skórą poobkręcane, a stopy, obwite nią i opasane sznurami. Z pod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosem

okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, napół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała, zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami i wnet z pod nich wypełzło chłopię, wydobyło się z za liści — zerwało rzeźko na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

— Gerda — do koni! Słońce weszło... Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkiem potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzódy napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię, siedzące na jednym, ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali to poranna modlitwa?

Naostatek konie, napojone, podniosły głowy i jak zadumane, słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognał ku szałasowi. Tu już nagotowane leżały suknem i skórą poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlazł jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na niem; rękami popróbował sakiew, na grzbiecie powiązanych i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już

mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny, naprzeciw, rozgartując ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Z za gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach, napół podziwieniem otwartych...

Podróżny tymczasem ku słońcu poglądał i na bieg rzeki...

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwe, obrócone na wschód łbami — starszy pomyślał trochę, oczyma łąkę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębinę. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowała — ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grzązką ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Oba podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem, wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć już tuż tuż, za gęstwiną coś szeleściało dziwnie... Zwierz spłoszony, myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór, jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube, jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gnieniegdzie zwalona burzą kłoda, napół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami, jak futrem, na starość odziane olbrzymy.

Jechali. Na wzgórzu... coś bielało nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry. Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie do koła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst dał się słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwiło na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do broni ma się brać

czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiła mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła, krzyczała, śmiechowi wtórując... a miotała się, jakby i ona groziła.

Konie, głosami tymi podżegnięte, przyspieszyły kroku — ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słychać nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował naprzód, konia pędząc skoro — chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, spieszył za nim, pochylony na szyi swojego... przebiegli tak stai kilkoro, aż nie słysząc nic, nie widząc pogoni — zwolnili kroku...

Starszy się dopiero obejrzał na chłopca, ze zbladłą twarzą, z zaciętemi usty, z wytrzeszczonemi oczyma, przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały, tkwiącej w piersi, się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero na polance, konia ściągnąwszy, starszy obejrzał się na strzałę i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bolu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Piorunyby w nich biły... i burze! — zawołał warcząc. Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło się za bałwana...

Mimo to dostał się Hengo szczęśliwie do chaty gospodarza Wisza, skąd po gościnnem przyjęciu udał się na zamek Chwostka-Popiela, ażeby księżnie, Niemce rodem, zanieść pozdrowienie od rodziny. Po powrocie opowiedział Gerda córce Wisza o okrucieństwach Chwostka. Skutkiem tego wybrał się Wisz w natychmiastową podróż celem zwołania wiecu; lecz przypłacił to życiem, bo niebawem po powrocie napadli na jego dom ludzie książęcy i zabili starca.

W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi, zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor, hukając w umówiony sposób; lecz nim mu na jego głos odpowiedziano, nim nadeszły żona córki, synowe, sługi i wnuki, noc już była w połowie...

Wśród ciszy lasów zdala ten pochód słychać było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanemi, z zamkniętemi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejęły smutkiem i grozą. Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przypadł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu... Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze

i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając po cichu.

— ...Odszedłeś nas — wołały płaczki — niema cię, panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców twoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały...

I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki. Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie. Krew twa pomszczona, zemsta niesyta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za niemi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce. Cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, nim otoczonem, wśród gęstego boru, który obcym bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bladym porosłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w którem popioły i ofiara obietna mieścić się miała; chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną, jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic — ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku; przy niem składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły, jakby wschodami, do góry, gdzie Wisza trup stał otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka, przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby ustąpiły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią: wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi, przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwie, zajęły się nagle, szybko płomieniem jasnym i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą, stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinymi do koła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc się uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonąć stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa, już przezeń zjedzone, opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki,

wzmagał się i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzali z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało się im, iż ujrzą ze stosu ducha, ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odganiać należało złe siły, czarne bogi, i czterej parobcy na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi. Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było zczerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomię ogromne, w którem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły... duchy wzleciały. Dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i obiatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarą.

Zarzewie na zgliszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i popiołu. Zsuwano głownie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą, przyniesioną ze świętego zdroju, zwolna zalewać zaczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnicę, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnicę pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze — duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniósł nad popiołami Wisza...

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którem się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i zdala niewiasty.

W tem gęśla zabrzęczała i cisza nastała wielka, gałęźmi tylko w lesie wiatr szumiał zdala... Słowan dobywał z piersi głosu.

— Pusty w lesie dwór twój stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... woju stary... włosy miałeś, jak śnieg, białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata!... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół twój łzami polali; poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracać ci na ziemię... a po jasnem latać niebie — młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, obiaty ci nie skąpili... O Łado! Łado! Łado!...

Za starym wszyscy wołali: Łado! I rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

— Ojcze dobry... Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry:

— Krew za krew!

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu: stał smutny i on, jakby własnego ojca utracił... I począł też, wołając na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem:

— Stary Wisz niech się pocieszy! stanie się, czego on żądał, spełni się, co on przykazał... Idą wici, lecą wici... I starszyzna

już zwołana... Strach na grodzie... Chwostek blady niewolników swoich zbiera... Na wiec pójdziem, poniesiemy krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy... i o zemstę powołamy...

Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący, pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróżki i przekleństwa rzucała, coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ściśnione pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar powiększał; starsi o zmarłym rozpowiadać zaczęli, jak on młody wiek spędził w znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak gość był dlań świętym... Kubki krążyły, żal stawał się coraz gorętszym i zemsty pragnienie.

Niewiasty także, siedząc na uboczu, śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego i przeciągnęło dzień drugi i noc drugą, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy, biegała na wyprzodki do celu pieszo i konno; rzucała kamieniami, próbowała sił, borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycieńczyło. Dopiero się wszyscy rozchodzić poczęli, mogiłę żegnając jeszcze, a okładając ją gałęźmi zielonemi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgliszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi, przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj Ludek—rzekł—albo to pora albo nie, mówić o takiej sprawie, a ja chcę z serca zrzucić, co na niem mam. Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman, braciom ręce podając, począł:

— Ja z wami... ja wam bratem chcę być, bądźcie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek, który po ojcu odziedziczył ten sam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo ni wiele, ale co rzekł, to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on to nie swoją uczynił wolą... Co myślicie poczynać?

— Dobrzeście wprzódy rzekli — odparł po namyśle Ludek — zaniesiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym ją przed starszyzną i rzeczemy: Zginął Wisz za was, za wiec — niech wiec stanowi o pomście za krew jego.

Do wielu strasznych zbrodni dodał Chwostek najstraszniejszą: sprosiwszy stryjów na ucztę,. potruł ich za radą żony. Nie minęła go jednak kara, bo zbuntowany lud, z rodziną Myszków na czele, napadł nań w jego zamku i zamordował. Synowie jego, których dziadek, ojciec księżny, przysłał ze zbrojną odsieczą, również zostali pokonani, a wiec, zgromadzony dla wyboru nowego władcy, godność książęcą oddał Piastowi.

ZYGMUNT KACZKOWSKI (1826—1876 [1]).

Z powieści p. t.: Sodalis Marianus.

Jerzy Ożarowski, w cnotach i wierze zaprawiony w krakowskiej szkole jezuickiej, w służbie wojskowej wydoskonalił się we Francyi i po powrocie zrazu przy hetmanie Adamie Sieniawskim w Brzeżanach, jako prawa jego ręka, usiłował działać dla narodu z pożytkiem, potem czynny brał udział we walkach skonfederowanych przeciwników Augusta, nareszcie jawnie stanął po stronie Leszczyńskiego.

Wyjątek maluje popis pułku Jerzego w Brzeżanach wobec trzech hetmanów: Sieniawskiego, Denhoffa i Rzewuskiego.

Kiedy Jerzy pułk swój odebrał, nie trudno mu się było przekonać od razu, że mu oddano do ręki doskonały materyał, ale że wiele tu trzeba będzie pracy poświęcić, ażeby się z niego zrobił żołnierz taki, jakiego obraz nosił Jerzy w swoim umyśle. O pojętność, spryt, zręczność, a nareszcie waleczność, nie potrzebował się bardzo turbować, bo to wszystko już było jakoby dziedzicznem w tym pułku; ale ład, rygor, moralność, inne pojęcie wojskowego honoru i całkiem inne sumienie, rzeczy niezbędne, bo poprostu fundamentalne, trzeba było dopiero wyrobić. Pamiętał o tem Jerzy, o czem najczęściej zapominają dowódcy, iż mu oddano pod jego opiekę nie tylko żołnierza, ale także człowieka, a zatem i nim musiał się opiekować. Jakoż najpierwszą jego czynnością to było, iż, rozpoznawszy wszystkich żołnierzy z osobna, wszystkich namiętnych kosterów, nałogowych pijaków i nie obiecujących poprawy hultajów pod jakimbądź innym względem, wymazawszy z regestru, dymisyonował. Potem przyjął kapelana do pułku, a był nim ksiądz Głęboszewski, Andrzej na imię, człek młody, krzepki, pracowity i światły, a jeszcze do tego i towarzysz szkolny Jerzego, bo chociaż kilkoma laty starszy od niego, przecież z nim

[1]) Wyrósł w tradycyach szlacheckich ziemi sanockiej. Niezwykle zdolny i wcześnie ukształcony, od r. 1845 ogłaszał w *Dzienniku mód paryskich* we Lwowie wiersze. W 1846 dwa lata w więzieniu, potem praca nad historyą 18 wieku. Od r. 1851 zaczął wydawać powieści historyczne. *Bitwa o Chorążankę* zyskała poczytność; wychodziły kolejno: *Gniazdo Nieczujów*, *Murdelio*, *Kasztelanice Lubaczewscy*, *Bracia ślubni*, *Mąż szalony*, *Starosta Hołobucki*, *Grób Nieczui*, *Annuncyata*, *Sodalis Marianus* i *Żydowscy*. Równocześnie ukazywały się obyczajowe: *Kato*, *Wnuczęta*, *Dziwożona*, *Stach z Kępy*, *Bajronista*, *Rozbitek*. Odsiedział powtórnie więzienie po styczniowem powstaniu. Potem, osiadłszy we Wiedniu, a nareszcie w Paryżu, wydał powieści: *Graj Rak*, *Abraham Kitaj*, najlepszą historyczną: *Oltrachtowi rycerze*, *Wasi Ojcowie*, *Zaklika* i *Święta Klara*.

razem uczył się włoskiego języka. Jakoż, dostawszy tego upragnionego przez siebie kapelana, Jerzy swobodnie odetchnął, a porozumiawszy się z nim, o co rzecz chodzi, wzięli się zaraz obadwa do pracy. Z początku zdawała się ta sprawa dość trudną, bo, jak się powiedziało powyżej, wiele było hultajstwa w tym pułku; ale znów z drugiej strony niemałe było w tem ułatwienie, że ci ludzie chowali u siebie jakieś tradycyonalne zamiłowanie do nabożeństwa. Kiedy więc za tę nić uchwycili, to i nietrudno im było nareszcie nawinąć ją na ten kłębek, na jaki powinna być nawiniętą. Tym sposobem rozbudzili oni w nich wiarę rzetelną, a dając im coraz jaśniejsze o obowiązkach chrześcijanina pojęcia, oczyścili ją zwolna z owych wszystkich przyborów, które z nią nie licują. Kosztowało to bardzo wiele pracy, a nawet i niemałych poświęceń. Ożarowski musiał z początku karać obyczajem dragońskim, co mu niemało przynosiło goryczy, — ksiądz Andrzej zaś nie miał spoczynku ani w dzień ani w nocy, bo musiał nawet ich rozrywek pilnować; ale te poświęcenia sowicie się opłaciły. Żołnierze bowiem podnieśli się moralnie do niepoznania, przyszli do pojęć daleko zdrowszych i jaśniejszych, otrzęśli się z wielu przywar i błędów, a w nabożeństwie stali się tak gorliwymi, że nie tylko w obowiązkach chrześcijanina-katolika nie dali się nikomu wyprzedzić, ale nawet i w usługach około zamkowego kościoła, do których garnęli się na wyścigi. Przyszłoż do tego nareszcie, iż widząc, jak ich pułkownik, jako Sodalis Marianus, odprawiał codzienne z ks. Andrzejem nabożeństwo do Najświętszej Panny, uprosili swojego kapelana, ażeby i im wolno było to nabożeństwo odprawiać: co też uzyskali z łatwością, bo lubo z wyjątkiem jeszcze i tych i owych niebardzo pewnych, jednakże wszystkim innym porozdawał Jerzy skaplerze i postarał się o to, iż zostali wpisani do bractwa. Stąd też to poszło, iż wówczas stracił ten pułk wszystkie swoje dotychczasowe, a już zachwiane nazwiska, a otrzymał natomiast miano „Sodalisów", jak go też nazywano powszechnie. Wymusztrował on tak tych Sodalisów, że, patrząc na ich manewry, zdało się widzieć potworę jakąś o trzystu głowach, ale nie trzysta jednostek: takto tam każden krok, każden zwrot, każde ruszenie było dokładne, jednostajne i prędkie. Toż musztra pojedynczego żołnierza także: każdy Sodalis robił tak karabinem, jak najlepszy gracz małą szabelką i Bóg już sam nie wie, czego oni nie dokazywali tą bronią, z której się tak naśmiewali nasi husarze i dworowali sobie z tej nowomodnej piechoty,

mianując ich myśliwcami i wyprawiając na sarny, a co najwięcej na dziki. Prawda, że Ożarowski był sam mistrzem w tej broni i kiedy chciał swoim żołnierzom pokazać, co można zrobić bagnetem, to brał sam karabin do ręki i kazał najzręczniejszemu jeźdźcowi następować na siebie, a broniąc się mu, nie tylko nie dał mu siebie dotknąć, ale jeszcze go czasem i z kulbaki wyrzucił. Aleć to potem i każdy jego żołnierz potrafił.

Więc kiedy przy takiem zaopatrzeniu swoich żołnierzy w umiejętność i sztukę, co ich także o wiele moralnie podniosło, dbał jeszcze o ich wygody, o piękną barwę i niezbyt ich pracą obciążał, to i pozyskał u nich szacunek i miłość taką, że się nawet sam nie spodziewał, ażeby ci ludzie do tego stopnia go miłowali, jak to niżej pokaże się. Będąc nawet niejednokrotnie, osobliwie z początku, w tem położeniu, że musiał srogo ich karać, bardzo się o ich przywiązanie obawiał i mówił wtedy z ciężkiem westchnieniem do kapelana:

— Ej, Jędruniu kochany, żeby mnie tylko ci ludzie nie zniecierpieli! Bóg widzi, ile mnie to kosztuje, kiedy muszę ich karać: lecz muszę! Tak mi każe sumienie i wzgląd nie na mnie, lecz na nich samych. A mieliby oni nie mieć dla mnie nawet tyle miłości, na ilem u nich istotnie zasłużył, to byłaby to dla mnie zgryzota taka, żebym jej pewnie nie strawił przez całe życie. A na to zacny kapelan:

— Ale zmiłuj się, panie Jerzy, tylkoż sobie o tem i nie śnij. Bo zaręczam, że oni tak ciebie kochają, jak jeszcze nigdy nikogo. Na mnie to ten i ów krzywo spogląda, a to dlatego, iż z obowiązku muszę się wdzierać w ich tajemnice; ale ty, który ich o to ani nie pytasz, co się dzieje za służbą, jesteś u nich pół-bogiem. Jakoż wierz to mnie, iż, jak uważam po tobie i po nich, już wy się snadź nigdy nie rozdzielicie od siebie w tem życiu, chyba, że Bóg was kiedy rozdzieli!

Więc tedy Jerzy z początku choć tem się przynajmniej pocieszał. Lecz później, kiedy już kary się przerzedziły, a jednocześnie i w głowach tych ludzi trochę lepiej się rozjaśniło, to i nie brakowało mu na tych i owych dowodach istotnego przywiązania do niego. Jakoż natenczas i on ich jeszcze lepiej ukochał i coraz większą w nich znachodził pociechę, co było zresztą i rzeczą dość naturalną, bo w tych niepewnych i trudnych okolicznościach, w których sam jeszcze nie wiedział, na czem się jego rozmaite zamiary zakończą, ten pułk był prawie jego

jedynem dziełem, które istotnie i z rzeczywistym pożytkiem doprowadził do skutku. Toż nie miał on prawie większej pociechy nad tę, której doznawał natenczas, kiedy mógł jaką chwilkę swobodną przegawędzić ze swymi Sodalisami. A byli tam między nimi i żołnierze niezwykli, boć to jeszcze około czterdziestu znajdowało się między nimi, którzy odprawiali całą wojnę szwedzką od samego początku i było jeszcze takich dziewięciu, którzy towarzyszyli wyprawie wiedeńskiej. Wszyscy ci wiedeńczycy mieli rangi u niego, czterech było wachmistrzów, a jeden nawet porucznik, choć tylko czytać umiał cokolwiek, a kiedy mu przyszło podpisać swoje nazwisko, to potrzebował na to przydłuższego namysłu, bo mu się jakoś w pamięci bałamuciły litery.

Bywało, kiedy mu przyjdzie podpisać króciuchny raport, przez bieglejszego cokolwiek w pisaniu napisany wachmistrza, to go czyta ze trzy pacierze, a potem idzie do księdza i każe go sobie odczytać, bo i w czytaniu niebardzo sobie dowierzał. Więc potem siada i umaczawszy pióro, tak się zazwyczaj zamyśla, jak gdyby bieg jakich planet obliczał — a to mu litery tak planetami obiegają po głowie. Więc na to kapelan:

— No i czegóż się waszmość namyślasz? Podpisać i kwita.

— Ba, prawda — odpowiada porucznik — a jam się czegoś zamyślił.

Więc wtedy już pisze i podpisze się zwykle: Se Bastyon po Lifka, po, pi, pu, a nareszcie nie wiedzieć co. Aż go sam Jerzy pomału wyuczył podpisywać się regularnie: Sebastyan Polewka, porucznik pieszego pułku Sieniawskich. Ale pomimo tego był to człowiek wielkiej zacności, pobożny nad podziw, żołnierz żelazny, a przytem dziwnie spokojny, na pozór niby ponury, lecz przytem pełen dowcipu i przebiegłości. Słuszny był, dosyć zażywny, głowę miał dużą, a na niej czuprynę posiwiałą i rozpierzchnioną, jak strzechę, twarz tłustą, a na niej wąsy obwisłe; lecz przytem oczy duże błękitne, a w nich uśmiech nigdy niezachmurzony i poczciwość serdeczna. Kochał też go Jerzy nad innych i we wszystkich ważniejszych rzeczach na nim lubił polegać. On też był intendentem pułkowym, on głównym klucznikiem, on i podskarbim.

Jakoż i dzisiaj, po festynie skończonym, ile że już nie było więcej jak dwie godziny do świtu, zamiast udać się na spoczynek, poszedł Jerzy do niego. Chciał on go zbudzić i rozkazać mu, aby zawczasu powydawał nowe mundury żołnierzom

i coby jeszcze któremu z nich brakowało; ale go zastał już ubranego i majstrującego coś koło szabli.

— Jużeś to wstał, mój kochany Polewka? — rzekł Jerzy do niego — proszęż cię, powydawajże zaraz nową barwę żołnierzom i żeby wszystko było równo ze dniem gotowe.

A Polewka na to:

— Ot, szkoda gęby, panie pułkowniku, przecieżem nie przesłyszał befelu.

— No, więc to wszystko już porobione?

— A jużci! A po jakiemużby to było, żeby choć dziś o północy nie wstali? A stawałto któren z nich kiedy do parady przed trzech hetmanów? Jużem też im nagadał i proszę tak pana pułkownika, ażeby, jak który co chybi, obiecać mu sto bizunów i na pół roku do turmy. Bo to hultajstwo jeszcze sobie dworuje z tego popisu, myśląc jeno o tem, jaki to będzie za to traktament. A tu aż trzech takich wielkich rycerzy, trzech hetmanów, trzy buławy; mnie samego strach zbiera!

Zaczem zaraz szli na zamkową galeryę, wychodzącą na ten dziedziniec, na którym stał już pod bronią pułk Sodalisów. I Ożarowski stał już przed frontem — i zaraz zaczął swoje manewry. Jakoż było co widzieć. Wszystko to bowiem, co było znane dotychczas polskiej piechocie i to, o czem jeszcze jej się nie śniło, robił on z nadzwyczajną łatwością, a tak składnie i szybko, że się i trudno było nadziwić. Tutaj więc stoi, zbity ze swym pułkiem w czworobok, jak warcabnica, aliści w mgnieniu oka rozwinął się już w linię tak długą, na jaką starczył dziedziniec; to znów się ściągnie w jakąś inną figurę i znowu się porozrzuca tak szybko, że i nie wiedzieć, jak się to stało. Patrząc na to wszystko z zamkowej galeryi, zdawało się, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka, zawieszona w powietrzu, rysowała olbrzymiem piórem rozmaite figury po śniegu. Jakoż bardzo się to podobało hetmanom, a kiedy Rzewuski, lubo taki poważny, nie mógł ustać z niecierpliwości na miejscu, Sieniawski ciągle zacierał ręce i mówił:

— A co? a co? panowie bracia! Jeszcześmy tu podobno nie mieli takiego?

A na to Rzewuski:

— Niechże ich ogień spali, tych niemców! Bo i czegóż to oni nie wymyślą?

— Ale poczekajno, panie bracie — rzecze mu na to Sieniawski — boć to jeszcze nie koniec.

— A więc cóż jeszcze — odpowie hetman polny koronny — chyba, że będzie chodził po linach?

— Cha, cha, cha! — śmiał się Sieniawski — ot, ledwieby i w to nie potrafił z tym pułkiem.

A wtedy Jerzy kazał jeźdźcom najeżdżać na swoich piechurów. I wyjechał jeden pancerny z koncerzem, a drugi hussarz z kopią, jak zwykle na jedenaście stóp długą, a trzeci dragon niemiecki.

I wszystkie te pojedynki odbyły się z wielką dla Jerzego pociechą, bo ani jeden Sodalis nie dał się dotknąć jeźdźcowi, a ów, który walczył z dragonem, wysadził swojego adwersarza z kulbaki. Byłby go zabił niechybnie, gdyby jednakże nie to, że na bagnecie miał nasadzoną kulkę drewnianą, która broniła od rany. Ale stało się jeszcze daleko lepiej. Sodalis bowiem, jakoto frant kuty na cztery nogi, powaliwszy dragona na ziemię, przygniótł go pięknie kolanem i obdarł go w mgnieniu oka tak gładko, jakby na wojnie prawdziwej. A na dobitkę jeszcze mu konia odebrał i przy nim stanąwszy, nastroił się znów do obrony. Dragon, który na nieszczęście był własny Denhoffa i z jego świty, lubo już nie miał na sobie tylko koszulę i buty wielkie palone, myślał jeszcze, że to są żarty i sięgnął ręką po konia. Ale Sodalis go wprędce przekonał, o ile się mylił, albowiem, wziąwszy go w swoje dłonie żylaste, zwinął nim w górę i jakby piłkę przerzucił przez żywy płotek, za którym się zaczynały ogrody. Wpadł dragon w gąszcz róż i głogów i tym sposobem finalnie ustąpił z pola, zostawiwszy w rękach zwycięzcy cały rynsztunek i konia. Śmiechu tedy stąd do rozpuku: śmiali się oba hetmani koronni, śmiali się Sodalisi, a aż huk głośny zrobił się pomiędzy ludem, zalegającym galeryę. Tylko Denhoff się jakoś śmiać nie mógł, chociaż także gębę otwierał. Więc nabawiwszy się dosyć, Sieniawski, który sobie i nadworował cokolwiek z denhoffowskich dragonów, rozkazał, ażeby Victor Sodalis oddał rynsztunek i konia, a dragonowi żeby dano traktament. Ale Denhoff nie pozwolił na to na żaden sposób, a zawoławszy owego Sodalisa przed siebie, wykupił ową zdobycz od niego, płacąc mu i za fanty i za konia w dwójnasób.

WINCENTY POL (1807—1872 [1]).

Pieśń o ziemi naszej.

(Skrócona).

A czy znasz ty, bracie młody
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?
Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzódy,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.
Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię.....

* * *

Tam, na północ, hen, daleko
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty;
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty grzązkie, groble wązkie,

---

[1]) Nauki w szkołach tarnopolskich i lwowskich. Po chwilowej pracy nauczycielskiej w uniwersytecie wileńskim brał udział w powstaniu listopadowem i wtedy, a także już na emigracyi w Dreźnie tworzył patryotyczne gawędy i pieśni, które wyszły w 1835 p. t. *Pieśni Janusza.* Wróciwszy do Galicyi, napisał w 1835 *Pieśń o ziemi naszej, Obrazy z życia i podróży,* a w 1839 *Przygody J. P. Benedykta Winnickiego,* wydane później, oraz *Historyę szewca Jana Kilińskiego.* W roku 1846 w sanockiem stał się ofiarą napadu bandy chłopskiej, lecz ocalony, siedział w lwowskiem więzieniu. Działalność literacką rozwijał odtąd w trzech kierunkach. Pisał poezye: *Słowo a Sława, Senatorska zgoda, Sejmik w Sądowej Wiszni, Czarna krówka, Wit Stwosz, Mohort* (1852), *Pacholę hetmańskie, Z podróży po burzy, Pieśń o domu naszym, Rok myśliwca, Pan Starosta Kiślacki, Stryjanka.* Ogłaszał rezultat swoich geograficznych badań, które czynił jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego: *Północny Wschód Europy, Rzut oka na północne stoki Karpat.* Wydał dociekania w zakresie kultury p. t. *Pamiętnik do literatury polskiej XIX* w. i *Sześć prelekcyi o muzyce kościelnej.*

Grzyby, ryby i wędliny;
Lny dorobne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie;
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Gedymina.
Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym żwirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłoczny w wózkach małych,
Lud w chodakach, z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.
Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to, Litwinie?
Ale Litwin nie wygada,
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy
I na końcu swego dopnie.
Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie.
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom prowadzi
I o jutrze wiecznie radzi.
To też znajdziesz w każdej porze
Wbród wszystkiego, jak w komorze:

Czy w krajance, czy w gomółce
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski, i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśnie grzyby,
A kwas czysty miasto wody;
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki
I rok cały lód przeleży.
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A do koła włok rozpięty...
Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małem oknie
I czółenko pływa w włoknie,
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi, niby woda...
Jak lud żyje po Bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach po staremu;
Czas jej duszy nie wykrzywił,
Nikt się państwem nie oparzy.
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie, jak Radziwiłł!

. . . . . .

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,
Tam przed tobą Wołyń legnie
I zapomnisz kraj ubogi.

. . . . . .

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!
Wóz twój biegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach, —
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.
Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.
W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...
Hej ku morzu, ku Czarnemu,
Ku limanu szerokiemu
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie.
Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem wilk pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary
I mkną mary przez czahary
I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;

Po rozdrożach czart je wodzi
I tumany nocne płodzi...
Ponad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijów stary.
Tam złocone monastery
A w nich czerńce staro-wiery.
A gościńcem od Kijewa
Płyną maże z miodem, zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.
Rzeki ciągną się jarami,
A nad nimi długie sioła ;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica.
A mołojec każdy wojec,
Raźny, karny — a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych ;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśniach żyje ;
Tam stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba
I koń czerkies, kozak drużba ;
I poszyto i obuto,
Niewymyślmie, ale suto!

. . . . . .

Więc raz jeszcze potocz okiem
Po tych łąkach, po tych łanach
I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach!
A wypiwszy strzemiennego
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka rycerskiego,
Jedź na zachód bitym szlakiem.
Bo od tych to niw kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,

Leży czarno wyorana
Ruś czerwona, Ruś hreczana.
Wielkich wspomnień to ognisko,
Starych bogów uroczysko,
Wiernych dziadów bojowisko
I praszczurów pogranicze.
Tymto szlakiem ordy, dzicze,
Biły w dziejach ode wschodu,
Po nim poszedł ślad hetmański
Z Bożym kmieciem i krzyż Pański
Ku odsieczy dla narodu.

. . . . . .

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry.
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami.
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginął w Czarnym Lesie,
Kędy zwierz się w gawrach kudła,
A ku równiom Świca rwie się.

. . . . . .

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup, zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...
Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie; deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie

Na błękicie bez obłoku
I dokoła okiem błyśnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

. . . . . .

W góry, w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szałase do pasterzy,
Gdzie się serce z sercem mierzy,
A ze źródła woda bieży!
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry.
A gdy ponad turnie czasem
Przegrzmi latem nagła burza,
To zieleńsze potem wzgórza
Popod hale, ponad lasem.
Świeższe, żywsze barwy, wonie
I powietrze bywa lżejsze,
Ach i bole serca mniejsze,
Czyste czucia w lżejszem łonie...
A od gór tych aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z serca, z męstwa, gościnności,
Wielka wiarą i kochaniem
I przy wierze wiernem staniem,
W której siedli duchem prości.
Kędy wzgórek, to i dworek.
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany,
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią
I na Anioł Pański dzwonią;

A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem...
Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń spuścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednej krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska,
Jak szeroka Polska, słynie!

. . . . . .

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty
I nie ciasno jest nikomu;
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka
Dla obcego i dla swego.
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!

Jak tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla zagórskich panów!

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne...
Przed świętymi lampka płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łożem karabela...

Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do maryasza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje...

. . . . . .

Wyleć, wyleć, orle młody!
Ponad ziemię, ponad grody,
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy
I tych łanów złote kłosy,

I tych ludów śpiewne dumy,
I wód fale, i niebiosy
Grają jedną pieśnią strojną,
Jak Bóg wielką i spokojną!
Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiałą,
Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginąć umie.

LUDWIK KONDRATOWICZ (1823—1882 [1]).

(Władysław Syrokomla).

Pocztylion.

Gawęda gminna.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz, jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli?
Ni dzwonek, ni trąbka, ni krase dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół, jak wprzódy.
— O, bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! Przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:
Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;

---

[1]) Uczył się w Nieświeżu i Nowogródku na Litwie. Po dwuletniej pracy w zarządzie dóbr radziwiłłowskich ożenił się i pracował na dzierżawie zrazu w Załuczu, później w Borejkowszczyźnie pod Wilnem.

Pisał gawędy: *Pocztylion* (1844), *Trzy gwiazdki*, *Chodyka*, *Dyfferencya*, *Lalka*, *Kradzione*, *Błogosławiony Sadoch*, *Urodzony Jan Dęboróg* (1853), *Zaścianek Podkowa*, *Garść pszenna*, *Kęs chleba*, *Margier* (1855), *Janko Cmentarnik*, *Zgon Acerna*, *Królewscy lutniści*, *Stare wrota* (1857), *Ułas*, *Szkolne czasy Dęboroga* (1859), *Stella Fornarina*. Tłómaczył poetów łacińsko-polskich: Dantyszka, Krzyckiego, elegie Janickiego, ody i elegie Kochanowskiego, *Roxolanię* Klonowicza, Szymonowicza, ody Sarbiewskiego, a także przekładał z Berangera, Goethego, Puszkina, Szewczenki.... Wydał też *Historyę literatury polskiej*.

Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.
Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany;
Dostałem złotówkę: — o, wtedy hulanka,
Wesoły i syt i pijany!
Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem, jak z równym i kwita;
I konie mnie znały: jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.
Wesoło wieźć pocztę! Zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście.
O, wtedy pewniutka dwuzłotka!
Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie.
Mieszkała w wioseczce o milę,
Bywało, wracając, nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.
Raz woła mię pisarz, w północnej coś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę.
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.
— Powieziesz szafetę! — Oj, licho przywiodło! —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło —
I w moment puściłem się cwałem.
A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe mignęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!
Wśród wichru poświstów głos, z płaczem mieszany,
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza: pomogę! Ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.
Zwróciłem już konia — wtem, jakby coś zda się,
Ktoś szepnął: A tobie co po tem?
Ej, lepiej godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić twą dziewkę z powrotem.
Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem;

Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć
I dalej siwego zaciąłem.
Wracałem o świcie. Trzy wiorsty do domu,
Strach znowu ogarnął mnie skryty:
Duch zamarł, a serce, szepcąc pokryjomu,
Stukało, jak dzwonek rozbity.
Przy słupie koń czmychnął, zjeżyła się grzywa:
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna, jak drewno.
Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica: to była... Ach, bracie!
Daj czarkę, dokończyć nie mogę...

Lalka.

(Gawęda dziecinna).

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.
W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze
I pojedziem do kościoła.
Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada,
Czy to ja chłopka wioskowa?
Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędzej,
A dla mamy i papy niech da wiele... wiele...
Żółtych i białych pieniędzy!
Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,
A Pan Bóg taki dobry, że, co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.
Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną

To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo,
Że i przeliczyć nie można.

Lalko, jaka ty śmieszna! Nie rozumiesz zgoła:
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci
Albo przyśle z pieniądzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! — Jak mówi mama — z Opatrzności Boskiej,
Przyjedzie żyd brodaty, da groszów i dosyć...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.

Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane — czysto jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, to Bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi,
Doprawdy, że aż szkoda... Skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!

Ot i wczora: — gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się, czy to pięknie i co za potrzeba?
Weszli — zbrudzili pokój, krzyczą, jak niedźwiedzie:
Chleba, panoczek, daj chleba!

Więc kazano ich obić. I słusznie obici;
Już ja, kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jakto zasnąć, kiedy naród blady
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem, to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby zabiorą.

Lub co gorsza — w obrazku Pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie.
Lalko, zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie:
Chłopom i papie i mamie.

Wyzwolenie włościan.

Czytałem wolę dobroczynną cara,
Co prawa ludzi ludziom przypomina —
I byłem pewien, że żadna ofiara
Nie będzie ciężką dla serca Litwina.
Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,
Piękne dożynki społecznego żniwa,
Chodziłem co dzień patrzeć za rogatki,
Czy wielu szlachty do miasta przybywa?
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,
Gdym ujrzał postać znajomą w przeźroczu,
Łzy biegły z oka: czy to gryzły piaski,
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?
Ja nie wiem, nie wiem, skąd ta łza się kręci,
Skąd moje czoło hardzieje wawrzynem:
Że mój prapradziad był szczerym Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.
Myślałem sobie: — Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano;
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie
Moskwa i Polska, cała Europa,
Żeśmy Litwini w dobrowolnej zmowie
Jarzmo i łańcuch rozwiązali z chłopa;
I że najpierwsze odbiorą oklaski,
I kartę w dziejach, jako przykład światu,
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,
Którzy są głową i sercem powiatu;
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci
Zrzekną się bicza, nie słowem, lecz czynem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.
Ze szlachtą w Kownie piłem przed miesiącem
Radosny toast wyzwolenia włości;
Czytałem z Grodna, jak inkaustem wrzącym
Brat swemu bratu dawał wiadomości:
„Choć tutaj piaski, choć tu grunt nieżyzny,
„Choć do Druskienik pieniądze mieć muszę:
„Winszuj mi, bracie, zrzekłem się pańszczyzny!

„Bom ja nie szatan, by posiadać dusze“.
Myślałem sobie: — O wy fanfarony!
Co mi tam w Kownie i co mi tam w Grodnie?
W Wilnie jest serce mej Litwy rodzonej,
Wilno tę sprawę rozwiąże nam godnie.
Tam wszyscy, dobrem ogólnem przejęci,
Wodę chrztu Litwy przemieszają z winem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.
Ze starej Lidy, ze starej Oszmiany,
Z Trok kiejstutowych, z Wilejki i z Dzisny,
Kwiat naszej szlachty, dokoła wezwany,
Wyrok dla ludu podpisze korzystny.
Z takim oklaskiem, w tak niedawnej chwili,
Wybrani świetni powiatów ojcowie,
Czyżby się Wilnu wstydzić dozwolili
Odjąć koronę Palemońskiej głowie?...
Przecież się stało.... Kraju mój rodzony!
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili!
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
O, wstyd mi Wilna! Nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Cupio dissolvi.

Naco mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...
Poco mam chodzić w szacie zwierzęcej?
Moje radości, moje katusze
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.
Kiedyś mnie stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba

Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w Twych ręku?
Czyż nie rozumiesz bolów bez jęku?
Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż dość cień myśli mej wytłómaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby.
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
By doskonalej pojęła rzeczy.
W ziemskich warunkach ciała i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze.
Wysokie żądze giną bezpłodne,
Wzamian rozkoszy, co mnie niegodne;
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka.
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było Boże.
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.
A zawsze bolem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja, moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mnie ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mnie, Boże,
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

Z M. K. SARBIEWSKIEGO.

Oda III.

O zwycięstwie Polaków nad Osmanem, cesarzem tureckim, pod Chocimem dnia 6. września 1621 r.

Galezus, z nad Istru ziemianin bogaty,
Gdy, orząc na swoim zagonie,
Wykopał w rozorze żelaza i szmaty,
Rycerskie pancerze i bronie,
Gdy znalazł stos kości w pokrzywie i zielsku:
Siadł sobie wieczorem pod sosną
I piosnkę swobodną po prostu, po sielsku,
Zaśpiewał serdecznie i głośno:
Ej, soszne me woły, usłużne me woły!
Już wieczór szarzeje na dworze,
Już pora nam wytchnąć! Ot, ugór wesoły!
Paście się w wesołym ugorze!
I Polak zwycięzca, znużony głęboko,
Położy swój bardysz i zdrzemie.
Ej, lackie wy dzieci! Turecką posoką
Mołdawską spluchaliście ziemię!
Ha, ileż to łomów i gruzów po Turku!
Co trupich się kości rozsiewa!
Co pustych pancerzów na dzikim pagórku!
Co trzasek, żelaza i drzewa!
Pamiętam, pamiętam turecką niewolę:
— Jam wtedy dziecinne miał lata —
Od złota, od miedzi błyszczało się pole,
Gdy tędy przechodził Sarmata.
Ej, bitwęż widziałem na dackiej tu błoni!
Już druga się zręczność nie poda;
O, byłoż co widzieć! Co koni, co broni!
Rycerstwo płynęło, jak woda!
Zagrano na kotłach, podbiegły pogany,
Rycerze mieczami ich sieką;
A potem zagrzmiało — dym buchnął siarczany
I ogień poleciał daleko!
Rozbiegły się pędem i zwarły się razem
Proporców i mężów dwa roje;
Grom z gromem, żelazo starło się z żelazem

I zbroja stuknęła o zbroję.
Nie z takim zapędem gra burza szalona,
Nie warczą tak grady i deszcze
I sosna alpejska, od wichrów tłuczona,
Nie z takiem jęczeniem szeleszcze.
Nie tak się gwałtownie Akwilon wydyma:
Tu dzieła mądrości, tu prace,
Tu dzielność, tu wściekłość, tu gniewu już niema,
Lecz sława do serca kołacze.
I długo fortuna na skrzydłach się waha,
Nie dając zwycięstwa oklasku.
Tu rota Polaków na oko tak błaha,
Tu pułków tureckich, jak piasku.
Lecz cóż tam pierzchliwi Turkowie, Araby,
Co dzicy poradzą Tatarzy
Naprzeciw Sarmatom? — Ich zastęp tak słaby,
Lecz w sercu odwaga się żarzy.
Tu Litwin szermuje dotrwały, waleczny,
Tu działa rycerski Sarmata,
Polacy i Litwa, jak miecz obosieczny,
Co razem dwa cięcia rozpłata.
Jak rzeka gwałtowna, co dwoma koryty
Spadając ze wzgórza na błonie,
Czy pola, czy lasy, czy baszt wielkich szczyty
Podmyje, rozwali, pochłonie:
Armata Prusaków bez przerwy ogniowa
Zionęła zabójcze wystrzały,
Chorągwie inflanckie i ruskie znamiona
Nie próżno nad wojskiem rozwiały.
Widziałem was Turki: wasz księżyc obronny,
Wasza się chorągiew podnawa;
Gdy pierzchał wasz zastęp piechotny i konny,
Wzniosła się kłębami kurzawa!
Nie w liczbie, lecz w sercu wojenna różnica:
Wszak jedno żelazne narzędzie
Las cały wytrzebi — wszak jedna orlica
Największy gołębnik zdobędzie.
Co trupów i jeńca, i broni, i znaków!
Nie prędko zapomnieć o biedzie:
O, męże tureccy! Szablica Polaków

Na długo wam z myśli nie znidzie.
Tam Emon — tu stosy zdobyczy i łupów,
Arabskich pocisków i grotów,
Tu leży Karakas skrwawiony wśród trupów,
U wejścia do lackich namiotów.
Bezbożne nadzieje Bóg rzuca na stronie,
W proch marnej nicości rozetrze
I pyszne przechwałki, co hardy wyzionie,
Rozpłyną się dymem na wietrze.
Ej, piosnko ty moja, nieskładna i dzika!
Nie tobie dopłynąć do nieba!
Tu harfą poety, nie fletem rolnika,
Tę wojnę opiewać potrzeba.
Ktoś wierszem godniejszym potomkom opieje
Te dzieła, ten tryumf bogaty...
Lecz woły już syte, już wieczór szarzeje:
Czas z pługiem powrócić do chaty.

TEOFIL LENARTOWICZ (1822—1893 [1]).

Kalina.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowem słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła, jak dziewczę młode
I, jak w lusterko, patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny

---

[1]) Po ukończeniu szkoły powiatowej w Warszawie uzupełnił wykształcenie własną pracą. Dał się poznać utworem *Do poezyi* w 1844 r. w *Bibliotece Warszawskiej*. Opuścił Mazowsze w 1848 r. i żył w Krakowie, Poznaniu, później w Belgii, Paryżu, a od r. 1861 osiadł na stałe we Florencyi. Udoskonalił się w rzeźbiarstwie: rzeźbił i pisał. Wydał: *Cztery obrazy*, *Polska ziemia w obrazach*, *Szopka*, *Lirenka* (1858). *Nowa lirenka* (1859), *Bitwa Racławicka* (1859), *Ze starych zbroic*, *Gladyatorowie*, *Album włoskie*. — W latach 1882—1886 wykładał w uniwersytecie bolońskim historyę literatury polskiej i słowiańskiej.

I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana, oj, dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I, jak dziewczyna, w gaju czekała,
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina snać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale wrzuciła w wodę,
Z żalu straciła całą urodę.

Dwa dęby.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, po sto lat miały.
Raz przy miesiącu, nad cichą wodą,
Dąbek, staruszek, potrząsnął brodą
I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
— Co z ciebie będzie, miły sąsiedzie?
Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią,
Będę kołysał małe dzieciątko
Albo chłopaka, albo dziewczątko.

— A ze mnie, drugi dąbek odpowie,
Żłóbek dla koni zrobią majstrowie,
Nade mną dużo zawieszą siana,
Przy mnie stać będzie konik ułana.
A pierwszy na to: — Bądź sobie żłobem:
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.
— Mój miły bracie, nie mów tak szumno
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.
Pięć desek zbiją na wieczne spanie,
Któż tedy z człekiem dłużej zostanie?

A pierwszy na to: — Bądź trumną sobie,
Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
Tu leży wojak, w bitwie zabity.

Jakto na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty;
Po łące stąpają bociany powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną;
Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu; pędź, głosie, po rosie!
Po długiej dolinie tęskne tony cieką
I słychać piosenkę daleko, daleko...
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna, za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj, ślicznato ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze
I sosny roślejsze, i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły... Oj, tęskno mi do niej!
Dziś tułam się oto i tęskliwie żyję
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.

I tak schodzi zima i za zimą lato.
Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!
Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.

Błogosławiona.

Na sądy Boże dusze się spieszą.
Jedne się smucą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebiu stoi na straży
Anioł, co ludzkie uczynki waży:
Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełek ptaszka,
Na czoło mały świecący krążek,
Przepaskę jasną z niebieskich wstążek;
Ostatnią łezkę z oczu ociera
I już się przed nią niebo otwiera.
Tam się patronce swojej pokłoni,
Co się przez życie modliła do niej
I ucałuje koniuszek szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty,
A owe święte dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą.
Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach;
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele.
Święta księżniczka, pełna pokory,
Co wystawiła cztery klasztory
I sama w jednym czas bardzo długi
Robiła biednym proste posługi,
Nosiła wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki
I, gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała;
Bo przytem dobra, piękna, rozumna,
Ale nie taka, jak drugie, dumna.
Więc uprosiła u ojca księcia,
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie
Już upatrzyła Pana na niebie;

A jak wyrzekła, tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznej dostała
I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorek dzierżąc przy boku.
Za nią, oparty o pszenny snopek,
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu też Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci, jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista, biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

Święte patronki dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować:
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiej żadna nie wstydzi
I że tak piękne niebiosa widzi.
— Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć Matuchnę Bożą,
Aby z daleka, aby choć ździebko;
Widziałamci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskiem jest za pastuszka,
Co, pasąc gąski całe poranki,
Na chwałę Bożą grywa w multanki. —
— A cóż ty żądasz? — Prosićbym chciała,
Żeby też oczko na niego miała.
Więc święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą —
Aż tam, wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przegląda jasna Królowa ziemi,
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce.
Na Jej rozkazy anieli służą,
Tacy przecudni i tak ich dużo.
— Święta Barbaro, a gdzież ów leci?
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,

Niesie przed sobą rajskie jabłuszka.
— Chwała Ci, Boże! A owo panię,
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie?
— Niesie kapeczkę z krynicy świeżej,
Co przy stolicy przedwiecznej bieży,
Żeby w czyścowej strasznej posuszy
Odwilżyć usta cierpiącej duszy,
Która się łaski Bożej doprasza;
A ta duszyczka — to matka wasza...
— Chwała Ci, Boże! A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?
— Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali
Ubodzy ludzie, choćby z najdalej,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł pański mu podpowiadał.
— Chwała Ci, Boże! A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O, święte panny, jakże mu spieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...
— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata
I o tej porze, po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi;
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.
— Chwała Ci, Boże! A ówże biały,
Co mu się skrzydła porozstrzępiały?
— Ten niesie liścik od Matki Bożej,
Który na wiejskim ołtarzu złoży,
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całej
Nowe sukienki na siebie wdziały
I kwiecia żeby przyniosły pęki

I zaśpiewały na Bogu dzięki,
Bo już w tym kraju, przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu, ni wroga.
— Chwała Ci, Boże, za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała!
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tem,
Co umierają z głodu pod płotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiela różnej pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy.

I święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą.
Po drodze nieraz wznoszą paluszek
To na obłoczki z dziecięcych duszek,
To na aniołów twarze pogodne,
Spieszących lilie okrywać wodne
Taką tkaneczką, w niebiosach tkaną,
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
I drugie, które z srebrnych przetaków
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
Jeden się żywem światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;
A jeden robił z srebrnych włókienek
Płótno na suknie świętych panienek;
A jeden zwijał tęcze na paski;
A jeden zbierał na kółka blaski.
Szczęśliwa dusza, idąc pod ręce
Ku przenajświętszej Matce Panience,
Myślała sobie, czyby nie trzeba
Prosić o więcej Królowej nieba?
Za moim chłopcem — toć to za mało,
Za panią naszą teżby się zdało,
Za panem naszym, co go zawiało. —
Aż tu, jak gdyby z pod ziemi, z nizka,
Jak para, głos się wdzięczny przeciska...
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,

A to pan z panią podzięki składa...
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzyczką tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza, gdy chcemy komu
Oznajmić wielkie wesele w domu,
Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakeś prosiła, tak się i stało,
Wszystko tu jedno: dużo czy mało.
I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą.
A ta już nie wie, jak im dziękować:
Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiej liliowej szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty.
A święte mówią: — Jeszczeto nie to,
Co ujrzysz dalej, dobra kobieto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
Tu ci pokażem skarbnice Boże.
. . . . . .
Spojrzy i widzi cuda przed sobą:
Na wyrabianej, srebrzystej tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka.
Na boku puklerz, jak miesiąc, leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy
I dla miłości żywego Boga
Bronił samego wroga od wroga;
Dalej, jak młyński kamień ze złota,
Grosz, który dała biedna sierota;
A nad tem wszystkiem — i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie!
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziej, niż słońce,
Najdalsze świata Bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blizko
Na to miłości Bożej ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni

Korona Boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżej w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.
Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała
— A cóż ja, Panie, dla Ciebie dała?...
A święty klucznik wskazał jej zdala
Maleńkie serce, jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca.

I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą.
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa, widząc, jak z jego kija
Lilia bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k'świętej,
Jak człowiek, żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef — prawi. —
— Niechże mi on też pobłogosławi.
A święty Józef zwraca się żwawo
I rączkę nad nią wznosi łaskawą.
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy
I Jan, z Chrystusa uczniów najsłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy, jakby na gody, strojni.
Idą tak razem. Na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku:
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele.
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrząca cieszy się dusza
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie!

W świętej gromadce to i iść sporzej.
Jedna im droga do Matki Bożej.
Gwarzą ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo,
Że się wydaje, że dziecko głuży,
Więc się im owa droga nie dłuży.
Na ziemi było już po zachodzie,
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie
I wiejskich owiec wesołe beki,
Które owczarek poił u rzeki.
I śpiew słowika, co w letnie noce
Na chwałę Bożą wdzięcznie szczebioce,
Ciche westchnienia na progach chatek
I pacierz małych klęczących dziatek, —
Kiedy do rajskiej weszły gospody
Szczęśliwe dusze na wieczne gody.

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrzawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza,
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnej roboty,
Płatkiem przykryty, stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie.
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeli światłość, jak przybywała,
Jak wszystko wokół poprzeciskała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać, idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

— Lirenko moja, mała lirenko,
Coś mi tak nagle zgłuchła pod ręką?
Czyś się jasności niebios wylękła?
Czy jaka struna na tobie pękła?...
— Anim się jasnych niebios wylękła,
Ni żadna struna na mnie nie pękła,

Tylko z powietrza dłoń na mnie spadła,
Na wszystkie struny palce pokładła,
Jak gdy szczęśliwe pacholę nasze
Na gniazdku śpiewne przykryje ptaszę.

Z Bitwy Racławickiej.

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery:
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje,
Kraj, jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami:
Konnica, piechota;
Małe dzieci, zadziwione,
Patrzały z za płota;
Powłaziły na gałęzie
W te zielone gąszcze
I na wierzbach, na topolach
Siedziały, jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi,
Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był, jak i drugi.
A ci ludzie, co poznali,
To mówili sobie:
— Że też taka wielka dusza
W tak małej osobie.
Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata,
Anioł Boży z dolin, wzgórzy,
Siwe mgły rozmiata.
I wyczyścił całe pole,

Jak oka źrenice,
I pokazał... tam Moskali,
A tu Racławice.
I wysunął się Kościuszko
Na przodek szeregu,
I zawołał: — Wiara bracia,
Od brzegu do brzegu,
A najpierwej wy, wieśniacy,
Polski ludu rolny,
Widzisz Moskwę? — To niewola:
Bij, a będziesz wolny.
Czy nam zagon ten nie miły,
Uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał,
Jeden Bóg wie, zaco?
Wiara bracia, przez Bóg żywy,
Kto Polak prawdziwy,
Niechże będzie już nie mściwy,
Ale sprawiedliwy.
Puszczać kosy na te chwasty,
Co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową,
Ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?
— Zrozumielim, Naczelniku:
Trzeba bić Moskali!...
— Jezus-Marya — hasło nasze.
— Jezus-Marya! — wrzasną;
A na rżysku od kos błysku
Zrobiło się jasno.
Nasz doboszyk w bęben grzmoci
Aż się cały poci;
A trębacze trąbią w dali:
Hurra, na Moskali!
Gdzie najwięcej ludzi pada,
Tam Kościuszko leci,
Porządkuje, rozkazuje:
— Trzymajcie się, dzieci.

Wiele złego na jednego;
Kościuszko spogląda:
  Żeby chociaż trzy armaty,
Tego mu się żąda.
  Szczęście nasze, że mgły ciągną,
  Że się dymy kłócą,
Bo gdy zoczą, z kim bój toczą,
  Czapkami zarzucą...
Popatrzał się nasz Kościuszko
  Na mgliste niebiosy,
Zaplotł ręce kłopotliwie
  W swoje długie włosy,
Krótko cugle wziął do ręki,
  Wpakował ostrogi,
Siwy konik stanął dęba,
  Na obiedwie nogi.
Wstrząsnął grzywą,
  Parsknął żywo,
I puścił się pędem,
  Gdzie za wzgórzem kosyniery
Stali jednym rzędem.

Pokłonił się naród wiejski,
  Jak zboże w wietrzyku,
— Wiwat! — krzykną — najmilejszy
  Ojcze Naczelniku.
— Niechże będzie pochwalony!
  — Na wieki! — odwrzasną —
A na rżysku od kos błysku
  Zrobiło się jasno.
— No, cóż, wiara Krakowiacy,
  Jakże wam się widzi?
Czy się dziś Polak powstydzi?
— Zaś się tam powstydzi!
Jeszcze takie, Naczelniku,
  Prawo nie nastało,
Żeby się to polskie wojsko
  Moskiewskiego bało.
A gdy Bartosz czapkę w górę
  Wyrzucił nad głowy, —

Że już teraz za ojczyznę
  Polski lud gotowy:
Jak nie hukną kobzy, dudy,
Skrzypka jak nie utnie,
  Jak się nasi Krakowiacy
Nie puszczą okrutnie: —
  Od radości aż zadrżała
Ziemia poorana,
  A wciąż pieśń się odzywała:
Danaż moja, dana!
  Idą, idą, chylą głowy,
Uśmiechają lica,
  To zabrzęknie kosa pięknie,
To utnie skrzypica;
  To ich dymy wpół przesłonią,
To słońce oświeci;
  Wiara pędem równym rzędem
Po pagórkach leci.
  I piosenka wciąż dolata,
Cichym wiatrem gnana:
  Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana!

  Uderzają... — Jenerale,
Przycichł grzmot armatni.
  Jeden jeszcze wystrzał pada
    Słyszycie! Ostatni...

I stanęli przed Kościuszką
  Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się pokłonili,
  Potem zaśpiewali:
— Kto za ciebie, matko nasza,
  Zdrowia pożałuje,
Niech mu tego przy skonaniu
  Pan Bóg nie daruje.
Ojcze miły, Naczelniku,
  Przynosimy plony:
Osiem armat na wojenkę,
  A cztery na dzwony.

Całe pole oczyszczone
  I tylko po stronie,
Owdzie leżą ludzkie ciała,
  Owdzie leżą konie.
Świeć, miesiącu, na te góry,
  Lasy i krynice,
Niech się srebrzą, niech się złocą
  Nasze Racławice.

KORNEL UJEJSKI (1823—1897 [1]).

Trzy struny.

O, mam ja harfę — od Boga kochany!
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze.
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze,
A moje serce, o, to jej podnóże!
  I z tego serca biegną struny różne,
  A wszystkie były z mych bolów poczęte;
  Ja je wysyłam, jak ptaki podróżne,
  Niechaj brzmią pieśnią, którą ziemi dłużne,
  Niech, jak łabędzie, z milczenia odklęte,
  Zawodzą hymny prorocze i święte.
Jedna z strun takich, jak włókno pogody,
Ciągle lecąca i w ciszy powiewa,
Wciąż się zaczepia o góry, o wody,
O prochy mogił, rozwalone grody,

---

[1]) Uniwersytet we Lwowie. Młodo wszedł w koła literackie, zawarłszy znajomość we Lwowie z Polem, Dzierzkowskim, Szajnochą, Bielowskim, w Warszawie zaś w 1844 roku z Lenartowiczem, Wójcickim, Wilkońskimi i Deotymą. Pierwszy większy poemat *Maraton* w 1845 roku, poczem w roku rzezi tworzył *Skargi Jeremiego* i wiersze liryczne, jak *Ziemia* lub *Anioł Pański*. Odbywszy podróż do Belgii i Paryża, gdzie zaznajomił się z Lelewelem, Zaleskim, Mickiewiczem, a zaprzyjaźnił ze Słowackim, po powrocie osiadł pod Lwowem na dzierżawie w Zubrzy, później w Pawłowie na Podolu. Wydał *Kwiaty bez woni*, *Zwiędłe liście*, *Melodye biblijne*, obrazki dramatyczne i poematy, jak *Pług a szabla*, *Błonia medyckie*, *Po latach ośmnastu*, *Podróż przerwana*, *Konfederat*, *Ostatni Buczaccy*.

Posłował do Rady Państwa i przemawiał nieraz na uroczystościach, stąd: *Żywe słowa Jeremiego* i mowy polityczne.

Wciąż na podsłuchu, co tam szumią drzewa,
Co woda szemrze, co jaskółka śpiewa.
  A kiedy całą tę harfę oblata,
  Na tysiąc ramion, jak polip, rozwiana,
  Kiedy się wszędzie ze wszystkiem pobrata
  I w końcu pozna, że z całego świata
  Ach, najpiękniejsza ta matka kochana —
  To pod mą dłonią drży rozradowana.
A druga struna wiąże się do strzechy
Tych biednych sierot, co w zniewadze giną.
I tam opieśnia ich żal bez pociechy
I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
Przez tyle wieków nieotarte płyną:
Że zbrodnią jest już to, co było winą.
  Ta druga struna chciałaby się dostać
  Do ich serc głębi, by jej tajnię głosić,
  Aby rozjemcą między nami zostać,
  Aby wiedziała, gdzie grozić, gdzie chłostać,
  I komu kazać, i kogo poprosić,
  I jakie modły do Boga zanosić.
A trzecia struna, moja struna złota,
Pnie się do nieba, jak sznurek pajęczy,
A tam niebieskie, zasunięte wrota
Tak gęstą siecią ciekawie obmota,
Że każde słowo wyroków oddźwięczy,
Każda wieść zbiegnie po takiej poręczy.
  I po tej strunie płynie wielka skarga,
  Skarga milionów — ale w swoim biegu
  Za każdym ruchem mojem sercem targa:
  Tak przy gorącej modlitwie drży warga,
  Tak, kiedy łabędź swą piersią ze śniegu
  Rozbija fale, drży lilia u brzegu.
Biada, o, biada temu, kto znieważy
Świętą tę harfę, spowitą w całuny!
Piętno mu hańby wycisnę na twarzy,
Każda go struna przeklnie i zaskarży
Przed sądem Boga; nad nim te trzy struny
Dzień i noc świecić będą, jak pioruny!
  Lecz oto wiedzie nas gwiazda zaranna
  W czas obiecany światłością obrończą:

Wtedy z tej harfy melodya skalana
Uderzy w niebo: Hosanna, hosanna! —
Wtedy te struny w jedną się połączą
I pieśń rozpoczną, co wieki nie skończą.

Anioł Pański.

Och, jasno, zielono! A wieczór tak cichy.
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł-Pański...

O, dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie!
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł-Pański...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co ziemię mogilą,
To pierś się podniesie, zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł-Pański...

Nie każdy w swym grobie spoczywa snem ciszy
I rzewną tę piosnkę nie każdy usłyszy —
Są tacy, co, walcząc ze strachem,
W okropnych męczarniach rzucają się w trumnach,
Bo marzą, jak niegdyś, stojąc przy kolumnach,
Z ojczystym zapadli się gmachem.
A głosy jęczące zgruchotanych dzieci
Aż dotąd piorunią im w uchu,
I żaden głos inny już ich nie doleci —
Więc za nich, o, zadzwoń, mój duchu:
Anioł-Pański...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało, pielgrzymką stargane boleśnie,
Do ciszy trumiennej się skłoni,
Jak dzisiaj, tak kiedyś, w mej śmierci godzinie,
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając, raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł-Pański...

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie,
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie,
Jak pszczoły w swym ulu spróchniałym;
Niech marzę, żem widział, konając, lud zbrojny,
Zwycięstwem promienny, powagą spokojny,
Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży,
Z dumania się mego ocucę
I serce tak żywo, jak dzisiaj, uderzy,
Jak dzisiaj, pokornie zanucę:
Anioł-Pański...

Zawiana chata.

Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą, cichą, nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją

W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz, czerwonem już świecisz łuczywem;
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi, wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla,
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt — weselszy chwyta za łopatę:
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę..
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

Za służbą.

Przyszło bose, w brudnej koszulince
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie;
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince.
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz, dziecię moje?
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków — co chcesz dziecię moje?
— Ta, za służbą... o, pies, ja się boję!...
— Pies ten złego nie robi nikomu.
Chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ta, niczyja —
— A gdzież matka?
— Zmerła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot, człowiek bieduje...
— Jaki człowiek!

— Ta ja, pani miła.
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej, gdzie mogiła,
Tam, gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe, tak mówi rozumnie!
To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta, chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O, o, bardzo głodna!...

* * *

O, ty, ziemio polska, ty zawodna!
O, ty, ziemio polska, tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!...
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny, ach, bo nieszczęśliwy!
O, ty, ziemio polska, ty zawodna!
Taka strojna licem i swobodna:
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu,
O, nie owoców już ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko, ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży

I o grobie, niby starzec, marzy...
O, ty, ziemio, ty macocho gminu!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź, mój synu
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą.
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo, jak wasze, białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale naprzód jeść, o, jeść jej dajcie!

Pogrzeb Kościuszki.

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.
W cudzych stronach na tułaczce wiódł żywot w boleści.
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści;
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!
Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą;
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen, z tyłu chmura chłopstwa — ta najgłośniej szlocha.
Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż, jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci:
To ich sztandar! Wkoło niego tłum, jęcząc, wykrzyka:
— Koso nasza, choć z daleka patrz na Naczelnika! —
O, panowie, zróbcie miejsce! — Niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

* * *

I na Wawel między królów ponieśli hetmana
I rozwarła się świątynia, złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i — Co zacz on? — pyta —
— Swój, swój, świętszy od waszeci — puszczaj, mości Kmita!

Zaruszały się posągi. Królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.
Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: — Ja, król chłopków, rękę ci podaję,
Wżdy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud głęboko: — ja pierwszy, ty drugi!
U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce. Każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co, gdy kościół pełny, stoją przed kościołem...
Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spu-
[szczono...
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: — Och, już go zamknęli!

* * *

Och, już wzięli Naczelnika, och, już ty nie naszy!
Ciemność sklepień, blask pozłoty, serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach!
Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące;
Wśród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.
Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką;
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!
Jeśli Pan Bóg, zagniewany, skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę — a czyja to? — spyta.
Tak lud żali się i marzy. Urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa...
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie: dobył iskrę ducha!

* * *

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona! Cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... — Hej, do Maciejowic!
Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia;
Więc tę ziemię, krwią przesiąkłą, bierzcie, jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.
Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości, pracują rozumnie.
Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie!...
I mogiła, Bogu miła, rośnie, rośnie, rośnie...
I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieków po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki.
Wawel runie — a zostanie Mogiła Kościuszki!

Słowo Jeremiego.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki, jako ptak zraniony,
I patrzał w swoją matkę, co pod jego okiem
Płonęła, nito lampa, przykryta obłokiem,
I dumał nad jej życiem, tak bladem i nizkiem.
Aż oto światłość nowa czerwieńszym połyskiem
Buchnęła i gwar dziki powiał od niej nagle...
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu...
Patrzę... moją ziemię
Krew zlała!... To wróg moje pomordował plemię.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Co wzleciał nad obłoki, jako ptak zraniony,
Uczuł, jak krew płynęła z jego dawnej rany,
Bo z braćmi pobitymi był sercem związany,
A więc upadł z obłoków, — bo swej krwi kropelkę
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...

Bo zapragnął na biednej matki swojej łonie
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego Ojców biły łuny krwawe,
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę;
Pośród ogniów szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za nimi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga, strącona karaniem nie Bożem:
Gdzie przeszła, zapadały domy — groby rosły!

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni
I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni
I okiem, iskier pełnem, spojrzał po narodzie,
I mniemał, że w nim duszę odbije, jak w wodzie.
A przy drogach, jak stare pochylone słupy,
Sterczeli ludzie — spojrzał im w twarz: żywe trupy!
Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I widząc to, Jeremi spłonął strasznym gniewem,
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem;
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,
I, mieczem bijąc w lutnię, ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem owiany,
Uderzył w hymn, jak jego serce, potargany.

Pieśń zemsty.

Razem głosy, dłonie razem
A nie próżne dłonie;
A ty, zahucz nam na ucztę,
Sycylijski dzwonie!
Już oddawna chytry wróg
Krwią frymarczy laszą;
Naszą krzywdę święcąc, Bóg
Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu:
Zemsta mu!

Pan miłuje zapał siły,
Nie bezmocy trwogę;
On rzekł: — Kto sobie pomaga,

Temu dopomogę.
Wżdy z pod stopy lichy płaz
Na wolność się pręży,
Mamyż leżeć, jako głaz,
Gdy nas wróg ciemięży?
Hej, olbrzymów dawna krwi, obudź nas ze snu:
Zemsta mu!

Wróg, podobny do onego
Zdeptanego węża,
Jednych kusi, drugich truje,
A wszystkich rozprzęża.
Póty jemu w świecie stać,
Póki mętne matnie;
A więc on na rodną brać
Zbroił dłonie bratnie?...
Za tysiące spadłych głów na katowskim pniu:
Zemsta mu!

I wróg, ten dziki satrapa,
Hańbi nasze córki
I przy pieśni niewolników
Szare kręci sznurki;
Potem w ziemię wbija słup,
Porywa nam syna
I na czarnych ptaków łup
Na sznurku upina...
Więc za każdą taką nić skrwawionego lnu:
Zemsta mu!

Słowo święte, słowo wiary,
Wróg oddechem ziębi,
A więc pieśń o zemście naszej
Skryjmy w serca głębi.
A tam tajnie niechaj w niem,
Jak wulkan, się chowa,
(Tak w pieczarach dawny Rzym
Skrywał prawdy słowa),
Aż wyleci kiedyś w świat nakształt pieśni chrztu:
Zemsta mu!

A Ty, Panie, co w Swem ręku
Ważysz nasze losy,
Boże wielki, dla tej pieśni
Otwórz swe niebiosy!
A gdy przyjdzie ów dzień nasz,
Ów dzień upragniony,
Ty aniołom swoim każ
W cztery świata strony
Na miedzianych trąbach grzmieć hasłem w onym dniu:
Zemsta mu! Zemsta mu! Zemsta mu!

I odśpiewał Jeremi tę pieśń, rwącą szałem,
I wychylił się za nią duszą, sercem całem.
Drgnął naród — lecz za chwilę, ściągnięty łańcuchem,
Znowu opadł — bo Bożym nie odetchnął duchem
I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.
A Jeremi, gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,
Za śladem skruszonego króla i proroka
Chciał zapłakać — i ręką gdy sięgnął do oka,
To zamiast łzy krew sępia spłynęła mu z powiek:
I poznał, że u Boga niżej stał — niż człowiek!
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił
I Panu na ofiarę całą duszę palił,
I przed progiem kościoła długo pokutował;
Aż w końcu Pan w litości język mu rozkował,
Ażeby, modląc Jego — imię Jego chwalił.

O, mój ludu! Krwią moją są te pieśni moje!
Jam je, jak w arkę świętą, złożył w ręce twoje.
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych [żyłach płynie,
Niech, wrogom urągając, w tobie nie zaginie,
A innego pręgierza nie trzeba dla wroga...
Dla szatana najsroższą karą — chwała Boga!

Noc natchnienia.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.

A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos,
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! Oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód,
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi lud się położył,
Lew — co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego, jako stal, twardy
I w słońcu wiary błyskał, jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,
Rozrastał w sławie... Toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
Zbójca-grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy, krusząc pęta,
Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno, w drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha.... Liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie.
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach, spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!....

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI (1834—1863 [1]).

Burza.

Lecą chmury, a dołami
Słychać wichru szum;
Niebo w dali błyska skrami,
Ptactwa pierzcha tłum
I okrzykiem przerażenia
Wita ciemny las.
Słychać gromy, ziemi drżenia....
Burze, witam was!
Ja sam jeden. Niestęskniony
Patrzę w czarną toń;
Pieśń mi pieści wiatr szalony
I kołysze skroń.
Bije groźna błyskawica...
Cicho... Błyska znów...
Ho, przyrody to prawica

---

[1]) Wykształcił się w lwowskim uniwersytecie na wydziale prawa. Był skryptorem w Bibliotece Ossolińskich. Zginął młodo w powstaniu styczniowem, ugodzony podczas bitwy pod Józefowem kulą w czoło. Pisał liryczne utwory, opowiadania, powieści, dramaty i prace naukowe. Z opowiadań ważniejsze: *Chart Watażki*, *Savannah* (1854), *Buława Rewery*, *Starosta Żegocki*, *Mściwoj Szalony*, *Śpiewak oazy*, *Stara bajka*, *Posłannik*, *Sałdat z Cudnowa*, *Farys nie Arab*, *Ksiądz gwardyan Kobylański*, *Przewodnik po puszczy*, *Uczta Geronowa*, *Geron na Lachach*, *Ojcowskie słowo*, *Śmierć Żyżki*.

Większa powieść *Dziewczę z Sącza* wierszem powstała w 1858 r.; powieść prozą *Projekta* we dwa lata potem. Tragedya *Popiel i Piast* i fragment *Wanda* w przedostatnim roku życia. Napisał też prace *O legionach* i *Jakób Jasiński*.

Rzuca milion słów!
Po chmur czarnym pergaminie
Złote pismo drga
I przed oczy szybko płynie —
Aż do serca dna!
Już odbite, rozbudziło
Akord w piersi mej,
Dusza rwie się całą siłą
Do przystani twej,
Burzo dzika! — Hej, z wiatrami
Igra moja myśl —
Od nich dziksza! A ty skrami,
Chmuro, słowa kreśl.
Niech je czyta, niech je słucha,
Aby mogła tu,
Gdy nastanie cisza głucha,
Płoszyć bezczyn snu.
I ogniste wiązać brzmienie
W dzikich pieśni stok...
W łono ciemnic siać płomienie,
Życie siać co krok.
Stój — stój, myśli moja dzika!
Oto cisza znów:
Burza milknie, chmura znika...
Pieśni braknie słów!

Złoty szlak.

Nam pęka serce, nam się krwawi łono,
Gdy, otoczeni tą rzeszą spodloną,
Głos czysty mamy podnosić:
Już z nas niejeden, zrażon podłym wrzaskiem,
Szedł, pogardzając złością i oklaskiem,
O rychłą śmierć Boga prosić.
Kto dzisiaj plonu spodziewa się z roli,
Nieraz go jeszcze serce tak zaboli,
Zwątpienie zaćmi powieki.
Od Nazaretu po świata przestworze
W bolach i mękach nieśli słowo Boże
Wysłańcy Boga — trzy wieki!
Od lotu ptaków wybrana drużyno!

Lata przeminą — głosy nie przeminą,
Ni szlak nasz złoty do słońca!
Szkielety nasze, niby drogowskazy,
Ślad im oznaczą do cudnej oazy,
Gdzie panią — miłość bez końca.

Nowa znajomość.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę;
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole;
Zapomnienia tknięte ręką białą,
Serce z niebem i z ziemią się zlało.
Ciche lilie, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały.
Smutek duszy wzięły borów cienie,
Fale pieśni moje powtarzały:
Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.
Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej niebieskiej krainie.
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzyma,
Nim korabiem z zatoki wypłynie,
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.
I zbliżyła się do mnie dziewica
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem.
Jak posągi greckie, miała lica,
Szła poważnie w milczeniu głębokiem;
Szła i postać nachyliwszy wiotką:
— Jam śmierć twoja — rzekła do mnie słodko.
Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę;
Prawą oczu ci przysłonię dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę
I ulecisz od bolów, jak płomień,
W światło, w życie wieczne — nowy promień.
— Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;

Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały
I na polu bitwy o mnie spytaj.
Teraz — nowa znajoma mi — witaj!
Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.
Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił,
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia.
I odeszła — mówiąc: — Do widzenia!

Modlitwa.

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny.
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące;
Do Ciebie rwę się, jak żal niewymowny,
Z pól, które mogił zaległo tysiące;
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.
Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża:
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie;
Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!
Najsilniej — kiedy będą się zapierać
Moi gniazd orlich — Ty wspieraj mię, Panie!
Bo przeklinając nie chciałbym umierać —
I lwa ryk wolę, niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bratniej —
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

Trzy sztandary.

Trzy w szczerem polu gromady stały,
A trzy nad niemi sztandary wiały.
Więc ci, co z prawej na polu stali,
Sztandar niebieski w górze trzymali;
Po lewej stronie ogniste grono
Wzniosło chorągiew w górę czerwoną.
A między nimi, patrząc nieśmiało,
Stała gromada z chorągwią białą;
I, jakby ducha nie miała w łonie,

Chwiała się ku tej i tamtej stronie,
A czasem jeszcze, nie wiedzieć czemu,
Dawała pokłon komuś trzeciemu...
I rzecze prawa lewej: — Wstecz!
Bo nasz z dawniejszej stali miecz.
Lewa odrzecze: — Wyście próchno!
Oddechy wasze grobem cuchną.
Więc prawa znowu: — Z drogi szał!
Nasz ród na przedzie zawsze stał.
A lewa na to: — Z nami! Z nami!
Bo was zostawim i pójdziem sami.
— My nie rozstrzygniem — rzecze nieśmiało
Chwiejna gromada z chorągwią białą.
Więc się tymczasem trzeciemu kłoni,
Co się zwać kazał panem tej błoni.
I kiedy to się działo na ziemi,
Tkwił ptak ze skrzydły, jak śnieg, białemi
W chmurach, i czekał, która gromada
Ponad innemi górą zawłada.
A gdy doczekać tego nie może,
Zakracze smutnie: — Mocny mój Boże! —
Gdzieżby to oni zaszli już byli,
Gdyby z trzech — jeden sztandar zrobili!

Ból życia.

Smutek w mej piersi: duch poza omrokiem
Daremnie szuka gwiazdy, przewodnika,
Daremnie w przyszłość leci myśli wzrokiem,
Przebiega życie i przeszłość odmyka:
Wszędzie sen! Życia — światła — w żadnej stronie,
A wiem, że jest gdzieś, bo serce doń płonie.
Kędyż go szukać? Czy tu wszystko złuda?
W każdym-że blasku próchno świeci na dnie?
Ucisz się, serce, znikły twoje cuda,
Twój świat, twe róże, woniejące zdradnie;
Z marzeń, z uniesień twoich, z przemian doli,
Jedno dziś tylko czuj, że życie boli!
Ach — i ta droga, ta zapowiadana
Wieszczemi snami, jakaż ona głucha!
Dnie mi, jak fale, płyną, których piana

Chłodem mi bryzga na serce i ducha,
I niknąc oczom, zostawia w pośpiechu
Drobną perełkę, a ustom garść śmiechu.
Boże, pokornem kłonię ci się czołem,
Ty wiesz, czy takiem życiem ja żyć mogę?
Wbij mi cierń w serce, gromów otocz kołem,
Przez żar do słońca Twego wskaż mi drogę....
Pójdę, lecz zdejmij to przekleństwo doli,
Zagłusz ten w piersi jęk: że życie boli!

Rok 1862.

Idzie ku nam, idzie Pan już w chwale.
Utęsknione serce go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa,
Lilia chowa kwiat we wód kryształe,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Coście niemi? Co was lęk przechodzi?
Idzie Ojciec, ziemia się odrodzi,
Zmartwychwstania dreszcz ze snu ją cuci,
Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!

Biada zbrodniom! Już je anioł waży
Zawieszoną na niebiosach wagą;
Przy nim drugi stoi z szablą nagą,
A gniew Boży płonie mu na twarzy;
Biada zbrodniom! Już je anioł waży.

On tę szablę ognistą połamie
Na tysiące — i z góry ją rzuci;
Błogo temu, co się dotąd smuci!
Jako szermierz ma zbawienia znamię,
Już rycerskie jutro wzniesie ramię.

Jutro burza, jutro rykną gromy!
Pan je wszystkim nad głowę zapali,
Pan, zbrodniarza oczom niewidomy,
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali.

Chwała Panu! Idzie ku nam w chwale,
Utęsknione serce go przeczuwa,

Drży przyroda, niebo się zasuwa;
Anioł spuścił na dół zbrodni szalę,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale.

Sestyny.

(Finale).

Lećcie, me pieśni, niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy!
Zwiastujcie burzę śród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei,
Jak ptactwo, wiosny okrzykiem, nadziei.
Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas!... Już czas nam!... Lećcie, pieśni moje!
O, gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę!....
Żegnajcie, pieśni!... Przyszłość w ręku Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.
Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemię niech pieśni przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch — unosi.

Z LIRYKI POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

Kornel Ujejski: Chorał[1]).

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos;
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.

[1]) Napisany w 1846, śpiewany w 1863.

My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

Ileżto razy Tyś nas nie smagał!
A my, nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: On się przebłagał,
Bo on nasz Ojciec, bo On nasz Pan!
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg
I śmiech nam rzuca, jak głaz, na piersi:
Ach, gdzież ten Ojciec, ach, gdzież ten Bóg?

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak...
Cicho i cicho. Pośród błękitu
Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów.

O, Panie, Panie! Ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił matkę, brat zabił brata;
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ, o Panie! Oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz;
Inni szatani byli tam czynni;
O, rękę karaj, nie ślepy miecz!

Patrz! My, w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem, jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask;
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającem szatana ciele —
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest,
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: Bóg był i jest!

Jadwiga Łuszczewska: Dzwon pogrzebowy [1]).

(Deotyma).

Szczyt naszych cierpień strzelił, jako wieża,
Błysk, jak dzwonnica, sklepieniem skrwawionem
I cały naród stał się wielkim dzwonem,
Gdzie jedno serce uderza!

To dzwon pogrzebu! Tak, stu lat pogrzebu!
Naród już w niebo wysłał gońców, — oni
Przyspieszą dzieje i powiedzą niebu,
Że serce polskie znów dzwoni!

Ten dzwon obudzi w Europie dreszcze,
Nutą ofiary, swą nutą jedyną,
Powie, że Polska nie zginęła jeszcze,
Gdy jeszcze za Polskę giną!

Ten dzwon zadzwonił na godzinę cudów
Ewangelicznej, bezprzykładnej wojny:
Pomiędzy szranki zbrojnych mieczem ludów
Wchodzi lud palmą zbrojny!

Tylko pod palmą gaj oazy rośnie,
Pustynia żarem pod stopą się płoni;
Lecz idźmy! Dojdziem ku źródłom i wiośnie,
Jeśli iść będziem dłoń w dłoni!

Wszak jest najświętszą przysięga na grobie!
Męczeńskie świadki męczeńskiego zgonu,
Na grobach ofiar przysięgnijmy sobie
Spiżową harmonię dzwonu!

---

[1]) Na pamiątkę pogrzebu ofiar, poległych dnia 27 lutego 1861 r.

Alojzy Feliński: Boże coś Polskę.

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!
Ty, któryś potem, tknięty jej upadkiem,
Walczących wspierał za najświętszą sprawę,
A, chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
W nieszczęściach samych pomnażał jej sławę;
Przed Twe ołtarze — i t. d.
Wróć biednej Polsce świetność starożytną,
Użyźniaj pola, spustoszałe łany;
Niech szczęście, pokój, na nowo zakwitną,
Poprzestań karać, Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze — i t. d.
Boże najświętszy! Przez Chrystusa rany,
Świeć wiekuiście nad braćmi zmarłemi,
Spojrzyj na lud Twój, niewolą znękany,
Przyjmij ofiary synów polskiej ziemi.
Przed Twe ołtarze — i t. d.
Boże najświętszy! Przez Twe wielkie cudy
Oddalaj od nas klęski, mordy boju!
Połącz wolności węzłem Twoje ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju!
Przed Twe ołtarze — i t. d.

J. Bohdan Zaleski: Do wtóru[1]).

Do wtóru bracia, do wtóru!
Drgnieniem serc oto tajemnem
Lud wielki wstaje do chóru
Nad Wisłą, Dnieprem i Niemnem.
Przy wiekopomnem tem święcie
Bieży spłakana rodzina,
Litwin w Polaka objęcie,
Polak w objęcie Litwina!

---

[1]) Na święto horodelskie 10. października 1861 r.

Spólnać nam w niebie Królowa
I spólni święci Patroni,
I spólna chwała bojowa
Pod znakiem Orła, Pogoni!
Darmo car czudzki, car wraży,
Zwaśnić nas dzisiaj się kusi,
Litwa dostoi na straży
Polskiej, zaleskiej swej Rusi.
Wiary, wolności my dzieci,
Siedzący na czas w omroce,
Wyjdziem z wiekowej zamieci,
By zwalczać ciemne jej moce.
Całe nas piekło nie zmoże,
Ni się ojcowie z nas gorszą,
Wystąpim znów w imię Boże,
Jak pod Grunwaldem i Orszą.
W kościele my się zbratali,
W kościele gniemy kolana;
Wszelki duch Boga bo chwali,
Wszelki duch patrzy na Pana!
Jeszczeż ofiary potrzeba?
Naszać rokroczna, stuletnia
I oto woła do nieba
Świeża z lutego i kwietnia... [1])
Skinieniaż Pańskiej wszechmocy
Wiarą, miłością pancerni,
W jęk nawołujem sierocy,
Gardząc groźbami tam czerni.
O, Litwo! Siostro i drużko,
Pierwsza ty ujrzysz znak cudu,
Wódz ludu — twójto Kościuszko,
Twójto Mickiewicz — wieszcz ludu!

Teofil Lenartowicz: Łazarzu wstań [2]).

Dojrzewa owoc łez,
Już blizki bolów kres,
Jęków i łkań;

---

[1]) W dniach 27. lutego i 8. kwietnia 1861 r. strzelali Moskale do bezbronnego ludu w Warszawie.

[2]) Wiersz na cześć 27. lutego 1861 r.

Zdziwiony słucha wróg,
Z nad grobu woła Bóg:
Łazarzu, wstań!
Pochwalne hymny nuć,
Spowicia grobów rzuć,
Świadectwo złóż:
Że jest na niebie Pan,
Że wszelki ból Mu znan,
Żeś wezwan już!
Patrz, jaki wkoło dziw,
Żeś westchnął, żeś już żyw,
Łazarzu mój!
Toż Jam obiecał ci,
Że przyjdą bolów dni,
Ze śmiercią bój!
Powstałeś, jakoś padł,
A wróg przed tobą zbladł
I dał ci cześć;
Święty go przejął srom,
Pokłonił się twym łzom,
Ócz nie śmiał wznieść.
Zawstydził się swych strzał,
Boś z nagą piersią wstał,
A miecz — twój jęk;
I tak się spełnił cud,
I stopniał lodów lód,
W łez morze wsiąkł.
Bezbożnych zdala rzesz,
Mówiłem: wierz, o wierz!
Jam stworzył świat!
Jam ci odebrał dech,
Proch na cię miótł i śmiech
W żałobie lat.
W grób — twój złożyłem zwłok,
Lecz ducham obmył wzrok,
By przejrzał raz.
Nieziemskie oko wbił
W świat potęg, cudów, sił,
Byś z źródła prawdy pił
Na przyszły czas!

To dziś już grobów dość,
Skruszona wrogów złość,
Coć gniotła krtań!
Spowicia grobów złóż,
Łzom twoim koniec już:
Łazarzu, wstań!

Mieczysław Romanowski: Sawannah.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski spoglądał na morze,
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpało się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.
Koń jego trawę pasł nad morskim brzegiem
I strzemionami dzwonił, idąc błonią:
Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce; po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Maryi dziewicy.
Czy wy od Polski, fale? czy wam znany
Dniepr i zielone ponad Wisłą pola?...
Ósmy rok, zdala od ziemi kochanej,
Po obcych błoniach goni go niedola.
A jeśli spocznie, jak żóraw, na straży,
Za Polską wodzi oczyma — lub marzy.
Mógł on na Moskwę Częstochowę zwalić
I paść, jak Samson, pod gruzem kościoła,
Lecz wolał Polsce Palladium ocalić;
Poszedł i czekał, aż go znów powoła...
I ofiarował Bogu dumną sławę,
Obcej wolności bronić wsiadł na nawę.
Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne,
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne.
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.
I pozostały mu dotąd z pól carskich
Ten sam wzrok orli, ten sam duch marsowy,

Z którymi padał na służalców carskich
Lub stał na murach świętej Częstochowy;
Blask mu na czoło bije od oręża,
A kędy oręż obróci — zwycięża.
I krwią przed Nowym opisał się Światem,
Jak stawa Polak na zgnębionych zdrowie!
Toż bohaterskim nazwali go bratem
Amerykańskich pokoleń wodzowie.
Na dumę świata szlachetną miał duszę,
A pod laurami krył serca katusze.
Ty jedna, święta Rodzicielko Boża,
Znałaś to serce wielkie — skołatane!
Tobie on tylko, jasna Gwiazdo morza,
Każdą śmiertelną pokazywał ranę.
Skrzydłem Ty orlem byłaś jemu w bitwie,
A prowadziłaś przed Boga w modlitwie.
O, ucisz, Panno, to serce spokojem,
Miłości jego daj rzeźwiącą wiarę! —
Na morskim brzegu usnął wódz przed bojem,
Po niebie cicho szły obłoki szare,
Duch jego smętny odmawiał różaniec,
Gwiazdy szły gasnąć na zachodni kraniec...
Już świt. — Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: Na Sawannah!
Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu sine wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł znienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce — czy nie wróci?
Smutny więc jechał — i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły! —
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły.

Na naszych błoniach mijały mię groty;
Nie było dane dłoni mej kraj zbawić!...
Inny się zjawi jakiś anioł złoty
W rycerskiej piersi, by ten ród naprawić.
Nieszczęście wielkie — wielkich dusz kołyską;
Kto wie — ten anioł może mnie już blizko.
Bez sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!
Rzekł, a Sawannah już mu widne z dali;
Cwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.
I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa, zaczęta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.
Naprzód! I w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie dościgał po błoni;
Szable migały w słońcu, ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty,
A wtem błysnęły na okopach lonty.
Zagrzmiało... Jezus-Marya! — wódz krzyknął —
I padł; — zwycięzca padł na polu chwały —
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą, jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę;
Wkoło płakali druh i towarzysze.
I usypali mu grób pod Sawannah
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy;
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak, jak ty w taniec wodziłeś bojowy!
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego, jak ty, pośród wiernych ludzi.

Felicyan Faleński: Śpiew idących na śmierć (1863).

Idziemy. W oczach świat się przemyka,
Skrwawione bicze grzbiety nam sieką,
Nigdzie błękitów, nigdzie promyka...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy? Wszędzie kurzące zgliszcze,
Z chat ojców dołem dymy się wleką,
Siecze grad z deszczem, — wiatr zimny świszcze...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziem, — jak oczy zasięgnąć mogą,
Bieleją kości słoneczną spieką, —
Stąpamy po nich, trzeszczą pod nogą...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy — sowa huczy w oddali,
Wpoprzek po piaskach strugi łez cieką.
Pić, pić — wołamy — w gardle nam pali.
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy dalej, tam znów pies wyje,
Wpoprzek krew wrząca wylata rzeką.
Brniemy do kolan, po pas, po szyję...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Panie nasz, Panie, jak Tyś szedł z krzyżem
Tak my dziś trumny dźwigamy wieko —
A do Golgoty kiedyż się zbliżym?
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy dalej. Znój skrapia lica,
Szumi pomięte zewsząd ściernisko...
Patrzcie na skraju: — o, szubienica! —
Daleko jeszcze?
Blizko już, blizko!
Przecież! Będziemy mieli tam ciszę,
Tam aby spokój? — słodki nasz Chryste!...
— Wiatr was rodzinny w sen ukołysze,
Spowiją w całun tumany mgliste...

Czy nas kto wspomni? — Na waszej stypie
Sama niebieska zapłacze Pani
I własna ziemia proch wasz przysypie,
Bo wyście jeszcze z wielu wybrani!

Józef Szujski: Obłąkani.

Ballada z r. 1863.

W Warszawie u Bonifratrów w trzech celach trzej siedzą waryaci,
Głową kiwa posługacz, a doktor głowę już traci.
Pierwszy szlacheckie ma rysy i czoło dumne i lica,
A kurczy dłonią co chwila, jak gdyby w niej była szablica;
Nogę od ławy oderwał i talerz przyłożył do czoła,
Puszy swe wąsy sumiaste: Jam jest król polski! — zawoła.
Precz żydy, rzeźnicy, mieszczuchy, ty bezherbowna gawiedzi,
Nie trzeba wam zbawiać Polski! Jam szlachcic! Król polski tu siedzi!
Jam szlachcic z dziada pradziada, trzynaście wam herbów przywiodę,
Mam rękę wyborną do korda, a serce husarskie i młode!
Precz! Szlachta wypędzi Moskala, nie trzeba nam miejskiej ga-
[wiedzi,
Nie trzeba wam zbawiać Polski! Jam szlachcic, król polski tu siedzi!
Dalibóg, że biją się dyablo z gołemi pięściami i kijem,
Lepiej, niźli my szablą! A my się nie bijem, nie bijem!
Sąsiedzie, sąsiedzie mosanie, masz synów dorosłych, jak draby,
A herbu jesteś Doliwa: tam biją się chłopy i baby!
Sąsiedzie, kord zdejmuj ze ściany! Sąsiedzie, na miły Bóg, rata!
Mieszczuchy Polskę zdobędą i stanie się koniec świata!
Sąsiedzie! Co robisz? Na Boga! Powstańca wydałeś Moskalom?
Sąsiedzie, a tarcza herbowa? Na mózgu szatani mi palą!
Ciemnieje mi księżyc i słońce i moja herbowa Leliwa,
Co oni tam robią z sąsiadem, że sąsiad tak głową kiwa?
Na prawo, na lewo się chyla, łeb zwiesił, jak na popielec,
Nogi mu dyndają w powietrzu! Wisielec, dalibóg, wisielec!
Mój sąsiad herbu Doliwa!... I szewc go powiesił wywłoka...
Na szubienicy usiadły dwa kruki, gawron i sroka.
Horrendum! Toć świata już koniec! Cóż na to król polski powiada?
Król powinien być polityk, więc znajdzie się w głowie i rada.
A więc my z Bożej łaski król polski stanowim ninie,
Że, ponieważ mój sąsiad w fatalnej jakiejś godzinie
Popełnił zbrodnię, a za to wisiał na szubienicy,
Nie wart jest herbu Doliwa, ani szlacheckiej szablicy.

Więc ergo nie był szlachcicem, kiedy świat żegnał nogami,
A ci, co się bili z Moskalem, ci zostają szlachcicami!
To mówiąc, upada szaleniec i robi piersiami spotniały,
A potem leży, jak kłoda, półmartwy, półżywy, dzień cały.

A w drugiej celi stolarczyk krząta się młody, wybladły,
Złote, słowiańskie włosy na czoło myślące mu spadły;
Choć brak mu narzędzi rzemiosła, raz rąbie, to znowu hebluje,
A wytężone ma oko, snać srodze gdzieś myślą pracuje.
Trzeba naszych przeprawić — tak szepce, patrząc na boki —
Trzeba przeprawić przez Wisłę, by Moskal nie widział stuoki.
Na brzegu snują się szpiegi i czyhają wojska roty,
Porwą ich na Cytadelę i powieszą hufiec złoty.
Hufiec warszawskich dzieci! Dajże myśl dobrą, Boże,
Któryż pomoże rzemieślnik, jeźli stolarz nie pomoże?
Trzeba prom zrobić kryty, niby na węgle lub zboże,
W promie tym będą nasi! Dajże myśl dobrą, Boże!
Aby go nie złapano, bo Moskal nos wciska wszędzie;
Ten prom do Pańskiego krzyża formę podobną mieć będzie.
Tak będzie obszerniejszy — w ramionach siędzie wiara,
W środku będzie naczelnik i broń i Aniołów para.
O! Aniołowie przyjdą, wszakże to Boża jest sprawa,
Przyjdzie Najświętsza Panienka, Ona na Polskę łaskawa.
Tak, tak! Panienka niebieska płaszczem krzyż z ludźmi okryje,
Moskale padną na twarze i krzyż do brzegu przybije!
Tak szepce stolarczyk młody, podwaja pracę w swej celi,
Wśród wiórów, zda mu się, święci jawią się niebiescy Anieli,
Jawi się niebios Panienka, a on anielsko się śmieje
I zachwyt na bladych ustach, a w oku ma rajską nadzieję.

A w trzeciej celi mąż siedzi dumnego czoła i oka,
Schyliła czoło ku ziemi zgryzota, zaduma głęboka;
W łuk jeden zbiegły brwi czarne, a usta skrzywiło szyderstwo;
A co z ust wyjdzie, rozpacz to albo bluźnierstwo.
Na pyle podłogi cyfry kościstym rysuje palcem:
Naród mój głupcem, zaiste, głupcem lub zapamiętalcem!
Bez chleba, bez broni, bez wodza, arytmetyczna rachuba:
Jasne jak słońce, że zguba, bezdenna zguba i zguba,
Rozum pan świata wszechwładny, toż trzeba było rozumnie!
Tak mówi i oczy czarne ku niebu podnosi dumnie,

I kreśli drogi narodu, od wczoraj na dzisiaj, na jutro,
Póki świat nie dojrzeje, póki się trudności nie utrą.
A cyfry z podłogi lecą, jak węże, jak straszne jaszczury,
Obwijają mu stopy, piersi gryzą, pną się do góry,
Wpijają się w serce, do mózgu sępimi sięgają szponami,
Wołając: Niema jutra! Nie, niema jutra przed nami!
Mąż dumny się zrywa do boju, gruchocze cyfer szkielety,
Rozbite kości rosną, w olbrzymów się wiążą niestety!
Ściskają piersi wężem... On, patrząc zgasłemi oczyma,
Pośród chichotu cyfer, zawołał: Nadziei niema!
I łza gorąca, jak piekło, spłynęła po twarzy, po bladej,
I łzę wypiły cyfer rojące jaszczury i gady....

Panie! Gdy czasu męczarnie zawichrzą ducha świątynię,
Panie! Ty chroń od szaleństwa, a naród Twój wierny nie zginie!
Chroń od szaleństwa pychy, chroń od szaleństwa rozumu,
Chroń od szaleństwa wiary...
Lecz jeśli wśród męczarni tłumu
Zatrzeszczy sklepienie ducha, to z trzech tych obłąkań, Panie,
Daj nam pobożne wiary, święte wiary obłąkanie!

Marceli Skałkowski: Boże Ojcze.

Boże Ojcze, twoje dzieci
Płaczą, żebrzą lepszej doli;
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli!
Słowa Twoje nas uczyły:
Każdy włos nasz policzony.
Boże, policz te mogiły,
Te płaczące matki, żony!
Jeźliś lud nasz wybrał, Panie,
By powtórzył mękę Pańską:
O, to daj raz zmartwychwstanie,
Wskrześ, a zdeptaj złość szatańską.
O, bo brzydki śmiech szatana,
Że Syn Boży z krzyżem chodzi;
Trudem Zana — krwią Rejtana,
Wdowia Polska żal zawodzi.
My już tyle krwi przelali,
Że nią zmyte ojców grzechy;

My już tyle łez spłakali,
Że nie stanie łez pociechy!
Boże, patrz: my na kolana
Ścielem Ci się tak w pokorze!
Polska łzami, krwią skąpana,
Krwią i łzami wskrześ ją, Boże!

Z PISARZY POLITYCZNYCH PO R. 1863.

B. BOLESŁAWITA.

(J. I. Kraszewski [1]).

Z Rachunków.

Rzeczy ogólne.

Szliśmy powoli brzegiem cudownym jeziora czterech kantonów, spoglądając tęsknem okiem na panoramę alpejską, roztaczającą się ponad spokojnemi wodami... i kończyliśmy już smętną rozmowę, tę zawsze jedną, a zawsze tak bolesną rozmowę o wszystkiem minionem, o wszystkich oddalonych i pogrzebionych — westchnieniami, które się do połkniętych łez przyznać nie chciały; gdy nagle przed oczyma stanął nam ów pomnik, w skale wykuty: Lew, z bokiem przeszytym włócznią, konający i napis na kaplicy:

Invictis pax...

I przypomnieliśmy sobie, żeśmy wygnańcy błądzili po wybrzeżach gościnnych swobodnej szwajcarskiej ziemi, a nie na naszych równinach mazowieckich u brzegów smętnych płowej Wisły.

A była chwila, że nawet kolosalna Righi znikła nam z oczów, przed któremi stał szumiący nasz lasek sosnowy na piaszczystej dolinie...

---

[1]) B. Bolesławita (J. I. Kraszewski) pisał *Rachunki* za rok 1866, 1867 (2 t.) i 1868. — W każdym roku zdawa sprawę z życia narodu polskiego pod trzema zaborami, poświęcając szczegółowe artykuły dziennikarstwu, literaturze, teatrowi, sztuce; w ogólnych zaś artykułach omawiając nasz stosunek do państw zaborczych i do Europy. Na końcu każdego roku są karty poświęcone mogiłom. Wszystkie części mają nadto informacyjne artykuły o wychodźtwie i o Polakach na Sybirze.

Dwa rozdziały wyjęte są z części pierwszej na rok 1866.

Invictis pax...

Tak, tak! Pokój niezwyciężonym, choć upadłym. Napis ten niedaremnie uderza oczy nasze... przyrzeka on w przyszłości i nam... uspokojenie — ale dziś? dziś!

Gdyby dziś można spisać kartę martyrologu naszego, — historyę umęczonego narodu taką, jaka się czyta we wnętrznościach serc naszych, w nędzach, spodleniach, utrapieniu; gdyby policzyć jęki tych, co konają w syberyjskich kopalniach (ułaskawieni na lat dwadzieścia) i westchnienia tych, co giną wśród zdziczałych Amerykanów i wśród przecywilizowanej Europy i...

Nie kończmy... Naco się to zdało? Nie mówię o najstraszniejszych rysach tego obrazu, o upadku moralnym i tylu nieszczęśliwych, wyrzuconych z trybu życia zwyczajnego na wybrzeże nieznane, a zwichniętych rozbiciem... Naco się to zdało? powtarzałem do towarzysza... Dzisiejsze usposobienie nieszczęśliwego kraju jest takie, że dla niego najświętsze prawdy, głoszone przez emigracyę, podejrzanemi się zdadzą. Winę wypadków, które tak okropne skutki pociągnęły za sobą, kraj przypisuje tylko emigracyi, chociaż część ich znaczną powinienby przypisać sobie; — wszystek żal więc ma do wygnańców i stracił dla nich litość, wiarę i ufność w nich, wyparł się ich niemal, jako synów i braci.

To wyklęcie wychodźtwa, dlatego, że w jego łonie są żywioły burzliwsze — choć w mniejszości — to zaparcie się idei, która świeciła Polsce długie wieki, — pociągnęły za sobą, logicznie zresztą, przewidziane skutki.

Dosyć jest wejrzeć w głąb tego, co się mówi i pisze po dziennikach, wychodzących na polskiej ziemi, echem za opinią publiczną, wtórem za głosem powszechnym, aby się przekonać, jakie zwycięża usposobienie.

Zaczęto od odłożenia na stronę sprawy języka, literatury, narodowości, ducha, sztuki, wszystkiego, co do wyższych potrzeb i pragnień kraju należy; od postawienia górą aksiomatu, że przedewszystkiem starać się trzeba o byt materyalny, o podźwignienie z ruiny majątkowej. Dziś weszło to tak w życie, stało się tak dalece wyznaniem wiary publicznem, że wstydliwe wyznania sobkostwa, najbardziej poniżającego, nikogo nic nie kosztują.

Wszystko to jest na potem, gdy będziemy bogaci....

Wiatr dziś powiał z tej strony. Wszyscy, co chcą za rozumnych i poważnych ludzi uchodzić, fundują banki, zakładają

stowarzyszenia, formują akcyjne przedsiębiorstwa, a książka stała się rzeczą zakazaną, niepotrzebną, szkodliwą.

Kto niema odwagi tego wypowiedzieć do dna, półgębkiem szepce — o podstawach materyalnego bytu.

Nie wiem, skąd wzięliśmy ten pewnik, że byleśmy się dźwignęli w dobrym bycie, reszta nam — dodaną zostanie. Skutkiem tego szału, jesteśmy dziś do ostateczności bezbronni i sromotnie upadli.

Wcale się sprzeciwiać nie myślimy, że po wielkich stratach potrzeba, należy, rozum każe wypełniać szczerby oszczędnością, rachubą, surowem życiem i pamięcią na jutro.

Owe podstawy materyalne, o których dziś tak często słychać, są niezawodnie potrzebne; ale one jeszcze nie stanowią życia i nie dadzą go, jeśli je stracimy. Możnaby ze św. Pawłem zawołać do dziennikarzy i publicystów naszych: *Nollite extinguere spiritum.* Ducha nie wygaszajcie.

Pieniądz, mienie, dostatki, ziemię odzyskacie, wszystkiego się bowiem dorabia człowiek, tylko nie raz straconego ducha, nie raz a na wieki zerwanych tradycyi pasem.

I owszem, panowie, pracujcie na grosz, który jest potrzebny, ale nie utopcie się cali z duszami w tej robocie, bo możecie z niej wyjść zamożnymi, ale już nie Polakami.

Pamiętajcie, że we wszystkiem, nawet w dorabianiu się tych podstaw materyalnych, miara być powinna, a tej u nas niema w niczem. Nie należy się rujnować dla marzeń, dla poezyi i literatury — ale nie trzeba zapominać, że w nich, jako w arce przymierza, spoczywa skarb narodowego ducha. Zresztą nie idzie tu już o literaturę samą — której każecie pokutować za to, że nas zbawić mimo swej wzniosłości nie potrafiła — idzie o rzeczy jeszcze świętsze i droższe.

Każdy, kto w tych ostatnich chwilach miał możność zetknąć się w jakikolwiek sposób z krajem, z kimkolwiek z jego dawnych prowincyi, pod jednym z trzech rządów zostającej, przyzna, że nigdy w nich duch narodowy nie wygasł jeszcze do tego stopnia, co teraz, a przynajmniej tak nie był przeobrażony, jak dzisiaj, nie do poznania.

Ale — nie idzie nam wcale o ducha rewolucyjnego, bo wszelkie rewolucye są nam nienawistne i gdybyśmy ich mniej robili, dalekobyśmy byli dalej zaszli; pomiędzy duchem rewolucyi a duchem narodowym jest rozstęp ogromny. Dziś w obawie niemożliwych robót rewolucyjnych, które wszelaki zdrowy umysł

odpycha, bardzo wygodnie pozbyliśmy się wszystkiego, co nam zawadzało: westchnąć się nie godzi do przeszłości, zapłakać nad ofiarami, żądać miłosierdzia dla braci, pamiętać na potrzeby ogólne kraju, aby nie być posądzonym i odepchniętym. Kraj sadzi kartofle, kraj bieduje z propinacyą, kraj ekonomuje i o niczem prócz o gospodarszwie swem myśleć nawet nie może. Prawda, że ruiny są wielkie, straty ogromne, ale w kraju z natury rolniczym nie są one niepowetowanemi. Nic nie usprawiedliwia wyrzeczenia się duszy dla ciała.

Dziś wszakże inaczej rozgrzeszenia dostąpić nie można, jak zrzekając się przeszłości... Ciż sami ludzie, co wczoraj nie mieli odwagi oprzeć się, gdy im rewolucyę narzucano, nie śmieli przemówić, dali się ciągnąć — teraz najgorliwszymi są zwolennikami nowej doktryny — wyrzeczenia się narodowych tradycyi.

Niejeden się oburzy może na ten zarzut; wstydzimy się bowiem wyznać jeszcze, żeśmy apostazyi blizcy, ale w sercach już jesteśmy apostatami, jak ów książę Lubecki — dla miłego grosza.

Przychodzi się do tego powoli, nieznacznie, stopniowo — naprzód pod dobrym pozorem obowiązków względem rodziny, kraju nawet i t. d., potem, gdy się na najświętsze rzeczy zobojętnieje, żadna już ofiara kosztować nie będzie.

Tak mówiliśmy po cichu, chodząc ponad brzegiem jeziora czterech kantonów.

— O, dodałem, gdybyśmy nie byli prześladowani, znękani, spotwarzeni, ścigani na majątku, czci, na życiu, gdybyśmy nie byli helotami tymi, których narody pokazują sobie na przykład (pan Bismarck w swej mowie, grożącej Prusom rozbiorem), jakżeby wiele prawd gorzkich powiedzieć sobie potrzeba, aby jutro nie było zapóźno!

— Jestżeto przyczyna milczenia? — spytał mój towarzysz. Sądzę, że nie. — Nieprzyjaciele nasi, choćbyśmy milczeli, znajdą przeciwko nam oręże; tych zaś lekarstw, jakie my sami sobie dać możemy, nie mogą użyć przeciwko nam, boć przecie mają choć tyle chytrości, jeśli nie rozsądku, że w nich zawartej prawdy niebezpieczeństwa się dowąchają...

Mieliśmy wprawdzie przykłady naszych pisarzy, jak Lelewel, użytych przez Mollerów podstępnie za broń przeciwko nam, ale jakiż był skutek tego Milutynowskiego arcydzieła, mającego przekonać o naszem zacofaniu, a o postępowości Rosyi Europę? Europa nie czytała Mollera, a ludzie, co mieli cierpliwość prze-

gryźć się przez tę tkaninę fałszów do końca, doskonale ją ocenili. Ani Rosya ani Milutyn nie zyskali przez to ani jednego nawet przyjaciela, Polsce nie przybył wróg żaden. Z obawy więc, aby nieprzyjaciele nie korzystali z tego, co my sami sobie wyrzucać możemy, — nie pisać — jest rachubą fałszywą, a może grzeszną...

Tak w tej stanowczej rozmowie u brzegów jeziora dałem się zwyciężyć przyjacielowi i skłonić do pisania rachunków z przeszłego roku.

Nie sądźcie jednak, abym wam je zdał wszystkie. Wiele zostaje na dnie serca i w głębi pugilaresu, do nieznajomego jutra, poruszę tylko lekko kilka zadań, kilku ran dotknę, kilka boleści wypowiem.

Mimo przekleństwa, jakie dziś cięży na całej emigracyi, pomimo wstrętu do niej kraju, który wszelkie z nią, najświętsze nawet węzły potargał — jest ona jeszcze ze swego położenia, gdy jej boleść nie oślepia, gdy cierpieć umie nie szalejąc, najsprawiedliwszym sędzią, bo najbezstronniejszym — spraw krajowych. W tem, co się jej nie tyczy przynajmniej. Nie przyznajemy emigracyi prawa mięszania się do robót i prac kraju, ani dziwacznych pretensyi kierowania niemi; ale dlaczegóżby stojący na stronie — czyściej i dalej widzieć nie mieli od tych, co w kurzawie walki pyłem zasypane mają nieco oczy? Jedynym warunkiem, którego wymagać można, jest chłód, wytrzeźwienie, beznamiętność — zaręczyć zaś możemy, że nienawiści ku nikomu nie mamy w sercu, zemsty nie rozumiemy, żalu nie dopuszczamy. A serdeczna miłość dla wszystkich gości w piersi naszej, gorętsza może, niż gdy ją tchem swym pielęgnowali ci, co dziś...

Invictis pax!

Pokój zwyciężonym i niezwyciężonym!

Polska i Moskwa.

Straszne poćwiartowanie owo Polski starej, pokrajanie jej na części, które współczesny karykaturzysta angielski nazwał królewskim plackiem (*the troelfth Cake*) — rozdział, co istotnie nóż zatopił w serce narodu, porozrywał rodziny, przeciął stosunki, poddał troistemu wpływowi oddzielne części tego męczeńsko rozsztukowanego ciała — któż wie? — może był przez Opatrzność obmyślanym niezupełnie na naszą szkodę, choć pewnie na karę za grzechy nasze. Polska, pochwycona cała, możeby łatwiej przyswojoną była, po-

godziłaby się rychlej ze swem przeznaczeniem, i los, któryby ją spotkał, niebezprzykładny, los podbitego narodu, stałby się może znośnym, asymilacya byłaby łatwiejszą, a przynajmniej prawdopodobniejszą rezygnacya. Państwo też, któreby całą wcieliło Polskę, więcej z nią i jej instytucyami rachowaćby się widziało zmuszonem.

Bądź co bądź, wszystkie następstwa podziału uniknioneby były. Część znaczna ohydy zaboru przemocą bezprawną byłaby znikła; krajby mniej cierpiał, aleby prędzej został ujarzmionym i stał się bezsilnym.

Rozbiór, dokonany w takich warunkach, w jakich się on spełnił, z towarzyszącymi mu gwałtami, przekupstwami, z ciągnącymi się w slad prześladowaniem i męczeństwem — musiał nawet najobojętniejszy naród do heroizmu wyegzaltować, podnieść do wysokości jego przeznaczeń męczeńskich.

W samej chwili, gdy się to okrutne płatanie bezbronnej, jakby umyślnie pod panowaniem Sasów zdenerwowanej, rzeczypospolitej dokonywało, zdrętwiało ciało jej.

Skakano w czasie Grodzieńskiego sejmu, dawano bale po gubernialnych miastach Wołynia i Podola, możni szaleli, szlachta hulała — ale wśród tych konwulsyi budziło się i rosło uczucie upokorzenia, boleści, pragnienia odwetu, nadzieja odrodzenia. — Na podstawie tej płochości i lekkomyślnego roztrzepania rodziło się nowe pokolenie, zamyślone, posępne, z ręką, drżącą do miecza i sercem, bijącem miłością ku ojczyźnie. W miarę, jak się oddalamy od epoki Stanisławowskiej, naród cały przeobraża się tęsknicą i żałobą: po nabożnej pieśni konfederatów barskich zabrzmiewa powstańcza kościuszkowska, niezapomniany mazur Dąbrowskiego i śpiewy Niemcewicza, a w ostatku hymny boleści a sarkazmu pełne, wywołane z piersi narodu — wybrańca w babilońsko-moskiewskim ucisku.

W istocie, ze wszystkich tych niewoli najnieznośniejszą, najbardziej drażniącą jest niewola u Moskwy, nie żeby jej okrucieństwo dzikie a drapieżne i gwałtowne, przechodziło łagodniejszych form a głębiej sięgające opresye inne; ale, że niewola u Moskwy, niewola u Tatara, to wiekuiste upokorzenie, że ścieranie się od dziesięciu wieków z cywilizacyą europejską poślubionego narodu — o naród ledwie z pieluch barbarzyństwa i ciemnoty wygrzebujący się — to poczwarne połączenie człowieka z bydlęciem, to przemiana istoty ludzkiej, syna Bożego, w mitologiczne bydlę,

hippocentaura, minotaura lub harpiję: to coś okropnego ma w sobie.

Pod pletnią Moskwy i w jej braterskich objęciach wytryska ten potok poezyi, pełnej zgrozy, pełnej jęków, natchnionej, strasznej, jak treny Jeremiaszowe, ostrej, jak Juvenalisa satyra, rozłzawionej, jak psalm pokutny Dawida, a tęsknic pełnej, jak odwieczna pieśń ludowa; poezya ta unosi się do niebios, powiewa sztandarem krzyżowym, staje się przewodnią chorągwią narodu.

Potomkowie tych, co na sejmie grodzieńskim wyrok śmierci podpisywali na matkę, idą za chorągwią, niesioną przez poetów, na bój i śmierć...

Od pewnej chwili, w której cierpienie do najwyższej potęgi rozpłomienia naród, życie jego staje się niepodobnym poematem. Napróżno ostygająca cząstka stara się wyobrażenia ostudzić, tłumy wprowadzić na drogę realizmu, otrzeźwić je, oblać zimną rozwagą; atmosfera rozgorzała upaja najtrzeźwiejszych, poezya obwiewa szyderców, tłumy i wiry pociągają z sobą wszystkich, kto chce i nie chce.

I tworzą się dzieje lat ostatnich, podobniejsze do marzenia, do poematu, do epopei, niż do życia na ziemi; pod ich wpływem całe pokolenia rodzą się i rosną z aureolami na czołach, z krzyżami na piersiach krwawymi, z pragnieniem męczeństw i ofiary; pod ich wpływem wszyscy znoszą na stos palącej się ojczyzny do ostatniej koszuli i do ostatniego dziecięcia.

Zaprawdę, kto historyę pół wieku Polski pisać zechce piórem, zmaczanem w zimnym stoku rozwagi i rozsądku, ten napisze rzecz niezrozumianą i niezrozumiałą; w gorączce przeżyta epoka musi mieć gorączkowego historyka-poetę.

Nie historya to narodu, ale pieśń o zgonie ofiary wielkiej, zamordowanej wśród chrześcijańskiego świata wbrew sprawiedliwości, na pomiewisko prawu Bożemu i ludzkiemu.

W miarę jak wszystko dokoła materyalizuje się i stygnie, Polska, mówiąc wyrazem Krasińskiego, wyaniela się, rozpromienia, oczyszcza, uświęca.

Nigdy może prześladowanie nie podziałało tak korzystnie, nie przetworzyło tak bosko, nie odrodziło tak widocznie. Zwykle narody niewola spodla, charaktery znikczemnia, energię odbiera, strach obudza; tu przeciwnie: coraz roślejszych tworzy bohaterów. Całe rodziny: dziad, ojciec, synowie, wnuki, idą

z kolei na tę samą szubienicę, wygnanie, do kopalń i do mogił... Znęcanie się zamiast przerażać — zachęca, męczeństwo wabi, dzieci marzą o niem w kolebkach; próżno starają się zbeszcześcić ofiary; to, co miało splamić, ubóstwia...

Długie pasmo nieskończonych ofiarnictw, niespisane roczniki, niezliczone imiona — męczeństwa, brane w spadku po rodzicach, tułactwa całych pokoleń — oto dzieje tych lat. Zaledwie po krwawej zemście, która wszystko wyludnia, odetchnie kraj i trochę siły nabierze; — marzenie, nadzieja, gorączka niepodległości nim owłada znowu, krwi przypływ wzbiera: wydziera się do nowych poświęceń...

Od tych cichych rozmów Mickiewicza, do tłumnych a wrzawliwych biesiad, wszystko tchnie tą rozmaniętnioną miłością kraju, która ma swój tajemniczy język, swe godła, imiona, do których przypięła znak zmartwychwstania. Niema uczty, posiedzenia, zabawy, wesela, żeby słowo to, pełne znaczeń, nie zostało wymówionem... Im pilniej szpiegują to hasło, tem dziwniej się ono przebiera, brzmi wśród mów urzędowych, niezrozumiane dla wrogów, odzywa się w kościele, u kolebki i grobów. Gdy nie może wyrazem, mówi barwą, płacze dźwiękiem, uśmiecha się promykiem, wyrasta kwieciem...

Trzeba nie być człowiekiem, żeby przed tą narodu miłością nie klęknąć!

Patrzyliśmy na dokazywane przez nią cuda, na ludzi, z których życie niewolnicze i obroża urzędnika starła wszelką godność, wszystkie znamiona polskie, po długich latach apostazyi za dotknięciem iskry elektrycznej tego prądu odżywających nagle z wezbranem uczuciem w piersi, odradzających się synami ojczyzny, której odstąpili. Widzieliśmy dzieci, wychowane przez Moskali, wykarmione poddaństwem, nie rozumiejące języka własnego, w których sercach ze krwią wszczepioną nagle odzywała się ta miłość Polski, dla której, śpiewając pieśni moskiewskie, szli na śmierć.

Takie naprężenie ducha musiało w istocie tworzyć istoty i czyny, gdzieindziej niesłychane, niemożliwe.

Trwało ono aż do roku 1861, w którym zolbrzymiało jeszcze i sprowadziło wybuch roku 1863... nacechowany najpotężniejszem uczuciem, jakie kiedykolwiek w piersi ludzkiej mieszkało. Szał święty młodzieży ogarnął naówczas wszystkich lub przynajmniej odebrał wszystkim siłę opierania mu się, cho-

ciaż przeważna większość narodu przewidywała, jakie za sobą skutki miało pociągnąć powstanie...

Nie myślimy tu kreślić obrazu tego roku, który sprowadził niezliczone klęski; chcemy tylko wytłumaczyć sobie i przed przyszłością ten ducha stosunkowy upadek, jakiego jesteśmy świadkami.

Za granicą bezprzykładni zdrajcy na wysługach gazet moskiewskich, w kraju nawracający się na prawosławie Lubeccy i... imiona polskie, zaprzężone do wozu reakcyi krwawej a w dziejach bezprzykładnej.

Terroryzm Moskwy musiał po niezmiernem wycieńczeniu i wysileniu kraju nie inne sprowadzić skutki. Ludzie są ludźmi, choćby chwilowo do anielstwa się podnieśli. Ofiary wyczerpują, walka nuży, a im poświęcenie się było większe a bezużyteczniejsze, tem upadek ducha znaczniejszy.

Tak się też stało, gdy Moskwa, zamiast pociągnąć łagodności i sprawiedliwości wymiarem, przyjęła otwarcie system wytępiania narodowości, religii, obyczaju i języka. Tysiące rodzin wywieziono, wyzuto z własności, rozerwano, wymyślnie śląc na powolną śmierć głodu i nędzy.

Rozpacz ogarnęła pozostałych. — Nikt pewnie nie nawrócił się w duszy, ale wszyscy jęli przeklinać przewódców tego ruchu, któremu pierwsi ulegli. W rozmaitych częściach kraju zrodziło to uczucie, w różnych formach objawiające się, chęć spokoju, wstręt do polityki, przywiązanie się do praktycznej strony życia....

Ofiarą tego zwrotu padła emigracya, o której osobno mówić będziemy, tu dotykamy tylko tej kwestyi ubocznie. Nigdy jeszcze może jawniej kraj nie zaparł się swych braci nieszczęśliwych. Przypuszczając nawet zubożenie, wyczerpanie, niedostatek, nie można wytłumaczyć sobie tej niechęci, tego nielitościwego odpierania, jakiego doświadczają wychodźcy. Dzieci, starcy, kobiety, bez kawałka chleba... często smagane przez ocalonych pogardliwym wyrazem: niech pokutują...

Ale, panowie moi, pokuta i na was, coście cywilnej odwagi do powstrzymania wybuchu nie mieli, spadać po części powinna. Solidarnie winni są wszyscy. Z małymi wyjątkami Królestwo, zabrane kraje, Galicya pod naciskiem ostatnich wypadków, wyrzekły się długo piastowanego uczucia miłości ojczyzny w tem rozumieniu, w jakiem go dawniej brano.

Z Galicyi i Poznańskiego ozwały się głosy naprzód, pobudzające do ograniczenia się pracą praktyczną około odbudowania materyalnych podstaw bytu. Przeciwko temu nic mieć nie można, ale prąd ten nowy, jak wszystko u nas nowe, został wyegzagerowanym, posuniętym do krańców. Objęto obowiązkami nowymi prawie wyrzeczenie się innych pragnień i potrzeb ducha, odrzucono je... przeklęto literaturę, zohydzono belletrystykę, jako szkodliwą, potępiono poezyę, a ostatecznie... w ślad za rozkazem Alexandra II. powiedziano sobie: — precz z marzeniami!

Naród, który żył pół wieku jednem marzeniem, nagle się z niem pragnął rozbratać.

Ten fakt współczesny zapisujemy, jako jedno z najwybitniejszych zjawisk teraźniejszości; zaprzeczyć mu niepodobna, zrozumieć go łatwo, ale przyjąć bez protestu nie godzi się. Tak jest, marzenie, poezya, wysoki ten nastrój ducha, za daleko nas poprowadził; ale nie jest to jego winą, winą jest naszą, żeśmy z żywota myśli i uczucia sumę zbyt wielką przenieść zapragnęli do rzeczywistości, żeśmy wyczłowieczyli się i sądzili, że warunki bytu ludzkiego przez to z siebie zrzucimy, żeśmy wierzyli w cud przez potęgę ducha... nie będąc może godni powołać się o ten cud do Boga.

Ale możeż to być powodem, aby się przerzucić w drugą a gorszą ostateczność, w niewiarę, w apostazyę przeszłości, w potępienie wiekowych prac, łez i ofiar?

Ciekawym fenomenem jest to, że gdy młodzież pchnęła do ruchu 1863 roku, młodzież także galicyjska prawie pierwsza poczęła po nieszczęśliwych jego skutkach odzywać się w duchu tym reakcyjnym, przebranym w miłość nauki praktycznej, w potrzebę pracy wytrwałej a organizacyjnej.

Nie trzeba dodawać, iż ten drugi kierunek zgrzeszył znowu wyłącznością swej gorączki na zimno.

Ale głosy podobne odzywały się i odzywają ze wszystkich stron kraju mniej lub więcej wyrazisto. Mówi przez nie instynkt zachowawczy jego, czując się zagrożonym w samem istnieniu.

Dlatego też nie będziemy walczyć z owym objawiającym się kierunkiem ultra-praktycznym, — chcemy go tylko oznaczyć.

Do pewnego stopnia jest on koniecznym; lękamy się tylko, by przy dłuższem działaniu jego na naród, skłonny do duchowego lenistwa, a do przesady gwałtownej, — nie pochłonął w sobie, cośmy mieli i mamy najszlachetniejszego.

Moskiewskie dzienniki, nie jeden raz dały nam pouczającą wskazówkę, podnosząc ten realistyczny kierunek, jako zgodny z ich planami reformy lub tego, co zowią reformą narodu.

Rok 1866 nic nie przyniósł nowego w Królestwie, Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie; wyjaśnił on nam dobitniej jeszcze teraźniejszego ducha Moskwy, jej tendencye i zgodną myśl: eksterminacyi żywiołu polskiego...

Nadzwyczaj ciekawym przykładem tego żarliwego polakożerstwa jest nawrócenie się ku niemu Ogarowa i Hercena, którzy radykalne rządowi podają środki do rusyfikacyi Litwy!

W Petersburgu i Moskwie, jak niegdyś modą było kochać Polaków, wcielonych przedstawicieli liberalizmu, tak dziś nawet u młodzieży należy do dobrego tonu, do postępowości, poklaskiwać Katkowskiemu: *Delenda Polonia*!

Patrzyliśmy na to, jak ten prąd w Rosyi się rodził, stworzony przez rząd sztuczną agitacyą a potwarzami systematycznemi przeciwko Polsce...

Na młodym, wrażliwym, mówiąc dobitniej, niewykształconym narodzie, który do samoistnego sądu nie przywykł, myśleć się nie nauczył, a ma jeszcze wiele namiętności do wyszafowania — na narodzie, który połechtano, pierwszy raz dając mu trochę swobody i powołując go do niby politycznej roli — środki, przez rząd użyte, musiały podziałać silnie.

Widzieliśmy go też w tem usposobieniu, że, wychodząc z dawnego obyczaju gościnności i miłosierdzia dla nieszczęśliwych, rzucał kamieniami i błotem na skute szeregi wygnańców, których im malowano, jako niechrześcijan, zbójców, nieprzyjaciół Boga i cara.

W tej walce z Polską zaprawdę niebezpiecznych użyto narzędzi: demoralizacyi, roznamiętnienia, podbudzania niechęci i nienawiści, a w Królestwie zastosowania najostateczniejszego racyonalizmu i komunizmu.

Chcąc sobie pozyskać lud, rząd skruszył prawa własności, usiłując przez najdziwaczniej ulepioną *lex agraria* stworzyć klasę drobnych posiadaczów ziemi, sobie przychylną, a zrujnować szlachtę, podejrzewaną o posiadanie narodowego uczucia.

Wychodząc z tej zasady, że szlachta tylko stanowiła naród polski i przedstawiała go, Milutyn, Czerkaski, na Litwie Murawiew i Kaufmann, godny jego następca na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, Bezak, dopuścili się najpotworniejszych nadużyć

przeciwko większym posiadaczom. Wszystkie środki zubożenia, konfiskaty, sekwestry, kontrybucye, sztrafy, wywłaszczenia użyte zostały i naturalnie u wielu musiały sprowadzić upadek a stosunkowe znękanie u wszystkich.

Jaki to wpływ wywarło na wszelkie stosunki ekonomiczne kraju, rujnowanego rozmyślnie przez rząd, wyobrazić sobie łatwo. Zachwianie własności, jednej z podstaw bytu społecznego, która zresztą nigdy w Rosyi w europejskiem znaczeniu pojętą i przyjętą nie była — odbiło się nie tylko w prowincyach, poddanych carskim eksperymentom komunizmu, ale w całego państwa stanie finansowym i ekonomii. Nie przebierając w środkach, rząd moskiewski nie postrzegł się może, iż, za narzędzia używając ludzi najostateczniejszych doktryn, dając im w ręce siłę, uznając ich zasady, przelewał je zwolna w łono państwa, w którem jad nieuleczony szczepiły.

W ostatnich latach ucisk, wywierany na resztę unitów w chełmskiej dyecezyi, których nawet Mikołaj tknąć nie śmiał, doszedł do niesłychanych napaści. Ohydnem jest, że do niego pomagają unici galicyjscy, księża, niegodni tego nazwiska...

Jestto straszny dopust Boży.

Na Kościół łaciński na Rusi wywarto całą srogość możliwą; kasują kościoły, rachując na to, że uboższa ludność, oddalona od nich, będzie zmuszoną uciekać się do popów; kasują dyecezye samowolnie, wywożą księży, niszczą cmentarze, wywracają krzyże...

Zdaje się, że owo sławne zerwanie z Rzymem nie było wcale przypadkowem. Pan Meyerdorff musiał mieć na to instrukcye, rząd bowiem od czasu, gdy go już żadne stosunki nie wiążą z papieżem, jeszcze gwałtowniej, wedle swojego wyrażenia reformuje Kościół — a pomimo to stara się w swoich dziennikach dowodzić, że jest jeszcze lepiej uposażony, niż we Francyi i niż własna ich cerkiew.

Na to tylko jedno odpowiedzieć można, iż Kościół katolicki miał swe wyposażenie własne, które mu wydarto, i że to, co dziś ma, nie jest ani dziesiątą częścią tego, co posiadał.

Jestto, jakby kto, zrabowawszy mienie cudze, tłumaczył się tem, że mu jeszcze dosyć do życia zostawił.

Łatwo jest przewidzieć, do czego będzie zdążał rząd rosyjski: oto zechce stworzyć rodzaj osobnego Kościoła polskiego (na nieszczęście odebrał sobie po temu najlepsze narzędzie, bo Polski

nie uznaje) i nadać mu zarząd taki, jaki ma w swej cerkwi, rodzaj synodu rządzącego... Próba takiego kollegium do spraw katolickich w Petersburgu, za Siestrzeńcewicza podobno uczyniona, utrzymywała się dla cesarstwa, ale ani Rzym, ani ściślej legalni duchowni uznawać tej instytucyi i zasiadać w niej nie chcieli.

Duchowieństwo katolickie ma oręż mocny: prawo i dyscyplinę kościelną, których siła może nie być obowiązującą dla Moskwy, ale jest dla kapłana katolickiego.

Ofiarą tego oporu legalnego, poczytywanego za bunt przeciwko władzy, padli ks. arcybiskup Feliński, Krasiński, Rzewuski, Domagalski, Szczygielski i niezliczone ofiary... naostatek Kaliński, biskup chełmski unicki, który zmarł na wygnaniu.

Dziś konsystorz unicki jest w ręku jawnie sprzyjających schizmie.

Rząd rosyjski rozumie to dobrze, iż katolicyzm jest dlań główną zaporą do zupełnego owładnięcia Polską. Oderwać jej od Europy nie można inaczej, jak zrywając ten węzeł, co ją łączy ze społecznością cywilizowaną; nie można ociemnić i zniżyć, aby, jak Katków chce, zrównać z zacofaną Rosyą, tylko gasząc pochodnię religii.

Ale próżne to są usiłowania. Religia tak łatwo wykorzenić się nie daje; porywanie się na nią niebezpieczne; wywołałoby ono starcie z tym ludem, który rząd chce mieć za sobą. Tak rychło więc wykonać planu niepodobna, a tymczasem... może, jak w bajce, albo osieł, albo nauczyciel zdechnąć.

W Litwie, czując trudności zadania, masami, wsiami całemi powynoszono ludność w głąb Moskwy, na jej miejsce wszczepiając dzicz, która swym wpływem ma zdziczyć lud tutejszy. Świętokradzkie to targnięcie się na prawa człowieka na nic się nie przyda, bo prędzej gromada owej dziczy powoli się wycywilizuje (takie jest prawo ogólne), niż lud oświeceńszy przejmie wyobrażenia barbarzyńców.

Naród, ażeby przyswajał sobie, aby wcielał, musi mieć wyższość jakąś, musi mieć potęgę duchową. Rosya ma tylko materyalną, zdobycze też jej są pozorne i muszą poodpadać, gdy siła pięści na chwilę osłabnie. Ci, co doradzili ten system destrukcyjny, chaosotwórczy Moskwie, podkopali jej przyszłość.

Ma on przy zapalczywych sympatyach ogółu, oklaskach prasy i patryotycznych hałasach, wszystkie pozory dokonywu-

jącego się monumentalnego dzieła przyszłości; Aleksander II. pysznić się zapewne będzie tytułem reformatora Polski i pierwszego jej istotnego zdobywcy, tak jak się chlubi emancypacyą włościan, niestety, równie niedokonaną, ale jeśli nas nie mylą te aksyomata, które z całego ciągu dziejów ludzkich wyciągnąć się dają — robota przeciw prawu i naturze na nic się nie zda.

Będzie to tylko wielki wysiłek, pod którego cieniem wyrośnie rewolucya, która przetworzy samą Rosyę — w jaki sposób? nie próbujmy odgadnąć.

Nadto żywiołów palnych rzucono na to młode ognisko, zbyt się wiele nazbierało materyałów wywrotu, aby ten nie miał nastąpić. Wstrzymają go masy ciemne, długo może być niepodobieństwem jeszcze, ale każdy dzień przybliża chwilę nieuchronną.

Tymczasem rozćwiertowana Polska cierpi, ale cierpieniem, prześladowaniem świadczy, że żyje.

I ona także przetwarza się, nie w taki sposób, w jakiby, będąc w normalnym stanie, musiała się odrodzić, ale powolniej i mozolniej, ale wedle nieuchronnego prawa postępu.

Rząd nie potrafi wynarodowić ludu, jest to ze wszystkich dzieł najtrudniejsze, bo lud najuparciej zatrzymuje swe cechy rodzime. Inne klasy społeczne zawsze są skłonniejsze do zmiany, z ludem idzie powoli. Pomimo wstrzymywania wszelkimi środkami szerzenia się oświaty, prób rusyfikacyi przez elementarze głoskami moskiewskiemi, rząd nie podoła duchowi wieku i światło spłynie na masy.

Przyszłość jest w ręku Bożem, ale wierzmy, iż musi być podległa prawu, a prawem jest postęp. Najgwałtowniejsze a świętokradzkie działanie przeciwko temu prawu będzie tylko walką olbrzymów, których piorun strąci w otchłanie.

Teka Stańczyka[1]).

Z listu piątego: Rozmowa pana Piotra z panem Pawłem.

P. Piotr. Jakże się miewasz szanowny p. Pawle?

P. Paweł. Dziwna to rzecz, na tym rynku gawronowskim trudno się nie spotkać, a my już tak dawno nie widzieliśmy się.

---

[1]) *Teka Stańczyka* drukowała się w *Przeglądzie Polskim* w r. 1869. Stańczykami nazwali się autorowie pojedyńczych artykułów: Józef Szujski, Stanisław Tarnowski i Stanisław

P. Piotr. To prawda. — No i cóż mówisz na to wszystko?

P. Paweł. Cóż chcesz, p. Piotrze, żebym mówił?

P. Piotr. Siądźmy sobie, p. Pawle, tam na ławie przed apteką i pomówmy nieco z sobą, bo przecież wszystko to warto jest zastanowienia.

P. Paweł. Z miłą chęcią.

P. Piotr. Co najdziwniejszego, p. Pawle, oto że przecież hałasują nielitościwie i bębnią, jak najęci, a tymczasem w nas chcą wpierać, że to tylko nam w uszach tak dzwoni i w głowie szumi.

P. Paweł. Panie Piotrze, ciebie to dziwi? Przypomnijże sobie, że to odwieczna ich metoda. I to także nic nowego. Ale jedno z dwojga, p. Piotrze: albo my wszyscy i z nami cały kraj byliśmy dotąd zupełnie głupi, niedołężni, pozbawieni wszelkiego rozumu i patryotyzmu, próżnowaliśmy całe życie, szliśmy wszyscy błędną drogą i trzymaliśmy się nie tylko chwilowej, ale zgubnej, małodusznej polityki, albo też ten nowy kierunek, który tak widocznie powstaje w naszych czasach, a tak nam bębni nad uszami, nic nam dobrego nie wróży.

P. Piotr. Myto nie dzisiejsi, znamy się przecież na tych peryodycznie pojawiających się u nas symptomatach. Wiemy dobrze, że u nas jeszcze się nie spostrzeżesz, a już naród wciągną w jakieś szaleństwo, że najmniejsze głupstwo łatwo, bardzo łatwo przemienia się w wielkie, a zawsze idzie naprzód *en boule de neige*, że u nas nie można lekceważyć sobie nawet małych wybryków pojedynczych, nawet idyotyzmu nielicznej sekty, nawet kretynizmu napiętnowanych indywiduów, bo w nieszczęśliwych okolicznościach, w jakich się znajdujemy, z naszym charakterem narodowym, z naszą przeszłością i wrodzoną skłonnością popełniania wciąż tych samych błędów, nareszcie *avec notre esprit d' apropos* dalibóg i z kija wystrzeli, jak Pan Bóg pozwoli. Przyznam ci się, p. Pawle, że ja nigdy nie dzieliłem przekonania tych, którzy mniemali, że jedyną korzyścią, jaką odniesiemy z ostatniej naszej wielkiej klęski, będzie wyrzeczenie się zupełne tych kie-

---

Koźmian. Całość składa się z siedmnastu listów różnych zmyślonych osobistości o sprawach galicyjskiej polityki i galicyjskiego społeczeństwa po r. 1863. Są tu: szambelan, trybun, ex-minister, kandydat do parlamentu, kobieta polityczna, właściciel apteki, urzędnik bankowy, prezes Rady powiatu, poseł sejmikowy, uczony i dziennikarz. Każdy z nich przedstawia opinię swej sfery. Pan Piotr i Pan Paweł nie są stańczykami, lecz dobrze wykładają poglądy stańczyków na różne poruszone przez nich sprawy.

runków, które nas tak niemylnie doprowadzały zawsze do klęsk i tak systematycznie podawały każdemu, czy chciał czy nie chciał, sposobność wytępienia żywiołu polskiego; nie, p. Pawle, tego nigdy się nie spodziewałem, bo znam mój naród, znam jego położenie i znam ludzi, a ludzie nie lubią się przyznawać, że błądzili, ale przyznam ci się szczerze, że z drugiej strony nie przypuszczałem nigdy, żeby świeżem doświadczeniem potępiony kierunek śmiał i miał bezczelność tak prędko na nowo rozwielmożniać się i zachwalać się, jako jedynie zbawczy.

P. Paweł. Cóż chcesz, p. Piotrze, jak są ludzie, tak są i stronnictwa z miedzianem czołem. Zważ dobrze, że dwa tylko zawsze objawiają się u nas kierunki, a że pozorna walka stronnictw ogranicza się u nas, niestety, do walki rozumu politycznego z głupotą, niejakiej odwagi cywilnej z tchórzostwem, stałości w zdaniu z tą nikczemną chwiejnością, mającą swój początek najczęściej w żądzy popularności, czasem w gorszej jeszcze chęci zysku chwilowego, doświadczenia z zaślepieniem i trzeźwego zapatrywania się na położenie z tym opłakanym i zgubnym optymizmem, z którego nigdy nie wyleczymy się, a który obiecuje wiecznie i sobie i innym dopięcie wszystkiego jakimibądź środkami. Lecz co jest prawdziwie upokarzającem, oto, że z tej walki rozumu z głupotą i rozsądku z szaleństwem powstały u nas dwa systemy polityczne. Określać ci ich bliżej nie potrzebuję, znasz je: pierwszy chce przemawiać do rozumu politycznego i uczucia obowiązku, — drugi odzywa się do wyobraźni, do sentymentalizmu, do nienawiści i do namiętności, a przedewszystkiem do ciemnoty; drugi w walce z pierwszym ma u nas niezaprzeczoną wyższość, bo przemawia do tego, co najwięcej u nas jest rozwiniętem; nic więc dziwnego, że tak łatwo, tak często i niespodziewanie zwycięża. Wszystkie jego zwycięstwa naznaczone są w historyi okropnemi, strasznemi, niepowetowanemi dla Polski klęskami. Otóż, wskutek zbiegu okoliczności, ta prowincya polska po ostatnich wielkich wypadkach wyrzekła się stanowczo tego drugiego zgubnego systemu, a postanowiła trzymać się pierwszego, czyli wyrażając się nie tak górno, kraj, nauczony doświadczeniem, po prostu zmądrzał — a co ważniejsza, dotąd w tem zmądrzeniu wytrwał. Tego przebaczyć mu nie mogą. Od niepamiętnych czasów było to może najświetniejsze zwycięstwo rozumu w Polsce, a więc największa klęska dla wszystkich półgłówków. Aż tu raptem pojawiać się

zaczęły coraz liczniejsze, coraz śmielsze i natarczywsze objawy drugiego systemu.

P. Piotr. Prawdziwe zamachy przeciw rozsądkowi.

P. Paweł. Najlepiej o tem przekonać może polemika, która się od miesiąca toczy w dziennikarstwie krajowem. Ona lepiej może jak Wieczność lub Lustrator przekonała, że to nie są żarty. Wieczność i Lustrator, pisma, które niezawsze dotąd szły z sobą w zgodzie, które w niejednej kwestyi nie zgadzały się, które w niektórych nigdy może ze sobą się nie zgodzą, stanęły przecież w obronie zdrowej polityki, oświadczyły się stanowczo za wytrwaniem w pierwszym systemie i w rozmaity sposób, poważnie i żartobliwie, z żałością i ironią usiłowały wykazać, do czego zwykle doprowadzał u nas drugi system, a opierając się na przeszłości, dowodziły, że się go obawiać można i należy w przyszłości. Wszakże, panie Piotrze, przyznać im przynajmniej trzeba, że postąpiły uczciwie, skoro wypowiedziały to, co było ich przekonaniem — a następnie skoro zadały sobie pracę wykazania raz jeszcze, do jakich zboczeń doprowadzić może głupstwo ludzkie i niedorzeczności jednostek. Otóż nic mnie tak silnie nie przekonało o słuszności tych ich obaw i zarzutów, jak wściekłość, zła wiara i namiętność, z jakiemi uderzały na nich wychodząca u nas Całość, Dziennik Tygrysowski, organ demokratyczny i wychodzący w Tygrysowie Słonecznik, organ chwiejności narodowej, oraz bratnie dwóch pierwszych dzienników głosy, które znalazły przystęp do wielkopolskiego organu, do tej Bezstronności, która tak często, niestety, bywa stronniczą, a której kierunku ani dążności nigdy pojąć ani zrozumieć nie mogę, bo nigdy z dnia na dzień nie jestem jej pewny. Mianowicie ostatni zeszyt Lustratora wywołał nadzwyczaj dobrze udane oburzenie, a zarazem źle ukrytą wściekłość. Istny to puhacz ten zeszyt Lustratora, na którego biją i krakają wszystkie nasze wrony i gawrony. Uderzono po ukazaniu się tego zeszytu na alarm — a Całość nawet zawołała: Alarmiści, Alarmiści! Niepokoją nas; i ze znaną taktyką dodała niemal: onito zamięszanie gotowi wywołać.

Ależ na Boga, p. Piotrze, to już się zwie żartować z czytelników i mydlić im oczy! Jakto, więc alarmistami są ci, którzy, widząc dzieci, bawiące się brzytwą, wołają: połóżcie to! pijanych, idących koło stodół z zapalonemi fajkami: oddalcie się! i zuchwałego furmana, zaprzęgającego dzikie konie: daj temu spokój!

Przecież milczeć nie mogą, bo im tego prosta uczciwość nie pozwala — nie mogą, nie powinni też dla dogodzenia dzieciom pozwolić im bawić się brzytwą lub siadać na kozieł i dalej! dalej! puszczać się na bezdroża znarowionymi końmi, które muszą skręcić na manowce i rozbić powóz. Czyż to wina przestrzegających, iż tyle razy w życiu zdarzyło im się widzieć, że brzytwa kaleczy, że z fajki, z niewinnej fajki, najczęściej po wsiach powstaje pożar, i że niedobrane, dzikie, młode, nieujeżdżone konie zwykle unoszą, woźnicę zrzucają, powóz druzgoczą? Czyż dla tego, że przestrzegają, kładą oni już na równi te dzieci, tych pijanych, tego zuchwałego woźnicę ze zbrodniarzami, podpalaczami i czarnymi intrygantami? Czyż podobna z ich przestróg wysnuć wniosek, że są przeciwnikami golenia się, palenia i jeżdżenia za interesem lub dla przechadzki? Zaprawdę, panie Piotrze, takie konkluzye wysnuwać może tylko zła wiara lub ukryty cel, ci tylko, którzy nie życzą sobie, żeby przestrzegano, że brzytwa może skaleczyć, fajka pożar wzniecić, a znarowione konie unieść. Wieczność, Lustrator, a nawet osławiona Teka Błazeńska, ograniczyły się na podobnych przestrogach. Dlaczegóż wywołały one takie oburzenie i tak gwałtowne inwektywy? — Cobyś powiedział, panie Piotrze, o człowieku, któryby chciał zabić stróża wieży maryackiej? Że chyba ten człowiek ma zamiar dziś lub jutro podpalić Gawronów i chce uniemożebnić wszelki ratunek tak, żeby był w każdym razie zapóźny — i żeby się nikt nie spostrzegł zawcześnie, że pożar się wzmaga.

P. Piotr. Słusznie, słusznie, p. Pawle! W każdym razie nie ci mają prawo mówić o przesadach, którzy ludzi, przemawiających z poczucia obowiązku nazywają grabarzami i zwolennikami nieprzerwalności snu. To już za wiele, p. Pawle! Jakże tu nie odpowiedzieć tym panom: grabarzami Polski są ci, którzy czy przez egzaltacyę, czy przez ambicyę, czy przez szał, czy przez ruchliwość, czy przez głupotę, czy przez egoizm narażają ojczyznę na klęski, na przedwczesne i nieudane powstania, którzy, łechcąc wyobraźnię narodu, popychają go do nierozważnych czynów; onito skazują go na nieprzerwalność snu, onito już lekkomyślnem postępowaniem skazali Litwę, Zabrane prowincye, Królestwo na nieprzerwalność snu, oni grabarzami sprawy, oni marnotrawcami zasobów i pracy narodowej! A jeżeliby kto utrzymywał, żeśmy tu spali, że nas dopiero ktoś tam obudził, to śmiało odpowiedzieć możemy, że to fałsz i że to zarozumiałość bez granic,

że to lekceważenie i prawdy, i kraju całego, i narodu. Nie, moi panowie, robiliśmy, cośmy mogli, ale wiele zrobić niepodobna było, tę jednak pociechę mamy, że nie ściągnęliśmy na ten kraj ani żadnej klęski, ani żadnej sromoty, ani żadnej represyi, ani żadnej zemsty, żeśmy go ani wycieńczyli, ani zgubili, ani w nieprzerwalność snu nie wtrącili. I da Bóg, nadal nie dozwolimy nikomu, aby go w tę nieprzerwalność snu wtrącił.

Zarzucano Lustratorowi i to ze wszech stron, że obawy jego są bezzasadne, że są płonne, że one właśnie obudzają niepokój, porównano go do zająca, którego szelest liści spłoszył. Jestto zarzut nielada, bo obwinia szczycącego się rozsądkiem politycznym Lustratora o tę samą niewytrawność i ten sam brak wykształcenia politycznego, z którymi on do walki występuje.

P. Paweł. Byłby to w samej rzeczy zarzut zabijający, gdyby był słuszny; a gdyby Lustrator popełnił był błąd, gdyby wzniecił całą wrzawę bezpotrzebnie, z lekkomyślności czy nienawiści, z małoduszności czy stronniczości, byłby sobie niewątpliwie wydał *testimonium paupertatis* politycznej. Ale, że tak nie jest, świadczy nie tylko to bębnienie uporczywe, nie tylko ten hałas, który przecież słyszymy, nie tylko ta jadowita polemika, ale fakta, p. Piotrze, i te, znane nam dobrze, symptomata, których przecież także publicystyka nie mogła pominąć milczeniem, symptomata, które porównałem z oną wśród gumien zapaloną fajką. Ale przedewszystkiem zastanówmy się nad faktami. Czyż pomimo wypierania się strony przeciwnej, ilustrowanego gorącą apologią demonstracyi, można dziś zaprzeczyć, że zamierzała ona urządzić szereg nieprzerwany demonstracyi, niewymierzonych przeciw Austryi, a tem samem łatwiejszych do przeprowadzenia? Otóż chęć rozbudzenia u nas ducha narodowego za pomocą tych łatwych, wygodnych demonstracyi jest albo dzieciństwem i zarozumiałością półgłówków, albo też musi mieć inny, dalszy a dziś ukryty cel. Dla utrzymania więc w nas ducha polskiego potrzeba dziś demonstracyi, więc bez demonstracyi przemienimy się w Niemców albo idyotów! To zaprawdę zbyt nizkie i małoduszne wyobrażenie o naszym patryotyzmie, za zuchwałe lekceważenie sobie nas, jako Polaków. Gdyby już tak źle było, to i demonstracye jużby nic nie pomogły. Jeżeli, panie Piotrze, srogie prześladowanie moskiewskie, jeżeli tępienie systematyczne żywiołu polskiego i wszystkie z wszystkich stron grożące mu straszne nie-

bezpieczeństwa niezdolne są utrzymać nas na wysokości naszego tutaj zadania, to zaiste już żadne demonstracye tego nie dokażą. Demonstracye, mówią nam, mają za zadanie: szerzenie polonizmu i idei polskiej. Cóż z tego, kiedy nie tylko biorą w nich udział tylko przekonani, a niepodobna niemi działać na nieprzekonanych a raczej nieprzygotowanych, bo doświadczenie nauczyło, że na nich zupełnie przeciwny wywierają skutek: zamiast łączyć, obudzają tylko podejrzliwość. Cóż powiedzieć o nauczycielach, którzy rozpoczynają naukę matematyki od rachunku różniczkowego!? Czyż o tem wszystkiem nie wiedzą lub też wiedzieć nie chcą obrońcy demonstracyi? Nikt też dziś nie odważy się na śmieszność twierdzenia, że one potrzebne są do przypomnienia naszej sprawy Europie. Ale jeżeli demonstracye nie mają żadnego praktycznego znaczenia, zato posłużyć mogą wielce do łudzenia się, do cieszenia się oswojonymi i wyuczonymi chłopami, którzy zawsze i wszędzie przedstawiają u nas podczas demonstracyi stan włościański. Oh, p. Piotrze, takie łudzenie się jest zgubnem, bo przyczyniać się może tylko do zapoznania warunków, w których żyjemy, do zamknięcia oczów na rzeczywistość. Jeżeli u nas demonstracye łączą z sobą tylko już połączonych, jeżeli stwierdzają fakt, o którym nikt nie wątpi, jeżeli nawracają nawróconych, jeżeli demonstrują bez wytkniętego celu, to z drugiej strony mają tę niezaprzeczoną właściwość, że zaszczepiają i rozpowszechniają moralne i polityczne wałęsanie się i że odrywają od tej pracy, która na niektórych ustach wywołuje tak szyderczy uśmiech, ale która przecież jest kamieniem węgielnym całej naszej budowy. Demonstracye bowiem, dając nam bezpośredni przedsmak ostatecznego celu, muszą obudzać niesmak do wszystkich prozaicznych szczegółów, do tej codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy. Praca organiczna, p. Piotrze, odpowiedzieć im można — to oświata, to najlepsze antidotum przeciw ich dezorganicznej pracy. Wydajcie tę energię, którą wydajecie na urządzanie demonstracyi, na szerzenie oświaty, wydajcie te pieniądze, które zbieracie na demonstracye, na oświatę, a dowiecie się, coto jest praca organiczna. Przemawiajcie a nalegajcie o mądre a pilne zużytkowanie tych instytucyi, które już mamy — zawiązujcie ich jak najwięcej, bo jeśli ich działania są czasem błędne lub błahe, skrzywione lub bezowocne, to przecież są one prawdziwą dźwignią postępu, jedyną spójnią i jedyną dodatnią stroną wśród dzisiejszego ogólnego rozstroju;

zawiązujcie i pielęgnujcie je, a dowiecie się, coto jest praca organiczna! — Bierzcie udział i innych namawiajcie do żywego udziału w tem regularnem życiu politycznem, jakie okoliczności stworzyły. Walczcie przeciw temu wrodzonemu nam próżniactwu, które zasłania się tym sofizmem, że w tych warunkach nic zrobić nie można, a dowiecie się, coto jest praca organiczna! To przecież dość szeroka niwa i dla waszej działalności a nawet ruchliwości i ambicyi. A brak, wielki brak na tej niwie pracowników, brak szczególniej pracowników sumiennych, wytrwałych, obznajomionych i z rolą i z narzędziami rolniczemi. O nich się starajcie, a leniwych karćcie, a lekkomyślnych potępiajcie!

ZYGMUNT KACZKOWSKI:
Teka Nieczui [2]).
Z listu drugiego.

Niebogatą jest nasza przeszłość w tradycye stronnictw konserwatywnych. W dawniejszych wiekach napróżno ich szukać, bo trudno tam miały się tworzyć stronnictwa konserwatywne, gdzie postępu nie było. W XVI. wieku są jakieś walki niby do tegoczesnych podobne, ale chodziło tam tylko o sprawy religijne, a owoczesny liberalizm odnosił się tylko do wolności wyznania. Możemy jednak w tych czasach znaleźć niejedną naukę, a to nie tylko w tych walkach, które nam okazują, jak dalece nasz naród już wówczas był zdolnym do wyższych na sprawy żywotne poglądów, ale także i w tem, że wszystkie naukowe nabytki, przychodzące do nas z Włoch, z Niemiec i z Francyi, były jednogłośnie i bardzo skwapliwie przyjmowane przez całość narodu. Nie było wówczas nikogo, któryby śmiał utrzymywać, jak to się dziś daje słyszeć w Krakowie, że zbytek światła może nam szkodzić. Podówczas cały nasz naród był jednolitem stronnictwem postępowem i zaprawdę, nie przeszkodziło mu to stworzyć złotego wieku Zygmuntowskiego. Z Zygmuntem III. nieszczęśliwy los nas obdarzył dynastyą obcą, a za jej przewodem

---

[1]) *Teka Nieczui*, wydana bezimiennie w 1883 r. w Paryżu, jest pióra Zygmunta Kaczkowskiego. Miała to być odpowiedź na *Tekę Stańczyka*. W szeregu rozmów w niebie zabierają głos Kołłątaj, Lelewel, Wężyk, Krasicki, Pasek, Stańczyk i mnóstwo innych znanych zmarłych. W swych mowach zajmują się oni sprawami kraju, nie szczędząc ostrej nagany dla czynników kierujących — w latach 1869—1883. Wyjątek wzięty jest z listu drugiego, mowcą zaś jest znakomity obywatel Ignacy Potocki.

rozlał się po kraju wstręt przeciw tej oświacie, jaka właśnie natenczas zaczęła bujnie rozkwitać na całym zachodzie. Nieustające a przeszło półtora wieku trwające wojny, nie zostawiły narodowi czasu do naukowego i umysłowego rozwoju. Dzięki nieustającym wojnom uchowały się w narodzie jeszcze duch rycerski i miłość ojczyzny, ale utonął on w najgłębszej ciemnocie, a cnoty rodzinne i obywatelskie tak podupadły, że się w nim zagubiły nawet katechizmowe o nich pojęcia; ledwie dziesiąty ze szlachty umiał się jakkolwiek wypisać; wielu z nich nie umiało wcale czytać; kto co czytał, nie był w stanie zrozumieć; język się skaził do tego stopnia, że stał się dziwotworem języków; książki, które wychodziły naówczas, są do dziś dnia monumentami głupoty; nawet cnoty domowe zniknęły i otworzyły szerokie wrota chciwości bez granic, ohydnemu pieniactwu pomiędzy ojcem i synem, pomiędzy siostrą a bratem, rozprzestrzeniając po całym kraju przedajność sędziów, fałszowanie podpisów, krzywoprzysięstwo, a nareszcie zajazdy i gwałty. Systematyczne niedopuszczanie choćby najdrobniejszego promyka rozwijającej się w innych narodach oświaty pociągnęło za sobą ten skutek, że wolnomyślność i zachowawczość byłyto wówczas całkiem u nas niezrozumiałe wyrazy, — a o zasadach liberalnych albo konserwatywnych wcale nie było mowy. Pierwsi, którzy ten moralny upadek narodu spostrzegli i wzięli sobie do serca, którzy potrzebę zaprowadzenia reform w wychowaniu publicznem, w urządzeniach społecznych i politycznych z szerokiem pojęciem rzeczy uznali i zabrali się do działania, byli Czartoryscy: lecz na nieszczęście wykonanie swych myśli zbawiennych błędnie pojęli, a przez to swemu wielkiemu dziełu nieprzełamaną otworzyli zaporę. Konfederacya Barska wskrzesiła obumarłe uczucia patryotyczne, lecz nie przedarła ciemności i nie otworzyła bram, zamkniętych oświacie. Dopiero podrastające naówczas młodsze pokolenia, wychowane po większej części w szkołach zagranicznych, a zresztą w zakładach pijarskich i szkole kadetów, rozpostarły po kraju owe jaśniejsze pojęcia, które znalazły wyraz na wielkim sejmie. Ale, biorąc rzeczy dokładnie, czy mieliśmy na tym sejmie zachowawcze stronnictwo? Byli tam oponenci, intryganci i wichrzyciele, ale zachowawczego stronnictwa nie było. Po ostatnim rozbiorze jedna część społeczeństwa stała się obojętną i zajęła się chlebem powszednim, inna, mniej liczna, usiłowała korzystać z okoliczności i garnęła się ku zwycięzcom, aby przy

nich coś zyskać; myśli politycznej ani w jednych ani w drugich nie było: duch nie zabity, duch żyjący narodu, nie mogący się w kraju pomieścić, poszedł w legiony. Od tego czasu po wszystkich ziemiach polskich otworzyły się wrota na ścieżaj wszelkiemu światłu i wszelkim nowożytnym pojęciom, od liberalnych aż do najskrajniejszych. Duch narodu wtenczas zaczął się przetwarzać, łącząc się napowrót z cywilizacyą zachodnią, od której przez półtora wieku był oderwany. To przetwarzanie się trwało od pierwszych lat bieżącego wieku aż do listopadowego powstania. Przez cały ten czas widzimy u nas wyznawców wszystkich naukowych, społecznych i politycznych opinii, od rewolucyonistów i liberałów najczystszej wody aż do zakamieniałych wyznawców wojskowego albo azyatyckiego despotyzmu.

Pod koniec Księstwa Warszawskiego opinie się podzieliły, ale nie między postępowych i konserwatystów, tylko w ten sens, że jedni spodziewali się zbawienia Polski od Rosyi, a drudzy, nie widząc dla niej oparcia w żadnem innem mocarstwie, a nie ufając w szczerość protekcyi rosyjskiej, widzieli przyszłość ojczyzny tylko w niej samej. Ani stronnictwa zachowawczego, ani partyi postępowej, we właściwem tych wyrazów znaczeniu, tam nie było: widzimy tylko jednych, którzy za pomocą wyzwolonego z więzów ciemnoty narodowego ducha dążą do wyzwolenia ojczyzny, chociażby środkiem zbrojnego powstania, — i widzimy drugich, którzy gotowi są raczej znieść wszelkie upokorzenia, byle tylko utrzymać dalsze istnienie Kongresowego Królestwa. Nikt tam nie chce owoczesnego stanu Polski konserwować na wieki; wszyscy pragną dla niej lepszego losu w przyszłości i, z bardzo rzadkimi wyjątkami, nikt nie jest stanowczym przeciwnikiem rozszerzenia oświaty w narodzie i zaprowadzenia wolnomyślniejszych urządzeń. Są to tedy odcienie, a nie stronnictwa; są ludzie czynu i oportuniści w najszlachetniejszem znaczeniu, bo nikt się tam tradycyjnej polityki naszej nie wyrzeka, ani nawet Lubecki; nikt rozumnego nie tamuje postępu, ani nawet Wincenty Krasiński. Dopiero z odkryciem spisków i rozkwitem romantycznej poezyi zaczynają się zarysowywać stronnictwa, ale zawsze na tle jednolitości ducha narodowego we wszystkich kwestyach żywotnych. I wtedy jeszcze nie widzę konserwatywnego stronnictwa: są tylko umysły chłodniejsze, grupy obywateli, obawiających się stawić na kartę traktatami ubezpieczony byt małego Królestwa, ale ci obywatele nie są zorganizowani i nigdy się

z sobą policzyć nie mogą. Umyka im dzisiaj jeden, a jutro drugi czuje się oburzonym barbarzyństwami Wielkiego Księcia, — a sąd sejmowy już ich wcale nie rozbija. Znajdują się razem dopiero w dniu wybuchu powstania w Radzie administracyjnej i w Banku. Przypuśćmyż tedy, że byłoto wówczas rzeczywiście stronnictwo zachowawcze. To cóż to stronnictwo zrobiło? Oto pod wpływem źle zastosowanego konserwatyzmu, który nic nigdy nie tworzy — pamiętajcie to sobie, który nic nigdy nie tworzy, a przeto zgubnym jest w chwili działania — sparaliżowali, ubezwładnili i zabili powstanie. Bo któż o tem wątpi, że gdyby byli poszli za zdaniem owych znienawidzonych klubistów, którzy znów w czasie spokojnej pracy są zgubni, i gdyby byli cały kraj odrazu poruszyli, z czegoby wywiązała się natychmiastowa wyprawa na Litwę i Ruś, Moskwa nie byłaby w stanie tego uderzenia wytrzymać i bylibyśmy jej już wtenczas odebrali wszystko, co kiedykolwiek nam wzięła. Przyznam się, że ja, jak tylko słyszę o zawiązaniu się stronnictwa z charakterem konserwatywnym, chociażby to stronnictwo składało się z ludzi najzacniejszych i najpatryotyczniejszych, uczuwam wielki niepokój, bo, jak znam dzieje Polski od Piasta aż po czasy dzisiejsze, nie widzę, żebyśmy z takich zawiązków odnieśli kiedykolwiek jakie korzyści.

— Więc cóż? — rzecze na to cokolwiek niecierpliwie Niemcewicz — więc lepiej oddać odrazu radykałom kierunek sprawy publicznej?

A na to Pan Ignacy z ironicznym uśmiechem:

— Przyjdę ja do konkluzyi, ale wprzód jeszcze jeden przykład przytoczę. Przed laty dwudziestu pięciu, mniej albo więcej, Towarzystwo Rolnicze w Warszawie, otrzymawszy cokolwiek więcej swobody, zaczęło się organizować po całym kraju. Nie ogłosiło się ono, co było bardzo rozumnem, jako stronnictwo konserwatywne, tylko rozpoczęło swoje czynności pod hasłem pracy organicznej. Hasło to znaczyło, iż się zamierza całą i wszystką pracę narodu zorganizować, ażeby się wspomagała wzajemnie i do jednego dążyła celu, do celu moralnego i materyalnego wzbogacenia narodu na podstawie jego dziejowych tradycyi. W tej organizacyi mogły i powinny były znaleźć pomieszczenie wszystkie ludzkiej pracy zawody. Rolnictwo przodem, bo naród nasz jest przeważnie rolniczym, ale z niem razem przemysł, handel i rękodzieła, nauki i sztuki, rzemiosła i dzienny zarobek. Organizacya taka nie powinna była i nie potrzebowała wcale przybierać

charakteru sprzysiężenia z tą albo ową polityczną dążnością. Wszystko się tam mogło dziać jawnie, bo przedewszystkiem nie o politykę chodzić było powinno, tylko o wprowadzenie całego społeczeństwa na drogę pracy i naturalnego rozwoju. Mając to, można było czekać spokojnie na polityczne swobody, któreby były przyszły tem pewniej i prędzej, im więcej jednolitości i siły społeczeństwo byłoby nabrało za pomocą spójności i pracy. Nie przeczę temu, że taki cel jest bardzo trudnym do osiągnięcia w zupełności: lecz pytam, czy Towarzystwo Rolnicze usiłowało przynajmniej podgarnąć pod swoje wpływy wszystkie inne gałęzie pracy? Nie. A jeżeli usiłowało, to nieudolnie. Cóż stąd wyniknęło? Oto żywioły lotniejsze i niecierpliwsze, nie wciągnięte w organizacyę pracy, zaczęły się organizować osobno, a organizacya ta tworzyła się nie pod hasłem spokojnej pracy, tylko z charakterem sprzysiężeń, z celami politycznymi. A jak tylko obok pierwszej stanęła druga organizacya, Towarzystwo Rolnicze musiało z konieczności przybrać charakter i nazwę stronnictwa konserwatywnego, a niebawem odegrać rolę wszystkich stronnictw konserwatywnych, jakie się u nas kiedykolwiek wiązały. Co się dalej stało, to wszystkim wiadomo. Organizacya młodszych i energiczniejszych żywiołów, ogarnąwszy sobą wszystkie zawody pracy, nieobjęte organizacyą rolników, wzięła górę; pozbawiona chłodnego i rozważnego kierunku, rozdmuchała wszystkie namiętności, które torują drogę gwałtownym porywom i uniesieniom; stronnictwo konserwatywne, którego dyrekcya stawała się coraz bardziej wyosobnioną, a organizacya ulegała coraz większemu rozprzężeniu, nie było w stanie tych uniesień ani ochłodzić, ani powstrzymać, — a kiedy wybuchło powstanie, nie pozostało mu nic innego, jak dać się porwać powstaniu.

Nie konserwatyzm, ale postęp powinien być naszem hasłem i naszym sztandarem. Nie tworzenie stronnictw, któreby się darły pomiędzy sobą i utrzymywały historyczną niesławę naszej niezgody, ale dążność do jednolitości powinna być naszym celem. A przeto ani zatwardziali konserwatyści, ani radykalni demokraci powinni u nas brać górę: niechaj staną na czele narodu ludzie, którzy imieniem, majątkiem, zasługą, nauką, pracą i talentami wypłynęli na jego powierzchnię; niech się połączą ze sobą bez względu na polityczne odcienie, a w imię miłości ojczyzny, niech przygarną do siebie wszystkie stany i wszystkie pracy ludzkiej zawody; niech nie odtrącają od siebie ani magnata

dlatego, że mu się marzy arystokracya, ani mieszczanina dlatego, że z rodu jest demokratą, ani niedouczonego młodzieńca dlatego, że mu się snują rewolucye po głowie... Niech wytworzą ze siebie organizacyę, rozgałęzioną po całym kraju, a obejmującą wszystkie warstwy społeczne, oraganizacyę nie skrytą, lecz jawną, któraby żadnych politycznych dążności nie miała na celu, a tylko pomoc wzajemną, uporządkowanie i rozwój wszystkich sił pracujących i dobro całego kraju; a wtedy w każdym wypadku rozum polityczny się znajdzie, nigdy się głupstwa nie zrobi, bo mu się w dobrem porozumieniu zawczasu zagrodzi drogę i niewczesnych powstań nie będzie, bo w każdem położeniu przeważy zdrowy rozsądek większości. W obrębie takiej organizacyi znajdzie się miejsce dla każdej opinii: będą one walczyć ze sobą w domu, ażeby prawdę wywalczyć; ale zgorszenia nie będzie, bo każda myśl niedorzeczna lub podła zostanie stłumioną przez zdrową opinię publiczną i poza granice kraju nie wyjdzie. A jeżeli tam ktoś z prawej lub lewej wymknie się z szeregów i pójdzie swym własnym torem, to kraj go od siebie odrzuci i zniesie tę stratę bez szkody. To jest jedyna droga postępowania dla narodu, żyjącego pod obcym rządem. Potrafili to Węgrzy — a mybyśmy nie mieli potrafić? Jeszcze nas przecie stać na to, na co zdobyli się Węgrzy. Bo czegóż na to potrzeba? Kilku ludzi rozumnych a pełnych miłości i dobrej woli: w Bogu nadzieja, że jeszcze takich kilku ludzi się znajdzie.

A na tem skończyło się tego dnia nasze kołowanie i wszyscyśmy się w wielkiem zamyśleniu rozeszli.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI[1]).

Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych.

Upadek narodów katolickich.

Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania; najlepsi patryoci nieraz do nich należą. Na Śląsku austryackim ruch narodowy rozpoczął się u protestantów, nie u katolików. Kalwin Potworowski był długoletnim przywódcą

[1]) Szczepanowskiego Stanisława *Myśli o odrodzeniu narodowem* wyszły (t I) we Lwowie w 1903 roku. Jestto szereg pism i przemówień o konstytucyi trzeciego maja, o liceum

narodu polskiego pod zaborem pruskim; mamy patryotów żydów w Warszawie. Z tem wszystkiem oczywistem jest dla każdego, kto ma oczy, ażeby widział — że Polska, jako naród, jest katolicka, staje się coraz bardziej katolicką. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI. wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczona w XIX. lub XX. wieku. Polska więc i nadal będzie katolicką albo jej nie będzie. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu polski, któryby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religii, ale w tej chwiliby stanął nie tylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.

Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu tak samo, jak je dzieliła w przeszłości.

* * *

Żywotność katolicyzmu tłumaczę sobie tem, że, abstrahując od teologii, w całym szeregu dogmatów żywotnych stoi wyżej od protestantyzmu i broni prawd, które są trwałym nabytkiem ludzkości. Do takich zaliczam:

a) Wiarę w wolność woli czyli wiarę w odpowiedzialność za swoje uczynki — bo doktryna predestynacyi, do której mniej więcej zbliżają się wszelkie sekty protestanckie, z konieczności wyradza fatalizm, robi z człowieka igraszkę ślepych sił, za których działanie nie jest odpowiedzialny i podkopuje podstawę rozwoju moralnego;

b) wiarę w to, że dogmat bez uczynków jest martwy, że po owocach drzewo się poznaje. W teoryi Lutra, że sama wiara wystarcza do zbawienia, kryje się rozbrat wiary i życia, teoryi i praktyki, leży wytłumaczenie faktu historycznego tylokrotnie sprawdzonego, że najświetniejszy filozof niemiecki może być równocześnie służalcem najnikczemniejszej polityki;

c) wyższość pierwiastku duchowego nad pierwiastkiem świeckim, manifestującą się w niezależności papieża od wszystkich

---

Krzemieckiem, o szkole ludowej i jej związku z wychowaniem narodowem, o racyonaliźmie narodowym, o *Śnie Jermaka* Konopnickiej, o potrzebie dezinfekcyi prądów europejskich, o potrzebie swojskiego kierunku w literaturze i o wychowaniu. Niżej podany wyjątek stanowi główne myśli najważniejszej ze zbioru rozprawy końcowej.

potęg świeckich. Nawet filozofowie niekatoliccy, n. p. Comte, twórca pozytywizmu, uznają, że powstanie władzy duchownej, niezależnej od świeckiej, jest znamieniem nowożytnej cywilizacyi i warunkiem jej trwałości. Uznanie wyższości sumienia i sprężyn duchowych jest naszą jedyną ochroną przeciwko wszechwładzy państwa, czy ona się objawia negatywnie, jako uciemiężenie narodów, czy pozytywnie, jako plan przymusowej organizacyi socyalistycznej;

d) społeczny charakter katolicyzmu, tak zastosowany do obecnej chwili historycznej, objawiający się w wierze w obcowanie świętych, w tworzeniu się zakonów i t. d. — podczas kiedy protestant, zdaje się, zajęty wyłącznie zbawieniem swojej duszy indywidualnej, szuka swojej własnej ścieżki do nieba i prywatnej furtki dla siebie samego;

e) elastyczność, a zatem postępowość katolicyzmu, który przyjmuje tradycyę i zmienia się z historyą i zastosowuje do wymagań chwili obecnej. Wprawdzie teologowie katoliccy wypierają się tej zalety i wychwalają niezmienność kościoła, ale dla tych, którzy mogą utrzymywać, wbrew ewidencyi oczu i uszu, że niema różnicy pomiędzy polityką Leona XIII. a Piusa IX., nie pisze się historyi i wobec nich ustaje dyskusya.

* * *

Polak skłonny jest do czynu religijnego, ale niecierpliwy do robienia rzeczy świętych przedmiotem spekulacyi. Dlatego też scholastyka jest dla Polaka, jak groch o ścianę. Nie znam też narodu, u którego panuje równie bezdenna niewiadomość wszelkich argumentacyi teologicznych i równa odraza do wszelkiego mędrkowania w tym przedmiocie. Przez długie lata przedstawiało mi się to, jako dowód nieudolności narodowej do badań filozoficznych, dopóki zrozumienie doniosłości intuicyi nie przekonało mnie, że w tem usposobieniu tkwi najgłębsza filozofia, że pod pokrywą nieudolności teologicznej kryje się najgłębsze powołanie religijne. Tak samo, jak dla człowieka widzącego wszelkie dowody o istnieniu słońca są zbyteczne, a dla niewidomego nieprzekonywujące — tak dla tego, który posiada intuicyę, który przejrzał, który jest obdarzony okiem duchowem, słońce duchowe świata niecielesnego jest tak oczywiste, że wszelkie dowody i argumentacye wydają

się niegodną i niepotrzebną szermierką słowną. Natomiast Polak staje z łatwością na najwyższym poziomie uczucia religijnego. Teologia rozróżnia wyższe i niższe pobudki wiary. Do niższych zalicza obawę kar w życiu przyszłem. „Gdybym nie wierzył w piekło, jakżebym mógł oprzeć się pokusom“ — powiada mi pewien misyonarz angielski. Polak, który się waha i zastanawia, czy ma się oprzeć pokusie, już jej uległ. Ale Polak z łatwością wzbija się do takiego nastroju ducha, że jest dla pokusy nieprzystępny, że ona dla niego zgoła nie istnieje. To jest to, co teologia nazywa stanem łaski, a Anglik życiem wyższem, w którem człowieka ogarnia li tylko miłość Boga najwyższego bez żadnej przymieszki uczuć osobistych. Polakowi pokazać to, co jest wielkie, wspaniałe i szlachetne, on odrazu bez argumentacyi czuje, że to jest właściwą ojczyzną jego ducha, że to są jego przyrodzone właściwości. Każda Polka, niezepsuta francuszczyzną, bez wahania, a z głęboką i wzruszającą naiwnością mimowoli będzie łączyła z wyobrażeniem chrześcijaństwa i katolicyzmu — każdą prawdę, każdą piękność, każde poświęcenie i od razu będzie jej jasnem i oczywistem, jak na dłoni, to, co dla filozofów i teologów w uczonych okularach będzie wątpliwem lub spornem. Dlatego też to, co Goethe nazywa *Ehrfurcht*, jest podstawą charakteru narodowego, polskiego. Głęboka cześć dla rzeczy świętych. Odraza do bluźnierstwa i profanacyi. Stąd cynizm a nawet satyra jest grzechem przeciwko duchowi polskiemu, jak to zauważyli Mickiewicz i Słowacki. Stąd obecne panowanie niezdrowej tak zwanej humorystyki w naszem piśmiennictwie jest miarą i oznaką kierunku kosmopolitycznego i antinarodowego.

Nigdzie kierunek religijny nie pojawia się wybitniej, jak w polskiem pojmowaniu historyi własnego narodu. Żaden inny naród nie posiada takiego nieprzerwanego szeregu wielkich postaci, w których się uosabia sumienie narodu, zacząwszy od św. Stanisława biskupa, kardynała Oleśnickiego i ks. Skargi, do ks. Marka, do Mickiewicza i Krasińskiego. Z wyjątkiem starożytnego narodu izraelickiego, u żadnego narodu religia nie łączy się tak ściśle jak u nas z historyą. Tak jak naród izraelicki, tak i nasz w każdym wypadku widzi palec Boży, karę za grzechy lub błogosławieństwo za serce czyste i nieskażone. Każdy wypadek dziejowy jest dla nas przedewszystkiem problemem etyki narodowej.

Od lat 30 nasza historyozofia niezmordowanie pracowała nad wyplenieniem pojęcia, że my się różnimy od innych narodów, że mamy jakąś odrębną misyę narodową. Daremnie; autorowie, chcący pisać z całą możliwą trzeźwością, znowu tylko popadają w jednostronność narodową i historyę narodu i jego losy sprowadzają do pewnych, niby nowo odkrytych, przyczyn psychologicznych, jako to: nieuznania zasady władzy, hierarchii społecznej i t. d. Dziś jeszcze nie mamy historyi, któraby należycie uwzględniała wpływ czynników geograficznych, statystycznych i ekonomicznych, któraby na przykład wykazała, że pospolite ruszenie rozeszło się nie dla grzechu niezgody i prywaty, ale dlatego, że w braku magazynów i zapasów nie było co jeść dla koni i ludzi, któraby wykazała, iż Piotr Wielki, zanim jego następcy zawojowali Polskę militarnie, już podkopał jej istnienie ekonomiczne i uczynił ją niepotrzebną i zbędną dla Europy, dostarczając tejże zboża i surowych materyałów z Petersburga w większej ilości i taniej, aniżeli to mogła czynić Polska; — jako w braku przygotowań materyalnych Polacy przez cały ciąg swojej historyi walczyli się z niemożliwościami, z zadaniami, które przy całem bohaterstwie i poświęceniu się były nie do wykonania z powodu braku środków, systemu i ciągłości. Cała ta strona fatalizmu konieczności naturalnych w naszej historyi jest jeszcze do obrobienia.

Ale cała ta geografia, ekonomika, statystyka i polityka następstw nieubłaganych z niezmiennych przesłanek nie istnieje dla duszy polskiej. Wobec fatalizmu, rozumu i konieczności Polak powtarza swoje: *e pur si muove* — nie pozwalam! — wy wiecie, co przymus, nie wiecie, co wola.

I ta jednostronność ducha narodowego, to wytężenie całej siły wzroku li tylko w stronę duchową było potrzebne, ażeby w narodzie mógł dojrzeć kwiat i owoc tysiącletnich walk, tysiącletniego mocowania się z niemożliwością: — nasza wielka literatura mesyaniczna, jedyna literatura, która obok Pisma Świętego posiada cechy biblii, nie tylko narodowej, ale uniwersalnej, oddającej odwieczne prawidła wiary i sprawiedliwości w postaci, przystępnej dla umysłów nowoczesnych i zastosowanej do potrzeb chwili bieżącej w historyi narodu polskiego i w historyi ludzkości.

Teraz dopiero, zdobywszy myśl przewodnią, możemy pracować, ażeby do niej dodać „roztropność węża“, przysposobić środki i zasoby materyalne do jej przeprowadzenia i wykonania. Od tej chwili zbawienie ojczyzny stało się niezależnem od polityki i dyplomacyi, stało się zależnem jedynie od nas samych. Jaki przymus, jaka niewola, jakie więzienia i bagnety mogą nam przeszkodzić do opanowania i wyleczenia własnej duszy? Dlatego *Sursum corda*! Jakież mogą być niemożliwości dla narodu, jeżeli każdy jego obywatel wprzódy uwzoruje swoją duszę podług koniecznych wymagań obowiązku i posłannictwa narodowego, nastroi swego ducha, ażeby zgodnie odpowiedział, kiedy nastanie godzina czynów dla każdego Polaka, a zmartwychwstania dla narodu?

* * *

Nie każda przemoc łamie, ale każda niewola podli, a najbardziej duchowa niewola. Mam przekonanie, że tysiące Polaków czuje jarzmo ducha niemieckiego nad nami i tylko czeka hasła, żeby się z niego wyzwolić. Do tych mówię: przestańcie być naśladowcami choćby najlepszych wzorów, małpami i papugami. Miejcie odwagę pozostać Polakami, nie Polakami *des schönen Scheins*, pięknej ułudy, ale prawdziwymi Polakami, z serca i ducha. Miejcie odwagę przyjąć ideę polską, jako naczelną pobudkę waszego życia, stosujcie ją do każdej chwili: do waszej pracy i do waszego wypoczynku, do nauki i sztuki, do zabawy i życia codziennego. Hardo i śmiało wyznawajcie waszą wiarę polską, że sprawiedliwość w walce z niesprawiedliwością zwyciężyć musi, hartujcie waszą wolę i przygotowujcie wasze siły, ażeby w tej walce z pożytkiem uczestniczyć. U szczytów, dosięgniętych przez myśl polską, odwróćcie się z pogardą od brudów i kłamstw, bluźnierstw i bezeceństw, zalewających cały świat. A bądźcie pewni, że w waszych usiłowaniach nie będziecie opuszczeni; kolumny duchów stoją za wami, duchy wszystkich przodków bohaterskich, duchy wszystkich wieszczów natchnionych spieszą ku wam i ofiarują swoją pomoc i współdziałanie. Każdy z was pojedyńczo jest bezsilnym i rozpacza, ale zwiążcie się jednym łańcuchem, ramię do ramienia, a cały naród pójdzie za wami.

Przed wami niezmierzone pole działania; raźnie, chrobro, wytrwale i zaborczo: cały obszar wiedzy przyrodniczej,

którą trzeba przyswoić, by dla dobrej sprawy władać wszystkimi wichrami, żywiołami i piorunami. Cały obszar historyi ludzkości, którą trzeba przerobić w myśl idei polskiej, ażebyście w chwili stanowczej mogli korzystać z doświadczenia wszystkich czasów. Cały obszar sztuk pięknych, który trzeba ogarnąć i przerobić na natchnienie i na dostrojenie polskiego ducha do tonu bohaterskiego, który mu zapewni zwycięstwo. Cały obszar pracy ekonomicznej, bo duch wciela się tylko przez uszlachetnienie materyi: piękność potrzebuje marmuru, męstwo żelaza, życie codzienne nawet chleba powszedniego, a każda walka zasobów niewyczerpanych!

Przed wami cały naród, martwa bryła ludu do poruszenia, kształcenia i pociągnienia waszą miłością, waszym przykładem. Działajcie tak, a spadną łuski z oczu ociemniałych, na nowo zadrgają serca zatwardziałe, poruszą się umysły zgnuśniałe i zbudujecie kościół na opoce, której żadne siły piekła nie przemogą, a w tym kościele będzie miejsce nietylko dla nas, ale i dla całej ludzkości. Nie słuchajcie w tem mojego tylko głosu, bom ja słaby i bez sił, sam nic nowego nie przynoszę. Pragnę tylko zastosować do chwili obecnej to, co od przeszło pół wieku głosi cała nasza literatura. Ale słuchajcie głosu całej przeszłości, pamiętajcie o całej przyszłości! Słuchajcie przedewszystkiem najgłębszych i najrzewniejszych instynktów własnego serca, tych naiwnych i prostych przykazań, które każda matka Polka szczepi w sercach nowego pokolenia — a wszystkie mądrości i zawiści szatańskie w nicość się przed wami obrócą.

* * *

Ostatniem słowem naszej ewangelii narodowej, tego dopełnienia i zastosowania do chwili obecnej powszechnej ewangelii rodu ludzkiego, jest więc czyn, a ponieważ ten czyn ma przeobrazić wszystkie istniejące stosunki podług wymagań idei polskiej i pokonać wszystkie żywioły przeciwne, to staje się walką, walką z wszystkiem, co przeszkadza harmonii narodowej, społecznej i życiowej na świecie; walką ze wszystkimi nieprzyjaciółmi sprawiedliwości, z każdą niesprawiedliwą przemocą t. j. z każdą siłą szatańską, czy one objawiają się jako „drapieżne zmysły i rozkiełznane chuci“, bez hamulców i podniet idealnych

w naszem własnem sercu, czy jako oschłość, obojętność, wyzysk lub okrucieństwo w życiu społecznem, czy jako zabór, ucisk, tyrania i despotyzm w życiu narodowem.

Podstawą całego działania jest przeobrażenie jednostki. Szlachetna i bohaterska jednostka przeobraża społeczeństwo. Przeobrażone społeczeństwo staje się siłą historyczną i przeobraża stosunki narodowe i międzynarodowe.

Mickiewicz w całej pełni i z całą bezwzględnością przyjął i zastosował naukę Platona, że dusza pojedyńczego obywatela jest obrazem społeczeństwa, które się na jej podobieństwo kształtuje. Widzimy to u niego, jako jednego z założycieli Promienistych we Wilnie, jako członka Braci Zjednoczonych w Paryżu, nawet w zwichniętej postaci kółek Towiańskiego w późniejszem życiu. Prawda i sprawiedliwość zaczynała się u niego w życiu codziennem... Odrodzenie społeczne i odrodzenie narodowe polegało na przeobrażeniu osobistem i wypływało z odrodzenia osobistego życia i poddania go nowemu zakonowi. — Jest to prawda, którą każde dziecko zrozumieć może i zastosować potrafi, a którą tylko umysł oschły i przepełniony fałszywą wiedzą i fałszywemi zapatrywaniami na życie nazwie mistycyzmem.

Siła duchowa społeczeństwa jest tylko siłą nagromadzonych obowiązków. Prawdziwa nauka społeczna polega na tem, żeby zaostrzać poczucie obowiązku i nakładać nowe obowiązki. Fałszywa nauka tem się poleca i tem schlebia tchórzostwu ludzkiemu i wygodzie ludzkiej, że wyzwala od obowiązków. Pochlebiając jednostce, ubezwładnia społeczeństwo i poddaje je w słowach Schillera: *dem dunkeln Schicksal, das nur der Starke zwinget.*

Szatan sofista i szatan estetyk przygotowują panowanie szatana tyrana. Człowiek, opętany przez szatana sofistę, wierzy w nieistniejące fatalizmy i konieczności, wierzy w bezskuteczność walki z bezprawiem, a opętany przez szatana estetyka, otacza swoją nikczemność aureolą poezyi sentymentalnej, o rozwianych iluzyach młodości i własnowolnie staje się pastwą szatana tyrana.

Cała prawie nasza literatura obecna, całe prawie dziennikarstwo, uniwersytety, szkoły, są pod bezwzględnem panowaniem sofistów i estetyków „wyzwalających“ ducha narodu — i przygotowujących naród do jarzma upadlającej niewoli. Czas jest założyć protest przeciwko temu kierunkowi nie tylko w imieniu idei polskiej, ale i w imieniu obrażonej godności ludzkiej, na straży

której stoi i stać będzie idea polska ze zwycięskiem poczuciem, że prawda zwyciężyć musi.

Ta nasza ewangelia posiada tę cechę największych prawd, że może być zarazem wiarą dziecinną, a równocześnie najwyższym wyrazem wszechmyśli, stojącej na ludzkich myśli piramidzie. To nie mistycyzm, to nie obraz poetyczny, to literalna prawda, co Krasiński mówi w *Przedświcie*, że zanim ojczyzna zmartwychwstać może, każdy Polak musi się przeobrazić na bohatera, na rycerza sprawiedliwości, ażeby myśl Boża mogła tryumfować i dla narodu polskiego i dla ludzkości. Zanim będzie można powiedzieć, że:

Myśl Boga w twojem łonie
I los świata w twym zakonie,

to:

Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano
W tę ojczyznę nieśmiertelną
Mimo działów niepodzielną!

a początek tego nowego plemienia, to przeobrażenie starej krwi podług nowego zakonu!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany,
Z ich prastarą krwią się zleje!

To wytworzenie nowego plemienia ludzi, łączących starą krew, a nowy zakon, to warunek zasadniczy, a zarazem najtrudniejszy wskrzeszenia ojczyzny i odbudowania jej na nowych podstawach.

Jest dziwną cechą czasów nowożytnych, że przy schyłku wieku XIX. trzeba się zastanawiać nad prostą kwestyą, czy słońce świeci jeszcze nad światem, czy można uszlachetnić życie pojedyńcze i poddać je pod zakon sprawiedliwości, czy szlachetne jednostki potrafią opanować społeczeństwo, a czy przeobrażone społeczeństwo może się stać czynnikiem politycznym i historycznym i poprowadzić ludzkość nowymi torami. Dziecko polskie i każdy Polak prostaczek i każdy prostoduszny Polak wogóle ani na chwilę nie wahaliby się z odpowiedzią.

Trzeba być bardzo wykształconym i bardzo przejętym obecnymi prądami kosmopolitycznymi, ażeby mieć jakieś wątpliwości. Ale wszak my jesteśmy wykształceni, jak nigdy. Chwała Bogu, od trzydziestu lat Polacy poczuli się częścią ludzkości, i to podlegającą tym samym prawom, co cała ludzkość. Chwała Bogu, każdy nowy izm, który się pojawi nad brzegiem Sekwany czy Sprei, czy naturalizm, czy pozytywizm, natychmiast odbija się w Warszawie, Krakowie, nawet we Lwowie, a przedewszystkiem wykształcił się ten ostatni kwiat cywilizacyi, zdrowy krytycyzm, badający wszystko podług wszechludzkich prawideł, rozróżniający trzeźwo zdrowe ziarno od plewy, prawdy istotne od zabobonów, szowinizmów i mrzonek.

Sztuka, która tylko drażni lub łechce a rozstraja i usypia, nie istnieje dla mnie lub istnieje, jako przedmiot odrazy, pogardy lub nienawiści. Tak samo nie istnieje dla mnie wiedza, która nie jest bronią, która nie ułatwia i nie potęguje działania, a tylko jest przedmiotem próżnej ciekawości, *jeu d' esprit* dla znudzonych, zdenerwowanych lub znarowionych.

Historyozofia, która prowadzi do opuszczenia rąk i poddania się przemocy, jest dla mnie największem bluźnierstwem, bo w dogmatykę dla całego rodu ludzkiego przetwarza niedołęstwo i nikczemność ludzi biernych i niewolniczych.

Nie odzywam się więc wcale do tchórzów, niedołęgów lub sybarytów, umyślnie ignoruję ich zamiłowania i ich sposób patrzenia na świat. Odzywam się tylko do wierzących i walczących lub chcących walczyć w imię idei narodowej, bo jedynym probierzem żywej wiary jest walka, a jedyną gwarancyą zwycięstwa w walce jest wiara. — Jedynem mojem pragnieniem jest wskazać tym wierzącym i walczącym to, co im może dostarczyć otuchy i środków do walki.

Z mojego ciasnego i jednostronnego stanowiska tylko wierzący i walczący zasługują na miano ludzi, bo tylko oni posiadają te cechy istoty ludzkiej, to jest inicyatywę i odwagę i mogą stać się siłą historyczną, podczas kiedy patrzący, wątpiący i obojętni, wszystkie tchórze, niedołęgi, sybaryci, choćby niewiedzieć jak oświeceni, należą tylko do inwentarza ludzkiego, do *misera contribuens plebs*, do bydła, które jest uprawnionym przedmiotem badania, ile razy chodzi o rozkład ciężarów lub podatków, o obliczenie podoju

lub wydatności mięsa na targ, ale nie wpływa, jako samoistny czynnik, na bieg wypadków historycznych.

* * *

Każde dziecko polskie, każdy polski prostaczek, każdy prostoduszny Polak wogóle ani na chwilęby się nie wahał z odpowiedzią na pytanie, czy szlachetność jest możliwa i czy może doprowadzić do zwycięstwa. Jednakowoż dla obecnych ludzi wykształconych, co równocześnie najczęściej znaczy także wynarodowionych, pozwolę sobie wskazać szereg prawd psychologicznych, które co najmniej mogą podać w wątpliwość uniwersalnie przez wykształconych przyjętą naukę o fatalizmie historycznym, o nieubłaganem prawie, że przemoc może bezkarnie deptać najświętsze uczucia i obrażać najgłębsze instynkta ludzkości.

1) Odrodzenie zaczyna się od serca, a nie od rozumu, od charakteru, a nie od oświaty i sztuki, bo cechą odrodzenia są zmienione czyny, a nie zmienione opinie. Łatwiej też zachęcić prawe serce do szukania wiedzy, aniżeli znikczemniałej cywilizacyi dodać szlachetności i energii.

2) Tak, jak cechą życia w naturze jest pokonanie martwej materyi, tak cechą ducha jest opanowanie przyrodzonych popędów organicznych w człowieku.

Jak w przyrodzie martwej naczelnem prawem jest grawitacya czyli ciężkość, tak w martwem społeczeństwie naczelnem prawem jest egoizm. Każda bryła ludzka prawem tej grawitacyi toczy się na dół po pochyłości egoistycznych skłonności.

Społeczeństwo żywe przeciwnie — rozwija się wbrew pociągom naturalnym, wbrew egoizmowi, strachowi, zemście, wygodzie. W społeczeństwie żywem pojawiają się obok przyrodzonych popędów pierwiastki duchowe spójni. Zamiast automatu o drapieżnych zmysłach pojawia się człowiek, który dla drugiego człowieka już nie jest wilkiem, ale sprzymierzeńcem, bratem, bo w jego sercu już się odezwały duchowe pobudki miłości, szlachetności, męstwa i natchnienia.

Miarą prawdziwej, uduchowionej ludzkości jest właśnie powstanie tych społecznych, prawdziwie ludzkich pobudek, na których polega każda organizacya zbiorowa: rodzina, społeczeństwo, naród, ludzkość, każda praca trwała, każde zbliżenie się

do wieczności. Cała cywilizacya — to ciągła praca duchowa, walcząca z przyrodzoną koniecznością i budująca wbrew prawom martwego świata.

Cechą i miarą prawdziwej ludzkości jest więc: *Sursum corda* — przezwyciężenie grawitacyi „drapieżnych umysłów i rozkiełznanych chuci“ i wyzwolenie się z pod ślepych sił martwego świata — słowem, zamienienie automatów ludzkich i martwego mechanizmu społecznego na ludzi walczących i wierzących, łączących się w ustrój żywotny, rozwijający się swobodnie prawem wolności.

3) Jeżeli cała praca społeczna, narodowa i cywilizacyjna może być porównana do budowy, to budowa każda wymaga naprzód pewnej świadomości celu, pewnego planu i umiejętności do kierowania, a potem pewnych zorganizowanych sił do wykonania jej. Tu pojawiają się dwa działy pracy dla geniuszu ludzkiego. W tem pierwszem zadaniu wyrobienia myśli przewodnich objawia się pole dla geniuszów twórczej myśli, w tem drugiem zadaniu dla geniuszów twórczego czynu.

4) Pozostaje wytłumaczenie, jak się tworzą i skupiają siły duchowe. Cechą apetytów naturalnych jest potrzeba zaspokojenia materyalnego. Pożywienie lub ubranie, wydzielone jednemu, tem samem odebrane jest drugiemu. Ten sam przedmiot nie może zaspokoić dwóch apetytów.

Cechą pragnień duchowych jest przeciwnie, że zaspokojenie jednego człowieka w niczem nie zmniejsza możliwości zaspokojenia drugiego. To, że ktoś odczuwa piękność obrazu lub muzyki, nie zmniejsza przyjemności drugiego, przeciwnie. Wrażenie więc tego rodzaju nie tworzy antagonizmów, owszem, staje się łącznikiem pomiędzy ludźmi. Męstwo lub sprawiedliwość jednego nie uszczupla zapasu męstwa lub sprawiedliwości dla drugich, przeciwnie, ułatwia im nabycie tych samych cech. Zarodki tych pragnień duchowych mogą być słabsze w pojedyńczym człowieku od wilczych apetytów. Ale podczas kiedy wilcze apetyty nawzajem się obezwładniają i znoszą, to pragnienia duchowe łączą się i skupiają.

Społeczeństwo żywotne przedstawia zupełną analogię ze stosem galwanicznym. Stosy, połączone w bateryę galwaniczną, posiadają w każdym punkcie obwodu prąd, który się równa całej, połączonej sile wszystkich stosów. Pojedyńczy

stos nieraz wydaje ledwie dostrzegalną iskierkę, stosy, połączone w bateryę, potężną błyskawicę. Tak samo w zwartem społeczeństwie, gdzie jednostki są połączone spójnią duchową, objawy duchowe potęgują się i napięcie ich w każdej jednostce równa się połączonemu napięciu wszystkich jednostek, i z zaledwie dostrzegalnych, pojedyńczych dobrych chęci zjawia się woli błyskawica. Na tem polega efekt dyscypliny w armii, solidarności w stronnictwie politycznem, działania opinii publicznej, patryotyzmu w narodzie, entuzyazmu w ruchach ludowych. Siła zbiorowa udziela się każdej jednostce.

5) Każdy ruch duchowy cechuje się przewagą celów ogólnych, narodowych lub społecznych nad celami osobistymi i tem, co z tego założenia wypływa, ograniczeniem potrzeb osobistych; takie ograniczenie potrzeb osobistych jest jedynym i koniecznym dowodem przeobrażenia wewnętrznego, jedynym dowodem, że się już nie jest dzieckiem, ceniącem błahostki, jedynym dowodem, że Polak w swojej duszy sam dla siebie przeprowadził to, co zaleca całemu narodowi, to jest podporządkowanie celów osobistych pod cele ogólne, że działa z zasady, a nie z chwilowej fantazyi, jedynym dowodem, że nie wierzga dawnym narowem i że duszę wichrowatą przeistoczył na duszę bohaterską.

6) Każdy ruch duchowy żyje ofiarami i trudem uczestników, a nie natychmiastowemi korzyściami materyalnemi, które im może zapewnić. Tak jak matce dziecko tem milsze, im więcej się dla niego nacierpiała, tak dla każdego szlachetnego człowieka sprawa tem droższa, im więcej się dla niej ofiar poniosło. Bo też każde uczucie żywi się tylko ciągłymi czynami, codziennemi świadczeniami, praktyką codzienną.

* * *

Was der Verstand der Verständigen nicht sieht,
das sieht in seiner Einfalt ein kindlich Gemüth.

Psychologia bohaterska, ta psychologia każdego dziecka polskiego, prostaczka polskiego, każdego prostodusznego Polaka, w historyi świata jeszcze więcej posiada cech rzeczywistości, niż psychologia niewoli, bo jej zawdzięczamy wszystko, co ludzkość wytworzyła wielkiego

i wspaniałego, jej zawdzięczamy całą otuchę i nadzieję na przyszłość. Psychologia bohaterska dostarcza o wiele więcej różnorodnych i skutecznych środków działania, niż psychologia niewolnicza. Oprócz zasobu swoich własnych środków, rozporządza ona wszystkiemi siłami stopnia niższego, podczas kiedy dla psychologii materyi nieprzystępne są środki duchowe.

Już w ewangelii słyszymy: Bądźcie niewinni, jak gołębie — a roztropni, jak węże. Niewinność gołębia nie przeszkadza w nabyciu roztropności węża. Tak samo władza nad dynamiką i elektryką społeczną nie przeszkadza w nabyciu wszelkich środków, których dostarczać może wiedza przyrodnicza, nauka i praktyka ekonomiczna.

Jak już powiedziałem, nie rozumiałem nigdy, dlaczego człowiek szlachetny miałby być z przyrodzenia niedołężnym i nieobrotnym i nie mógł sobie przyswoić wszystkich zalet i sił owych wielkich karyerowiczów wieku XIX.: śmiałości rozbójnika, umiejętności spekulanta i wytrwałości wyzyskiwacza, tem się tylko od nich różniąc, żeby owoce owego działania obracał nie na niegodne i daremne zadanie nasycenia własnych wilczych apetytów, ale aby cząstkę swej duszy zostawił w dziele, którego rdza nie dotknie, a mól nie zniszczy i które służyć będzie późnym pokoleniom!

Tak wygląda realizm. — Tak wygląda mrzonka. Realizm i jego cele przemijają, jak sen zwodniczy, a po chwili ludzie pytają: gdzie ślad jego? A to, co trzeźwi nazywają mrzonką, stawia gmachy i świątynie, które wieczność przetrwają!

ADAM ASNYK (1838—1896 [1]).

Przeminął czas...

Przeminął czas! Przeminął czas
Tęczowej cudów powieści;
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

---

[1]) Nauki w Warszawie, we Włocławku, Paryżu i Heidelbergu, gdzie studyował historyę i filozofię. Brał udział w styczniowem powstaniu, a gdy po upadku jego i powrocie swym do Heidelbergu zapadł na melancholię, z rodzicami podróżował po Holandyi, Niemczech

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy, ani Dryada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.
Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.
Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

Przeminął czas! Przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza!
Wolności także zamarł śpiew:
Niema skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.
A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.
Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei
Dla znikczemniałych smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa...

---

i Włoszech. Z Neapolu w 1864 zaczął posyłać do Lwowa swe poezye: *Podróżni, W zatoce Baja, Odpowiedź, Julian Apostata, Asceta, Aszera, Odłamowi Psychy Praxytelesa, Sen grobów.* Powróciwszy do Heidelbergu uzyskał dyplom doktorski, poczem po krótkim pobycie we Lwowie osiadł na stałe w Krakowie od 1870 r. i tu spędził resztę życia.

Śród poezyi lirycznych wyróżniają się: *Pod stopy krzyża, Przeminął czas, Epaminondas, Daremne żale, Echo kołyski, Nie mów, Do młodych, Oda, Świat się ogniami zapala, Wśród przełomu, Nad głębiami.* Pisał też Asnyk komedye i dramaty. Do pierwszych: *Walka stronnictw, Przyjaciele Hioba, Gałązka heliotropu, Komedya konkursowa*; do drugich: *Cola Rienzi, Bracia Lerche, Żyd, Kiejstut.*

Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.
Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.
On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.
I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń...
Została nędza, niemoc, strach
I ojców spróchniała goleń!

Lecz błyśnie dzień! Lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową.
I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.
A ideału jasny kwiat,
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.
I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte!

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży;
Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali...

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą — do ideału.
A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej:
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

Choć pól i łąk...

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną, —
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O, czarodziejko — wiosno!
Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje:
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje!
Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.
Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głową senną...
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

Pod stopy krzyża.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża.
Z uspokojeniem po przebytej męce,
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego krzyża,
Wyciągać znowu z utęsknieniem ręce

I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!
Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny:
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu —
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!
Nawet przed Tobą nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej;
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A Tyś mi zniknął, na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.
Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem — i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.
Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek;
Lecz nie wiedziałem nigdzie zmartwychwstania,
I, próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.
Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą;
Myślałem bowiem, że, biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą,
I że, przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.
Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą,
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny!
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
I gdy, wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność;
Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej:

I przeklinałem tę rzeszę żałobną,
I pogardzałem nimi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać, jak dawniej, za młodu.
Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność.
Sam — jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.
Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty;
I tak, swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.
Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej a razem nieskończonej mocy;
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.
Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości:
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej, najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, Boskiego męczeństwa.
Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem, niewierny,
Tak mi się znowu wydał jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!
I powitałem światło wiecznie nowe,
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na Mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te Boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie, wy, którzy cierpicie,
„Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy;
„We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
„Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie:
„Wszystko przemija — prawda nie przeminie!“
Więc posłuchałem słodkiego wezwania:
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

Do młodych.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!
Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozprószycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów, —
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.
Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele, —
Przyszłości podnoście gmach!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży —
I wy winniście im cześć!
Ze światem, który w ciemność już zachodzi,
Wraz z całą tęczą idealnych snów
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Nie mów.

Nie mów, — chociażbyś miał ginąć z pragnienia, —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.
Nie mów, — chociażbyś umierał z tęsknoty, —
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnymi.
Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

Daremne żale.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.
Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu:
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe —
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!
Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Nad głębiami.

1.

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie
Albo w czynnikach, co się wnet rozprzęgną;
Nieśmiertelnemi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie.

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną.
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.
Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,
Choć się przystraja w odrębności pychę, —
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche.

2.

Tylko treść, która z całością się się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;
To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z życiem przyszłych pokoleń się brata, —
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata
I wszędzie siebie znajduje świadomie:
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie,
I w każdym, życiem drgającym, atomie: —
Ta jedna, z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

3.

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi;
Upadłość ludzką z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,
Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.
Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca

I, coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

4.

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą;
A ci, co czynem ewangelię głoszą
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielą się plonem i spadek dziedziczą;
I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.
Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i wspólnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek —
Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia — jedyny!

5.

W coraz-to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.
Śmierć — to ciągłego postępu chorąży,
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kiełkom zesuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży;
Z jego opatrznej, choć surowej łaski —
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
I w coraz nowe przystraja się blaski,
I, coraz dalej mknąc na fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

6.

Ci, którzy jasność żegnają zniknioną,
Gdy burza całe zniweczyła żniwo —
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną,

Dalszych rozkwitów morząc siłę żywą:
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą
Tysiącem kiełków drży już ziemi łono,
Ręką natury rozrzuconych skrzętną;
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno;
I życie w głębi walką wre namiętną,
By się wydobyć, kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen lub nowych stuleci.

Noc pod Wysoką.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek, w słońca promieniach kąpany;
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradnie ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina, pełna granitowych złomów,
Które z daleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.
Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały

Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem — jako w pracy nieustannej
Fala srebrzysta powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem — jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży koło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną —
I obraz zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli, zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata,
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,

Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...
Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu,
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza! A jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpółsenne ruchy.
Czasami skała, u szczytu wisząca,
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem —
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści...

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry

Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem,
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Pan Jezus chodzi po świecie.

O, nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.
Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie, zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...
  I Boskie wyciąga dłonie,
  Aby przytulić sierotę;
  Niesie jej blaski i wonie,
  Kwiatki niebieskie i złote.
A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.
  I w sercu, nabrzmiałem łzami,
  Wciąż pączki wypuszcza świeże...
  Jasnemi niebios barwami
  Duszę sieroty ubierze.
A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia
I lśni nad czołem sieroty
Iskra czystego natchnienia:
  Choć pójdzie drogą boleści,
  Choć nie zna rodzinnej strzechy,
  W swych piersiach dziedzictwo mieści,
  Pełne niebiańskiej pociechy.
Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

Siedzi ptaszek na drzewie...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;
  Bo szukają dokoła
  Tam, gdzie nigdy nie bywa.
  Pot się leje im z czoła,
  Cierń im stopy rozrywa;

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!
  W nienawiści i kłótni
  Wydzierają coś sobie,
  Aż zmęczeni i smutni
  Idą przespać się w grobie.
A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką:
Napotkało w łzach sierotę.
  Ten się żali: — Tak wesoło
  Świecisz światu, słonko moje;
  Uśmiechami sypiesz w koło,
  Gdy ja smutny we łzach stoję.
Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.
  Słonko na to: — Biedne dziecię!
  I mnie smutno na niebiosach,
  Gdy o waszym myślę świecie
  I o ludzi ciężkich losach;
Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.
  Nie pomogą próżne żale...
  Ból swój niebu trzeba zlecić —
  A samemu wciąż wytrwale
  Trzeba naprzód iść... i świecić!

———

MARYA KONOPNICKA. (1846—1910 [1]).

Na progu.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa,
Gdzie my od was odbiegli?... Gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem w górę, poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj — wielcy? — a wy czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O, bracia! Jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! Dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! To my was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach, i bardziej smutni.

Do słonka.

Ach, żebyś ty, jasne słonko, wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów zostało,
Nie padałobyś tak rychło za góry,
Za te lasy w płaszczu tkanym z purpury.
Krótki dzionek! Do wieczora od wschodu
Nie roztaje pierś zakrzepła narodu.
Nie nabiorą światłem myśli człowieka,
Kiedy słonko tak nam prędko ucieka.

---

[1]) Nauki w Warszawie u Sakramentek. Pisać zaczęła około r. 1870. Uwagę ogółu zwrócił na siebie poemat *Romans wiosenny*. We dwa lata dramatyczne obrazy p. t. *Z przeszłości*. Pierwszy zbiór poezyi wyszedł w 1881, dalsze zaś ukazywały się w 1883, 1887, 1900, 1905. Poetka tymczasem żyła w Niemczech, Francyi, Włoszech i znów wracała do kraju. Śród utworów pierwsze miejsce zajmują pieśni o ludzie i krajobrazie rodzinnym, oraz obrazki niedoli ludu. Najlepsze: *Do granicy*, *Jaś nie doczekał*, *Z piwnicznej izby*, *Z łąk i pól*. Towarzyszą im liczne obrazy z dziejów kultury: *Jan Hus*, *Tarcza Scypiona*, *Sclavus saltans*; poematy filozoficzne, ujęte w cykle *Z mojej biblii* i *Fragmenty*. Z poezyi epicznej ukazały się głównie dwa dzieła: *Ponad głębiny* i *Pan Balcer w Brazylii* (1910). Z poezyi dramatycznej *Prometeusz i Syzyf* (1892). Wiele tłómaczeń: *Dziecię wieszczek* Heysego, *Łabędzi śpiew romantyczny* Hamerlinga, *Cyrano de Bergerac* Rostanda, *Atta Troll* Heinego, *Niedole Burze* Ady Negri. Sporo nowel i studyów literackich. Z pierwszych najlepsze: *Niemczaki*, *W dolinie Skawy*, *Nasza Szkapa*, *Głupi Franek*; z drugich: *Mickiewicz, jego życie i duch*. Z pośród książek dla dzieci godne uwagi: *Krasnoludki*. Dzieliła się też wrażeniami z podróży w książkach: *Na normandzkim brzegu*, *Wrażenia z podróży*.

Oj, żebyto już nad ludźmi smutnemi
Uderzyła jasność ducha po ziemi!
Żeby w światło się podniosły powieki
I przyszłości dzień już nastał na wieki!

Z łąk i pól.

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni...
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni.
Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru
I sine mgły i srebrne łzy
Rozbryznął w cieniach jaru.
Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony
I poniósł szum żałosnych dum
W dalekie cudze strony.
Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me, na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat,
Rozbudzić dziś nie mogę.

Do granicy.

— Zaparli chałupę
I befel gwoździem do wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek, dzwignęłam na ręce
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...
— Patrzę: z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci.
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało, jak lichy kaganek.

Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na oną drogę smętną...
— Szłyśmy razem,
Kobiety z dziećmi, żałosną gromadą.
Za nami pobok straże konne jadą
I klną i dziatwę drobną biją płazem,
Nagląc do drogi...
— Byłaż to godzina!...
Rodząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli
I z trzech stron słońca — zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą...
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki,
Z gniazd wyrzucone albo z wody ryby...
Jezu Ty Chryste!...
— Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiszniowe
Na wdowią rolę, trójpotem zroszoną...
A ta mi strzecha stanęła, jak złota,
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra... A wszystko — od płota
Aż do żórawia, co moknie w studzience —
Wydało mi się, jakby było żywe
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę tak pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy... A choć w trawie stała,
Nie posięgnęła się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...
— Dziw, żem tam nie padła,
Taka mię żałość zdjęła!... Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu, przed siebie,
Jako gosęczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie,
Między tych matek żałosnym narodem...

A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...
— A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą, nieprzytomna
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa
I drogi sobie kijem szukająca,
I, jak osiki listek, cała drżąca...
Więc, że jej stare nie służyły nogi
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz... Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli na ziemi,
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście i zostało,
Jak pieczęć krzywdy naszej, przyłożona —
Pod okiem Boga — do ziemi tej łona.
Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko, na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą
Albo jak kawki w polu...
— Dalej! Dalej!...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rozstaju był krzyż. Więc się owe
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły...
A gwiazdy weszły na niebo czerwone,
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.
..O, Utajony na krzyżu, o, Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste
A nasze gniazda zburzone?...
O, Utajony na krzyżu, o, Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu

A liszce w norze obierasz mieszkanie
A nasze głowy bez dachu?...
O, Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
Myż tylko sami pomiędzy wszystkiemi
Mamy być wieczni tułacze?...

. . . . . .

Ustał płacz niewiast i tylko się z cicha
Tu owdzie łkanie stłumione zaniesie,
A las w oddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecze mi nato.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato!...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili.
Precz mi kazali bieżeć za innemi.. —
I, jak to kurczę, głowinę pochyla
Na bok, i do snu skuli się na ziemi...
Więc ją fartuchem okryłam i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

. . . . . .

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci...
A było już ich, jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej pod krzyżem odprawować warty

I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

. . . . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak, na nędzę naszą patrząc, wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze,
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

. . . . . .

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno.
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem...
A jestem dzisiaj porażona gromem
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi
I słońcem swojem cieszyła mi duszę...

. . . . . .

A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę.

. . . . . .

Sclavus saltans.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy

Na zgniłej słomie wpółnadzy i bladzi
Wypoczywają, zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! On swoje obole
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak amor, każde u niego pacholę,
A mąż — gladiator! Choć dzisiaj w arenę!
Ot pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu a włos, jak lwie grzywy.
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar! Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: wstań bydlę! — twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą
I ryknął wściekle: Nie budź niewolnika!
Co za głos! Wstrząsła się podziemna cisza...
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: Nie budź burzy!
Słychać, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie, to Romę niewolnik obala!
Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy stuleciom strasznego wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: Przez Herkula! Wszak on na łańcuchu!
Lecz biesiadnicy cofali się żywo...
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie, jak łuk, zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada...
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy albo Numidy.
Łzy — to zbyt wiele i łzy — to zbyt mało...
Goście milczeli. Z zapałem artysty

Wskazywał Maro, jak pięknie to ciało
Określa kontur pogodny i czysty,
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To sclavus saltans, Słowianin wpół dziki;
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki!
Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie.
Skacząc, zapomniał, że go łańcuch więzi...
— Och! Niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

Pan Balcer w Brazylii.

Gromada wieśniaków „więcej tysiąca ludu" płynie do Ameryki. Na morzu dzieci poczęły mrzeć i rzucano trupy do wody. Matki cierpiały, widząc stada rekinów, na łup czyhające.

Tylko Szczęśniaka żona stała blada.
Oczy, jak żużle, świecą i jak próchno,
Coś od dni kilku, czy jadło nie nada,
Czy woda, ale dziecku nogi puchną.
Radziłci doktór. I cóż tu za rada?
Mdłe to, ugaśnie, gdy wichry nań dmuchną.
A białe, jakby na rosach blichował...
— Oj, żeby tylko Pan Jezus zachował! —
  Patrzy się w morze, a siwe jej oczy
  Wzrok ciemny mają, głęboki, uparty,
  Aż ją to wszystko na sercu zamroczy:
  Ten krzyk, te śmiechy, te płacze, te żarty,
  Więc się zachwieje z nagła i potoczy,
  Jako ten powój, na niczem nie sparty.
  Tak Szczęśniak: — Hanuś! A ty znów co, babo?
  A ona z cicha: — Nic. Tak mi coś słabo. —
Młode to jeszcze było, w pierwszym kwiecie,
Więc skóra na tem miętka i czująca.
A tu się temu tak tułać po świecie,
Tak tajać w onej duchocie z gorąca...
Toż nie dziw, że tem i słabość pomiecie,
Jak wiatr wiosenny, co trawy mdłe trąca.
A wszakto one przesilone drogi
Chłopa nadgryzą, nie takiej niebogi.

Więc patrzę na nią, aż ona dziecinę
Pilno przy sobie rękoma ogarnie
I patrzy w morze ogromne i sine,
Jak urzeczona, podobna tej sarnie,
Co z kniei wyjdzie na strzał, na drożynę,
Łaniąt strzegąca, a węszy, gdzie psiarnie...
Wtem jedna: Chłopak — to wam chory chyba?
A ona z krzykiem: — Co wy? Zdrów, jak ryba!
I zaraz chustę na niego i w stronę.
A na tę bladość pierwszą, — tom się zdumiał,
Jakie w nią ognie buchnęły czerwone.
Dzieciak też właśnie, jak gdyby rozumiał,
Zacichł i schował się w rańtuchy one.
Tylem i widział go. A okręt szumiał,
Bo na ten wiwat kapitan dla wiary
Tytuń wystawił i tęgiej sztof miary.
Aż-ci ledwo świt, o szarym dnia brzasku,
Wpadł szyper: — Wszyscy na pokład i hura!
Rewizja! Dziewki narobiły wrzasku,
Dzieci w płacz, baby, co tam miała która,
To na się. Stanął tłum. W latarni blasku
Migają twarze. Chłopów się ponura
Kupa zebrała, patrzą, jako wilki.
A tamci świecą, żeby dojrzał szpilki.
Tak nam to spadło, jak ta z dachu cegła,
Na łby. Więc stoim, by te owce głupie.
Kobietę jedną, która w nocy zległa,
Zamrok ogarnął, oczy trzyma w słupie,
A ta szarańcza, jak tylko tam wbiegła,
Tak w krzyk: — Trup tu jest! Powietrze jest trupie!
Niepochowany trup jest! — Bom z daleka
Rozumiał nieco, jak psiarnia ta szczeka.
Ale Szczęśniaka żona dni już parę
Chorzała jakoś i w swoim się kątku
Taiła. Chciały jej tam baby stare
Urok odczyniać węglami na wrzątku,
Nie dała. Jeno się w te chusty szare
Odziawszy, sama przy swojem dzieciątku
Legła, bledziuchna, że tylko jej w twarzy
Ogień na ustach i w oczach się żarzy.

Więc gdy tak trzęsą te nasze tapczany,
Ta rzęsów tylko zmróży i odwróci
Głowę z tym ciężkim warkoczem do ściany
I niemąwlotku swojemu zanuci.
...Uśnij mi, uśnij, Jasieńku kochany!...
Śpiewa. Wtem nagle siędzie, głową rzuci,
Wyprostowana, plecami o ścianę
Oparta, oczy miała, jak pijane.
  Śmiertelna w twarzy, usta, by upiora,
  Czerwone; wzrokiem tych szukaczy śledzi.
  Aż gdy ta do niej przybliży się sfora,
  Tak krzyknie: — Ludzie, ja chcę do spowiedzi,
  Do sakramentów chcę! Księdza! Ja chora!
  Wtem strażnik: Co za kobieta tam siedzi?
  Tak Szczęśniak w łeb się skrobie: Mojać baba.
  — Co? Pomieszana? — I, nie. Tak, ot, słaba!
Więc, że ów ludzkość w sercu miał, tak rzecze:
— Szkoda, bo ładna! — Wtem szypra odbije,
Co sięgał ku niej. — Ty sam ją, człowiecze,
Podnieś i sprowadź. Co ręce tam czyje
Szarpać ją będą? Sam o nią miej pieczę...
Ruszył się Szczęśniak, a ta w krzyk: — Zabiję,
Jeno mnie dotkniesz! — Tak on: Hanuś, co ty?...
A ona: — Józef, puszczaj!... Józef, złoty!...
  I ręce obie podniesie i składa,
  Jak przed ołtarzem, jak przed monstrancyą.
  A łza jej po łzie z rzęsów, by grad, pada,
  Aż srebrne łuny na twarz całą biją.
  W lnianej koszuli, broniąca się, blada,
  Z wzniesioną piersią i odkrytą szyją,
  W głosie modlitwa i rozpacz, i trwoga —
  Tak mi została w oczach ta nieboga.
Stropił się Szczęśniak; był miętki z natury,
Ale że ścisk się czynił, jak w kościele,
Więc krew mu buchła kipiątkiem do góry:
— Wstawaj! — zakrzyknął. — Patrzta! Ceregiele
Będzie robiła! Bierz się na pazury
I wstawaj, bo ci tym kijem zaścielę!
Szarpnął szmat, wrzasła... Za nią cała kupa
W krzyk: Jaśka dobył... dziecko. Dobył — trupa.

Nie wiedział! Do dziś nie wiedział! Do ranka.
Zaczął dygotać cały, twarz mu zbladła
I niemym głosem szeptał: — Hanka!... Hanka!... —
Lecz nie słyszała. Jak martwa w znak padła,
A tu już trupka chwyciła naganka
Z wrzaskiem i klątwą: — Ha! Morze okradła!
Złodziejka! Morze okradła, niegodna!
Brać ją! Niech patrzy, jak psiak pójdzie do dna!
W jednej spódnicy, w chuściątku i boso
Powlekli. Prawie ponieśli na ręku,
Ale, jak tylko obwiało ją rosą,
Zaraz się wzmogła z onego zalęku.
Stanęła, strząchła rozplecioną kosą
Bez krzyku, płaczu, bez jednego jęku.
— Ustoję — rzecze. A ci: Niech chłop trzyma!
Niech będzie kara! Niech ma przed oczyma!
Złożyli trupka, ciągną sznur, sztuk belki,
Tuż przed nią. Hanka i nie spojrzy na nie,
Tylko w ten obzór zapatrzy się wielki,
W te niezmierzone huczące otchłanie.
Aż rzeknie słodkim głosem rodzicielki, —
Co dla pieszczocha szykuje posłanie:
— Puść, Józef! Chuścię Jaśkowi podłożę...
Puścił chłop, a ta za dziecko i w morze.
A tak to nagle, tak błyskiem się stało,
Że nikt nie zdążył krzyknąć, ruszyć krokiem,
Tylko wiatr powiał tą szatką jej białą,
Tylko, jak światłość, mignęła się mrokiem.
Rzuci się Szczęśniak, lecz dwóch go trzymało...
To teraz jeszcze tak mam ją przed okiem
Całą, rzuconą w śmiertelne te loty...
I ognia czuję żar i zimne poty.

Kiedy przybyli do Brazylii, pomieszczono ich w emigranckim domu, gdzie wśród długiego czekania na działy gruntów — gromada się rozpiła: gra w karty, kłótnie i nieład zapanował.

A na toż właśnie partya nowa wtedy
W dom emigrancki przyszła. Same szwaby.
Tylko, że na nich nie było znać biedy
I niejednemu aż trzęsły się schaby.

Nie moglim przystać do onej czeredy,
Ani my chłopy, ani do bab baby,
Bo z tem nijakiej ni mowy ni zgody,
A chrzest nie z krzyżma bierą, tylko z wody.
  Zwyczajnie, lutry takie, czy kalwiny,
  Jak te, co u nas po Olendrach siedzą.
  Fajczysko w zębach, raz wraz plują śliny,
  A kawę z miski trzy razy dnia jedzą...
  I oni się też od pierwszej godziny
  Tak przegrodzili z nami, jakby miedzą.
  Rzekniesz: Pochwalon, a ten ci niecnota
  Zamiast — Na wieki — rzec, cości mamrota!
Ci kiedy przyszli, a wytchli z tej drogi,
Każdy się zabrał do jakiejś fabryki.
Ten dratwy ciągnie, szlifuje ów rogi —
Pukają młotki, zgrzytają pilniki,
Trzeszczą szrubsztaki, a w hałas ten srogi
Wpadają szwabek klapiące trzewiki.
Te „lauby“ swoim stawiają od spieki,
Jakby tu siedzieć mniemały na wieki.
  Nic po nich nie znać tęskności, żałoby,
  Pod którą polski chłop z sił schodzi, pada...
  Spokojnie czynią rzecz swoją, jakoby
  Tu się radzili i żyli z pradziada.
  Skończą robotę, to w różne sposoby
  Śpiewają, jakby właśnie szpaków stada.
  Z wiatrówek biją, biegają do mety,
  Poczem fasoli pojedzą i — w bety.
Z nami — ni tak, ni siak. Nie było zwady,
Bo pilno w swej się trzymali porębie.
Ale, że z naszej niejeden gromady
Kułak zaciskał i ślinę mełł w gębie.
— Już my tu jakiej dożyjem się zdrady! —
Mruczały chłopy. — Już my tu na zębie
U tych odmieńców. Czuj duch tylko, kiedy
Naniosą nam te pludry jakiej biedy! —
  A dookoła bagniska dyszały
  Tchem zaraźliwym z pożaru gorąca.
  Co rana obłok podnosił się biały
  Z ziemi, co stała mokra i dymiąca,

Jak one stogi, gdzie trawy zaprzały,
A rozpalony i wielki stos słońca
Gorzał nad nami od świtu do nocy,
Lud wyżymając z ostatniej już mocy.
I tak śmierć weszła do naszego gmachu,
I oglądała milczkiem, gdzie ugodzi.
Zaczuł ją naród... Z nagłego się strachu
Ów dreszczem wstrząśnie i rzecze: Ot, chodzi
Po moim grobie ktości! — Ów z pod dachu
Rwie się, jak błędny po bagnach gdzieś brodzi,
Inszy zanudzi sobą i zabiada,
Na tym pot zimny, jak rosa, opada.
Więc w tej duchocie martwej zmora siadła
Na piersiach ludziom, niby Babia góra.
W kąty się kryją, odchodzą od jadła,
Jak bursztyn, tak się na nich żółci skóra.
Potem ciemnieje, jak słoma, co padła
I którą z deszczem roznosi wichura,
W półkrwawych potem, półzłotych kolorach
Mieni się, jako żywice po borach.
Tak naznaczone były ludzkie głowy,
Jak gdy w porębie topór znaczy drzewa.
A choć nie widział nikt onej królowej,
Wiatr wszyscy czuli, co ze żgła jej wiewa.
Czekała. Pory czekała, jak owy
Żeniec, gdy łan mu pod kosę dojrzewa,
A ów pogląda, folgując do chwili...
Nocami, w miesiąc patrzący, psi wyli.
Aż się zamachła! Hej, nie w źrałe kłosy
Trafiła ślepa żniwiarka! Nie w zboże!
Ale w kwiatuszek, co biały od rosy,
Słonka uglądał i czekał na zorzę...
W dziewkę trafiła moją! Więc mi włosy
Na łbie stanęły, jak dęby te w borze,
Kiedy ją strażnik pomacał pod żebra,
W oczy jej spojrzał i rzekł: Śmierć jest! Febra.
A żar tak suchy liczko jej podpalił
I piersi miała tak ogniem bijące,
Że zaraz dla niej gromnicę osmalił,
Rzekąc: — Ta zajdzie wpierw jeszcze, niż słońce. —

A szło południe... Z nóg ojciec się zwalił,
Jak kłoda; baby poklękły płaczące,
Jam z wielkiej mocy o ziem czapą gruchnął,
Za włosy porwał się i rykiem buchnął.
Ratować?... Czem? Jak? Choć łbem bij w podłogę!
Leżała cicho, lecz była snać w męce,
Bo jej się w twarzy mieniły pożogi...
Aż nagle siędzie, w krzyż złoży te ręce,
— Upał mam w sobie! — zawoła. — Wiatr srogi
Po żyłach chodzi mi! — I te jagnięce
Piersi przyciśnie i szepnie: — Już biją
Dzwony na dobrą noc... Jezu Maryo!
Takie więc było ostatnie jej słowo...
Oczyma tylko po twarzach nam wodzi,
Wie, czuje, słyszy, poruszy tą głową,
Ale ją cichość śmiertelna już grodzi...
Nagle się w czole zamarszczy surowo,
Dwie łzy ukanie zimne i tak schodzi
W zadumie z świata, nieporatowana,
W dziewczęctwie białem, mężowi nie dana.

. . . . . .

Przeciw ty komu walczysz, Panie? Panie,
Przeciw tej parze, co znika obłokiem?
Przeciw listkowi, co padł, a nie wstanie?...
Źdźbło suche gonisz zapalczywem okiem?...
Któż więc nad nami ma mieć zmiłowanie,
Kiedy ty, ojciec, dociskasz wyrokiem!
Jakoż więc mamy żyć, jak mamy dyszeć,
Kiedy ty, ojciec, nie będziesz chciał słyszeć!

Nareszcie gromadę podzielono: słabszych do plantowania kawy, mocniejszych w porę-by. Skoro przybyli do głębin dziewiczego lasu —

Z okrutną w puszczę lud rzucił się mocą
Ciąć one bory, stojące z prawieka.
Tylko te ręce, te serca dygocą,
Tylko ta dusza w siekierę ucieka!
Huczą topory dniem i huczą nocą...
Nie patrzy słońca i świtu nie czeka
Ta przesilona praca, co się zdało,
W pień, do korzenia puszcz zwali tę całą.

Życia przyrosło w piersiach. Na odpuście
Nie kipią czapy tak, ni na jarmarku,
Jak tu, gdy chłop szedł w borowe czeluście,
Junacko głowę trzymając na karku.
Wnet po wykrotach, po jarach, po chruście,
Wśród syku gadzin i papug poswarku,
Latają pieśni od Wisły, od Buga,
Hulaszcza jedna, a rzewna ta druga.
Więc było patrzeć na te batalije,
Na Wyrwidęby te i Waligóry!
Prężą się karki, wzdymają się szyje,
Żył widać bicie, skroś spalonej skóry.
Aż świśnie topór, huknie, jak grom, bije...
Kwietnych plątańców padają wnet sznury,
Małpy z gałęzi skaczą z dzikim wrzaskiem,
Z gniazd ptactwo leci, siejące piór blaskiem.
Nie gonion z kniei, od jak stało świata,
Zwierz wstał, zawęszył, okiem toczy, prycha,
Potrzykroć leż swą koliskiem oblata,
Zadarłszy chwosta, i ziemny wiatr wdycha.
Drgnął, stanął; pędzi, gdzie trzcin gęsta krata,
Ogromnem cielskiem w moczary się wpycha.
Trzeszczą łamane trzciny, bagno plucha,
Zwierz chrapy podniósł rozwarte i słucha.
Lecz topór huczy, jak działo armatnie.
— Bij! Pal! — Odwiecznej drżą fortecy mury...
Co ostrze z jękiem ugodzi i zatnie,
To chłop odjęknie i pojrzy do góry...
Aż siły z siebie dobywszy ostatnie,
Rąbnie! Jak granat, pień pękł. Lecą wióry,
Błyskają, rażą, by drzazgi z kartacza...
Tak Mazur srogą bitwę z puszczą stacza.
A był w tej wojnie pęd taki i siła,
Co i za bębny stał, i za komendę.
Bo tam z toporem razem dusza biła,
Sama siekiera grzmiała tam: Zdobędę!
Bo nie wodzowi, co pułki posyła,
Lecz sobie naród dobywał tam grzędę,
Na której róść miał. Więc duch bił z tej mocy,
Wyrębującej się na jutrznię — z nocy.

Dziś jeszcze, jeszcze teraz ucho słyszy
Muzykę siekier i toporów ową...
I teraz jeszcze mam za towarzyszy
Te echa, co mi grają pod posową
Samotnej izby, gdy się w niej uciszy...
I widzę, jak te bory chwieją głową
Z wielkiego dziwu i jak słońce trzęsie
Blask w knieje, tęcze nizając na rzęsie.

Jednakże tęsknota do kraju ojczystego poczęła się wgryzać w serca ludzkie

Hej, ziemio, ziemio, że my się też ciebie
Puścili! Miedz twych i twojego płota!
A toć po wodzie my tam i po chlebie
Moc większą czuli i więcej żywota,
Niż tu, gdzie wszystko naokół i w niebie
Cudze, i gdzie jest dusza, jak sierota,
Obzierająca się w dalekość siną
Za progiem chaty swej i za rodziną!
  Hej, ziemio, ziemio, ty matko rodzona!
  Łanie ty wdzięczny i rolo życzliwa!
  Toć ty tam sama podajesz zagona
  I ziarnu tak się otwierasz, jak żywa!
  Lecz ta — macocha jest! A czy kto kona,
  Czy padnie, ani dba, ni się zadziwia...
  Nad trupem twoim znów wszystko w tych borach
  Będzie rość, szumieć i błyskać w kolorach.
Ani tu słońce nie takie jest ranie,
Jak u nas, w tęczach palącej się rosy...
Ani tych ptaków podobne śpiewanie,
Jak naszych czyżów, ziąb, skowronków głosy...
Ni gwiazdy niema tej, co gdy tam stanie
Nad te użątki nasze, nad pokosy,
To człek wyraźnie widzi, jak ta Boska
Moc o najlichszy kłos w polu się troska.
  Tfu! Jeszcze teraz łza w oku mi świeci,
  Gdy wspomnę żałość tę i te ciężkości.
  A przeciem nie miał ni żony, ni dzieci,
  I równo było mi, gdzie złożę kości.
  Dola — ptak, mówią. Przyleci, odleci
  I darmo gwałtem zapraszać ją w gości.

Lecz nie o dolę mi szło! I przy doli
Taka się rana nie goi, a boli.

. . . . . .

O, utęsknienie! O, duszny ty głodzie,
Którego cudzym nie utłumić chlebem!
Żaglu, co nosisz obłąkane łodzie
Oceanowych dróg pienistym żlebem!
Wietrze, wiejący ku miłej zagrodzie
Na każdą chwilę i pod każdem niebem!
O, bystre skrzydło, na którem się ptaki
Ku gwiazdom noszą śródniebnymi szlaki!
Tyśto nam było gościńcem i drogą,
Którą się nasza rzuciła gromada
W świat, niedeptany jeszcze ludzką nogą,
Gdzie nic po swemu do człeka nie gada,
Gdzie nijak, o nic nie pytać nikogo...
Tyś to nas, jak te żórawiane stada,
W powrót poniosła pod zorzy obłękiem,
Obwołujących się żórawim jękiem!

Porzucili ni dokończoną pracę, w powrotnej drodze do morza przebyli wiele mę
i niewygód, wreszcie wsiedli na okręt do kraju.

Ranek był czysty. Powietrze się samo
W ruch bystry niosło i szumiało wiosną,
Gdy my ruszyli oną jasną bramą
Nadziei, co ma pozłociste krosno
świat przetyka różnobarwną lamą,
A duszę czyni mocną i radosną...
W szyku ruszylim, jak na świętą wojnę:
Wzniesione głowy a lica spokojne.
Dość było patrzeć po naszej gromadzie,
By poznać cną zaprzysięgłość ducha,
Co pieczęć swoją gorzejącą kładzie,
Gdzie popierw była tylko glina krucha.
Cóż nam stać mogło teraz na zawadzie,
Gdy z każdej piersi żywy ogień bucha,
A naród, przez te tułackie odmiany,
Prawie że wyrósł z tej dawnej sukmany?
Hej, żegnajcie nam wy, wody i lądy,
Wy niezbrodzone puszcze i wy góry!

Pobrałyście z nas śmiertelne przysądy,
Że my do waszej wtargnęli natury,
Lud polny, co ma nad zbożami rządy...
Żegnajcie, bracia, gdzie tam legnął który!
Niechże choć wasze radują się kości,
Gromado polska, pod słońcem wolności!

I ty mi żegnaj, najmilejszy kwiecie,
Com białość twoją zamknął w czarnym grobie!
Choćbym po całym obnosił ją świecie,
Serce się moje ostanie przy tobie...
Dość. Niech łza twarda oczu mi nie gniecie
Trza dolę znosić w kowalskim sposobie...
— W tem strzał. Odhukło setnie dookoła.
Znak to, że ocean czeka już, że woła.

. . . . . .

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny...
Niechaj nas dola, jak paździerz rozprasza,
Krzykniesz? — Wnet twoje zbiorą się drużyny.
Przez imię twoje i na twe wołanie
Lud, wierny tobie, u boku ci stanie.

...Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my, — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary — dzwignące pół świata!

...Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyje rozluźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie oto ci oddana
Podlaska dusza... podlaska sukmana.

Serca się nasze pod stopy twe ścielą,
Polsko, jaką cię nie widziały duchy!...
Ty wyjdziesz srebrna — łzów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
Pola się twoje wiosną rozweselą
Ludów, ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
... Idziemy, matko! Idziemy do ciebie!

Z dziejów pieśni.

Widziałam pieśni, jak wiosenne kwiaty,
Wonne, a lekkie — jak motyl skrzydlaty,
A takie jasne, jako błękit nieba.
Śpiewały miłość, jak trubadur blady,
I dziwne, straszne, prawiły ballady,
Którym słuchaczów przerażonych trzeba.
A gdy Czas przyszedł i z ranną je rosą,
Jak nikły potraw na łąkach, ściął kosą,
Rozwiały zapach, lecz nie dały chleba.
Widziałam pieśni, co, jak ptaszki białe,
Stały na grobach, zamknąwszy ich chwałę
W pierś przeźroczystą, łamiąc z żalu ręce...
A gdzie wiek zgasły rozwiał swoje szczątki,
Jak Ruth, schylone, zgarniały pamiątki
Kłosów, mijanych przez śpieszące żeńce...
A gdy Czas przyszedł i otwierał groby,
Rzekł: „Jakże wiele próżnej tu żałoby!
I jakże zeschłe są te wasze wieńce!“
Widziałam pieśni, co, jak niwolnice,
Szły za rydwanem wieku, strojąc lice
W uśmiech ponętny dla oka cezara...
Lecące chwile tchem swym je żywiły,
Z bieżących zdrojców czerpały swe siły
I nieraz pustą bywała ich czara...
A gdy Czas przyszedł i rozdzielał sławę,
Rzekł: „Wy, zaklęte w przydrożną kurzawę,
Po pierwszej burzy zniknięcie, jak mara!“
Widziałam pieśni, co, jak cherub z mieczem,
Stanęły w ogniach przed sercem człowieczem,

Paląc mu piersi zawiści pożarem...
Jak szatę dzianą, tak one świat Boży,
Dzieliły ostrzem przekleństwa i noży,
Czarną nienawiść mając swym sztandarem...
A gdy Czas przyszedł i uczynił sądy,
Z pomiędzy ludzi pieśni te, jak trądy,
Precz wyrzucone wraz z bezprawiem starem
Widziałam pieśni, co z licem spłonionem
Stanęły ciche nad własnym zagonem,
Wiosce swej nucąc, jak szare ptaszyny...
Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,
Zagrody swojej trzymały się płotu,
Czarnego chleba jedząc okruszyny...
A gdy Czas przyszedł, by wymierzyć płacę,
One za cichą drobnych celów pracę
Wzięły — fujarkę wioskową z wierzbiny.
Widziałam pieśni, co, jak obłok biały,
W dzień, przed ludzkością idące, leciały,
A w nocy słupem gorzały płomieni...
Co, wziąwszy w piersi wszechświatów tęsknotę
Struny z niej sobie uczyniły złote
I szły, miłością walcząc, w państwo cieni...
A gdy Czas przyszedł, rzekł: „Błogosławiona
Pieśń, co zawiera przyszłości nasiona!
Wy, co słuchacie jej, błogosławieni!“...

W kamieniu polnym.

W kamieniu polnym, co grób mój pokryje,
Niech mi kamieniarz lireczkę wyryje,
Lirę tę swojską, a własną, a oną,
Którą to po wsiach za dawna noszono,
Iżby szła z brzękiem skowrończym wśród kmieci,
Aż w echo rzuci płacz swój, a odleci.
A pod tą lirą, jeżeli mu wola,
Niech żytnie kłosy z naszego da pola.
Kłosy ubogie, z chudemi, ot ziarny,
Na chleb powszedni ościsty a czarny,
Po którym człowiek do ziemi przyrasta
I ciągnie pług swój prastary od Piasta.

A potem, chce li, niech kamień obtoczy
Polnym powojem, co modre ma oczy,
A niechaj na nim napisu nie kładzie
I niech go w rzędzie nie stawia, ni w ładzie,
Tylko w zakątku, gdzie brzoza szum niesie...
A można w lesie? Ta owszem, niech w lesie.

ELIZA ORZESZKOWA (1842—1910 [1]).

Nad Niemnem.

Szlachcic Benedykt Korczyński nęka procesami szkodników z sąsiedniej wsi szlacheckiej Bohatyrowiczów; oni mu też płacą nienawiścią. Ale syn Benedykta Witołd i daleka kuzynka Justyna Orzelska nie dzielą usposobienia Korczyńskiego. Witołd bywa w zaścianku, Justyna wychodzi za mąż za Jana Bohatyrowicza. Dzieje wzajemnych uraz pomiędzy szlachtą i hasą drobno-szlachecką okoliczną stanowią źródło obrazów powieści, roztaczanych na tle litewskiej nadniemeńskiej przyrody.

Anzelm opuścił okolicę i z drogi, która w tem miejscu szybko w dół spadać zaczęła, skręcił w stronę, w której płynął niewidzialny stąd jeszcze Niemen. Było to tak, jakby z powierzchni ziemi, oblanej światłem i cieniem słonecznym, weszli w ocieniony i chłodny korytarz. Roztworzył się przed nimi parów tak długi, że końca jego najbystrzejsze oko dosięgnąć nie mogło, a tak głęboki, że dwie jego ściany podnosiły się nad nim, jak wysokie góry.

Zrazu ściany te miały pozór nagich, piaszczystych skał, przez niewiadome siły przyrody pogiętych w niezliczone garby i jamy, wśród których gdzieniegdzie wyrastał krzak jałowcu albo cienka sośninka pochylała się nad przepaścią. Powoli przecież żółte ich tło usiewać zaczynała roślinność coraz obfitsza,

---

[1]) Nauki u Sakramentek w Warszawie, a po zesłaniu męża Orzeszki na Sybir w sześciu latach w rodzinnej Milkowszczyźnie rozczytywała się w polskich i starożytnych klasykach, studyowała encyklopedystów, pochłaniała dziejopisów, podróże, powieści, pamiętniki, poezye. Zaczęła pisać w 1866, lecz rozgłos przyszedł dopiero po wydaniu *Maryl i Marty* (1873). Kwestyi żydowskiej poświęciła powieści *Eli Makower* i *Meir Ezotowicz*, oraz nowele: *Gedali*, *Silny Samson*, *Ognlwa*; sycyalizmowi — *Widma* i *Sylwek Cmentarnik*. Lud i jego stosunek do szlachty malują powieści: *Nad Niemnem* (1888), *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Cham*, którą to powieść sama Orzeszkowa uważała za jedną z najlepszych, na równi z *Bene nati*, *Pierwotni*, *Dwa bieguny*, *Ad astra*, *Argonauci*. Szereg najważniejszych powieści uzupełniały nowele wydane w zbiorach: *Z różnych sfer*, *Chwile*, *Przędze*, *Melancholicy*. Śród nich piękne: *Pieśń przerwana*, *Co mówi stary klon*, *Moment*, *Dymy*, *Ascetka*, *Wieczór zimowy*.

aż wybuchnęły morzem zieloności wszelkich odcieni, posypane kwiatami wszelkich barw... Jak okiem sięgnąć, naprzód i ku górze, po stromych spadzistościach i łagodnych stokach, rosły tam olszynowe i brzozowe gaje, jasne i przeźroczyste nad nieprzeniknioną gęstwiną berberysów, ożyn, dzikich porzeczek, kwitnących głogów, wilczyn, osypanych purpurowemi gronami jagód, kaliny, śnieżnemi kwiaty, jak wielkimi płatami śniegu, bielejącej, — które za podścielsko swoje miały całe lasy krzaczystej lucerny, ogromnych pokrzyw, ostrą woń wyziewających piołunów, wysokich gwiaździstych rumianków i słoneczników polnych, dzikiego chmielu, plączącego się z mnóstwem nierozwikłanych i nigdzie, zda się, początku ani końca nie mających wiklin. Wszystko to ze stron obu i z wielkiej wysokości ogromną i w różne kształty wydymającą się falą spadało aż ku dołowi. U samego szczytu światło słoneczne przeciągało po tej gęstwinie szeroki pas złoty, w którym delikatne olchy zdawały się drżeć z rozkoszy, a biała kora srebrniała na brzozach. Ale niżej słoneczny ten pas bladł i przygasał, i niknął zupełnie, a w głębi parowu zsuwały się stopniowo chłodne i wilgocią napojone cienie.

W głębi, na dnie, sunął kręty, puszysty szlak łąki. On to zdradzał tajemnicę przyrody i wieków; opowiadał, że tem czemś nieznanem i dawnem, co w tem miejscu ziemię na ogromną szczelinę rozłamało, było gwałtowne ramię wielkiej rzeki. Niegdyś, niegdyś, uderzyło ono o ląd i przedarło w nim sobie łożysko, którego wody zniknęły oddawna, ale które dotąd jeszcze, wilgocią przejęte, zabarwiało tę łąkę zielonością wiecznie majową i bajeczny nieledwie wzrost dawało roślinnym tłumom, wyścielającym te wysokie góry. Jednak łagodne i wdzięczne zakręty łąki coraz się zwężały, aż ustąpiły miejsca wązkiej rozpadlinie, a ścieżki, w głąb parowu prowadzące, zaczęły piąć się po stokach gór, to nagie, skaliste, ostremi rozpęknięciami poprzerywane i kolczystą wikliną zjeżone, to zielone i tajemniczo pod sklepieniami liściastej zarośli przepadające. W rozpadlinie czuć było zbliżanie się do miejsc mokrych i żywemi wodami przejętych. Leżały tam wielkie, wilgotną pleśnią obrosłe, kamienie, błękitnemi kępami kwitły niezapominajki, szeroko rozpościerała się leszczyna, a pod miękką pościelą, którą tworzyły trójzębne łotocie i okrągły podbiał, toczył się cichy, ledwie słyszalny szmer...

Wtem coś zawarczało i zadzwoniło nakształt gotującego się wrzątku. Była to krynica, której kryształowa szyba pobłyskiwała

pod sklepistem pokryciem leszczyny i cienką nić strumienia rzucała między gęste łotocie i czerwone kamienie.

W gęstwinę leszczyn wplątane, wysoko tam kwitły błękitne cykorye, śniegiem bielały puszyste kity kontuszników, krzaczysty liliowy dzięgiel z groniastych koron swoich rozlewał mocną woń heliotropu. I, jakby w tem miejscu natura prawo głosu dawała tylko srebrnej strunie wodnej, cisza panowała tu nieskazitelna. Ptaki mieszkały u szczytów tych ścian wysokich, wśród jasnych olszyn i brzóz, ale w tej głębi nie było ich wcale. Krynica wrzała, strumień dzwonił i czasem tylko w berberesowym czy wilczynowym krzaku dało się słyszeć frunięcie skrzydeł lub od strumienia przyleciał rzeźwy powiew i z cichym szelestem strącił z głogowej gałęzi liście dzikiej róży.

* * *

Z głębi boru leciał i kulą w powietrzu toczyć się zdawał szum, do głuchego turkotu podobny. Wierzchołki sosen zakołysały się i gałęźmi, jak wachlarzami, poruszyły; na dno lasu, niby welon z ciemnej krepy, spadł mrok szarawy, wszędzie jednostajny i gdzieniegdzie tylko smugami krwistych świateł błyskający. Ptactwo znieruchomiało, ucichło, z rzadka tylko odzywając się urywanem ćwierkaniem; miarowe pukanie dzięciołów i żółn ustało; w krzakach i pod paprociami słychać było pospieszny szelest owadów; wiewiórka, wybiegająca na wysoką sosnę, zatrzymała się w połowie drogi, na sęku zawieszona, z odwróconą głową, czarne zlęknione oczy w pociemniałą ziemię utkwiła. Nad kołyszącemi się czołami i powiewającemi gałęźmi drzew niebo usłało się puszystą, wzdętą szarością; wrony pod niem chmurą przeleciały, przeraźliwie zakrakały i skryły się wśród ruchomych szczytów, nagle milknąc przed toczącym się w głębiach boru szumem i turkotem.

Jan niespokojnie na Justynę spojrzał.

— Burza nadlatuje. Czy pani nie lęka się? — zapytał.

Odpowiedziała, że trwogi najmniejszej nie czuje i ciekawie rozglądała się w szczegółach ponurego w tej chwili obrazu przyrody. Jednak wywierał on snadź na nią wrażenie obawy, czy przygnębienia, bo zbladła trochę i pod muślinową suknią dreszcz przebiegł jej ciało.

Jan rozpaczliwym gestem rękę do głowy podniósł:

— Głupiec czy waryat ze mnie! — zawołał, żeby w lesie zabłądzić i panią na trwogę albo i na przeziębienie narazić...

Wnet jednak poskromił wzruszenie i zimną krew odzyskał:

— W lesie pozostać na żaden sposób nie można, bo zaraz wicher gałęzie z drzew strącać zacznie, a nie jedno cieńsze to i z korzeniami z ziemi wyrzuci. Lepiej już płynąć. Z wodą czółno strzałą popłynie... Minut dziesięć i pod okolicą staniem. Ulewy może nie będzie albo bardzo krótka, bo chmury ptakami lecą, a choćby i była, lepiej dostać na głowę wiadro wody, niż sosnę. Chodźmy prędko!

Ostatnie dwa wyrazy nagląco wymówił i wziąwszy rękę Justyny w swoją, ku brzegowi lasu biedz prawie zaczął. W parę minut stanęli na wązkiem kamienistem wybrzeżu, za którem rzeka, tak jak niebo ciemna, gwałtownym wiatrem gnana, toczyła fale wzdęte, w regularne fugi wyrzeźbione, białe plamy piany wyrzucające. Jan skoczył do czółna, silnem pchnięciem z piasku na wodę je zsunął i, wiosłem u brzegu zatrzymując, do Justyny zawołał:

— Proszę!

Zawahała się. Spojrzała na wzburzony szlak rzeki, na małe czółno, które pod silnie przyciskającem je wiosłem woda rwała i targała; pobladła bardziej jeszcze i nie wiedziała, co począć. Brwi Jana ściągnęły się nad oczami, z których strzelił błysk zniecierpliwienia.

— Tu czasu do medytacyi niema. Proszę do czółna siadać! — wymówił, a głos jego w szumie i huku wiatru brzmiał stanowczo, prawie rozkazująco.

Wahanie się Justyny zniknęło bez śladu: podbiegła do czółna, wskoczyła w nie i na dnie usiadła. On szybkim ruchem poprawił gałęzie topoli, wyściełające czółno i szybko, ale łagodniej już, przemówił:

— Proszę nie lękać się. W różne ja pory i nie w takie burze, jak ta, po Niemnie jeździłem, a pływać umiem prawie, jak ryba...

Widać było po niej, że lękać się przestała. Z siły jego wlała się w nią ufność. Ale w tej chwili huczący świst wichru zleciał już na brzeg boru... rozległ się suchy trzask łamiących się gałęzi, zaskrzypiały rozkołysane sosny, a przestrzeń, od brzegu do brzegu widnokręgu, od ciemnego nieba do ciemnej wody, stanęła jedną, gęstą i z każdą sekundą wzbierającą mgłą deszczu. Justyna znowu od głowy do stóp zadrżała.

— Niewzwyczajona — szepnął Jan — jak dzieciątko!...

Błyskawicznym ruchem zdjąwszy z siebie siermiężkę, rzucił

ją na towarzyszkę, którą okryła ona od szyi do stóp, — a sam, u dzióba czółna stojąc, wiosłem o wodę uderzył.

Wicher szalał, ciemne chmury pod niebem, białą płachtą zaciągniętem, ptakami leciały; z rzadka rozsiane grusze i wierzby wściekle miotały się nad wysokim brzegiem. Z drugiej strony stał bór, kipiący w głębi, lecz na zewnątrz nieruchomy, jak kamienna ściana, a po ciemnym, wzdętym, białemi plamami usianym, szlaku rzeki czółno strzałą mknęło, wciąż ukośnie, ukośnie po falach puszczane, boki im umykając, a dziobem je porząc. Nie było samotnem; przed niem w ten sam, jak ono, sposób mknęło drugie, trzecie, czwarte; to rybacy uciekali do domów przed gwałtownym wybuchem przyrody. Na spotkanie tych, niby lotnych czarnych ptaków, powoli z przeciwnej strony sunęły, do wodnych potworów podobne, rudlami, jak olbrzymiemi pletwami o wodę uderzające, ciężkie, spłakaną żółtością wśród powszechnej szarości smutne — płyty (tratwy). W niespełna kwadrans, jak to przepowiadał Jan, ukazały się nad wysoką górą domy i drzewa okolicy. Rybackie czółna stały już na piasku wybrzeża, a w przerzedzającej się mgle deszczowej widać było rybaków, spokojnym krokiem wchodzących na górę. Za jednym z nich, najbarczystszym i na burzę najobojętniejszym, ciągnął się ze spuszczonym ku ziemi pyskiem i ogonem czarny zmokły pies.

Kiedy Justyna stanęła na wybrzeżu, gwałtowny krzyk, który wydała z siebie przyroda, uciszał się, a płacz jej ustał. Wichrem przygnane chmury, wicher przeniósł i pędził coraz dalej po jednej połowie sklepienia, którego druga połowa oblokła się nagle promiennym błękitem i zajaśniała tarczą słoneczną, czystą, wielką, zawieszoną nad zalegającym zachodni skłon nieba pasem roztopionego złota. Pas ten odbił się w rzece, która popłynęła szafirem i złotem, a nad nią, z sunących wciąż powoli, rozjaśnionych płytów, podniosły się kręte złote sznury dymów. Zielona góra, z okrywającym ją rysunkiem ścieżek, stanęła cała w kryształowych kroplach, drgających i świecących na każdem źdźble trawy i na każdym liściu chwastów. U szczytu jej wybuchnął świergot ptactwa i z dołu dostrzedz można było w napełnionych światłem gałęziach drzew, które w góry rosły, tańczące z radości ptactwo. Wiatr słabł, opadał, cicho jeszcze i z lekka dmąc w jedną stronę: chmury, kłębiąc się i mieszając, zwijały się naprzeciw słońca w wał półkolisty i srebrem oblany.

Z różnych dróg.

Wiele już lat upłynęło, odkąd siostra Klara zamknęła życie w dwu wyrazach: modlitwa i miłosierdzie, do szczętu wyrzuciła z siebie pojęcia: ja i szczęście, a zastąpiła je innemi: Bóg i poświęcenie.

Wiele lat upłynęło, odkąd z niwy życia nie zrywała kwiatów innych, jak te uśmiechy ulgi, które pod jej ręką i wejrzeniem rozkwitały na łożach sal szpitalnych, i te mistyczne wonie nieba, które spływały w nią niekiedy z wielkich i rozmodlonych ciszy kościoła i celi klasztornej. Już od trudów i bezsenności zeszczuplałe kapturysy okryły się bladością tak przeźroczystą, że w głębokim cieniu kornetu podobne były do delikatnie wyrzeźbionego opłatka; nieraz pamięć jej po brzegi wypełniła się wspomnieniami nędz ludzkich i ofiar, z własnych sił ducha i ciała czynionych, a nigdy jeszcze tak, jak dnia tego, dusza jej wstrząśnięta i wola silnie wytężona nie jarzyła.

Przez całą noc ubiegłą głowa kobieca młoda jeszcze, wynędzniała strasznie, w gęstwinie włosów czarnych, jak w ponurej chmurze, rzucała się przed jej oczyma na poduszce szpitalnego łoża, ręce bezkrwiste z palcami wyschłymi, jak piszczele, wyciągały się ku niej, a głos, wychodzący z piersi, dyszącej ciężko, z ust, których pięknej linii nawet męki przedśmiertne zetrzeć nie zdołały, mówił, szeptał, chrypiał:

— Pójdź, siostro, do niego! Pójdź, proś, aby przebaczył, aby powiedział ci, że przebacza, bo musiał cierpieć wiele... teraz rozumiem, ile cierpiał, gdy sama... O Boże, ale ja nie tylko o przebaczenie chcę go błagać... Ty, siostro, może zlękniesz się, gdy powiem, jaką prośbę... To rzecz niesłychana, potworna, aby ktoś, co tak zawinił, śmiał jeszcze taką prośbę... ale ja innej ucieczki nie mam... ja z tym strasznym niepokojem o nią umrzeć nie mogę... Spróbuję — może przez miłosierdzie... Idź, siostro, proś. Powiedz, że ona niczemu nie winna, taka mała, śliczna, opuszczona... Widziałaś ją wczoraj... Prawda, że anioł? Robak maleńki, po którym wszyscy deptać będą... Ale ty, siostro, nic nie wiesz. Nie możesz zrozumieć, czego chcę od ciebie... od niego! Nachyl się, posłuchaj, abyś wiedziała, jak Pan Bóg karze...

Płaczem zaniosła się, a potem dokończyła.

— I co jemu powiedzieć, jak go prosić?

Ręce prawie trupie tak ją za habit pociągnęły, że musiała

przy łóżku uklęknąć. Musiała też często pochylać ucho ku twarzy chorej, aby dosłyszeć, co mówiła. W sali szpitalnej lampa nocna dogorzała, sen zamykał powieki tym nawet, którzy najsrożej cierpieli, świt zaglądał do okien, krople potu występowały na czoło siostry Klary, a chora jeszcze opowiadała, skarżyła się na los swój, na ludzi, na samą siebie, coraz mniej przytomna, z coraz więcej wikłającymi się na ustach wyrazami, czasem rozrzewniona aż do płaczów głębokich i długich, czasem rozjątrzona aż do przekleństw miotanych na bieg życia, na serce własne, na człowieka, który zrucił ją widmem szczęścia niezmiernego, a potem rzucił ją w otchłonędzy bezdennej. Ale cokolwiek i jakkolwiek mówiła, jak korzeciągłem kłuciem przypominający się sercu, na usta jej powracał wyraz: ona! I zaraz potem prośba pełna oddechów, buchających żarem i spojrzeń, zalanych łzami.

— Pójdź do niego, proś, służebnica Chrystusa jesteś, Chrystus rozkazał ratować ginących... powiedz mu, że Chrystus rozkazał przebaczać... że jawnogrzesznicy przebaczył, że dzieci lubił... Niech zlituje się nad małym robakiem, podejmie z ziemi, aby podeptanym nie był... Może to uczynić... gdyby chciał tylko! Bogaty! Widziałam go z daleka! Silny taki, zdrowy, ludzie mu się kłaniają... ze wszystkich stron kłaniają się... ani znać po nim jakiegokolwiek nieszczęścia... A ja! O, Boże! Co tam ja! Mniejsza już o mnie! Już dla mnie wszystko minęło... minęło...

Zapłakała znowu...

— Ale ona, ona! Ta moja gwiazdeczka złota! Pójdź, siostro, do niego. O niej mów, za nią proś! Opowiedz, jakam ja biedna i jaka ona mała, śliczna, niczemu niewinna...

Więc u schyłku dnia majowego, we wrzątku wielkiego miasta, w woniach rozkwitających po ogrodach akacyi, w światłach zachodu, które kiedy niekiedy kładły różowe śniegi na śnieżną białość jej kornetu, szła — do niego! Obok niej barczystsza i czerstwiejsza siostra Benigna dreptała, milcząc i podnosząc czasem na towarzyszkę dobre, pytające oczy. Ale delikatne wargi siostry Klary ściśle były zamknięte. Nie mogła zdradzić tajemnicy cudzej, musiała sama, o własnych siłach podźwignąć krzyż obowiązku i miłosierdzia.

Bo był to krzyż. Na myśl, czyj próg przestąpi, do kogo mówić będzie, ogarniały ją trwoga, zawstydzenie, nadewszystko zaś odraza, z którą walczyła daremnie, zwalczyć jej nie mogła. Wiedziała, że nikogo sądzić ani potępiać niepowinna, więc walczyła

z odrazą, która niemniej taiła się w sercu i niepokoiła ją uczuciem popełnionego grzechu. Powołanie jej i obowiązki, które pełniła, wprowadzały ją często w stosunki z ludźmi; imię też człowieka tego, słynne z rozumu, talentu i energii, wprzódy już parę razy o słuch się jej obiło. Nic złego nie słyszała o nim, ale wiedziała, że żyje w tym duchowym zamęcie, w tych gęstych mgłach, które teraz przed ludźmi zasłaniają niebo. Należy też zapewne do tych, którzy myślą zuchwałą, życiem, oddanem samolubnym sprawom i rozkoszom, powiększają ten zamęt i te mgły czynią coraz ciemniejszemi.

Rozum! Talent! Czyliż zawsze są one pochodniami, przyświecającemi stopom ludzkim, aby nie schodziły ze ścieżek, wykreślonych przez mądrość i wolę Boga? Bywają też często — w jego ręku są może również — żużlami, wzniecającymi w duszach pożary zwątpienia i buntu. Co pewna, to — że był światowcem, dzielącym życie pomiędzy pracą, dostarczającą mu bogactwa i sławy, a uciechami, któremi świat karmi zmysły i próżność ulubieńców swoich i losu. Słyszała, że żyje w zbytku, otoczony tem pięknem, które pieści zmysły i prowadzi do ubóstwienia materyi i jej tworów. Wieczne obieganie koła interesów doczesnych, wieczne schlebianie podniebieniu cielesnemu, gwar, tłum — chwalba ludzka, oto atmosfera, którą oddycha, pokarm, którym się odżywia dusza ta — jakże pewno zadowolona i dumna! Tryumfator, pewnie pyszałek, jeden z tych, którym powiodło się wedle ludzi... ale wedle Boga? „Biada wam, bogaczom, bo macie już pociechę waszą“. Zresztą niech Bóg go sądzi.

W imię Boga tylko przemawiając, czy przekona tego, który w Boga może nie wierzy? Ażeby dopiąć zamierzonego celu: umierającą pocieszyć i niewinne dziecię od zguby uratować, pragnęłaby już nawet przemówić językiem tego świata, do którego on należy, ale — nie potrafi, zapomniała go i nie jest pewna, czy godzi się surową myśl Bożą o miłosierdziu owijać w ponętnie haftowane woale światowe? Jakże więc zdołają zrozumieć się nawzajem i u gorejącego słupa ofiary zgodnie zejść się — z tak różnych dróg?...

Jednak i on doświadczył raz nieszczęścia; palec Boży dotknął go — był karą, czy przestrogą. Ale czy silnie uczuł to dotknięcie, rzecz wątpliwa. Z tych, którzy lekko ślizgają się po powierzchni życia, lekko też ześlizgują się ciosy życia. Kto nie zstępuje na własne głębie, do tego głębi też nic nie przenika. Jeżeli fa-

talny ten wypadek zadał mu ranę, to pewnie zagoiła ją już od dawna maść, złożona z miłego na sposób różny spędzenia czasu, z podróży ciekawych, sprzętów pięknych, kto wie, może z tych samych uczuć, które lekkomyślna stopa tej nieszczęśliwej zdeptała, a dłoń innej na nowo roznieciła, bo wszakże czynił starania o otrzymanie rozwodu...

Siostra Klara słyszała o tem i teraz myślała, że, niepamiętny na krzywdę, zrządzoną tamtej, chciał z inną iść do ołtarza. Tak, krzywdę: bo siostra Klara nie może obronić się myśli, że występek tej kobiety nie tylko na jej, lecz i na jego sumienie spadać powinien. Była tak młodą! On, starszy, posiadał więcej doświadczenia i wiedzy; dlaczego nie przeniknął, nie odgadł, nie zapobiegł? Może nawet pychą i niewiarą swoją zatruł jej duszę, przykładem pogoni za uciechami światowemi popchnął ją na manowce! Gdybyż tę winę swoją chciał zrozumieć i uznał! Przebaczyłby może umierającej i spełnił jej prośbę. Lecz zaledwie podobna przypuszczać, aby stać się to mogło. „Azaliż z cierni zbierają jagody winne albo z octu figi?“

Pycha zaślepia. Uciechy światowe — to kurzawa, która przed człowiekiem zasłania plon jego duszy. Tylko pokornym i cnotliwym Bóg pozwala w nurtach sumienia wyławiać perłę skruchy. Jednak łaska Boża zawsze i wszędzie działalną być może i jej to na pomoc wzywa siostra Klara, wstępując na ozdobne schody pięknego domu. Ona sama nic nie może. „Nie możesz uczynić jednego włosa czarnym albo białym“. Modli się więc w duchu. Błaga Boga o światło i natchnienie; krótka modlitwa i uczucie obowiązku wzniecają w niej śmiałość. Śmiało też, choć delikatnie, przyciska palcem guzik dzwonka u drzwi, na których oczy jej wyczytują machinalnie napis: Czesław Zanimirski.

Przez otwarte drzwi gabinetu widać było pokój jadalny, z ciężkim stołem gdańskim pośrodku i zwieszającym się nad nim, równie jak on staroświeckim, świecznikiem wieloramiennym. U ściany szafa także gdańska, ciężka, a leciuchną koronką rzeźby okryta, przepyszna. Od ciemnych ścian obbijają przytwierdzone do nich stare fajanse, Delfty, pochodzące z Holandyi, z malowidłem, które en grinaille przedstawia fantastyczne zwierzęta i rośliny.

Gdzieindziej ścianę przerzyna pas ciemnego drzewa: to zegar, zamknięty w starożytnej szafce, tak wysokiej, że oblicze jej duże, postarzałe, spłowiałemi różami zwieńczone, prawie z pod sufitu

spogląda na pokój, którego bogactwo kryje się pod surową zasłoną barw ciemnych i kształtów ciężkich.

Służący wprowadził siostrę Klarę do gabinetu.

Przez drzwi otwarte spogląda w głąb salonu, z którego znowu dobywa się tchnienie, dla niej niespodziewane.

W głębi salonu ściany okrywają ramy duże i mniejsze, napełnione malowanemi twarzami, ubiorami, godłami. Jestto zbiór portretów, miniatur, emalii, z przedziwną delikatnością zdjętych ze starożytnych sygnetów. Pośrodku największych rozmiarów obraz, na którym rycerz, z twarzą cudnie piękną, wraz z koniem, którego dosiada i wojskiem, którem dowodzi, rzuca się w spienione fale Elstery. Nad tą sceną dramatyczną twarz królewska pod peruką upudrowaną patrzy z mdłym uśmiechem mdłej piersi, która dramatu uczuć nie jest zdolna. Na miniaturach migocą zdala ubiory pradziadów i prababek, z rzuconego na stronę stolika spogląda marsowo biały wiarus ze starej porcelany saskiej... a siostra Klara uczuwa lecącą od tego wszystkiego woń rzeczy dawno znanych, serdecznie pamiętanych, blizkich i drogich. Szczególniej od bladych rysów rycerza, wskakującego na koniu do spienionej rzeki, wieje ku niej przypomnienie dzieciństwa i pierwszych lat młodości. Taki sam obraz, w mniejszych tylko rozmiarach, znajdował się w dworku miejskim, pod którego strzechą ujrzała światło dzienne; pamięta go, odkąd zaczęła rozróżniać przedmioty, przez światło to oblewane, przypomina on jej oczy ojcowskie, które często na niego patrzyły i ramiona matki także, które ją często ku niemu podnosiły.

Może to być, aby tu, w tem mieszkaniu, wpadła w nią iskra uczuć tak jej własnych, drogich, czystych, przez Boga samego nakazanych, z oczu ojcowskich, z ramion macierzyńskich wziętych? To tak, jak ten kwiat na biurku. Bo w pierwszej młodości także lubiła te pokorne wrzosy, liliową mgłą zaścielające mchy leśne i podleśne piaski! Żebyż mogła teraz z wazonu tego zerwać kilka gałązek, zanieść jej tej nieszczęsnej, dla której tu przyszła i orzeźwiwszy ich świeżością oczy jej, spieczone przez łzy i gorączkę, włożyć je w jej prawie trupie dłonie, jako widomy znak — przebaczenia!

Od zbłąkanej tu rośliny leśnej wzrok jej odciąga blady rycerz na obrazie, a potem popiersie poety, którego marmurowe oczy przez drzwi otwarte patrzą na malowaną twarz bohatera.

Gdy Zanimirski, z wejrzeniem pytającem, składał przed za-

konnicą ukłon głęboki, jej się wydało, że ze snu ciepłego i miłego budzi ją obca i zimna rzeczywistość.

Tak samo, zupełnie tak samo wyobrażała go sobie: zadowolony z siebie i ze świata, od stóp do głowy okryty piętnem światowej wytworności i pewności siebie. Wzrost miał średni, czoło, jak u młodzieńca, gładkie i raźnie podniesione w górę, w ciemnych oczach blask silny i przenikliwy, na ustach uśmiech radości, którą tak na pełniony być musiał, że aż wydzierała mu się na zewnątrz. Rysy twarzy, ściągłe i regularne, zaokrąglały się u dołu pod krótko ostrzyżoną brodą, co nadawało twarzy znamię dobrobytu i zdrowia fizycznego. Przed wyobraźnią siostry Klary pomimo woli stanęła postać kobieca wynędzniała, w bólach ciała i duszy przedwcześnie umierająca na szpitalnem łożu. Jakaż różnica! Z dwojga ludzi, którzy razem rozpoczynali życie, teraz, w połowie jego, jedno tak zdruzgotane, drugie tak kwitnące! Z dwojga współwinowajców... bo niezawodnie część winy na jego barkach spoczywa, tylko że on tego niewidzialnego ciężaru nie czuje w swej tryumfującej radości życia...

Na twarzy Zanimirskiego istotnie malowała się radość. Był także niezmiernie zajęty i mnóstwo myśli, zapełniających mu głowę, mnóstwo zajęć, które na niego czekały, odgadnąć było można z nieprzezwyciężonego zamyślenia, napełniającego oczy, z ruchów spiesznych, jakimi przerzucał na biurku stosy papierów i ołówkiem na karcie papieru coś spiesznie zapisywał. Potem zwrócił się ku gościowi i uprzejmym gestem ręki wskazał jeden z dwu fotelów, tuż przy biurku naprzeciw siebie umieszczonych. Ta ręka biała, z gestem wykwintnym, znowu przypomniała siostrze Klarze te prawie trupie ręce, na które tej nocy tak długo patrzała. Niech Bóg ją wesprze! Ona do tego człowieka, tak strasznie i do niej i do tamtej nieszczęsnej niepodobnego, w imię Boga mówić będzie!

— Słucham siostro! Czem służyć mogę?

Delikatne wargi siostry Klary nie drżały, gdy przemawiała:

— Przychodzę od śmiertelnego łoża tej, której pan przed ołtarzem Boga ślubował miłość i wierność do śmierci. Dla miłości Chrystusa i przez posłuszeństwo Jego rozkazom przychodzę, aby powtórzyć panu ostatnie słowa i żądanie żony pana, Laury Zanimirskiej, kończącej żywot swój w naszym szpitalu.

Głos jej brzmiał odwagą duszy, która, przemawiając w imię zasady wyższej nad wszystko, nie lęka się nikogo. Była przygotowana do usłyszenia okrzyku nienawiści, do ujrzenia wyroku po-

gardy, może nawet do grubiańskiego gestu, słowa. Przeciw tym przewidywanym wybuchom człowieka obrażonego, najpewniej zawziętego i mściwego, niosła napływający do myśli tłum wyrazów słodkich i przekonywujących, jak przykazania Chrystusowe, a gdyby zaszła potrzeba, gromiących w imię Chrystusa. Lecz ani przewidywała, ani spodziewała się właśnie tego, co zaszło. Możnaby mniemać, że słowa, przez nią wyrzeczone, były dla Zanimirskiego tym gromem, który, w pobliżu człowieka padając, nie zabija go, lecz odejmuje mu słuch i mowę.

Wyglądał jak ogłuszony i oniemiały. Skóra i muskuły twarzy zaczęły mu drgać, kurczyć się, ściągać, aż stanęła cała w zmarszczkach, jak w poprzeciąganych wszędzie na czole, policzkach, dokoła oczu i ust głębokich rysach boleści. Plecy jego przygarbiły się, palce, obejmujące poręcz fotelu, zesztywniały, w oczach, szeroko rozwartych, uganiały się błędne światełka przerażenia.

— Laura... umierająca... w szpitalu!

Po tym szepcie zdławionym panowała w pokoju długa cisza, którą przerywało tylko ostre, krótkie ćwierkanie wróbli za oknami.

Lecz niedarmo Czesław Zanimirski słynął z energii, która dawała mu panowanie nad wielu sprawami i umysłami. Opanował teraz samego siebie. Wyprostował się, spojrzeniu nakazał spokój; tylko na twarzy pozostały zmarszczki, jak przez palec jakiś twardy wyżłobione rysy.

— Jakim sposobem? Skąd tu przybyła? Z czego umiera? Dlaczego... w szpitalu? Co się stało? Czy została opuszczoną?..

Wyprostował się i spiesznie pytać zaczął:

— I bardzo chora? Czy wiele cierpi? Jaka to choroba? Możeby ratunek... Wzrok mu zabłysnął. Zerwał się do czynu: prędzej, prędzej do czynu!

— Lekarzy? Pieniędzy? Może zmiana klimatu...

Siostra Klara przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, nic już... nic. Kwestya kilku, paru dni...

W oczach uczuła mgłę wilgotną na widok głowy tego człowieka, która nizko na dłonie opadła, szepcząc:

— Biedna! biedna! biedna!

Po chwili zapytał:

— Mówiłaś, siostro, że ma jakieś żądanie...

— Jedno tylko, lecz tak ważne... i... śmiałe...

Zawahała się, teraz dopiero uczuła, że to śmiałe żądanie może być także i okrutnem. Okrutnym był gwałt, który samej sobie

zadać musiała, aby dziewiczemi usty poruszać te męty życia. Lecz on go jej oszczędził. Patrzał na blady rumieniec, który opłynął jej policzki, na drżenie, wstrząsające wargami, myślał chwilę i zapytał:

— Czy kogo osieroca?

Jakim sposobem, jakim sposobem odgadł pomysł tak dziwny i zuchwały, że powstać mógł tylko w gorączce, w rozpaczy, w zgryzocie sumienia, oko w oko ze śmiercią? Odgadł jednak. Siostra Klara szepnęła:

— Maleństwo biedne, dziewczątko malutkie... zagrożone nędzą i zgubą!

Była chwila milczenia. Zanimirski, patrząc na zakonnicę, przemówił:

— Nic więcej nie mów, siostro! Wiem!

Ruchem porywczym wstał z fotelu; siostrze Klarze wydało się, że rysy jego zaostrzyły się i stwardniały. Odwrócił się, przeszedł pokój i stanął, zwrócony do okna w sposób taki, że profil jego uwypuklił się na tle szyby i zielonej za nią zasłony, ostry i twardy, jakby kamienny.

Minuty płynęły. Zakonnica z pochyloną głową myślała, że Bóg kazał jej dziś być świadkiem walki ciężkiej, toczącej się w duszy człowieka. W myśli jej, nie wiedzieć skąd, powstały dwa wyrazy:

— W pięknej duszy!

Zaczęła modlić się:

— Boże, wesprzyj twór twój szlachetny i cierpiący!

Już pomiędzy nędzarką ze szpitalnego łoża a człowiekiem, który pędził życie w tem pięknem mieszkaniu i gwarze światowym, nie spostrzegła kontrastu oburzającego.

— Nieprzebranemi w rozmaitości swojej są, o Panie, te drogi, któremi stworzenia swe prowadzisz wśród nędzy i smutków ziemi!

Minuty płynęły. W przyległym pokoju zegar zaczął uderzać godzinę. Z pod sufitu, od starego oblicza, zwieńczonego zbladłemi różami, płynęły zwolna dźwięki basowe i przewlekłe. Fala melancholii przepływała to mieszkanie, w którego ciszę, z za zielonej firanki liści, wpływać zaczęły różowe światła zachodzącego słońca.

Siostra Klara pomyślała:

— Jak w klasztorze.

A potem jeszcze:

— Duch, kędy chce, tchnie.

Zanimirski zwrócił się od okna, postąpił parę kroków i, stając przed zakonnicą, wielkiem biurem z nią rozdzielony, zapytał:

— Gdzie się znajduje?

Podniosła oczy niepewne, czy trwożyć się mają albo radować, lecz nie spotkała się z jego wejrzeniem. Powieki miał spuszczone; był bardzo blady, a w palcach, trochę drżących, trzymał ołówek.

— Adres? — zapytał jeszcze.

Wymieniła nazwę uliczki nędznej i gminne nazwisko ludzi, które on szybko napisał na kartce, a potem mówić zaczął:

— Powiedz jej siostro, że uczynię, czego żąda, że uczynię wszystko, cokolwiek jest w mocy mojej. Niech będzie spokojną. Niechaj tej nocy spokojnie uśnie. Jutro... o której godzinie, siostro, chorych waszych odwiedzać można? Jutro przyjdę do niej, powiem, co obmyślę, jak ze zleceniem jej postąpię... i prosić ją będę, aby sumienie i serce jej nie trwożyło się ani tem, co uczyniła, ani tem, co pozostawia. W miarę, jak mówił, siostra Klara podnosiła się z siedzenia, z oczyma rozbłysłemi od radości i ze śpiewającemi w myśli słowami:

— „Ujrzycie niebo otworzone i anioły Boże"...

Ale werset biblijny przerwało jej zdziwienie. Co się stało? Skąd w człowieku tym zmiana tak nagła? Z twarzy jego zniknęły zmarszczki, czoło znowu stało się, jak przedtem, gładkie i wypogodzone, spojrzenie ciemnych źrenic, kędyś w przestrzeni tkwiące, pełne było radości cichej, lecz słodkiemi kroplami sączącej się z samego dna jego istoty. Ręce siostry Klary splotły się ruchem powolnym, w myśli, jak hymn, brzmiały słowa:

— „Ujrzycie niebo otworzone i anioły Boże wstępujące i zstępujące..." Azali duch człowieka tego nie wstąpił na wysokości niebieskie i nie zstąpił z nich ku ziemskim nędzom, jak anioł Boży?

Z oczyma, oszklonemi łzami, mówić zaczęła:

— Wiem już teraz, odgaduję... Bóg dał mi poznać źródło radości i tryumfów pana. Takim, jak w tej chwili, widziałam pana przed rozpoczęciem się rozmowy naszej. Zapewne i wtedy...

— O, nic wielkiego! — przerwał śpiesznie z uśmiechem — zupełnie nic wielkiego! Trochę tylko odepchnąłem ludzi od samych siebie... Bo ludzie, siostro, ogromnie lgną do samych siebie, i trzeba czasem jedną ręką odrywać ich od tego najwyższego przedmiotu ukochania, a drugą wskazywać coś innego!...

— Coś innego? co? — zapytała zakonnica.

— Nędze ludzkie i idee Boskie — odpowiedział.

Rozmawiali stojąc, wielkiem biurem rozdzieleni.

Światła zachodu, coraz natarczywiej wdzierając się przez zielone liście, coraz obficiej usypywały mieszkanie. Pełno złotych strzał i rubinowych kropel było teraz na marmurowych popiersiach wieszczów, w szkłach, osłaniających książki i sztychy, na papierach, okrywających biuro. Po tych papierach przesunęły się oczy zakonnicy.

— Praca! — pomyślała.

A głośno powtórzyła:

— Idee Boskie!

— Tak, siostro — odpowiedział. — I cóżbyśmy nieszczęśni poczęli na ziemi, gdyby nie te gwiazdy, na niebie naszem zapalone? Kiedy kruszy się i z pod stóp nam umyka statek własnego szczęścia, ich promieni czepiamy się rękoma.

HENRYK SIENKIEWICZ (1847 [1]).

Z powieści p. t.: Krzyżacy.

W XIV. wieku, w okresie walk Zakonu krzyżackiego z Litwą i Polską, Zbyszko z Bogdańca obraził posła krzyżackiego i miał być stracony, lecz ocaliło go młode dziewczę, Danusia Jurandówna. Stąd miłość Zbyszka i Danusi, zakończona tajemnym ślubem. Krzyżacy, mszcząc się na Jurandzie ze Spychowa, porwali Danusię. Jurand w poszukiwaniu córki przybył do Danvelda.

Jurand, znalazłszy się na podwórcu zamkowym, nie wiedział zrazu, dokąd iść, gdyż knecht, który go przeprowadził przez bramę, opuścił go i udał się ku stajniom. Przy blankach stali wprawdzie żołdacy, to pojedyńczo, to po kilku razem, ale twarze ich były tak zu-

---

[1]) Kształcił się w uniwersytecie warszawskim. Rozpoczął od powieści *Na marne* i *Humoresek z teki Worszylły* (1873); pisał kroniki tygodniowe w *Gazecie Polskiej* pod pseudonimem *Litwosa*. Wydawszy nowele *Stary sługa* i *Hania*, wyruszył na 4-letni pobyt do Ameryki, skąd *Listy* i szereg nowel, jak: *Za chlebem*, *Z pamiętników poznańskiego nauczyciela*, *Janko Muzykant*, *Przez stepy*, *Orso*, *Latarnik*, *Selim Mirza*, *Szkice węglem*. Po powrocie w *Niwie* ogłaszał mieszaniny i studya literackie. Napisawszy urywek p. t.: *Niewola tatarska*, rozpoczął powieści historyczne i stworzył ich szereg: *Ogniem i mieczem* (1884), *Potop*, *Pan Wołodyjowski*, *Krzyżacy*, *Na polu chwały*, *Quo vadis*, *Legiony*. Obok historycznych powstawały i kulturalne: *Bez dogmatu* (1891), *Rodzina Połanieckich*, *Wiry*; a nawet dla dzieci p. t.: *W pustyni i w puszczy*.

chwałe a spojrzenia tak szydercze, iż łatwo było rycerzowi odgadnąć, że mu drogi nie wskażą, a jeśli na pytanie odpowiedzą, to chyba grubiaństwem lub zniewagą.

Niektórzy śmiali się, pokazując go sobie palcami; inni poczęli nań znów miotać śniegiem, tak samo jak dnia wczorajszego. Lecz on, spostrzegłszy drzwi większe od innych, nad któremi wykuty był w kamieniu Chrystus na krzyżu, udał się ku nim w mniemaniu, że jeśli komtur i starszyzna znajdują się w innej części zamku lub winnych izbach, to go ktoś musi przecie z błędnej drogi nawrócić.

I tak się stało. W chwili gdy Jurand zbliżył się do owych drzwi, obie ich połowy otworzyły się nagle i stanął przed niemi młodzianek z wygoloną głową, jak klerycy, ale przybrany w suknię świecką i zapytał:

— Wyście, panie, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest.

— Pobożny komtur rozkazał mi przyprowadzić was. Pójdźcie za mną.

I począł go wieść przez sklepioną wielką sień ku schodom. Przy schodach jednak zatrzymał się i obrzuciwszy Juranda oczyma, znów pytał:

— Broni zaś nie macie przy sobie żadnej? Kazano mi was obszukać.

Jurand podniósł do góry oba ramiona tak, aby przewodnik mógł dobrze obejrzeć całą jego postać i odpowiedział:

— Wczoraj oddałem wszystko.

Wówczas przewodnik zniżył głos i rzekł prawie szeptem:

— Tedy strzeżcie się gniewem wybuchnąć, boście pod mocą i przemocą.

— Aleć i pod wolą Boską — odpowiedział Jurand.

Doszli wreszcie do sali na piętrze, w której Jurand miał stanąć przed obliczem starosty szczycieńskiego. Pachołek, otworzywszy drzwi, cofnął się napowrót ku schodom.

Rycerz ze Spychowa wszedł i znalazł się w obszernej komnacie, bardzo ciemnej, gdyż szklane, oprawne w ołów gomółki przepuszczały niewiele światła, a przytem dzień był zimowy, chmurny. W drugim końcu komnaty palił się wprawdzie na wielkim kominie ogień, ale źle wysuszone kłody mało dawały płomienia. Dopiero po niejakim czasie, gdy oczy Juranda oswoiły się ze zmrokiem, dostrzegł w głębi stół i siedzących za nim rycerzy, a dalej za ich plecami całą gromadę zbrojnych giermków i równie zbrojnych

knechtów, między którymi błazen zamkowy trzymał na łańcuchu oswojonego niedźwiedzia.

Siedzieli wygodnie, przybrani w miękkie z ciemnego sukna szaty, z lekkimi mieczami przy boku, radośni, pewni siebie, spoglądając na Juranda z pychą i z tą niezmierną pogardą, którą mieli zawsze w sercach dla słabszych i zwyciężonych.

Długi czas trwało milczenie, albowiem pragnęli się nasycić widokiem męża, którego przedtem poprostu się bali, a który teraz stał przed nimi ze spuszczoną na piersi głową, przybrany w grzebny wór pokutniczy, z powrozem na szyi, na którym wisiała pochwa miecza.

Tymczasem Danveld skinął ręką i uciszył rozmowy, poczem dał znak jednemu z giermków, ów zaś zbliżył się do Juranda i chwyciwszy dłonią za powróz, otaczający jego szyję, przyciągnął go o kilka kroków bliżej do stołu.

A Danveld spojrzał z tryumfem na obecnych i rzekł:

— Patrzcie, jako moc Zakonu zwycięża złość i pychę.

— Daj tak Bóg zawsze! — odpowiedzieli obecni.

Nastała znów chwila milczenia, po której Danveld zwrócił się do jeńca:

— Kąsałeś Zakon, jako pies zapieniony, przeto Bóg sprawił, że, jako pies, stoisz przed nami z powrozem na szyi, wyglądając łaski i zmiłowania.

— Nie równaj mnie z psem komturze — odrzekł Jurand — bo czci ujmujesz tym, którzy potykali się ze mną i z mojej ręki polegli.

Na te słowa szmer powstał pomiędzy zbrojnymi Niemcami: nie wiadomo było, czy rozgniewała ich śmiałość odpowiedzi, czy uderzyła jej słuszność.

Lecz komtur nie był rad z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

— Patrzcie, oto tu jeszcze pluje nam w oczy hardością i pychą!

A Jurand wyciągnął w górę dłonie, jak człowiek, który niebiosa wzywa na świadki i odrzekł, kiwając głową:

— Bóg widzi, że moja hardość została za bramą tutejszą. Bóg widzi i będzie sądził, czy hańbiąc mój stan rycerski, nie pohańbiliście się i sami. Jedna jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien.

— Nie narzekaj, żeć pohańbiono — rzekł Danveld — bo choćbym cię psiarczykiem uczynił, lepszy psiarczyk zakonny, niż wasz rycerz!

A ośmielony błazen począł krzyczeć:

— Przynieś zgrzebło, wyczesz niedźwiedzia, a on ci wzajem kudły łapą wyczesze!

Na to tu i ówdzie ozwały się śmiechy, jakiś głos zawołał z poza pleców braci zakonnych:

— Latem będziesz trzcinę na jeziorze kosił!

— I raki na ścierwo łowił! — zawołał inny.

Trzeci zaś dodał:

— A teraz pocznij wrony od wisielców odganiać! Nie braknie-ć tu roboty.

Takto oni szydzili ze strasznego im niegdyś Juranda.

Inni zaś jęli wołać o piwo, aby dzień stał im się jeszcze weselszy.

Jakoż po chwili zadzwoniły kopiaste dzbańce, a ciemna sala wypełniła się zapachem spadającej z pod pokryw piany. Rozweselony komtur rzekł: „Tak właśnie dobrze, niech nie myśli, że jego pohańbienie wielka rzecz!“

Więc znowu zbliżali się do niego i trącając go pod brodę konwiami, mówili: „Radbyś pił, mazurski ryju!“ — a niektórzy, ulewając na dłonie, chlustali mu w oczy, on zaś stał między nimi, zahukany, zelżony, aż wreszcie ruszył ku staremu Zygfrydowi i widocznie czując, że nie wytrzyma już długo, począł krzyczeć tak głośno, aby zagłuszyć gwar, panujący w sali:

— Na mękę Zbawiciela i duszne zbawienie, oddajcie mi dziecko, jakoście obiecali!

I chciał chwycić prawą dłoń starego komtura, ale ów odsunął się szybko i rzekł:

— Zdala, niewolniku! Czego chcesz?

— Wypuściłem z jeństwa Bregowa i przyszedłem sam, boście obiecali, że za to oddacie mi dziecko, które się tu znajduje.

— Kto ci obiecywał? — spytał Danveld.

— W sumieniu i wierze ty, komturze.

— Świadków nie znajdziesz, ale za nic świadkowie, gdy chodzi o cześć i słowo.

— Na twoją cześć! Na cześć Zakonu! — zawołał Jurand.

— Tedy córka będzie ci oddana! — odpowiedział Danveld.

Poczem zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Wszystko, co go tu spotkało, niewinna to igraszka, nie w miarę jego występków i zbrodni. Ale żeśmy przyrzekli wrócić

mu córkę, jeśli się stawi i upokorzy przed nami, tedy wiedzcie, że słowo Krzyżaka ma być, jako słowo Boże, niewzruszonem i że ową dziewkę, którąśmy rozbójnikom odjęli, darujem teraz wolnością, a po przykładnej pokucie za grzechy przeciw Zakonowi i jemu do domu wrócić dozwolimy.

Zdziwiła niektórych taka mowa, gdyż, znając Danvelda i jego dawne do Juranda urazy, nie spodziewali się po nim tej uczciwości. Więc stary Zygfryd, a z nim razem Rotgier i brat Gotfryd spoglądali na niego, podnosząc ze zdumienia brwi i marszcząc czoła, ów jednakże udał, że tych pytających spojrzeń nie widzi i rzekł:

— Córkę ci pod strażą odeślem, ty zaś tu ostaniesz, póki straż nasza bezpiecznie nie wróci i póki okupu nie zapłacisz.

Jurand sam był nieco zdumiony, albowiem już był stracił nadzieję, by nawet dla Danusi ofiara jego mogła się na coś przydać, więc spojrzył na Danvelda prawie z wdzięcznością i odpowiedział:

— Bóg ci zapłać, komturze!

— Poznaj rycerzy Chrystusa — rzekł Danveld.

A na to Jurand:

— Jużci z Niego wszelkie miłosierdzie! Ale żem też dziecka kęs czasu nie oglądał, pozwólże mi dziewkę obaczyć i pobłogosławić.

— Ba, i nie inaczej, jak wobec nas wszystkich, aby zaś byli świadkowie naszej wiary i łaski.

To rzekłszy, kazał przybocznemu giermkowi sprowadzić Danusię, sam zaś zbliżył się do von Löwego i Rotgiera, którzy, otoczywszy go, poczęli szybką i żywą rozmowę.

— Nie przeciwię się, lubo nie takiś miał zamiar — mówił stary Zygfryd.

A gorący, słynny z męstwa i okrucieństwa, Rotgier mówił:

— Jakto? nie tylko dziewkę, ale i tego dyabelskiego psa wypuścisz, aby znów kąsał?

— Ba... zapłaci okup! — odparł niedbale Danveld.

— Choćby wszystko oddał, w rok dwa razy tyle złupi.

— Nie przeciwię się co do dziewki — powtórzył Zygfryd — ale na tego wilka nieraz jeszcze owieczki Zakonu zapłaczą.

— A nasze słowo? spytał, uśmiechając się, Danveld.

— Inaczej mówiłeś...

Danveld wzruszył ramionami.

— Mało wam było uciechy? — spytał — Chcecie więcej?

Inni zaś otoczyli znów Juranda i w poczuciu chwały, która

z uczciwego postępku Danvelda spadła na wszystkich ludzi zakonnych, poczęli mu się chełpić do oczu:

— A co, łomignacie! — mówił kapitan zamkowych łuczników — nie takby postąpili twoi pogańscy bracia z chrześcijańskim naszym rycerzem!

— Krew zaś naszą toś pijał?

— A my ci za kamień chlebem...

Ale Jurand nie uważał już ni na pychę, ni na pogardę, która była w ich słowach: serce miał wezbrane, a rzęsy wilgotne. Myślał, że oto za chwilę zobaczy Danuśkę i że zobaczy ją istotnie z ich łaski, więc spoglądał na mówiących prawie ze skruchą i wreszcie odrzekł:

— Prawda, prawda! Bywałem wam ciężki, ale... nie zdradliwy.

Wtem w drugim końcu sali jakiś głos krzyknął nagle: „Wiodą dziewkę!" — I naraz w całej sali uczyniło się milczenie. Żołnierze rozstąpili się na obie strony, gdyż, jakkolwiek żaden z nich nie widział Jurandówny, a większa ich część z powodu tajemniczości, którą Danveld otaczał swe uczynki, nie wiedziała nawet nic o jej pobycie w zamku, jednakże ci, którzy wiedzieli, zdążyli już teraz szepnąć innym o przecudnej jej urodzie. Wszystkie więc oczy skierowały się z nadzwyczajną ciekawością na drzwi, przez które miała się ukazać.

Tymczasem naprzód ukazał się giermek, za nim znana wszystkim służba zakonna, ta sama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weszła przybrana biało dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami, przewiązanymi wstążką na czole. — I nagle w całej sali rozległ się, nakształt grzmotu, jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwszej chwili skoczył był ku córce, cofnął się nagle i stał blady, jak płótno, spoglądając ze zdumieniem na śpiczastą głowę, na sine usta i na nieprzytomne oczy niedojdy, którą mu oddawano jako Danusię.

— To nie moja córka! — rzekł trwożnym głosem.

— Nie twoja córka? zawołał Danveld. — Na świętego Liboryusza z Padebornu! To albośmy nie twoją zbójom odbili albo ci ją jakiś czarownik odmienił, bo innej niemasz w Szczytnie.

Stary Zygfryd i Rotgier zamienili z sobą szybkie spojrzenia, pełne największego podziwu nad przebiegłością Danvelda, ale żaden z nich nie miał czasu odezwać się, gdyż Jurand począł wołać okropnym głosem:

— Jest! Jest w Szczytnie! Słyszałem, jako śpiewała, słyszałem głos mojego dziecka.

Na to Danveld obrócił się do zebranych i rzekł spokojnie, a dobitnie:

— Biorę was tu obecnych na świadków, a szczególnie ciebie, Zygfrydzie z Insbrucka i was, pobożny bracie Rotgierze, że wedle słowa i uczynionej obietnicy oddaję tę dziewkę, o której pobici przez nas zbójcy powiadali, jako jest córką Juranda ze Spychowa. Jeśli zaś nią nie jest, nie nasza w tem wina, ale raczej wola Pana naszego, który w ten sposób chciał wydać Juranda w nasze ręce.

Zygfryd i dwaj młodzi bracia skłonili głowy na znak, że słyszą i będą w potrzebie świadczyli. Potem znów zamienili szybkie spojrzenia, gdyż było to więcej, niż sami mogli się spodziewać: schwytać Juranda, nie oddać mu córki, a jednak pozornie dotrzymać obietnicy, któż innyby to potrafił!

Lecz Jurand rzucił się na kolana i począł zaklinać Danvelda na wszystkie relikwie w Malborgu, a potem na prochy i głowy rodziców, by oddał mu prawdziwe jego dziecko i nie postępował, jako oszust i zdrajca, łamiący przysięgi i obietnice. W głosie jego tyle było rozpaczy i prawdy, że niektórzy poczęli się domyślać podstępu, innym zaś przychodziło na myśl, że może naprawdę jakiś czarownik odmienił postać dziewczyny. —

— Bóg patrzy na twoją zdradę! — wołał Jurand. — Na rany Zbawiciela, na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się na przemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz, jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu i, pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Jeślić ją oddam, to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął, jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!!“ — poczem ciało komtura uderzyło z taką straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygfryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje

i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął, jak burza, na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Bylito ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednem uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, łupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachołków, rykiem niedźwiedzia, który, wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno — i rozpaczliwem wołaniem o zbroję, o tarczę, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on, niebaczny na nic, nawpół obłąkany, sam skoczył ku nim i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi, niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za nim padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy, von Bracht i Anglik Hugues, który, choć nie bardzo rozumiał, o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobył oręża dopiero po zabiciu Danvelda. Inni, widząc straszliwą siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę, gdyż on z włosem zjeżonym na głowie, z obłąkanemi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznemi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę, spluskaną posoką, jak burza wali krzewy i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi i że, równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

— Rozproszyć się! Otoczyć go! Z tyłu razić! — krzyknął stary Zygfryd de Löwe. Więc rozbiegli się po sali, jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzióby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym, zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał, ten marł, jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięcioro jego okrutną siłę przyrodzoną. Mieczem, do którego najtęższi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk,

władał, jak piórem, jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięstwa, szukał pomsty i jako ogień albo jako rzeka, która, zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej prądowi opór stawi, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel, porywał, łamał, deptał, mordował i gasił żywoty ludzkie. Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przytem, pospolici żołdacy, bali się zbliżać nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tylu klęsk i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygfryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galeryę, która biegła ponad wielkiemi oknami sali i poczęli nawoływać innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czynili to skwapliwie tak, że na wązkich schodach przepychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mocarza, z którym wszelka walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrząsnął drzwi, prowadzące na chór i Jurand pozostał sam na dole. Z galeryi ozwały się okrzyki radości, tryumfu i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie zydle, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł na prędce pochwycić.

A szalony Jurand otarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.

* * *

W tej samej sali wieczorem siedział za stołem stary Zygfryd de Löve, który po wójcie Danveldzie objął tymczasem zarząd Szczytna, a obok niego brat Rotgier, rycerz de Bregow, dawny jeniec Juranda i dwaj szlachetni młodzieńcy, nowicyusze, którzy wkrótce przywdziać mieli białe płaszcze. Wicher zimowy wył za oknami, wstrząsał ołowiane osady okien, chwiał płomieniem pochodni, palących się w żelaznych kunach, a kiedy niekiedy wypychał z komina kłęby dymu na salę. Między braćmi, chociaż zebrali się na naradę, panowała cisza, albowiem czekali na słowo Zygfryda,

ów zaś, wsparłszy łokcie na stole i splótłszy dłonie na siwej pochylonej głowie, siedział posępny, z twarzą w cieniu i z ponuremi myślami w duszy.

— Nad czem mamy radzić? — spytał wreszcie brat Rotgier.

Zygfryd podniósł głowę, popatrzył na mówiącego i, zbudziwszy się z zamyślenia, rzekł:

— Nad klęską, nad tem, co powie mistrz i kapituła i nad tem, by z naszych uczynków nie wynikła szkoda dla Zakonu.

Poczem umilkł znów, lecz po chwili rozejrzał się naokół i poruszył nozdrzami:

— Tu czuć jeszcze krew.

— Nie, komturze, odpowiedział Rotgier — kazałem zmyć podłogę i wykadzić siarką. Tu czuć siarkę.

A Zygfryd spojrzał dziwnym wzrokiem po obecnych i rzekł:

— Zmiłuj się, Duchu Światłości, nad duszą brata Danvelda i brata Gotfryda!

Oni zaś zrozumieli, że wzywał miłosierdzia Boskiego nad temi duszami i że wzywał dlatego, iż po wzmiance o siarce przyszło mu na myśl piekło, więc dreszcz przebiegł im przez kości i odrzekli wszyscy naraz:

— Amen! Amen! Amen!

Przez chwilę znów było słychać wycie wiatru i drganie osad okiennych.

— Gdzie ciało komtura i brata Gotfryda? — spytał starzec.

— W kaplicy; księża śpiewają nad nimi litanię.

— W trumnach już?

— W trumnach, jeno komtur głowę ma zakrytą, bo i czaszka i twarz zmiażdżone.

— Gdzie inne trupy i ranni?

— Trupy na śniegu, aby zesztywniały, nim porobią trumny, a ranni opatrzeni już w szpitalu.

Zygfryd splótł powtórnie dłonie nad głową:

— I to jeden człowiek uczynił... Duchu Światłości, miej w swojej pieczy Zakon, gdy przyjdzie do wielkiej wojny z tem wilczem plemieniem!

Na to Rotgier podniósł wzrok w górę, jakby coś sobie przypominając, i rzekł:

— Słyszałem pod Wilnem, jako wójt sambijski mówił bratu swemu mistrzowi: „Jeśli nie uczynisz wielkiej wojny i nie wytra-

cisz ich tak, aby i imię nie zostało, tedy biada nam i naszemu narodowi".

— Daj Bóg taką wojnę i spotkanie z nimi! — rzekł jeden ze szlachetnych nowicyuszów. Zygfryd spojrzał na niego przeciągle, jak gdyby miał ochotę powiedzieć: — „Mogłeś dziś spotkać się z jednym z nich" — lecz widząc drobną i młodą postać nowicyusza, a może wspomniawszy, że i sam, choć sławion z odwagi, nie chciał iść na pewną zgubę, zaniechał wymówki i zapytał:

— Który z was widział Juranda?

— Ja — odrzekł de Bregow.

— Żyje?

— Żyje, leży w tej samej sieci, w którąśmy go zaplątali. Gdy się ocknął, chcieli go knechci dobić, ale kapelan nie pozwolił.

— Dobić nie można. Człek to znaczny między swymi i byłby krzyk okrutny — odparł Zygfryd. — Niepodobna też będzie ukryć tego, co zaszło, gdyż zbyt wielu było świadków.

— Jako więc mamy mówić i co czynić? — spytał Rotgier.

Zygfryd zamyślił się i tak rzekł:

— Wy, szlachetny grafie de Bregow, jedźcie do Malborga do mistrza. Jęczeliście w niewoli u Juranda i jesteście gościem Zakonu, więc jako gościowi, który niekoniecznie potrzebuje mówić na stronę zakonników, tem snadniej wam uwierzą. Mówcie przeto, coście widzieli, że Danveld, odbiwszy pogranicznym łotrzykom jakowąś dziewczynę i myśląc, że to dziewka Jurandowa, dał znać o tem Jurandowi, który też przybył do Szczytna i... co się dalej stało — sami wiecie...

— Wybaczcie, pobożny komturze — rzekł de Bregow. — Ciężką niewolę znosiłem w Spychowie i jako gość wasz, radbym zawsze świadczył za wami, ale dla spokoju sumienia mego powiedzcie mi: żali nie było prawdziwej Jurandówny w Szczytnie i żali nie zdrada Danvelda doprowadziła do szału strasznego jej rodzica?

Zygfryd de Löwe zawahał się przez chwilę z odpowiedzią; w naturze jego leżała głęboka nienawiść do polskiego plemienia, leżało okrucieństwo, którem nawet Danvelda przewyższał i drapieżność, gdy chodziło o Zakon, i pycha, i chciwość, ale nie było w niej zamiłowania do nizkich wykrętów. Największą też goryczą i zgryzotą życia jego było, że w ostatnich czasach sprawy zakonne przez niekarność i swawolę ułożyły się w ten sposób, że wykręty stały się jednym z najwalniejszych i nieodzownych już środków za-

konnego życia. Przeto pytanie de Bregowa poruszyło w nim tę najboleśniejszą stronę duszy i dopiero po długiej chwili milczenia rzekł:

— Danveld stoi przed Bogiem i Bóg go sądzi, a wy, grafie, jeśli was zapytają o domysły, tedy mówcie, co chcecie, jeśli zasię o to, co widziały oczy wasze, tedy powiedzcie, iż nim splątaliśmy siecią wściekłego męża, widzieliście dziewięć trupów, prócz rannych, na tej podłodze, a między nimi trup Danvelda, brata Gotfryda, von Brachta i Huga, i dwóch szlachetnych młodzieńców. Boże, daj im wieczny odpoczynek. Amen!

— Amen! Amen! — powtórzyli znów nowicyusze.

— I mówcie także — dodał Zygfryd — że, jakkolwiek Danveld chciał przyciszyć nieprzyjaciela Zakonu, nikt tu jednak pierwszy miecza na Juranda nie wydobył.

— Będę jeno mówił to, co widziały oczy moje — odrzekł de Bregow.

— Przed północą zaś bądźcie w kaplicy, gdzie i my przyjdziemy modlić się za dusze zmarłych — odpowiedział Zygfryd.

I wyciągnął do niego rękę, zarazem na znak podzięki i pożegnania, albowiem pragnął do dalszej narady pozostać tylko z bratem Rotgierem, którego miłował, jak źrenicę oka i jak tylko ojciec mógł miłować jedynego syna. W Zakonie czyniono nawet z powodu tej niezmiernej miłości różne przypuszczenia, ale nikt nic dobrze nie wiedział, zwłaszcza że rycerz, którego Rotgier uważał za ojca, żył jeszcze na swym zameczku w Niemczech i nie wypierał się tego syna nigdy.

Jakoż po odejściu Bregowa Zygfryd wyprawił również i dwóch nowicyuszów pod pozorem, aby dopilnowali roboty trumien dla pobitych przez Juranda prostych knechtów, a gdy drzwi zamknęły się za nimi, zwrócił się żywo do Rotgiera i rzekł:

— Słuchaj, coć powiem: jedna jest tylko rada, aby żadna żywa dusza nie dowiedziała się nigdy, że prawdziwa Jurandówna była u nas.

— Nie będzie to trudno — odrzekł Rotgier — gdyż o tem, że ona tu jest, nie wiedział nikt prócz Danvelda, Gotfryda, nas dwóch i tej służki zakonnej, która jej dozoruje. Ludzi, którzy ją przywieźli z leśnego dworca, kazał Danveld popoić i powiesić. Byli tacy w załodze, którzy się czegoś domyślali, ale tym pomieszała w głowie owa niedojda i sami nie wiedzą teraz, czy stała się pomyłka z naszej strony czy też jakiś czarownik naprawdę przemienił Jurandównę.

— To dobrze — rzekł Zygfryd.

— Ja zaś myślałem, szlachetny komturze, czyby, ponieważ Danveld nie żyje, nie zwalić na niego całej winy...

— I przyznać się przed całym światem, żeśmy w czasie pokoju i układów z księciem mazowieckim porwali z jego dworu wychowankę księżny i ulubioną jej dworkę?

Nie, to nie może być!... Na dworze widziano nas razem z Danveldem i wielki szpitalnik, jego krewny, wie, iżeśmy przedsiębrali wszystko razem... Gdy oskarżymy Danvelda, zechcą się mścić za jego pamięć!...

— Radźmy nad tem — rzekł Rotgier.

— Radźmy i znajdźmy dobrą radę, bo inaczej biada nam! Gdyby Jurandównę oddać, to ona sama powie, żeśmy nie od zbójów ją odebrali, jeno że ludzie, którzy ją pochwycili, zawiedli ją wprost do Szczytna.

— Tak jest..

— I nie tylko o odpowiedzialność im chodzi. Będzie się książę skarżył królowi polskiemu i wysłańcy ich nie omieszkają krzyczeć na wszystkich dworach na nasze gwałty, na naszą zdradę, na zbrodnię. Ile może być z tego szkody dla Zakonu! Sam mistrz, gdyby wiedział prawdę, powinien rozkazać ukryć tę dziewkę.

— A czy i tak, gdy ona przepadnie, nie będą nas oskarżali? — zapytał Rotgier.

— Nie! Brat Danveld był człowiekiem przebiegłym. Czy pamiętasz, że postawił warunek Jurandowi, aby nie tylko sam stawił się w Szczytnie, ale by przedtem ogłosił i do księcia napisał, iż jedzie córkę od zbójów wykupować i wie, że niema jej u nas.

— Prawda, ale jakże usprawiedliwim w takim razie to, co stało się w Szczytnie?

— Powiemy, iż wiedząc, że Jurand szuka dziecka, a odjąwszy zbójom jakowąś dziewkę, która nie umiała powiedzieć, kto jest, daliśmy znać Jurandowi, myśląc, że to być może jego córka, ów zaś przybywszy, wpadł na widok tej dziewki w szaleństwo i opętan przez złego ducha, rozlał tyle krwi niewinnej, że i niejedna potyczka więcej nie kosztuje.

— Zaprawdę — odrzekł Rotgier — mówi przez was rozum i doświadczenie wieku. Złe uczynki Danvelda, choćbyśmy na niego tylko winę zwalili, zawszeby poszły na karb Zakonu, zatem na karb nas wszystkich, kapituły i samego mistrza; tak zaś wykaże się nasza niewinność, wszystko zaś spadnie na Juranda, na złość polską i związki ich z piekielnemi mocami...

— I niech nas sądzi wówczas, kto chce: papież, czy cesarz rzymski!

— Tak!

Nastała chwila milczenia, poczem brat Rotgier spytał:

— Więc co uczynim z Jurandówną?

— Radźmy!

— Dajcie ją mnie.

A Zygfryd popatrzał na niego i odpowiedział:

— Nie! Słuchaj, młody bracie! Gdy chodzi o Zakon, nie folgujcie mężowi, ni niewieście, ale nie folgujcie i sobie. Danvelda dosięgła ręka Boża, bo nie tylko chciał pomścić krzywdy Zakonu, ale i własnym chuciom dogodzić.

— Źle mnie sądzicie! rzekł Rotgier.

— Nie folgujcie sobie — przerwał mu Zygfryd — bo zniewieścieją w was ciała i dusze i kolano tamtego twardego plemienia przyciśnie kiedyś pierś waszą tak, iż nie powstaniecie więcej.

I poraz trzeci wsparł posępną głowę na ręku, ale widocznie rozmawiał tylko z własnem sumieniem i o sobie tylko myślał, gdyż po chwili rzekł:

— I na mnie dużo ciąży krwi ludzkiej, dużo bólu, dużo łez... I ja, gdy chodziło o Zakon i gdym widział, że samą siłą nie wskóram, nie wahałem się szukać innych dróg; ale gdy stanę przed tym panem, którego czczę i miłuję, rzeknę mu: „To uczyniłem dla Zakonu, a dla siebie wybrałem jeno cierpienie“.

Poczem chwycił rękoma skronie, a głowę i oczy podniósł w górę i zawołał:

— Wyrzeczcie się rozkoszy i rozpusty, zatwardzijcie wasze ciała i serca, gdyż oto widzę białość orłowych piór na powietrzu i szpony orła, czerwone od krwi krzyżackiej... Dalsze słowa przerwało mu uderzenie wichru tak straszne, że jedno okno w górze nad galeryą otworzyło się z trzaskiem, a cała sala napełniła się wyciem i poświstem zawiei, oraz płatkami śniegu.

— W imię Ducha Światłości! Zła to noc — rzekł stary krzyżak.

— Noc mocy nieczystych — odrzekł Rotgier. — A dlaczego, panie, zamiast: „w imię Boga“ — mówicie: „w imię Ducha Światłości?“

— Duch Światłości — to Bóg — odparł starzec, poczem, jakby chcąc odwrócić rozmowę, spytał:

— A przy ciele Danvelda są księża?

— Są...

— Boże, bądź mu miłościw!

I umilkli obaj, poczem Rotgier przywołał pachołków, którym rozkazał zamknąć okno i objaśnić pochodnie, a gdy poszli precz, znów zapytał:

— Co uczynicie z Jurandówną? Weźmiecie ją stąd do Insbruka?

— Wezmę ją do Insbruka i uczynię z nią to, czego dobro Zakonu wymagać będzie.

— Ja zasię co mam czynić?

— Maszli w duszy odwagę?

— Cóżem takiego uczynił, abyście mieli o tem wątpić?

— Nie wątpię, bo cię znam, a za twoje męstwo miłuję cię więcej, niż kogokolwiek w świecie. Tedy jedź na dwór księcia mazowieckiego i opowiedz mu wszystko, co się tu stało tak, jakeśmy między sobą ułożyli.

— Mogęż się na pewną zgubę narażać?

— Jeśli twa zguba wyjdzie na chwałę Zakonu, to powinieneś. Ale nie! Nie czeka cię zguba. Oni gościowi krzywdy nie czynią; chybaby cię kto chciał pozwać, jako uczynił ów młody rycerz, który nas wszystkich pozwał... On lub kto inny, lecz to przecie nie straszne...

— Daj to Bóg! Mogą mnie jednak chwycić i do podziemi wtrącić.

— Nie uczynią tego. Pamiętaj, że jest list Jurandowy do księcia, a ty pojedziesz prócz tego skarżyć na Juranda. Opowiesz wiernie, co uczynił w Szczytnie i muszą ci uwierzyć... Oto pierwsi daliśmy mu znać, że jest jakaś dziewka, pierwsi zaprosiliśmy go, by przybył i obaczył ją, a on przyjechał, oszalał, komtura zabił, ludzi nam powytracał. Tak będziesz mówił, a oni cóż ci na to powiedzą? Jużci śmierć Danvelda rozgłosi się po całem Mazowszu. Wobec tego zaniechają skarg. Jurandówny będą oczywiście szukali, ale skoro sam Jurand pisał, że nie u nas jest, więc nie na nas padnie posąd. Trzeba nadrobić odwagą i pozamykać im paszczęki, bo i to także pomyślą, że gdybyśmy byli winni, nikt z nas nie odważyłby się przyjechać.

— Prawda, po pogrzebie Danvelda wyruszę zaraz w drogę.

— Niech cię Bóg błogosławi, synaczku! Gdy wszystko uczynim, jak należy, tedy nie tylko nie zatrzymają cię, ale się muszą wyprzeć Juranda, abyśmy zaś nie mogli rzec: Oto, jak oni z nami postępują!

— I tak trzeba się skarżyć na wszystkich dworach.

— Wielki szpitalnik dopilnuje tego i dla dobra Zakonu i jako krewny Danvelda.

— Ba, ale gdyby ten dyabeł spychowski wyżył i odzyskał wolność...

A Zygfryd począł patrzeć posępnie przed siebie, następnie zaś odpowiedział zwolna i dobitnie:

— Choćby odzyskał wolność, nigdy on nie wypowie jednego słowa skargi na Zakon.

Poczem jął jeszcze nauczać Rotgiera, co ma mówić i czego żądać na mazowieckim dworze.

* * *

Zbyszko również wyprawił się do ziemi krzyżackiej, szukając swej małżonki. Znalazł ją, odbił rycerzowi Arnoldowi von Baden, uwięził Zygfryda i wysłał go ze swym giermkiem Hlawą do Spychowa Jurandowi.

* * *

Hlawa z Zygfrydem jechał dniem i nocą, tyle tylko wypoczywając, ile było koniecznie trzeba, aby konie nie popadały, które, jako żywione samą trawą, mdłe były i nie mogły czynić tak wielkich pochodów, jak w krajach, w których łatwiej było o owies. Sam siebie Hlawa nie szczędził, a na późny wiek i osłabienie Zygfryda nie zważał. Cierpiał też stary Krzyżak okrutnie, tem bardziej, że żylasty Maćko nadwerężył mu poprzednio kości. Ale najcięższe były dla niego komary, rojące się w wilgotnej puszczy, od których, mając związane ręce, a przykrępowane do brzucha końskiego nogi, opędzać się się nie mógł. Giermek nie zadawał mu wprawdzie żadnych osobnych mąk, ale i litości nad nim nie miał i uwalniał mu prawicę z więzów tylko na postojach przy jadle: „Jedz, wilcza mordo, abym cię żywiąwiącego panu na Spychowie mógł dowieść!“ Takie były słowa, któremi go do posiłku zachęcał. Zygfrydowi przyszła wprawdzie w podróży myśl, by się głodem zamorzyć; ale gdy usłyszał, że będą mu zęby nożem podważać i przemocą w gardło lać, wolał ustąpić, aby do poniewierania swej godności zakonnej i czci rycerskiej nie dopuścić.

Jechali błędnemi drogami, a raczej bezdrożem przez bór, wprost przed siebie, jak sierpem rzucił. Wiedział tylko Czech, że jadąc nieco ku zachodowi, a wciąż na południe, musi dojechać do Mazowsza, a wówczas wszystko już będzie dobrze. W dzień kie-

rował się słońcem, a gdy pochód w noc się przeciągnął, gwiazdami. Puszcza przed nimi zdawała się nie mieć granic ni końca. Płynęły im wśród mroków nocnych dni i noce. Jechali przez okropne bezludzie, gdzie znikąd żywności, gdzie nocami koni trzeba było strzedz od wilków i niedźwiedzi, w dzień ustępować z drogi stadom żubrów i turów, i gdzie straszne odyńce ostrzyły krzywe kły o korzenie sosen, i gdzie często, kto nie przedział z kuszy albo nie przebódł dzidą cętkowanych boków jelonka lub warchlaka, ten całymi dniami jeść co nie miał.

Przychodziło im raz poraz objeżdżać rozległe grzęzawy lub głębokie parowy, na których dnie szumiały wzdęte wiosennymi dżdżami potoki. Nie brakło w puszczy i jezior, w których widywali przy zachodzie słońca pławiące się w rumianych, wygładzonych wodach stada całe łosiów lub jeleni. Czasem spostrzegali też dymy, zwiastujące obecność ludzi. Kilkakrotnie Hlawa zbliżał się ku takim borowym osadom, ale wysypywał się z nich na spotkanie lud dziki, przybrany w skóry na gołem ciele, zbrojny w kiścienie i łuki, a patrzący tak złowrogo z pod poskręcanych przez kołtun czupryn, że trzeba było korzystać co duchu z pierwszego zdumienia, w jaki ich wprawiał widok rycerzy i odjeżdżać jak najspieszniej.

Dwa razy jednak świstały strzały i gonił go okrzyk: „Wokili!“ (Niemcy), on zaś wolał umykać, niż wywodzić się, kto jest. Nareszcie, po kilku jeszcze dniach, zaczął przypuszczać, że może już i przejechał granicę, ale nie było się kogo spytać. Dopiero od osaczników, mówiących polską mową, dowiedział się, że nakoniec stanął na ziemiach mazowieckich.

Tam szło już łatwiej, chociaż całe wschodnie Mazowsze szumiało również jedną puszczą. Nie skończyło się także bezludzie, ale tam, gdzie zdarzyła się osada, mieszkaniec mniej był nieużyty, może dlatego, że nie karmił się wciąż nienawiścią, a może i z tej przyczyny, że Czech odzywał się zrozumiałym dla niego językiem. Bieda bywała tylko z niezmierną ciekawością tych ludzi, którzy otaczali gromadnie jeźdźców i zarzucali ich pytaniami, a dowiedziawszy się, że jeńca-Krzyżaka wiodą, mówili:

— Podarujcież go nam, panie: już my go sprawim!

I prosili tak natarczywie, że Czech często musiał się gniewać albo tłómaczyć im, że jeniec jest książęcy. To wówczas ustępowali. Później, w kraju już osiadłym, ze szlachtą i włodykami

nie szło też łatwo. Wrzała tam nienawiść przeciw Krzyżakom, pamiętano bowiem żywo wszędzie zdradę i krzywdę, wyrządzoną księciu wówczas, gdy w czasie największego spokoju porwali go Krzyżacy pod Złotoryą i zatrzymali jako więźnia. Nie chciano tam już wprawdzie „sprawić“ Zygfryda, ale ten lub ów twardy szlachcic mówił: „Rozwiążcie go, to mu dam oręż i za miedzą pozwę go na śmierć“. Takim wkładał, jako łopatą w głowę, Czech, że pierwsze prawo do pomsty ma nieszczęsny pan spychowski i że nie wolno go jej pozbawić.

Ale w osiadłych stronach łatwo już szła podróż, bo były jakie takie drogi i konie wszędy karmione owsem lub jęczmieniem. Jechał też Czech żywo, nie zatrzymując się nigdzie i na dziesięć dni przed Bożem Ciałem stanął w Spychowie.

Przyjechał wieczorem, jak wówczas, gdy go był Maćko ze Szczytna z wiadomością o swym odjeździe na Żmudź przysłał i tak samo, jak wówczas, zbiegła do niego, ujrzawszy go z okna, Jagienka, a on jej do nóg padł, słowa przez chwilę nie mogąc przemówić. Ale ona podniosła go i pociągnęła co rychlej na górę, nie chcąc przy ludziach wypytywać.

— Co za nowiny? — spytała, drżąc z niecierpliwości i ledwie mogąc dech złapać. — Czech począł opowiadać w krótkich słowach, jak wzięto Zygfryda. Oznajmił też, że Zygfryda przywiózł z sobą, albowiem Zbyszko chciał go dać w podarunku i dla pomsty Jurandowi.

— Trzeba mi zaraz do Juranda! — rzekła, gdy skończył, Jagienka. Powróciła niebawem.

— Oznajmiłam mu — rzekła — nowinę ostrożnie, aby go nagła radość nie zabiła, a on zaraz padł krzyżem i modli się.

Kilka razy zaglądali do niego i za każdym razem znajdowali go leżącego, nie w uśpieniu, lecz w modlitwie tak gorliwej, że do zupełnego zapamiętania się dochodzącej. Dopiero nazajutrz, znacznie po jutrzni, gdy Jagienka zajrzała znów do niego, dał znać, że chce widzieć Hlawę i jeńca. Wyprowadzono wówczas z podziemia Zygfryda ze skrępowanemi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca.

W pierwszej chwili Czech nie mógł się mu dobrze przypatrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawaliły całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędzniał. Olbrzymi mąż

zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mlecznej barwy włosów i brody, a gdy, przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hlawie poprostu trupem.

Przy krześle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochen czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordyą czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu prócz chleba i wody od dawna Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosiennica, przepasana powrósłem, którą nosił na gołem ciele. Takto od czasu powrotu ze szczycieńskiej niewoli żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa.

Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bose stopy i podał się w tył. Wtedyto właśnie wydał się Czechowi, jak umarły. Nastała chwila oczekiwania, spodziewano się bowiem, że uczyni jaki znak, aby kto zaczął mówić, ale on siedział nieruchomy, biały, spokojny, z otwartemi nieco ustami, jakoby istotnie pogrążon w wieczystem uśpieniu śmierci.

— Jest tu Hlawa — ozwała się wreszcie słodkim głosem Jagienka — chcecieli go wysłuchać?

Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął, poraz trzeci opowiadanie. Wspomniał pokrótce o bitwach, stoczonych z Niemcami pod Gotteswerden, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danusi, ale nie chcąc przydawać staremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umysł Danusi pomięszał się przez długie dni okrutnej niedoli.

Natomiast, mając serce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygfryd był jak najniemiłosierniej pokaran, nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przelęknioną, wynędzniałą, chorą, że znać było, że obchodzono się z nią po katowsku i że gdyby dłużej pozostała była w tych strasznych rękach, byłaby uwiędła i zgasła tak właśnie, jako więdnie i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej posępny pomruk zapowiadającej się burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły się coraz potężniej nad Spychowem. Jurand słuchał opowiadania bez jednego drgnienią i ruchu tak, że obecnym zdawać się mogło, iż pogrążony jest we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszystko, bo gdy Hlawa zaczął mówić o niedoli Danusi, wówczas w pustych jamach oczu zebrały mu się dwie wielkie łzy i spłynęły mu po policzkach. Ze wszystkich ziemskich uczuć pozostało mu jeszcze jedno tylko: miłość

do dziecka. — Potem sinawe jego usta poczęły się poruszać modlitwą. Na dworze rozległy się pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyskawice jęły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił się długo i znów łzy kapały mu na białą brodę. Aż wreszcie przestał i zapadło długie milczenie, które, przedłużając się nad miarę, stało się nakoniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli, co mają z sobą robić.

Nakoniec stary Tolima, prawa Jurandowa ręka, towarzysz we wszystkich bitwach i główny stróż Spychowa, rzekł:

— Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze; dajcie znak, co mam z nim uczynić i jego pokarać?

Na te słowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle promienie i skinął, aby mu przywiedziono tuż więźnia.

Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywiedli przed starca, a ów wyciągnął rękę, przesunął naprzód dłoń po twarzy Zygfryda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na pierś Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów i przymknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że się namyślał. Ale cokolwiekbądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordya.

Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachołkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów nawpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrępowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza tak, aby mógł wiedzieć, czego dotyka i począł przecinać sznury na ramionach krzyżaka.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im zanadto. Hlawa jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachołkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepohamowany płacz głosem:

— Bracie Jurandzie, czego chcecie, czy chcecie darować jeńca wolnością?

— Tak! — odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

— Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

— Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

— Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana!

I klęknąwszy sam, począł mówić:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje... I odmówił „Ojcze nasz" do końca. Przy słowach: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom" oczy jego zwróciły się mimowoli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakiemś nadziemskiem światłem.

A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdyż stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolana i rzekł:

— Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

— Tak! — skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna: burza była bliżej i bliżej.

ALEKSANDER GŁOWACKI (1847—1912[1]). (BOLESŁAW PRUS).

PLACÓWKA.

Maluje zapasy chłopa polskiego z Niemcami o ziemię. Józef Ślimak nie da się ująć żadną pokusą, ani prośbą, ani groźbą i nie sprzedaje swych dziesięciu morgów niemieckim kolonistom. Dziedzic zaś dla kaprysu żony sprzedał ojcowiznę Hirszgoldowi, który ją oddał w ręce Niemców.

...Sanie, wiozące starozakonnego i dwu Niemców z Wólki, powoli opuściły się w dolinę, minęły most na rzece, z niemałym trudem wjechały na pierwszy taras pagórków i powoli dobiły się do karczmy. Tu do uszu podróżnych doleciały urywane dźwięki muzy-

---

[1]) Nauki w uniwersytecie warszawskim, gdzie był „fanatykiem matematyki i nauk przyrodniczych". W okresie pozytywizmu pisał artykuły publicystyczne i naukowe. Najważniejsze z prac tych: *Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa.* Ró-

ki i różowy blask smolnych beczek, płonących przede dworem. Niemcy wysiedli i weszli do szynku, skąd po chwili wyszedł karczmarz Josel i przez kilka minut rozmawiał z przejezdnym. Wreszcie nizko mu się ukłonił i kazał karczmarzowi zawieźć go do dworu.

Za odjeżdżającym wybiegł z karczmy jeden z Niemców, wołając: hej, hej! Sanki zatrzymały się, Niemiec oparł się na ich krawędzi i mówił:

— Dziś nic z tego interesu nie będzie.

— Dlaczego niema być? — zapytał Żyd powoli.

— Oni teraz tańcują...

— To właśnie dobrze.

— Szlachcic nie porzuci tańca dla rachunków.

— Więc sprzeda bez rachunku.

— Albo każe czekać parę dni.

— Ja nie mam czasu na czekanie — odparł Żyd. — Jedź! — rzekł do furmana.

We dworze muzyka brzmiała coraz żywiej, we wsi odpowiadało jej wycie rozbudzonych psów, a w spróchniałych drzewach przydrożnych wycie i jęki wichru. Sanie pod górę posuwały się coraz wolniej, konie potykały się coraz częściej, furman okładał je batem coraz mocniej, a jego pasażer podniósł wysoko bobrowy kołnierz i myślał.

Na dziedzińcu płonęły smolne beczki, wnętrze kuchni wyglądało jakby oświetlone bengalskim ogniem, ściany dworu promieniowały dźwiękami walca. Około budynków folwarcznych jeszcze rozlegały się dzwonki sań, furmani kłócili się o miejsce dla swoich koni, na sztachetach, otaczających dziedziniec, opierali się parobcy, gospodarze i wiejskie kobiety, przypatrujące się sylwetkom tancerzy, które nieustannie migały w oknach salonu. A nad tym gwarem, muzyką, blaskiem, zabawą i ciekawością ludzką rozciągała się noc zimowa, z głębi której dojeżdżał do dworu otulony bobrowym kołnierzem żydek i — dumał.

Skromny jego ekwipaż zatrzymał się w cieniu przed wrotami; żyd wysiadł i zmęczonym krokiem powlókł się do otwartych drzwi kuchni. Coś przemówił do kucharza, ale kucharz nie zwrócił na niego

---

wnocześnie humoreski, nowele, obrazki i powiastki, jak: *Kłopoty babuni*, *Grzechy dzieciństwa*, *Przygoda Stasia*, *Antek*, *Pałac i rudera*, *Powracająca fala*, *Placówka* (1885). Zdobywa też sobie sławę kronikami tygodniowemi.

Po *Placówce* nastąpiła *Lalka* (1891), potem *Emancypantki* (1894), wreszcie *Faraon* (1896) i ostatnie dzieła: *Najogólniejsze ideały życiowe*, *Dzieci* i *Przemiany*.

uwagi — skinął na pomywaczkę, lecz ta odwróciła się tyłem; w końcu trafił szczęśliwie na pędzącego chłopca z kredensu, schwycił go za ramię i rzekł:

— Masz tu złoty, a jak mi sprowadzisz lokaja, Mateusza, dostaniesz drugi złoty.

Chłopiec stanął i ciekawie spojrzał na żyda.

— Albo kupiec zna Mateusza? — spytał.

— Poznam, tylko go przyprowadź.

Niebawem zjawił się Mateusz.

— Masz tu rubla — rzekł przejezdny — a jak wywołasz do mnie pana, dostaniesz znowu rubla.

Lokaj potrząsnął głową.

— Pan teraz jest bardzo zajęty — rzekł — i z pewnością nie wyjdzie.

— Powiedz, że chce się z nim widzieć pan Hirszgold w bardzo pilnym interesie. Powiedz jeszcze, że pan Hirszgold przywiózł list od ojca pani. Masz tu drugiego rubla, żebyś nie zapomniał nazwiska: pan Hirszgold.

Lokaj szybko poszedł do dworu, lecz wrócił nieprędko. Nastała pauza w muzyce, on nie wracał, zagrano polkę, on jeszcze nie wracał, wreszcie — ukazał się.

— Jaśnie pan prosi do oficyny — rzekł do gościa w bobrowym kołnierzu. Poszedł naprzód i otworzył drzwi do pokoju, w którym stało kilka łóżek, w części już posłanych, a przeznaczonych zapewne dla tancerzy.

Żyd zdjął bogate futro, wziął w rękę bobrową czapkę i usiadł na krześle. Był to przystojny, rumiany mężczyzna, z kasztanowatą brodą, w długim syberynowym surducie. Nogi w lakierowanych butach wyciągnął na pokój, oparł się o poręcz krzesła i zapatrzony w płomień świecy, czekał i dumał.

W sali muzyka przestała grać polkę i po niedługiej pauzie zagrała dzielnego mazura. We dworze zgiełk i tupanie spotęgowały się, po której następował wybuch hałasu, jakby cały folwark miał runąć. Żyd słuchał obojętnie, czekał bez niecierpliwości i wciąż dumał.

Nagle w sieni oficyny zaszumiało, zabrzęczało, drzwi odskoczyły, jakby je kto wywalił i — przed oczekującym gościem stanął dziedzic. Ubrany był w kierezyę z czerwonym kołnierzem, pełną kółek i świecideł, w czerwoną czapkę z pawiem piórem, w szerokie spodnie w białe i różowe paseczki i w buty z podkówkami.

— Jak się pan ma, panie Hirszgold! — wesoło zawołał dziedzic. — Cóżto za pilny list od teścia?...

Gość zwolna podniósł się z krzesła, ukłonił się poważnie i wydobywszy list z wewnętrznej kieszeni paltota, rzekł:

— Niech pan czyta.

— Jakto? ——— Teraz?... Ależ ja tańczę mazura, panie Hirszgold...

— A ja buduję dystans kolei — odparł gość.

Dziedzic przygryzł wąsa, odpieczętował list i szyko przebiegł go oczyma. We dworze zgiełk taneczny wciąż potęgował się, komenda mazura brzmiała coraz częściej, głośniej i wyraźniej.

— Więc pan chce kupić mój folwark? — spytał dziedzic.

— I to zaraz.

— Ależ panie, ja mam bal w domu!...

— A na mnie czekają koloniści. Jeżeli do północy nie skończę z panem, jutro muszę skończyć z pańskim sąsiadem. On zyska, a pan straci.

— No, dobrze to jest — mówił rozgorączkowany dziedzic. — Mój teść pisze o panu bardzo pochlebnie... Ale w takiej chwili...

— Potrzebuje pan tylko parę słów.

Dziedzic rzucił krakuskę na stół...

— Doprawdy, panie Hirszgold, jesteś nieznośny!...

— To nie ja, to interesa. Bardzo chciałbym dogodzić pańskiej familii, ale nie potrafię przedłużyć krótkiego czasu.

— W sieni znowu zabrzęczało i wpadł ułan z krzykiem:

— Bój się Boga, Władku, co robisz?...

— Nagły interes... — tłumaczył się dziedzic.

— Ależ twoja dama czeka...

— Więc niech mnie kto zastąpi, bo mówię ci, że mam nagły i ważny interes.

— Ależ dama!... — biadał ułan, wybiegając z pokoju.

W sali pierwszy komendant mazura ochrypnął tak, że całkiem zamilkł. Wnet jednak rozległ się inny, potężny głos basowy:

— Panie rond, panowie koszyk!...

— Ile pan dajesz? — zwrócił się zdesperowany gospodarz do kupca. — Co za oryginalne położenie!... dodał, pobrzękując podkówkami.

— Daję dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt rubli za włókę bez żadnych targów — odparł stanowczo kupiec. — Jutro dam tylko dwa tysiące.

— En avant!... ryknął bas w sali.

— Nigdy! — odparł dziedzic. — Wolę sprzedać chłopom.

— Chłopi dają panu tysiąc pięćset rubli, a dadzą najwyżej — tysiąc osiemset.

— Więc wolę sam gospodarować...

— I dziś pan sam gospodaruje, a co z tego?...

— Tourner!... zawołano w sali.

— Jakto co?... oburzył się dziedzic. — Ziemia pyszna, lasy, łąki...

Kupiec machnął ręką.

— Ja, panie, wiem, co tu jest — odparł. — Wiem od pańskiego rządcy, który się na Nowy Rok oddalił...

Dziedzic rozgniewał się.

— Więc ja sam rozkolonizuję!... zawołał.

— I weźmie pan po dwa tysiące za włókę, a przez ten czas młoda pani umrze z nudów — odparł kupiec z uśmiechem.

— Chaine! Z lewej strony — zabrzmiała komenda.

— Boże! Co robić?... westchnął dziedzic.

— Podpisać umowę — odpowiedział kupiec. — Wszakże teść pański donosi w liście, że ja dam cenę możliwie najlepszą i że zasługuję na ufność.

— Partager!...

W sieni po raz trzeci zabrzęczało, potknęło się, uderzyło we drzwi, zaklęło na dyabła i pioruny i do pokoiku znowu wpadł ułan.

— Władku! — zawołał — hrabia śmiertelnie obraził się za afront, jaki robisz jego narzeczonej i chce wyjeżdżać...

Boże, jakiżem ja nieszczęśliwy! — jęknął dziedzic. — Napisz pan, panie Hirszgold umowę, zaraz tu wrócę...

Wybiegł. Kupiec wydobył z torebki podróżny kałamarz i pióro, z kieszeni złożony na czworo arkusz papieru i przy blasku stearynowej świecy, wśród dźwięku muzyki, łoskotu nóg, krzyków prowadzącego tańce, napisał kilkanaście wierszy. Potem znowu wpadł w swoją spokojną zadumę. — Po kwadransie ucichnął mazur, a wkrótce w pokoiku ukazał się dziedzic zmęczony, ale promieniejący.

— Gotowe? — spytał wesoło.

— Gotowe.

Przeczytał i podpisał, mówiąc z uśmiechem:

— Jaką wartość może mieć ta umowa?...

— Dla sądu żadnej, ale dla pańskiego teścia jest ważną. No, a on ma pieniądze — odparł kupiec.

Dmuchnął na podpis, powoli złożył papier i na zakończenie spytał z odcieniem lekkiej ironii:

— Cóż, pan hrabia już nie gniewa się?

— A udało mi się go uspokić — odparł zadowolony dziedzic.

— W tym roku będzie on miał większe zmartwienie przez swoich wierzycieli — mruknął kupiec. — No, żegnam pana, wesołej zabawy.

Podał rękę dziedzicowi, który z pośpiechem opuścił pokoik, wracając na salę balową.

Kupiec zaczął powoli wciągać futro. Współcześnie, jak z pod ziemi, zjawił się Mateusz.

— Wielmożny pan, odezwał się lokaj, pomagając mu ubrać się — wielmożny pan kupił nasz majątek?...

— Co to dziwnego? Przecie on nie pierwszy i nie ostatni — odparł kupiec. — Sięgnął do pugilaresa i dał lokajowi trzy ruble.

— Zawołam konie, jaśnie panie — rzekł zgięty do podłogi lokaj.

— Nie potrzeba — odpowiedział kupiec. — Moja kareta została w Warszawie, a tu mam tak ordynarny ekwipaż, że mi nie wypada popisywać się z nim.

Po tych słowach wyszedł za bramę dziedzińca piechotą, odprowadzony z honorami przez Mateusza.

We dworze zaczęto tańczyć kontredansa we trzydzieści par, co trwało do kolacyi. Po kolacyi zaś wzięto się znowu do polki, walca, mazura i tak bez końca. — Na wschodzie ukazał się blady świt, w chatach zapłonęły ogniska, na podwórkach zaskrzypiały żórawie studzien, w stodołach zatętniały cepy, a we dworze wciąż tańczono i tańczono.

Wraz ze wschodem zimowego słońca, Ślimak zarzucił na ramiona sukmanę i, szepcąc pacierz, powlókł się przez wrota. Czasem spoglądał na niebo i zapytywał je wzrokiem: jaka będzie pogoda? — to znowu zwracał ucho w stronę dworu, skąd dolatywały go szczekania psów i urywane dźwięki muzyki. Za tym odgłosem wszedł na drogę i machinalnie zmierzał w stronę pokrytej lodem rzeki, wciąż ustami szepcąc pacierz, a w głowie rozmyślając: jakto długo i wesoło bawi się państwo we dworze...

Patrzył na błękit niebieski, na śnieg zaróżowiony promieniami słońca, na obłoki, jakby skąpane w purpurze, wdychał powietrze

ranka i czuł, że tego nieba, śniegu i mrozu nie oddałby za najpiękniejszą muzykę i tańce.

— Jużby ja tam mojej biedy nie mieniał na wasze zabawy!... szepnął. — Zmęczą się, nie wyśpią, jak należy i tyle dobrego...

Znowu przypomniał sobie modlitwę, odegnał z serca światowe myśli i mruczał:

Drugi pacierz: Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Nagle za pagórkiem usłyszał rozmowę; posunął się w tamtą stronę kilka kroków i ujrzał dwóch ludzi w granatowych długich kożuchach. Jeden miał twarz starczą i ogoloną, drugi był barczysty i brodaty.

Oni także spostrzegli go i starszy zapytał:

— To wasze grunta, gospodarzu, z tą górą?

Ślimak przypatrywał się im zdumiony.

— Co wy się tak wypytujecie o moją chudobę?... odparł. Przecie wam już tego lata powiedziałem, że grunt mój i góra moja.

— Więc kiedy twoje, to nam sprzedaj — odezwał się brodaty.

— Zaczekaj, Fryc — przerwał mu stary.

— Ojciec zawsze lubi dużo gadać! — ofuknął brodacz.

— Zaczekaj, Fryc — ciągnął stary. Widzicie, gospodarzu, zwrócił się do chłopa — my dziś kupiliśmy od waszego pana ten majątek...

— No i poco to? — przerwał brodaty.

— Zaczekaj, Fryc. Ale widzicie, gospodarzu, nam potrzebna jest wasza góra, bo chcemy postawić wiatrak...

— Herr Jezus!... rzucił się brodaty. — Ojciec z niewyspania chyba rozum stracił!... Słuchaj — rzekł gniewnym tonem do chłopa — chcemy kupić twój grunt...

— Grunt? — powtórzył zdziwiony chłop, oglądając się za siebie. — Grunt?...

Chwilę wahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, wreszcie rzekł:

— A cóż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt?

— Mamy pieniądze — odparł brodacz.

— Pieniądze? Ja za pieniądze nie sprzedam. To przecie moja ziemia. Siedzieliśmy tu z dziada pradziada, jeszcze za czasów pańszczyzny i to się nazywała nasza zagroda. Później mój ojciec dostali ten grunt z ukazu, na własność i to jest opisane w komisyi. Potem za las ja dostałem trzy morgi także na własność i to także jest opisane w komisyi. Rządowy omentra ziemię tę zmierzył, na wszystkich papierach są podpisy i pieczęcie, jak się należy

zatem... Zatem — jakiem prawem wy chceta kupować mój grunt, kiedy on jest mój?... Mój własny, no?...

Przez cały ciąg tej długiej mowy, wypowiedzianej wzburzonym głosem, brodacz odwrócił się do chłopa bokiem i gwizdał przez zęby, a stary wyciągnął ręce i niecierpliwie niemi wstrząsał. Schwyciwszy nareszcie stosowną chwilę, zawołał:

— Ależ my chcemy tobie zapłacić!... Gotówką... Po sześćdziesiąt rubli za morgę...

— I za sto nie sprzedam — odparł Ślimak — bo nie macie na to nijakiego prawa.

— Ale możemy umówić się z dobrej woli.

Chłop pomyślał i nagle zaśmiał się.

— Takiście stary — rzekł — a jeszcze nie macie rozumu na to, że przecież ja z dobrej woli mojego gruntu nie sprzedam.

— Dlaczego?... — Za te pieniądze, które wam dajemy, moglibyście za Bugiem kupić całą włókę.

— Kiej tam tak tania ziemia, to czemu wy jej nie kupujecie, ino włazicie do naszej wsi?

— Cha, cha!... — roześmiał się brodacz.

— Chłop widzę niegłupi, kiedy ojcu mówi to samo, co ja zrana i wieczorem powtarzam.

— Zaczekaj, Fryc — rzekł stary, biorąc Ślimaka za rękę. — Gospodarzu — ciągnął, ściskając go — mówmy jak chrześcijanie, nie jak poganie. Tego samego Boga chwalimy, więc poco się kłócić? Ja, widzisz gospodarzu, mam syna, co się zna na młynarstwie — i — chciałbym mu postawić wiatrak na tej oto górze. Jak on będzie miał wiatrak, to on weźmie się do roboty, ożeni się, ustatkuje i ja będę na stare lata szczęśliwy. A tobie nic z tej góry.

— Ale to przecie moja góra, mój grunt — odparł chłop. — Idźcie do komisyi, a pokażą wam, jako to jest mój własny grunt i jako do niego nikt nie ma prawa.

— Prawa nie ma nikt — potwierdził stary — ale ja chcę kupić...

— No, to ja nie sprzedam.

— Stary człowiek skrzywił się, jakby mu się na płacz zbierało. Pociągnął chłopa kilkanaście kroków na gościniec i mówił głosem przyciszonym, drżącym ze wzruszenia:

— Czegoście się tak zawzięli na mnie, gospodarzu? Widzicie, moi synowie kłócą się ze sobą. Jeden lubi rolę, drugi młynarstwo. No, jabym chciał już młodszego ustalić, zbudować wiatrak, ożenić

i mieć blizko siebie. Niedługo mi już żyć na świecie, mam osiemdziesiąt lat, więc... Nie spierajcie się ze mną...

— Alboż wy nie możecie gdzieindziej kupić sobie ziemi? — spytał chłop.

— No, nie możem. My handlujemy całą gromadą, w kilkunastu... Dużoby o tem gadać... Ale mój młodszy syn Wilhelm, on nie rolnik... Jak nie będzie miał wiatraka, zmarnieje chłopak albo pójdzie w świat. A ja stary, ja go chcę mieć przy sobie... Więc sprzedaj nam swój grunt — mówił, ściskając go coraz mocniej za rękę. Zresztą słuchaj: — dodał ciszej — dam ci siedmdziesiąt pięć rubli za morgę... Wielki to pieniądz!... Bóg mi świadek, że daję ci więcej niż, warto... Prawda, że sprzedasz? Tyś przecie uczciwy człowiek, chrześcijanin...

Chłop ze zdziwieniem i litością patrzył na starca, któremu oczy nabiegły łzami.

— Musi, panie — rzekł Ślimak — wy macie kiepski rozum, kiedy mnie tak napastujecie. Bo ino pomyślcie, czy jest sens prosić człowieka, ażeby dał sobie uciąć rękę albo nawet poderznąć gardło? A cóżbym ja, chłop, robił bez ziemi?...

— Kupisz sobie inne grunta... Będziesz miał dwa razy tyle... Sam nawet wyszukam ci taką wieś...

Ślimak kiwał głową, wreszcie odparł:

— Mówicie do mnie, jak ten chłop do drzewiny, kiedy ją wykopuje w lesie, a chce zasadzić kole domu. „Chodź — on mówi — będziesz przy chałupie, będziesz między ludźmi“... No i głupia drzewina wychodzi z lasu, bo musi; ale nim ją w nowym gruncie osadzą — usycha. I wy chcecie, żebym ja tak zmarniał z żoną, z dziećmi i całym dobytkiem. Bo cóżbym począł w tym dniu, kiedybym mój grunt sprzedał?

Rozmowę przerwał brodaty, przemówiwszy do ojca po niemiecku, głosem podniesionym i stanowczym.

— Więc nie sprzedasz? — spytał starzec.

— Ni — odparł Ślimak.

— Po siedmdziesiąt pięć rubli za morgę?

— Ni.

— A ja ci mówię, że sprzedasz! — zawołał brodaty, gwałtownie chwytając ojca za rękę.

— Ni.

— Sprzedasz, gospodarzu — powtórzył stary.

— Ni.

— Poszli obaj przez most, krzykliwie rozprawiając po niemiecku. Chłop podparł ręką brodę i patrzył za nimi.

Z ESTETYKI MODERNISTÓW.

Zenon Przesmycki: Walka ze sztuką.

Schyłek wieku ubiegłego, nie ustępujący innym epokom lub może przewyższający je pod względem owej śmiesznej, dziecinnej zarozumiałości, był widownią zupełnego chaosu duchowego, rozbicia wszystkich pojęć na drzazgi empiryczne, osłabionej zdolności syntetycznego, celowego myślenia i działania, zamętu i anarchii, jakie świat rzadko snadź widywał. Nie dziw zatem, iż, przychodząc z uprzedzeniem gotowem o doskonałości i wielkości tak bardzo sławionego, a niestety nader nieokreślonego „postępu", i nie mogąc nadto wyjść poza mniejsze lub większe konglomeraty faktów i wznieść się do jakichkolwiek uogólnień, patentowani rachmistrze zasług XIX stulecia dali się oszołomić zgiełkiem szczegółów, ciżbą „wielkich zdobyczy" i nie zauważyli najcharakterystyczniejszej wieku tego cechy: stałego, co raz gwałtowniejszego opadu ducha, rosnącej nieustannie i pod koniec wprost już zastraszająco nienawiści do wszystkich rzeczy wiekuistych, nie mieszczących się w granicach zmysłowego, ziemskiego poznania i życia.

Kiedyś wielka jakaś rewizya przeszłości — bo przyszłość to „korektorka wieczna" (Norwid) — zmodyfikuje też zasadniczo wnioski ostateczne tych panegirystów i wiek, dla którego niektórzy proponują dziś miano „wielkiego", nazwie wiekiem zrzeczenia się ludzkiej godności. Naszem w tej chwili przedsięwzięciem będzie jedynie zastanowienie się nad jednym z najbardziej znaczących objawów tej nienawiści, jakim jest ciągła i coraz gwałtowniejsza walka ze sztuką.

Napaści coraz zażartsze i zmieniające się w końcu w prawdziwą nagonkę na każdy szczery, prawdziwy objaw sztuki, walki ze wszystkiemi próbami szukania nowych dróg twórczych, obnoszenie na tarczach wszelkich płytkich tryumfatorów i wdzięczących się do tłumu służalców, zobelżenie lub grzebanie w głębokiem milczeniu największych, najgłębszych twórców, wojowanie ze stworzonemi ad hoc na postrach tłumów widziadłami, z próżnemi treści etykie-

tami i nic nie mówiącemi etykietami zbiorowemi, wreszcie objawy wyraźnej nienawiści, wybijającej z błogiego snu zwierzęcego, nienawiść do wszelkiej głębi, do wszelkiej duchowości, do wszelkiego zapału czy wzlotu, — oto co charakteryzuje całą, przeszło pół wieku zajmującą, dobę romantyczną i różni ją od epok poprzedzających.

Ciągłość napaści tych wskazuje na istnienie wzmagającej się nieustannie, w każdym zakresie, pod każdą postacią, na całej linii walki ze sztuką samą, z jej źródłami i z jej najwyższą zasadą. Schyłek wieku ujrzał pogromców czy to śmielszej czy to świadomszej siebie natury, którzy zrzucają maskę, otwarcie już i bez jakichbądź obsłonek zaprzeczyli sztuce wszelkich praw do królewskiego stanowiska pani dusz, wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej, pośredniczki między indywidualnością i absolutem, uczynili ją „funkcyą społeczną", zostawili jej rolę rozrywki, uprzyjemniającej życie lub wózka dla tendencyi jedynie i wyraźnie stwierdzili — gdyby nad to podrzędne stanowisko wznieść się pragnęła i śmiała — swą nieprzejednaną dla niej nienawiść.

„Nie rozumiem, jakim sposobem można byt narodu zrobić zależnym od sztuki, która jest tylko jego ozdobą? To raczej sztuka zależy od narodu, od jego skromnych pracowników. Bo co poczęliby wszechwładni poeci, malarze, fortepianiści, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczył im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier — pieniędzy i t. d.".

Inny autor mówi o Słowackim, że „gdy na orlich skrzydłach wzniósł się i wkroczył do Dichters Lande... w osłupieniu niemal przypatrujemy się nadczłowieczym wzlotom, kręgom i zatokom autora Genezis z Ducha... atoli iść za nim nie możemy... prowadzi nas bowiem w zaświaty, na wyżyny tak zawrotne, że wolimy pozostać na padole". (T. T. Jeż) Inny znów ostrzega, że „pogoń za pięknością, to najpewniejsza droga do pozy teatralnej i blichtru scenicznego". (St. Szczepanowski) Inny jeszcze robi zarzut, że „poezya zajmowała w naszem życiu umysłowem zawsze za dużo miejsca (J. Ochorowicz). Reasumują rzecz wyraźne już zupełnie i godne upamiętnienia „Medytacye": „Co myśleć o społeczeństwie, w którem poezya zasłania wszystkie inne sfery uczucia i życia, a laury oplątają nogi aktorom?" — „Rasy — do których należy przyszłość, szukają idei pożytecznych; zużyci i dogorywujący wzdychają do czystego piękna". (B. Prus).

Te otwarcie już wrogie wystąpienia przeciwko samej istocie sztuki, to uświadomienie się nurtującej dawno już w tłumach ta-

jemnej nienawiści do ostatniej dusz pani, jest przełomem stanowczym i czyni z prostego terminu astronomicznego, jakim jest koniec stulecia, ideowy punkt zwrotny i jakgdyby słup graniczny między dwiema ducha epokami.

Widownią walki ze sztuką były początkowo tylko łamy dzienników. Tam ograniczała się ona do inwektyw i napaści przeważnie gołosłownych i dlatego mniej jeszcze szkodliwych. Gdy publiczność została już należycie „wychowana", dziennikarze, nie zadawalając się już sporadycznemi wzmiankami i wycieczkami w doraźnych artykulikach, jęli systematyzować swe teorye i postulaty i pociągnęli za sobą gromady dotkniętych „chorobą pisania". I posypały się całe masy broszur, książek, studyów o sztuce i literaturze, pisanych bez najmniejszego przygotowania i znajomości rzeczy, rabujących wprost lub pośrednio dzieła, które jednocześnie lżono lub ośmieszano, robiących zarzuty, które tylko wobec ogólnej bezmyślności na seryo mogły być brane, stawiających wreszcie teorye i wnioski, świadczące o braku jakiegobądź przetrawienia nawet tego, co się miało pod ręką i o zdumiewającej wprost niezdolności porządnego myślenia.

Nie wojowanie czcze, ani nawracanie tych, co z prądem już poszli, celem jest naszych refleksyi.

Chodzi nam tylko o tych nielicznych, którzy, mając w rzeczach sztuki pośledniejsze aspiracye, nie mogą jednak sami dać sobie rady wśród chaosu pseudo — poważnych, stawianych nowym kierunkom zarzutów (niezdrowia, zmysłowości, kosmopolityzmu) pessymizmu, egotyzmu, niezrozumiałości, mistycyzmu, dekadentyzmu), oraz płytko bez zrozumienia lub ze złą wolą używanych terminów i definicyi (symbolu, sztuki, piękna, geniuszu, treści i formy, sztuki dla sztuki i t. p.), i błąkają się rozpaczliwie w tym lesie, nie znajdując żadnej ku wyjściu wiodącej drożyny. Chodzi nam przedewszystkiem o nowe, wchodzące w życie generacye twórcze, które przez chaotyczną tego wszystkiego gęstwinę przedzierać się muszą. Dziś, jak nigdy, „ludzie młodych myśli dziwnie się wahają" (Kochanowski), dziś, jak nigdy, „es ist dafür gesorgt, dass die Bäume nicht in den Himmel wachsen" (Goethe). Gwoli tym szukającym, gwoli tym młodym, chcemy rozpatrzyć kolejno zarzuty i określenia, co równoznacznem będzie z próbą roztrząśnięcia na nowo zasadniczych zagadnień estetyki, sztuki i twórczości. Nauczać nie chcemy nikogo; pragniemy jedynie, aby roztrząsania nasze obudziły lub podnieciły zdolność głębszego, sięgającego aż ku dnom

rzeczy zastanawiania się. Wiedzę, świadomość każdy czerpać musi z siebie, nie z innych, atoli drogę dobrym wysiłkom przez usunięcie namułów frazesowych skutecznie utorować można, i to — po niniejszem wstępnem stwierdzeniu ogólnego stanu atmosfery duchowej — naszem będzie zadaniem. —

Tredecim: Walka o snobów.

Gdy świeży powiew europejskiej myśli minie rogatki warszawskie i uzbroi polemistów i dziennikarzy, wszczyna się gwarna i hałaśliwa bitwa przed forum znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, napół sennych poczciwców. Z szańców nowych idei eksplodowały niegdyś, jak bomby, nazwiska Spenzera, Comte'a, Buckle'a, Malthusa, Darwina i Haeckla; hufcem następowały dewotki; a z okopów św. Trójcy grzmiały ciężkie działa obywatelskości, społecznego zdrowia i wszelakich cnót i obowiązków. Coram indolentia publica toczyła się dowcipna walka o ideały, ścierali się styliści, parując nawzajem plotkę, fałsz i oszczerstwo. Zwycięzcy, (oba obozy zwyciężają w takich razach równocześnie) zwycięzcy, składają broń wtedy dopiero, gdy zatrute strzały dziennikarskie obezwładnią lub zniechęcą tych, co w gwar bitwy nieśli z dobrą wiarą rzetelną wiedzę i prawdziwy talent. Filozofia, nauki społeczne a przedewszystkiem wiedza przyrodnicza, wywiązawszy się znakomicie z roli publicystycznej tarczy i oręża, zakończyłyby pełny chwały żywot swój u nas, gdyby nie rozpaczliwe wysiłki garstki nieznanych ogółowi specyalistów, którzy poprzez hałaśliwą, lecz jałową epokę walki sięgnęli wstecz i próbowali nawiązać zerwane w początkach wieku nici. Bo w gwarze walki zapomniano bodaj i o tem, że przed tak niedawnemi stosunkowo czasy żyliśmy, jak każdy naród oświecony, nauką i sztuką równocześnie. Dziś wydaje się ludziom, że mała garstka tych, co swe życie sztuce poświęcili, — zgnębić pragnie naukę! — Publiczność, rozochocona widowiskiem walki, nudzi się w czasach spokoju, wyrzeka na oportunizm zapaśników, na brak zapalnych podniet czyli wielkich haseł, na bankructwo ideałów i nauki; pragnie polemiki bodajby kosztem myśli, łaknie dziennikarskich circenses, grożąc w przeciwnym razie gnuśnem i tępem zobojętnieniem na wszelkie objawy duchowego życia.

To „zdziennikarzenie" społeczeństwa pragnie z kolei wprowadzić i nas na arenę. Już się snoby po amfiteatrach roją,

już sobie obiecują widowisko, już gotowi klaskać, gwizdać, szczuć jednych przeciwko drugim.

Tym razem zawiodą się gorzko. Stokroć ważniejszą, niźli wszelkie polemiki, wydaje się nam konieczność rozjaśnienia atmosfery wokół siebie, rozejrzenia się wśród naszych przyjaciół, oraz tych, co za nich uchodzić pragną.

Po smutnym typie struggle-lifera, któremu było wygodnie z teoryą walki o byt, z Darwinem i Malthusem, z patronem hasła „pracy u podstaw", — zjawił się oto typ nowy.

Artysta symulant, ten obrotny rzemieślnik, żądny popularności, a chciwy użycia, to najweselsze dziecko owej sztuki, dla której geniuszem jest lekkonogi Hermes, muzą — Venus vulgivaga, wyrocznią — dzień dzisiejszy. Kto nie zna tych zwinnych, skrzętnych, na wszystkie strony zezujących i wszędzie szukających sympatyi — artystów? Nadewszystko skrzętnych? Kto nie zna tych, co mają przyjaciół przy każdej rogatce, protektorów w każdej sferze towarzyskiej, w każdem piśmie swych życzliwych, swoje Warszawianki w każdym salonie? Panowie ci bywają zawsze kwintesencyą czasu, o ile atmosferę jego wchłonąć można na ulicy i w salonach; są ekstraktem nowych prądów, o ile wwionie je do uszu gazeta lub moda. Są tak doskonale „w stylu...", tak znakomicie „ a la...", że służą recenzentom za freblowskie wprost pokazy w ich prelekcyach o sztuce. Dzieją się to dla bardzo zrozumiałego powodu; szerokie koła wolą od nowej myśli i indywidualnych usiłowań, zmuszających bądź co bądź do zastanowienia, — ich karykaturę, dającą miłe poczucie wyższości i pozwalającą przy tanim nakładzie wiedzy i inteligencyi odnosić łatwe zwycięstwa lub, co dziwniejsza, z tąż karykaturą, jako z rzeczą bądź co bądź przystępniejszą, zawierać ugodowe pakty. Przypuszczalny chorąży „nowego kierunku" pokonywa tymczasem snobów, którzy codziennymi pogromami wszak żyją i żyć pragną i z tą armią ciągnie na sceptyków, którzy, jako nieobecni, mogą być uważani za pokonanych. Wreszcie czeka go główna batalia z filistrem. Czyjś indywidualny motyw, przetransponowany na jaskrawy i kompromisowy efekt, stacza walkę z całkowitą indolencyą; zwycięża oczywiście efekt. — I tak oto po bezkrwawej wojnie tryumfuje — „kierunek!" — Oczywiście kierunek! — Artysta symulant zawsze walczy w imię nowego kierunku, w imię stylu..., na chwałę „a la...", ponieważ on sam nic nie przedstawia, ponieważ w so-

bie nie ma nie tylko nic takiego, coby zwyciężać potrzebowało i mogło, lecz nawet nic, z czemby walczyć było można. Takimi są popularni chorążowie secesyi i modernizmu, równie secesyjni, jak dekoracye modnych kawiarni, równie modernistyczni, jak okładki nowych książek firm wydawniczych, równie przystępni, jak wszystkie płaskości repertuaru nadsceny, równie popularni, jak proklamowana i w zaczątkach już będąca Localkunst, równie niezmordowani, jak p. p. Biernbaum, Wolzogen i inni „pstrych teatrów inicyatorzy".

„Trzeba z żywymi naprzód iść!" — słychać wokół artysty symulanta. Złośliwe echo powtarza niesmacznym akcentem przezorne: „Naprzód z młodymi trzeba iść!"

Gdy ze wszystkich barwnych kwiatów puszek efektu został zebrany, nektar popularnych senzacyi doszczętnie wypity, nawraca się: artysta w wehikule, który go niósł, niema już nic do roboty. Z rozmachem życiowca skacze wprost w przeciwną stronę, wskutek czego, siłą bezwładu, runąć musi nieraz na ziemię. Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, prawdopodobnie dlatego, że ustawicznie uganiając się za cudzymi cieniami, nakrył wreszcie swój własny.

Jest i drugi typ artysty symulanta, daleki od bezpośrednich widoków praktycznych, a więc znacznie sympatyczniejszy; — człowiek temperamentu i życiowej energii. Wywiązuje się bardzo poprawnie ze swych robótek, jest przytem pełen zapału i ognia w sprawach tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki, podnosi tyle wrzawy, gwaru i kurzu wokół siebie, że gotów sprawić wrażenie człowieka, który rozpaczliwie czegoś szuka. Dziś go porywa sztuka da Vinciego, jutro zwycięża potęga Michała Anioła; zrana jest spokojnym, jasnym i krzepkim grekiem, po obiedzie przeczulonym i łagodnie zmysłowym prerafaelitą, po kolacyi błąka się mu po głowie Fragonard, po winie Rops, po likierach Przybyszewski, a po tak spędzonym wieczorze wśród bezsennej nocy trapią go wizye Goyi. Ale to wszystko niema nic wspólnego z jego pracą, — temperament artysty wyładował się doszczętnie w słowach, sprzeczkach, projektach i krytykach: dzieła zostają po staremu bardzo poprawną, bezosobową robotą, bez śladu dążeń w jakimbądź kierunku, bez najlżejszych prób pogłębienia swej pracy uczuciem i siłą. Da Vinci z Fragonardem, Michał Anioł z Ropsem, prerafaelici z Goyą, Helleni z Przybyszewskim poszli spać; indywidualność, o której

się z takim łoskotem rozprawiało, wytarła się w słowach, postrzępiła w sprzeczkach, rozwiała w krytykach; do pracy nie starczyło jej wcale.

Jest wreszcie cała falanga symulujących po salonach, rautach i buduarach już nie artyzm, ale zamiłowanie do niego, ta pospolita rzesza estetyków symulantów, głęboko przekonanych, że mury te szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym, wykwintnym na zewnątrz.

Tych zwolenników odstąpić gotowiśmy każdemu, co się po nich jawnie i bez wstydu zgłosi. Będziemy najszczęśliwsi, kiedy nastaną dla nich mody i czasy na inne nowinki. Tem łatwiej porozumiemy się z tymi, do których jedynie zwracać się pragniemy.

Tak więc, przyjaciele moi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte, jak secesya i modernizm.

Połączyć nas może tylko sztuka, — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i haseł, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, sztuka, poczynająca się nie z prądów dnia dzisiejszego, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgająca w głąb jej duszy po indywidualne źródła poezyi i artyzmu, sztuka, dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadającą się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i oceniać wzajemnie. A na to nie trzeba koniecznie za ręce się trzymać, niekoniecznie trzeba się skupiać w jednym salonie czy w jednem czasopiśmie. Poprzez dalekie kraje i obce mowy, poprzez drobiazg osobistych niechęci, wbrew drażnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym, tacy ludzie poznają się i oceniają wzajemnie. Lecz jeśli gdzieś w głuchym zakątku zapragnie mała garstka swe najskromniejsze bodajby, lecz rzetelnie pojęte umiłowanie zanieść pod ten wieczny znicz sztuki, jeśli na samym początku, przy pierwszych krokach spotka się z gniewnym pomrukiem sąsiadów lub arcywymownem ich milczeniem, jeśli z pomruków tych czy niemoty wyłaniać się poczną po kątach ciche zaklęcia, że zniszczy się te usiłowania, jeśli się sąsiedzi gdzieś po kątach zaroją, denuncyując sobie wzajemnie na ucho, że to są ci, co wnoszą rozkład obyczajowy w smutek naszego życia, wówczas ta garstka podać sobie musi na chwilę ręce, lecz na to tylko, by w gnuś-

nej atmosferze czcigodnej obłudy i szlachetnego fałszu wywalczyć prawa jednostce, jednostce twórczej.

Nicht zum Guten, nicht vom Bösen
Wollen wir die Welt erlösen,
Nur zum Willen, der da schafft —
Dichterkraft ist Gotteskraft!

Poza tem życie bądź co bądź płynie i u nas szerokiem korytem, niosąc i inne zagadnienia, na które każdy z osobna rozmaicie zapatrywać się może. Lecz wszystkich tych, którzy w rzeczach twórczości cośkolwiek mają wspólnego, łączy wiara, że na owym zniczu sztuki płoną trwalsze od miejsca, czasu i sąsiedzkich zapatrywań, niezależne, najistotniejsze i wieczne pierwiastki życia.

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER (1863 [1]).

MUSZLA.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak mało;
nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.
Odkąd siebie i muszlę tę pamiętam starą
i dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
owiane jakąś mętną, głęboką mgłą szarą,
stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.
Ale najlepiej lubię, przymknąwszy powieki,
przyłożyć ją do ucha i słuchać, jak szumi:
wtenczas całą mą duszę zwracam w świat daleki,
w toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.

---

[1]) Po literackich próbach: *Illa* (1886) i *Allegorya* wydał kilka seryi lirycznych utworów. Najbardziej charakterystyczne wiersze z pierwszego okresu są: *Credo, Nie wierzę w nic, Prometeusz, Niewierny, Drwię, Koniec wieku, Hymn do Nirwany, Duch, Preludya, Hymn do miłości.* W drugim okresie tatrzańskie sonety i poematy: *W Białem, W lesie, Przy Morskiem Oku, Melodya mgieł nocnych, Janosik*; poematy: *Dzwony, Anioł Pański, Qui amant, Albatros.*

Napisał cykl ludowych nowelek p. t. *Na skalnem Podhalu*; szereg nowel i powieści spółczesnych, jak: *Ksiądz Piotr, Anioł śmierci, Zatracenie*; dramaty: *Sfinks* i *Zawisza Czarny.*

Przypominają mi się pola i ogrody,
dom pośród ciemnych świerków i różanych krzewów,
pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
jasność kamyków na dnie albo męt wylewów.
Przypominają mi się tajemnicze mroki
wśród szpalerów wieczorem, gdym pełen obawy
szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki
ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.
Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany
i groza, kiedy wichry, rozpuściwszy grzywy,
wiozły z nich chmury gradu lub śniegu tumany.
Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie.
Przypominają mi się te białe okręty,
płynące z wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
błękitna, straszna cisza albo burzą wzdęty
ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.

. . . . . .

. . . . . .

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie śni?
zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;
człowiek się ze snu budzi, tem lepiej, im wcześniej
i taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.
Dusza jego na pozór zostaje jednaka,
jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
tylko będzie, jak skrzydło postrzelone ptaka:
wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.
Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
a jeśli był to żóraw, przeraża go morze;
lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
i długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...
Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
i gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.
Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dziewiczych,
w jakichś górach przepastnych, w jakichś pieczar sklepach,

po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.
Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce —
po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nizko,
odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
obejmują milczących pustek uroczysko.
Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
w wilgotnych, szarych mgławic falującym dymie,
jakby martwe, zamarłej przygląda się ziemi.
Tam nic niema... pustynia, stepy, góry, morze.
i duszy mojej smętnej, zadumana mara;
patrzę wkoło i nieraz sam w sobie się trwożę —
gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla stara.
Jest-li to ten świat dawny, który przed milionem
wieków ona pamięta? Są to urojenia
obłąkanej fantazyi, co w oku szalonem
ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...
Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
tam dusza moja siada na omglonym głazie
i gdy się cała w sobie skupi i zasklepi:
tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.
Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep błękitu.
Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza,
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.
Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj daleki;
szumi mi, jak me serce; — gdy doń przytknę ucho,
słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki!...

Nie wierzę w nic.

Nie wierzę w nic, nie pragnę niczego na świecie,
Wstręt mam do wszystkich czynów, drwię z wszelkich zapałów.
Posągi moich marzeń strącam z piedestałów

I zdruzgotane rzucam w niepamięci śmiecie.
I jedna mi już tylko wiara pozostała:
Że konieczność jest wszystkiem, wola ludzka niczem.
I jedno mi już tylko zostało pragnienie:
Nirwany, w której istność pogrąża się cała
W bezwładności, w omdleniu sennem, tajemniczem
I, nie czując, przechodzi zwolna w nieistnienie.

Albatros.

Cisza na oceanie, ni drgnie jedna fala,
Ciemno — modra płaszczyzna nieruchoma leży;
Na fali, skąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
Siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.
Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
Marzy... ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
Na ciemno — modrej wodzie bieli się wśród słońca.
Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
W bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny,
Zda się, w kryształ promienny ściął się krąg słoneczny
I wielkie skryształiło się nieba sklepienie.
Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
Nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna
Leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni... sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.
Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się podniesie,
Wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
Rzuci się w pierś orkanom, huczącym straszliwie
I ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.
A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
Usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne
I patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
Słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

Molodye mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie.
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,

Co nam ciało przeźrocze tęczą blasków nasyca
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze
I limb szumy powiewne i w smrekowym szmer borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne w głąb zlatujmy błękitną,
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona.
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą;
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same i w nikłe oplatajmy go sieci;
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Zaczarowany las.

Zaczarowany las: — pomiędzy drzewa
Elf biały mignie i w cień się rozwiewa,
Oczy potworów z zielonej głębiny,
Jak karbunkuły, świecą i rubiny.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
W gąszczu pełzają olbrzymie połozy
I szklistą skórą pod słońce migocą;
Błękitne węże na srebrzyste brzozy
Skrętem się wiją i wzrokiem się złocą,
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów
Ogień śmiertelnie silnych aromatów,
Z zabójczą mocą odurzają głowę
Potworne kwiaty sine i pąsowe.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
Tam dusza moja przed swych oczu męką
Szalona smutkiem z wiru życia bieży

I, konwulsyjnie wzrok zakrywszy ręką,
W gorączce, w wizyach, w półobiędzie leży,
Aż z rozbujałych obudzi ją drzew
Ten dziwny, ostry, jak krzyk orli, śpiew...

Fragment z wiersza dla mego synka.

Synku mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił —
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wieczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem.
Ułański mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi
i kitę czaka wiją?
Kto wie?... Może...
poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułańska
poleci po szwadronie...
„Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stal!
Koń rwie ziemię, nie chce dostać,
pójdziesz, koniu, pójdziesz w dal!...“ *).
Gdy cię wychowam na ułana
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba zmarnowana,
a wiedz, że my dwa razy
za nasze obcobrzmiące imię
kochać kraj musim więcej —
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!
I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem:
że każdy wraz się tutaj się rodzi
człowiekiem i Polakiem

*) Z pieśni Józefa Przerwy-Tetmajera, śpiewanej w kawaleryi.

i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostolskiej:
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

JAN KASPROWICZ (1860[1]).

Cztery sonety.

I.

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy czarnych złomów ciska.
U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia ślizka,
Kosodrzewiny wężowiska
Poobszywały głaźne ławy...
Samotny, senny, zadumany
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

---

[1]) Studya w uniwersytetach niemieckich. Osiadł we Lwowie zrazu jako publicysta, następnie jako profesor literatury powszechnej w uniwersytecie.

Zaczął od tendencyjnych poematów z życia ludowego: *Jewka Orliczka. Dwaj bracia rodzeni, Rumianek, Na służbie, Salusia Orczykówna, Chłopska dola, Na rozdrożu, W karczmisku, Król Lear z Biedaczewa, Jan Rudawski, Maciej Kosarczyk, Hanka Olpińska, Marcin Szafran.* Tym samym duchem ożywione sonety: *Z chałupy.* Na tle biblijnem śród innych powstał poemat *Chrystus.* Od cyklu p. t. *Anima lachrimans* przeszedł do liryki filozoficzno-religijnej. Na przełomie stanął poemat p. t. *Miłość.* Nastąpiły hymny: *Święty Boże, Święty mocny, Dies irae, Salome, Marya Egipcyanka, Judasz, Moja wieczorna modlitwa, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Salve Regina,* objęte jednym tytułem: *Ginącemu światu,* a związane, jakgdyby synteza z analizą, z dziełem *O bohaterskim koniu i walącym się domu.*

Kasprowicz napisał też dramat historyczny *Kostka Napierski,* dramaty symboliczne *Na wzgórzu śmierci* i *Uczta Herodyady* i przełożył z różnych języków wiele arcydzieł na język polski.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

II.

Słońce w niebieskim lśni krysztale,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W blado-błękitne, wiewne fale.
Szumna siklawa mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity,
Jakby wzdychania, jakby żale...
W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum — krzak dzikiej róży...
Do ścian się tuli, jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę, zwaloną tchnieniem burzy.

III.

Lęki... wzdychania... rozżalenia,
Przenikające bezświadomy
Bezmiar powietrza!... Hen, na złomy,
Na blaski turnic, na ich cienia
Stado się kozić rozprzestrzenia;
Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy;
Świstak gdzieś świszcze z pod kamienia.
A między zielska i wykroty,
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.
Przy nim ofiara, ach, zamieci,
Czerwonem próchnem limba świeci,
Na wznak rzucona świstem burzy...

IV.

O, rozżalenia! O, wzdychania!
O, tajemnicze dziwne lęki!...

Ziół zapachniały świeże pęki
Od niw liptowskich, od Krywania.
W dali echowe słychać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki
Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgotną biel osłania.
W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy
Błyszczy na kwieciu dzikiej róży.
A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwalona wiewem burzy.

Lirnik mazowiecki.

(Cieniom Lenartowicza).

W rokicinie bąk zabębnił, kos zagwizdał w lesie,
Kukułeczka zakukała do rumianej zorzy,
Huk wywilgi cichy wietrzyk po wierzchołkach niesie,
W niebo leci skowroneczek, ranny śpiewak Boży...
Wzleci w niebo, szare skrzydła wykąpie w błękicie
I tak słodko się odezwie z dźwięczącej gardzieli,
Aż przepiórka mu odpowie, ukryta gdzieś w życie.
Aż zielony łan, jak długi, w głos się rozweseli.
Aż z tej rzeki, co po piaskach modre toczy koła,
Srebrne rybki wychyliły z ciekawości głowy,
Jedna drugą, popluskując, do gromady woła
Na to granie zbóż i ptaków, na hejnał majowy,
Na ten poszum zbóż i plonów, na szelest jaworu,
Szmer topoli, pomruk dębów, zbrojnych w setne lata,
Na kalinę pokraśniałą, szepczącą wśród boru
I na gwar ten, którym gwarzy wierzba rosochata.
Płynie, sunie pieśń po rosie, błyszczącej na trawach,
To na kwiatach chwilę spocznie, o gałąź zaczepi,
Po strumieniu się przewije, to się nurza w stawach,
To wystrzeli, niby promień, gdzie się niebo sklepi.
Płynie, sunie pieśń po rosie — wprasza się wierzbina:
Hej, pastuszku, ani nie wiesz, jakie tajemnice
W tej gałązce, co ku tobie sama się przegina;
Wyliń, wyliń z niej fujarkę, niechże się poszczycę!

Li, li, li, li, piszczałeczko!.... Płynie pieśń po rosie :
Pani pana w cichym grobie schowała w ogrodzie,
Śpiewa ruta, nuci lilia : Co tu nie stało się!
Z wierzchu zioła dookoła, a trupik na spodzie.
Nie tak smutno, piszczałeczko!.... Głos po rosie leci :
Jakże ja się nie mam smucić, kiedy wszędy zdrada ;
Ponad brewką starszej siostry krwawa plama świeci,
Młodsza w dole, a zaś starsza do wesela siada :
Li, li, li, li, piszczałeczko!.... A dalejże, dalej!
Kiedy nie chcesz już inaczej, niechże głos twój płynie
Po tej rosie, po tym boru, po tej mokrej fali,
Po pagórkach mchem porosłych i po tej dolinie.
Płynie, sunie pieśń po lesie, dziewczę rwie jagódki,
Staje, słucha, dzbanek puści, zdziwiona zapyta :
Co tak prawisz, ciemny gaju, gaju zieloniutki?
Co tak szepcesz, gałązeczko, powojem owita?
Płynie, sunie pieśń po rosie. — Zanim gaj odrzecze,
Nim gałązka olszynowa coś z siebie wyjawi,
Z ust Jagusi, sama nie wie, jak nuta pociecze
O tej doli i niedoli, która serce krwawi!
O sierotce, co z tęsknicy w ziemi zmarł dalekiej,
Bo choć mleka miał do syta i białego chleba,
Nie miał jednak tej dąbrowy i ojczystej rzeki,
Nie miał jednak polskiej ziemi i polskiego nieba.
Płynie, sunie pieśń po rosie, dziw, że nie omami!
Ba, omami, jak ten ognik w moczarowej łozie....
Od sieb' wołki! Ano k'sobie! Chłop ja nad chłopami,
Stodołeczka świeżo kryta, dwa konie przy wozie!
Jeden konik skarogniady, drugi jabłkowity,
Jutro odpust w mieście święty, pojadę z żonulą,
Wszak ma kabat granatowy, we Warszawie szyty
I korale, aż się oczy od czerwieni tulą.
Niema ci to, niech gadają, co chcą — nad stan kmiecy!
Człek haruje, gnie się nieraz, aż mu pot się leje,
A jak ino utną skrzypce, sprostują się plecy,
A po rosie skoczna nuta popłynie, powieje.....
Hej, powieje! Hej, popłynie! Grajcie, miły Janku,
A ty smykiem tak od serca pociągnij po basie!
Przytupujże!.... Jeszcze piwa nie zabrakło w dzbanku ;
W niebie grają Jezusowi, gdy owieczki pasie....

Rzecz wiadoma! Toć niedawno z dalekiej podróży,
Powróciła dusza Baśki, a ta prawi wszędy,
Że tam w górze, tak jak u nas, gdzie człek na chleb służy,
I zagony pługiem orzą, rydlem kopią grzędy.....
Ino kłosy ma złociste pszeniczka niebieska
I złociste, niby słońce, jabłka na jabłoni!
Raju, raju! Święty kraju, gdzie nie płynie łezka,
A jak płynie, to z żałości, że człek za złem goni...
Goni, goni! A nie widzi, że to złe, niewiara,
Tak od razu do otchłani piekielnych go stoczy —
A i w piekle — byłać Baśka, ona kuma stara,
Madejowe nawet łoże widziała na oczy...
Graj-że, grajku, straszno myśleć!... Urznij tak od ucha,
Cała wieś się, patrzaj, zbiega, walne będą tany,
Bieda z nędzą takiej nuty pewnie nie wysłucha —
Już ucieka, zakasawszy poły od sukmany...
A niechże ją! Toć jej Maciek aż zanadto dożył;
Grad mu wytłukł wszystko w polu, piorun wziął stodołę,
Chałupa się rozwaliła, żonę w grób położył,
A dzieciaki bez koszulska, jak ten piasek, gołe.
Siła złego na jednego!... Maćku, dalej w pląsy!
Jeszcze Polska nie zginęła, chociaż złe się szerzy,
Jeszcze sobie tak do góry podkręcimy wąsy,
I ty, bracie, do moskiewskich nie pójdziesz żołnierzy!
Będzie lepiej, bo czyż w nas to gęsie serce drzymie?
Chłopska dusza ma być niby, jako pisklę w koszu?
Sam Naczelnik — niech na wieki słynie jego imię —
O kim mówił, że jest szlachcic? — o naszym Bartoszu!...
My szlachcice, orzem pługiem, bronujemy broną,
W pocie czoła do wielkiego sposobim się dzieła,
Odbudujem własnym trudem Polskę utraconą
I hukniemy na świat cały: Jeszcze nie zginęła!...
I huknęli, a głos leciał łanami, lasami,
Od wsi do wsi szedł po rosie ten okrzyk radosny,
Aż się w niebie zaśmiał lirnik, co pieśń nad pieśniami
Na gęśliczce wygrał prostej z mazowieckiej sosny.

O bohaterskim koniu i walącym się domu.

Główki dziecięce.

Wiszą u mnie na ścianie dwie główki dziecięce o wyrazistem, smutnem spojrzeniu.

Niema godziny, abyśmy z sobą milczącej nie prowadzili rozmowy.

Przekomarzamy się o drobnostki, o winogrona, o wstążkę, o to, czy małym dziewczątkom należy obcinać włosy, aby lepiej rosły, czy też odrazu zaplatać je w warkocze, o plamę na sukience, o potrzebę wdziewania kaloszy na błoto, i co lepsze: tort, czy ciastko francuskie.

Główki malowane gris á gris, nabierają wówczas kolorów, dyskutują corazto żywiej i zniecierpliwione protestem, jakoby czekoladka i krem były zarówno „najlepsze", twierdzą z wesołym uśmiechem w smutnych zazwyczaj oczach, że łatwo dam się przekonać, jeśli w niedzielę urządzę im „bal" z koleżankami.

Zaś w innych sprawach, gdy idzie o teatr lub koncert albo o wycieczki w góry — koniecznie po klamrach i łańcuchach, zaczynają się gniewać i, podniósłszy palec do ust, grożą zupełnie na seryo.

— Niech tylko wyjdziemy za mąż, to nam już nikt tego nie zabroni!

Czasem jednak zapominam o moich główkach dziecięcych — zwłaszcza o zmroku — jak wczoraj:

Deszcz jesienny uderza mi leniwie w szyby, wicher zgina niemal do ziemi ostatnią akacyę, otoczoną wałem cegieł na majacą się budować w roku przyszłym kamienicę, która do reszty zasłoni mi wzgórze z topolami i to ostatnie usunie drzewo.

Monotonny skrzyp poblizkiego tramwaju przenosi mnie wskutek przypadkowego skojarzenia myśli na Plac wenecki w Rzymie albo ku zapadłej osteryi w pobliżu Torri dei Schiavoni, gdzie karabinierzy grali w karty, opatrzone wizerunkiem Michała Anioła i Rafaela, a biedna, obdarta dziewczyna śpiewała za kilka soldów tęskne, na pastwiskach Kampanii pozbierane melodye; albo pod szarą, odwieczną piramidę, tulącą grób wielkiego poety, który dzięki kilku zasuszonym listkom bluszczu staje znowu przede mną; albo ku „Place de la Nation" z dumnym „Tryumfem Rzeczypospolitej"; albo na „Friedrichsstrasse" czy „Unter den Linden" z błyszczącymi złowróżbnie pikielhaubami.

Jak na niespodziewane hasło zaklętych organów, zaczyna się w pokoju mym roić od umarłych dawno postaci.

Chwiejący się na zmęczonych nogach upiór bierze obie me ręce, wlepia we mnie zblakły, mglisty, w łzach płukany wzrok i mówi:

— Ciężkie miałem konanie, bom chciał cię raz jeszcze zobaczyć, a losy nie pozwoliły; przychodzę dzisiaj, by cię przywitać i pożegnać.

Nie zdołał jeszcze rozpłynąć się w wilgotnych mżach wieczornych, a już inne widmo skrada się za mojemi ramiony, głucho śmiertelną szeleści koszulą i, pozostawiwszy na podłodze kilka zbutwiałych jej strzępów, całuje mnie w usta i mówi:

— Nazwałeś mnie kiedyś kochaną, a potem odszedłeś; przybywam, by ci przypomnieć tę chwilę zdeptanej miłości...

Odarta z kory, napół przegniła wierzba, rosnąca na skraju piaszczystej wydmy w stronie dalekiej, dalekiej, przystaje pod mem oknem, puka w nie zmartwiałymi palcami i rozwartą szeroko źrenicą zajrzawszy do wnętrza mej izby, wlecze się z powrotem, obłupana z kory i na pół przegniła, na kraj swej wydmy piaszczystej w dalekiej, dalekiej stronie...

O, bądźcie litościwsi dla mnie!

O, wietrze jesienny, przestań płakać!

Skończ się, ty jednostajny, leniwy deszczu!

Nie pierwszy i nie ostatni raz skupiacie w jednej kropli, otrząśniętej z mistycznego kwiatu, całe smutne, rozpaczliwe życie człowieka, wydmuchujecie je do rozmiarów bańki mydlanej i drwicie i drwicie...

Nie trzeba z uporczywością maniaków przypominać mi o tym zmierzchu, jaki holbejnowski taniec szaleje na mojem pustem uroczysku!

Wiem, wiem:

Władcą jestem, panującym nad królestwem karłów, a śmierć koścista szyderczo bawi się moją słomianą koroną, tekturowe jabłko potoczyło się już ku klepsydrze, za chwilę i miecz drewniany wypadnie mi z ręki.

Wiem, wiem...

Rycerz-ci jestem nad rycerze! Na badylowych nogach wyruszyłem w bój, w zbroi i z wielkim pióropuszem na szyszaku, a Śmierć koścista wbija mi oszczep w bok i rzechoce się z szpadki, wymierzonej w trupią jej czaszkę.

W promieniach zachodzącego słońca doorywam pola, rolnik,

który wysprzedał się z zeszłorocznego ziarna i nie wie, skąd weźmie na nowy posiew,

a Śmierć koścista pogania mi konie coraz chyżej, coraz szybciej ku miedzy mojego zagonu...

Ulicą miasta przechodzę się z umiłowaną kobietą, chełpię się, żem odkrył skarby Sezama, których ani robak nie stoczy, ani ogień nie spali, ani woda nie zniesie,

a Śmierć koścista w rubasznych przede mną podskokach bije w bęben dwoma piszczelami i pospolite czyni widowisko.

Plączą się obrazy o zmroku, gdy deszcz jesienny uderza w szyby, a wicher zgina ostatnią akacyę; nadchodzi moment, że ich obrysy i barwy zlewają się w ogromną, szarą bezludną i bezdenną przestrzeń, śród której dusza stoi osłupiała, gdy nagle,

jak na niespodziewany akord zaklętych organów, na pozbawionych wzroku, głuchych i niemych powiekach uczuwam drobne rączęta i głos mnie budzi:

— A kto to?

— Ty jesteś, ty!

— A nieprawda, bo to ona!

Główki dziecęce, malowane gris à gris, opuściły szare passe — partout, dostały żywych kolorów i śmieją się smutnemi zazwyczaj oczami.

— Wiem już — rzecze jedna — skąd Wisła wypływa i jaki Popiel panował nad jeziorem.

— A ja — dąsa się druga — znam opowieść o królowej Jadwidze i umiem już deklinować columba tiniola, columbae tiniolae, albo hortus, horti, horto...

— Wielka sztuka — odyma się tamta, — ja od panny Annetty nauczyłam się francuskiej piosenki — o! I dzwonem zadzwoni srebrzystym:

Adieu, mon bon navire.
Mes beaux jours sont passés —
Je te quitte — —

— Cicho ty, papużko! Ja będę miała gospodarstwo, gdy urosnę, i żyto i łąkę i kawał rzeki —

— A ja założę okulary na nos i będę przełożoną pensyi. —

Bądźcie, czem chcecie, tylko wcześnie uczcie się cierpieć i — gardzić i nienawidzieć — —

Nie, nie! Chłońcie wiosenną radość życia, jak ja w wa-

szych latach, serca otwórzcie na oścież, aby wstępowała w nie miłość — dla Wisły, jeziora i Popiela, dla królów w słomianych koronach, dla rycerzy i rolników, którym Śmierć popędza konie ku miedzy, nim wyprzedawszy się z ziarna, zdołali o świeże postarać się zasiewy.

Salve, Regina.

Zawitaj, Pani świata,
niebieska Królowa,
witaj, Panno nad Panny, gwiazdo porankowa.
Wieniec Twą skroń oplata,
zwity z promiennych liści:
o, niech się w nich nadzieja biednych ludzi ziści!
Biała, jak śnieg, Twa szata,
a z białego-ć łona
lilia Twą czystością rośnie ubielona.
A wąż, który na ziemię przyniósł śmierć, przez Ciebie
został podeptan na wieki —
Salve, Regina!

Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którem okrąg zachodniego słońca
w olbrzymią, wiekuistą rozlewa się falę.
Nie dla was płynie pieśń,
co się w płomiennym urodziła krzewie,
święta, jak ranek wiosenny
albo jak wieczór jesieni,
zapadający nad ciszą ugorów,
nad zwiędłą czerwienią drzew
i ponad próchnem pochylonych krzyży!
Nie, nie! Śpiewajcie ją wszyscy:
wasze to tchnienie i wasza to krew,
wasze to serce w tym śpiewie:
Salve, Regina!

Bliżej! Bliżej!
O, nie uciekaj przede mną,

ty rozmodlony pogłosie!
Wypełniasz cały świat
swoją przedziwną melodyą,
a przed mą duszą ciemną
jak gdyby stanął nieprzebyty mur,
o który się rozbija twój rozlew potężny
i głuchnie...
Poco ten przestrach i poco ten lęk?
Ponad głębiami nocy,
nad skrajem uśpionej ziemi,
odblasków niewidzącej, które idą z życiem,
smug się rumieni ognistego złota
i w jednej chwili ogarnia przestworza.
A k' niemu idzie tęsknota,
jak druchna Boża,
w wianku z oliwnych gałązek
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłem ramieniu.
A w nim, w tym blasku, w tem ognistem złocie,
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg, ich szata,
a z białego łona
lilia ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę
depce swą białą stopą
i z lutnią, naciągnioną na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi — tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve, Regina!

Ziemio! Ziemio!
Tęsknota chodzi po tobie
w wieńcu z gałązek oliwnych
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłem ramieniu.

I krople potu roni
i, dzierżąc kielich goryczy
w białej, zmęczonej dłoni,
klęka co krok w swej drodze krzemiennej
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli ..
A jej modlitwy i łzy
i te westchnienia głębokie
co krok się w przędze zmieniają pajęcze,
jak one włókna jedwabne,
porozwieszane na rżyskach
w październikowe dni
i na kończynach więdniejących traw —
na całym tym ogromnym, rozległym obszarze
mrącego świata...

O, wy, modlitwy i łzy!
O, wy głębokie westchnienia
naszej samotnej tęsknoty,
poklękującej na krzemiennej drodze
z kielichem goryczy w dłoni
i z czarnym krzyżem na wątłem ramieniu!
Zmieniacie w mgły się pajęcze
i, otuliwszy jej postać
w ,swoje rozwiewne przędze,
czynicie z niej by obłok, wstający z poranku
na wielkich obszarach świata
i rwiecie ją z sobą do góry!

O, wieńcu z gałązek oliwnych!
W wieniec przemieniasz się złoty —
w promienny wieniec gwiazd —
na skroni naszej tęsknoty
i nad głębiami nocy świecisz niepojęty!
o, ty, kielichu goryczy,
z twardej wykowan miedzi!
W alabastrową przemieniasz się czarę,
na zapomnianym ustawioną grobie,
pełną słodkiego napoju wieczności
i do bezmiarów rośniesz niepojętych,
i sam się w napój rozpływasz,

i swoją wonią przepełniasz
duszę biednego człowieka!

O, krzyżu na wątłych ramionach
naszej serdecznej tęsknoty,
wraz z Tobą dźwigającej tajemnicę bólu!
W skrzydła się zmieniasz anielskie
i wnet ją niesiesz ku blaskom,
lśniącym nad nocy głębiami,
ku onym dusz milionom,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
Tam lśni jej biała szata,
a z białego łona
lilia jej czystością rośnie ubielona
I depce węża głowę
swoją promienną stopą,
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
że miała zgasnąć czas
owa szarpiąca wieść
o tajemnicy krzyżowego bólu —
śpiewa swój hymn przenajświętszy:
Salve, Regina!

Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych, cichych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którem czarne cyprysy
cicho schylają swe głowy...
Milczcie!
Płaczem i jękiem,
urodzonymi z nicości,
nie zakłócajcie tej pieśni,
którą wśród dusz miliona
z białą lilią u łona
wieczysta śpiewa Tęsknota.

Nie, nie! Śpiewajcie ją wszyscy!
Wasze to życie i wasza to krew —

ta pieśń wstrząsająca,
która swym świętym pogłosem
nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie daje zmarłym kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń.

Dlaczego płaczesz?
Nędza jest wszędzie!
Nędza w miłości i nędza w cierpieniu!
Łam się!
Nie masz spokoju?
Rozpękające drzewa twojej ziemi
nie przywabiają cię woniami swemi?
Uciekasz przed się, aby szukać ciszy,
która twe serce usłyszy?
Nędza jest wszędzie!
W twem sercu jest nędza
i w tych zwaliskach zagasłego świata,
na które patrzysz zadziwionem okiem,
nic — tylko nędza!
Patrz, patrz bez końca!
Patrz na ten odblask ginącego słońca,
którego czerwień zalewa te łuki —
te poszarpane arkady,
te widma kolumn
i te dalekie kopuły!
Nie masz spokoju?
Wre w tobie echo pradawnego boju,
z którego wyszła zwyciężczynią śmierć?
Jej-li to sztandar powiewa ogniami
nad tym rozległym, krwawym widnokręgiem —
tam, nad tym gajem cyprysów i pinii?
Łam się i patrzaj! Folgi nie daj oku!
Z bezdennych głębin wieczystego mroku
jakiś wyłania się potwór!
Cicho, powoli
nietoperzowe rozpościera błony,

zakrywa zorzę ich ciemnią
i rośnie...
I kulistymi dwoma płomieniami
swych nieruchomych źrenic
patrzy ci w duszę i błony
nietoperzowe roztacza
i rośnie...
I grube wyciąga ramiona
i kulistymi dwoma płomieniami
patrząc ci w duszę, w otchłań ludzkiej nędzy,
w to nieustannych gniazdo niepokojów,
podważa glob ciemniejący —
Salve, Regina! —
Do piersi go tuli kosmatej
i miażdży — — —
Czemu uciekasz?
Czemu w przestrzenie dążysz, jak ta plewa,
którą wichr porwał z wymłóconych kłosów
i pustą rzucił w pustkowie?
Boże!
Czemu uciekasz, jak ten blask gasnący,
gdy się rozprasza w ciemnościach?...

Nikt cię nie kochał?
Nikt ci krwawego nie otworzył serca,
abyś w niem duszę zanurzył
i, wykąpany w jego krwi promiennej,
mógł wszechwidzącą odczuwać źrenicą
drgania tęsknoty i bólu,
rozlanych w wielkiej, świętej duszy świata?
I sam tęsknotą i bólem
drżeć, niby harfa eolska,
z słonecznych stworzona kryształów?
Drżeć, niby świat ten ogromny,
przeczuwający
nieskończonego bytu promienistość,
przez ból idącą, przez wielkie cierpienie?...
Boże!...

Nikt cię nie kochał!

A ty, czyjąś duszę
tak umiłował, abyś mógł zapomnieć,
że jest granica między złem a dobrem?
W czyjeś ty serce spojrzał w taką wiarą,
aby jej siła mogła ci je rzucić
do twoich stóp nieskalanych?
Do stóp Bożego wybrańca,
co serca podnosi
i twórczem swem tchnieniem,
nieskazitelnem i wiecznem przez miłość,
pył z nich otrząsa i zbawia?
Co je podnosi nad wzlot własnej duszy,
nad ból swój własny i nad swą tęsknotę,
—i niby święte tajemnicze słońca,
uwite z błysków przeczuć,
powstałych z Twórcy i dążących k'Niemu,
pomiędzy gwiazdy je rzuca,
by niestrawionem promieniały światłem?

Nigdyś nie kochał!

Łam się!
Pomiędzy sobą a morzem miłości,
huczącem pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
sameś piekielną budował opokę.
Rozbite ciosy twej duszy
na samolubny znosiłes Babilon,
albowiemś sądził, że jesteś sam jeden
i że nad ciebie nie może być — życia.
I wówczas szatan stawał na twej wieży,
śmiał się ku tobie oczyma pokusy
I, pełną kłamstwa czarą swych przyrzeczeń
ubezwładniwszy twą duszę,
kazał ci jedno: abyś kochał siebie!
kazał ci jedno: abyś wierzył w siebie!
kazał ci jedno: abyś zbawiał siebie!
I kłamstwo było i niemoc

w twoich akordach, co wielbiły miłość!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, ci głosiły wiarę!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co brzmiały nadzieją!...
A poza tobą — jak blizko, jak blizko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości...

Łam się!

A gdy w odległych przepaściach twej duszy
jęły się budzić echa tego Słowa,
co w płomienistym rodziło się krzewie —
kiedy od brzegów tajemniczej wody
szum dolatywał przedwiecznych objawień,
poszeptujących tajemniczym głosem,
ażebyś kochał — cierpieniem,
naonczas szatan tę twoją opokę,
twój samolubny Babilon,
w Górę przemieniał Oliwną.
I w szacie Zbawcy,
z Sfinksa obliczem, na którem wyryto
nieodgadniętą zagadkę boleści
i rzeczy przyszłych dalekie widzenie,
pełne wyrazu smutku i tęsknoty,
klękał w oblaskach księżyca,
na współczujące kłaniał się rozłamy
i z rąk anioła brał kielich,
i krwawym zlewał się potem,
i modlił się, i płakał, i wzdychał, i modlił...
A gdzieś od strony Jeruzalem nędzy,
gdzieś od Syonu zbrodni,
od źródła i ujścia bytu,
gwar przypełzywał na łunach,
urągających wieczystemu światu,

pozapalanych, aby przyćmić Jasność,
I rozchylały się gałęzie drzew,
i z chrzęstem łamały się krzewy,
i żwir się zsypywał po zboczach,
i w krwawych ogniach pochodni,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność,
urągających wieczystemu światłu,
tłum się wyrzucił z Judaszem na czele...
I obdarowan pocałunkiem zdrady,
brał krzyż na siebie, wielki, czarny krzyż
i na Golgotę po krzemiennej drodze
szedł twój kusiciel —
jak twa tęsknota
szedł, modlił się i wzdychał, i płakał, i modlił.
A potem — w przepaść rzucił czarny krzyż,
w bezdenny rozdół szumiący,
i, zolbrzymiawszy, legł na twej Golgocie,
na Babilonie twej duszy.
I rozkrzyżował ręce
i w strasznej cierniowej koronie
na zolbrzymiałej głowie,
przygasającym patrzał na cię wzrokiem,
tak przenikliwym i smutnym,
żeś modlił się i płakał, i wzdychał, i modlił...

A na zachodzie
płonął krąg słońca,
ogromny krwawy krąg,
przecięty ogromnym obłokiem,
i rzucał ogromny
cień kusiciela,
skrzyżowanego na twojej Golgocie,
na Babilonie twej duszy,
i topił świat w jego mroku — — —

Zaś gdy cię złamał ból,
gdyś sam się słaniał na głazy,
kiedyś brał kielich goryczy
i Judaszowej pocałunek zdrady
na swoich wargach odczuwał,

wówczas się zrywał z opoki,
stawał przed tobą, okryty
ciemną puprpurą nocy,
i, wzrok utkwiwszy szyderczy
w twych oczach, obłędnych z żalu,
na świat się cały rzechotał
wielkim, szyderczym rzechotem...
A poza tobą — jak blizko, jak blizko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości...

A Zbawca —
*X*P
oblany morzem miłości,
tem wielkiem świętem, jasnem, nieskończonem,
krzyż wyciągnąwszy z szumiącego dołu,
płakał nad tobą.
Łam się!...
Nędza jest wszędzie!
W miłości jest nędza
i nędza w cierpieniu!...

Łam się i patrzaj, i słuchaj!...
Słoneczny błękit otula
rozległe łany ozimin...
Śniegu srebrzyste płaty
drzemią zaledwie gdzieś w rowach,
pod mokrą schowane krawędzią,
nad którą pęki traw
w wiosennych drgają powiewach.
Z posłania kiści jedwabnych
stokrótka wychyla głowę
i róść zaczyna bylica.
Z wądolców mgły się podnoszą
i w ciepłych znikają promieniach,
a nad głębiami sennej cichej wody,

od której twórcza idzie w świat tęsknota,
krzyk czajki się rozlega albo śpiew skowronka.
Ponad brzegami dróg
wierzby już gibkie wypuściły pręty
i rząd topoli
już się w świąteczne przyozdabia wieńce.
A roztopami,
polem szerokiem,
nad którem chaty zczerniałą
lśnią się dachówką
lub mchami obrosłą strzechą,
powoli toczy się wóz...

Górą, na snopkach słomy,
zamknięte w sosnowej skrzyni,
śpi snem nieprzespanym
życie biednego człowieka...

Cicho, zwolna wóz się toczy,
na nim w żółtej skrzyni
na wiek wieków zgasłe oczy,
jak światła w pustyni.
Twój-li ojciec? Matka twoja?
Czy najdroższe dziecię?
Gdzież jest radość? gdzież ostoja
na burzliwym świecie?
Kilka mogił, kilka krzyży
śród piasczystej zboczy —
coraz bliżej, coraz bliżej
wóz się ku nim toczy.

A przy pagórkach,
na tajemniczych rozdrożach,
gdzie święty duch ludu
Boże zbudował Męki,
cicho przystaje wóz...
I orszak zdejmuje w milczeniu
trumnę sosnową,
w której, jak światła w pustyni,
zagasłe drzemią źrenice

twojego ojca czy matki,
brata czy siostry,
czy najdroższego dziecięcia,
i na murawie ją stawia
u stóp pobożnej figury.

Razem z żałobnym orszakiem
zmęczona klęka tęsknota
i zdjąwszy z ramion swych krzyż —
ach, ten przeciężki. wielki, czarny krzyż,
o smutną opiera go skrzynię
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli.

A nad roztopy,
nad łany,
nad świeżej trawy podściela,
nad pędy ożyłych wierzb
i nad dzwonnice topoli,
nad strzechy zczerniałe
ulata pieśń przenajświętsza:
Salve, Regina!
Ku złotym płynie obłokom,
w których skowronek
nuci hymn wiosny,
albo opada ku dołom,
hen, ku ukrytym parowom,
gdzie śniegu ostatnie bryły
pod mokrą konają gałęzią.
Albo na skrzydłach przedziwnego smętku
ku grząskim wzlatuje bagnom,
gdzie nad pochyłą trzciną,
nad ostrowiami sitowia
zrywa się czajki jęk.
Lub ku dalekim idzie widnokręgom,
ku modrym pasom borów,
w mgły otulonych sinawe,
i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych, głębin,

i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którem ludzkie nie słyszało ucho.
A na jej odzew anielski
ziemia, od brzegu do brzegu
podeptanymi zasiana grobami,
otwiera wielkie swe wnętrze:
zmarłe powstają kości
i za tym biednym zdążają orszakiem
ku garstce mogił i krzyży,
ku tej piaszczystej zboczy,
ku której bliżej, wciąż bliżej
ten prosty rydwan się toczy.

Siermiężne płyną tłumy,
króle i senatory,
biskupy w białych ornatach
i świętych wieniec liliowy,
i mistrze, co ducha Bożego
zaklęli w barwę i kształt
i w pieśni natchnionej dźwięk
lub grzmieli głosem proroczym.
I zbrojni kroczą rycerze,
niby na wielki bój,
w którym się wszystko ma złamać,
co było życia wielkiego przeczeniem.
A wszyscy w blaskach słonecznych
nieba sięgają czołami
i grzmiącym śpiewają głosem:
Salve, Regina!...
A ponad nimi
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg, ich szata,
a z białego łona
lilia ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę

depce swą białą stopą
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa nadniebny hymn,
zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve, Regina!

A w ślad za niemi wlecze się twój ból...

Hahahaha!
(Szatan się zaśmiał, albowiem on jeden wie, że:)
Nędza jest wszędzie —
nędza w miłości
i nędza w cierpieniu!

Śmiej się!
A moja tęsknota,
na barkach ciężki dźwigająca krzyż,
otwiera usta,
by wraz z tęsknotą świata
zaśpiewać hymn przenajświętszy:
Salve, Regina!

Ballada o słoneczniku.

Stary, oślepły słonecznik
Sam jeden mi jeszcze pozostał
Z wszystkich mych kwiatów — przyjaciół
W tym zachwaszczonym ogródku;
Słyszałem — ci nieraz w nocy,
Jak wichr bez miary go chłostał,
Nie mogłem mu żadnej dać ulgi,
Chyba pociechę smutku: —
Lepiej się puścić w tan...
Upiłem się kiedyś wieczór —
Wino zbawienną jest mocą: —
Pięścią wytłukłem szybę,
W gór łańcuch patrzę daleki —

Ponoć to śniegi tam leżą,
Ponoć to gwiazdy migocą;
Ciężary mroków wilgotnych
Na ciężkie mi spadły powieki: —
Lepiej się puścić w tan...
Ponoć to łąki wyschnięte,
Bezlistne jasienie przy drodze,
To ponoć olchy nad bagnem,
To kępy zwiędłych rogoży;
Ponoć to ludzkie rozpacze
Puściły krokom swym wodze
I spieszą w mgławych całunach
Na pogrzeb litości Bożej: —
Lepiej się puścić w tan...
Ponoć i ja miałem braci,
Na straszną gdzieś poszli wojnę —
Śmierć rzekła mi o tem wszystkiem,
Całując spiekłe me usta — —:
Niech huczy ta czarna głębia,
To morze łez niespokojne,
Niech wiatrem dyszy jesiennym
Ta ziemia, krwią ich tłusta: —
Lepiej się puścić w tan...
Stary, oślepły słonecznik
Przez szybę się wciska stłuczoną
Do mej wesołej izdebki,
Pełnej zapachu wina;
Pożegnał się już od dawna
Ze swą złocistą koroną,
Łyse, sczerniałe skronie
Na piersi moje zgina: —
Lepiej się puścić w tan...
Jak pies, tak łasi się do mnie,
Do mego tuli się lica;
Wielką uczułem kroplę
Na rozżarzonej twarzy:
Rosa mu z jamy pociekła,
Gdzie ongi była źrenica —

Stary, oślepły słonecznik
Głośno się skarży, milcząc: —
Lepiej się puścić w tan...
Nie drwij ze siebie i ze mnie,
Ty, z moich druhów ostatni!
Wszyscyśmy na to stworzeni,
By błogosławić śmierci!
Niech rycerz ginie od stryczka,
Jesiotr niech dławi się w matni,
Bóg z swego tronu niech spada,
Włócznia niech w bok się wwierci: — —
Lepiej się puścić w tan!
Niech będzie ci ulgą mój smutek:
Upił się dzisiaj radością,
Żeś tak nikczemnie zmarniał,
Ty, coś spoglądał w słońce;
Inne lekarstwo ci niosę,
Co daje próchnienie kościom,
A duszę — hej, pijcie ze mną,
Pijani śmierci gońce:
Puśćcie się razem w tan!
Ostatni liść z niego zdarłem,
Ostatniem wyłuskał ziarna,
Zdrzewiałą, twardą odnogę
Ręką chwyciłem pewną:
Z korzeni się pod me okna
Ziemia sypnęła czarna,
Stary, oślepły słonecznik
Snać łzą zapłakał rzewną: —
Lepiej się puścić w tan...
Wstałem nazajutrz — czy zbawca,
Czy zbrodniarz? — hej, któż mi to powie?
Zbudziłem się w izdebce,
Pełnej zapachu wina. — — —
Stary, oślepły słonecznik
Bez złotej korony na głowie
Jużci swojego smutku
Do smutków moich nie zgina: —
Lepiej się puścić w tan...

STANISŁAW WYSPIAŃSKI (1869—1907[1]).

Z poematu p. t.: Kazimierz Wielki.

1. Idą posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne.

2. Idą posępni,
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące, jak ołów,
korony sczerniałe,
pogrobne.

3. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne.

4. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
podniebne.

5. A śpiewy nad nimi,
jak skrzydła aniołów,
kołyszą się górne,
wróżebne.

---

[1]) Wykształcił się w uniwersytecie Jagiellońskim, w akademii Sztuk pięknych i w Paryżu — w zakresie malarstwa i literatury. Do wczesnych dzieł należą oprócz *Legendy* (1892) dramaty neo-helleńskie i na tle listopadowego powstania. Były to: *Meleager*, *Protesilaus i Laodamia*, nieco później *Achilleis* i *Powrót Odyssa*, oraz *Warszawianka* (1893), *Lelewel*, *Noc listopadowa*. Poeta wrócił do marzenia o dawnej Polsce w dramatach *Bolesław Śmiały* i *Skałka* i w poematach: *Kazimierz Wielki* i *Bolesław Śmiały*. Na rok 1900 przypada napisanie *Wesela* i *Legionu*, poczem idą *Wyzwolenie* i *Akropolis*.

Z walk sumienia z występkiem wysnuł dwie tragedye: *Klątwę* i *Sędziów*. We fragmentach zostały: *Zygmunt August* i *Juliusz II*.

6. A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.
7. I chłopy sukmanne,
i pany, strojone
w pąsowe żupany, delije.
8. I dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze, niż białe lelije.
9. A idą żałobni,
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni,
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wiją,
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.
12. A oni posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne...
. . . . . .
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
czyli kwiaty wycięte się skarżą —
czyli łąki i łany się kłonią,
czyli wiatru przygięte pogonią?
14. Czy to lasów stoki się chwieją,
czy to wieńce jodłowe wonieją...
czy to lasy jodłowe się kłonią,
czyli wiatru przygięte pogonią?
15. Za orszakiem — czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją,
za orszakiem, czy to lasy już idą...

czyli pszczelne roje tak brzęczą
za orszakiem, czyli ziemie tak jęczą?
16. A idą żałobne,
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne,
wnuczęta moje pogrobne.
17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
wróżebne.

. . . . . .

. . . . . .

Już stokiem wzgórza gromnic żar ofiarny
wije się rzeką świateł, co migocą;
wlókł się olbrzymi wóz, całunem czarny
wśród masztów, których chusty się szamocą;
wicher żałośny zawiewał cmentarny,
jakby w godzinę duchów przed północą.
— Tam proch królewski mój ze czcią wieziony.
W takąto chwilę ja, widmem zjawiony,
stałem się duch, modlitew wskrzeszon cudem,
a strzęp mych szat powionął nad ich głowy,
gdym ja, w koronie widmo, gadał z ludem,
cienie po baszcie chwiejąc wawelowej
olbrzymie! Snać — że byłem wielkoludem; —
dreszcz przez nich biegł, poczuli dech grobowy.
— Biłem w nich krzykiem mej piersi spróchniałej,
a echo się po Polsce niosło całej:
„Pomstę mi dajcie, wy, ludzie pogrzebni!
Pomstę za moje wezgłowie we strzępach!
Nam, co jesteśmy żywota potrzebni;
co się tułamy w urwiskach i kępach,
spomóżcie, wy, karmazyny i wy, zgrzebni,
przechować klejnot chwał w ruin ostępach;
w gruz rozsypują się węzły korony
i spokój grobów święty naruszony.

. . . . . .

Spałem spokojny, wielkością przejęty
narodu, którym z krasną Ładą żenił

i ostawiałem w polach plon niezżęty,
gdy już pszenicznych ziarn kłos się rumienił.
Ludu mój, otoś w nędzy jest przygięty:
Lęk się w twe serce wkorzenił.
— Cały lud wrzasnął ku mnie: Cień Kaźmierza!
A był ten krzyk, jak piorun, co uderza.
Jako wulkanny wybuch gromopłodny
z piersi tysiącznej naraz... krzyk Przymierza!
Naród mój wołał głosem jednozgodny:
Kaźmierza króla duch! — Duch Kaźmierza!
Oni, ci sami, których ja buławą
i mieczem niegdy muszę ku jedności,
dzisiaj bezpańscy, wielką bólu wrzawą
wyznają: oto jedność w sercach gości.
Duszę ich splatał węzeł wspólnej klęski
w mym duchu, którym stał tam, jak zwycięski.
A dzwon ten wielki bił dla mnie pokłony,
wielkim powietrze falując przelotem
dźwięków przeciągłych bronzu, rozmodlony,
pogłębiający ich modły łoskotem:
Bądź nam jedyny, ty, król odrodzony
grobów! — O, stań się piorunowym grzmotem!
Duchem pozostań wśród nas, twego ludu!
Cudu żądamy, królu! Dopełń cudu!!
Chwilę tak stałem, w naród mój bolesny
jamami oczu wygasłych patrzący;
dobiegał do mnie szum pogwarów leśny;
prześwietlał Wisły skręt, tuż się wijący;
łąk oddalony skłon, hen, górno-kreśny
i zapęd tłumnej rzeszy, w górę rwący.
Raz jeden jeszcze wśród mnie Ave krzykłem, —
bo w zmierzchach, jako cienie lotne, nikłem.
Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił;
schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach skonu tajemnice,
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
bruzdami czoło poorał i lice
i starzał; — w coraz dalsze patrząc groby,
wzrok tężył w mroczne podcienia żałoby!

Rozpoznawałem, że kochał się w trunach,
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach,
że czytać znał, jak w powikłanych runach,
w bereł kruszynach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowany w tych przegniłych trupach;
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło.
Widywałem tych trupów korowody,
ten ponad nimi żal płaczących lutni,
bo prochom uroczyste sprawiano wywody
i na ten krótki czas niechano kłótni
nad każdą z trumien, którą na czas zgody
wiedli na Wawel, — ci, złotem rozrzutni,
możni i biedni dobywali z kalet;
sztuka wieńczyła zmarłych z krasnych palet.
A tacy byli skorzy, tak się rwali,
tak ich ten grób, trumny weselą,
że, jakby innych radości nie znali,
tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą,
w najświetniejsze się stroje przybierali,
miodem się, mlekiem, chlebem z trumną dzielą.
Smutni zawsze, — naraz prędsi, gospodarni,
żywi! — Tak piękni byli, a cmentarni!

. . . . . .

Więc krwią i kością nagle ze żywymi
stałem się kowal w żelaznej obręczy
na czole — i dzierżyłem młot olbrzymi
żelazny — wciąż ten łomot głuchy brzęczy
jeszcze w uszach, — — — że będę nad nimi
wódz! — A nad mną Bóg na tęczy...
Więc wsparłem młot o stół ołtarza skalny,
przy którym Sejm odprawiał naród walny!

Warszawianka.

Marya
(do Anny).

Odbiegł, — mnie groza opadła i lęki;
siadał na koń, — gdym właśnie ku oknu podeszła;

świt był szary, — snać dostrzegł sukienki
mojej białej,
bo zwrócił ku mnie głowę i rękę do piersi
przycisnął; — razem z tymi był, którzy najpiersi
odjeżdżali; wiedz, że sam generał
znaczył mu posterunek; wyznał mi, — to dowód
niezwykłego uznania...

Anna

Ale jakiż powód
mógł zajść, bieżyć tak szybko od nas,
gdy wszyscy inni są jeszcze tu razem?

Marya

Chciałam, by się odznaczył.

Anna

Twoim więc rozkazem?...

Marya

Nie nazywaj rozkazem, czego pragnie dusza.
Pragnę dlań sławy; — lęk mnie przed losem zdejmuje;
muzykę szczęścia oddala i zgłusza.
Niepokój cienie swe nade mną snuje.

. . . . . .

Młody oficer

(do Chłopickiego).

. . . . . .

Ja się kocham w młodszej,
w blondynce tej, panie generale.

Chłopicki

(nagle głowę zwraca ku pannom, mierzy je wzrokiem i wraca głową do dawnej pozycyi).

Starsza mi się podoba więcej.
To i ty rozkochany,
a pewno rozkochanyś na śmierć;
czemuż nie tamta?
Zazdrościłbym dumy, co jej rysuje czoło.

Oficer młody

Jej narzeczony właśnie jest w naszym pułku
i nawet blizko pana, generale.

Chłopicki

...Oczywiście młody,
skoro szlify czuje u ramion,
tylko się kochać, — któż to?

Anna

(która posłyszała).

Powiemy, aż się czem odznaczy.

Chłopicki

...Odznaczy się... — A niewątpliwie, że się odznaczy,
bo za tem goni;
jedno, że ci młodzi romantyzują;
oni poetyczni są, — udzielne króle
fantazyi; każdy z nich gra wielką rolę
komandorską;
patrzę po czołach, wszędy samowolę
bajrońską czytam:
jako żołnierz, w portfelu układa poemat
własnego bohaterstwa; marszałkowskie laski
rozchwytaliby może na usługach Francyi;
w Polsce nie będzie z nich nic, jako zwykle.
Tu potrzeba Cezara, tu wzajem się głuszą.

Pac

Ktoś nieugięty, jako Kromwel, Bonaparte,
gdyby się nagle stał działania duszą...

Chłopicki

To my, Bonapartowscy, — myśmy tu przynieśli
orły napolijońskie, pochwytane w lot.
Każdy z nas za Cyncynnata się ma, za źródło cnót, —
myśląc, że gdy obejmie godność, którą sobie
nałoży sam, zdziwi pół świata.

Pac

Naśmieszy pół świata.

Chłopicki

Orły padają z bolu; gną, łamią się im skrzydeł loty,
gdy je obsiadła zawiść stadem wroniem.
A w orlich piersiach serca są bijące,
zbyt czułe, wzajemnemi zdradami krwawiące.
Rzuciłem już raz bułat, bo rózgi liktorskie
za moją togą siekły zbyt powolnie; —
widziałem, że nie zdzierżę, królów takie tłumy
znajdując codzień.

Skrzynecki

Wydałeś sąd dumy,
że nikt prócz ciebie dziełu nie podoła.

Chłopicki

Niechaj kolejno rosną dyktatory; —
patrz po sali, jak nasi statyści się puszą;
co jeno który cień idei schwyci,
kruszynę inszej, niż myśl Chłopickiego,
już tworzy książkę, — kreśli pamiętniki;
wzrasta wolument, traitement polityki,
polowych działań, taktyka, brawura,
jaką kiedy w boju
stosować należało; — po szkodzie, jako zawsze,
będzie można rozmyślać nad nią w czas pokoju.
Już widzę, jak się księgą błędów przyszłość pieści,
gdy zasiędzie spłakana czytać, zdarta z cześci;
po wojnie — jutro.

Skrzynecki

Generał nas satyrą mierzy, godząc trafniej,
niż dyktatorską dłonią w myśl spraw narodowych.

Chłopicki

Satyrą trafnie kłuty, sok trucizn surowych
wszczepiłem sobie w krew i krew się burzy.

Skrzynecki

Znam ją od dawna, — niech jeno dłoń krajowi służy.

Marya i Anna

(grają i śpiewają).

„Oto dziś dzień krwi i chwały,
oby dniem wskrzeszenia był!
W gwiazdę Polski orzeł biały
patrząc, lot swój w niebo wzbił,
a nadzieją podniecany,
woła na nas z górnych stron:
powstań Polsko....."

(ogólne poruszenie; przerywają wołaniami, nucą półgłosem; śpiew panien ginie w zamięszaniu wykrzyków; po chwili znów słychać):

Marya i Anna

(śpiewają).

„Powstań Polsko, skrusz kajdany,
dziś twój tryumf albo zgon!
. . . . . .

Chłopicki

Otóż to, otóż to: zgon! Wtedy, gdy trzeba,
żeby Mars w pełnej zbroi gnał przez pola.
Tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu —
w malowniczości zgonu. To poemat
dla romantycznych głów:
kryjcież im czoła w czarne pióropusze
i dajcież im kir na ubiory;
niech się stroją — wojowniki romansów...
„Los mój mnie woła, — otom gotów, — zginę;
zaczem w nieśmiertelności po wieki zasłynę..."
Cesarz bił brawo Talmie i ja biłem brawo.
Teraz z parkietu zszedłem do tragedyi,
otoczon sztabem tych, którzy się grobom ślubują...
Maryo! Myśmy szli wśród gradu kul,
przez deszcz kul, pod górę, pędem,
a droga, jak skała, wyschła od słońca,

kurzawę nam sypie w oczy i mgłą piasku obrzuca,
a myśmy na wierch sam w galopie dopadli, —
tam, tam! Skał to był wierch przepaścisty...
Żadnemu nie cieniła czoła myśl o zgonie.
Siła wojny, duch wojny, dzierżący sto grotów,
przemocą szedł z nami; za nami
dął nieprzeparty, wichrowy huragan
potęg zwycięskich i krzyczał: Victoria!
Słońce nas swoim promieniem porwało
do wyżyn sławy. Tak, byliśmy: chłopy,
pierwsi żołnierze sławni Europy.
Postrach szedł przed nami na tysiąc mil
i miast tysiącznych otwierał zawory;
a gdzie był opór, był mieczem Chrobrego
cięt i upadał w gruz. Ha, mógłbym przysiądz,
że wielki polski duch stał się widomy.
Z wyżyn huczały nam armatnie gromy,
jako wulkany w skrach, ogniach i dymie.
Było nam wtedy Zwycięstwo na imię
i tylko takie znawaliśmy hasła.
A dziś... wy chcecie zgonu. — Więc zagasła
Marsowa gwiazda; — wy młodzi, wy młodzi,
wy się stroicie w szlify, pióropusze,
a zagrobowy laur wabi wam duszę.
Czoła tak dumne, wyniosłe, senackie, —
serc czystość, nieprzystępne pychy lackie,
mundurami spowite, zatknięte na szpadzie. —
Skąd ta żałość, skąd niemoc, skąd śmierci żądanie?
Jakiż się smutku cień nad wami kładzie? —
Wasze śpiewy, rozmowy — ukazują groby.
Sztandary otulacie szarfami żałoby.
Wy, rycerze, z rozkoszą goniący w podziemie. —
Wam tak śpieszno, wzywająż was duchy z Erebów?
Jużto w nocy wieczystej wam miło
utonąć, — uroczystych spragnieni pogrzebów? —
Już się wasze wołanie spełniło?

Marya

(zmienionym, prawie męskim głosem).

Panie generale...

Chłopicki

Co, panienko?

Marya

Ktoś drogi mnie powróci kiedy...?

Chłopicki

Ktoś wam drogi, panno, jest żołnierzem.
Teraz wojna i bitwa dziś.

Marya

Żołnierza kraj po wojnie potrzebować będzie:
rolę siać zbożem,... na czas trudów inny
wrócić powinien i przyjść.

Chłopicki

Dalbóg, panienko, ja sam niespokojny
jestem o niego, — aleć jeszcze wierzem.
Niepokoję się.

Marya

...Boś jest generale winny.
Przede mną skrywasz, milczysz, nie chcesz wyrzec.
On nie wróci już. — Boże, — nie możesz mi przyrzec,
generale, że wróci; najbłahszem się słowem
nie zbędziesz: — „może", — że niepewna rola,
mów — czujesz, panie, jak się twoja wola
nagiąć nie może kłamać, gdy patrzysz na serce,
które się, jako gołąb poraniony, ciska.
Ja wiem to, jakby wiem, bo mnie się błyska
wiedza, co słucha tych trwożnych uderzeń.
Próżno się silę nagiąć, przełamać do wierzeń,
że lęk próżny; — a, tyś wiedział wprzódy!
To okrutnie tak śmierci wysyłać go w ręce.
Ja widzę cały kraj we krwi, kraj cały w męce
w tej waszej wojnie; słuchaj, generale,
wy ostaniecie wszyscy tam, we chwale,
wy, piękni, wy, boscy, — wy, skarb, duma nasza...
...własnych mię moich słów klątwa przestrasza,

już wam wrota podziemu otwarli...
Wy ostaniecie wszyscy tam: umarli.

Chłopicki

Przez miłość Boga, panno, ha i do mnie
garną się twoje złe, straszne obłędy!
I moją stal, hart mój rycerski łamią.

Marya

Zwycięstwo gram,
a słowa moje kłamią!
Ginąć będą, padać od kul
szeregi za szeregami;
przed oczyma je widzę pokotem:
otom je rękami zakryła.
Tajemniczych mocy siła
gałęzie suche łamie nad rotami;
wicher dmie, świstają kule,
ryk dział tętni łoskotem,
a żołnierzy łany całe się kładą,
przeznaczeń walone młotem. —
Poznałeś serdeczny ból:
zanim dzisiejsze słońce przejdzie ponad lasem,
po bruzdach śniegu spłynie krew...

Chłopicki

(przejęty).

To nasza pozycya, — dziewczyno?

(groźnie, głośniej wołając na Maryę, by oprzytomniała).

dziewczyno!

Marya

(groźnie, prostując się, wskazuje na niego).

Wierzysz mej trwodze; — ty, ty byłeś nasz lew!
Znaj, czyją zbrodnia winą.
Znaj, czyim głosem wołam.
Lament mną szarpie i targa
bólem przeczuć, lęków grozą;

żali tej bolu przemocy,
tej wielkiej żałości podołam, —
żali nie zmoże mnie skarga? —
Struny harfowe przez pierś moją grają
i dźwięczą jęk i rozpacze.
Piorunie! O mą pierś twe groty skrusz i połam!
Ja wam, wróżka, wydarzenia znaczę,
jako jeszcze dziś spełnić się mają.
Byłam wolną,
oto mnie w kajdany zakuto.
Byłam panią, oto mam być sługą;
bom dłoń wzniosła,
skowaną dłoń nieudolną. —
Zagojone mi rany rozpruto.
Otom w niemocy,
żelazną spowita kolczugą...

Orędzie.

Zstąp, Gołębico, Twórczy Duch,
Byś myśli godne wzbudził w nas!
Ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
Spólnie żyjący, wzrośli wraz.
Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszechmogącego Boży dar,
Płomieniem piętno duszom włóż
Przez czeluść serc, zdrój żywy, żar.
Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą ojca — ojce wskrzesz,
W Obrzędzie roztocz wieszczy blask,
We słońcu dusze w lot Twój bierz.
Zestąp, Światłości, w zmysłów mrok!
Dobądź serc naszych zapał z łon,
By człowiek przemógł cielska trok
I mocen wzniósł się w męski ton.
Odwołaj wroga z naszych dróg,
W pokoju pokój zbawczy nam!
Powiedziesz nas, Wieszczący Bóg,
Przejdziemy cało złość i kłam.

Zwól — przez Cię w Tobie Ojca znać,
Zwól, by był przez Cię poznan Syn,
Zwól — w Tobie Światłość światu dać!
Zwól — z wiarą wieków podjąć czyn!

Z LIRYKI OSTATNIEJ DOBY.

LEOPOLD STAFF.

Kowal.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan, z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.
Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.
Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne,
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!
Bo lepiej giń, zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Melodye zmierzchów.

Autorowi „Melodyi mgieł" K. Tetmajerowi.

Porzućmy groty głuche, gdzie dzień nas zepchnął złoty,
Na świat biegnijmy, chyże na ziemię zwróćmy loty!
Zapada jasne słońce. Szybko, jak błyskawice,
Lećmy dłoniami mroku zakrywać słońcu lice,
W przepaści je zepchniemy, na złoty pył potłuczem
I wzlecim popod niebo, żórawi ciemnych kluczem.
Potem się rozpierzchnijmy, na wszystkie świata strony
I cicho rozwiewajmy zmierzchowych szat welony.

Obleczmy w czarny jedwab jeziora szybę gładką,
Biegnijmy czoła szczytów obrzucać cieniów siatką.
A gdy spotkamy słońca promień lub blask zbłąkany,
Tropmy go przez gór grzbiety, lasy i śpiące łany;
A gdy, ścigany, w wody zwierciadło ciemne wpadnie,
Gońmy go wśród fal cichych i w muł zagrzebmy na dnie;
Gdy w jar się skryje, wpędźmy w najgłębsze go szczeliny
I zasnuwajmy szarą tkaniną pajęczyny.
Lećmy wiotkie i ciche w sioła, w uśpione chaty
Z serc ludzkich smutków gorzkich wykradać plon bogaty.
I po błękitów bladej rozrzućmy je roztoczy,
Aż od nich całe nieba sklepienie się zamroczy.
Potem znużone, senne, milcząco i powoli
Połóżmy się, by spocząć w brózdy zoranej roli
I patrzmy, jak noc idzie ściąć ziarna gwiazd złociste,
Z których dla marzycieli rosną snów kwiaty czyste.

O słodyczy cierpienia.

itnij mi, łagodna dobrocią pogody,
cha duszo moja i raduj się w Panu,
ościem jest wybranym na cierpienia gody.
Pokój opuszczonemu mych barłogów sianu,
Kuli, co me zmęczenie pod ramiona trzyma
I tym, co wzgardę niosą dla mego łachmanu.
Kto idzie w szczyt, na stromą drogę się nie zżyma...
Bez męki pól i ramion skądby słodycz w chlebie?
Najtkliwszą jest opieką wiośnie sroga zima...
Jeno cierpieniem twardem w dojrzewań potrzebie
Pracuje duch... Od dłuta cierpi kruszcu bryła...
Że żniw jest ojcem — wszelki ból miłuje siebie...
Ból to radość, co jeszcze twarzy nie odkryła,
Wesele, co dopiero staje się, dojrzewa...
Cierpkim sokiem jabłeczna słodycz niegdyś była...
A słodka, złota jesień czeka wszystkie drzewa...

Bajka.

W mrok drzew
W odwieczny stary bór
wbiega

Bajka,
Dziecię grajka
z poza siedmiu gór...
Na mchu,
wsłuchana w szumu wiew,
Bez tchu
przylega,
W ócz zdziwienie
chłonąc cienie
Sennych drzew...
I śni:
Że w duszy psotnej
Dziw tajemny
zmyśli, ciemny,
Jak lęk ptaszy
i przestraszy
Tłum samotnych
starych pni...
Więc gwarzy dziw,
Co szedł przez groźne jary,
Północą przez pieczary,
Ze strachu ledwo żyw;
Prawi wieść,
Że zbóje, czarownice,
Pacholę bladolice
Chwyciwszy, chciały zjeść...
A las słucha
rozhoworów...
Słuchają paprocie,
Modra mucha
i jaszczurki
w centek złocie...
Ludek muchomorów
krasnych
wzniósł kapturki...
Wszystko słucha — —
A bajka,
Dziecię grajka
z poza siedmiu gór,

Już się boi
gadek własnych...
Trwogą źrenice otwarła,
Niema stoi,
dech zaparła
i przyklękła,
Tuląc się do pnia bez słów...
Sama sobą się zalękła,
czarem swoich snów...
I w głos płacze, we łzach cała,
Że się w borze zabłąkała...
Ubawił się serdecznie stary, dobry bór...

O zbawczej ułudzie.

Stąpajmy cicho... Pani nasza chora...
O, byle przetrwać tę głuszę wieczora —
Bo nieostrożną jest zmierzchu godzina...
Dom nasz okrąża mrok i zła nowina...
Śmierć w miasto weszła... przechodzi ulice...
Śledzi... odchyla każdą okiennicę...
Wynieście kwiaty więdnącej zieleni...
Chora woń zwabi ją do naszej sieni...
Ściszcie łkające muzyckie narzędzie...
Cóż, że żal chorej, gdy jęk zdradzać będzie...
Nie płaczcie... Duszę, co wpada w rozpacze,
Nieszczęściu smutki zdradzają i płacze...
Nieszczęście nie zna celu, błądzi w mroczy...
Gdzie słyszy imię swe, tam zwraca oczy...
Zasłońmy łoże pani swemi szaty,
Niech pieśń radosna brzmi z naszej komnaty...
Odrzućmy boleść, niech leży odłogiem —
Z uśmiechem stańmy w oknach i przed progiem...
Gdy się nieszczęście tu u wrót ukaże,
Minie dom, w którym uśmiechnięte twarze...
Śmiech — ból oszuka... Tymczasem zadnieje...
Cóż żąć nieszczęściu, gdzie mu nikt nie sieje?...

JAN LEMAŃSKI.

Wół i żóraw.

Wiosną, kiedy żórawie
I inne włóczęgi
Z cudzoziemskich wróciły wód
I w młodej trawie ojczystej brodząc
Za żerem (wszędzie ściga nas głód),
Zwiedzały błonia, moczary i łęgi;
Kiedy owadom miłosne mgnienie i śmierci erę
Zwiastował czarną jaskółek przylot;
Kiedy mazgaje słowiki żonom po gajach kwilą;
Gdy nad ruczaje chwiejne wikliny
Liście pochylą; kiedy motylom już porzucono,
Jak nowe cacka,
W darń polne kwiaty dziecinnookie;
Kiedy pastucha, grając tęsknicę swoją,
Z prostactwa
W wylot fujarki stukał „palicem";
Gdy w jarach jaśmin i głóg zakwita,
Powój zroszoną wypręża czarę: —
Orką strudzony pod żyta jare, Wół
Na pastwisku legł, nieciekawe oko
W dal wlepił i żuł murawę.
Żóraw, co właśnie był na tę chwilę
Skończył swą wartę,
Skierował w stronę Wołu badyle nożne
I rzekł w te słowa nieco utarte:
— Witaj mi, jego mości wołowa.
— Witajcie, kmotrze. Goście z was rzadcy.
— Jak zdrowie radcy?
— Ot, aby — aby. A wam jak służy?
— Dziękuję, nieźle, jak po podróży.
— Powiedz też, panie obieżyświacie,
Czy na obczyźnie słodsze są żaby
I czy nie nuży wciąż tak się szastać
Po Bożym świecie? Mnie bo przechadzka nawet
Do sioła z roli obrzydła: jest bez pożytku.
Wybacz, jeżeli tem cię obrażę, alebym wolał,

Żebyś raz osiadł już, do stu jarzem!
Co cię tam woła?
— Dość mam was bydła, mój czworonogu,
Wiosną i latem! Gdybyś miał skrzydła,
To mógłbyś pojąć, co mnie tak goni.
Bodaj w Assyryi czy Babilonie niegdyś bywały
Hufce skrzydłate wołów czy byków,
Słowem mołojców: te wzlatywały
Nad ziemską trawę... Lecz dzisiaj niema
Ni ojców byczych takich ni matek!
Pługi wam tylko
Włóczyć niemrawem cielskiem w zagonie!
Gnój wam na podściół i czarna skiba!
Cała poezya w was — chyba kwiatek
Przy sztuce mięsa — po marnym zgonie
Za murem jatek!
Słuchał wół, słuchał, i coraz niżej
Ciężka się schyla głowa wołowa.
— Tak, tak... Lecz co tam kmotrze... baj-baju...
Jeśli cię latać już tak przypila —
Toć możesz w kraju.
Jeśli koniecznie już tam w niebiosy-ć trzeba,
Czyż mało swojskich przestworzy?
Alboto u nas ptaków nie dosyć,
Którym nie śniło się o podróży,
I żyją — żyją cały rok Boży?
A jakto miło co dnia w rodzinne
Wracać pielesze w pobliżu chaty
Albo na strzesze... Cenią cię, strzegą...
A przyjdą mrozy, to z indykami
Masz pomieszkanie: ciepło, jak w uchu,
Na zawołanie wikt —
— I rozmowa z pseudokolegą,
Który nad studnią kubełek trzyma, —
Życie — niczego!... Zrozumiej, Wole,
Że nie każdemu znów się uśmiecha
Kołkiem zabita rodzinna strzecha...
Czy wam tak wiecznie żyć przeznaczono
W ciepłym stosunku z radłem i broną?
Czy wam tu nigdy, nawet we święto

Dusze nie płoną?... I gdzież wy myślą
Jesteście, kiedy wytchnienia cisze
Legły wieczorne, kiedy uprzęże
Zdjęto z was, kiedy zwolna ustają
Roboty rolne i noc się lęże?
Czy was, w mozole wołów oślepłych,
Już w nozdrza kole wszystko,
Co nie tchnie odorem mierzwy?
Czy wam, ratajom, nic się tu nie śni,
Że tam przedwieczne w kamiennej cieśni
Szlochają morza, że obłąkany wichr
Puszcze łamie, że po szkieletach
Brną karawany; że góry tają żar i płomienie
Law, na zniszczenie prac od stuleci?...
Wam dobrze, którym dość, że rozsądny
Wiatr kornie dźwiga wał wiatraczany,
Że owinięta we mgły, tumany, śpi
Ziemia płaska — dobrze wam; ale
Nas, ptaki, łowi tu człowiek „cwany"
W wyzysku pęta... Ot masz —
Bocianom już niemowlęta każą przynosić!
Albo studziany żóraw? — zeń drewno,
Skrzypiące skargą, w poziomym trudzie
Zrobili ludzie. Im jeno pozwól,
Wnet cię zaprzęgą. O, sambyś pewno,
Stary ciemięgo, zaryczał raźniej,
Gdybyś mógł z nami fruwać nad ziemią,
Tam pod chmurami, kiedy w tryanguł zgięci
Lecimy — tam... Czy dasz wiarę? — tam niema zimy:
Na lodozwały górskie wygnana
Ziębnie samotna w bieli skostniałej.
Tam rozbiegane morze się tłucze w dole
O skalną krawędź i pieni
I, łamiąc dłonie z bladej bezsiły,
Powraca w tonie, a my — wzniesieni — lecimy —
Klangor dzwoniący!
— Tak, tak... poezya... dziecinada...
Wyobraźnia chora... Mój kmotrze,
Nie żyje się od wczora, słucha się,
Gada, toć zawsze coś — nie coś o uszy się otrze.

Górne loty!... Poezya!... Znam ją.
Pamiętam, gdym byczkiem tylim — ot był,
Od stadam odbiegł raz i luzem chadzając,
Wlazłem w zakazaną wyczkę.
Cóż powiesz? Poskubawszy trochę,
Wróciło się z guzem do obory — i finis.
Takie rzeczy plamią.
Szczerze ci powiadam: rzuć latanie płoche;
Jak mnie tu żywego widzisz —
Najlepiej przy pracy...
Ale com to chciał mówić?... Powiedzno,
Dlaczego wy, ptacy,
Jeśli lubicie obcy daleki kraj ten,
Jeśli łaskawsze są dla was te morza, te spieki,
Nie zostajecie w tym kraju na zawsze?
— A ty, szanowna arko rolnicza, powiedz,
Czy nigdy nie gna cię w pole
Nic oprócz bicza? Jakże z tym majem?
Pytasz, dlaczego tam na obczyźnie
Nie pozostaję? Dlaczego wracam?
Wracam, ponieważ tutejsza wasza
Wiosna... ponieważ... E, co tu gadać!... Jest chwila,
Kiedy ból ci się wśliznie w serce
I dręczy tak, że zaśpiewasz, krzykniesz
I lecisz... Chcesz najdalej być od krainy,
Gdzie wszystko pali,
Gdzie sztywny kaktus się rozpanasza;
Gdzie aloesy, tkwiące w szczelinach,
Grzeją zielone cielska, jak płazy;
Gdzie oschły cyprys ponuro wwierca
Korzeń w upłazy; gdzie cień mordują żary i susze...
Gdzie rzeki niebu oddają dusze,
Pokotem leżąc, pousychane, jak wężów skóry...
Widać to z góry... Widać, jak pinie zgarbione,
Małe, na szczyt się skrabią wyżyn, upałem
Zdjęte; w przelocie widzisz odarty
Z kory eukalyptus uwiędły, chory, i palmę,
Która w cień nie odziewa pnia,
Co bezlistny, jak kij żebraczy,

W pustynnym blasku!...
U was inaczej!
Tu już wiosenna przeszła ulewa.
Mokra, spłókana czerni się droga,
Niebo różowi ranna pożoga; leniwe chmury
Pół-senne biegą, i przydrożami — hen, wedle płotu.
Wsiowi zdążają zwolna, gęsiego.
I nad rosami pól wczesnem ranem
lecąc, obejmiesz skrzydłem zmachanem
Widok tych nizin, tych błot i błoni,
I padniesz w łące, w kwietnej ustroni.
Tu cię muzyka — jak najgoręcej wita
Owadzi chór i ptaszęcy;
Tu ci radośniej dźwięczy brzęczenie
Mizernej muszki; radośniej kwitną
Małe kwiatuszki, co swe liściny
Chwieją posłuszne lichym wietrzykiem;
Twój nawet, wole, kadłub mnie cieszy!...
— Przerwij, Żórawiu, do stu lemieszy,
Nudną tyradę! Niech tam już sobie
„Kwiatuszki“ rade, ale mi nie chwal much,
Tych hultajów bąków —
Pijawek, co wciąż mnie kłują!
Dość tych zabawek!
Precz z tym owadem, precz z tobą, z majem!...
To ja przy sosze wylewam w glebę
Ostatnie poty, od ludzi batem dostaję,
Od was pogardę znoszę, hołoty, —
naści!...
Tu, chcąc Żórawia przebość, nastawia
Już do napaści łeb, ale Żóraw
Zerwał się z muraw, i to go zbawia.
Wół, rozjuszony,
Ziemię w rankorze kopytem orał
I traw zielony liść kalał śliną,
A ptak zaśpiewał jakowyś chorał
I w lazurowe — hen, ku wyżynom —
Leciał bezdroże.

Bajka o kurze, o dyamencie i o sztuce.

Im niższe w hierarchii
Bytowej żyjątka,
Tem mniej cenią rzecz, która
Nie jest dla żołądka.
Pierwotniaki za życia
Jedyne zadanie
Mają: przyjęcie żeru
I jego oddanie.
A prawda... jeszcze jeden
Cel jest dla nich — trzeci:
Mieć podobnych do siebie
Jaknajwięcej dzieci.

* * *

Zdarzyło się raz kurze,
Rozgrzebując śmieci,
Znaleźć przedmiot, co nie da
Zjeść się, ale świeci.
Był to dyament. Świetlanych
Nie lubiąc omamień,
Kura precz odrzuciła
Drogocenny kamień.
— Ach — mówi — nadaremnie
Dziób mój w głaz ten stuka:
Nie daje mi korzyści
Ta świecąca sztuka.
Że też jest coś na świecie,
Czego brać w żołądek
Nie można! To jest nonsens!
To jest nieporządek!
Słysząc nad dyamentem
Te refleksye kury,
Urągającej sztuce
Czystej, człek niektóry
Podniósł ten klejnot, otarł
Z niego brud i kurze
I powiada: — Nie rzucaj
Dyamentów kurze.

Jest pośród nas niejeden,
Który czystej sztuki
Adeptów i wyznawców
Pokrajałby w sztuki.
Taki pan idzie w życiu
Onej kury śladem,
Która chce, aby wszystko
Było zbóż pośladem;
Która wszędzie dla trzewiów
Pożywienia szuka,
Bo dla niej jest najwyższą
Ta poślednia sztuka.
A ta, która migoce
Światłem, jak dyament,
Taką sztuką pogardza
Kur autorament.
Są i ludzie — powiedzmy
Tu dokumentarnie,
Którzy od słońca wolą
Lampy i latarnie.
Tak. Jest sztuka, jak maryaż
Dla posagu żony,
I jest sztuka — przez miłość
Związek skojarzony.
Tak. Jest sztuka dla zysku,
Tytułu, posady,
I sztuka, która ziemski
Rusza świat z posady.
Tak. Jest cnota dla dobrej
W społeczeństwie noty,
I bezinteresowna
Cnota jest: dla cnoty.
Jest prawda tylko na dzis,
I prawda wieczysta;
Jest sztuka, która brudzi,
I jest — sztuka czysta.

LUCYAN RYDEL.

Mojej matce.

Wstań, pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych łun,
Przez tryumfalne łuki tęcz
Płyń w lazurową nieba toń
I dźwięcz i dzwoń.
Pod tobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,
W zielonych sadach cicha wieś
I świegot ptasi w gąszczach łóz,
I dymy, które wiatru dech
Gna z nizkich strzech.
Pod tobą łany chlebnych zbóż
I wstęgi rzek,
I szafirowe tafle mórz,
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
I orłów lot...
O, płyń przez gwiazd promienny pył
W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmęt krwawych skier,
W blask opalowy — leć i toń
I dźwięcz i dzwoń!
Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon

I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień, blaskami przetykany...
— Mnie tu wpośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba, i te łany,
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...

I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrze się wloką
Daleko, szeroko
Na czarne role, na płowe ścierniska.
We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem, jak ołów.
Wron stada kraczą nad zoraną smugą.
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.
I padają z drzew,
Jak ulewa złota.
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.
Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno
Ja najlepiej wiem...

III.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła —
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!
Przeklęta jest — po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada,
Co znosi srom.
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.

Meduza.

Twarz jej widzę w ciemnościach, dech jej czuję blizki,
Pochyla się nade mną zielona i sina,
Na jej czole wybladłem rój wężów się wspina
I w łusek centkowanych mieni się połyski.
Prężą się, kurczą w drgawkach, rozdziawiają pyski,
Z migotliwych języków ocieka im ślina
I świszcząc, każda ku mnie wzdyma się gadzina,
By na szyję swój pierścień zarzucić mi ślizki.
Ale stokroć straszniejsze, niż oślizłe gady,
Których splot wściekły syczy, gmatwa się i kłębi —
Są te dwie łzy czerwone na jej twarzy bladej.
Żaden mróz tych piekielnych kropel nie oziębi;
Płyną, krwawe po sobie wypalając ślady:
Tak rozpacz tylko płacze w ducha czarnej głębi...

Modlitwa Królowej Korony Polskiej.

Synu mój, Boże, oto ja na czele
Poddanych moich padam na kolana,
W proch się przed Twoim Majestatem ścielę,
Łzami zalana!
Królową swojej Korony mnie zowie
Naród mój biedny, co mi służy wiernie,
Lecz ta Korona złota na mej głowie —
Rani, jak ciernie!

Bo z łez jej perły, ze krwi jej rubiny,
Złoto jej ciężkie, jak kajdan żelastwo...
Synu Niebieski, ziemskie moje syny
Są wrogów pastwą!
Patrz: cała Polska pod mój płaszcz się garnie
I z pochyloną w jarzmie wrogów szyją
Jękiem się skarży na swoje męczarnie:
Matko! Maryo!
A ja, bolesna, jako na Golgocie,
Słucham ich płaczu, serce krwią mi broczy
I żebrząc dla nich łaski, zwracam do Cię
Błagalne oczy...
Grzeszni są, Panie, lecz w piekielnej pysze
Stokroć są gorsi ciemiężce zuchwali,
Ich serce jadem nienawiści dysze
W piersiach ze stali.
Grzeszni są, Panie, lecz sto lat pokuty,
Sto lat niewoli przetrwali za karę,
A duch wynieśli jadem nie zatruty
I żywą wiarę!
Grzeszni są, Panie, lecz Ty, co przyrzekasz:
„Ja nadłamanej trzciny nie dołamię“,
Na prośbę Matki już ich dłużej nie karz,
Powściągnij ramię!
Na żywot Matki, na piersi matczyne,
Które Cię karmią, na krzyż Twój i mękę —
Błagam: Odrodzin przybliż im godzinę!
Podaj im rękę!

JERZY ŻUŁAWSKI.

Nie warto.

Nie warto marzyć! Snów już i marzeń bezczynnych
W twardego życia walce zamarła epoka:
Ludzkość, syta już bajań i kwileń dziecinnych,
Innego żąda śpiewu, innego proroka!
Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
Nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniecisz płomienia:
Umilkli trubadurzy, — starą rdzawe pleśnią
Strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół-pienia...

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
Przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
Nie pojmą dźwięku, szydząc, nad piewcą boleją...
  Nie warto... Wiem to dobrze — a jednak, gdy ręka
  Uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
  Miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!...

Nurek.

Jak nurek w mórz odmęty, tak się człowiek rzuca
W wiry życia, w szał walki. W mrocznych toniach płynie,
Szuka skarbów na oślep, czasem blizkie minie,
Czasem dłużej nie dadzą słabe szukać płuca.
  Poszukiwań jednakże gdy słabość nie skróca,
  W chwili, kiedy na brzegu sądzono, że ginie,
  On wypływa i zdobycz, wydartą głębinie,
  Przed oczyma zdziwionych na piasku rozrzuca.
O, szczęśliwy, gdy muszle wybrał perłodajne!
Zbogacony i braci przystroi swym darem,
Jeśli jednak miast pereł wziął małże zwyczajne
  I z plugawym z przepaści wypłynął ciężarem,
  Stokroć lepiej mu było zatonąć w otchłani!
  — Bracia nurki! My światu co przyniesiem w dani?...

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ XIX WIEKU W ZARYSIE.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I.

LITERATURA W KRAJU W 1830—1863.

Tło historyczne i kulturalne popowstaniowej literatury w kraju.

Ucisk systemu mikołajowych rządów.

Po upadku powstania cesarz Mikołaj rozwinął działalność w dwóch kierunkach: zagłady autonomii i takiego podkopania narodowej samoistności, żeby dusza zbiorowa polska zlała się z duszą rosyjską. W 1832 roku zamiast zniesionej konstytucyi wprowadził Statut organiczny, zapewniający opiekę dla religii katolickiej, nietykalność osób i własności, język polski w administracyi i sądownictwie, wolność druku, oddzielny rząd. Żadnego jednak z zaręczeń Statutu nie wypełnił. Zbudował cytadelę, skazywał na śmierć i na więzienie uczestników powstania i przez to naruszał nietykalność osób. W 1831 i 1832 raz 5000 osób, drugi raz 45.000 osób szlacheckich wywiózł z gubernii zachodnich nad Wołgę; w tym samym roku nadzwyczajny pobór wojska wyprowadził z kraju 20.000 ludzi w głąb Rosyi.

Własności prywatnej także nie uszanowano: ogólną wartość majątków, skonfiskowanych w Królestwie, obliczano na 20 milionów złp.; część zaś tylko skonfiskowanych na Litwie majątków oceniano na 32 mil. rubli srebrnych. Administracyę zaprowadzono rosyjską, podzielono kraj na gubernie i poddano je zarządowi generałów rosyjskich. Wolność druku zniesiono przez wprowadzenie cenzury.

Ale najcięższym okazał się ucisk religijny. W roku 1833 wezwano biskupów do Petersburga i zaproponowano powrót swobód w zamian za poddanie się synodowi a zerwanie z Rzymem. Gdy się nie zgodzili, zaczęto nawracać unitów litewskich i białoruskich na prawosławie, i męką, głodem, darami oderwano 3.000.000 ludu od Kościoła; zaczęto zamykać klasztory, zabierać ich mienie, w razie biernego oporu nawracać przemocą.

Nie poprzestał jednak rząd cesarski w dążeniu do przekształcenia duszy polskiej na ucisku religijnym. Zamknięto Towarzystwo Przyjaciół Nauk, uniwersytety warszawski i wileński, liceum krzemienieckie; zabroniono młodzieży wyjeżdżać za granicę: dopiero 25-letni wiek uprawniał za opłatą dwustu rubli rocznie do wyjazdu za granicę. W 1839 wprowadzono do szkoły średniej rosyjski wykład. Otwarto w 1834 rosyjski uni-

wersytet w Kijowie. Dla niewiast założono w Puławach t. z. Instytut aleksandryjski, aby wychować matki w duchu rosyjskim. Szkolnictwo ludowe upadło. Ukaz z 1846 znosił chłopskie „darmochy“ i nie przyczyniał się do zgody między stanami. A ciągłe knowania emigracyi w kraju pogarszały ostry system ucisku. W Bernie szwajcarskiem powstała organizacya Młodej Polski, celem wywalczenia ludowi wolności, a jej zasady przyjęło Stowarzyszenie ludu polskiego zrazu w Krakowie, później we Lwowie, gdzie na czele stali Seweryn Goszczyński i Szymon Konarski. Ostatni udał się na Litwę i tam, jako też na Wołyniu i Podolu, werbował obywateli i młodzież. Ujęty, strasznie męczony (krajano go żywcem i na rany lano płonący spirytus i roztopiony lak), zginął na szubienicy w 1839. Centralizacya, uznawszy, że powstanie dojrzało, zaczęła krzątać się około wybuchu we wszystkich zaborach. Plan opracował Ludwik Mierosławski. Wybuch miał nastąpić 21. lutego 1846. Ale generalicyę aresztowali Prusacy i osadzili w berlińskim Moabicie, Kraków zajęli Austryacy. W Galicyi rząd niemiecki przez mandataryuszy wmawiał w chłopów, jakoby szlachta chciała przywrócić niewolę ludu. Jakób Szela, chłop ze Smarzowy, uformował z urlopników hufiec, aby mordować szlachtę. Za nim poszli chłopi w bocheńskiem, sandeckiem i przemyskiem. W ten sposób ofiarą mordów bratobójczych padły dwa tysiące ludzi.

Rozruchy rewolucyjne.

Niebawem ruch rewolucyjny w Europie wywołał i w Polsce nowe wrzenie. Uwolniona w Berlinie generalicya zawiązała w Poznaniu Komitet narodowy, który zbroił się do wojny z Rosyą; zorganizowano trzy zbrojne zastępy: pod Trzemesznem, Pleszewem i Środą. Zjechał atoli do Poznania generał Willisen, sprowokowano walki, osłabiono oddziały i cały ruch upadł w maju 1848 r. Nie lepiej działo się w Krakowie i Lwowie. W Krakowie 26. kwietnia z zamku przez dwie godziny bombardowano miasto, poczem nastąpiła kapitulacya. We Lwowie ze wzgórzy w listopadzie przez cztery godziny ostrzeliwano miasto. Bez rezultatu Polacy tworzyli w tym nieszczęsnym roku legiony: Adam Mickiewicz we Włoszech, Ludwik Mierosławski w Sycylii, Henryk Dembiński, Józef Wysocki i Józef Bem we Węgrzech. Wszędzie powstańczy ruch stłumiono. Nie lepiej powiodło się twórcom legionów kozackich i polskich w czasie wojny krymskiej w Turcyi: Michałowi Czajkowskiemu i Władysławowi Zamojskiemu. Ze śmiercią Mikołaja i pokojem, zawartym przez Aleksandra II, system rusyfikacyjny w Królestwie zrazu złagodniał. Założono akademię medyko-chirurgiczną. Zezwolono na Towarzystwo rolnicze, którego prezesem został Andrzej Zamojski, pragnący Polski, lecz bez protektoratu Rosyi. Gdy zaczęły się manifestacye tłumne i tłumione bezwzględnie, wówczas na widownię wystąpił w charakterze cywilnego naczelnika kraju Wielopolski, a z nim nowy system: związku z Rosyą bez niepodległości. Wielopolski niejedno dobre sprawił; podniósł oświatę, założył w 1862 Szkołę

Zamojski i Wielopolski.

główną. Niechętny jednak Zamojskiemu, zniósł Towarzystwo rolnicze, zraził szlachtę i przyczynił się do utworzenia dwóch partyi: czerwonych i białych. Gdy powziął i wykonał 15. stycznia 1863 przymusową brankę rekrutów, chcąc jednym zamachem wyłowić i w sołdacki zamknąć mundur czerwonych, w odwet nocą z 22. na 23. stycznia wybuchło powstanie. Nie ziściły się tedy ani na chwilę błagania pierwszej osoby kordyanowego prologu w 1833 r.:

Boże, ześlij na lud twój, wyniszczony bojem,
Sen cichy, sen przespany — z pociech jasnym zdrojem...

Wprawdzie zapadł naród w pierwszym lat dziesiątku w odrętwienie, lecz raz wraz budziły go zeń ciosy dotkliwe.

Nasz byt kulturalny w tym lat dziesiątku wykazuje tylko wątłe ślady ruchu piśmienniczego w trzech dzielnicach. Dopiero następne dziesięciolecie pozwala narodowi ochłonąć i jąć się skrzętniejszej pracy.

Zwrot do szlachetczyzny Polski niepodległej w literaturze.

Oprócz wielu pomniejszych dwa głównie źródła zasilały treścią literaturę krajową pomiędzy powstaniem listopadowem a styczniowem. Pierwszem źródłem było życie szlachty za Polski niepodległej i rola szlachty w chwili bieżącej. Początki tego źródła sięgały Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a mianowicie pragnień zachowania następnym pokoleniom pogrobowców polskich duszy czasów minionych. Stąd płynęły pamiętniki i śpiewy historyczne Niemcewicza, stąd walterskotowskie powieści różnych autorów, stąd *Pan Tadeusz*, stąd *Zemsta*, stąd Rzewuskiego *Pamiątki Soplicy* i Czajkowskiego *Czarniecki* czy *Wernyhora*, i Koźmiana *Czarniecki*, i Kaczkowskiego: *Gniazdo Nieczujów*, *Grób Nieczui*, *Starosta Hołobucki*, *Murdelio*, *Annunciata* i inne, stąd powieści historyczne Kraszewskiego, niektóre komedye, dramaty i powieści Korzeniowskiego. „Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos“ — pisał Słowacki. „Póki czas, obowiązkiem jest naszym — pisał Gaszyński — ocalać od zapomnienia to wszystko, co stanowiło typ pokolenia, którego jeszcze ostatnie szczątki przesunęły się nam przed okiem“. W tem źródle też rozmiłowana emigracya czerpała natchnienie do wielkich poematów, zwłaszcza gdy poczęły się wydawać materyały historyi polskiej wieków dawnych. Ku niemu zwróciła się i poezya romantyków: jedni widzieli przeszłość szlachecką w świetle zasługi i chwały, inni zaprawiali swój pogląd na nią dozą ironii. Najchętniej malowano wiek XVIII.; materyały dziejowe i tradycya dostarczały wątku; tęsknota za przeszłością zdobiła ją w barwy piękne. Ale i rola współczesnej szlachty zajmowała powieściopisarzy i poetów. O ile jednak dla dawnej szlacheckiej Polski niemal wszystkie wybitne talenty pisarskie miały słowa rzewne i smętne, jak kiedy się mówi o czemś, co minęło a czego żal, — o tyle rolę szlachty w żyjącem społeczeństwie i powieść i poezya oceniały surowo

i bezwzględnie: tu odrodziła się satyra przeszłowieczna, odmieniwszy jeno szatę ozdobną na powieściową. Powieść też wzięła na siebie zadanie rugów resztek cudzoziemczyzny w zakresie obyczaju, kultury, wychowania i czytelnictwa. Stała się formą literatury najpoczytniejszą, dostępną dla coraz szerszych kręgów; stała się mistrzynią charakterów i wychowania dusz. Ona krytycznie oceniała przeszłość, rozwiązywała zagadnienia chwili bieżącej i była inicyatorką przyszłości. Pod jej skrzydła tulił się i prąd ludowy, który stał się drugiem głównem źródłem literatury. Już poezya romantyczna świadomie czerpała z tego źródła podania, pieśni, klechdy. Czyniła to atoli dla ozdoby, dla zasilenia poezyi świeżym ożywczym pierwiastkiem; dola ludu i jego spółczesne przeżycia mało interesowały poezyę. Dopiero podczas powstania listopadowego i po jego upadku przekonano się, że bez ludu niema odrodzenia. Ale przekonano się niebawem, że lud jest żywiołem narodowo martwym, że wymaga wielkiego nakładu wysiłków i pracy, zanim w wielkiem dziele odrodzenia narodu stanie ramieniem do ramienia szlachty.

Ludowość z ornamentu literackiego romantyków staje się zagadnieniem społecznem.

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł-pacholę“ — mówił w swem widzeniu ks. Piotr. Słowacki słyszał pod plewiem mogiły narodowej dziwne ciągłe, głuche kucie, jak gdyby serce ludu w kamień biło i wołał:

Czujcie, ludy, bo wkrótce będziecie, jak bogi.

Krasiński zapewniał, że „w prostem wieśniaczem plemieniu zaród wszystkich wielkości narodu“, a w kilka lat potem wzywał: z szlachtą polską polski lud...

Rosła sprawa ludowa, stając się pilną, nieodzowną, piekącą... Że w ludzie drzemią siły niewyzyskane a wielkie, to się wydawało jasnem; że należało je narodowi przyswoić, to odczuwano niewątpliwie. Ale byli jedni, którzy pochopnie chcieli w mętnej wodzie łowić dla siebie ryby; byli inni, którzy, nienawiścią ślepi, wpychali żagiew płonącą w dłonie ludu, prąc do kainowych czynów; byli trzeci, którzy, jak Ujejski lub Kraszewski, w słońcu sprawę widzieli:

Wielką rodziną sioło, bratem młodszym kmiotek;
Dwór izbą jego radną, spichrzem na złe lata;
Jeden na wsi i dworze warczy kołowrotek,
Jedna ich dola wiąże, jedna ziemia brata,
Jeden obyczaj, odzież i język, i chata...

Bądź co bądź już wtedy rozumiano, że pierwszem zadaniem — poznać lud w jego codziennym trudzie, w jego życiu materyalnem i duchowem, a następnie, uznawszy go za brata wielkiej narodowej rodziny, nieść mu pomoc, oświatę, zwłaszcza zaś miłość braterską.

Aleksander Fredro
malarzem Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego [1]).

Komiczne i satyryczne typy i sytuacye w komedyach do 1828 r.

W okresie utrwalania się w naszej literaturze romantycznego prądu, t. j. w latach 1820—1830, pisali już dzieła, aczkolwiek nie brali bezpośredniego udziału w literackiej walce, dwaj autorowie. Pierwszym był Aleksander Fredro. Samouk, żołnierz w 1812 roku, z usposobienia poważny, skłonny nawet do smętnych dumań, nie rokował, że stworzy komedye o staropolskim humorze i jowialności. Widok teatru francuskiego z tragikiem Talmą i studya molierowskiej komedyi obudziły talent. W 1819 r. napisany *Geldhab* nie znalazł wprawdzie u klasycznych recenzentów łaski, jeden bowiem zadecydował, że „podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie", a drugi, „nieruchomy klasyk ostrokuty", dał wyrok, „że zły papier, atrament za blady", lecz publiczności i dziennikom podobał się. Mimo braku zręcznej i zawiłej intrygi, mimo braku komicznych sytuacyi — komedya już jaśnieje zdolnością tworzenia postaci.

Krotochwila *Nowy Don Kiszot czyli sto szaleństw* powstała z przerobionej *Intrygi na prędce* i niedwuznacznie zwraca się przeciwko romantycznym wiekom kawalerstwa.

Przeciwko literackiemu gustowi czasu zwrócona komedyjka *List* wprowadza Celinę, która skrycie pisze najnowszym stylem romans, a prócz Celiny trzpiota Zdzisława, późniejszego Gustawa ze *Ślubów* i czułego Radosta. Płochość w układach małżeńskich znajduje nauczkę w *Pierwszej lepszej*, gdzie rolę straszaka bardzo rezolutnego odgrywa Julia, przebrana za Martę żmudzinkę. Subtelnej umiejętności związania intrygi dowodzi *Zrzędność i przekora*, gdzie rozwikłanie wysnute zręcznie z psychologii dwóch starców.

Z powodzeniem grał teatr warszawski *Męża i żonę*, chociaż niektóre loże uważały sztukę za niedość moralną. Jakkolwiek w obyczajach Księstwa istniało rozluźnienie, to jednak komedya maluje się za jaskrawo, za wesoło. Poza tem komedya budzi rosnący interes, a główna rola, złożona w ręce nader sprytnej subretki, Justysi — unikata w galeryi fredrowskich typów — czyni intrygę nieco molierowską, lecz na sposób francuski krętą i dowcipną.

W związku z czasem pozostaje komedyjka *Odludki i poeta*. Polot poezyi i młodzieńczy zapał walczy tu ze zrzędnością zgorzkniałego starca.

Błahą treścią, lecz iskrzącym się humorem celują komedye: *Nikt mnie nie zna*, *Damy i huzary*, *Ciotunia*. Zwłaszcza ostatnia

---

[1]) Stan. Tarnowski: Studya t. II. Przegląd Polski. 1877 — 8.
Wal. Gostomski: Arcydzieło komedyi polskiej. Ateneum 1899.
Piotr Chmielowski: Nasza literatura dramatyczna t. I. Petersburg 1898.
Kucharski Eug.: Geneza *Zemsty*. Bibl. Warsz. 1909..

wprowadza dwie postaci zajmujące: ciotunię Małgorzatę i Szambelana.

Zarówno w komedyach wymienionych, jak i w *Cudzoziemczyźnie*, *Gwałtu, co się dzieje*, napisanych w pierwszym okresie do roku 1828, ośmieszał Fredro wady obyczajowe: karyerowiczostwo, zamiłowanie obcej mody, zalotnictwo, pustotę salonowych zabaw; powtóre analizował z satyrycznem zacięciem motywy życiowe doby, jak poezyę i prozę, zgorzkniałość i zapał, uniesienia fantazyi i kaprysy indywidualności. Nawet przeszłość obyczajową już uczynił przedmiotem swej obserwacyi. Formalnie zaś, co do ilości powołanych do scenicznego życia figur i wymyślonych sytuacyi komicznych, nie miał sobie równego już w tym okresie twórczym. W r. 1828 ożeniwszy się, osiadł w Beńkowej Wiszni i w następujących latach niezamąconego szczęścia stworzył wielkie swe dzieła: *Śluby panieńskie*, *Zemstę*, *Pana Jowialskiego*, *Dożywocie*.

Intryga *Ślubów*.

Intryga *Ślubów* zaczyna się właściwie od momentu, kiedy Gustaw dowiedział się, że Klara i Aniela przyrzekły na „kobiety stałość niewzruszoną" nienawidzieć ród męski i nie wychodzić za mąż, co więcej, kiedy wbrew własnej zarozumiałości przekonał się po oświadczeniu Anieli, że serce jej dlań obojętne. Wówczas (akt II. sc. 7) ułożył intrygę, aby je zdobyć. Plan Gustawa powiódł się. Właściwa tedy część komedyi roztacza wdzięczny obraz stopniowego powstawania uczucia w sercu Anieli.

Charaktery.

Możemy z rosnącem zajęciem śledzić główne momenty psychicznej przemiany u Anieli. Widok to równie zabawny, jak poetyczny. Stanowi on wielki wdzięk komedyi. Zresztą nie jedyny. Gustaw także się zmienia. Trzpiot, fanfaron, pustak, dopóki nie kocha; z chwilą, kiedy się zajął Anielą, dojrzewa, wie, czego chce i czuje swą siłę. Nie traci ani wesołości ani dowcipu, a nabiera pewności siebie. Uczucie tchnie szczerością i ma w sobie cechy siły. O ile Gustaw jest wolą, energią, czynem, o tyle Aniela jest bierną, choć uroczą. Polska niewieścia dusza: czuła, beznamiętna, tęskna, do poświęcenia gotowa. Taka Marya, taka Amelia, Salomea i Lilla. Kontrastem jej jest Klara. Ona inicyatorką niedorzecznych ślubów. Zabawna, pusta, chwilami niemiłosierna, zawsze wesoła.

Nastrój, dyalog i styl komedyi.

Komedya nie jest satyrą. Unosi się nad nią pogodny, dobry uśmiech poety. Akcya, pełna ruchu, nie zasępia się ani na chwilę gorzkiemi łzami i cierpieniem. Ludzie są dobrzy, mają serca, lecz żółci mało. Życie w domu Dobrójskiej płynie bez chmur i burz, jak w Soplicowie. Komedya ma dyalog krótki, dowcipny, zręczny, styl mało obrazowy bez dobitnych lub malowniczych przenośni. Osoby, mówiąc, okazują tę nagłą przytomność umysłu, która w danej chwili nie pozostaje dłużną przeciwnikowi ani w jednym szczególe polemicznym. Fredro umie pewne pojęcia tak wydoskonalić w stylu, pewne sytuacye tak określić zwięźle i trafnie, że wyraz lub określenie może się stać przysłowiowem. Tak Krasicki

szulera nazwał „hrabią na żołędzi“. Tak Radost określa Gustawa:

Trzpiot w sprawie — piskorz w stawie jeden diasek,
Tu go trzymasz — tu nie masz: w oczach pewny piasek.

Słowem, komedya pod względem jasnego nastroju, dobroci osób, komicznych sytuacyi, scen, dyalogu, intrygi, polskości, wdzięku nie ma sobie równej w naszej literaturze.

Historyczność typów *Zemsty.*

Zemsta jest inną: napół historyczną. Dwie obok siebie biegną akcye: razem się schodzą, rozłączają i znów splatają. Są to: zemsta za mur graniczny i miłość Wacława i Klary. Ludzie tutaj jeszcze niepodległej Polski. Cześnik Raptusiewicz, możny karmazyn starej daty, walczył w konfederacyi barskiej pod Łomazami, Słonimem i Podhajcami. Gwałtowny i nie cierpiący oporu, lecz prędko się ucisza i wtedy dobrotliwy a szlachetny. Nie zna obłudy i podstępu; szablą lub najazdem urazy swe koi. Podobny typ istniał w przeszłości naszej, odżył i w literaturze. Taki był Rey, Leon Borowski, takim w poezyi Miecznik lub Sędzia. Odmienny rejent Milczek. Uniżony, zgięty we dwoje, o kocich ruchach, nie jest mniej dumny od Cześnika. Ma złość zimną, czai się, jak lis i kąsa milczkiem, jak gadzina. Jest obłudnikiem. Ilekroć co złego zrobi lub umyśli, powołuje się na Bożą wolę:

Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba...

I tacy u nas byli, zwłaszcza śród palestry 18 wieku. Najcelniejszą atoli figurą w komedyi jest rotmistrz Józef Papkin, w jednej postaci: pieczeniarz, błazen, junak, blagier, kłamca, tchórz, fanfaron. O takim mówi Plaut w swym *Żołnierzu samochwale*, takiego wysławia Szekspir w swych komedyach, o takim wspomina Górnicki w obrazku dworzanina — rycerza.

Samochwalstwo i tchórzostwo Papkina, konsekwentnie przeprowadzone w komedyi, tem większym komizmem celuje, że Papkin jest rotmistrzem; wzorował się Fredro w rysunku tej jedynej teatru naszego figury na legionistach, którzy, Europę przebiegłszy w bojowych przemarszach, przynosili do ojczyzny zasób przewag i przygód i bajali o nich często zapewne nie bez koloryzowania.

Znaczenie *Zemsty.*

Zemsta obok postaci, podobnie jak *Śluby*, obfituje w sceny i sytuacye tak komiczne, że mają moc bawienia wielokrotnego. Pamięta się takie sceny, jak: Papkin u Rejenta, Cześnik dyktuje list Dyndalskiemu, Rejent z murarzami protokół pisze, a mimo tego ponownie odtwarzane — ponownie weselą. Godną uwagi w tej komedyi jest niejaka analogia z drobnymi rysami mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza.* Nie tylko Cześnik i Sędzia, Rejent i Assesor, Podstolina i Telimena mają rysy zbliżone, ale i spór o zamczysko odpowiada sporowi o mur graniczny. Fredro motyw sporu wziął z tradycyi szlacheckich ziemi sanockiej. Wskazują nawet nazwiska rodów, czyniących sobie na złość po sąsiedzku. *Zemsta* pod względem artyzmu nie dorównywa *Ślubom*, ma jednak

tę zaletę, że odtwarza przeszłość obyczajowo-historyczną niepodległej Polski, jakkolwiek akcya rozgrywa się w początkach 19. wieku.

Pan Jowialski. Intryga *Pana Jowialskiego* polega na tem, że nudzące się wiejskie towarzystwo w domu Pana Jowialskiego, spotkawszy w ogrodzie przebranego za chłopa powieściopisarza Ludomira śpiącego, postanawia przenieść rzekomego chłopa do dworu, przebrać za sułtana i wmówić, że jest najjaśniejszym. Najważniejsza postać tytułowa Jowialski, żywą obdarzony fantazyą, łagodny, wyrozumiały, uprzejmy, złotego serca, — bez tchu sypie przysłowia i koncepty. „Rodzaj konceptów i dowcipu Jowialskiego jest typowy, wyobraża jedną charakterystyczną stronę polskiej wesołości, upodobanie w anegdotach, dykteryjkach i facecyach, które było u nas zawsze, było w wieku XVI i dziś jeszcze się znajduje — i pomiędzy reprezentantami polskiego humoru, od dawnych Pszonków i Stańczyków począwszy, przez Pana Paska i Krasickiego aż do Henryka Rzewuskiego — zawsze wymienić trzeba Jowialskiego". Intryga atoli komedyi niezręczna, nieprawdopodobna, niekształtnie w całość zszyta, nieraz się w toku akcyi rozkleja.

Dożywocie. Lepsze w tej mierze *Dożywocie.*

Chodziło o skąpstwo i rozrzutność. Łatka, Orgon i Twardosz — skąpcy, Birbancki, Filip i Michał — rozrzutnicy, tworzą galeryę typów jednego i drugiego rodzaju. Niezwykły jest Łatka. Dla złota poświęca wszystko: zdrowie, godność własną, szczęście i narzeczoną. Nerwowy, o bujnej wyobraźni, gadatliwy, sypie, jak z rękawa, koncepty; wcale pomysłowy i czynny, wynajduje sposoby, zaklina, wzywa Pana Boga i wszyskich Świętych, kłamie, jak z nut, byle ocalić zagrożone dożywocie. Przeciwnie Twardosz: zimny, nieubłagany i pewny swego. Komedya tryska humorem, obfituje w komiczne sytuacye, ale też ma sceny nieprawdopodobne.

Fredro po r. 1835. Powyższe dzieła powstały do 1835 roku. Potem Fredro nie napisał już komedyi tak dobrych, jak końcowe, choć pisał ich sporo: *Wielki człowiek do małych interesów*, *Ożenić się nie mogę*, *Lita et Compagnie*, *Wychowanka*, *Ostatnia wola*, *Jestem zabójcą*, *Godzien litości*, *Rewolwer*, *Dwie blizny*, *Brytan Bryś*, *Świeczka zgasła*, *Pan Benet*. Najlepsze z tej licznej seryi są pierwsza i dwie końcowe. Scena ujrzała je dopiero po śmierci autora, który od r. 1835 nie chciał nic wystawić, zrażony zbyt ostrą oceną dzieł przez Sew. Goszczyńskiego w artykule *Nowa epoka poezyi w Polsce.*

Goszczyńskiego krytyka pism Fredry i jej skutek. Krytyk zaczyna od przysłowia: *Ne rodysia krasnym a rodysia szczasnym* i dowodzi, że nie zasługa prawdziwa, nie chęci czyste, ale zbieg okoliczności wpłynął na rozgłos Fredry. Zarzuca „wymanierowanie języka trybem francuskim", który to język „płynny, jak woda, ma smak wody, zarzuca karykaturalność figur, odmawia zaszczytu narodowości: „Pasztet przysłów bez związku z charakterami jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu

jestto rys jego kosmopolityczny". Otóż wszystko, co ma stanowić narodowość komedyi Fredry, podług Goszczyńskiego, nie ma znaczenia.

Fredrę i dawniej trapiła myśl, że komedye jego są nudne, że do stworzenia dobrego dzieła brak mu naukowej podstawy... Teraz żalił się na sąd ten we wierszu *Pro memoria* i postanowił do teki chować dzieła. Nie wydał nic do śmierci. Dopiero książka Stanisława Tarnowskiego uzasadniła w niezbity sposób wielkiego komedyopisarza polskiego zalety i oznaczyła stanowisko w literaturze.

Znaczenie Fredry.

Zerwał on z trzema jednościami, ograniczył rolę służących w intrydze, skrócił dyalog, umiał w rozpędny ruch akcyi puścić figury, umiał zaobserwowane u licznych osób rysy komiczne skupiać na jednej postaci, tworzył komiczne sytuacye, posiadał bogaty zasób komicznej plastyki w swej wyobraźni. Jego komedye zatem bawią. Ale gdyby tylko bawiły, nie moglibyśmy mu przyznać wielkości zgodnie ze słusznem zdaniem Słowackiego: kłosów żadnych ludziom nie wysieją śmiechy. Komedye Fredry wskrzeszają przeszłość Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, owe lata tęsknych i radosnych oczekiwań, lata nadziei, o których marzy pieśń, bo one żyły przeczuciem niepodległej Polski. Jakże często wtedy śpiewano: Jeszcze Polska nie zginęła, zanim zaczęto śpiewać: Boże, coś Polskę..., a nareszcie: Z dymem pożarów... Ta jasna doba wstaje w dziełach Fredry, jak żywa.

Cały ten świat przeszły, dobry i wesoły, i zdrowy; bez namiętności i zbrodni, ogrzany słońcem bez chmur i piorunów, jest polskim światem i Fredro do głębi polskim jego twórcą.

Józef Korzeniowski reformuje dramat, pisze satyry komedye i powieści [1]).

Korzeniowski głosi potrzebę lirycznego dramatu.

Opodal od walki literackiej, podobnie jak Fredro, stał refleksyjnego temperamentu pisarz Józef Korzeniowski. „Zostawiony od dawna własnym siłom — pisze w r. 1819 — miałem szukać karyery w pracy, w książce i piórze, do którego paliła się młoda głowa, rojąc wziętość, reputacyę, rozgłośne imię. Snuły mi się po głowie wielkie, klasyczne i pełne gwałtownych tyrad tragedye — i umysł mój od pierwszej młodości skłaniał się do tego rodzaju poezyi".

Poznawszy jednak Ludwika Osińskiego i jego warszawski teatr, zaczął zmieniać upodobanie do klasycznego repertuaru.

---

[1]) Klem. Kantecki: Dwaj Krzemieńczanie t. II. Lwów 1879.
Dr. Br. Czarnik: Korzeniowski i teatr lwowski od 1822 — 1844. Lwów 1896.
Piotr Chmielowski: Józef Korzeniowski, Petersb. 1897.
Tenże: Nasza literatura dramatyczna, Petersb. 1898.
Majchrowicz Fr. Józef Korzeniowski, jako pedagog, Lwów 1897.

„Pozawracał (Osiński) głowy publiczności francuskim teatrem — skarżył się — chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach, źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza". Podobnie we wierszu do Fr. Morawskiego w 1823 roku woli „dzieła tych pisarzy,

Gdzie życie tchnie i ogień talentu się żarzy,
Niż te pracowitości dzieci wyprężone,
Wśród boleści poczęte, chłostaniem kształcone,
W których wszystko poprawne, z prawidłami zgodne,
Polerowne, jak marmur, lecz, jak marmur, chłodne.

W tym też czasie, opracowując kurs poezyi, obmyśla warunki dramatu: ruguje trzy jedności, domaga się, aby każda osoba po swojemu się wyrażała, a co najważniejsza, określa, na czem polega dramatyczność dyalogu. „Można sobie wyobrazić — mówi — że działanie lub przemiany zewnętrznego lub wewnętrznego stanu osoby albo już się stały i minęły albo się dopiero w tejże chwili dzieją. W pierwszym razie rozmowa osób działających będzie zawsze opowiadaniem, choćby forma była dyalogowa. Lecz jeżeli przemiany powstają i rozwijają się w czasie rozmowy i przez nią, wtenczas dopiero jest dyalog dramatyczny". Tak Korzeniowski pojął istotę dramatycznego stylu i starał się teoryę poprzeć czynem w takich dramatach, jak *Klara* (1820), *Aniela* (1823), a zwłaszcza *Mnich* (1824).

Mnich — tragedya napoły grecka, napoły Szyllerowska.

Mnich — to Bolesław Śmiały. Niegdyś zbłądził. W Ossyaku jest osobistością zagadkową. Niema w sercu jego ciszy zakonnika. Rozmawia ze sobą, błąka się po urwiskach, nie śmie wejść do świątyni, chwyta się za piersi w zadumie, raz chce samobójczo rzucić się w przepaść Sławoboja, raz pada pod drzwiami celi twarzą ku ziemi. Kipi w nim walka — o co? Oto przybywa ksiądz i ogłasza straszliwą klątwę na zabójcę św. Stanisława. Przybywa Szreniawita i poznaje w mnichu zabójcę. Akt trzeci wyjaśnia tajemnicę duszy Mnicha. Wie on, że tylko w części zawinił, że ciężej zawinili jego doradcy, zwłaszcza Szreniawita. Ludzie nie znają stopnia jego winy, Bóg jednak widzi skryte czynów pobudki. Stąd owa surowość wymiaru ludzkiej kary: duża istnieje różnica między sprawiedliwością ludzką a Boską. Ona stanowi jeden moment tragicznego konfliktu, zgodny z pojęciem tragiczności u starożytnych. Ale obok tego konfliktu istnieje jeszcze wewnętrzny. Mnich wdział szatę zakonną, poszedł na wygnanie, sądząc, że dopełni pokuty. Ścigają go jednak furye. Dlaczego?

Streng büsst' ich's ab mit allen Kirchenstrafen,
Doch in der Seele will der Wurm nicht schlafen —

mówi Szyllerowskie motto na dziele. Jawi mu się biskup, symbol sumienia i domaga się, iżby starł w sobie pychę, przebaczył swym

kusicielom, przebaczył Szreniawicie, wówczas sam uzyska przebaczenie. Gdy mnich to czyni — umiera. Są więc w tragedyi ślady wpływu klasycznego, lecz są zarody konfliktu nowożytnego. Jest Adalbert, podobny do Antygony, lecz jest szekspirowskie widmo biskupa. A w stylu dramatycznym podług własnej teoryi autora tylko akt trzeci; poprzednie są w przeważnej części epiczne. Bądź co bądź pierwsza to polska tragedya, nie wedle wzorów francuskich tworzona, — i w tem jej znaczenie. Dramaty *Bitwa pod Mozgawą*, *Dymitr i Marya*, *Piękna kobieta*, *Piąty akt* i inne nie zjednały Korzeniowskiemu pożądanego rozgłosu, choć wyrobiły mu uznanie w szczupłem kole czytelników. Nie zdołały tego dokonać nawet tak rodzime utwory, jak *Karpaccy górale* (1840) i *Andrzej Batory*, osobliwie pierwszy. *Karpackich górali* wydobył poeta z życia, osnuł na rzeczywistem zdarzeniu ludowem; znał Żabie, Kszyworównię, lud huculski; dwukrotnie noce spędzał wśród górali, podziwiając ich zwinność, wesołość i rozsądek. Piękność fizyczna, odwaga, głębokie przywiązanie do gór, poczucie własnej godności cechują lud i Antosia Rewizorczuka, który, jako bohater, jest szlachetnym, dobrego serca, lecz podrażniony staje się gwałtownym i mściwym. Dzieło to różni się w niektórych znamionach od reszty dramatów Korzeniowskiego. Napełnia je młoda, dzielna, świeża, orzeźwiająca, górska atmosfera. Poeta, zazwyczaj apostoł idei posłuszeństwa jednostki dla ustaw porządku społecznego, tu otacza sympatyą ideał swobody, niezupełnie zgodnej z karbami tego porządku. Uzyskuje rys ten wyraz silny o tyle, że gra się rzecz śród ludu i sprężynę działania stanowi służba wojskowa, naówczas u nas ciężka dla wieśniaka. Zresztą dramat nie daje widoku psychologicznego konfliktu, ani żywej i rozgałęzionej akcyi.

Inne dramaty. *Karpaccy górale.*

Kiedy pisał *Karpackich górali*, żył już na kresach wschodnich w Charkowie i znał społeczeństwo wołyńsko-ukraińskie, oraz rządy tam cara Mikołaja. Po katastrofie Szymona Konarskiego rząd wzmocnił ucisk. Ukazy carskie zmuszały młodzież polską do służby w Rosyi; natomiast stamtąd nasyłano rosyjskich oficerów, których wojska stały między Dniestrem i Dnieprem. Cały system rządu pracował nad tem, iżby odwrócić umysły od polityki, a zająć je zabawą. Bawiono się też. Nastąpił okres bałagułów, skórkowych, kiedy konie, psy, karty i kieliszek wypełniały życie mężczyzn, kiedy panie mówiły językiem polsko- francuskim, czytały romanse i stroiły się, lud zaś w ciemnocie i biedzie sycił swą niechęć do panów. Takie stosunki uczyniły Korzeniowskiego satyrykiem i moralistą. Występował przeciwko samolubstwu, nieuctwu i materyalizmowi życia, zwalczał przesądy kastowe, wystawiając ich śmieszność i szkodliwość, bronił ojczystego języka i tradycyi, a równocześnie stwarzał postaci idealne, które miały być wzorem dla ogółu. Były to ideały średniej miary, praktyczne, ziemiańskie, pożytek jednak przynieść mogły.

Tło satyry Korzeniowskiego.

Wtedy to zwrócił się do komedyi i powieści. Wtedy powstała

Satyra na rodową i pieniężną arystokracyę wołyńską.

komedya *Żydzi* (1843) i powieści *Spekulant* (1845) i *Kollokacya* (1847). W *Żydach* maluje trzy grupy ludzi: żydów z szalbierstwa, żydów z urodzenia i ludzi prawych. Wśród pierwszych dwaj więksi: hr. Ponicki i prezes Zadzirnowski, oraz rzesza małych: rządca Ponickiego Pazurkiewicz, pomocnik Zadzirnowskiego Rubelkowski, szlachcic Brzydkiewicz. Każdy z tych żydów-chrześcijan popełnia czyny, którymi dowodzi braku skrupułów dla środków zdobycia pieniędzy. W drugiej grupie są głównie dwaj: Aron i Baron. Pierwszy ceni grosz, bo wie, że żyda bez grosza niewiele ceni społeczeństwo, ale sam rzetelny — ufa ludziom, bardzo ostrą prawdę w oczy mówi i nie oszukuje. Drugi jest przechrztą, lecz uczucia i kulturę ma chrześcijańskie. Trzecią grupę stanowi księżniczka Zofia i rodzina Staroświęckich. Z tą kwestyą satyry społecznej łączą się mniejsze: sfrancuziałość kobiet, stosunek sfery średniej do arystokracyi, sprawy wydawnicze, księgarskie i literackie. Komedya była przez spółczesną krytykę za arcydzieło uznana, co da się wyrozumieć zgodnością pomiędzy demokratyzmem krytyki, a zwróconem przeciwko magnatom ostrzem satyry tej komedyi. W istocie zaś na uznanie zasługuje tylko dosadność charakterystyki postaci w trzech scenach satyrycznych, oraz żywość dyalogu. Grupa postaci idealnych traktowana nieco sentymentalnie, postaci zaś komiczne nie nowe, gdyż hrabina ma wzór w Starościnie z *Powrotu posła*, Szenionowa zaś w Robronckiej z *Mazepy*.

Satyra na bałagułów.

I w powieściach brzmi silnie ta satyryczna nuta. Egoizm, trwonienie sił i majątku, śmieszny przepych dorobkiewiczowski, a z drugiej strony obywatelskie zasługi, umiarkowany demokratyzm i delikatność uczuć znalazły wyraz w *Spekulancie*, dając jej znaczenie obyczajowego dokumentu pewnej chwili i w jednej naszej dzielnicy kraju.

Podobnie rzecz ma się i z *Kollokacyą*.

Satyra na życie nad stan i utratę ziemi.

Powieść służy idei, że grzechem społecznym jest: żyć nad stan, trwonić ziemię, nie pracować. Powieść ma szereg dobrze malowanych postaci, szereg zabawnych scen, wiąże się trafnie i ściśle z rzeczywistem życiem na kresach, wskazuje w obrazie rodziny Starzyckich ideał praktyczny i potrzebny, jest więc już nie tylko dokumentem czasu, lecz i wskazaniem dla nas na czasy dzisiejsze. Aktualność jej dotąd nie wygasła. A mimo swych zalet powieść nie zjednała rozgłosu autorowi, jakkolwiek wnet za nią poszły *Wędrówki oryginała* (1848), *Ksiądz Gwardyan* i *Krzyż na stepie*.

Propaganda praktycznych ideałów.

Dopiero działalność literacka Korzeniowskiego w okresie między 1850—63 rokiem wysunęła go na czoło literatury w kraju. W radach, dawanych społeczeństwu w tym okresie, kładł on nacisk: *a*) na podstawę religijną w myślach, uczuciach i postępowaniu, *b*) na jasne i trzeźwe liczenie się z warunkami bytu, *c*) na pracę uczciwą i sumienną w jakimkolwiek zawodzie: urzędowym, lekarskim, artystycznym, handlowym czy rzemieślniczym.

W *Nowych wędrówkach oryginała* Jan Firlej, dorobkiewicz-magnat, bierze się do przemysłu; kupiwszy Firlejów, zakłada fabryki, napełnia kraj rękodzielnikami, tworzy ochronki i szkółki dla dzieci mieszczan i ludu, buduje w gminach szpitale, porządkuje drogi i mosty, urządza gospody, słowem usiłuje uczynić połać kraju jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu. Uboga szlachta ma też wskazówkę, żeby imała się pracy, zapewniającej niezależność. „Nie wszyscy mogą i powinni iść taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie, pisał w 1856 r. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas, kończących szkoły, daleko więcej, niźli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nie ustępujących go nikomu". Obrazowo tę myśl przedstawia w najlepszej swej powieści p. t. *Krewni* (1857) Są to dzieje dwóch braci, z drobnej szlachty pochodzących. Eugeniusz wychował się u możnego krewnego kasztelana i doznał w życiu wielu upokorzeń; drugi, Ignacy, nie mogąc w Warszawie znaleźć dostatniego kawałka chleba w urzędowaniu, zostaje stolarzem i zdobywa dla siebie i rodziny utrzymanie, dobrobyt, szczęście i szacunek swego otoczenia. Wielka ilość postaci, wprowadzonych do powieści, różnorodność interesów społecznych, które autor porusza, satyryczne oświetlenie sfery finansowej, wielka sympatya, z jaką traktuje sferę rzemieślniczą, śmiałe wskazanie drogi pracy rękodzielniczej dla drobnej szlachty, jeszcze śmielsze wskazanie środka poprawy w twardej służbie wojskowej dla Eugeniusza lub Pawła — wszystkie te zalety uczyniły *Krewnych* jedną z najlepszych powieści swego czasu. Niektórzy jednak krytycy — na czele znakomity krytyk Julian Klaczko — oburzali się na to, że Korzeniowski we wojsku rosyjskiem młodzieży polskiej każe szukać poprawy. Korzeniowskiemu nie szło o wojsko, lecz o myśl, że karność, znoszenie trudów, gotowość na śmierć mogą podziałać uzdrawiająco na duszę zniewieściałą i przez nadużycia zepsutą.

W szeregu powieści i komedyi, w latach 1850—1863 powstałych, jak *Wąsy i peruka*, *Podróżomania*, *Stary kawaler*, *Plotkarz* i powieści: *Emeryt*, *Tadeusz Bezimienny*, *Pan Stolnikowicz*, *Wyprawa po żonę*, *Wdowiec*, *Szczęście za górami*, *Ofiara i sumienie*, do celniejszych należy powieść z życia artystycznego p. t. *Garbaty* (1853). Korzeniowskiego artyści nie są skłonni do namiętnych uniesień; są to ludzie rozważni, nie porywają się na to, na co w mowie niema słowa, w ołówku zarysów ani farb w palecie. Garbaty Maryan wyrabia się długą, usilną, pełną twardego poświęcenia, pracą na charakter niezłomny, któremu łatwo świadczyć ludziom dobrodziejstwa kosztem zrzeczenia się osobistego szczęścia.

Znaczenie Korzeniowskiego.

Korzeniowski w trzech kierunkach pozostawił w literaturze 19 wieku trwałe ślady: w dramacie, komedyi i powieści. Rozpoczął od dramatu, który jednak zastąpił komedyą. W tej formie

wprowadził na miejsce fredrowskich typów — charaktery, ale równocześnie zlokalizował akcyę. Potem zaś dobrowolnie zmienił dramat na powieść. „Nie może on — pisał — wyrazić tego wszystkiego, co wyraża i ogarnia powieść. Ustąpi więc miejsca swej młodszej towarzyszce, pełnej życia, pełnej sił, swobodnej w swoich ruchach i ani miejscem ani czasem nie skrępowanej".

W metodzie powieściopisarskiej lubił moralizować, opisywał przedmioty bardzo szczegółowo, sposobem narracyjnym, nie nazbyt malowniczo, powoli i systematycznie; ludzi charakteryzował nie przez akcyę, nie przez ich czyny, lecz bezpośrednio czytelnikowi ich przedstawiając. Wogóle przeważał w twórczości jego rozsądek nad uczuciem i wyobraźnią. Główną jego siłą była obserwacya sfer szlacheckich, główną podstawą — praktyczna filozofia. Nieraz godzi w egzaltacyę uczucia, uważając je za nieszczęście. Poucza, że miłość winna iść w parze z rozwagą, że warunkami szczęścia są: religijność bez fanatyzmu, trzeźwe liczenie się z warunkami bytu i praca organiczna nie tylko na zagonie, ale także w rzemiośle i handlu. Komedya *Majster i czeladnik* i powieść *Krewni* — dzieła w tej mierze znamienne.

Henryk Rzewuski
wielbi szlachecką przeszłość. [1])

Geneza *Pamiątek Soplicy.*

Zgoła odmienny typ powieści stworzył Henryk Rzewuski. Ojciec Henryka był podobno niewyczerpaną studnią tradycyi, podań i anegdot, umiał obrazowo opowiadać, lubił otaczać się bajarzami i facetusami. Henryk nasłuchał się podań i historyi, jakby żył w świecie, który malował. Kiedy w r. 1830 w Rzymie pracował w Watykanie, napisał na żart parę opowiadań starym stylem, które skłonić miały Mickiewicza do rady, aby je ogłosił. Tak powstały *Pamiątki starego szlachcica litewskiego*, wydane dopiero w 1839 r. Składają się one z opowiadań Imć. Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego, o ludziach i sprawach konfederacyi barskiej lub cokolwiek późniejszych. Cześnik nie tyka w tych obrazkach warszawskiego społeczeństwa, bo sam mieszka wciąż na Litwie, należy do t. z. bandy albeńskiej ks. Karola Radziwiłła, Panie Kochanku; chodzi tu zatem nie o część Polski postępową, wyrosłą na łonie tradycyi dzieła *O skutecznym rad sposobie*, uległą ujemnym wpływom francuskim, lecz o sarmatów z głębi Litwy, gdzie królował ów niedźwiedź litewski, jak go w Warszawie nazywano.

---

[1]) Al. Tyszyński: Rozbiory i krytyki, T. III. Petersb. 1854.
Stan. Tarnowski: Henryk Rzewuski, Lwów 1887.
Piotr Chmielowski: Henryk Rzewuski, Niwa 1887.
Tenże: Nasi powieściopisarze, Kraków 1887.

Ludzie *Pamiątek*-*Soplicy*.

Ludzie *Pamiątek* malowani silnie i plastycznie. Dzierżanowski, pułkownik konfederacki, pełen męstwa, animuszu i rycerskiej fantazyi; Tadeusz Rejtan, idealny obywatel, trochę melancholijny, a nie czyniący ze czcią swoją i obowiązkami kompromisu, niezłomnej woli; ksiądz Marek, postać o wielkiej sile suggestyjnej na ludzi, fanatyczny patryota; pan sędzia Rewieński: cichy, słodki i miłosierny; sam książe Radziwiłł, trochę szusowaty, popędliwy, lecz dobrego serca i umiejący zjednać szlachtę, wiecznie wesoły, facecyonista, szlachetny i rycerski zwłaszcza z kobietami; Wołodkowicz, istny Jacek Soplica, warchoł i paliwoda; pan Borowski, bajarz, tęga głowa do wypitki, tak, że on sam jeden z pośród wszystkich przesilił księcia w piciu: — wszystko to natury sympatyczne, trochę myszką trącące, trochę grzybkowate nawet w ówczesnym świecie, ale niosące ze sobą tchnienie lepszego życia, szczęśliwszej przeszłości. Nic dziwnego, że jak w *Panu Tadeuszu* dla znękanej emigracyi otworzyły się widnokręgi światła, cichej wsi litewskiej, dostatku, poczciwych serc, beztroski i nadziei, tak *Pamiątki* były jakby recydywą tego zjawienia, tylko odkrywała się perspektywa na pokolenie odleglejsze, na dawniejsze, niż w *Tadeuszu*, lata. Emigracya mogła i musiała pokochać te postaci. Forma zaś *Pamiątek* była dziełem sztuki. Rzewuski odgadywał duszę szlachcica-ziemianina z 18 wieku w jej rozmaitości: barwy jej wyobraźni i porywy uczucia, postaci jej ideałów i przedmioty gniewnych uniesień, szarzyznę codziennego trudu i pompę obywatelskich wystąpień; bogatą pamięcią przyswoił słownictwo, sposoby wyrażania się; umiał je dostroić w sile i jakości tonu do charakteru każdej figury. Tem stało się, że *Pamiątki* czyniły wrażenie pamiętników. Ponieważ właśnie w 1835 wydano Paska, przeto posądzano nawet autora *Pamiątek*, że wynalazł pełnego talentu pamiętnikarza z 18 wieku.

Artyzm *Pamiątek*.

Malowniczy obraz wieku 18. w *Listopadzie*.

Z materyału *Pamiątek*, zachęcony powodzeniem, wysnuł Rzewuski w 1845 roku powieść historyczną p. t. *Listopad*. Roztacza ona w szerokim obrazie ścieranie się w 18 w. u nas dwu prądów kulturalnych: sarmatyzmu i francuszczyzny. Przedstawicielami ich są dwaj bracia: Michał i Ludwik Strawińscy, przeprowadzeni przez autora od kolebki do mogiły na tle bogatego splotu zmyślonych i historycznych wydarzeń, które łącznie malują we wcale przedmiotowem i wiernem oświetleniu: wychowanie młodzieży, bujne życie szlachty, jej procesomanię, obskurantyzm, gorące przywiązanie do katolickiej religii, pochopność do awanturniczych wojskowych imprez, oazy cnót patryarchalnych, poświęcenie dla dobra ogółu, a z drugiej strony: lekceważenie dla obyczaju ojczystego, zalotnictwo i uwodzicielstwo, racyonalizm religijny, skłonność do analizy filozoficznej i wyższy stopień nauki u dziatwy duchowej wieku oświecenia, wytworność i umiejętność życia, ale łatwość kompromisów z nieuczciwością i niesumiennością, słowem słabość woli i duchowego hartu we walce ze sobą. Powieść ma wprawdzie formę narracyjną,

lecz zarówno staranna charakterystyka osób głównych, jak mnogość sylwetek osób podrzędnych wraz z żywą akcyą i zajmującem zawikłaniem, w którem charaktery osób uzyskują wypukłość płaskorzeźby, świadczą o artyzmie autora i umiejętności stworzenia z obfitego dziejowego materyału dzieła sztuki, jakiem jest w pełnem słowa znaczeniu *Listopad*. Nie można go nazwać epopeją chyba dlatego, że nie wtajemnicza w polityczną sytuacyę narodu, w dążenia sejmu, nie zajmuje się budzącem się mieszczaństwem, ani dolą ludu.

Inne dzieła. Ocena Rzewuskiego.

Od wieku 18. przeszedł Rzewuski do wieków dawniejszych. Na tle dziejów Samuela Zborowskiego osnuł powieść *Zamek* krakowski. Na tle dziejowem umieścił też *Adama Śmigielskiego* i *Rycerza Lizdejkę*. Znaczenie Rzewuskiego, jako artysty-powieściopisarza, nie może jednak zasłonić tej cechy jego twórczości, że apoteozował błędy dawnej szlachty. Już ludzie *Pamiątek*, którzy wadzą się i przyjaźnią, sejmikują, procesują zapamiętale, wymyślają koncepty, są jako obywatele bierni.

Cudzoziemscy pisarze nazywali nie bez słuszności barbarzyńcem pana, który wolał polować na niedźwiedzie i baraszkować, niż szukać rozumu w księgach. Tymczasem w przedstawieniu Rzewuskiego wszystko lśniło złudnym i pięknym blaskiem: monitor boćkowski dla trzydziestoletniego syna, wydawanie córek za mąż bez pytania ich o zgodę, służalczość względem możnych, zatargi o kopce graniczne... Bardzo charakterystyczne jest zdanie Hoffmanowej: „Mój Boże, więc to tak było w dawnej Polsce i czy istotnie tak być mogło? A jeżeli tak, to jakże się dziwić, że upadło to, co takiem było?“ Ale wymienić tu trzeba jeszcze przykrzejszą właściwość tego zdolnego pisarza, niż apoteozę błędów dawnych. Zarówno w adnotacyach do Listopada, jak w książce *Mięszaniny obyczajowe Jarosza Beyły* w rozprawkach o przyszłości, o postępie, o wolności, o szlachcie, o arystokracyi dowodzi, że Polska jest trupem gnijącym, że dusza oddawna wyszła, a ciało nie da się ani wskrzesić ani uzdrowić. Porównując rozkład fizycznego organizmu człowieka z rozkładem społecznym, pisze: „I w społecznem także ciele robactwo coraz obrzydliwsze toczy szczątki, opuszczone od tego Boskiego ognia, który mu dawał jednolitość, ruch i życie. Tem robactwem są pokątne stowarzyszenia, chcące napróżno zatrzymać ten żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała. Z początku to robactwo będzie foremniejsze, bo wylęgłe w świeższem opuszczeniu organizmu. Ale w następnych jego formacyach, ród po rodzie coraz więcej się każąc, dojdzie do ostatecznych granic obrzydliwości. Będą zrazu promieniści, filarety, potem związki patryotyczne: kosyniery, templaryusze, a nakoniec skórkowi i bałaguli, których nazwiska najlepiej wyrażają cele i dążności: pierwsze nazwisko jest godłem bydlęcia, drugie posługacza żydowskiego. Już więcej zniżyć się nie można“.

Te słowa mówią same za siebie.

Józef Ignacy Kraszewski
tytan pracy [1]).

Bystry spostrzegacz, niestrudzony pracownik, w 18 roku życia począł ogłaszać pod pseudonimem Kleofasa Fakunda Pasternaka powiastki, jak *Biografia sokalskiego organisty* (1830), *Wieczór czyli przygody peruki*, *Wielki świat małego miasteczka* i inne, za bohaterów biorąc ludzi małych, malując szarzyznę życia, tworząc karykatury. Ale pierwsze występy nie przyniosły powodzenia. Dopiero *Poeta i świat* (1839), powieść, ostro malująca antagonizm między rzeczywistością a uniesieniami poezyi, zwróciła uwagę ogółu na powieściopisarza. Podobne zagadnienie rozwija *Powieść bez tytułu.* (1854). Poezya uważa się za kapłaństwo: poeta powinien być bez skazy. Świat obwinia go i spotwarza, nie rozumiejąc pobudek czynów, poeta zaś nie dba o pozory, lecz czyni według nakazów własnego sumienia, smutny i dumny, bo nieskazitelny. Czuje się ciosy, jakimi świat mści się nad wyższością, widzi się geniusz, zagłuszony przez miernych pyszałków. Wszystko wzięte w części znacznej z nieporozumienia pomiędzy światem młodym i starym, między ideałem a rzeczywistością, między talentem a jego imitacyą. Obie te powieści są dokumentami naszej kultury w pewnym okresie czasu.

Powieść na tle poromantycznej niezgody ideału i rzeczywistości.

Kraszewski tymczasem po r. 1840, gospodarując na wsi, w Gródku, wiosce pod Łuckiem, zaczął się obok mnogich prac interesować losem ludu. Kraszewski u siebie zniósł „daremszczyzny i daniny". Na kresach Polski już zaczęły kiełkować myśli o uwłaszczeniu chłopów, zwłaszcza że car Mikołaj nie lubił szlachty. U nas myśli te żyły od dawna, a w miarę zajęcia się ludem, nabierały cech nieodzownej społecznej potrzeby. Kraszewski też szereg powieści poświęca omówieniu stosunku wsi do dworu, szalę naszej sympatyi usiłując na stronę wsi przechylić. W powieści *Ulana* swawola dziedzica staje się przyczyną zagłady rodziny chłopskiej. W *Budniku* (1847) znowu roztacza się widok samowoli dworu wobec poddanych. W powieści p. t. *Ostap Bondarczuk* z losów sieroty chłopskiego, który wykształcił się razem z paniczem w Berlinie na doktora i po powrocie zniósł upokorzenie poddańczej niewoli, ze stosunku przyjaźni doktora Bondarczuka z hrabią, z miłości tegoż doktora ku hrabiance, odwzajemnionej przez nią, wynika, że Kraszewski niweluje przepaść, wykopaną między stanami przez herby; uzdolnienie, nauka, szlachetność uczuć, energia czynu nie są zależne od dyplomów szlacheckich, lecz każdej duszy właściwe, a przez kulturę i pracę wewnętrzną podniesione, mogą zdobić w wyższym nawet stopniu chłopa, niż

Powieści ludowe.

---

[1]) Piotr Chmielowski: J. I. Kraszewski, zarys histor.-liter., Kraków 1888.
J. Kallenbach: Józef I. Kraszewski, Tyg. Ill. 1888.
Br. Chlebowski: J. I. Kraszewski, Warsz. 1912.
Albin B. Brzostowski: Jak Kraszewski pracował? Tyg. ilustr. 1887.

magnata. Powieść *Jaryna* (1850), w dalszym ciągu zamująca się losami Ostapa, przedstawia zwycięską jego walkę z własnem sercem, zawieszonem pomiędzy miłością hrabianki a miłością Jaryny, którą poślubił. Obowiązek zwycięża w duszy mędrca, dojrzałej przez cierpienie i ofiarne podporządkowywanie własnych wygód dobru obcemu. Inne zagadnienia porusza *Chata za wsią* (1852), powstała „z widoku lepianki na rozdrożu za wioską wołyńską, ozłoconej ostatnim zachodzącego słońca promykiem, w tych szczęśliwych czasach, gdy powieściopisarz żył na wsi, napawał oczy lasami i zielenią, codzień ocierał się o życie ludu i słuchał jego rozmów. To też *Chata za wsią* cała jest na wzorach z natury, na żywych bytu ludowego materyałach osnuta". W części pierwszej do katastrofy prowadzi małżeństwo Motruny z cyganem Tumrym. Ściga tę parę nienawiść całej wsi, żywiołowa odraza plemienia osiadłego do koczownika. Doprowadza ona Tumrego do samobójstwa. Ale jest jeszcze inna idea w powieści: namiętna żądza włóczęgi staje się dla rodziny źródłem niedoli. W drugiej części córka Tumrego i Motruny skrzętną pracą, skromnością i pobożnością okupuje pioruny przekleństw, skupione nad gniazdem rodziców. Wraz z dzielnym Tomkiem Choińskim ona zakłada kamień węgielny pod nową rodzinę. *Chata za wsią* poddaje życie ludu po raz pierwszy w powieści XIX wieku mikroskopowemu badaniu, opisuje drobnostkowo to życie, darząc je sentymentem i domagając się względów dla tych, którzy „mniej od nas wiedzą pewnie, ale czują równo, jeśli nie silniej, a więcej i lepiej zgadują, bo w nich mówi serce, a serca słuchać umieją".

W *Ładowej pieczarze* (1852) Kraszewski maluje przymierze i wzajemną pomoc wsi i dworu. W tym wołyńskim okresie życia „wśród pól i lasów, na wsi" oprócz ludowych pisał Kraszewski powieści ze sfer innych: średniej szlachty i magnackiej, pisał powieści historyczne, zajmował się sztuką i filozofią, wydawał opisy podróży i studya literackie, poematy i komedye, zawsze jednak za najważniejszą formę swej twórczości mając powieść. W roku 1854 powstała czterotomowa powieść *Dwa Światy*. Podobnie jak w *Ostapie Bondarczuku* zestawia sferę ludową i arystokratyczną, w *Dwóch światach* zaś — szlachecką i magnacką. Podwójna z powieści wysnuwa się idea: siły czynnej szlachty średniej nie mają celu podpierania możnych fortun; arystokracya musi się sama nauczyć pracować. „Wierzę w arystokracyę — mówi szlachetny Atanazy Karliński — jako w sługę czasu i kraju, przewodniczącą do ofiary, jako w kapłanów przyszłości". Tę samą myśl rozwinie Kraszewski później w obrazie p. t. *Morituri*. Akcya odbywa się i tu w 1850 roku. Można rodzina książąt ginie, podcięta i zniszczona przez swego niegdyś sługę. Wszyscy tej rodziny członkowie szlachetni, prawi, wykształceni, stokroć wyżsi od swego zaciętego wroga, podobnie jak Wenedzi w dramacie Słowackiego — *morituri*, gdyż nie umieją pracować produktywnie. Tak Kraszewski w szeregu powieści obejmował

Powieści z różnych sfer.

wszystkie stany: lud, średnią szlachtę i magnatów, tym ostatnim nie szczędząc kart ujemnych, niekiedy ostrych, zwłaszcza gdy chodziło o kosmopolityzm, sobkostwo, zamknięcie się we własnej sferze i wyzysk sfer innych. Najsurowszej stan ten poddał krytyce w *Komedyantach* (1854), nie oszczędzając zgoła zgrai dorobkiewiczów, podobnie jak Korzeniowski w swych *Żydach*. Oba te utwory mają dużo pokrewieństwa w sytuacyach i ludziach. Nie tylko jednak społeczna satyra zajmowała Kraszewskiego w okresie wołyńskim. Około połowy 19. wieku ożyło u nas zajęcie się dziełami i teoryami malarstwa. Kraszewski gromadził zabytki sztuki, pisał słownik artystów polskich, entuzyazmował się dla artystów i malował rozdźwięk między opinią a talentem, między ideałem a rzeczywistością. Pisał *Pod włoskiem niebem*, *Pamiętniki nieznajomego* i *Sfinksa* (1847), zastanawiając się nad zagadnieniami sztuki jeszcze przed Korzeniowskiego *Garbatym* (1853). W *Sfinksie* przeniósł dzieje malarza Jana Rugpiutisa na tło historyczne stanisławowskiego wieku, lecz pojęcie życia i sztuki odpowiada połowie wieku 19. Mityczna postać sfinksa, pół ludzka pół zwierzęca, stała się tu symbolem artystycznej natury, ale i natury wogóle, która czatuje na człowieka z zagadkami. Na szkłach starych widać sfinksa, trzymającego łapę, wspartą na trupiej czaszce: życie i zgon. Lecz sfinks, wyobrażany w postawie siedzącej, o potężnem cielsku i małych skrzydłach — może być rozumiany jako artysta. Głowa ludzka — to duch; ciało zwierzęce — więzy materyi; rozwinięte skrzydła — zapał, który nie uniesie kamiennego potwora od ziemi. Gdy się Rugpiutis po długich manowcach i niedolach żywota znalazł w klasztorze, zatknął krzyż na swym sfinksie: człowiek i ludzkość, półzwierzęcia, półanioła, ulatującego tęsknotą do wieczności. Swego Rugpiutisa wiódł ku losom Kraszewski z zamiłowaniem, nie bez umysłu wybrawszy go ze sfer najniższych. Kraszewski w powieści tej zgromadził wszystkie swoje serdeczne wątpliwości, poglądy na sztukę, której był wielbicielem. Ceni osobliwie prerafaelitów. Malarz nie powinienby wypuszczać z rąk Żywotów Świętych i martyrologii. Wyraz wszystkiem: on celem odrodzonej sztuki. Grecka sztuka szukała tylko pięknej linii do wydania swej myśli; nowa, nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt zewnętrzny i wydobywa na jaw duszę.

Sfinks jest obrazem z życia artystów w połowie 19 wieku.

Kiedy w 1863 Kraszewski opuścił kraj i osiedlił się w Dreznie, zmieniały się stopniowo postaci jego twórczości o tyle, że zmniejszył się obręb obserwacyjny, wskutek oddalenia się od kraju. Zrazu pod pseudonimem Bolesławity tj. sławiącego bole narodowe, piętnował Wielopolskiego, białych, a bronił i wielbił młodzież i manifestacye. Z czasem stawał się w swem zapatrywaniu na rewolucyę coraz przedmiotowszym. Tak powstały: *Dziecię starego miasta*, *Szpieg*, *Para czerwona*, *My i oni*, *Żyd*, jedne mniej, drugie bardziej tendencyjne. Niebawem w 1866 rozpoczął wydawać t. z. *Rachunki* i wydał tych rachunków sumienia narodo-

Działalność publicystyczna Kraszewskiego po styczniowem powstaniu.

wego za lata 1866, 1867, 1868 i 1869 tomów cztery. Byłyto księgi krwią i łzami pisane, jak sam we wstępie zeznaje: *cum ira et studio*, a celem ich: budzić społeczeństwo, aby po klęsce nie popadło w apatyę. Omawia też w nich krytycznie i z ostrą zaprawą satyry ruch patryotyczny, umysłowy i kulturalny we wszystkich dzielnicach, nie szczędząc ani rzeczy ani ludzi. Roznieca wiele gniewu, ale ożywia zajęcie i ma czytelników rzesze. Nowy pomysł, siła szczerości, żartki sposób wykładu myśli, ostrość polemicznego zacięcia, nadawały artykułom *Rachunków* niemniej znaczenia, niż aktualność spraw. Zaprzestawszy ich, rozpoczął wydawać nieperyodyczne pisemko *Omnibus*, wnet zaś *Tydzień polityczny, naukowy i literacki*, a zakończył ówczesne publicystyczne prace dziełem: *Program polski — myśli o zadaniu narodowem.* (1872). Zwraca się do powieści historycznej i to w dwóch kierunkach. Mając pod ręką materyały rękopiśmienne, pisze powieści na tle dziejów saskich, jak : *Hrabina Cosel* (1873), *Brühl* (1874), *Z wojny siedmioletniej* (1875) i w. in., a prócz tego w 1876 rozpoczyna *Starą Baśnią* cykl, mający za zadanie ująć w powieściowy całokształt dzieje polskie. Najlepszą w długim rzędzie tych utworów jest *Stara Baśń*. Ze wzmianek, jakie znalazł u Galla, Kadłubka i Długosza, uzupełnionych ogólnosłowiańskiemi wzmiankami u Dytmara, Helmolda i Saxogramatyka, odtwarza Kraszewski barwny i bogaty obraz przeszłości zamierzchłej. Występuje przed oczy czytelnika lud kmiecy, zbrojny w kość, róg i kamień, w młoty kamienne, obuchy i pałki nasiekiwane, łuki, proce, pociski. Rządy sprawują wiece, lecz uznają one konieczność knezia. Na wiecu u Myszków gromada wie: bez knezia nie obejdziemy się, a bard śpiewa o zgubnych rządach dwunastu wojewodów. Powszechnie oddają cześć bogu, ciskającemu pioruny. W świątyni na Lednicy, gdzie bożek piekieł „z przerażającemi oczami z czerwonych kamieni", palono ogień i rozchodził się zapach smoły, bursztynu i ziół. Takich rysów powieść Kraszewskiego dostarcza wiele. Postaci mnóstwo, akcya rozwija się wolno i szczegółowo, poziom myśli i uczuć dochowany, spokój i naturalność towarzyszy opowiadaniu tak, że czytelnik sądzi, iż snuje się przed nim nie stara baśń, lecz stara prawda. Historya tych czasów nie jest dotąd umiejętnie zbadana: tonie w zamęcie sprzecznych zdań i dowolnych hipotez. Kraszewski stanął przed czytelnikiem z trzeźwem i rozważnem uchwyceniem jej najwięcej charakterystycznych rysów. Opisawszy w *Starej Baśni* rządy kmiece, daje obraz powstania władzy książęcej w *Luboniach*, rycerstwa w *Braciach Zmartwychwstańcach*, wybuchu reakcyi pogańskiej w *Masławie*, wzrostu kościoła i jego hierarchii w *Boleszczycach*, obrony władzy królewskiej i jedności państwa w *Synach królewskich*, rozterek dynastycznych i wzrostu możnowładztwa w *Petrku Właście*, wszechwładzy panów duchownych w *Stachu z Konar* i t. d. „Wszystkie zwrotne punkty naszych pierwotnych dziejów odmalował tak plastycznie, z tak wyrazistem nacechowaniem ich kolejnego po-

Powieść historyczna.

wstania i rozwoju, że ten, kto powieści historyczne uważnie przeczytał, musi je rozumieć i już o nich zapomnieć nie może". Nadto rozwija się przed okiem czytelnika tych powieści nader piękny krajobraz dawnej Polski, wiele scen obyczajowych, ludziom zaś dane są rysy, znamionujące późniejszych Polaków.

Znaczenie Kraszewskiego.

Zdumiewa ogrom i wszechstronność produkcyi literackiej Kraszewskiego. Bibliografia wylicza 641 tomów, ale jestto tylko część ogromnej całości. Pracował we wielu gałęziach literatury szybko i niestrudzenie. Obmyślał dzieło, układał plan, określał formę, a gdy już „w głowie wszystko" — wtedy „piorunem pisał". Cechowały go też wyjątkowa pamięć i dar porządkowania. Na cześć, jaką się cieszył w ostatnich dziesiątkach lat swego życia, zasłużył czynami: wyrugował francuszczyznę, rozpowszechnił mnogość idei, podniósł oświatę, dodatnio wpływał na moralność, budził zamiłowanie swojszczyzny. „Nie siałem nigdy — mówił o sobie — niezgody, rozbratu, nienawiści; nie rzucałem nigdy kamieniem ani na żywych ani na groby. Miłość starałem się wlać w słowa moje i odczuto ją pewnie, gdy często z niej płynącą gorycz słów przebaczono". — Forma dzieł niezawsze była artystyczną. Od Korzeniowskiego wszechstronniejszy i żywszy, ustępuje mu w wykończeniu stylu i wypukłości obrazów. Obaj atoli wierzą w ideały i pragną je wszczepić w pień ojczystych konarów; obaj pragną ułatwić rodakom trudną drogę życia wśród ciężkich warunków, zgodną z tradycyą przeszłości.

Zygmunt Kaczkowski
malarz tła dziejowego Polski.

Kaczkowski maluje obrazy życia szlachty sanockiej.

Więzienie lwowskie, w którem Zygmunt Kaczkowski przez dwa lata po chłopskiej rzezi siedział, pozwoliło mu przewertować akta, manifesty, dyaryusze, korespondencyę dyplomatyczną, listy prywatne, pisane gazetki, paszkwile, pieśni, notatki rodzinne, słowem stos obyczajowych dokumentów z czasu konfederacyi barskiej.

Kiedy za radą Karola Sienkiewicza w r. 1851 wydał *Bitwę o Chorążance*, która mu zjednała wzięcie, posypały się, jak z rogu obfitości, sanockie powieści, a śród nich za epopeję narodową uznany *Murdelio* (1853). W szeregu tych powieści roztacza się żywy, barwny obraz burzliwego życia nieuskromionej szlachty XVIII. w. Autora wspomagała erudycya szlachecka, rozległa znajomość heraldyki i pokrewieństw szlacheckich. Rojny i gwarny tłum przewija się przed czytelnikiem, jest to bowiem cechą talentu Kaczkowskiego, że około głównego nurtu akcyi gromadzi epizodyczne jej dopływy tak, że powieść daje złudzenie narodowego życia. Tak np. w *Murdelionie* obok dziejów Wita Piotrowicza snują się dzieje Nieczui Ślaskiego i Zosi Strzegockiej, i dzieje

konkurów o tę Zosię Lgockiego, i dzieje miłości Konopki ku Zuzi Strzegockiej, i historya barona Holmfelsa, i historya procesu Nieczui z Niemcami w Tarnowie... Podobnie bogata kompozycya rozwija się w każdej z głośnych swego czasu powieści, a były to: *Kasztelanice Lubaczewscy*, *Mąż Szalony*, *Gniazdo Nieczujów*, *Bracia Ślubni*, *Starosta Hołobucki*, *Grób Nieczui*. Hasa szlachecka odmalowana jako religijna z domieszką zabobonu, ceniąca swój klejnot herbowy, nienawidząca dorobkiewiczów, mieszczan i chłopów, oceniająca sprawy rzeczypospolitej wedle tradycyi o elekcyi i liberum veto.

W drugim okresie powieściopisarskiej działalności, kiedy powieści *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza zarzucił brak myśli dziejów, zapragnął okazać, jak „geniusz narodu“ wyraził się w ludziach i wypadkach naszych XV. wieku. To też wydał w 1889 r. *Olbrachtowych rycerzy*. Król, tłum rycerstwa, mieszczaństwo, zakony, żywioł kupiecki; wyprawy zbrojne, pojedynki i przygody, dziwy życia ascetycznego; początki intryg; obok religijnych uniesień — rozpasanie, obok szalchetności i wierności — zbrodnia i zdrada; wszystko w mieście i na zamku, w pustelni i futorze; wszystko znów w bardzo zawiłej akcyi głównej, niezliczonych epizodach i przy udziale setki figur. Charakteryzują wiek: dzielność i tęgość fizyczna. Rycerz w ciężkiej zbroi wskakuje na koń, łamie na pół obrączkę, wjeżdżając konno w bramę, chwyta się górnych jej spojeń, ściska nogami konia i ze sobą podnosi go do góry... Ale w duszy mocarza mistyczna pobożność. Ludzie modlą się, żyją w eremach, biczują się do krwi. A wierzą w dyabły i przetargi o ludzkie dusze. Wilczek dyabłu ślubuje duszę, Kostruban zaś — stróż jego szatański. Obok tej tęgości, modlitewnych uniesień, zabobonnej wiary, żywej wyobraźni, — miłość gorąca albo szlachetna, wierna i głęboka albo zmysłowa i rozpustna.

Olbrachtowi rycerze.

Kaczkowski w powieści tej okazał w pełni znamiona swego talentu: rozum jasny, szerokie obejmujący widnokręgi; fantazyę, podległą rozumowi, trzymającą się blizko ziemi; brak namiętności i brak poczucia piękna w naturze; swadę narracyjną, mąconą niekiedy wtrętami tendencyjnymi, zboczeniami do chwili bieżącej. Był to bowiem także talent publicystyczny. I jeżeli w powieściach między rokiem 1850 a 1860 pobudzał do myślenia, polecał ideę pracy powolnej, żmudnej, leczącej rany społeczne, to później w *Tece Nieczui* ostro godził w też same zasady — z uprzedzenia ku ludziom. Wśród spółczesnych wywoływał też sądy bardzo pochlebne albo bardzo ujemne. W zestawieniu z Rzewuskim nie ma tej plastyki, ani tej składności kompozycyi. Rzewuski dał typy narodowe, Kaczkowski w ramy obyczajowe wstawił człowieka; „opisuje on nie tyle postaci, ile stosunki, obyczaje — a obiera jednostki zwykłe i daje obrazy o stopień bliższe domowej historyi kraju“.

Kaczkowski a Rzewuski.

Wincenty Pol
był śpiewakiem szlacheckiej Polski i malarzem kraju[1]).

Tym samym ideałom średniej miary służyła równocześnie obok powieści i poezya polska w kraju. Za najwybitniejszego jej przedstawiciela uchodził Wincenty Pol. — Matka Pola Eleonora lubiła poezyę: nieraz deklamowała Krasickiego i Karpińskiego. Serdeczny przyjaciel domu, szlachcic Benedykt Winnicki, godzinami gawędził z dziećmi w domu Polów o dawnych latach żywo, z zapałem. Za lat młodzieńczych w Mostkach poznał Pol życie i obyczaje szlacheckie; wyobraźnia zwróciła się ku przeszłości, a pamięć pochłaniała chciwie historyczną wiedzę, zwłaszcza gdy otwarto dla publicznego użytku w 1826 roku Bibliotekę Ossolińskich. Za radą Adama Jochera, bibliotekarza uniwersytetu wileńskiego, przygotował Wincenty Pol dwie rozprawy: *O źródłach narodowej poezyi polskiej* i *O epopei*, i udał się do Wilna, aby uzyskać lektorat języka niemieckiego w uniwersytecie. Już atoli w tych latach przygotowawczej pracy naukowej (1827—1830) przerabiał piosnki ludu na utwory artystyczne. W Wilnie, uczyniwszy zadość formalnościom, uzyskał posadę zastępcy nauczyciela języka niemieckiego w uniwersytecie. Ruchliwy i czynny, zwiedzał nowy kraj, zaglądał do zagród szlacheckich i ludowych, badał zwyczaje, spisywał pieśni, organizował młodzież. W grudniu 1830 stał na czele związku młodzieży powstańczej. W kwietniu 1831 roku około stu młodzieńców opuściło tajemnie Wilno, aby się sformować w oddział. Śród nich był Pol. Zaczęła się partyzantka, pełna niebezpieczeństw, przygód, walk, napadania i uciekania, podejść i nagłych napadów, a w niej ułan Pol uzyskał sobie nie tylko szlify oficerskie, nie tylko krzyż *virtuti militari*, lecz jeżeli nie zbiór przygodnie i pod bezpośredniem wrażeniem tworzonych pieśni, to w każdym razie wielką ilość wrażeń, obserwacyi, uczuciowych nastrojów, jako pieśniarski materyał. Dopiero w Dreźnie w 1832 r. zaznajomił z niemi kółko poetów, około Mickiewicza skupionych, Odczytywał je jako pieśni Janusza Nowiny. Mickiewicz zachęcił, a Pol już się z autorstwem nie krył. „Te pieśni i obrazki wojenne rozbiegły się szybko po całej emigracyi; odpisywano je, uczono się na pamięć i śpiewano, nie wiedząc nawet, kto jest ich autorem. Ci, co powracali do kraju, przywozili je w głowie i wnet rozchodziła się piosnka po całej okolicy". Wykończone w 1833, ukazały się dopiero w 1835 w druku p. t. *Pieśni Janusza*. W pieśniach tych odzwierciedlają się wszystkie nastroje uczuciowe, jakie budziły się w różnych sercach w toku walk powstańczych i po nich. Nadzieja i dziarska fantazya wojenna, modlitewny nastrój i wiara w Bożą pomoc, nienawiść ku wrogom, melancholia, pełna przeczuć

Młodość — rzeźbiarką życia.

Geneza *Pieśni Janusza.*

Dlaczego się podobały?

---

[1]) W. Spasowicz: Wincenty Pol jako poeta. Pisma II., Petersb. 1892.
K. Estreicher: Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie 1807 — 1832 Lwów 1882
Mann Maurycy: Wincenty Pol, studyum biograficzno-krytyczne. Kraków 1906.
I. Kallenbach: O Wincentym Polu. Bibl. Warsz. 1906 — 1907.

klęski, głęboki smutek po niej, rezygnacya i poddanie się litościwej woli Bożej, wzniosła wiara w dostojność cierpienia i mesyaniczne powołanie cierpiącej Polski: — wszystko się tu znajduje w szeregu piosnek o rytmie poskocznym, jak *Grzmią pod Stoczkiem armaty* lub *Niemasz pana nad ułana*, o nucie smętnej, jak *Lecą liście z drzewa*, aż do *Proroctwa kapłana*, utworzonego pod wpływem *Dziadów* Mickiewicza. Bezpośredniość i świeżość uczucia dodają bogactwu nastrojów nowego wdzięku. Ale mają *Pieśni Janusza* jeszcze inne lico. W *Pieśniach* są nie wyłącznie liryczne utwory, lecz powiastki i pierwsze gawędy polskie. Powiastką jest *Szabla hetmańska* lub *Proklamacya chorążego*, gawędą jest *Wieczór przy kominie*. Wprawdzie już i Mickiewicz w ten sposób tworzył np. *Popas w Upicie*, lecz Pol odtąd ten epicki rodzaj kształci i do większych pomysłów stosuje. Za nim pójdą inni, uznając go za swego mistrza. Forma *Pieśni Janusza* ma mało obrazów, niebogata w przenośnie; rym niewyszukany i do nastroju dobrany język trafnie odtwarza myśl i uczucie.

Pierwsze gawędy.

Po powrocie do Galicyi otrzymał Pol od Ksawerego Krasickiego polecenie objazdu Wołynia, Ukrainy i Podola, jednania stronników dla przeciwdziałania knowaniom Centralizacyi. Wrażenia tej podróży od wsi do wsi, od dworu do dworu dały materyał do nowego utworu, zwłaszcza gdy po powrocie objechał całą Sandeczyznę i zwiedził Tatry. *Pieśń o ziemi naszej* powstała w gościnie u Tadeusza Skrzyńskiego w Zagórzanach w Jasielskiem 1835 r. (wyszła dopiero w 1843 r.) Zwierza się, że długo milczał troską blady; teraz radby zanucić ze serca, a gdy go zachęcają przyjaciele słowami:

Geneza i ocena *Pieśni o ziemi naszej.*

Gadu, gadu, stary dziadu!
Pleć, pleciugo, byle długo;
Bajże, baju, po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju; —

poeta w szeregu obrazków, pieśniarskim rytmem prawi o puszczach litewskich, o pińskich błotach, o Wołyniu, Żmudzi i Podolu, o halach i turniach tatrzańskich, o równinach Mazowsza; pominął tylko: Wielkopolskę, Śląsk i Prusy. — Każda dzielnica Polski ma swój odrębny krajobraz, odrębną jego rzeźbę, inny lud, inne płody, różne zwyczaje, stroje, pieśni, rozmaite skłonności, odmienny charakter. Pol, bystry spostrzegacz, wrażliwy na te różnice geograf i etnograf, bogaty doświadczeniem, umiał w szeregu obrazków misternych i ruchliwych odmalować kraj, lud i szlachtę dzielnic, zachowując w każdym nie tylko wybornie ujętą sylwetkę krajobrazu, lecz wielką ilość rysów aż do akcentu mowy i odmianek gwary przeróżnych plemion. W tem sztuka *Pieśni o ziemi naszej*, ale w tem także tajemnica jej popularności: góral, poleszuk, litwin, kurp, żmudzin, mazur znajdował tam swój kraj i siebie, niby w odbiciu artystycznem, — całość zaś złączona jednem tchnieniem narodowej wspólnoty. W tym samym czasie powstały *Obrazy z ży-*

cia i podróży, owoc wycieczek w Tatry, a w nich na tle przyrody tatrzańskiej z miłością kreślone typy, życie ich i poezya.

Pierwsza większa gawęda.

Dopiero *Przygody J. P. Benedykta Winnickiego*, w 1839 r. drukowane, zaczynają szereg gawęd o szerszej kompozycyi i bogatszym wątku powieściowym na tle obyczajowej przeszłości Polski. Może na ten stały zwrot w twórczości Pola wpłynęły wspomnienia młodości i opowiadania czy to Winnickiego czy Krasickiego czy Morelowskiego, może liczne znajomości w kołach szlachty polskiej, może powodzenie Paska i *Pamiątek Seweryna Soplicy*, a utrwaliły w obranym kierunku nadzwyczaj pochlebne głosy krytyki o *Przygodach* i cios, zadany przez bandę chłopską w Polance w 1846 roku, który sprawił, że serce Pola odwróciło się od ludu. Wkrótce po uwolnieniu z lwowskiego więzienia tworzy Pol *Godło życia*, a ma je nieraz później na ustach i od niego w 1850 rozpoczyna pierwszy wykład geografii w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nowy program życia i twórczości.

Wiernie stanąć na przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcić dzieje,
A w świat przyszły siać miłości
Ziarna, wiary i nadzieje,
Ziemię z niebem wiązać społem,
Serce z Bogiem, myśl z narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem
I przymierza opleść kołem.
Nie pobluźnić, nie podwoić,
Lecz miłością bole koić,
Pracą ducha uszlachetnić
I uwiecznić i uświetnić.
To zadanie zacnej młodzi!
I ojczyźnie to się godzi!
To zadanie sztuki, śpiewu....

Temu programowi pozostanie wierny do śmierci, będzie mu służył słowem, piórem i czynem. W duchu tego godła tworzą się wszystkie gawędy szlacheckie. W szeregu poematów z przeszłości, bez względu na dalszą czy bliższą perspektywę, Pol wielbi cnoty sarmackie, lecz z pobłażliwym uśmiechem spogląda i na wady. Monitor boćkowski w rękach ojca na syna-wąsala, przymus rodzicielski w wyborze małżeńskim, służalczość chudopachołków wobec karmazynów, rozgromy krwawe sejmikowych malkontentów, pijackie biesiady braci szlachty, — wszystko to jaśnieje takim samym pięknym i wesołym blaskiem, jak przykładna religijność, szczeropolska gościnność, hojna ofiarność dla ojczyzny lub rycerski animusz.

Brak rozeznania między tem, co złe, a tem, co było dobre, jest wprawdzie w gawędach Pola brakiem wychowawczego pier-

wiastku dla spółczesnych czytelników; niemniej przeto surowym zarzutem dla twórczości Pola być to nie może o tyle, że przeważna część gawęd czerpie wątek w 18. wieku dziejów, kiedy tego rozeznania i życiu naszemu i szlachcie naszej brakło. Że zaś pomimo gawędziarskiej, nieraz rozwlekłej formy, pomimo nie bardzo plastycznych figur, pomimo nieco zmanierowanego wiersza, pomimo niepomysłowej kompozycyi, pomimo rozluźnienia i niezwartości pomysłów i akcyi, gawędy Pola miały wielkie powodzenie, jednały mu rozgłos i wdzięczne przyjęcie, to dowodzi, jak umiał poeta trafiać do przekonań i uczuć swych spółrodaków. Można się na to zgodzić, że *Mohortowi* brakuje powieści, że jest on raczej zlepkiem epizodów; ale trzeba i to przyznać, że ten niezłomny kresowy rycerz polski bez plamy, jak żóraw, czujnie wsłuchany we wrogie Polsce głosy, jest nie tylko ideałem rycerza w myśl słów Kochanowskiego:

Pol był popularnym poetą.

Nic to nie było — siedm lat walczyć nie przestając, mróz i gorąco cierpiąc, głodu przymierając, — lecz jest jakoby symbolem Polski niepodległej, która przez długie wieki orężem cięła się przy wschodniej ścianie Europy o jej religijne uczucia i jej materyalny rozkwit. Ceniono też i kochano Pola za jego szlachetność, za pobożność, za miłość ku przeszłości, za skromność i prostotę, za umiłowanie ojczystego kraju i rodzimych zwyczajów, za styl narodowy, za polszczyznę zawsze staranną, czasami bardzo piękną, jak np. w lirykach *Przebolało*, *Królewskie dęby*, *Leśne jezioro* lub *Ranek w puszczy*. Byli poeci, którzy go za swego mistrza uważali.

Ludwik Władysław Kondratowicz był śpiewakiem ludu i malarzem Litwy[1]).

A z nich głównym Ludwik Władysław Kondratowicz, znany pod pseudonimem Władysława Syrokomli. Szkoła w Nieświeżu i Nowogródku dała mu skromny zasób wiedzy, bogacony samouctwem w czasie służby w zarządzie dóbr radziwiłłowskich w Nieświeżu, gdzie badanie książęcego archiwum obudziło w nim zamiłowanie do przeszłości i zmusiło do doskonalenia się w łacinie. Rozgłos Pola zachęcił do próbowania sił w gawędzie, jak sam wyznaje w Haśle. Tworzył łatwo i dużo, zwłaszcza w czasie gospodarowania w Załuczu. Tu pisał pierwsze gawędy, jak *Błogosławiony Sadoch* lub *Pocztylion*; tu dokonał przekładów Klemensa Janickiego, elegii Kochanowskiego, Roxolanii Klonowicza, ód Sarbiewskiego; tu prócz kilku tomów przekładów prozaicznych ułożył

Jak się kształcił jak tworzył?

---

[1]) Wł. Spasowicz: Wład. Syrokomla. Pisma t. I. Petersb. 1892.
W. Z. Kościałkowska: Wł. Syrok., stud. liter. Wilno 1881.
A. W. Drogoszewski: Wł. Syrok. Warszawa 1905.

Dzieje literatury polskiej od początku do połowy wieku XVII. doprowahzone.

Gawęda *Urodzony Jan Dęboróg* podobała się ogółowi i zwróciła Kondratowicza stanowczo od przekładów i prozy ku twórczej poezyi. Wtedyto w 1853 r. przeniósł się do Wilna i Borejkowszczyzny. Tworzył dużo i łatwo.

Dość było drobnej podniety, aby powstała powieść. Raz przysłał mu Kraszewski album ołówkowych szkiców, a w nim pochyloną wiekiem bramę z napisem: poczciwe stare wrota. Wyraz poczciwe poruszył wyobraźnię poety. Przypomniało się wyznanie Piotra Skargi, uczynione przezeń w kazaniu z 1606 r., odpierającem zarzuty rokoszan, wyznanie, że oto u Zygmunta III. wyjednał dla woźnicy, który go wiele lat woził i nigdy nie wywrócił, dwadzieścia groszy dożywotniej płacy.

Z tych drobnych motywów złożyła się gawęda: *Stare wrota.* Innym razem poeta widział obrazek Wojciecha Gersona, malujący kontrast uczonej muzyki włoskiej z prostą melodyą siół rodzinnych. A znalazł był również w rachunkach dworu Zygmunta Augusta pozycyę wydatku: grosz dla grajka litewskiego. I znowu z dwóch drobnych motywów powstała gawęda *Królewscy lutniści.*

W szlacheckich gawędach z przeszłości ironizuje.

Kondratowicz żywo interesował się zarówno bieżącem życiem narodu, jak jego przeszłością. Kreśląc obrazy dawnej Polski, nie szargał świętości, lecz dla wad nie okazywał uwielbienia bezkrytycznego; owszem zaprawiał nieraz swe sądy dozą attyckiej soli, zlekka ironizując i wesołym żartem barwiąc skłonność do pieniactwa, uwielbienie dla alwara, cześć dla herbów, cięgi wąsatych synalów na perskim brane dywanie... Z chwili bieżącej zajmowało go mnóstwo zjawisk: rozumiał potok życia, czujnem i przenikliwem spojrzeniem ogarniał szeroki jego widnokrąg i subtelnie odczuwał naglące potrzeby ogółu. Umiał np. w gawędzie *Lalka* ośmieszyć wyłączność upodobań i zwyczajów towarzyskich pańskiej sfery, ale w młodsze pokolenie włożył tkliwe serce dla niedoli ludu. Znalazł słowa powagi i oburzenia pełne, gdy we wierszu *Wyzwolenie włościan* sarkał na zjazd szlachty, przeciwnej uwłaszczeniu. Wiersz ten krążył śród szlachty w odpisach, i deklamowany na zebraniach towarzyskich, nawracał szlachtę, oporną sprawie wyzwolenia. Ukochanie przyrody litewskiej kładło na paletę jego żywe barwy, przejmowało wiersze jego rzewnem uczuciem; lecz w *Margierze* nie umiał w malowaniu pól nadniemeńskich i puszcz litewskich wznieść się na wysokość choćby blizką *Pana Tadeusza.* Uważa *Margiera* za najlepsze dziecię swego ducha, gdyż ma jednoczyć w sobie warunki epopei, chociaż jest tylko powieścią poetyczną. W istocie poeta łudził się. Materyał kronikarski był nader szczupły. Margier nie ma ani twardości i hartu, ani uporu plemienia swego. Ma w nim żyć „jedna tylko nienawiść dla Niemców“, a jednak sadza Ransdorfa u własnego stołu, „jak gościa, co

We współczesnych postępowy.

Margier nie jest epopeją.

z daleka przybywa w te kraje". Egle przedstawia się w swych skrupułach i rozmyślaniach, jako chwiejna romansowa panna naszych czasów. Lutas z góry daje Niemcom wygraną, marząc o przyszłem domniemanem braterstwie dwóch zwaśnionych ludów. Samo masowe ofiarowanie się krwi żądnym bogom, zwłaszcza zaś bóstwu Poklusowi, którego

Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic spojrzenie, jak płomień, wylata,

mało historyczne, były to bowiem schyłkowe czasy pogańskiej Litwy i bóstwa straciły już moc swą nad duszami. Ani zatem malowidło czasu, ani krajobrazu, ani ludzi nie upoważnia do dania poematowi tytułu eposu, co już i spółczesna krytyka stwierdziła wbrew upodobaniu dla tego utworu samego Syrokomli, który u Kraszewskiego skarbił dla tego dziecięcia łaskawe przyjęcie słowami: *esto ei propitius.*

Urodzony Jan Dęboróg typową gawędą.

Bliższa czasem akcyi i daleko życzliwiej przyjęta była gawęda o Dęborogu. Przedmiotem waśni między Dęborogami i Brochwiczami jest granica ich majątków; zastarzały proces graniczny kończy się, dzięki namowom księdza definitora, ślubem Jasia Dęboroga z Zosią Brochwiczanką. Stary Dęboróg, szlachcic pobożny, dbały o honor, ostry w swej rodzicielskiej władzy, uparty w rodowej niechęci, pełen respektu dla trockiego wojewody, u którego dworsko służył, wzbogaca poczet typów, znanych nam z Malczewskiego, Fredry, Mickiewicza, Słowackiego, Pola i Rzewuskiego. Obok Dęboroga ksiądz definitor, wychowawca Jasia, kontrast Dęboroga. Ten ostatni to typ pobożności z przesądami i biernej; ksiądz definitor — typ pobożności bez przesądów i czynnej. U Dęboroga: „proszę aspana — i honor coś znaczy, honor szlachecki"; podług definitora: „chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem". Wypowiada on upodobanie samego poety, który niejedną piękną strofę poświęcił dworkom i chatkom wiejskim, kościółkom, cmentarzom i karczmom. Czy to *Janko Cmentarnik*, tęskniący do stron rodzinnych, czy nabożeństwo we *Wielki Czwartek* w kościółku wiejskim, czy z osobistego przeżycia wysnuty *Kęs chleba*, czy zbierający ziarno pszeniczne zabiegliwy o dobro wsi swej Szymon w *Garści pszennej* — wszyscy i wszystko to wypłynęło z czarodziejskiego drewna liry wioskowego lirnika, pełnego miłości dla wsi i ludu czy zagrodowej szlachty. Rozjemczą pieśnią usiłował Syrokomla jednoczyć i godzić lud i szlachtę.

Syrokomla malarzem wsi litewskiej.

O, kto raz przy piosnce ludowej zapłacze,
Przestanie się pastwić nad ludem.
Litwini ulegną wieśniaczej potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie i Litwin w siermię
W braterskich uściskach się splotą.

W trzecim okresie twórczości swej od r. 1855 wśród przeczuć śmierci, nękany cierpieniami, tworzył rzewne poezye, jak *Śmierć słowika*, *Cupio dissolvi*, *Melodye z domu obłąkanych*. Nieraz przeplata się tu żart z goryczą, a nawet z rozpaczą. Liryka Syrokomli.

Obok gawęd, powieści, poematów lirycznych pisane dramaty, jak *Kasper Karliński*, *Wyrok Jana Kazimierza*, są portretami dość drobiazgowo malowanymi, lecz nie dają widoku zmieniających się pod wpływem wydarzeń dusz.

Kondratowicz we formie swych dzieł, w swej religijności, w swej miłości ojczystej ziemi, w trosce o los jej ma wiele podobieństwa do Pola. Lecz i różnic ma sporo. „W gawędach Pola jest więcej strojności w wierszu, symetryi w układzie, w gawędach Syrokomli więcej uczucia. W tle gawęd jest u obu i krajowość i religijność, ale religijność u Pola przeważniej wielbioną jest z zasad, u Syrokomli z obrzędów. Pol jest więcej śpiewakiem klas możnych i optymistą w kreśleniu ich, Syrokomla więcej śpiewakiem ludu i optymistą w jego kreśleniu; poważna muza Pola nie wie, co to ironia, braterska Syrokomli nie wie, co to pochlebstwo. Jeden i drugi tak w gawędach, jako i w ogóle swoich poezyi nie widzą świata za krajem, myśli za sercem, jutra za dniem dzisiejszym; głównem źródłem, treścią i celem śpiewania obu — jest miłość sztuki, jest kochające serce, przeważającem jednak źródłem efektu w utworach Pola jest sfera sztuki, u Syrokomli — serca“. Porównanie Pola i Syrokomli.

Teofil Lenartowicz
był śpiewakiem ludu i malarzem Mazowsza [1]).

W wyższym stopniu sfera serca była źródłem twórczości u Teofila Lenartowicza. Wiersz *Galary*, malujący życie na Wiśle, pozwala już wróżyć o talencie; lecz dopiero w 1844 ogłoszony w *Bibliotece Warszawskiej* wiersz *Do poezyi*, uważający ją za matkę, wiarę i prawdę narodów, zjednał poecie nieco rozgłosu. Do t. z. Cyganeryi warszawskiej Lenartowicz nie należał, lecz cyganów znał i kochał, a demokratyczne przekonania i zapał dla sprawy ludowej w duchu emigracyjnego Towarzystwa demokratycznego podzielał. Zapuszczał się w okolice Warszawy nad brzegi Narwi i Bugu, zaglądał do chłopskich chałup, skąd czerpał materyał poetyczny. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, bociany, obłoki, rybitwy i kuliki, łodzie flisaków, galary z pszenicą, nuta dziewczyny, woń żywicy z boru, pieśń skowrończana, kukanie kukułki i gwizd wywilgi — oto żywioły pieśni jego. Początki i źródła twórczości Lenartowicza.

---

[1]) Stan. Tarnowski: Teofil Lenartowicz. Studya. Wiek XIX. t. II. Kraków 1896.
Jan Kasprowicz: Liryka Teofila Lenartowicza. Pam. liter. 1905.
Józef Kallenbach: Teofil Lenartowicz. Czasy i ludzie. Warsz. 1905.

Pierwsze próby.

Później nieco z tego źródła zaczerpnął treści i uczucia do najpiękniejszych swych utworów. Teraz pisał poemat p. t.: *Wańko* — z wieków przedchrześcijańskich; *Pierwsze przedstawienie Hamleta*, dramat romantyczny; *Cztery obrazy*, a w trzecim z nich wyraz goryczy i niechęci ku arystokratom; *Szopka*, w której próba naśladowania wiejskiego tonu i sielskich uczuć. Dopiero na emigracyi w Paryżu, we Włoszech, znowu w Paryżu i nareszcie na stałe od 1860 we Florencyi, kiedy poeta, z natury tkliwy, tęsknił za krajem, wyśpiewał swe proste, rzewne pieśni o Mazowszu i Mazurach.

Tęsknota do kraju nastraja lirenkę.

Z prostym ja ludem niech się tak zjednoczę,
Jak z czystem niebem czystych wód przeźrocze,
Jak listek z listkiem ojczystego lasku,
Jak piasku ziarnko z wielkiem polem piasku...

Zna, odczuwa, pamięta i kocha swojską naturę; umie ją malować, choć widzi przez pryzmat łez. Mazowsze jest dlań rajem: woda tam czystsza, powietrze zdrowsze, piosnki cudne, ludzie weseli, Wisła modra i piasek biały. Natura zespala się z ludźmi w bratni sojusz.

W plonie poezyi o kraju i ludzie polskim obok lirycznych znalazły się i przedmiotowe; Lenartowicz zapomina o własnej indywidualności, przenosi się w świat wyobrażeń, wiar i uczuć ludu i snuje marzenia ludu o niebie, czyśćcu i piekle. *Zachwycenie* jest opowieścią z letargicznego snu obudzonej wieśniaczki o niebie, czyśćcu i piekle. W niebie, rajskim sadzie, czyste dusze w złote owoce zmienione, w pszenicę, w owce, które Chrystus pasie. Czyściec nie ma słońca, dusze wstydzą się, lękają. W piekle szatan ma postać nietoperza; piekło śmieje się, gdy śpiew w kościółku milknie. Słowem ze znaczną ścisłością odtworzył poeta naiwne wierzenia polskiego ludu o życiu zagrobowem, naśladując uczucia, myśli, obrazy, mowę wieśniaczki. Podobnie w *Błogosławionej*. Umarła wstąpiła do nieba: widzi opiekę nieba nad ziemią, skarbiec niebieski, poczem z gronem wystrojonych świętych dąży do Matki Bożej; lecz jak Zachwycona nie widziała Boga, tak Błogosławiona odczuwa prześwietleniem Bogarodzicę, nie widzi Jej. Dla poznania przekonań poety dwa są znamienne szczegóły w *Błogosławionej*: anioł leci na ziemię z pomocą dla chłopa w katordze, skazanego za walkę powstańczą, a więc chłopa-patryotę; Błogosławiona wyprasza w niebie łaskę dla pana i pani we wsi, a więc chłopka z miłością myśli o dziedzicach. Lenartowicz tedy nie dzieli nienawistnych uczuć cyganeryi dla szlachty, rozjemcze stanowisko zajmując. Najwięcej uroku ma w obu utworach prostota bez przesady. „Niebo podobne zupełnie do wsi polskiej, z jej polami, wygonami, gruszami i robotami; a jak w kolędach, tak i tu podobieństwo to nie razi, tylko pociąga, wzrusza, rozrzewnia“. Trzecim utworem podobnym jest *Święta Praca* czyli *Kalendarz gospodarski*. We Włoszech prócz tęsknych, na-

Poematy z uczuć i wierzeń ludu.

poły idyllicznych poematów i pieśni zwracał się poeta ku średnim wiekom i próbował odtworzyć średniowieczną sagę polską. A nadto, oczarowany włoskiem odrodzeniem, pisał poematy o Rafaelu, Michale Aniele, Tassie... Ale ani poemat *Słówko o Piotrze Dańczyku*, ani wogóle *Ze starych zbroic*, ani *Album włoskie* nie zjednały Lenartowiczowi nowych wawrzynów. Próby eposu.

Z większych historycznych poematów najbliższy nam przedmiotem, z miłości ludu płynący, był utwór: *Bitwa Racławicka*. Poeta odgadł zapał i miłość sprawy, dającej Głowackiemu i krakusom pęd na armaty wrogów; odgadł geniusz Kościuszki, umiejącego szukać bohaterstwa tam, gdzie je najłatwiej w danej chwili znaleźć; tchnął w swą pieśń o Racławicach uczucie serca, roztęsknionego za ludem i krajobrazem polskim; napoił utwór wojenną brawurą i ochoczością. Są ustępy o rytmice bitwy, są pełne cichego ukojenia i rzewności, są o kolorycie wybitnie swojskim i ludowym. Prawda, że poemat zbyt długi i w kompozycyjnych liniach skutkiem tego zagubił przejrzystość. Mimo tej wady należy do rzędu ważnych batalistycznych obrazów literatury naszej. Lenartowicza twórczość cechuje tedy pierwiastek ludowy jasny i od wszelkich plam wolny, uczuciowość niegłęboka, lecz czysta, umiłowanie rodzimej natury i zdolność jej odczuwania, patryotyzm gorący. Pol miał bogatszą wyobraźnię twórczą, Syrokomla na większą ilość tonów nastrojoną lutnię o szerszej skali pomysłów: Lenartowicz więcej od obu tkliwości uczucia a może i większą umiejętność wynalezienia dla swoich rzewnych tęsknot miękkiego i pieściwego wyrazu. „Jednostajnością swej poezyi zbliżony do Zaleskiego, sielankowością do Brodzińskiego, miał jednak własną fizyognomię i odrębne od obu znamiona". Głęboko religijny, miłował Boga, kraj, lud, niezłomnie wierząc w piękno, dobro i prawdę.

Bitwa Racławicka.

Lenartowicz, Pol, Syrokomła.

Kornela Ujejskiego
pieśń „nie pieluchą była, lecz ostrogą" dla narodu[1]).

Do poromantycznych poetów, którzy na mistrzach kształcili lutnię, należał Kornel Ujejski. August Bielowski i Karol Szajnocha darzyli go przyjaźnią; krzemieńczanin Henryk Kozicki urabiał umysł i serce. Wincenty Pol nazywał swoim Benjaminem. Zrazu Ujejski romansowe nucił pieśni. W r. 1844 podczas wakacyi odwiedził Warszawę, poznał Wilkońskich, Wójcickiego, Deotymę, Cyganeryę warszawską, nasłuchał się opowiadań o niedoli rabowanego przez wrogów kraju i cierpiących w kopalniach Sybiru ludzi, a przejęty bólem patryotycznym

Z liryka osobistego staje się piewcą narodowych bolów.

---

[1]) Ant. Bądzkiewicz: Kornel Ujejski. Kraków 1893.
Józef Tretiak: Kornel Ujejski i jego poezye. Kraków 1893.

w poemacie *Gęśl Jeremiasza* rzucił pod stopy i podeptał dotychczasową swą osobistą lutnię i postanowił odtąd ojczyste bóle opiewać. W tym samym roku utworzył programowy wiersz p. t. *Trzy struny*. Pierwsza struna harfy przylega do ziemi ojczystej i wsłuchuje się w groby przodków; druga czepia się chat wiejskich i pragnie stać się rozjemczynią między ludem a szlachtą; trzecia niesie do Boga skargę milionów. Pierwsza zatem opiewa krajobraz rodzimy, przyszłość i przeszłość Polski; druga ludowi się poświęca; trzecia jest modlitwą do Boga. W istocie w każdej z tych trzech kategoryi treści — harfa Ujejskiego wyśpiewała dużo utworów. Do zakresu pierwszej struny należą *Maraton* i *Anioł Pański*, jako typowe i bardzo piękne. *Maraton* zdobył poecie chwilę tryumfu. Czytał Ujejski ten poemat na literackim wieczorze u dyrektora Biblioteki Ossolińskich — Kłodzińskiego. „Liczne i doborowe zgromadzenie słuchało w religijnem skupieniu, zdumione i zachwycone". Książe kurator Lubomirski, starzec, wzruszony poematem, uściskał i błogosławił dwudziestodwuletniego poetę. Inni gorąco chwalili. Poeta stawia dawnych olbrzymów przed oczy rodaków, aby ze wstydem poznali, że są karły. Ale Ujejskiemu nie chodziło o negacyę. Kiedy w Galicyi emisaryusze emigracyjni przygotowywali rewolucyę z r. 1848, Ujejski głosił ideę: jednomyślny zapał w obronie ojczyzny zwycięża. W tej niby powieści akcya kipi namiętnem wzburzeniem, nie rozwija się w epickim spokoju, nie zatrzymuje się na szczegółach miejsca, czasu i ludzi, którzy są wcielonemi ideami. Jestto poemat liryczny, a główną jego siłę stanowi idea i uczucie, bijące zwłaszcza z rozdziałku piątego. Energiczny, obrazowy, pełen plastyki i mocy język, misterny w swej rytmice i poprawny w rymach wiersz dopełniają całości, która wprowadziła poetę w koło wybitnych liryków. W rok po *Maratonie* powstał wiersz *Anioł-Pański*. W trudnych jedenastowierszowych strofach, splatanych sztucznie przekładanym rymem, kreśli poeta malowniczy obraz wieczoru letniego we wsi polskiej; cmentarza, gdzie rycerscy ojcowie ciche sny mają i na odgłos modlitewnego chóru przyrody, na zew dzwonu pchylają zamarłe usta i szepcą: *Anioł-Pański*. On także, gdy wypieści bole rodzinne i do trumny się skłoni, będzie tą modlitwą kraj błogosławił; ale radby konając widzieć lud zbrojny, promienny zwycięstwem. Lecz zamiast tego poeta wnet doznał srogiego bólu, gdy lud rzucił się na braci, katował mężczyzn, wydzierał oczy i cepami dobywał mózgów, kiedy strugami trysnęła niewinna krew szlachty, a po kraju rozleciał się obłąkany strach. Wówczas Ujejski pisał bluźnierczy poemat *Ziemia*, wówczas uderzył silnie w trzecią strunę i napisał *Skargi Jeremiego*. Pierwszy powstał *Chorał*. Na wieść o rzezi chłopskiej młody muzyk Józef Nikorowicz wzniósł pieśń wśród zamętu i stworzył melodyę. Ujejski pod wrażeniem wstrząsających duszę wypadków i tej muzyki, tak silny oddźwięk wypadkom dającej, zaraz po powrocie od Nikorowicza

Trzy struny harfy.

Maraton wzorem pierwszej struny.

Anioł Pański przedwczesną wizyą zwycięskiego ludu.

Pieśni na trzeciej strunie wyśpiewane.

napisał swój *Chorał*. Wszakże to jego ziemię krew zlała, ów Świerczków, gniazdo rodzinne Ujejskich, gdzie lud okazywał się życzliwym, a do ojca Ujejskiego zwracał się z prośbą:

„Zostań, panie, z nami,
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami...

Wszak ruch powstańczy objął i Brzeżańskie, gdzie od 1845 była siedziba rodu. *Skargi* poprzedza *Słowo Jeremiego*. Poezya — według tego Słowa — po roku 1830 śpiewała pieśń zemsty; a gdy pod działaniem tej pieśni, rwącej szałem, naród drgnął i nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził, wówczas poezya poczęła się modlić, bo dla szatana najsroższą karą „chwała Boga". Ujejski też na lutni, ćwiczonej na mistrzach, gra modlitwy: *Noc natchnienia*, *Ojcze-Nasz*, *Smutno nam*, *Boże*, *Ei*, *eli*, *Lama sabachtani*, *Suplikacye*, *Do Bogarodzicy*, *Modlitwa więźnia*, *Ojca* i najpiękniejszy *Chorał*. W tej pieśni zespala się szereg myśli głębokich z uczuciami smutku, żałoby, żalu, goryczy, błagania, nadziei... A uczucia rwały z duszy poety, jak w wązkie koryto ujęty, stromo lecący z góry, potężny potok; i uwięził je poeta na wieki w okowy spiżowych obrazów tak, iż one żyją i kipią, i pienią się, a widz czy słuchacz tej dramatycznej walki poczyna pod wrażeniem drżeć sercem i ze wzruszenia łzy czuje pod powieką — i razem z poetą skarży się, bluźni, błaga i ma nadzieję... Ta mała pieśń wiekuistą sławą okoliła skroń poety, stała się hymnem milionów; przełożona na języki: niemiecki, francuski, czeski, szwedzki imię poety uczyniła europejskiem. Gdyby Ujejski nic więcej nie napisał prócz tych czterdziestu ośmiu wierszy, byłby dla nas już drogim poetą... Niedawno marzył:

Chorał.

Młodości moja, ty nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem narodu został ulubieńcem,

teraz spełniło się to dzięki *Chorałowi*.

Nie da się zaprzeczyć zresztą, że zależność *Skarg* i *Psalmów* Krasińskiego wynika z analogii przeżycia i z analogii wniosków, do których obaj poeci wskutek rozmyślań pod wpływem przeżycia wydarzeń doszli. Różnili się tem, że Ujejski pozostał wiernym swym demokratycznym przekonaniom i nieraz potrącał o drugą strunę swej harfy, o strunę ludową, głosząc rozjemstwo. W r. 1852 w allegorycznym wierszu p. t. *Zawiana chata* w ponurych barwach ciemnej nocy głębszą wydaje się niedola chłopa, nad którego łożem nie migoce szlachecka szabla, bo brak mu rycerskiej przeszłości, a który jednak pragnie świtania lepszej doli. W czetry lata potem w utworze *Za służbą* żali się poeta, że Polska jest macochą gminu, że dla gminu nie ma nawet chleba; to też każe młodszemu pokoleniu szlacheckiej polskiej dziatwy przyjąć chłopskie dziecię do rodziny, najpierw je nakarmiwszy.

Skargi Ujejskiego a *Psalmy* Krasińskiego.

Struna ludowa.

W *Pogrzebie Kościuszki* (1853) wyznacza ludowi główne miejsce aczkolwiek mogiłę Kościuszki sypią pod Krakowem

....pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano
Jak przykazał duch miłości...

W *Błoniach medyckich* (1857) — wróży poeta — chwila, że lud stoczy z wrogiem zwycięski bój, a g[illegible] [illegible]ziać się będzie, wówczas zmartwychwstanie on — szlac[illegible] polski. Tak na tej drugiej strunie swej harfy wygrywa melodyę miłości i zbratania stanów dla wspólnego dobra ojczyzny. Nie zapoznawał zasług szlachty, sam dla przeszłości szlacheckiej żywił w sercu czci wiele, co wynika z poematów *Uste[illegible] powieści sybirskiej*, *Podróż przerwana*, *Konfederat*, *Po latach ośmnastu*, *Pług i szabla*, lecz zgoła nie idealizował przeszłości, nie chwalił wad jej, nie szedł za Rzewuskim lub Polem, gdyż według niego „pieśń nie pieluchą ma być, lecz ostrogą". Głównie liryk, wydawał swe utwory w zbiorach: *Kwiaty bez woni*, *Zwiędłe liście*, *Melodye biblijne*. Harfa poety obok trzech wymienionych ma jeszcze dwie struny: biblijną i miłosną. Pierwsza parafrazuje najpiękniejsze melodye liryki hebrajskiej, druga tłómaczy na poezye arcydzieła muzyki, zwłaszcza szopenowskiej. Nawet w dramacie sił swych próbował, jak świadczą: *Judyta*, *Początek Samsona*, *Ostatni Buczaccy*. Ale ani w zakresie poezyi epicznej ani w zakresie dramatycznej nie stworzył dzieł wybitnych. Liryka Ujejskiego płynie z uczuć miłości rodzinnej, miłości przyrody i kraju ojczystego. Polot liryzmu wznosi się wprawdzie prometeicznie ku wyżynom wszechświata, nie spada w topiele dantejskiego piekła; uczuciowość jednak Ujejskiego była głęboka, ton jego psalmodyi przejmujący i szczery, a nastroje szlachetne tak dalece, że tematy religijno-społeczne i rodzinne były dlań najpiękniejszem źródłem natchnień. Pilne wczytywanie się w mistrzów poezyi polskiej: Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego nadało jego wierszowi brzmienie poważne, niemal uroczyste. Kochał lud, ale miłował i szlachtę, w czem blizki Krasińskiego.

Inne tony harfy Ujejskiego.

Charakterystyka poezyi Ujejskiego.

Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie a blizkie,
Jednem kryjąc dwory białe, drugiem chaty nizkie.

Bardzo muzykalny — dbał o technikę wiersza. Jak Malczewski stworzył strofę szesnastowierszową, jak Zaleski rzeźbił strofy pięcio, siedmio, dziewięcio i czternastowierszowe, tak Ujejskiemu należy pierwszeństwo w układzie strof ośmiowierszowych.

Liryzm narodowy znalazł w nim godnego pieśniarza: wszystkie drgnienia społeczne i bóle polityczne brał w pierś swoją i przelewał w strofy. Niekiedy bywał też publicystą, niezłomnie stojąc przy sztandarze ludowym. To nawet wywołało burzę w 1860 r.,

kiedy to Ujejski ogłosił szereg listów *O Januszu i o Panu Wincentym Polu*, oskarżając zbyt bezwzględnie, a zatem i niesprawiedliwie śpiewaka Mohorta o utratę serca dla ludu, a zwłaszcza o pisanie dla grosza. Wywiązała się żywa polemika „oskarżań“ , toczona przez dwa obozy z iście romantycznem rozniem. Złym ono było doradcą, to też ani jako publi- jako polityk Ujejski nie zjednał sobie tych zasług, zapewniła harfa liryczna. Perłą twórczości jego pozo- awsze *Chorał*.

Mieczysław Romanowski przedburzowiec [1]).

Duchowem dziecięciem idei rewolucyjnej naszej poromantycznej poezyi był Mieczysław Romanowski, poeta „pieśni bojowej“, „przedburzowiec“.

„Jam przedburzowiec — przeklęte plemię“, wołał w utworze *Żegnaj*.

Słowem i czynem przygotowuje ruch wolnościowy.

Krótką, lecz obfitą ilościowo i silną jakościowo była jego poetycka twórczość: objęła ona ośm końcowych lat życia: — 1853—1862 i wyraziła się w szeregu lirycznych, epicznych, dramatycznych utworów, w powieści i paru naukowych rozprawach. Mocna i wrażliwa była to dusza, energiczny i śmiały talent. Jako czternastoletni uczeń w 1848 wstąpił w Stanisławowie do gwardyi narodowej. W następnych latach nasycał się wiarą w jedyną możliwość odrodzenia przez powstanie zbrojne. Przejęta od poezyi wieszczej rozpaczliwa żądza wolności w połączeniu z powyższą wiarą zrodziła prawie mistyczne przeświadczenie o wartości męczeńskiej krwi dla następnych pokoleń, zrodziła nie już gotowość, lecz głód ofiary. Od r. 1854 akademik-apostoł powstańczy był „wartą na śpiących duchów taborze“. Marzył o niebie, czekał śpiewania gromu, skutkiem ciszy nie mógł dopłynąć do lądu, wywoływał pioruny, wzywał burzy. Odtąd słowem i czynem gotował ruch styczniowy wśród wszystkich warstw społeczeństwa. Już jako skryptor w Bibliotece Ossolińskich gorliwie krzątał się w ludowym *Dzwonku* i pod pseudonimem Jasia Żuczka w utworach *Gadka Kuby z Jankiem* i *Co mówił Zrzęda*? zabiegał o udział ludu w powstaniu. W roku 1858 napisał poemat p. t. *Dziewczę z Sącza*. Dzielne, bitne, patryotyczne i katolickie mieszczaństwo Sącza jest właściwym boha-

Dziewczę z Sącza.

---

[1]) Marcinowska Jadwiga: Miecz. Rom. Przegląd narodowy. Sierp. 1908.
Julia Dicksteinówna: M. K. Pam. lit. 1911.
S. Baumfeld: M. R.
Piotr Chmielowski: Żywiol mieszczański w poezyach Mieczysława Romanowskiego. Tyg. illustr. 1886.
Maurer Henryk: O tragedyi M. R. p. t. Popiel i Piast. Kraków 1906.

terem poematu. Czujne i roztropne w przygotowa[illegible] rzutkie, sprawne i solidarne we walce; dobre, nie[illegible] stanowcze w wyzyskaniu zwycięstwa; — mogło ono [illegible] obrazów poematu służyć za wzór działania. Powieść sw[illegible] pozycyą prostą i naturalną, swą potoczystą wymową, swą [illegible] pełną dramatycznych momentów, akcyą, swem w miarę barwn[illegible] nienudnem obrazowaniem trafiała do półinteligencyi mi[illegible] zwłaszcza że bił z niej strumień przywiązania do Polski. [illegible] szwedzkiego potopu w 17 w. łatwo dawały się zastą[illegible] niem Polski przed 1863 r. *Dziewczę z Sącza* przewy[illegible] tami myśli, uczucia i celu niejedną gawędę spółczesną. [illegible] sana w 1858, nie była pierwszą ani ostatnią powieścią po[illegible] czną Romanowskiego. Poprzedziły ją: *Chart watażki*, *Łużeccy*, *Posłannik*, *Buława Rewery* i inne, ale w żadnej z nich, wyjąwszy *Savannah*, nie znalazła tak silnego wyrazu miłość ojczyzny i w żadnej następnej nie zespoliła się tak mocno w całość zajmująca i na prawdzie oparta treść z poetyczną formą. Im bardziej zbliżał się rok ruchu, tem czynniej poeta uderzał w różne sfery, aby je zjednać dla sprawy, tem głośniej i natarczywiej wołał o zgodę wszystkich stanów. Duchowieństwo usiłuje zagrzać przykładem kanonika Pstrokońskiego, który w bitwie pod Guzowem bohaterski bierze udział; żydom stawia w *Rabinie* przed oczy patryotyczny czyn Jastrowa; wszystkie stany o zgodne działanie błaga w *Trzech sztandarach*, *Ojcowskiem słowie*, a zwłaszcza w powieści *Projekta*. Wskazuje w niej Romanowski szlachcie, iżby, związawszy się węzłem solidarności, dla wieśniaków słońcem się stała, tchnęła w tę bryłę, czekającą Bożego: stań się! swego ducha rycerskiego. Projekt Jana, młodego dzierżawcy, dąży do szerzenia oświaty ludowej przez szkółki i biblioteki, do wzajemnego wpływania na siebie pod względem narodowym. Mają się zakładać Towarzystwa wzajemnej pomocy w całym kraju; winny się one porozumiewać nawzajem za pomocą stałych korespondentów, wyznaczonych z Towarzystwa każdego obwodu. Tak związać się miał łańcuchem solidarności i wspólnych interesów cały kraj, a wszystkie warstwy miały się stopić w „posąg z jednej bryły“ i przygotować do wspólnej walki o wolność.

Inne powieści mają ten sam cel.

Powieść *Projekta*.

Nawet i przewodnią myśl jedynego skończonego dramatu p. t. *Popiel i Piast* (*Wanda* jest fragmentem) przenika cel zgody i miłości wzajemnej. Tragedya ta przez mocne i zwarte ustawienie starcia tragicznego, przez plastykę głównych figur, przez aktualną ideę sojuszu szlachty i ludu cennem jest dziełem pomimo reminiscencyi z *Makbeta*, *Balladyny* i *Lilli Wenedy*.

Popiela i *Piasta* ideą jest zgoda.

Takto jedna idea i jedno uczucie przenikało dzieła poety: idea wyzwolenia i uczucie miłości ojczyzny. Ale przeczuwał rychłą śmierć. Biały jej cień towarzyszył mu od roku 1858, kiedy pisał *Nową Znajomość*. Przy posępnym akompaniamencie tego cienia wygrał poeta piękne i smutne melodye: *Straszno mi, Boże*

Przeczucia zgonu.

(1858), *Modlitwa* (1859), *Ból życia* (1861), *Sestyny* (1862). I spełniło się przeczucie. W marcu poszedł do boju — w kwietniu już nie żył.

I leżał z szablą swą, jak posąg biały...
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę...
Wkoło płakali druh i towarzysze...

W liryce pokrewny z Ujejskim.

Piękna, szlachetna postać, z jednej bryły szlachetnego kamienia wykuta; *candida anima*, lecz i talent duży, rzutki, dzielny. Akord jego pieśni nie jest rozleglejszy niż Pola lub Kondratowicza, lecz siła, głębia i metaliczność brzmienia przewyższa tamtych, równa go z Ujejskim. Te same barwy duszy, ta sama miłość rodzimej przeszłości; ten sam zapał, to samo narzekanie na atmosferę mrożącą chwili i pragnienie zmiany. Stanowił on zresztą ostatni donośny ton w chórze poromantycznej literatury.

Ogólny obraz ruchu umysłowego w dzielnicach Polski.

W Królestwie.

Chór ten w trzydziestoleciu, dzielącem listopadowe powstanie od styczniowego, rósł nie tylko dzięki tym większym i głównym śpiewakom, o których była mowa, lecz też i dzięki mniejszej rzeszy, która skupiała się przeważnie koło czasopism, jakich po 1840 roku we wszystkich dzielnicach polski coraz przybywało.

W Warszawie po dziesięcioleciu martwoty i zastoju, sprawionego uciskiem, powstaje w 1841 miesięcznik *Biblioteka warszawska*, która popiera dział umiejętności ścisłych, stosowanych do przemysłu i praktycznych, jak filozofia, matematyka, chemia, mechanika, ogrodnictwo, lecz szpalt swych użycza także krytyce, belletrystyce i poezyi. Tu pracują uczeni: August Cieszkowski, Wacław Maciejowski, Edward Rastawiecki, Aleksander Przezdziecki, Julian Bartoszewicz, Aleksander Tyszyński, Kaz. Wł. Wójcicki. Równocześnie z *Biblioteką* powstawały pisma: *Przegląd naukowy*, na czele którego pracował Edward Dembowski i Narcyza Żmichowska, autorka powieści p. t. *Poganka* i twórczyni związku „entuzyastek"; *Pielgrzym*, założony przez katolicką filozofkę Eleonorę Ziemięcką; *Jutrzenka* i *Roczniki krytyki*. We Wilnie redagował Kraszewski *Atheneum*, a *Tygodnik Petersburski* gromadził pisarzy z t. z. obozu zachowawczego.

W Galicyi.

W Galicyi dzięki wysiłkom garstki ludzi dobrej woli po 1830 roku zaczęły się z pod zalewu niemiecczyzny wychylać znaki rodzimej kultury. W tym roku *Haliczanin* zebrał grono talentów, które tu znalazłszy literacką przystań, z biegiem lat wspierały swą pracą czy to *Ziewonię* czy *Dziennik mód paryskich*. Byli to: Jan Nep. Kamiński, August Bielowski, Józef i Leszek Borkowscy, Karol Szajnocha, Dominik Magnuszewski, Józef Dzierzkowski. Pierwszy w dziele *Dusza uważana jako myśl*,

słowo i znak dowodził, że język bywa koniecznym, logicznym wyrazem organizmu duszy; poza etymologiczno-filozoficznemi dociekaniami tłómaczył dzieła Szyllera, Kalderona i napisał *Krakowiaków i Górali*. Drugi zaczął poematem: *Pieśń o Henryku Pobożnym*, przeszedł do historyi i wydał cenny erudycyą *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*, a wreszcie na wzór pomnikowego wydawnictwa Niemca Pertza wydrukował trzy ogromne tomy *Monumenta Poloniae historica*.

Józef Dunin Borkowski przekładał Herodota, *Hymny* i *Teogonię* Hesioda, Apollodora; Aleksander zaś pisał poezye: *Orły Herburtów*, *Wieszczenia Lechowe*, lecz głównie ostre satyry: *Niepowieści i Nierozprawy* i *Parafiańszczyznę*. Karol Szajnocha, jak Bielowski, zaczął utworem poetycznym Jerzy Lubomirski, poczem zasłynął licznym szeregiem dzieł historycznych, z których największe: *Bolesław Chrobry i pierwsze odrodzenie Polski*, *Jadwiga i Jagiełło*, *Dwa lata dziejów naszych*, *Mściciel* i kilka tomów przezeń do historyografii polskiej wprowadzonych *Szkiców historycznych*. Pracownik żelaznej woli i wytrwałości, za cel niestrudzonej pracy przyjął: rozpoznać i sprawdzić jak największą ilość szczegółów, wydobyć jak największy zasób materyału historycznego, przez co rozświetli się dziejowy widnokrąg i wydarzenia ułożą się same.

Dominik Magnuszewski pragnął dać literaturze nowy dramat i w rozprawie *O dramacie* zarzucał dramatowi pseudo-klasycznemu, że nie liczył się z duchem czasu, w którym umieszczał akcyę, że tworzył konwencyonalnych bohaterów, jednakowym mówiących językiem, jednakich w myślach i uczuciach, choćby o wiele lat byli od siebie odlegli. Swoją teoryę illustrował dziełami z różnych wieków, jak *Władysław Biały* z XIV, *Radziejowscy* z XVII, a zwłaszcza *Niewiasta w trzech wiekach*. W pierwszej części tej powieściowo-dramatycznej trylogii *Małgorzata z Zembocina* jaśnieje, jako wzór wierności podczas wyprawy Bolesława Śmiałego na Ruś; w drugiej części *Barbara jeszcze Gasztołdowa żona* żywi w duszy tkliwe uczucie, mącące słowo codziennej modlitwy; w trzeciej *Posiedzenie Bacciarellego* ukazuje dwie kobiety: sarmatkę i sfrancuziałą. Tak jedną trylogią objął poeta wieki: XV, XVI i XVIII.

Józef Dzierzkowski w powieściach *Płacz i śmiech*, *Bale na wsi*, *Jutro*, *Kuglarze*, *Dla posagu*, *Rodzina w salonie*, odtwarzał życie, zaprawiając szczyptą ironii potok dostrzeżonych obrazów. W dalszych powieściach: *Salon i ulica*, *Król dziadów*, *Znajda* i *Szpicrut honorowy* przechodzi na pole społecznych antagonizmów, które obserwuje w świetle sympatyi demokratycznych.

Literatura zatem galicyjska w twórczości artystycznej i naukowej daje wyraz, podobnie jak literatura Królestwa, tym samym praktycznym potrzebom i ideałom chwili. Unarodowienie ludu i mieszczaństwa, wzrost dobrobytu, praca od podstaw, poparcie dla przemysłu, stosunek sztuki do życia i artystów do

społeczeństwa, potrzeba pielęgnowania języka, religii, obyczaju, jako skarbów bez ceny, moralne podniesienie na wyższy poziom szlachty i arystokracyi, poszukiwanie w przeszłości ostoi i dźwigni dla teraźniejszości — oto główne jej motywy i zagadnienia. Do tego tonu dostraja się i Wielkopolska, jakkolwiek w tym właśnie okresie żyje się w Poznańskiem względnie najswobodniej; ani emisaryusz emigracyjny ani książka polska nie są narażone na takie prześladowanie, jak pod zaborem i w Galicyi. Zbliżenie do umysłowego ruchu na emigracyi wpływa na ożywienie tętna kultury wielkopolskiej i udziela jej właściwego zabarwienia. Domy obywatelskie zalewa powódź pism, broszur i książek emigracyjnych. „Literatura emigracyi — to kanał oddechowy Poznańskiego, to związek jego z życiem". Czasopisma, jak w innych dzielnicach, służą za zwierciadło życiu, budzą w masach ruch umysłowy i wołają do czynu tęższe siły kraju. Około leszneńskiego *Przyjaciela ludu*, *Tygodnika literackiego*, *Orędownika*, *Roku* i *Przeglądu Poznańskiego* gromadzi się rzesza nie tylko poetów i belletrystów, ale uczonych i działaczy społecznych. Własnych talentów Wielkopolska nie miała; zasilali ją: Michał Czajkowski, Józef I. Kraszewski, Sew. Goszczyński, Luc. Siemieński, Edm. Wasilewski, Michał Grabowski. Ale sztandar nauki wysoko trzymali: Edward Raczyński, wydawca cennych materyałów historycznych, choćby tylko wymienić pamiętniki: Paska, Kitowicza, ks. Albr. Radziwiłła, Otwinowskiego, gen. Dąbrowskiego; Karol Libelt i Karol Marcinkowski, szlachetni współzawodnicy w dziedzinie służby społecznej. Na polu poezyi generał Franciszek Morawski, osiadłszy w 1834 w Luboni, pisał *Giermka*, *Brzozę Gryżyńską*, *Wizytę w sąsiedztwo*, *Domek mojego dziadka* i przygotowywał cenne przekłady dzieł Byrona.

W Wielkopolsce.

Ryszard Berwiński tworzył *Powieści wielkopolskie* i dwa tomiki *Poezyi*, w których z talentem opiewał własne zwątpienia, werterowskie rozpacze i ból życia. W drugim tomiku donośnie dźwięczy nuta ludomanii, zwłaszcza w niesłusznych oskarżeniach i doraźnem potępieniu szlachty za niewolę ludu, choć ta nic nie mogła uczynić, gdyż rząd poczytał jej za zbrodnię każdą próbę wyzwolenia ludu z niewoli. Po r. 1844 poświęcił się poeta *Studyum o literaturze ludowej*.

Zanim osiadł w Krakowie, Lucyan Siemieński w tym samym co Berwiński tonie napisał *Dwa obrazy*; lecz poza tem w Wielkopolsce ogłosił *Wieczory pod lipą*, *Portrety literackie*, *Samuela Zborowskiego* i *Napierskiego*. Cieszył się też w Wielkopolsce dużym rozgłosem Wasilewski, poeta czwartej dzielnicy ówczesnej Polski: wolnego miasta Krakowa. Pieśni jego — jak sam się zwierza — powstały ze śpiewu słowika na wiosnę, z piosnki żniwiarza, z uwiędłego listka jesieni, z szumu burzy, która odmiotła piaski z przeszłości i odkryła szkielety dawno umarłych, powstały z uśmiechu, z westchnienia, z łez i krwi. Ani *Katedra na Wawelu* ani *Marzenia w Tatrach* nie zjednały sobie takiej popularności,

W Krakowie.

jak krakowiaki. *Na Wawel, na Wawel, Pieśń żeglarzów, Hymn orłów* żyją dotąd wśród młodzieży polskiej, jako wyraz porywu młodych serc ku ideałowi, ale także jako dzwon, rozgłośnie wieszczący światu patryotyczny zapał, wcielony w melodyjny akord ludowego śpiewu krakusów. Głosił Wasilewski już nie hasła młodzieży, lecz zdrowy i męski nakaz do narodu, kiedy na parę lat przed śmiercią w jednym z ostatnich krakowiaków wołał:

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją.
Nie dbać o to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją.
Zaszumi zawieją, lecz, jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj — boski kochanek.

Pisał to w 1844 — a we dwa lata, w pamiętnym roku rzezi — nie żył.

Ogólna charakterystyka.

Tak tedy i kraj w latach 1830—60 nie dałby się porównać do roli, odłogiem leżącej, choć poziom twórczości literackiej nie wyrósł do poziomu emigracyjnego. Dzięki czasopismom wzmogło się czytelnictwo, ścierały się i wyrabiały opinie, krzątały się nauka i krytyka. Współdziałał tu zbieg różnych czynników, niweczących nieżyczliwy i nieufny nadzór rządów. Wzrosła fala patryotyzmu; rozbudziła się w satyrze i powieści samokrytyka; dalekie echa emigracyi nie dozwalały zdrętwieć nadziejom wolności; emisaryusze konspiracyjną swą robotą nanosili niemało bied, lecz też i zmiatali wierzchnią skorupę martwoty, wydobywając na wierzch żyzną glebę; żywe były i nieraz szalone porywy młodzieży, lecz rosła ona pomimo wszystkiego w tradycyach miłości ojczyzny; kształtowało się poczucie potrzeby samopomocy i samoobrony; rósł przemysł i narodowe bogactwo; ułatwiały się środki komunikacyi: słowem znać było na wszystkich polach wiedzy, sztuki i kultury życie, bijące raźniejszym strumieniem.

Liryka powstań w latach 1848 i 1863 [1]).

Dla czego niebogata?

Nie jest bogatym plon pieśni patryotycznych w latach 1848 i 1863. Konspiracya szła podziemnym kanałem, kryła się i nie mogła jawnie głosić swych haseł; przytem zużywała ona cały zasób fantazyi i energii twórczej na czyny, lekceważąc słowa, które gromem stać się nie mogły. Dodać też trzeba, że ogół polski w kraju zrazu po klęsce 1831 roku przeżywał srogą likwidacyę patryotycznego uniesienia tego roku, potem krzątał się około materyalnego dobrobytu, w każdym zaś razie chętniej podawał ucha praktycznym wskazaniom, niż poezyi, narażającej na uciemiężenie. Pomimo tego i oba powyższe lata przyniosły dosta-

[1]) Stanisław Lam: R. 1863.

teczną wiązankę poemacików, aby można było z nich wyśledzić zasadnicze tony uczuć i nastrojów zbiorowej duszy.

Pieśń zemsty i rozpaczy.

Twardym, krótkim najczęściej rytmem, mocnem i ostrem słowem brzmi pieśń nienawiści, zemsty i odwetu. Tak tworzy Ujejski: *Pieśń zemsty*, Berwiński: *Marsz w przyszłość*, Romanowski: *Pieśń młodej wiary*, Urbański Aureli: *Rok* 1863, Wolski Włodzimierz: *Marsz powstańców*.

Jak tu straszno, tu nas dręczą,
Pełno łez i skarg!
Pod żelazną kark obręczą
Purpurową zaszedł tęczą,
Niegdyś wolny kark;
A tam ziemia obiecana
Bez tyrana i bez pana
Pod zarządem Bożym
Czeka nas za morzem krwi,
Za czerwonem morzem...

(*Berwiński*).

Towarzyszy tym ponurym śpiewom rozpacz, „głuche cierpiących jęki", zatrata nadziei, czasem ostry krzyk bluźnierstwa, czasem zgrzyt ironii i nieufności pełen. Nie inny jest Ujejskiego: *Chorał*, Deotymy: *Dzwon pogrzebowy na pamiątkę pogrzebu ofiar 27 lutego* 1861, Ujejskiego: *Na zgon rozstrzelanych w Irkucku*, Lenartowicza: *Łazarzu wstań*, Brzozowskiego Karola: *Nie wierz w Niemca*, Krasińskiego Zygmunta: *O, wiem, że Polska...*, Syrokomli: *Mazur*, Norwida Cypryana: *Buntowniki*.

Pieśń nadziei.

Ale jeszcze, osobliwie w 1848 r., pełga niekiedy wątłe światełko nadziei, łączącej nasz ruch ze świtaniem wolnościowego ruchu Europy. Ludy zbiegły się w olbrzyma-lud — woła Morawski we wierszu: *Początek* 1848 — z głębin biją dwa głosy: braterstwo zgoda!

O! jeśli na te gruzy i łomy
Nieład na nieład górami padnie,
Boga zapomni proch ten znikomy,
A duma, zawiść świat ten owładnie;
Jeśli nóż mordu ma rządzić nami,
Na szał się wieczny burzyć to morze,
I my znów tylko żyć krwią i łzami,
Zabierz mię, Boże!

W tę samą strunę myśli i uczucia uderza Koźmian Stanisław: *Wiosna* 1848, Baliński Karol: *Pieśń z* 1848 *r.*, Zaleski J. B.: *Do wtóru na święto Horodelskie* 10 *października* 1861 *r.*

Niewątpliwie też jaśniejsze i gorętsze dźwięki uczuciowe wnosiły do patryotycznej poezyi tych lat uwielbienie i podziw

dla odważnych bojowników. Prawie wierzono, jak się w *Barbarze Radziwiłłównie* Feliński wyraził, że

Z krwi stu poległych tysiąc powstanie mścicieli.

Spiskowiec bohaterem.

Jakże pełne zachwytu wiersze poświęca Wincenty Pol *Emisaryuszowi*. Młodzian w góralskim stroju śród juhasów mówi o zmartwychwstaniu; na Kalwaryi przybrał postać żebraka i śpiewał: Polska królowo, módl się za polski lud nieszczęśliwy; w Krakowie Morawiec szuka roboty i prawi o wyzwoleniu. Wszędzie starzec, góral, żebrak, kominiarczyk, Węgier, cygan, Włoch — zjawia się, znika, a wszędzie głosi zmartwychwstanie. Zaparł się siebie, wyrzekł się rodziny, naraża się na stryczek, grób, szubienicę: to emisaryusz. Z takiem samem przejęciem ku czci Konarskiego tworzy poemat Goszczyński. Niegdyś przed powstaniem listopadowem, w okresie legionów wielbią poeci bohaterów, ginących na polu chwały z orężem w dłoni. Teraz spiskowiec, męczeńsko stracony kulą czy stryczkiem, osiąga aureolę bohaterstwa. Ta harfa powstańcza ubóstwem strun się odznacza, a i te, które jeszcze dźwięczą, leją żałosne skargi i łzami nabrzmiałe modły. Bóg — jedyna ucieczka, w Bogu tylko nadzieja. Niegdyś zapaleniec podnosił ku Bogu butną głowę i wyzywał Go zuchwale, teraz błagalnym chórem płyną modły o cierpliwość, o zmiłowanie, o ojczyznę. Oto *Matka Polka* w pieśni Franciszka Waligórskiego, niema i blada, chyli się u obrazu Bogarodzicy: niedawno męża jej zabili, dziś drugiego traci już syna. Jest jeszcze jeden... Z oczu płyną łzy gorzkie. Lecz gdy i tego wzywa ojczyzna, kładzie mu ręce na głowie i błogosławi na drogę. Oto lud po świątyniach śpiewa chórem pieśń dawną Felińskiego *Boże, coś Polskę* i teraz dopiero urasta ona na hymn narodowy, choć lat pięćdziesiąt temu powstała. Oto rzewna pieśń Marcelego Skałkowskiego: *Boże, ojcze, twoje dzieci* staje się ulubioną pieśnią pobożną pospólstwa. I jeżeli tak trafnie wyrzekł o rycerstwie listopadowego powstania Słowacki w *Kordyanie*, że „na rękojeści jego miecza nie było krzyża“, to rycerstwo styczniowe z pobożną pieśnią na ustach szło do boju — beznadziejnego.

Łzami nabrzmiałe modły.

Pytania.

1. Jak oceniali stosunek warstw społecznych poromantyczni poeci?
2. Obrazy upadku i odrodzenia Polski w powieści lat 1830—1863.
3. Szlachta spółczesna w literaturze poromantycznej.

4. Społeczeństwo w świetle satyrycznej powieści lat 1840—1863.
5. Polska Sasów i Polska Stanisławowska w powieści lat 1840—1863.
6. Główne typy fredrowskiej komedyi.
7. Główne motywy dramatu i komedyi Korzeniowskiego.
8. Zaścianek w powiesci Korzeniowskiego a w *Panu Tadeuszu.*
9. Szarzyzna życia pod zaborami w świetle literatury lat 1830—1863.
10. Idealizowanie wad Polski niepodległej w powieściach Kaczkowskiego i Rzewuskiego.
11. Gawędy ludowe Ujejskiego i Kondratowicza.

ROZDZIAŁ II.

LITERATURA W KRAJU OD 1863—1890.

Tło literatury po styczniowem powstaniu.

Kraj ma ludzi politycznie przezornych.

Po klęsce styczniowego powstania wcześniej, niż po r 1831, ocknął się naród i począł szukać nowych dróg dla bytu wśród niełatwych do zniesienia warunków. Emigracya z r. 1831 porwała była w obce kraje najlepsze siły narodu; emigracya po r. 1863 nie wyjałowiła kraju. Pozostali politycy i publicyści dużego rozumu, daleko widzący, którzy potrafili sami mądrze oceniać bieg wydarzeń, wpływem swym wyrobili szkołę młodych umysłów, ożywionych gorącą wolą pracy dla społeczeństwa, zainicyowali walkę idei, dzielnie kierowaną, natchnioną dobrem ogółu, iżby z tej walki łatwiej wyłonić się mogła prawda.

Uczuciowa polityka Kraszewskiego.

Krytycznie począł oceniać minione wypadki najpierw Józef Ignacy Kraszewski w broszurze *Sprawa polska w* 1861 *r.*, w *Rachunkach* z lat 1866—1869 i w dziele *Program polski, myśli o zadaniu narodowem.* Były to księgi krwią i łzami pisane: *cum ira et studio.* Jakkolwiek zaraz na początku *Rachunków* wyznaje, że rewolucya jest mu wstrętną, to jednak w toku wywodów nie może pozbyć się gniewu na zwycięzcę, nie popiera całą siłą idei pracy gospodarczej w kraju, lecz woła o pielęgnowanie ducha narodowego, o cześć dla przeszłości; o uwielbienie dla bohaterskich wysiłków powstańczych. W jego słowach jeszcze odczuwa się niedawny poryw patryotyczny, który najchłodniejszych rozpłomieniał, odczuwa się jeszcze jęki uczucia, druzgocącego skorupę chłodnego rozumu. Sąd jego jest sądem człowieka rozbolałego po niedoli, kiedy jeszcze nie znalazł ukojenia. Rachunki

dotykały tłumu ludzi, bolesnej dokonywały dyssekcyi na sprawach tak świeżych, że musiały wielu oburzać, wielu ranić, wszystkich interesować. Bezpośrednio t. z. Stańczyków. W Galicyi po r. 1863 wyróżniały się prądy polityczne: postępowy i zachowawczy. Ten ostatni przypisywał klęski Polski samym Polakom, ostro występował przeciw spiskom i pragnął z rozbicia „ocalić cień bytu na drogach legalnych". W powstałym w Krakowie w 1866 *Przeglądzie polskim* wyrabiały się młode, tęgie siły, śród nich najwybitniejszy Józef Szujski, historyk, poeta, satyryk, publicysta. W *Kilku prawdach z dziejów naszych* (1867) dowodzi, że jeżeli naród upadł, to z własnej winy, jeżeli powstanie, to własną pracą; dowodzi, że grzechem w dawnej Polsce było nieuszanowanie władzy królewskiej, występowanie przeciw religii katolickiej, uciemiężenie ludu; że najgorszem złem porozbiorowem było *liberum conspiro*; wreszcie radzi usilnie starać się o rozwój wewnętrzny drogą pracy organicznej przy równoczesnem lojalnem popieraniu każdorazowego rządu. Godził się na trzy czwarte tego programu i Kraszewski w *Rachunkach*. „Wyrzeczemy się i *liberum veto* i *liberum conspiro*, ale nigdy *liberum cogito*. Według naszego przekonania spiski nie były dobre, roboty potajemne uwłaczały godności i charakterowi narodowemu. Pod rządem despotycznym w razie pogwałcenia praw i przemocy jedynym środkiem było stawanie chłodne, bierne, mężne i otwarte przy prawdzie. Gdyby wszyscy Polacy zgodnie stawali przy swych prawach, nie czyniąc ustępstw, przeciw którym własne ich sumienie protestowało, gdyby sile tylko ustępowali, niezłomnie głosząc prawdę zawsze i wszędzie, potężniejszemby to było od spisków i rewolucyi".

Stańczycy a Kraszewski.

Równocześnie prawie w 1870 roku wyszła *Teka Stańczyka*, której autorowie rozwijali w szczegółach program pracy od podstaw, lecz równocześnie poddawali druzgocącej krytyce wszystkie odcienie odmiennych zasad i stronnictw politycznych. Odpierali oni zarzut niepatryotyzmu, oburzali się na porównywanie *Przeglądu* z *Warszawskim dniewnikiem*, zapewniali o swej życzliwości dla emigracyi. Ale ostrzegali przed złudzeniem, że za pomocą powstania dojdzie się do Polski i uznawali ludzi, tak wierzących, za szkodliwych. Potępiali demonstracye, gdyż odrywają od pracy, która jest kamieniem węgielnym budowanego przez nich gmachu przyszłości. Mądry ten, starannie i konsekwentnie obmyślony program pracy skupił około swego sztandaru liczne grono poważnych Polaków i zapewnił im na długie lata decydujący wpływ na tok wydarzeń, lecz zarazem zwrócił przeciwko nim żywioły gorętsze i wywołał walkę opinii. Ostremu i bezwzględnemu, jednostronnemu a nieraz niesprawiedliwemu sądowi poddaje wskazania polityczne i społeczne, nawet literackie i religijne Stańczyków Zygmunt Kaczkowski w bezimiennie wydanej w 1883 roku książce p. t. *Teka Nieczui*. Rzecz zaczyna się w r. 1869, kiedy wychodziły listy *Teki Stańczyka* i ma

Teka Stańczyka.

Teka Nieczui.

także formę listów z nieba. Rozmawiają sławni zmarli Polacy. Oto w Krakowie powstało stronnictwo, którego hasłem: Polska jest trupem, toczonym przez robactwo. Zwolennicy stronnictwa plują w twarz patryotom, depcą nogami ofiary za Polskę.... Nieczuja uważa Stańczyków za materyalistów, przybierających postawę mędrców, w gruncie oderwanych od pnia społeczeństwa, bez zasad i przekonań, nabożnych w słowach nie uczynkach; uważa za wrzekomych stronników władzy, ale w istocie za filary przemocy, utrzymujące się przy władzy nie szacunkiem publicznym, lecz intrygami i teroryzmem. Równa ich z komunistami: jedni i drudzy zaparli się ojczyzny — i tylko ta jest pomiędzy obydwoma różnica, że kiedy ci po cudzą własność sięgają rewolwerami i dynamitem, tamci ją wyskubują powolnie kłamstwem, podstępem i intrygami. Zarzuca im Nieczuja pogoń za orderami i posadami, klerykalizm kosmopolityczny, a zwłaszcza nieszczere postępowanie względem ludu. Potrzeba im, aby lud pozostał ciemnym i nieukształconym i partya krakowska zawsze sprzeciwiać się będzie rozszerzaniu oświaty między ludem...

Że to wszystko, co Nieczuja wywodzi, jest stekiem obelg lub insynuacyi, wynika stąd, że Szujski n. p. w 1866 polemizował z materyalistami, czy stąd, że *Teka Stańczyka* na czele pojęcia pracy organicznej położyła właśnie: oświatę ludu.

Szkoła Główna budzi w Królestwie ruch umysłowy.

Gdy tak w Galicyi w starciu odmiennych przekonań wytwarza się polityczny rozum i doświadczenie, gdy coraz jaśniej wyłania się zasada, że tylko w zlewie wszystkich sił i tylko przez pracę u podstaw można wykołatać lepszą dolę, w Warszawie też budzi się war sprzecznych sądów, tylko nie na tle politycznem, lecz zrazu naukowem, następnie społecznem, myśl bowiem polityczna wskutek skrępowań rozwijać się nie mogła.

W r. 1862 powstała Szkoła Główna. Młodzież garnęła się do nauki, a dowiadując się od młodych profesorów o jej postępach w Europie, pragnęła przeszczepić nowinki zachodu na grunt swojski, skąd wywiązał się literacki spór pomiędzy młodymi i starymi, zwłaszcza, gdy młodzi w *Przeglądzie Tygodniowym* od 1866 uzyskali własny organ. Zwrócili się oni przeciw sentymentalnej poezyi, domagając się od niej służby potrzebom społeczeństwa. Zarzucano poezyi, że jest urną, do której w postaci mętnych łez spływają ludzkie przesądy. Obce jej tłumy wojujące i tłumy uciskane, obce ideały cnoty, sprawiedliwości, miłości, zgody, braterstwa, przebaczenia, które jaśnieją nad ludzkością. „O, przestań, poeto, lunatykiem być i na księżyc patrzeć; nie śpij, lecz czuwaj i gdy na ulicę grodu wychodzisz lub w ściany domostw wstępujesz, szeroko otwieraj współsenne dotąd oczy, a ujrzysz krzyże sieroctwa i niedoli, krzyże rozpaczy i rezygnacyi i bólów serca, i zwątpień umysłu, i zgryzot sumienia; ujrzysz te krzyże, a ponieważ płonie w twem sercu iskra talentu, zaśpiewasz nam o tych krzyżach coś wielkiego i pięknego“.

Nazwawszy się pozytywistami, młodzi rozpowszechniali

Program pozytywistów.

przekonanie o konieczności oświaty dla wszystkich. Należy zacząć pracę u podstaw społecznych, wziąć udział w zarządzie gmin, szkółek wiejskich, kas pożyczkowych, w umoralnieniu wsi. Mniej więcej od 1878 myśl nasza społeczna obejmuje nie tylko wieś, lecz okręgi robotniczej ludności miejskiej. Jakkolwiek międzynarodowy socyalizm nie znajdował obrońców nawet u tak skrajnych pozytywistów, jak wódz ich Aleksander Świętochowski, to jednak odtąd kwestya socyalna weszła w zbiór zagadnień pracy organicznej, a w miarę rosnącego przemysłu robotnik i wytwórca, praca i kapitał stawały wobec siebie, jak dwie siły, które rosły, jak rośnie grudka śniegu w lawinę.

Cały ten ruch umysłowy, jak widać z gmatwaniny sporów, programowych pomysłów w Galicyi i w Królestwie bez względu na to, czy tworzyli je stańczycy, czy pozytywiści, czy Kraszewski, czy Szujski, czy Kaczkowski, czy Świętochowski — zawsze na czoło wysuwał dwie sprawy: skupienia sił ku zgodnej pracy organicznej i budzenia żywiołów sennych: ludu, mieszczaństwa, żydów — za pomocą unarodowienia i oświaty.

Z biegiem lat różniczkowały się poglądy na rolę ludu i stosunek tej warstwy do szlachty. Fala nienawiści do szlachty wróciła w postaci swej z połowy wieku. Bezwzględni pozytywiści obrzucali szlachecką tradycyę obelgami; nie inaczej czynili socyaliści; w 1886 r. tygodnik warszawski *Głos* odłączał ideały szlacheckiej tradycyi od ideałów większości narodu t. j. ludu i zapowiadał propagandę idei wyodrębnienia ludu. Gdy tedy na niepodległą szlachecką Polskę burzyli się i socyaliści i chłopomani, a czynili to samo niemieccy i rosyjscy wychowawcy, zagroziło polskości widmo kosmopolityzmu. Stało się sprawą naglącą określenie idei narodowościowej, wzbudzenie i rozdmuchanie w sercach polskich iskier miłości ojczyzny, przygasłych wskutek długiego panowania kultu przyrody, kultu materyi i siły, kultu pozytywnych faktów, kultu ścisłych obserwacyi. Stało się rzeczą pilną przypomnieć ogółowi, że wiara, charakter i sumienie są głównymi czynnikami rozwoju. Roli tej podjął się Stanisław Szczepanowski w szeregu odczytów, przemówień, broszur, artykułów, a osobliwie w programowej rozprawie p. t. *Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych.* Działaniem swem zaczął on budować tamę przeciw zatopieniu narodowości naszej w mlakach międzynarodowych; obudził przygasłe promienie patryotyzmu, silnie podkreślił zależność rozwoju od religii, języka, literatury, tradycyi, jednem słowem podniósł wartości idealne narodowego wychowania.

Ideał Szczepanowskiego.

Adam Asnyk
poetą wiar i zwątpień [1]).

Na tem tle ogólnych prądów w bliższej lub dalszej z nimi styczności kształci się literatura piękna. Poezya nie znajduje wdzięcznego przyjęcia u ogółu. Z pośród licznej rzeszy wyrastają ponad przeciętną miarę dwa talenty liryczne głównie: Asnyka i Konopnickiej.

Zwątpienia patryotyczne i religijne.

Adam Asnyk odziedziczył po ojcu powagę, nawet pewną surowość w poglądzie na życie, po matce wziął słodycz, dobrą wolę i tego ducha nadziei i wiary, który wśród największych strapień i goryczy nie pozwolił mu zatonąć w topieli rozpaczy. Wdzięcznie też pamiętał i o matce i o zacnej atmosferze Kalisza, poświęcając im wiersze: *Echo kołyski*, *Rodzinnemu miastu*, *Powrót do domu*, *Ciche wzgórze*. Już w 1857 ośmnastoletni marzyciel miał pełną tekę poezyi; do druku odważył się atoli posyłać dopiero w kilka lat później, po powstaniu, w którem uczestniczył, po dotkliwych cierpieniach skutkiem jego upadku, kiedy odzyskał w Neapolu zdrowie, a utracił wiele ideałów i mógł za swe godło uznać myśl:

wątpić i wierzyć i znów tracić wiarę.
(Epilog do *Snu grobów*).

Wiary i zwątpienia stanowią więc pierwszą strunę harfy Asnyka. A są to wiary nie tylko religijne i zwątpienia nie tylko patryotyczne. Zapewne, gdy pisał *Sen grobów*, goryczy pełne było jego serce, buntowało się przeciwko złudzeniom i ich skutkom. Lecz to nie jedyne były zgrzyty w 1864 r. W utworach *Julian Apostata*, *Asceta*, Do ** drga dość silnie nuta zwątpienia religijnego, nawet oddanie się w moc buntowniczego anioła; jednakże w utworach nieco późniejszych: *Pod stopy krzyża* (1869), *Jestże to prawdą?* dźwięczy radośnie ufność i wiara. Pierwszy poemat jest zwierciadłem duchowego przeżycia poety i dowodzi wewnętrznych walk, skończonych zwycięstwem wiary w Zbawiciela.

Innej jeszcze natury wątpliwości dolegały Asnykowi.

W miarę krzątania się narodu około dobrobytu poezya traciła dawną przemoc nad duszami. Widać to już z wymiany myśli poetycznej Romanowskiego i Pajgerta.

W obronie poezyi.

Po r. 1863 zaś, kiedy zewsząd ozwały się naglące wołania do pracy organicznej, połączone z ostrem oskarżeniem romantycznej literatury i z lekceważącem ośmieszeniem sentymentalnej poezyi, wówczas ogół odwrócił się od wzgardzonej i zdawało się, że

... ci, co grzebać mają za rzemiosło,
Idą już piaskiem zasypywać wzniosłą.

---

[1]) Józef Trietak: Adam Asnyk i jego liryka. Ateneum 1881.
Mar. Konopnicka: O Ad. Asn. słów kilka. Bibl. warsz. 1897.
Mar. Zdziechowski: Szkice liter. Twórcz. lirycz. Asn. Warsz. 1900.
Galle H.: Ad. Asnyk. Warszawa 1903.

Żalił się na obojętność ogółu dla poezyi Felicyan Faleński w utworach *Obol Belizarowi* lub *Złoty Cielec*; żalił się Norwid Cypryan w utworze *Na zgon poezyi* (1877); oskarżał poetów Leonard Sowiński, że stroją lutnie na brzęk złota i słuchają, po czemu dzisiaj łza, po czemu śmiech, po czemu jęk: za grosz gruchają, jak gołąbki, za dwa śpiewają dziewic erotyczny wdzięk, za trzy głoszą wrzaski trąb, ryk dział i mieczów szczęk. Asnyk wcześniej od wymienionych odczuł nastrój ogółu względem poezyi i poetów. W szeregu utworów poddał poetycznej analizie przyczyny zjawiska: *Publiczność do poetów*, *Poeci do publiczności*, *Napad na Parnas*, *Zmierzch melodyi*, *Na zgon poezyi*, *Przeminął czas* (1870). Rozpatrując stosunek nauki do sztuki, zapewnia o swej czci dla wiedzy, domaga się, żeby poeta wszystkie świeże prądy życia odtwarzał w swojej pieśni; lecz ufa, że nadejdzie chwila, kiedy duch ludzki ożywi zeschły pień życia, a jasny kwiat ideału napełni ziemię wonią. Natenczas

...bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

Jeżeli w słowach tych niema tak przejmującego uczucia, jak w zakończeniu *Chorału* Ujejskiego, to nie brak im ani wiary, ani pewności, ani też brzmień pojednawczych. Po tych zarzutach, jakie poetom czyniła publiczność i po ostrych oskarżeniach, nawzajem przez poetów ku ogółowi skierowanych — owa pewność i pojednawczość wydaje się jakoby hasłem i zapowiedzią nowych prądów. Asnyka liryka lubi zwięzłe hasła, przestrogi, zaklęcia rzucać w duszę spółczesną. Sam poeta, mędrzec, pojednany z niedolą życia, przeszedłszy przez jego piekło i ukoiwszy się, radby braciom-ludziom dać talizman równowagi duchowej. Asnyk wie, że duch ludzki na tortury wzięty, a wiek z umęczonych krwawo szydzi; wie, że na nic nauka, skoro nie daje pociechy, a odbiera ideały. (*Wiekowi XIX*).

Hasła Asnyka humanitarne.

Ale też wie, że śród krzywd i gwałtów, śród krwawych walk o łup płonie, jak gwiazda, miłość, ucisza walki i burzę zmienia w jasność. Ona wiedzie chór duchów, wiąże plemiona i rody, wznosi Bogu ołtarze. Jej darami są: litość, pociecha, łaska; z pod jej stóp wykwitają prawda i cnota. Świat zwolna zaludnia się orszakiem czystych postaci, słodzących ludzką nędzę. Poświęcenie dla nich rozkoszą. (*Oda*). Z rozmyślań nad światem, życiem, człowiekiem, bytem i nad ich wzajemnym stosunkiem powstały sonety *Nad głębiami*. Osnowę myślową trzydziestu filozoficznych sonetów stanowi następujący wywód. Zagadki bytu nie odkryjemy (1—4). Jeśli kto w olbrzymich mrokach tajemniczej nieskończoności, w którą płyną pokolenia, roznieci światełko, tworzy się naokół jeszcze głębsza ciemność. Musi atoli istnieć moc, tworząca byt: Bóg bezustannie snuje ze siebie nić istnień

System filozoficzny cyklu *Nad głębiami*.

(5—8). Człowiek jest nieśmiertelny przez treść, która łączy go z całością, przez samowiedzę wspólnych źródeł. Istnienia nawzajem zależą od siebie; wszyscy są związani wspólnem pochodzeniem i odpowiedzialni: każdy za wszystkich, za jednego wszyscy. Jeśli jeden z braci przywoła na ziemię widmo mordu, ludzkość musi przeciw złu szukać tarczy, potęgując w sobie miłość. Miłość buduje, co złość zniweczy. Ciągła praca cichych poświęceń usuwa przekleństwo i bogaci skarbiec powszechny. Tak tworzy się i utrwala wielki religijny związek, łączący ludzkość w Bogu. (9—18). Dopiero w spójni z wszechświatem człowiek rozszerza swe granice, jako cząstka potęgi, żyjąca w tem, co było, jest i będzie. Śmierć jest tylko stopniem wyższego rozwoju, chorążym ciągłego postępu. Prąd życia naprzód porywa atomy, przenika martwotę światłem i wypełnia duchem. Chociaż jednostka porusza się w kole praw niezmiennych, może się stać pożyteczną, chyba że działa na powszechną szkodę. Wówczas ginie. (19—24). Dla jednostki smutny byłby schyłek życia, jak smutny byłby schyłek zamierającej epoki, gdyby go nie rozjaśniała nadzieja nowego życia lub nowej, odmłodzonej epoki (25—30).

Taki bogaty wątek ważnych myśli ujmuje poeta w szereg filozoficznych sonetów, w których mniej mu chodzi o plastykę obrazów, o żywe barwy i o dźwięczną rytmikę, niż o jasność i ścisłość wywodu. Pogląd na świat Asnyka nie rości sobie pretensyi do odkrycia nowych dziedzin lub rozwiązania zagadnień tajemniczych; nie jest też ów pogląd w ścisłym sojuszu z objawioną religią katolickiego kościoła; niemniej świadczy on o głębokiej i na przekonaniu opartej miłości poety dla ludzi, o ukojeniu się jego duszy, nękanej niedolą świata: ostoja zaś, jaką w tym na świat poglądzie znalazł Asnyk, godna zaprawdę mędrca.

Struny jego harfy, patryotyczna i ludowa.

Pełen miłości dla ludzi, Asnyk, choć prawy i wierny syn ojczyzny, pozostawił niewiele utworów patryotycznych. Zjawiska życia spółczesnego nieciły w nim iskrę myśli i uczucia. Kiedy zjawiła się kwestya robotnicza, Asnyk łączył widmo socyalizmu z bankructwem wiary i w poematach *Wśród przełomu*, *Swiat się ogniami zapala* snuł obrazy, groźną zapowiadające przyszłość.

Dramaty i komedye.

W okresie twórczej pracy wydał też Asnyk dwa historyczne dramaty: *Cola Rienzi* (1873) i *Kiejstut* (1877), dwa dramaty spółczesne: *Bracia Lerche* i *Żyd*, oraz parę komedyi: *Walka stronnictw*, *Przyjaciele Hioba*, *Gałązka heliotropu* i *Komedya konkursowa*. Dramaty idei, jasne w konstrukcyi, pisane piękną prozą lub kryształowym wierszem, nie kipią żywą akcyą, nie celują węzłowato pokręconym konfliktem, nie wstrząsają namiętnością postaci. Bohaterowie — są to ludzie szlachetni, mądrzy, asnykowskiego pokroju, raczej filozofowie, niż działacze. Na tle ograniczonego, czasem nikczemnego tłumu — postaci te głowami wystrzelają wysoko. Chociaż i historyczne dramaty i spółczesne nie mają warunków sceniczności, ważne są bogactwem myśli, nieraz uderzającą alluzyą do naszych stosunków, czasem aktualnością,

rzadziej porywającą sceną. Komedye mniej. Dyalog ich wypowiada wszystko, często to, czego mówiący nie ma w myśli: służy zatem do zakrycia istotnej myśli. Wtedy uzupełnia się dyalog głośny zwrotami do siebie; zwroty te są półgłośne maskowane myśli i uczucia. Człowiek z komedyi Asnyka tłómaczy się formami swego stroju, nazwiska, ruchów. Bywa też to komizm zewnętrzny, łatwy, staromodny, w którym *qui pro quo*, epizodyczne monologi, powtarzane przysłowiowo nawyknienia mowy służą za ornamenty komiczne. Psychologii nie pogłębia się. Nie tworzy się zawikłań szczerze śmiesznych ani bolesnych: chodzi prawie zawsze o śmiesznostki towarzyskie.

Ogólne cechy poezyi Asnyka

Asnyk poza rolą działacza, ze wszech miar doniosłą i chlubną, przekazał nam piękną pamięć, jako człowiek i jako liryczny poeta. Człowiek zacny. Postępowy — szukający prawdy i mający chwile widzenia prawdy. W myślach unikał szablonu i frazesu, gardził łatwym popisem, umiał dążyć do idei drogą ścisłego rozumowania, torami jasnych, prostych, a mimo tego głębokich refleksyi. Zarzucano mu chłód, lecz jest to chłód zdrojowej, krzepiącej strugi, chłód, który oświeża i wzmacnia, nie zaś ziębi i odtrąca. Bywają chwile, kiedy rzewność jego poezyi szczerze wzrusza, zwłaszcza gdy poeta prosi, błaga, zaklina. Towarzyszy tej myślowej i uczuciowej treści wykwintna forma, nader biegle cyzelowana w zwrotkach, śpiewna w rytmice, zawsze staranna, bez cienia licencyi w rymach, szlachetna w obrazowaniu.

Marya Konopnicka — pieśniarka ludu i polskiej natury [1]).

Liryzmem i skłonnością do filozoficznego ujmowania w kształty pomysłów twórczych odznacza się Marya Konopnicka, podobnie jak Asnyk. W 1877 w *Tygodniku illustrowanym* wydrukowany *Romans wiosenny*, żywo przypominający sielankę Słowackiego *W Szwajcaryi*, lecz w ujęciu wolny od roztkliwienia, w tonie żartobliwy, czasem ironiczny, w technice poetycznej niemal bez zarzutu, dowodził zjawienia się nowego talentu i młody a sławny już wtedy Henryk Sienkiewicz witał z radością ów talent w liście z Ameryki. W tym samym roku ogłosiła poetka cykl krajobrazów p. t. *W górach*, poczem wśród warszawskich sporów literackich raz wraz rozlegał się jej donośny, jak dzwonek, głos

[1]) Sienkiewicz H.: Marya Konopnicka. Bibl. Warsz. 1902.
Galle H.: Twórczość M. Konopn. w ciągu 25 lat. Warsz. 1902.
Potocki Ant.: M. Konopnicka, Szkic liter. Lwów 1902.
Grabowski Tad.: Marya Konopn. w 25 rocz. jej poet. działaln. Przegl. Pol. 1902.
Jarecki K. dr. Twórczość poet. M. Konopn. Lwów 1902.
Maykowski St. O chłopskim eposie Konopnickiej. Bibl. Warsz. 1907.

w myśl pozytywnych haseł, popierający żądania społeczne w kwestyi robotników ludu, żydów. Dwa zbiory poezyi (z r. 1881 i 1883) [illegible] rzetwarzający, lecz twórczy talent Konopnickiej. [illegible] z nie do skarbca poezyi XIX w. cenne myśli [illegible] wierszem niezwyczajnego blasku i śpiewności. [illegible] swój poetyczny obrazkiem. Była to niby gawęda niby ballada, lecz od pierwszej różniła się uczuciem i tendencyą społeczną, od drugiej brakiem cudowności. Obrazki: *Jaskółka, Sobotni wieczór, Przed sądem, Z szopką, Jaś nie doczekał, W piwnicznej izbie, Chłopskie serce, Czy zginie? Wolny najmita, Bez dachu, Dwie wiosny, Na dnie przepaści, Z wiejskiej szkółki, Do granicy* — dźwięczą współczuciem dla niedoli ludu. Prosiła ona Boga, aby dał jej śpiewać na ogromnej niwie, *Obrazki.*

Przy wielkiej kośbie, przy wiosennem żniwie,
Gdzie łanem idą szerokie pokosy,
I gdzie się z jękiem kłos wali na kłosy.

O łzach ludu, o sieroctwie i bezdomności śpiewa poetka, zalecając cześć dla zgrzebnej sukmany. Wzywa do pracy na łan tej ornej ziemi, bośmy dziedzicami klęsk, a te klęski — to martwota łanów, to stary ból i stare krzywdy. Chce niecić nasze współczucie, dlatego też chętnie śpiewa o najsłabszych i najbezbronniejszych: o dzieciach, o sierotach, o sługach i wyrobnikach, o bezrolnych i bezdomnych. O ile zaś Konopnicka w obrazkach przenosiła winę nędzy poza sferę ludową czy robotniczą, o ile Bogu sarkała, że „milczy, jak milczą wobec łez ołtarze", o ile „ze świstem giętkich biczy" smagała niechętnych sprawie ludu i robotników, o tyle nie mogła utrzymać się w granicach bezstronności i dosypywała żaru do zaognień społecznych, zerwawszy z dotychczysową rozjemczą rolą ludowej struny.

Obok obrazków z życia szły obrazki swojskiej przyrody: *Z łąk i pól, Na fujarce, Łzy i pieśni, Z pola i lasu, Po rosie, Z oddali.* Oczy napiły się błękitu strumieni, szły dumające za falą kłosów, widziały ziemię w łunach zachodu i do gwiazd biegły przez lazury. Ale smutne są, bo lud nasz posępny i chałupy nędzne. Tak wywodzi o piękności ziemi i o biedzie ludu. To już nie obrazki — to pieśni. W nich „taniec łzy z uśmiechem". *Pieśni.* Rzadko bywają puste, figlarne i wesołe; częściej śmiech przez łzy się wybija. We formie wyzyskała poetka szeroką skalę rytmiki ludowej pieśni, potrafiła zawsze wynaleźć przedziwnie melodyjny rytm, nadający się do treści, w której zawarła niezliczoną ilość wzruszeń serca, zachwytów, zasmuceń, przywiązań, rozżaleń, wiar i nadziei, jakich nie mogła ująć w obrazki. Przez swe pieśni z łąk, wsi, pól i lasów stała się ukochaną pieśniarką naszą. Z wyjątkiem Zaleskiego, Pola i Wasilewskiego nikt nie umiał tak władać pieśniarską lirą. Ona, jak nikt, rozumiała duszę ludu i kochała ją; dbała, by żadna łza ludu

nie padła niepocieszona, by żaden ból nie zginął bez echa. Ta jej struna najpełniejszym brzmi akordem, najczystszym rozlega się dźwiękiem. Sama to rozumiała i wyraziła w poemaciku p. t. *W kamieniu polnym*. Pisała też Konopnicka niemało poematów filozoficznych, jak : *Credo*, *Ave*, *Przed Bogiem*, *Z dni smutku*. cykle : *Wskroś nocy* i *Zakwitły ciernie*, *Czuwaj strażnico*, co wszystko mieściła w zbiory : *Z mojej biblii* lub *Fragmenty*. W utworach tych dotykała wielu zagadnień : Bóg, przyroda, życie, jako byt, wiara, miłość, jako nakaz Chrystusowy, wszechświat, śmierć, cały szereg pytań, na które człowiek od wieków szuka odpowiedzi, niepokoił i Konopnicką. Lecz nie była ona do dyskusyi w zakresie wielkich religijno-filozoficznych kwestyi przygotowaną ani też uzdolnioną. Talent jej wynikał z żywej wyobraźni i pobudliwego na smutne wrażenia uczucia ; jasność, ścisłość i konsekwencya myśli, dar kombinowania i układania kategoryi opuszczały ją natychmiast, gdy była owładniętą przez twórczy poryw. To też wymienione poematy są właściwie szeregami obrazowych pytań bez wewnętrznej między sobą spójni : podobne do rozsypanych ogniw łańcucha ; każde ogniwo, choć z tego samego materyału, kształtem jest inne. Niech ten, kto pragnie utworzyć jednolity łańcuch, sam je sobie ułoży w ciąg, spojony główną myślą lub uczuciem, lecz także układem argumentów, do wyjaśnienia myśli służących. Pozytywizm zasiewał w dusze, do uczuć skłonne i wyobraźnią żyjące, ziarna zwątpień i buntów, a nie dając na nie odpowiedzi ani dogmatycznej ani doświadczalnej, pogrążał je w męce. Adam Asnyk także spotykał zagadnienia, które duch czasu przynosił ; lecz filozoficznie i przyrodniczo wykształcony, o umyśle jasnym i większej biegłości dyalektycznej, odpowiedział na nie w sonetach *Nad głębiami*. Konopnicka ograniczyła się do bicia w dzwon alarmowy, do „wstrząsania protestem swym błękitów“, a była w tem rzecznicą czasu ; wszelki arystokratyzm ducha obcy jej był : głos jej był głosem wielu.

Utwory filozoficzne.

Prometeusz i Syzyf.

Niegdyś w *Imogenie*, w *Mewach*, wreszcie w *Prometeuszu* i *Syzyfie* idea zbliżona. *Syzyf*-człowiek, ciężkim bezcelowym trudem zajęty, wyobraża, że to jest życie. Zaczyna cierpieć, gdy do świadomości jego dociera wieść o nieznanych mu skarbach natury i życia. Razem z tą wieścią rodzi się pragnienie, niezadowolenie, zawiść, złość, bunt i — grzech. To czyni go szkodnikiem. Poemat ujmuje w trzy obrazy żywotną myśl ludzkości, ma formę zwięzłą, bogatą w piękne przenośnie, doskonale dyalogowaną, silną w języku i opisach (*hymn do słońca*).

Epos Konopnickiej.

W ostatnim okresie twórczości próbowała sił poetka i w eposie. Już *Ponad głębinę* w 1907 roku osnuła na ponowieniu unii horodelskiej w 1861 r. przez 15.000 ludu z Polski, Litwy i Rusi. W 1892 rozpoczęła poemat *Pan Balcer w Brazylii*, który skończyła dopiero w 1910 r.

Są to dzieje chłopskiej gromady z północnych gubernii Królestwa, która w 1890 r. wyszła do Brazylii, złudzona obietnicami agitatorów. W trzech częściach poemat wiernie kreśli smutne losy gromady. W rzeczywistości w Lucenie chłopi podlascy wyrąbali sobie w znojnym trudzie po 20 morgów lasu i z czasem stali się bogatymi osadnikami. W poemacie zaś Konopnicka każe im skutkiem nostalgii porzucić zaczęte dzieło i nazad dążyć do kraju. Ostatnie tedy części są już dziełem fantazyi. Poemat ma być epopeją ludową. Lecz już sam pomysł krył niepowszednie trudności. Epopeja daje zwykle obraz kraju i narodu : jakże tu malować garstkę ludu i obcy kraj? To też akcya, jakby zawieszona w przestrzeni, nie ma plastyczności. Przytem poetka znała Brazylię z opisów, nie uwzględniła też w drobnych rysach wielu zjawisk tamtejszego życia, jak np. moskitów, trądu, zabobonów, które potęgują niedolę wychodźców. Psychologia wychodźcy ujęta czułostkowo, z punktu widzenia emigracyi jako nieszczęścia narodowego ; tak zapatrywali się na emigracyę właściciele ziemscy i ekonomiści przed laty. W samej rzeczy chłop, choć tęskni, zwycięża puszczę, nie zaś odwrotnie. Poemat mimo tego ma wiele pięknych epizodów, jak: obraz burzy morskiej, śmierć Szczęśniakowej, powitanie nowej ziemi przez świętą z nad Bugu, obraz puszczy, początki moru, ujęcie bizona przez murzynów, list tułacza do rodziców, zatopienie okrętu morowego.

Nowele i studya Konopnickiej.

Konopnicka oprócz poezyi pisała nowele : *Pod prawem*, *Banasiowa*, *Nasza szkapa*, *W dolinie Skawy*, *Niemczaki*, *Głupi Franek* i inne. Pisała też studya literackie o Asnyku, Mickiewiczu, o *Beniowskim* i *Krzyżakach*, o Rostandzie i Hauptmannie ; pisała książki dla dzieci *O krasnoludkach i o sierotce Marysi*, *Jasełka* ; pisała książki z podróży i piękną rzecz *Krajobraz polski* ; tłómaczyła z obcych języków liryki i poematy. Był to talent wszechstronny i ruchliwy. Pieśni, obrazki, liryka filozoficzna, poemat dramatyczny, epos, przekłady, powieści, artykuły opisowe i krytyczne, podróże, książeczki dla dzieci... Była to dusza czujna, głowa myśląca, pełna pomysłów i energii twórczej. Żaden objaw narodowego życia nie uszedł jej uwagi. Wrażliwość jej była nader pobudliwą : łatwo ją było zająć, rozczulić, rozgniewać, oburzyć. Mnóstwo utworów zawdzięczało powstanie swe chwilowym podnietom. Warszawa dzieci wysyłała na kolonie — powstały obrazki dziecinne ; Bismark rugował z Wielkopolski Polaków — powstał obrazek *Do granicy* ; Matejko namalował obraz — powstał *Grunwald* ; pod wpływem tryptyku Prószyńsiego — *Z tamtego świata* ; pod wpływem Brozika — *Jan Hus*. Jej uczuciowa natura — to był instrument czuły na poruszenia nędzy ludzi ubogich, skrzywdzonych, słabych i upośledzonych. Wielkiej rozmaitości dzieł odpowiada różnorodność stylów prozy i poezyi. Kopalnią obrazów — *Pan Balcer*. Ładnie się o niej wyraziła Deotyma :

Charakterystyka Konopnickiej.

Czy ziarno sieje, czy chmurom wygraża,
Czy chce, czy nie chce klęknąć u ołtarza —
Zawsze się modli w serdecznym kościele,
Bo cierpi wiele i miłuje wiele.

Asnyk a Konopnicka.

Asnyk i Konopnicka jednają ogół z poezyą; talenty ich jakby się uzupełniały. Konopnicka porywa, Asnyk przekonać potrafi. Pierwsza ma więcej zapału patryotycznego, Asnyk głębiej pojmuje życie i świat. Konopnickiej paleta ma więcej barw żywych, Asnyka obrazy więcej szlachetności i harmonii. W śpiewie pierwszej góruje uczucie, w poezyi drugiego — myśl.

Ale w okresie wyrabiania się politycznych i społecznych idei, w okresie rozkwitu nauk historycznych, — nie poezyi przypadła główna rola, lecz powieści, spadkobierczyni talentów poprzedniego okresu.

Eliza Orzeszkowa
pisze satyry, wyjaśnia kwestye społeczne, broni ideału [1]).

Jak się wyrabiała?

Eliza Orzeszkowa z domu ojczystego w Milkowszczyźnie wyniosła zamiłowanie do czytania i pisania oraz wybujałe uczucie patryotyczne, sycone wspomnieniami ostatnich tragicznych aktów niepodległej Polski w Grodnie, gdzie rodzice jej spędzali zimy. Powróciła fala zapału dla nauki, kiedy w 1864 po zesłaniu męża na Sybir i konfiskacie majątku mężowskiego osiadła w starym dużym domu ojcowskim. „Była to wtedy dusza biedna, słaba, prawie dziecinna, lecz głęboko zraniona i dziwnie przerażona". Od czytania ksiąg — a czytała polskich klasyków, francuskich encyklopedystów, łacińskich i greckich historyków i filozofów, powieści, podróże, poezye — przeszła do pisania. Żywy udział w literackim ruchu Warszawy zaznajomił ją z ideami nowej prasy. Tworzyła obrazy satyry obyczajowej i towarzyskiej, w ostrych rysach malując zwyrodnienie, jako następstwo wadliwego wychowania. *Pamiętnik Wacławy* (1871) kreśli profil kobiety na przełomie dwóch światów: między matką a ojcem, pracownią mędrca a salonem zbytku. Wyobraźnia Wacławy, upojona złudnemi przyjemnościami balowego życia, przechyla się ku matce, aż gdy rzekomi bohaterowie okazali się spekulantami a rzekome bohaterki lalkami, Wacława odradza się przy boku ojca. Uzupełniają dzieje Wacławy: *Pan Graba* i *Na dnie sumienia.* W obu Orzeszkowa dowodzi, że dobry lub zły los dzieci zależy od charakteru i stopnia oświaty kierowników wychowania w domu

Satyra pedagogiczna Orzeszkowej.

---

[1]) Jadw. Marcinkowska: Eliza Orzeszkowa, jej życie i pisma. Warszawa 1907.
Gostomski Walery: Praca u podstaw w powieściach Elizy Orzeszkowej. Przegl. Powsz. 1909.
Grabowski T. dr. Eliza Orzeszkowa, szkic jubileusz. Kraków 1907.
Upominek. Książka zbiorowa na cześć E. Orzesz. Kraków — Petersb. 1883.

i szkole; główną zasadą wychowania powinna być: miłość i praca. W każdej powieści ówczesnej przeciwstawia Orzeszkowa dwa światy: wśród wiru zabawy płoną zmysły i goreje wyobraźnia — to świat szychu i gniazdo występku; rękodzielnie i gabinety uczonych — to kuźnia charakterów i zasługi.

Równocześnie w *Listach o literaturze* domaga się od literatury służby społecznej, a w książce *Kilka słów o kobietach* dowodzi potrzeby innego wychowania kobiet, popierając dowody dwiema powieściami: *Marta* i *Marya* (1873). Wnet potem w dwóch większych i paru mniejszych utworach wyraziła Orzeszkowa swój sąd o kwestyi żydowskiej. Były to: *Eli Makower* (1875) i *Meir Ezofowicz* (1878). Pierwsza określa stosunek żydów do polskiego społeczeństwa. Druga wprowadza czytelników w świat prawie nowy, zaledwie dotknięty w *Lejbe i Siora* przez Niemcewicza, w świat żydowskich walk ortodoksyjnych. W zbiorze nowel *Z różnych sfer* ogarniała współczuciem nędze i bezdomność, malowała zaułki i przedmiejskie podwórza Ongrodu i Onwilu, dzieci sieroce i dole żebracze, nie pomijając i warstwy robotniczej, a zatem i nowego zjawiska socyalizmu. W *Sylwku Cmentarniku* nauczyciel wiejski świat reformuje, siejąc miłość powszechną. W *Widmach* młodzieniec, dzięki nieuwadze rodzicielskiej, wyrasta na zamętowca społecznego i staje się nieszczęściem rodziny. Wszystkie te kwestye: wady wychowania, kobieca, żydowska, socyalna pogłębiły talent, rozwinęły epiczne uzdolnienia, ujawniły męską mądrość w rozsnuwaniu węzła i rozstrzyganiu zagadnień. „Orzeszkowa — mówi Sienkiewicz — ma znamienity dar spostrzegawczy; jej typy są prawdziwe. O ile dotyka zagadnień społecznych, o ile rozumuje lub kreśli postacie, działające w sferze myśli lub społecznego czynu, o tyle postacie te są żywe".

Powieści o wychowaniu niewiast.

Powieści o kwestyi żydowskiej.

Powieści o socyalizmie.

Z biegiem czasu atoli horyzont naszej duszy zbiorowej mącić się począł, gdy zasady i wartości etyczne, które kierowały dotąd życiem, zaczęły pozornie tracić blask i siłę. Orzeszkowa czuła przyćmienie i w dziełach, porzuciwszy rozsnuwanie kwestyi, siała idee, jakoby światło przewodnie, jakoby drogowskazy dla narodowej duszy. Szły długim rzędem powieści i powiastki, nowele i obrazki, a w każdej cenna, niby klejnot, myśl z głębin chrześcijańskiej etyki na widownię dobyta i nowym blaskiem pałająca. *Nad Niemnem* daje nam poznać dwa światy: zaścianek szlachecki Bohatyrowicza i dwór Benedykta Korczyńskiego. Oba te środowiska we wzajemnej walce; „chłopi", jak Bohatyrowiczów nazywa Korczyński, wyrządzają mu szkody, on zaś włóczy ich po sądach, choć mu „we środku coś aż płacze". Dopiero młodsze pokolenie możnego rodu nie uznaje konieczności wzajemnej nienawiści. Syn Witołd przekonywa ojca, że zrodziły ją omamienia wieków, a zagłada jej w świetle i miłości. Siostrzenica Justyna Orzelska poślubia Bohatyrowicza.

W obronie ideału.

O zgodzie stanów.

Orzeszkowa tedy głosi hasło wzajemnej zgody warstw narodowych, jak to czynili Ujejski, Romanowski, Lenartowicz

czy Syrokomla. *Nad Niemnem* nie tylko jest ważną powieścią przez tę ideę znamienną. Zawiera ona malownicze opisy nadniemeńskiej przyrody, oraz niezliczoną ilość obyczajowych rysów i wierną psychologię drobnej szlachty. Szerokie tło rodzimej natury stanowi ramy dla obrazu polsko-litewskich stosunków. Autorka przez lat parę otrzymywała dziękczynne listy z różnych dzielnic Polski o dodatnim wpływie dzieła na przeobrażenie się pojęć i zapatrywań u szlachty. W ciągu dwóch lat rozeszły się trzy wydania; czwartego zakazała rosyjska cenzura.

Przyczyny rozstroju w rodzinie.

Argonauci (1900) poszukują złotego runa szczęścia na obłędnych szlakach. Powieść wielkimi rysami odtworzyła duszę wieku: przesyt w zabiegach materyalistycznych i zgubne ich skutki, schyłkową moralność i pustkę jej. Na tem tle posępnem Kara: młode dziewczę, geniusz uczucia, natura iskry i ptaka, zagadka życia, zamknięta w dwóch słowach: płonąć i lecieć. Lot jej trwał mgnienie: zajaśniała i zgasła. *Ad astra* — dwugłos — (1904) snuje dzieje walki między myślą i uczuciem. Dawne dzieje. Tak walczył Konrad Mickiewicza, Wacław Garczyńskiego, Kordyan Słowackiego. Dwie te potęgi, rozłamane w ludzkiej istocie, toczą bój i niweczą teren walki: serce człowieka. Cudne ozdobne ramy dla podniosłego sporu dwóch bogatych dusz stanowi przyroda litewska. Puszcza tu „jest raczej wyśpiewana, niźli malowana, raczej objawiona niźli opisana. Jest to wielka symfonia wszechgłosów, wszechbarw, wszechkształtów, wszechzjawisk jej życia. Poszumy jej olbrzymów, przeloty wichrowych duchów, ciche świtania jezior, kalinowe zorze zachodów, tajemne westchnienia i poryki zwierza, uroczyska, budnicze osady, — wszystko".

Myśl czy uczucie bliższe duszy słowiańskiej?

Tak długą drogę przebiegła powieściopisarka od wychowawczej satyry — do tych końcowych idei boskich, do tych gwiazd na naszem niebie zapalonych, które ozłacają ludzką nędzę. Kiedy kruszy się i z pod stóp nam umyka statek własnego szczęścia, ich promieni czepiamy się rękoma rozpacznemi i ich tylko światło rozprasza nasze ciemności. Orzeszkowa w swej twórczej pracy poruszyła i mądrze, z miłością i szczerem obywatelskiem poczuciem rozpatrzyła ogromną ilość spraw duszy zbiorowej. Stworzyła setki postaci z różnych sfer od magnata pałacowego do znajdy Julianki, dziecięcia całej kamienicznej ubogiej rzeszy. Wynalazła i odmalowała wiele wzruszających sutyacyi życia i nastrojów przyrody — od wiosennego rozmarzenia do nudów sali sądowej. Znawczyni, miłośnica i artystka natury kraju naszego — zwłaszcza roślinnej. Wysoko niosła gwiazdy przewodnie przed narodem, świecąc mu w jego zwątpieniach, obłędnych szukaniach i niepewności.

Charakterystyka Orzeszkowej?

Talent jej cechowała w wysokim stopniu umysłowa ciekawość, spostrzegawczość, wrażliwość na zjawiska świata, jasność i dobitność wewnętrznego widzenia i słyszenia rzeczy opisywanych. Barwy, dźwięki, światła, cienie dotykały silnie jej

wrażliwości. Szczególniej na dźwięki była tak czułą, że mogła z zamkniętemi oczami rozpoznać szum każdego gatunku drzewa: sosny, lipy, klonu, osiny...

Była to jednem słowem genialna Litwinka — z tych Litwinów, którzy, jak Mickiewicz, szeroko mają otwarte serce i pełne przywiązania dla obu narodów, przed wiekami związanych bratnim ślubem.

Henryk Sienkiewicz,
nowelista, staje się malarzem wielkich obrazów przeszłości [1].

Pierwsze satyry.

Podobne dzieje przemiany duchowej, zwracającej twórczość od żywiołu satyrycznego do głoszenia ideałów, przebył największy powieściopisarski talent polski XIX w. Henryk Sienkiewicz. Mając lat dwadzieścia pięć, napisał powieść *Na marne* (1872) i *Humoreski z teki Worszyłły*. W pierwszej wykazywał błędność poglądów, zasadzających szczęście na podzielanej miłości; w drugiej malował antagonizm między starymi i młodymi oraz potępiał posiadaczy ziemi, zbywających ją w obce ręce.

Były to powieściowe satyry w barwach przesadne, w nagromadzeniu rysów prawie karykaturalne. Jako feljetonista pism warszawskich pisał o przeróżnych sprawach i ludziach: o terminatorach, czeladnikach i majstrach, o paszkwilach i karnawale, o odczytach, anglomanii, złotej i pozłacanej młodzieży, o pożarze w Pułtusku, o dramatach konkursowych, o wychowaniu dziatwy wiejskiej i t. d. W taki sposób znajomił się z życiem i uczył się giąć styl do treści: żartobliwie, poważnie, uczuciowo, dramatycznie — w myśl prawdy: „wrażliwe dusze artystyczne są jakby konchy perłowe; gdy wpadnie w nie ziarnko piasku, oddają je w postaci perły światu".

Wzbudziwszy zachwyt czytelników nowelą *Hania*, wyrósł na gruncie amerykańskim na pierwszorzędną siłę twórczą. Rozmyślanie nad ustrojem nowego społeczeństwa dało myślom jego głębokość, subtelna spostrzegawczość i pamięć zasiliły materyałem, życie na łonie dziewiczej przyrody odświeżyło wyobraźnię i uczucia, ciągłe pisanie i z Ameryki i po powrocie czy to *Listów z Ameryki*, czy nowel, jak: *Za chlebem*, *Janko Muzykant*, *Jamioł*, *Szkice węglem*, *Przez stepy*, *Orso*, *Latarnik*, *Z pamiętników poznańskiego nauczyciela*, *Bartek zwycięzca*, wzbogaciło słownictwo, wyćwiczyło giętkość, zwrotność i barwność stylu zwłaszcza w odtwarzaniu uczuć tkliwych i miękkich. Po powrocie, w okresie pisywania mięszanin artystyczno-literackich, zanim znalazł odpowiedni

---

[1]) Piotr Chmielowski: Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem. Lwów 1901.
Józ. Nowiński: Henr. Sienkiewicz. Warszawa 1901.
Kozłowski Stan.: Trylogia Sienkiewicza. Warszawa 1901.
St. Tarnowski: Studya do liter. pols. t. V. Henr. Sienkiewicz.

materyał, uświadomił potrzebę ideału, rolę powieściopisarza, oraz istotę jego zadania. Oceniając np. przekład francuskiej powieści Daudeta (ojca) *Królowie na wygnaniu*, pyta: „Co nam do tego wszystkiego? My mamy swoje dogmaty, swój ideał takiego blasku i majestatu, tak święty i kochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia, w umęczeniu codziennem myśli, wróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją i zapomina o nich, i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony". Kiedy wyszły w 1880 roku *Szkice historyczne* Kubali, Sienkiewicz oceniał je szczegółowo z zachwytem, nazywając autora uczonym — artystą; o dziejach Jana Kazimierza wyraził się tak: „Doprawdy, jest to powieść, która się sama pisze. Kubala umie wybornie korzystać z daryuszów i pod względem artystycznym umie układać światła i cienie w ten sposób, by pewne chwile, czyny i charakterystyczne zdarzenia wychodziły najwypuklej. Dzięki temu talentowi, stworzył książkę, od której oderwać się niepodobna". Scharakteryzowawszy Chmielnickiego, wołał Sienkiewicz: Co za postać dla dramaturga lub historyka-powieściopisarza! Wnet potem zaczął źródłowe studya nad wiekiem XVII., napisał *Niewolę tatarską*, *urywki z kroniki szlacheckiej*, *Aleksego Zdanoborskiego* (1880), a w 1884 wydał *Ogniem i mieczem*, za którą poszły dalsze części trylogii: *Potop i Pan Wołodyjowski*.

Pomysł historycznych powieści.

Zanim to jednak nastąpiło, Sienkiewicz pisał nowele tendencyjne. W *Szkicach węglem* poddany satyrycznemu rozbiorowi stan wsi po uwłaszczeniu chłopów. Dziedzic zajęty własnemi troskami, ksiądz dba tylko o zbawienie wieczne, pisarz gminny zepsuty i wyzyskujący — skutkiem tego rodzina Rzepów ginie bez ratunku. Ginie też i *Janko Muzykant* z powodu niedbalstwa i braku patryotyzmu dziedziców dla chłopa; giną w *Jamiole* dzieci skutkiem pijaństwa opiekunów, choć sąsiedni dziedzic drukuje rozprawy o zgubnych owocach nałogu do alkoholu.

Utwory tendencyjne.

We wszystkich podobnych nowelach Sienkiewicz jeszcze broni programu młodej prasy warszawskiej. Dopiero dramat *Na jedną kartę* (1881) dowodzi przeistaczania się. Dramat ten, gorąco napisany, odsłania w duszy Sienkiewicza pragnienie prawd wyższych nad powszednie drogowskazy życia. Stanowi on pogranicze między programowemi zasadami pozytywistów a ideałem autora trylogii. „U wielkich apostołów światła ostatecznym celem usiłowań, busolą ich duszy była nie bańka mydlana piękna estetycznego, błyszcząca zewnątrz a wewnątrz próżna i pryskająca za każdem zetknięciem się z rzeczywistością, ale czyn bohaterski, bo każdy z nich gardził efektem, a pragnął świat przetworzyć na podobieństwo swej szlachetnej duszy". Sienkiewicza pomysł trylogii powstał w czasie, kiedy Stańczycy przypisywali upadek Polski winie szlachty, kiedy pozytywiści obelgami obrzucali narodową tradycyę, kiedy socyaliści na szlachtę

Trylogia.

miotali potworne wymysły, kiedy w szkołach pod zaborami rosyjskim i niemieckim dziejów polskich uczono z fałszowanych podręczników. Zdawało się, że miłość ojczyzny wygaśnie w sercach pokolenia, przed którem tę ojczyznę z wielu stron ganiono. Wtedy Sienkiewicz w *Ogniem i mieczem* ukazał Jana Skrzetuskiego, bohatera, który nad osobistą miłość, nad osobiste cierpienie i nad osobiste szczęście przeniósł obowiązek służby dla ojczyzny; wtedy Sienkiewicz w *Potopie* ukazał Andrzeja Kmicica, bohatera, który wprawdzie ciężko wobec ojczyzny zawinił, lecz potężnym wysiłkiem woli, długą pracą i szeregiem zasług, oraz męką duszy podźwignął się i stał się wzorem rycerza i obywatela; wtedy Sienkiewicz w *Panu Wołodyjowskim* okazał, że i śmierć za ojczyznę nie tylko może być dobrowolną, ale nawet słodką. Jednakże obok ideału Sienkiewicz potrafił przedziwnie powoływać dusze do bytu. Pośród jego postaci jest wiele historycznych, wiele zmyślonych: i jedne i drugie żyją, tak, że trudno czytającemu uwolnić się od złudzenia, iż obcuje z postacią niehistoryczną. Jarema — anioł wojny; Chmielnicki, wcielony szatan; Kordecki — mnich, prawie boski; Janusz Radziwiłł, demoniczny a posępny kusiciel; Zagłoba, wcielenie wad szlachty: facecyonista, opój i warchoł, lecz w głębi jego szczera miłość ojczyzny, cześć dla honoru i czułe serce dla ludzi; Kmicic, zrazu zawadyaka, potem symbol cnót narodowych; Helena, pogodna i cicha, niezłomna w miłości i wierności; Oleńka, najżywotniejsza postać niewieścia; Basia, „serce dzielne i żołnierskie“ — i tyle, tyle innych mniejszych i większych, a tak nam znanych i tak nieobojętnych, jak Kordecki, Czarniecki, Sobiepan, Jerzy Lubomirski, Sapieha, Sakowicz, Roch Kowalski, Billewicz, Rzędzian, Kiemlicze, Ketling i t. d.

Oprócz ideału i galeryi figur trylogia zjednała sobie czytelników wielką ilością po mistrzowsku malowanych scen najrozmaitszych pod względem akcyi, uczucia, tła i kolorytu. Sienkiewicz, jak wielki artysta, potrafił na rozległej szachownicy kraju poruszać masami wojsk w pochodach, rzucał ich części na siebie i kreślił plany bitew, kazał oddziałom się ścierać, jednostkom walczyć na widoku wojsk, poznał fortele zagończyków, tchnął w serca swych umiłowanych rycerzy męstwo i chytrość, sprawność i siłę, twardość stali, gdy potrzeba i nieskazitelne blaski honoru zawsze. Opis pochodu Jaremy przez płonące lasy, pochód padyszacha za Kamieniec, wyprawa Chmielnickiego przeciw hetmanom; Skrzetuski w przejściu ze Zbaraża przez stawy, ucieczka Zagłoby z Heleną, Basi przed Azyą, Zagłoba jeńcem Bohuna w futorze, pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem lub Kmicicem, śmierć Podbipięty, sceny w jarze u Horpyny, ocalenie króla przez Kmicica, opisy bitew po Warką lub Prostkami i wiele innych scen czytały się z tchem zapartym, z podziwem i uwielbieniem po skończeniu. Rozmaitość pomysłów, poezya uczucia, wdzięku i grozy, dowcip, wypukłość prawie rzeźbiarska figur

i scen, prawda dziejowa w blaskach umiłowania własnej przeszłości narodowej, złożyły się na powstanie arcydzieła historycznej powieści, najpiękniejszej z tych, jakie mamy. Ta epopeja „przewaliła mi się przez duszę, jak burza“ — mówi jeden z krytyków. Ona się, jak burza, przewaliła przez duszę całego czytającego narodu — takie było jej wrażenie. Chociaż historyczne powieści Sienkiewicza *Krzyżacy* i *Na polu chwały*, a zwłaszcza pierwsza, są w pomyśle świetne, na szerokiem tle życia XV i XVII w. rozsnute, przeniknione tą samą miłością przeszłej wielkości i bohaterstwa narodu, już nie stały się tak sławne i tak ukochane. W czasie między trylogią a niemi, wydał Sienkiewicz dwie powieści spółczesne: *Bez dogmatu* (1891) i *Rodzinę Połanieckich* (1895). *Bez Dogmatu*, jako zagadnienie spółczesne, daje obraz tragedyi myśli we współczesnym człowieku, myśli, odejmującej mu skarb wierzeń, szczepiącej mu jad sceptycyzmu, a przytem zasuwającej go coraz głębiej w mgłę mistycyzmu.

Bez dogmatu i Rodzina Połanieckich.

Inną *Rodzina Połanieckich*.

I tu dwa zagadnienia rozwiązane. Pierwsze dałoby się wyrazić myślą: praca zdrowej rodziny na ziemi warunkiem odrodzenia kraju. Ziemia ciągnie z ogromną siłą: ostatecznie wszelkie bogactwo może być uważane za fikcyę prócz ziemi. I to jest problemat społecznej powieści. Drugi zaś, psychologiczny, rozwija się w rodzinie i duszy bohaterów.

Śród legionu postaci na wzmiankę zasługuje cudna postać Litki, geniusza uczucia, jak Kara Orzeszkowej.

Quo vadis jedna Sienkiewiczowi sławę światową.

W rok po tej powieści wydał Sienkiewicz *Quo vadis* (1896). Sięgnął w czasy, nastrzępione trudnościami dla naukowego badacza, a cóż dopiero dla artysty, który ma odtworzyć duszę epoki. Świat starożytny osiągnął swój najwyższy rozkwit, lecz spółcześnie wszędy jawiły się oznaki rozkładu starożytnej kultury. Obok tego w głębi społeczeństwa rzymskiego zalśniła zorza nowej cywilizacyi, mającej się niebawem użyźnić i rozróść krwią męczenników. Te dwa światy odzwierciedla Sienkiewicz z ogromnym nakładem erudycyi, zaczerpniętej z pierwszorzędnych źródeł łacińskich, greckich — aż do najnowszych, z genialną intuicyą wielkiego artysty. Erudycya dała mu wierność wydarzeń i postaci, dała niezliczoną ilość rysów z życia patrycyuszów rzymskich i niewolników (motłochu rzymskiego i gminy chrześcianskiej nie poznajemy dokładnie), dała wreszcie nader staranną i podziw u uczonych archeologów budzącą znajomość topografii neronowego Rzymu. Artyzm na tem tle historycznem ugrupował trzy kategorye zjawisk: Świadomie i stopniowo przeprowadzane przekształcenie się żądzy miłosnej w miłość szlachetną; powtóre przeistaczanie się pogańskiej, dzikiej, instynktom podległej duszy Winicyusza w chrześcijańską duszę pod wpływem Lygii, po trzecie panoramę dwóch światów. Pochłaniająca wszystko idea państwa; reakcya ducha ludzkiego przeciw temu molochowi — w postaci takich jednostek jak Petroniusz; spodlona czerń, wrzeszcząca

o *circenses*; cicho konający chrześcijanie, a nareszcie ponad wszystkiem tem rozszaleniem i męką — ramiona krzyża. Nigdy zresztą z taką siłą nie uwydatniła się u Sienkiewicza władza powoływania dusz do bytu. W *Quo vadis* żyją nie posągi, lecz dusze Rzymian. Sienkiewicz, jak czarodziej, zaklął je i one wyszły z mroków na to zaklęcie, ukazując tok swych myśli, rozdźwięki swych uczuć, krzyk swych namiętności.

Ostatnie dzieła.

W latach ostatnich jeszcze raz wrócił powieściopisarz do spółczesnej duszy w powieści *Wiry* (1910). Powieść Sienkiewicza w akcyi rozwija się na tle rozruchów warszawskich 1905 roku i należy do wybitniejszych dzieł, jakie z tego źródła wynikły. Daje ona widok wsi polskiej, ludu polskiego i spółczesnej szlachty polskiej w narodowym zamęcie nie tyle działającej, ile rozprawiającej.

Ostatnie dzieło Sienkiewicza p. t.: *W pustyni i w puszczy*, dla młodzieży przeznaczone, lecz w intencyi daleko poza rozrywkę samą sięgające, świadczy, że geniusz twórczy wielkiego pisarza nie wyczerpał się dotąd. Dzieła jego długo jeszcze będą się chciwie czytywały, bo tętni w nich gorące umiłowanie tego, co rodzime; długo też będą uchodziły za wzorowe pod względem kompozycyi, bogatego stylu, dowcipu a zwłaszcza rzeźbiarskiej wypukłości tworzonych lub z dziejowego mroku na światło powoływanych postaci. Sienkiewicz — to największy powieściopisarz polski i jeden z największych — świata.

Bolesław Prus
głosi w powieści ideały dobra i prawdy.

Upodobania okresu studyów.

Jeszcze w lubelskiej szkole wykształcił w sobie zamiłowanie do nauk ścisłych: matematyki, ekonomii, logiki i psychologii. To też początkowe publicystyczne i literackie prace w okresie walki starej i młodej prasy w Warszawie znamionują się upodobaniem do ścisłych obserwacyi i określeń, bujną wyobraźnią i niewybrednym komizmem. W *Szkicu programu* rozpatrywał przy pomocy znacznego aparatu statystyki siły i środki ekonomiczne kraju, a równocześnie w obrazkach, nowelach, humoreskach i powieściach malował czasem karykatury, czasem uczucia serdeczne, czasem psychologię dzieci lub nawet antagonizmy stanowe. Większy obraz powieściowy *Placówkę* zaczął pisać w 1880 r., a że jeden z kolegów zganił początek, zabrał się do ponownych badań nad ludem i dopiero po pięciu latach wydał powieść. Prus zmienił ten punkt widzenia, z którego spoglądali na życie chłopa i jego psychologię poprzedni poeci i powieściopisarze. Lud w oświetleniu Prusa łakomy na grosz i darmochę, egoistyczny, zabobonny i ciemny, ale do ziemi potężnie i ślepo przywiązany, stanowi placówkę narodowego bytu, której nie zniweczy wrogi napór. Powieść powstała w czasie rugów pruskich

Ludowość *Placówki*.

z Wielkopolski i sprawiła swą aktualnością wrażenie. Z innych sfer wziął Prus *Lalkę*. Antagonizm klasy arystokratycznej i mieszczańskiej staje się przyczyną tragicznego obrotu życia Wokulskiego. Prus nie oszczędza arystokracyi. Podobnie jak niegdyś Kraszewski w *Dwóch światach*, zaznajamia Prus czytelnika z figurami salonów, siły i czas trwoniącemi w bezrobociu, bezmyślnych sportach, zamiłowaniu cudzoziemczyzny, grach i nadużyciach. Przytem podnosi do zacności i czci nie tylko wszelką żmudną pracę, nie tylko obywatelską usługę, lecz także energię, hartowną wolę, inicyatywę i czyn jednostkowy.

Lalka.

Idee *Emancypantek.*

W *Emancypantkach* (1894) bronił Prus zasady, że kobiety powołaniem przedewszystkiem jest macierzyństwo. Jeżeli chce zostać mędrcem, reformatorem, pięknym klejnotem, wychodzi ze swej roli i kończy na potworności lub błazeństwie. Bohaterką powieści pośród dużej ilości ujemnie, acz z humorem, szkicowanych emancypantek jest od *Pustkowia* Dickensa zapożyczona Madzia Brzeska, geniusz uczucia na podobieństwo Kary z *Argonautów*. W żadnej innej powieści Prusa nie wyraził się w takiej pełni jego talent obrony tezy za pomocą wielkiej powieściowej kompozycyi, złożonej z mnóstwa epizodycznych obrazów, starannie i szczegółowo obmyślonych i wykonanych, zbrojnych w illustrowane argumenty, z matematyczną ścisłością dowodzących prawdy owej tezy. Jednolitość powieści nieco chroma, za to plastyka szczegółów i moc wywodu nie zostawiają nic do życzenia.

W parę lat po *Emancypantkach* ukazała się historyczna powieść *Faraon* z dziejów XX. dynastyi XI. w. przed Chrystusem; malowała ona zwycięską walkę kasty kapłanów z wojowniczym a szlachtnym Ramzesem XIII. Zawiera ona bardzo wiele rysów, dających się zwrócić do położenia ludzi i rzeczy spółczesnych w państwie rosyjskiem.

Charakterystyka.

Działalność twórcza Prusa, wspomagana publicystyczną, miała zawsze na celu zdrowie duchowe i dobro społeczne. Z równą siłą posługiwał się ostrzem satyry, jak promieniem ideału; ze znacznym aparatem wiedzy sięgał po argumenty do przeszłości; z głębokiem uczuciem i przejęciem malował spółczesność. Warstwy, potrzebujące poparcia, miały w nim szermierza; ale z odwagą cywilną mówił prawdę, choćby narażać miał popularność swoją. Taką prawdę powiedział w powieści p. t. *Dzieci* (1909), że „wolność nie tyle zdobywa się walką, ile mądrością i pracą“, a miał męstwo powiedzieć ją w chwilach podniecenia społeczeństwa i potrafił nieodparcie udowodnić w obrazach przerażająco wymownych realizmem.

Ścisły w przesłankach i wnioskach, łatwo zdobywający obrazową plastykę przez dokładność obserwacyi, ostry, choć nie złośliwy, w swym dowcipie, szlachetny idealista w swym poglądzie na byt i życie narodowe, — nie miał Prus jednak zdolności odczuwania i barwnego malowania przyrody w tym stopniu, co Sienkiewicz. Jak stwierdza książka p. t. *Najogólniejsze ideały życiowe*, była

to dusza zwrócona w głąb, lecz umiejąca przeżyciom wewnętrznym nadać wyraz, zachęcający do naśladowania; było w nim sporo z artysty, lecz więcej z nauczyciela czy apostoła. Sienkiewicz — to artysta, plastyk, wirtuoz formy; Prus ponad formę wynosi myśl, syntezę. Podług Sienkiewicza życie tyle warto, ile w niem jest szczęścia; Prus cierpieniu przypisuje wartość pozytywną. Jakże pięknie wyobraził materyę jako bryłę granitu, w której zamknięta iskra. Cierpienie żłobi granit, który jęczy i płacze krwawemi łzami, lecz za każdym ciosem iskra dobywa się z głębi i rośnie. To dusza. Cierpienie pomaga rozwijać się duszy. Gdyby nie ono, dusze zostałyby do końca świata ziarnkami maku, śpiącemi w bryle materyi. Takie nauki głosił Prus, a zaważył on bez wątpienia nie tylko w książnicy naszego narodu, lecz i w jego myślach i uczuciach, które ku dobru i prawdzie kierował.

Ogólny obraz ruchu umysłowego w latach 1863—1890.

Żale liryków na niepoetyczność okresu.

Literatura tego okresu pomimo styczniowej katastrofy tylko w dziedzinie poezyi nie dorastała do wyżyny poprzedniej i nie umiała podbić ogółu. Żalił się Sowiński Leonard na zmateryalizowanie świata i gorączkę złota i wołał do liryków, by weszli w kuźnie pracy gminnej, śpiewali, co czują tłumy lub milczeli; domagał się dla poezyi większego uznania Felicyan Faleński, równając skąpą łaskę ogółu do jałmużny (*Obol Belizarowi*. 1876); narzekał Cypryan Norwid, że idą już „piaskiem zasypywać wzniosłą ci, co grzebać mają za rzemiosło“ (*Na zgon poezyi*, 1877); walczył o nią mężnie i dowcipnie Adam Asnyk: pomimo tego płynęły lat dziesiątki, a nie pojawiały się wielkie dzieła i nie było też entuzyazmu dla poezyi. Natomiast literatura polityczna, historyografia i krytyka literacka wydały wielu pisarzy, odpowiadały potrzebom narodu w danej chwili i wytworzyły koło czytelników, poważnie uczących się oceniać przeszłe życie narodu i obecny życia tego przełom.

Klaczko.

Na szerokiej kanwie polityki europejskiej i literatury powszechnej rozsnuwa myśli, przeszłość bystro wyświetlające i w daleką przyszłość wnikające, teoretyk polityki Julian Klaczko. Pisał po francusku. *W Studyach dyplomatycznych*, *Przygotowaniach do Sadowy* i *Dwóch kanclerzach* godził w chytrą grę Bismarka, w *Juliuszu II* dał obraz zasług kulturalnych wielkiego papieża, w *Wieczorach florenckich* zaś głębokie studyum o Dantem we formie świetnego dyalogu. Zjednał sobie większy rozgłos w Europie, niż u nas, chociaż jego studya o Krasińskim i Mickiewiczu celują bogactwem trafnych myśli.

Szujski i historycy:

Podobnie też i Józef Szujski, autor *Kilku prawd z dziejów*, wierny zasadzie „rozwielokrotniania się w drobnej usłudze“, tworzył satyryczne *Portrety Nie-Vandyka*, opracowywał *Dzieje Polski* (4 tomy), przekładał arcydzieła Eschila, Arystofanesa,

Kalderona i Szekspira, dorzucił materyału do *Teki Stańczyka*, myślał o nowym dramacie, w którymby poeta przenikał postaci historyczne „okiem sędziego, grotem sumienia". W powyższej intencyi powstały dramaty: *Zborowscy*, *Radziejowski*, *Samuel Zborowski*, *Jerzy Lubomirski*, *Królowa Jadwiga*.

Historyczne badania zajmowały i Waleryana Kalinkę, który w dziełach *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta* (1868) i *Sejm czteroletni* (1880) analizował boleśne przyczyny upadku Polski. Autor wielu monografii z historyi i prawa polskiego *Michał Bobrzyński* w książce *Dzieje Polski w zarysie* (1879) odsłaniał również wady ludzi i ustroju Polski. *Tadeusz Wojciechowski* w *Chrobacyi* i *Szkicach z XI wieku* sięgnął w jej czasy zamierzchłe. Adolf Pawiński, wydawca *Zródeł dziejowych*, opracowywał *Skarbowość* za Batorego i *Rządy sejmikowe*. Tadeusz Korzon, podobnie jak Kalinka, badał *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*. Wielu innych badaczy dziejów dawało temu okresowi literatury znamię historyczności, zwłaszcza że i najwybitniejsi krytycy literatury, jak Stanisław Tarnowski, Piotr Chmielowski, Włodzimierz Spasowicz, Antoni Małecki, Józef Tretiak, Józef Kallenbach chętnie zwracali się ku przeszłości, i powieść roztaczała jej obrazy, i sztuka przez mistrza Matejkę malowała jej smutne lub bohaterskie chwile.

Powieściopisarze i dramatycy.

Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż) stworzył epopeję południowej słowiańszczyzny w powieściach: *Uskoki*, *Narzeczona Harambaszy*, *Herzog słowiański*, *W zaraniu*, *Rotułowicze*, *Rycerz chrześcijański*; lecz i swego narodu przeszłość ujmował w obrazy, jak *Za króla Olbrachta*. Jan Zacharyasiewicz poświęca przeszłości utwory: *Marek Poraj*, *Noc królewska*, *Czerwona czapka*, *Święty Jur*.

Toż samo trzeba powiedzieć o Władysławie Łozińskim, który zacząwszy po r. 1870 od *Opowiadań Narwoja*, przeszedł do wielkiego obrazu obyczajowego w dziełach: *Prawem i lewem*, *Życie dawnych Polaków*.

Ale i satyra obyczajowa chwili bieżącej miała swych przedstawicieli czy to w powieściopisarzach, jak w Galicyi Jan Lam, w *Głowach do pozłoty*, *Dziwnych karyerach* nicujący urzędników, intrygi małomiasteczkowe, gospodarkę obcych żywiołów, w Królestwie Albert Wilczyński lub w Krakowie Michał Bałucki; czy też w komedyi, która przedstawia w dziełach Bałuckiego, Józefa Narzymskiego, Józefa Blizińskiego, Edwarda Lubowskiego i Kazimierza Zalewskiego ziemian dobrodusznych i zamaszystych, lecz trącących myszką i zaśniedziałych; karyerowiczów urzędniczych z pretensyami do wyższości; świat przemysłowy i wyższe mieszczaństwo — z chorobliwemi urojeniami do przewodniej roli w narodzie. Nie obcy też odcień satyry i tym nowelistom, którzy zwrócili się ku rzeszom pracującym: robotniczym i ludowym i z odcieniem humoru albo z rozrzewnieniem dawali obrazki dworów, karczem, wsi, krwawego trudu i skrzętnych

o grosz zabiegów. Do tego rodzaju obrazków należą Adolfa Dygasińskiego: *Z pól i lasów*, *Gody życia*, *Zając*, *Wilk*, *psy i ludzie*; Klemensa Junoszy: *Pająki*, *Z mazurskiej ziemi*; Ignacego Maciejowskiego: *Walka o byt*, *Zyzma*, *Nafta*; Maryi Rodziewiczówny: *Dewajtis*, *Szary proch*.

Oprócz i obok dramatów historycznych Szujskiego, Bełcikowskiego, Faleńskiego lub Asnyka, pisały się dramaty ideowe Świętochowskiego (*Niewinni*, *Piękna*, *Ojciec Makary*), obok powieści i poezyi o ludzie pisały się powieści i sztuki dla ludu np.: W. Anczyca *Kościuszko pod Racławicami* (1870).

Charakterystyka okresu.

Jednem słowem okres tych lat trzydziestu poddał surowemu przeglądowi przeszłość; rozeznał i osądził ujemne jej znamiona; wskazał przyszły kierunek rozwoju społeczeństwa; szukał sposobów zapełnienia przepaści, dzielącej stany; powoływał je wszystkie do podjęcia organicznej pracy od podstaw, gdyż w niej widział odrodzenie; analizował krytyką, chłostał satyrą, budził poezyą, nauczał wywodami politycznego rozumowania, podnosił powieścią. Nie wniósł wprawdzie ten okres literatury nowych prądów, nie stworzył nowych form twórczości; niemniej przeto w zakresie form istniejących wprowadził sporo udoskonaleń. Wyrobiła się forma szkicu historycznego, uprawianego już przez Szajnochę. Wykształciła się forma dramatu, komedyi obyczajowej, zwłaszcza zaś noweli i powieści. Ta ostatnia zaczęła poszukiwać materyału w obserwacyi życia; pozbyła się licznych epizodów nauczających; pozbyła się zbytecznej drobiazgowości w opisach; o charakterach kazała snuć wnioski z szeregu działań zamiast dawnego malowania ich za pomocą bezpośredniego opisu od autora; wprowadzała rozbiór przeżyć wewnętrznych; obrazom przyrody dawała życie i sens nie tylko ze względu na analogię do życia ludzkiego, lecz ze względu na harmonię i jedność wszechświata, w którym człowiek żyje na prawach równości, nie zaś przywileju. Był to zatem okres nie genialnych porywów, lecz pożytecznej, skrzętnej i obfitej w owoce pracy rozwojowej.

Pytania.

1. Programy polityczne po r. 1863.
2. Poszukiwanie nowych dróg w kulturze, naucc i życiu społecznem po r. 1863.
3. Walka starej i młodej prasy w Warszawie.
4. Liryka powstań listopadowego i styczniowego.
5. Krytyka historyczna przeszłości polskiej po 1863.
6. Powieśc Sienkiewicza na służbie ideału narodowego.
7. Wychowawcze zadanie powieści Orzeszkowej.
8. Liryka Asnyka a liryka Konopnickiej.
9. *Pan Balcer* a *Pan Tadeusz*.
10. Postacie chrześcijan w *Irydionie* a *Quo vadis*.
11. Rzym w *Irydionie* a *Quo vadis*.

ROZDZIAŁ III.

MŁODA POLSKA I JEJ KORYFEUSZE.

Nowe hasła głoszą się w krakowskich i warszawskich pismach.

Młoda Polska głosi potrzebę nowych dróg w życiu i literaturze.

W ostatnim dziesiątku lat ubiegłego wieku w naszej zbiorowej duszy powtórzył się proces odnowy wyobrażeń podobnie, jak to się stało w latach między 1820—30 i między 1860—70. Czyto dlatego, że za granicą zmieniły się poglądy na ustrój społeczny, czyto dlatego, że filozofia niemiecka, po części i francuska głosiła hasła przemiany dotychczasowych walorów w życiu i umysłowości, czy też dlatego, że społeczny układ u nas w istocie nie odpowiadał potrzebom nowych sił, wchodzących w życie i domagających się głosu, dość, że coraz częściej pojawiały się po 1890 roku wołania o zmianę. Burza tym razem również głównie huczała na dwóch polach: prasy i literatury. W Krakowie Młoda Polska na łamach tygodnika *Życie* zaczęła występować ostro dopiero od objęcia redakcyi przez Stanisława Przybyszewskiego, t. j. od r. 1898. Chodziło młodym o zmianę wartości społecznych i literackich. Teorya pracy organicznej — mówiono — dobra dla natur pozytywnych i pieniężnych, dla temperamentów praktycznych i kupieckich; nie zadowala zaś szlachetnych ambicyi. Oto szarość osiadła na ludziach, duszach i typach. Jesteśmy jakby przysypani popiołem. Smutek i melancholia ogarnęły intelligencyę; bezbrzeżne pragnienie patryotyczne rozgościło się w duszach marzycielskich, przygnębienie okryło warstwy o dodatnim instynkcie obywatelskim; przytępiły się szerokie masy. Sztuka już nie krzepi. Artysta wyodrębnił się i stał się samotnikiem. A jednak treść sztuki wzbogaciła się ogromnie. Spostrzeżono, że poza życiem zewnętrznem duszy istnieją głębie, całe tłumy uczuć i przeczuć, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu. Artysta zdala od turkotu bieżącego życia pochyla się nad głębią własnej swojej duszy i słucha głosów, które się z tej głębi dobywają. To sztuka. Młoda Polska z Przybyszewskim na czele mimo nadzwyczaj bezwzględnej krytyki powag i dotychczasowych wartości równie narodowych, jak literackich i artystycznych, mimo niemniej bezwzględnego zachwalania własnych produkcyi, nie zdołała się umocnić i podbić opinii ogółu. Kilka wybitnych talentów szerzej rozwinęło skrzydła, kilku krytyków estetyczną i filozoficzną erudycyą zasilało sąd swój, a fala teoryi przelała się do Warszawy, gdzie po upadku krakowskiego *Życia* ster Młodej Polski przeszedł w ręce Zenona Przesmyckiego, wydawcy *Chimery*.

W Krakowie w *Życiu*.

W Warszawie w *Chimerze* i *Sfinksie*.

W artykułach głównych, jak *Walka ze sztuką*, *Rozstrojowcy i zamętowcy*, *Walka o snobów* objaśniano istotę nowego kierunku, w t. z. *Glossach*, podpisywanych przez *Tredecim*, polemizowano lub omawiano ruch myśli. Krytyka i tu bywała nieprzejednaną.

Schyłek wieku — pisano — oznamionował się nienawiścią do rzeczy wiekuistych. Obnosi się na tarczach wulgaryzatorów, grzebie się w głębokiem milczeniu największych twórców. Uczyniono sztukę funkcyą społeczną. W krytyce upadek. Dla oceny dzieł używa się wyszarzanych ogólników. Prasa poświęciła molochowi aktualności znajomość rzeczy, sumienność i gruntowność w rozpatrywaniu spraw, ścisłość i konsekwencyę w dowodach. Zaczęto kadzić zdrowemu rozsądkowi, studzono entuzyazmy. Dziś trudno znaleźć człowieka z trochą milczenia, wrażliwości i cichego a gorącego zapału.

Pośród artystów symulantów trafia się rzemieślnik: zwinny i skrzętny, wszędzie szuka sympatyi; trafia się człowiek życiowej energii, temperament, który, wyładowawszy energię w słowach, sprzeczkach, krytykach i projektach, tworzy rzeczy bez uczucia i myśli; jest falanga symulujących po salonach, rautach i buduarach... Tymczasem artysta powinien być duszą wiec nie w sobie pracującą, która tworzy z tą samą przedziwną koniecznością, z jaką wirują po swych koliskach ognie niebieskie. Tymczasem znawstwo nie jest szukaniem zła, lecz rozróżnianiem dobra.

Sztuka jest oknem do nieskończoności. Nie zna ona kierunków, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty. Istotę poezyi stanowi nie rytm, lecz treść, która rytm tworzy, myśl i uczucie tak namiętne i żywotne, że posiada własną architekturę. Myśl i forma są sobie równe w istnieniu, ale w powstawaniu myśl wyprzedza formę.

Chimera w swych dwudziestu kilku książkach zawarła dużo idei słusznych i utworów cennych. Miała jednak trzy ważne słabe strony: ilekroć mówiła o sobie, tyle razy szumnie nazywała się „skarbnicą, z której nie tylko dziś, lecz jutro — i dalekie pojutrza czerpać będą"; nakazując krytyce uwielbiać, sama z ostrym i niewybrednym sarkazmem potępiała; nie uznawała w sztuce ani moralności, ani społeczeństwa ani patryotyzmu. Kiedy zaś przerwał się byt *Chimery*, dzieło Młodej Polski podjął *Sfinks* od r. 1908, który w programie odmienił ostatnią zasadę: miłość — zapewniał — dobro, współczucie dla krzywd i nędz ziemi mogą być równie potężnem lub potężniejszem jeszcze źródłem natchnienia, jak, przypuśćmy — czar piękna, rozlany w naturze.

Stanisław Przybyszewski, chorąży Młodej Polski [1]).

Rola Przybyszewskiego w Literaturze Młodej Polski.

Hasła Młodej Polski wtargnęły do naszej literatury przez Stanisława Przybyszewskiego, wielkopolanina, który, nabywszy dziełami w niemieckiej poezyi rozgłosu, po wielu latach rozłąki z krajem w 1898 roku objął *Życie*. Zjawił się on, jako ostra

[1]) Nowiński Józ.: Stanisław Przybyszewski. Warszawa 1902.

i stanowcza reakcya pozytywizmu i naturalizmu w sztuce. Pojmował życie, jako zło i bilans dobra i zła uczynił swym ulubionym tematem. Szczęście jest złudzeniem; nic nie może zwalczyć zła we wszechświecie. A ponieważ zagadki bytu nie rozwiążemy, pozostaje nam rozpacz, od której ucieczka w samobójstwie. Od powieści psychologicznej, w której zazwyczaj nie było akcyi, gdyż opisywała jedynie życie duszy, przeszedł Przybyszewski do dramatu. W szeregu dramatów: *Dla szczęścia*, *Złote runo*, *Matka*, *Odwieczna baśń*, *Śnieg*, *Gody życia*, *Topiel* odsłania mroczną głębię ludzkiej duszy, nad którą spełnia się przeznaczenie. Na zewnątrz dramat ów wewnętrzny wyraża się w życiowych sytuacyach, po części jednak figurami jego bywają nakazy czy przeczucia, ujęte w postaci Gościa, Nieznajomego, Kanclerza, Przyjaciela. O ile powieści bez akcyi, rozsnute na tomy rozpamiętywań i refleksyi psychologicznych, nużyły monotonią, o tyle dramaty, dające wyraz męce żywych dusz, wstrząsają silnie, zwłaszcza że dyalog mocny, barwny i rytmiczny dzielnie wspomaga treść żywotną. Nie tyle jednak studya psychologiczne, ani powieści, ani nawet dramaty wyryją nazwisko Przybyszewskiego w dziejach literatury naszej, ile zaważy ono, jako godło siły, budzącej senność i martwotę. Wybitny temperamentem, stworzył on wprędce naokoło siebie grono wielbicieli, wywołał niejeden talent, pobudził inne, już przez swe dzieła uznane.

Kazimierz Przerwa Tetmajer, poeta przełomowy Młodej Polski[1]).

Rozwój twórczości Tetmajera.

Zawdzięcza mu dość i Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Zacząwszy tworzyć przed Przybyszewskim w 1887 roku w trzech seryach zbiorowych opiewał ból życia, zwątpienie i rozpacz, szukającą ucieczki w nirwanie. Takie są: *Prometeusz*, *Konaj me serce*, *Wszystko umiera z smutkiem i żałobą*, *Drwię*, *Koniec wieku*, *Credo*, *Hymn do nirwany*. Ale to nie jedyna struna na harfie tego poety. Jeszcze w r. 1900 pisał: „pragnieniem mojem jest uczuciom ludzkim, uczuciom — o ile to jest w mojej mocy — różnym, dać wyraz szczery i bezpośredni“. Obok rozpaczy, zwątpienia, niewiary schyłkowej dźwięczy silnie ton patryotyzmu i sympatyi dla niedoli sfer ubogich, a także umiłowanie gorące piękna w naturze i piękna w sztuce, ale w lśniących barwach maluje też zmysłowe upojenia. Ku końcowi wieku dokonywa się w twórczości poety przeobrażenie. Znamienne wskazówki dają w tym względzie poematy *Muszla* i *Psyche*. W pierwszym zwierza się poeta, że

---

[1]) Ignacy Matuszewski: Kaz. Tetm. Tyg. illustr. 1903.
Chmielowski Piotr: Najnowsze prądy w poezyi naszej. Lwów 1901.
Potocki Antoni: W szkicach i wrażeniach literac. Lwów 1903.
Wasilewski Z. Od romantyków do Kasprowicza. Lwów 1907.

Lubi tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy...
Lubi patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.

Odtąd będzie, pochylony nad głębią własnej duszy, wizyom jej dawał kształty plastyczne. Ale oprócz tego sięgnie w głąb i ludzkiej duszy, jak zapowiada w *Psyche*. W pięknych poematach *Na królewskiem jeziorze*, *Na szczycie* zapragnie zmienić bieg świata, żeby w niebo pieśń szczęścia runęła, ucieka przed niedolą i bólem do potęgi ducha i myśli, odrzuca wątpienie, podąża ku *Łące mistycznej*, gdzie wolność, spokój, jasność, cisza, przestrzeń. Wtedy tworzy najpiękniejsze swe dzieła: *Qui amant*, *Na wiosnę*, *Dzwony* i *Podczas wiatru z Tatr*; wtedy pisze subtelnie odczute miniaturowe obrazki tatrzańskie, śród których arcydzieła: *Hala*, *W Białem*, *W Kościeliskach w nocy*, *Melodya mgieł nocnych*. Tetmajer prócz liryki, studyów literackich i prób dramatycznych napisał sporo powieści, a w tem kilkadziesiąt opowiadań p. t. *Na skalnem Podhalu*. Są one artystycznem odtworzeniem legend i podań górali tatrzańskich. Życie tętni pełnią swobody, odwagi i junakieryi. Przyroda tysiącem barw strojna, tysiącem kształtów porywa oko. Mowę góralską opanował tak, że potrafi „we własnym mózgu jak góral myśleć, we własnem sercu jak góral czuć". Tetmajer był śpiewakiem rozpaczy i zwątpienia, niezrównanym kolorystą przyrody tatrzańskiej i Homerem tatrzańskiego eposu. We formie nieraz wprawdzie zależny od Słowackiego i Asnyka, ale w najlepszych swych dziełach od tego ostatniego jeśli nie wyższy melodyjnością swej rytmiki i gorącym kolorytem obrazów — to w każdym razie nie niższy.

Jan Kasprowicz — pieśniarz bólu świata [1]).

Kasprowicz poetą niedoli ludu.

Taką samą drogą przeobrażania się i pod tymi samymi wpływami szedł największy nasz żyjący poeta Jan Kasprowicz. W pierwszym okresie twórczości wybiera z ludowego tłumu i portretuje typy, a każdy typ jest sumą innego rodzaju niedoli chłopskiej.

---

[1]) Piotr Chmielowski: Jan Kasprowicz. Próba charakterystyki. Brody 1904.
Potocki A.: Szkice i wrażenia literackie. Lwów 1913.
Przybyszewski St.: Z gleby kujawskiej. Warszawa 1901.
Wasilewski Z.: Od romantyków do Kasprowicza. Lwów 1907.
Przesmycki Zenon: J. Kaspr. Chimera V.
Gostomski Wal.: Śpiewak duszy. Bibl. Warsz. 1912.

Portrety, jak Szpera (*W karczmisku*), *Król Lear z Biedaczewa*, *Jan Rudawski*, *Maciej Kosarczyk*, *Hanka Olpińska*, *Marcin Szafran*, *Jewka Orliczka*, *Salusia Orczykówna*, nabierają wypukłości na tle malowniczych obrazów i wydarzeń. Są to ludowe gawędy o tendencyi demokratycznej, o takim uczuciowym tonie, jak niechętne dla szlachty obrazki Konopnickiej, o większej sile plastycznej, pisane językiem twardym, w którym tkwią słowa gwary wielkopolskiej, ale w budowie strofy i rytmicznem brzmieniu wiersza przewyższają one nie tylko gawędę ludową poromantyków, lecz i obrazki Konopnickiej. W sonetach *Z chałupy* (1889) znów śpiewa o niedoli wieśniaka, o krwawym pocie, prostej wierze, przesądach, bezradności. Z szaremi chatami zrosło się życie poety; one dają mu skarb łzawych wspomnień. A kiedy dusza jego schodzić miała w ciemności, sarkał i buntował się przeciw złu świata w poematach: *Solamen miseris*, *Zagaśnij słońce*, *Zgrzeszyłem*, *Flectamus genua*, *Amavi*, *Odi profanum vulgus*, lecz nie zatopił się w obłoku nirwany i wierzył zawsze w światła moc. Wtedy hartował w sobie ducha i wołał:

Błogosławiony, kto pochwycił wiosła
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła.

Poematy biblijne Kasprowicza.

Z ojczystej wielkopolskiej gleby wyniósł nie tylko miłość dla przyrody i ludu, lecz i głęboką religijność. Z tego źródła wytrysnęły pieśni biblijne, raczej poematy z motywów biblijnych, jak: *Mojżesz*, *Samson*, *Ezechiel*, *Chrystus* (1890). Ostatni zawiera szereg obrazów z życia Zbawiciela, a w nich usiłuje psychologicznie wytłómaczyć uświadomienie się w duszy Chrystusa mesyanicznego posłannictwa. Tutaj pojawia się pomysł szatana, który jest „boleścią, żalem, wątkiem daremnych pragnień, zwątpieniem, który wypełnia tchem swym przestwór“, pomysł odmienny od mickiewiczowskiego i od Masynnissy, a zbliżony do Bukatego w *Samuelu Zborowskim* i do czarnego boga z *Synagogi szatana* Przybyszewskiego. Ten Lucyfer ma ważną rolę zarówno w *Uczcie Herodyady* jak w *Na wzgórzu śmierci* (1898). W tym ostatnim poemacie odzwierciedlił trzy stopnie ludzkiego świata. Najniżej świat zmysłowy; instynkty, złość i nienawiść, obłudę, rozpustę — nikczemne targowisko ludzkie zobrazował w motłochu, wiodącym Zbawiciela na Golgotę. Wyżej świat ducha w walce z ciałem: platońską rozmowę dwóch mędrców — Szymona z Kyreny i Aleteja. Jeszcze wyżej wiekuisty dyalog duszy i ciała. Te trzy światy nieustannie splatają się ze sobą, a każdy ma we formie swój własny ton: tłuszcza — jaskrawo zmysłowy; rozmowa — pełen ścisłości i myśli; symbol — przeciągłe, żałosne jęki i wołania. Dusza wygnana z raju, zatem obarczona winą grzechu, tęskni do Lucyfera, lecz gdy widzi cichą i pokorną postać Zbawiciela, obsypywanego gradem zniewag i gdy się dowiaduje, że Zbawiciel dla niej ponosi

mękę, zwraca się ku Niemu. W końcu atoli po słowach od krzyża: Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił — pogrąża się w zwątpieniu i staje się pastwą Lucyfera. W taki sposób wypowiada poeta swój jeszcze pesymistyczny pogląd na wszechwładzę zła w świecie, zgodny z zapatrywaniem Przybyszewskiego, odmienny od pojęcia zła u Krasińskiego. Niebawem w poemacie *Miłość* (1901) rozegra się w duszy poety walka o to, czy ma na ziemi postawić silną Antejów stopę, a odrzucić skrzydła Ikarów, posklejane woskiem, czy też ma stać się pieśniarzem wiekuistych bolów i tęsknot ludzkiej duszy. Całą skalę osobistych żalów, zwątpień, przeżytych rozkoszy i goryczy — roztoczył w książce *O bohaterskim koniu i walącym się domie*, czyniąc ją jakoby podłożem tych duchowych głębin, z których wybija się wysokim lotem czysta dusza ku zespołowi z duszą ludzkości. Tworzy hymny: *Święty Boże*, *Święty mocny*, *Dies irae*, *Salome*, *Marya Egipcyanka*, *Judasz*, *Moja pieśń wieczorna*, *Hymn św. Franciszka z Assyżu*, *Salve Regina*. Do najpiękniejszych należą cztery końcowe hymny. Judasz poznał, że Chrystus dla ludzkości poniósł śmierć i że onto właśnie kłamca, zdrajca i uwodziciel: nie pierwszy i nie ostatni. Piecze go ból Chrystusa, pieką go smutne źrenice, gubiące się w głębi „jego i wszystkich niedoli"... Przestwór rozszerza się przed duszą poety. Łączy się ona z wszechświatem i raz — nieskalana, pokorna i cicha — śpiewa wieczorny hymn; to znów obciążona brzemieniem win — cierpi. Ale cierpienie może być równie źródłem niedoli, jak i duchowego wyzwolenia. Święty Franciszek mówi:

Hymny, poświęcone ginącemu światu.

Bądź pozdrowione cierpienie,
gdyż z ciebie rodzi się miłość.

Chce tedy jarzmo, grzech i grozę ziemi dźwigać i śpiewać hymn miłości. Takim hymnem tęsknoty do wiekuistej światłości, takim śpiewem miłości, zespalającym przyrodę, wszechświat, kości przodków, milion dusz ludzi zmarłych a już uwielbionych — jest *Salve Regina*. Są to wszystko symboliczne poematy ostatniej doby naszej liryki. Odsłaniają one bezdno ludzkiej duszy, podnoszącej w swem rozboleniu jęk szału, jęk nędzy, jęk grozy, jęk upojenia ascezą. Żaden z liryków naszych nie wynalazł dla zbiorowej duszy takich akordów płaczu, żalu, skruchy, jak Kasprowicz. Odpowiednika szukaćby chyba w psalmach Dawidowych. Znaczenie tych hymnów polega nie tylko na uczuciu, nie tylko na myśli, lecz i na odpowiadającej uczuciu i myśli symbolice, a nareszcie na pełnem brzmieniu rytmiki, która niekiedy huczy orkiestralnym zespołem akordów, niekiedy dźwięczy miękko i pieściwie. Obrazowaniu i rytmice odpowiada język jędrny, soczysty, bogaty w słowa i posłuszny potrzebom treści. Kasprowicz, niegdyś żarliwy bojownik sprawy ludowej, w hymnach stał się piewcą nędzy i cierpienia ludzkości. Chyba tylko w niektórych lirycznych

poematach, jak np. *Kordecki*, *Drogi krzyżowe*, niektórych w cyklu *Z padołu walki* uderza w strunę narodową.

Stanisław Wyspiański — twórca narodowego dramatu Młodej Polski[1]).

Neohelleński dramat Wyspiańskiego.

Stanisław Wyspiański prawie cały wysiłek swego twórczego talentu oddał na usługi idei wyzwolenia narodu. Zrazu, kiedy dzięki malarstwu znalazł się na szerokim świecie i w Paryżu, z zapałem studyował gotyk i wmyślał się w neohelleńskie dzieła francuskiej literatury, wyobrażając sobie homerycznych Greków, jako lud półdziki: powstawali w wyobraźni poety łupieżcy, zajadli w nienawiści, okrutni w zemście, pełni wiary w moc upiorów, w zaklęcia umarłych, w zawiść i łakomstwo złych i potwornych bogów. Z tych rozmyślań wypłynęły całe dzieła, z duszy i kultury greckiej wyjęte, jak *Meleager*, *Protesilaos i Laodamia*, późniejsze: *Achilleis*, *Powrót Odyssa*; stąd też i udział mitologii greckiej w pomysłach narodowych dramatów. W *Meleagrze* złamanie ślubów, uczynionych bogom, powoduje szereg nieszczęść. Za winę ojca ponosi karę syn, na śmierć pchnięty przez matkę. W dramacie drugim Laodamia namiętnych skarg porywem sprowadza cień zabitego męża i sama ginie. A poeta pomiędzy ludem greckim i polskim upatrywał tyle wspólnego, że Achillesowi dał włos płowy, zgrzebną parciankę i pas skórzany bronowicki. Tragedyę *Klątwa* przeniósł na tło wiejskiego świata i kazał władać przeznaczeniu, lecz przeciwstawił miłosierdzie twardej woli bóstwa, domagającego się kary za winę. W *Achilleidzie* bohater ma łagodną duszę, żal mu Hektora i zabija go jakgdyby z woli przeznaczenia, nie z własnej woli. W *Powrocie Odyssa* los rodu pędzi go do tułactwa. Szeregiem dzieł zapewnia on swemu ludowi rozwój, pragnie duszę swą oczyścić w ofierze dla ojczyzny. Dramaty greckie zrazu patetycznym stylem, później prostszym, lecz silnym pisane, mają sceny, wstrząsające efektami dekoracyi i grozą obrazów.

Narodowe dramaty Wyspiańskiego.

Równocześnie z pomysłami greckimi kształtowała się w duchu Wyspiańskiego myśl wszystkich prawie narodowych jego dzieł — myśl wyzwolenia. Może powstała ona z obserwacyi narodowego życia, może prawem kontrastu umocniła się przez widok

---

[1]) Piotr Chmielowski: Stan. Wysp. Lwów 1902.
Józef Kotarbiński: Pogrobowiec romantyzmu. Rzecz o Stan. Wysp. Warszawa 1909.
Skoczylas Ludw. O Stanisł. Wyspiańsk. Kraków 1909.
Jaworski Tad. dr. Idea przewodnia w dramatach Wyspiańsk.: Wesele, Wyzwolenie, Akropolis. 1905.
Potocki Ant: Stanisław Wyspiański, Stud. liter. Lwów 1902.
Rosner Ign.: Wyzwolenie. Wyspiańskiego. Kraków 1903.
Wasilewski Z.: Nowy Konrad. Lwów 1903.

obcego żywiołu, jaki nasycał dzieła apostołów nowego prądu w literaturze, zwłaszcza dzieła Przybyszewskiego. Jeszcze w *Legendzie*, owem marzeniu o ofierze dziewiczej, złożonej przez Wandę Żywi a dającej zwycięstwo, lecz pod warunkiem zgonu, idea główna poety nie jawi się wyraźnie tak, jak w trzech dramatach z listopadowego powstania wysnutych: *Lelewelu*, *Nocy listopadowej* i *Warszawiance*.

Na tle listopadowego powstania.

W XIX. wieku oznamionowały dzieje nasze dwa zjawiska: w literaturze romantyzm, w życiu powtarzające się ruchy powstańcze. Rozbiorowi tych zjawisk poświęca poeta swe dzieła. Lelewel jest duchem rewolucyjnym — i w nim ma być duch narodu. Bezprawie, pycha, prywata zatruwały dawniej ducha narodu; zerwać z tym jadem, starać się o królewskość ducha — to idea *Lelewela*. O ludzi jednakże Wyspiańskiemu nie szło. Ten sam Lelewel — wcielenie ducha narodu — w *Nocy listopadowej* jest ambitnym egoistą, podobnie jak Chłopicki. Nie jest naród gotów do wyzwolenia, więc Kora zapowiada upadek ruchu, zaczętego tej nocy. Ale wieki i lata żyć będą ziaren tych treścią. Jak ziarno, na jesieni w ziemię rzucone i obumarłe, z wiosną plon wyda, tak żywot narodu wymaga ofiar. Umierać musi, co ma żyć — powiada Kora. Dramat tą ideą odtwarza żywiołowy wybuch zbiorowego uniesienia, znamionujący się gorączkową akcyą, pochopnością do namiętnych porywów, które u tłumu przybierają dzikie i nieobliczalne kształty. Co dobre i co złe, zdziera maskę, szaleje, miota się, łaknie i szuka żeru. Otwiera sobie upust zdrój czystych poświęceń i łotrowskie łakomstwo łupu: słowem rozpętanie instynktów w pędzie ku świecącym w dali zorzom wolności.

I w *Warszawiance* zgoła niema apoteozy listopadowego powstania. Młodzi jego twórcy bajronizują; są romantyczni, a co gorsza, zagrobowy laur wabi im dusze, biegną więc na śmierć z marnej żądzy odznaczenia się. Starzy mają się za Cyncynnatów, za źródło cnót; lecz są ambitni i radziby się nawzajem prześcignąć w dostojeństwach, więc płoną nawzajem zawiścią. Nielepszy Chłopicki. Aby okazać nieudolność wodza ks. Michała Radziwiłła, całą dywizyę Żymirskiego na zatracenie posyła. Dla kaprysu na śmierć śle Rudzkiego. Wskutek swej winy, uległy woli generałów i Maryi, na czele wojska idzie na zdobycie posterunku, dokąd innych na zgubę rzucał. Marya — to Polska. Jak Maryi nakazem Józef Rudzki w zapasach ze śmiercią przegrywa i ginie, tak Polska, *buntowna przemocy*, młódź swą śle dla zerwania kajdan na pole walki, lecz pokonana sroższą znieść ma niewolę. *Warszawianką* uderzył Wyspiański silnie w struny poezyi grobów, odnalazł w przeszłości uczucia smutku patryotycznego, który żywem echem ozwał się w sercach młodzieży z końca wieku. Ten dopiero poemat zwiastował nowego poetę, który, rozgrzany zapałem ogółu, rozpoczął nowy wiek szeregiem dzieł: *Legion* (1900), *Bolesław śmiały* (1900), *Kazimierz Wielki* (1900) *Wesele*, (1900). W *Legionie* duch Mickiewicza, zolbrzymiały przez pół-

Na tle piastowskich królów.

wiekowy kult milionów, marzy o powstaniu na świecie „żywej Jeruzalem". Ale w nim ściera się żywioł pogański i chrześcijański, wolność i tyrania, rozum i uczucie. Trzeba serce wyzwolić, ducha umocnić gotowością do ofiar, a stąd dopiero wysnuje się królestwo Ducha na ziemi. Inaczej w *Kazimierzu Wielkim*. Król-odnowiciel Polski — gdy ujrzał lud, co zbiegł się na ponowny pogrzeb, poznał, że Polskę narodowi wydarto. Wołał więc do karmazynów i zgrzebnych o pomstę. I zagościła w sercach jedność i wyrwał się, jak wulkan, z tysiącznej piersi krzyk *Przymierza*. Lecz w ciągłych łzach, patrząc w groby, tracił naród hart i starzał. Wówczas król w pierś jednego z tych, co ku grobom wiedli naród, rzucił młot, a naród uczuł się wolny. W tym poemacie więc potępia zbyteczne zapatrzenie się w przeszłość w myśl słów anioła przeznaczeń ze *Snu grobów* Asnyka: co przepadło, musi w rdzy się strawić. *Wesele* ukazało się w teatrze w marcu 1901 r. Jest to dramat idei narodowego wyzwolenia możliwego w przymierzu dwóch głównych warstw: — inteligencyi i ludu. Niema zespołu: lud i szlachta — każde sobie rzepkę skrobie. Żadna z grup naszej inteligencyi, żadna z osób nie zdaje sobie poważnie sprawy z doniosłych możliwych owoców takiego zespołu dwóch sfer. Wszyscy mówią a nawet czują, że bez ludu niema wyzwolenia, ale szczerego związku brak, stąd tragikomedya naszego życia. Dramat zaś właściwy rozpoczyna się w akcie drugim, gdzie przeszłość w postaci widm Stańczyka, Rycerza, Hetmana, Szeli bądź karcące, bądź piekielnie zgrzytliwe głosy swe dołącza do nieszczerego rozweselenia ludzi. Jeden tylko Gospodarz za wskazówką Wernyhory wie, że stoimy na przełomie, lecz i on powierza złoty róg Przymierza Jaśkowi, aby samemu zasnąć. Zamiast więc istotnej i głębokiej spójni dwóch stanów narodu w celu odrodzenia, *Wesele* kończy się bolesnem kręceniem się par wśród oczekiwania i niepokoju pod rytm ironicznej pieśni Chochoła o zgubionym złotym rogu. *Wesele* było nowym dramatem; nic wspólnego nie ma ono z dramatem psychologicznym. Dobył je poeta z ducha narodu. Akcyę tworzy mnóstwo osób, lecz osoby są skrótami towarzyskich czy społecznych opinii, cechujących nie tyle Polskę, co Kraków. Mówią one nowym językiem: zdaniami krótkiemi o słownictwie bogatem zasobami narzecza, bez formalnych spojeń, określeń i omówień, lecz o jędrnych dźwiękach trocheicznej rytmiki. Po *Weselu* Wyspiański zajął się uscenizowaniem *Dziadów* Mickiewicza i wówczas znalazł kształty jego własny pomysł wyzwolenia, tylekroć krytycznie przezeń wcielany w dramaty, które duchowi wieku za zwierciadło służyły.

Na tle spółczesnem.

Dramat przyszłości.

Wyzwolenie (1902) jest obrazem tragicznych cierpień samego poety, jako artysty i Polaka, lecz jest także obrazem cierpień narodu, gdyż służy jego duchowi za zwierciadło. Niegdyś Anhelli przez śmierć swoją naród miał wyzwolić. Niegdyś Krasiński miał wizyę wyzwolonej Polski, narody wiodącej do szczęśliwej nieskończoności. I w dramacie Wyspiańskiego włada Polską spół-

czesną geniusz. To czar wspaniałej lub bolesnej przeszłości, to pomniki rycerzy w mrocznych kaplicach gotyckich świątyń, to chorągwie na wrogach zdobyte, to wieńce na strzaskanych kolumnach, to powieści o bohaterstwie i męczeństwie przodków, to zolbrzymiały duch Mickiewicza z *Legionu*. Z nim stacza walkę Konrad. Geniusz chce wyzwolenia przez śmierć, Konrad — wyzwolenia przez czyn. Konrad Mickiewicza Bogu bluźni, że naród w niewoli, Konrad Wyspiańskiego z narodem walczy, że się godzi na niewolę. Tamten cierpi za miliony, ten nie chce krzyża przyjmować i prosi Boga, by go od męki krzyża zachował. Zrywa z przeszłością, stwierdza prawo narodu do państwowego bytu. Naród w *Wyzwoleniu*, podobnie jak w *Weselu*, nie dorósł do wyzwolenia. Sam poeta chce życia wolnego, lecz brak mu siły, „jaką posiada dusza wolna". Stąd zabrania narodowi grobu, lecz gdy zostaje sam, ogarnia go rozpacz i pędzi głód wiedzy tego: co będzie dalej? Jeżeli prawdą jest, że Wyspiański we wszystkich dziełach swych wytwarza w sobie stany duszy, któreby godnie stać się mogły cząstką świadomości zbiorowej, to *Wyzwolenie* jest dramatem artysty. W zapasach bowiem ducha poety z duchem narodu — pierwszy upada. Ani w *Akropolis*, ani w *Skałce*, ani w *Sędziach* nie wzniósł się już Wyspiański na taką wyżynę, jak w *Wyzwoleniu*. Akropolis nie jest obrazem realnych stosunków, lecz raczej ostatecznem marzeniem o wyzwoleniu, ujętem w symbol Salvatora-Apollina. Wyspiańskiego twórczość znamionuje śmiała i płastyczna wyobraźnia, oraz głęboka uczuciowość, dobrze malująca żywiołowe namiętności i cierpienia. W stylu, składni i języku jest tak samo, jak w pomysłach, samodzielny, różnobarwny i bogaty.

Reymont i Żeromski nasycają liryzmem powieść.

Jak nowa liryka przez Jana Kasprowicza, jak nowy dramat przez Stanisława Wyspiańskiego, tak i najulubieńsza ogółowi czytającemu powieść w ostatniej dobie usiłowała wyrobić sobie nową technikę i odkryć nowe widnokręgi treści — zwłaszcza przez dwóch przedstawicieli Wł. St. Reymonta i Stefana Żeromskiego.

Psychologia wielkiego miasta przemysłowego.

Reymont rozpoczął od szkiców, przeszedł w *Komedyantce* i *Fermentach* do studyum psychologicznego, a wnet potem w *Ziemi obiecanej* dał rozległe malowidło zbiorowej duszy. W natłoku osób, wypadków, zbrodni i cnoty, intryg i naiwności, szubrawstwa i bohaterstwa, w chaosie barw pięknych i plugawych, w giełdzie szachrajstwa i obłudy, milionowych interesów i bezdomnej nędzy, namalował Reymont pełny obraz wielkomiejskiego wiru; obraz przypomina rubensowe wygięcia i wypukłości, czasami cokolwiek nieharminijne, często niespokojne i zgmatwane, ale zawsze w tonie ciepłym, tętniące ruchliwością i ożywieniem. Powieść podobna do

modelu wirującej maszyny fabrycznego życia; — jak koło rozpędowe — drga, szaleje, huczy i warczy wszystkiemi głosami. W *Chłopach* zaś jeszcze rozrosły się ramy kompozycyi, aczkolwiek tylko jedna wieś mazurska Lipce jest miejscem akcyi. Same atoli podtytuły *Chłopów*: *Lato*, *Jesień*, *Zima*, *Wiosna* dowodzą, że sferę ludową Reymont zespalał z naturą, czyniąc to w myśl owego sądu poety: „step, koń, kozak, ciemność — jedna dzika dusza". Dusza ludu lipieckiego zależy od natury; wszelako nastroje natury są szlachetniejsze, czystsze, subtelniejsze, niż uczucia ludu. Pierwotność i instynktowość są głównymi rysami lipieckiego ludu w jego zwyczajach, uczuciach i żądzach. Pojęcie tedy ludu u Reymonta nie jest ani sentymentalne, jak u Kraszewskiego, ani tendencyjne, jak u Prusa, lecz naturalistyczne.

Psychologia wsi.

Psychologia cierpienia.

Stefan Żeromski pierwszymi utworami: *Mogiła*, *Promień* odtwarzał pasowanie się idealistów z przemocą wrogów lub z gnuśnością otoczenia. W *Ludziach bezdomnych* przeniósł konflikt w głąb serca Judyma, który mocuje się z przywiązaniem do ponęt życia, gdyż pragnie to życie przeistoczyć kosztem zrzeczenia się jego uroków. Albo samotna praca dla ogółu, połączona z poświęceniem osobistego szczęścia, co bywało niegdyś problematem Wallenrodów i Irydionów, albo też nasycenie osobistych upodobań: oto dwie drogi przed Judymem i przed innymi bezdomnymi powieści. Wskazał nią Żeromski potrzebę, nawet konieczność surowego tłumienia własnych nasyceń dla dobra ogółu. W stylu zaś i metodzie zastąpił opowieść potokiem wynurzeń, nasiąkłych liryzmem. Prawie tak samo napisał i *Popioły*, historyczną powieść na tle legionów. I tu psychologia dzisiejszego człowieka przeniesiona wstecz o wiek nawiewa mnóstwo lirycznych scen i obrazów, niekiedy uderzających grozą lub wstrząsających widokiem straszliwych cierpień, w których malowaniu Żeromski jest mistrzem. I w następnych powieściach przeszłością zajął się Żeromski. W *Echach leśnych* (1905) zaklina na śmierć za ojczyznę skazany ojciec, aby mu syna w miłości ku ojczyźnie i w gotowości poświęcenia się za nią wychowano. W *Powieści o Udałym Walgierzu* (1906) bohater ten kamienną sobie wykuwa duszę — i ona mu daje wyzwolenie. W *Dumie o Hetmanie* (1908) Stanisław Żółkiewski, ofiarnie za ojczynę ginący, zestawiony z niesprawą towarzyszy-rycerzy. Wielki duch obywatelskiego poświęcenia i różne zwołania nienawiści, rokoszów szlacheckiej Polski — obok siebie, a na końcu kres i śmierć wielkiego ducha: to jakgdyby symbol Polski minionej.

Ogólna charakterystyka literatury najnowszej.

Oprócz wymienionych powyżej pisarzy ostatniej doby pojawiły się setki tomików z zakresu powieści, liryki i dramatu. Wyrażał się w nich niezawsze talent; jednak prawie zawsze

protest przeciwko naturalizmowi i realizmowi poprzedniego okresu. Dramat od brodzenia po psychologicznych młakach żądz, od dziwacznych symbolów i nastrojów, przeszedł do obrazów i przeżyć wieków dawnych narodu polskiego i do wizyi przyszłości: opromienił się legendą, mitem, wytworami ludowej wyobraźni lub sięgnął do serc żyjących ludzi i z nich wydobył najgoręcej odczuwane pragnienia i tęsknoty. W technice zaś wzorem *Dziadów* Mickiewicza połączył życie realne z fantastycznością. Powieść, zaniechawszy kreślenia ponurych rozpaczy duszy, udręczonej własnemi namiętnościami, zwróciła się po materyał do przeszłości narodowej lub też do malowideł życia spółczesnego; w nieznacznej tylko części poczęła zapadać w topiel filozoficznych i religijnych zagadnień. W metodzie bywa subjektywno-psychologiczną, lecz także i narracyjną. W języku powieści, od Sienkiewicza począwszy, zauważyć się daje ewolucya: słownictwo wciąż się zbogaca nabytkami czy to zapomnianej polszczyzny archeologicznej, czy zasiłkiem z narzeczy czerpanym, czy nawet w duchu języka wynalezionymi nowotworami. W obrazowaniu dąży się do nasycania martwych przedmiotów i natury życiem i uzyskuje się przez to rozmaitość, plastykę i koloryt. Język prozaików, dając wyraz uczuciu, przypomniał zatarty w okresach upadku stylu rytm psychologiczny, znany przecież krasomówcom polskim upłynionych wieków. Nareszcie najwyżej ze wszystkich form twórczości wzniosła się liryka polska, która nie przestała być narodową, choć się w nią wcieliły żale i skargi świata. Ona doprowadziła technikę wiersza do niezwykłego rozkwitu, wzbogaciła mowę wytwornemi przenośniami, wypowiedziała w silnych obrazach stany duszy o natężonem uczuciu, znalazła wyraz dla silnych namiętności i cudownych marzeń.

Bez wątpienia pomiędzy znamionami literatury ostatniej doby a okresem romantycznym możnaby wynaleźć wiele podobieństwa. Począwszy od określenia celu poezyi, od wpływów obcych, od pessymizmu, od przesady, od indywidualizmu, od podmiotowego pojęcia przyrody — do uwielbienia form, wzbogacenia słownika, do nowych postaci poetycznych, do pogłębienia dramatu i nasycenia go podobnie jak powieści lirycznym żywiołem, do wciągnięcia i wyzyskania materyału ludowości, do odnowy pierwiastku fantastycznego: — wszystko w romantyzmie i modernizmie analogiczne. Nie bez słuszności nazwano też ostatnią dobę neoromantyzmem. Nawet i zarzuty nienarodowości, czynione niegdyś romantyzmowi — możnaby teraz powtórzyć. Jakkolwiek bądź, chwile złe w tej mierze już minęły. Dziś większość pisarzy zgodzi się na obywatelskie słowa Szczepanowskiego: „Nie interesuje mnie literatura, jako literatura, sztuka jako sztuka. Może są szczęśliwe narody, które taki zbytek pielęgnować mogą. My, którzy walczymy o nasze życie, o byt narodowy, my przy każdym objawie życia publicznego, czy to w polityce, czy w pracy

ekonomicznej, czy naukowej, czy na polu literackiem, powinniśmy się pytać, czy to, co się dzieje, wzmacnia nasze siły?

I dla tego literatura dla mnie ma tylko doniosłość o tyle, o ile pokrzepia ducha narodowego, o ile wlewa nową otuchę, o ile jest nową bronią do dopięcia celów naszych".

Pytania.

1. Liryka osobista w poezyi XIX w.
2. Liryka smutku i liryka rozpaczy w poezyi XIX w.
3. Hamleci literatury Polskiej XIX w.
4. Wieś i miasto w powieści polskiej XIX w.
5. Idealne typy w literaturze XIX w.
6. Sielanka w literaturze XIX w.
7. Główne znamiona poezyi XIX w.
8. Niwelacya stanowych różnic w literaturze XIX w.
9. Patryotyzm ponad miłość: nakaz literatury XIX w.
10. Kobiety wieszcze w literaturze polskiej.
11. Kreacye szatana w poezyi XIX w.
12. Śmierć w poematach Kasprowicza a w poezyi XIX w.
13. Obrazy przyrody u romantyków a u modernistów.
14. Modernizm — jego istota i propaganda.
15. Romantyzm a modernizm. Podobieństwa i różnice.
16. Konrad z *Dziadów* a Konrad z *Wyzwolenia*.
17. Czyn jest główną ideą dramatu Wyspiańskiego.
18. Pierwiastek ludowy w najnowszej poezyi i powieści.

Wyższej Szkoły Pedagog. W KRAKOWIE

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

WYPISY.

1. Aleksander Fredro.

Str.

Zemsta i Śluby panieńskie 3

2. Józef Korzeniowski.

Żydzi 3
Z powieści p. t.: Krewni 20

3. Henryk Rzewuski.

Listopad 36

4. Józef Ignacy Kraszewski.

Disce 36
Z powieści p. t.: Ostap Bondarczuk 40
Z powieści p. t.: Sfinks 57
Z powieści p. t.: Stara Baśń 69

5. Zygmunt Kaczkowski.

Z powieści p. t.: Sodalis Marianus 80

6. Wincenty Pol.

Pieśń o ziemi naszej 86

7. Ludwik Kondratowicz.

Pocztylion 95
Lalka 97
Wyzwolenie włościan 99
Cupio dissolvi 100
Z M. K. Sarbiewskiego oda III. 102

8. Teofil Lenartowicz.

Kalina 104
Dwa dęby 105

Str.
Jakto na Mazowszu 106
Błogosławiona 107
Z Bitwy Racławickiej 114

9. Kornel Ujejski.

Trzy struny 118
Anioł Pański 120
Zawiana chata 121
Za służbą 122
Pogrzeb Kościuszki 124
Słowo Jeremiego 126
Pieśń zemsty 127
Noc natchnienia 129

10. Mieczysław Romanowski.

Burza 131
Złoty szlak 132
Nowa znajomość 133
Modlitwa 134
Trzy sztandary 134
Ból życia 135
Rok 1862 135
Sestyny 137

11. Z liryki powstania styczniowego.

Kornel Ujejski: Chorał 137
Jadwiga Łuszczewska: Dzwon pogrzebowy 139
Aloizy Feliński: Boże coś Polskę 140
I. B. Zaleski: Do wtóru 140
Teofil Lenartowicz: Łazarzu wstań 141
Mieczysław Romanowski: Savannah 143
Felicyan Faleński: Śpiew idących na śmierć 146
Józef Szujski: Obłąkani 147
Marceli Skałkowski: Boże Ojcze 149

12. Z pisarzy politycznych po r. 1863.

Bolesławita: Z Rachunków 150
Teka Stańczyka: Z listu piątego 163
Zygmunt Kaczkowski: Teka Nieczui 170
Stanisław Szczepanowski: Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych 175

13. Adam Asnyk.

Przeminął czas 188
Choć pól i łąk 191
Pod stopy krzyża 191
Do młodych 194
Nie mów 195
Daremne żale 195
Nad głębiami 195
Noc pod Wysoką 198
Pan Jezus chodzi po świecie 201
Siedzi ptaszek na drzewie 202
Słonko 203

14. Marya Konopnicka.

Na progu 204
Do słonka 204

Str.
Z łąk i pól 205
Do granicy 205
Sclavus Saltans 209
Pan Balcer w Brazylii 211
Z dziejów pieśni 222
W kamieniu polnym 223

15. Eliza Orzeszkowa.

Z powieści p. t.: Nad Niemnem 224
Z różnych dróg 229

16. Henryk Sienkiewicz.

Z powieści p. t.: Krzyżacy 238

17. Aleksander Głowacki.

Z powieści p. t.: Placówka 258

18. Z estetyki modernistów.

Zenon Przesmycki: Walka ze sztuką 267
Tredecim: Walka o snobów 270

19. Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Muszla 274
Nie wierzę w nic 276
Albatros 277
Melodye mgieł nocnych 277
Zaczarowany las 278
Fragment z wiersza dla mego synka 279

20. Jan Kasprowicz.

Cztery sonety 280
Lirnik mazowiecki 282
O bohaterskim koniu i walącym się domu 285
Salve Regina 288
Ballada o słoneczniku 301

21. Stanisław Wyspiański.

Z poematu p. t.: Kazimierz Wielki 304
Warszawianka 308
Orędzie 316

22. Z liryki ostatniej doby.

Leopold Staff: Kowal 317
Melodye zmierzchów 317
O słodyczy cierpienia 318
Bajka 318
O zbawczej ułudzie 320
Jan Lemański: Wół i żóraw 321
Bajka o kurze, o dyamencie i o sztuce 326
Lucyan Rydel: Mojej matce 327
Meduza 329
Modlitwa Królowej Korony Polskiej 329
Jerzy Żuławski: Nie warto 330
Nurek 331

CZĘŚĆ II.

Rozdział I.

Str.

Tło historyczne i kulturalne popowstaniowej literatury w kraju. Ucisk systemu mikołajowych rządów. Rozruchy rewolucyjne. Zamojski i Wielopolski. Zwrot do szlachetczyzny Polski niepodległej w literaturze. Ludowość z ornamentu literackiego romantyków staje się zagadnieniem społecznem 335

Fredro malarzem Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Komiczne i satyryczne typy i sytuacye w komedyach do 1828 r. Intryga *Ślubów*. Charaktery. Nastrój, dyalog i styl komedyi. Historyczność typów *Zemsty*. Znaczenie *Zemsty*. *Pan Jowialski*. *Dożywocie*. Fredro po r. 1835. Goszczyńskiego krytyka pism Fredry i jej skutek. Znaczenie Fredry 339

Korzeniowski reformuje dramat, pisze satyry w komedyi i powieści. Korzeniowski głosi potrzebę lirycznego dramatu. *Mnich* — tragedya napoły grecka, napoły Szyllerowska. Inne dramaty, *Karpaccy górale*. Tło satyry Korzeniowskiego. Satyra na rodową i pieniężną arystokracyę wołyńską. Satyra na bałagułów. Satyra na życie nad stan i utratę ziemi. Propaganda praktycznych ideałów. Znaczenie Korzeniowskiego 343

Rzewuski wielbi szlachecką przeszłość. Geneza *Pamiątek Soplicy*. Ludzie *Pamiątek Soplicy*. Artyzm *Pamiątek*. Malowniczy obraz wieku 18. w *Listopadzie*. Inne dzieła. Ocena Rzewuskiego 348

Józef Ignacy Kraszewski — tytan pracy. Powieści na tle poromantycznej niezgody ideału i rzeczywistości. Powieści ludowe. Powieści z różnych sfer. *Sfinks* jest obrazem z życia artystów w połowie 19. w. Działalność publicystyczna Kraszewskiego po styczniowem powstaniu. Powieść historyczna. Znaczenie Kraszewskiego 351

Kaczkowski — malarz tła dziejowego Polski. Kaczkowski maluje obrazy życia szlachty sanockiej. *Olbrachtowi rycerze*. Kaczkowski a Rzewuski . 355

Pol był śpiewakiem szlacheckiej Polski i malarzem kraju. Młodość rzeźbiarką życia. Geneza *Pieśni Janusza*. Dlaczego się podobały? Pierwsze gawędy. Geneza i ocena *Pieśni o ziemi naszej*. Pierwsza większa gawęda. Nowy program życia i twórczości. Pol był popularnym poetą 357

Kondratowicz był śpiewakiem ludu i malarzem Litwy. Jak się kształcił i jak tworzył? W szlacheckich gawędach z przeszłości ironizuje. We współczesnych postępowy. *Margier* nie jest epopeją. *Urodzony Jan Dęboróg* typową gawędą. Syrokomla malarzem wsi litewskiej. Liryka Syrokomli. Porównanie Pola i Syrokomli 360

Lenartowicz był śpiewakiem ludu i malarzem Mazowsza. Początki i źródła twórczości Lenartowicza. Pierwsze próby. Tęsknota do kraju nastraja lirenkę. Poematy z uczuć i wierzeń ludu. Próby eposu. *Bitwa Racławicka*. Lenartowicz, Pol, Syrokomla 363

Ujejskiego pieśń „nie pieluchą była, lecz ostrogą“ dla narodu. Z liryka osobistego staje się piewcą narodowych bolów. Trzy struny harfy. *Maraton* wzorem pierwszej struny. *Anioł Pański* przedwczesną wizyą zwycięskiego ludu. Pieśni na trzeciej strunie wyśpiewane. *Chorał Skargi* Ujejskiego a *Psalmy* Krasińskiego. Struna ludowa. Inne tony harfy Ujejskiego. Charakterystyka poezyi Ujejskiego 365

Romanowski — przedburzowiec. Słowem i czynem przygotowuje ruch wolnościowy. *Dziewczę z Sącza*. Inne powieści poetyckie mają ten sam cel. Powieść *Projekta*. *Popiela* i *Piasta* ideą jest zgoda. Przeczucia zgonu. W liryce pokrewny z Ujejskim 369

Ogólny obraz ruchu umysłowego w dzielnicach Polski. W Królestwie. W Galicyi. W Wielkopolsce. W Krakowie. Ogólna charakterystyka . . 371

Str.

Liryka powstań w latach 1848 i 1863. Dla czego niebogata? Pieśń zemsty i rozpaczy. Pieśń nadziei. Spiskowiec — bohaterem. Łzami nabrzmiałe modły 374

Pytania 376

Rozdział II.

Tło literatury po styczniowem powstaniu. Kraj ma ludzi politycznie przezornych. Uczuciowa polityka Kraszewskiego. Stańczycy a Kraszewski. *Teka Stańczyka. Teką Nieczui.* Szkoła Główna budzi w Królestwie ruch umysłowy. Program pozytywistów. Ideał Szczepanowskiego 377

Adam Asnyk poetą wiar i zwątpień. Zwątpienia patryotyczne i religijne. W obronie poezyi Humanitarne hasła Asnyka System filozoficzny cyklu *Nad głębiami.* Patryotyczna struna jego harfy. Dramaty i komedye. Ogólne cechy poezyi Asnyka . . . . . , ... 381

Marya Konopnicka — pieśniarka ludu i polskiej natury. Pierwsze powodzenie Obrazki. Pieśni. Utwory filozoficzne. *Prometeusz* i *Syzyf.* Epos Konopnickiej. Nowele i studya. Charakterystyka Asnyk a Konopnicka . 384

Orzeszkowa pisze satyry, wyjaśnia kwestye społeczne, broni ideału. Jak się wyrabiała? Satyra pedagogiczna Orzeszkowej. Powieści o wychowywaniu niewiast. Powieści o kwestyi żydowskiej. Powieści o socyalizmie. W obronie ideału. O zgodzie stanów. Przyczyny rozstroju w rodzinie. Myśl czy uczucie bliższe duszy słowiańskiej? Charakterystyka Orzeszkowej 388

Sienkiewicz nowelista staje się malarzem wielkich obrazów przeszłości Pierwsze satyry. Pomysł historycznych powieści. Utwory tendencyjne. Trylogia. *Bez dogmatu* i *Rodzina Połanieckich. Quo vadis* jedna Sienkiewiczowi światową sławę Ostatnie dzieła 391

Bolesław Prus głosi w powieści ideały dobra i prawdy. Upodobania okresu studyów Ludowość *Placówki. Lalka.* Idea *Emancypantek.* Charakterystyka Prusa . . . . , ... 395

Ogólny Obraz ruchu umysłowego w latach 1863—1890. Żale liryków na niepoetyczność okresu Klaczko S. ujski i historycy. Powieściopisarze i dramatycy. Charakterystyka okresu 397

Pytania 399

Rozdział III.

Młoda Polska i jej koryfeusze.

Nowe hasła głoszą się w krakowskich i warszawskich pismach. Młoda Polska głosi potrzebę nowych dróg w życiu i literaturze. W Krakowie — w *Życiu.* W Warszawie w *Chimerze* i *Sfinksie* 400

Przybyszewski — chorąży Młodej Polski. Rola Przybyszewskiego w literaturze Młodej Polski 401

Tetmajer — poeta przełomowy Młodej Polski. Rozwój twórczości Tetmajera 402

Jan Kasprowicz — pieśniarz bólu świata. Kasprowicz poetą niedoli ludu. Poematy biblijne Kasprowicza. Hymny, poświęcone ginącemu światu 403

Wyspiański — twórca narodowego dramatu Młodej Polski. Neohelleński dramat Wyspiańskiego. Narodowe dramaty Wyspiańskiego. Na tle listopadowego powstania. Na tle piastowskich królów. Na tle współczesnem. Dramat przyszłości 406

Reymont i Żeromski nasycają liryzmem powieść. Psychologia wielkiego miasta przemysłowego. Psychologia wsi. Psychologia cierpienia . . 409

Ogólna charakterystyka najnowszej literatury 410

Pytania 412